

Czy wraz z sercem można przeszczepić
wspomnienia i uczucia innej osoby?



TKANKI

Dominika van Eijkelenborg



TKANKI

Dominika van Eijkelenborg

*Moim córkom.
Jesteście moim sercem.*

Wspomnienie jest formą spotkania.

— KHALIL GIBRAN

Prorok, tłum. T. Truskowska



Serce ma swoją pamięć.

— ALBERT CAMUS

Upadek, tłum. J. Guze

1 STYCZNIA 2015

DOCHODZIŁA PIERWSZA W NOCY. Marieke van Haan zamknęła za sobą drzwi i gwar entuzjastycznych rozmów zmieszany z dźwiękami zbyt głośno puszczonej muzyki nagle ucichł. Mroźne powietrze uderzyło ją w rozpalone policzki. Wzięła głęboki wdech i przez parę chwil stała w bezruchu na schodkach budynku, przyglądając się otoczeniu. Szumiało jej w głowie od głosów i hałasu. Nie przepadała za tego typu przyjęciami, ale trudno było jej odmówić przyjaciółce. Jeszcze trudniej było jej przyznać się przed samą sobą, że do wyboru miała to lub spędzenie sylwestrowej nocy w towarzystwie telewizora. Do ostatniej chwili liczyła, że któryś z jej kolegów z komendy poprosi ją, żeby wzięła jego zmianę. Zapinając guziki bluzki, zerknęła na wyświetlacz telefonu w oczekiwaniu na jakąś wiadomość, która posłużyłaby za idealny pretekst do wyjścia z przyjęcia, ale nie wydarzyło się nic, co mogłoby ją ocalić. Poza Marye i jej partnerem nie znała tu nikogo, szybko jednak zorientowała się, że jest jedyną samotną osobą w towarzystwie. Choć czuła się z tym faktem nieco niezręcznie, postanowiła nie robić z tego wielkiej sprawy. Aż do chwili, gdy przedstawiono jej wysokiego faceta, który, jak się okazało, był rozwodnikiem i również przyszedł sam. Nie dosłyszała imienia w hałasie panującym wokół, a z prezentacji dokonanej przez Marye wyłapała jedynie informacje o jego własnej firmie komputerowej. Marieke nie musiała wyęczać specjalnie swojego policyjnego zmysłu, by domyślić się, że celowo zaproszono ich oboje w ramach nieudolnie zorganizowanej randki w ciemno. Wymienili kilka zdawkowych uprzejmości, po czym zamilkli zażenowani. Nawet dudniąca wokół nich muzyka wydawała się zbyt cicha, by wypełnić niezręczne milczenie. Marieke z ciężkim sercem doczekała północy, zdecydowana opuścić przyjęcie, gdy tylko umilknie pierwsza salwa fajerwerków. Marye zniknęła jednak gdzieś w ferworze noworocznych toastów i Marieke z poczuciem narastającej irytacji próbowała przetrwać kolejną godzinę i nie wyjść bez pożegnania.

Kiedy wreszcie stanęła na schodach domu, pozwalając, by drzwi frontowe odcięły napływ dźwięków, poczuła, jak ścisk w okolicach płuc odpuszcza i wypełnia je mroźne powietrze. Blask księżycy wydawał się niemal lodowato błękitny. W jego świetle wszystko lśniło i połyskiwało. Cieniutka warstwa szronu pokryła trawę, zamrożone kałuże przypominały zdeformowane lustra rozrzucone po ulicy. Zimny deszcz, który padał cały dzień, pokrył świat lodowatą powłoką. Kobieta wsunęła dłoń do kieszeni kurtki i zerknęła na wyświetlacz telefonu. Noworoczne życzenia od Rolanda były krótkie i treściwe, o ile można tak określić trzy słowa i rząd wykrzykników. Wiadomość od rodziców kończyło przypomnienie, że jutro spotykają się przed Domem Spokojnej Starości, gdzie od paru lat przebywał dziadek Marieke, emerytowany policjant. W ciągu ostatnich miesięcy gasł tak intensywnie, iż wszyscy spodziewali się, że nie doczeka świąt. Całkowicie nieobecny duchem staruszek trwał jednak uparcie na służbie i, ku zdumieniu wszystkich, zupełnie nieświadomie witał kolejny Nowy Rok.

Marieke czuła, jak chłód szczypie jej skórę, obkurcza naczynia krwionośne, elektryzuje i pobudza do ruchu. Jednak w kierunku zaparkowanego po drugiej stronie ulicy auta ruszyła dopiero wtedy, gdy usłyszała za sobą dźwięk otwieranych drzwi. W odruchu ucieczki zupełnie nieuważnie ruszyła przed siebie. Wtedy uzmysłowiła sobie, jak było ślisko. Jej stopa obsunęła

się i w momencie, gdy prawie upadła, czyjaś dłoń podtrzymała ją mocno.

– W samą porę. – Tuż za nią odezwał się znajomy głos.

Stała stabilnie i obciągnęła kurtkę, odwracając się w stronę wybawcy. Mężczyzna zdawał się jednak nie widzieć siebie w tej roli. Nie patrząc na nią, wyjął papierosa i zapalił, osłaniając go dłonią, choć wcale nie wiało.

Wyciągnął w jej stronę paczkę, ale pokręciła głową, wymamrotawszy niewyraźne „dziękuję”. Wzruszył ramionami i schował pudełko do kieszeni marynarki, którą otulił się ciałniej. Marieke przyglądała mu się w świetle księżyca. Miał wysokie czoło, które podkreślały zakola widoczne pod przerzedzonymi włosami. Jego pociągła twarz zdawała się teraz bardziej rozluźniona, a oczy błyszczały. Zaciągnął się.

– Mam nadzieję, że nie wychodzisz z mojego powodu – powiedział. – Mnie również nie uprzedzono, że...

– Nie, oczywiście, że nie – przerwała mu szybko, próbując uchronić się przed tą żenującą rozmową. – Mam na jutro plany rodzinne, więc muszę położyć się wcześniej.

– Dzieci? – spytał i spojrzał na nią. Był sporo starszy.

Pokręciła głową.

– Rodzice. I dziadek. Nie mam dzieci.

Skinął i zaciągając się papierosem, zapatrzył w granatowe przejrzyste niebo, na którym jaśniała lekko zaokrąglona tarcza księżyca. Gdzieś z oddali dobiegały pojedyncze spóźnione wystrzały fajerwerków. Marieke nie wiedziała, czy powinna się szybko pożegnać, czy zostać i z grzeczności potowarzyszyć mężczyźnie przy papierosie.

– A ty? – spytała, wrywając go z zamyślenia.

– Ja nie mam planów na jutro – odparł nieco roztargnionym głosem i Marieke przeraził fakt, że mógł sobie pomyśleć, iż próbuje mu coś zaproponować.

– Nie, nie – rzuciła w panice. – Pytałam o dzieci.

Uśmiechnął się lekko.

– Mam córkę. Ma prawie siedemnaście lat.

Przyjrzała mu się teraz uważniej, próbując ustalić jego wiek.

– Nastolatka. To pewnie masz z nią urwanie głowy?

Oczy mężczyzny zwróciły się ku niej i przez chwilę Marieke spostrzegła w nich błysk smutku lub bólu, który automatycznie powiązała z rozwodem i z całą pewnością niezbyt sprawiedliwym podziałem opieki nad córką.

– Coś w tym rodzaju – odparł po chwili, odwracając wzrok.

– Marye wspomniała, że prowadzisz własną firmę komputerową. – Marieke próbowała zmienić temat, sama nie rozumiejąc, dlaczego jeszcze nie życzyła mu dobrej nocy, szczęśliwego Nowego Roku i nie zesła zdrażliwie śliskimi schodami do auta. Jednak w tym chłodzie i mroku było jej łatwiej dojrzeć w mężczyźnie osobę, a nie jedynie źródło niezręcznej sytuacji.

Skinął głową, ale zamiast wdać się w monolog na temat swojej kariery, zmrużył oczy i zapytał:

– Nie przysłano cię, żebyś zdemaskowała moje przekręty podatkowe?

Uśmiechnęła się szczerze po raz pierwszy tego wieczoru. I tego roku.

– Nie. Pracuję jedynie nad przestępstwami internetowymi. Ale chętnie posłucham o przekrętach podatkowych. Tym zajmuję się w ramach hobby – zażartowała lekko.

– Bardzo oryginalne hobby.

Mężczyzna zgasił papierosa na murku i wrzucił go do przepelnionego petami słoika, stojącego tuż przy drzwiach, po czym wsunął dłoń w kieszenie marynarki.

– Nie będę cię zatrzymywał. W końcu musisz się wyspać.

– Tak, to prawda. Szczęśliwego Nowego Roku. – Odwróciła się w stronę schodów i ze zdziwieniem zauważyła, że ruszył wraz z nią. – Nie wracasz do środka?

Wzruszył ramionami, oglądając się lekko za siebie.

– Chyba też wolę się wyspać. I w razie czego będę ci służył ramieniem w drodze na drugą stronę ulicy.

Szli powoli. Marieke stawiała stopy ostrożnie, próbując uniknąć upadku.

Jego lśniące nowością sportowe audi stało zaparkowane parę metrów dalej. Przeszło jej przez myśl, że było typowe dla rozwodnika mającego kryzys wieku średniego, ale skarciła się szybko za to pochopne wyciąganie wniosków. Pomachali do siebie na pożegnanie i Marieke z ulgą wsiadła do samochodu. Przekręciła kluczyk, włączyła radio i zjechała z krawężnika. Chwilę błędziła wąskimi uliczkami, manewrując między gęsto zaparkowanymi wzdłuż chodników autami, by wreszcie wyjechać na drogę w kierunku Sneek. W lusterku widziała jarzące się światła audi, które podążało za nią. Oczywiście prawdopodobieństwo, że mieszkał w Sneek lub IJlst było wysokie, mimo to Marieke poczuła falę niepokoju. Wolałaby, żeby ją wyminął. Na rondzie tuż za miastem zamiast skierować się w stronę IJlst, zjechała w pierwszą ulicę, wybierając nieco dłuższą drogę do domu. Miała nadzieję, że w ten sposób zgubi auto jadące wciąż za nią. Zerknęła w lusterko i zobaczyła czarne audi, skręcające tak jak ona w pierwszy zjazd. Westchnęła głęboko. Czuła, że robi się ślisko. Od czasu do czasu zerknęła w lusterko na światła samochodu. Dwa kilometry dalej Marieke skręciła w lewo w Lewei, podążając dość okrężną drogą w kierunku IJlst i Sneek. Powinna była pojechać prosto, co zrobił jej towarzysz w czarnym audi. Pół kilometra dalej wąska ulica łączyła się z szerszą i łatwiej przejezdną drogą prowadzącą do centrum Sneek. Widząc audi mijające zjazd w Lewei, Marieke przez chwilę poczuła się głupio ze swoją dziecinną paniką. Została sama na drodze. Przejechała parę metrów i zwolniła. Czuła, jak opony jej auta od czasu do czasu tracą przyczepność na oblodzonym podłożu. Wyłączyła radio, żeby móc skoncentrować się na prowadzeniu. Odruchowo zacisnęła dłoń na kierownicy, jakby to miało uchronić ją od utraty kontroli nad pojazdem. Przekląła parę razy w myślach. Droga, którą wybrała, była nie tylko rzadziej uczęszczana, ale też węższa i nieoświetlona. Biegła między kanałami, za którymi rozciągały się rozległe łąki i pola, gdzieś natrafić można było na zjazd prowadzący do gospodarstw rolnych. Kiedy kątem oka zobaczyła w oddali auto stojące na poboczu, odruchowo wcisnęła hamulec. Mimo to czuła, że jej samochód ślizga się chwiejnie naprzód. Skupiła wzrok na widoku przed nią. Dopiero po chwili zorientowała się, na co patrzy. Próbując zapanować nad pojazdem, zjechała na pobocze. Na oszronionej trawie koła odzyskały przyczepność. Chwyliła telefon i wysiadła w pośpiechu, zostawiając włączone światła dzienne, których długa smuga oświetlała miejsce wypadku. Wybierając numer, prawie upadła. Poczuła, jak komórka wyslizguje się jej z dłoni. Przeszywający ból w kostce, którą wygięła nienaturalnie, próbując utrzymać równowagę, sprawił, że musiała się zatrzymać. Jej telefon z trzaskiem uderzył o oblodzony asfalt.

– Cholera! – Skrzywiła się i sięgnęła po niego. Szybka wyświetlaczka pękła na całej długości. Marieke próbowała iść i jednocześnie wybierać numer, jednak ekran dotykowy odmawiał współpracy. Wrzuciła telefon do kieszeni i podniosła wzrok.

Pomarańczowy opel z kolorowymi felgami stał na środku zjazdu obrócony w taki sposób, że Marieke na pierwszy rzut oka nie była w stanie powiedzieć, z której strony nadjechał. Drzwi pojazdu były lekko wgniecione i otwarte. Maskę auta została zmiażdżona przez uderzenie w drzewo lub w jedną z kamiennych kolumn, stojących po obu stronach zjazdu. Potłuczone szkło leżało na oblodzonej drodze. Jakimś cudem samochód nie został zepchnięty siłą odrzutu do wody biegnącej wzdłuż drogi. Tafelę pokrywała cienka warstwa lodu.

Marieke, kulejąc, podbiegła do chłopaka. Siedział na poboczu porośniętym oszronioną trawą. Ramionami obejmował kolana i kołysał się w transie. Marieke dotknęła jego ramienia i potrząsnęła nim lekko.

– Wszystko dobrze? Wezwałś karetkę? Czy byli inni pasażerowie?

Zauważyła, że dłonie chłopaka pokryte są krwią, nie potrafiła jednak z całą pewnością stwierdzić, skąd pochodziła. Wąska rana na jego skroni nie krwawiła zbyt obficie. Przypominała raczej niegroźne rozcięcie. Marieke poczuła woń alkoholu. Dopiero wtedy usłyszała cichy głos dochodzący z drugiej strony auta.

– Kurwa, kurwa, kurwa...

Obeszła pojazd, przytrzymując się maski, żeby nie upaść. Niedaleko otwartych drzwi samochodu na oszronionej trawie leżała dziewczyna. Poły jej krótkiego płaszcza były rozrzucone, pomarańczowy szal ciągnął się jak surrealistyczna rzeka od auta do jej bezwładnego ciała, nad którym pochylał się ciemnowłosy młody mężczyzna. Dotykał jej twarzy i w panice przeklinał szeptem. Marieke przyklękła przy nim.

– Wezwaliście karetkę?

– Co? – Chłopak podniósł na nią duże ciemne oczy. Od niego również czuła wyraźnie zapach alkoholu.

– Masz przy sobie telefon? – zapytała zniecierpliwiona. Jedną ręką sięgnęła po komórkę, którą chłopak wyjął z kieszeni bluzy i odblokował, drugą zaś sprawdziła puls dziewczyny. Był ledwo wyczuwalny. Oddech płytki. Szybko dokonała zgłoszenia o wypadku samochodowym, podając współrzędne miejsca zdarzenia i opisując stan ofiar. Kiedy się rozłączyła, odwróciła głowę w stronę auta. Spod wygiętej maski unosił się dym. Ponownie zwróciła się do chłopaka, zdejmując własną kurtkę, którą okryła dziewczynę. Zarejestrowała ciemną maź oblepiającą jej włosy po jednej stronie głowy.

– Musisz odciągnąć ją na bok. Delikatnie! Może mieć uraz kręgosłupa. Weź ją pod pachy, właśnie tak – poinstruowała go. Wykonywał jej polecenia bez słowa. – Teraz połóż ją na lewym boku. Ostrożnie!

Kiedy powoli przewrócił ciało dziewczyny, Marieke usłyszała dziwny metaliczny dźwięk, jakby cicho zabrzęczały dzwoneczki. Przez chwilę jej myśli rozproszyły się. Wtedy zobaczyła na prawym nadgarstku ofiary wypadku rząd bransoletek, cieńszych i grubszych. Ich gładka srebrna powierzchnia schwytała blask księżyca. Lekki, ledwo uchwytny błysk, który zgasł szybciej, niż się pojawił. Marieke zorientowała się, że chłopak patrzy na nią w panice, jakby czekał na kolejne polecenia.

– Masz w aucie gaśnicę? – zapytała, wróciwszy do rzeczywistości.

Pokręcił głową. Marieke ponownie obeszła pojazd, żeby dotrzeć do drugiego młodego pasażera opla. Siedział nadal na białej od szronu trawie, zwinięty w kłębek. Jego brązowe włosy spadały na zbyt dziewczęcą jak na chłopaka twarz. Jego oczy rzucały przerażone i lekko otumanione spojrzenia. Marieke starała się poruszać jak najszybciej, jednak podeszwy kozaków

ślizgały się po oblodzonej nawierzchni. Nie było jej zimno, choć czuła, że temperatura spadła poniżej zera. Z ust unosił się obłoczek pary, a palce miała sztywne od chłodu.

– Zaraz będzie tu ambulans. Czy coś cię boli? – Pochyliła się nad chłopakiem. Jego głos był ledwo słyszalny, gdy zaprzeczył. – Musisz się odsunąć na wszelki wypadek. Słyszysz? Dasz radę wstać?

Gdy chłopak nie ruszył się z miejsca, Marieke westchnęła i zerknęła jeszcze raz na pojazd za nimi. Poklepała chłopaka po ramieniu, ale kiedy nadal nie reagował, skierowała się do swego auta, ostrożnie pokonując śliską ulicę. Z bagażnika wzięła małą gaśnicę i trójkąt ostrzegawczy, który ustawiła w widocznym miejscu na jezdni. Podeszła do volkswagena i wyjęła kluczyk ze stacyjki. Skierowała się do frontu auta. Przygotowała się i lekko uniosła maskę. Nie zauważyła żadnych śladów ognia, ale na wszelki wypadek uruchomiła gaśnicę. Przez głowę przebiegła jej myśl, że gdyby nie idiotyczna sytuacja z czarnym audi i bezpodstawny niepokój, nigdy by się tutaj nie znalazła. Kiedy wróciła do dziewczyny i chłopaka, usłyszała donośne wycie karetki pogotowia. Ambulans wkrótce zaparkował na poboczu. Tuż za nim nadjechały dwa białe wozy policyjne. Ponad panującym chaosem, który natychmiast zapanował wokół nich, Marieke wyłapała zdziwioną twarz Rolanda. Miał na sobie policyjną czarną kurtkę z jaskrawożółtym pasem na piersi i ramionach. Wymienili spojrzenia, ale dopiero gdy ofiary wypadku zostały zabrane do szpitala i policjanci ruszyli do zabezpieczania miejsca zdarzenia, Roland podszedł do niej z jej własną kurtką w dłoni, którą zarzucił na jej ramiona.

– Ci dwaj niewiele mi powiedzieli. Obaj w szoku. Podpici. Stan dziewczyny, na moje oko, ciężki – powiedział, wsuwając notatnik do kieszeni kurtki.

– Widziałas, co tu się stało?

– Nie. Przyjechałam już po wypadku i tak to wszystko zastałam.

– Z tego, co widać, jechali za szybko, wpadli w poślizg i kierowca stracił kontrolę nad pojazdem. Ta droga jest całkowicie oblodzona. To nasze czwarte wezwanie dziś do wypadku. Kiepska noc na takie warunki atmosferyczne. Ale co zrobić? A myśleliśmy, że będzie więcej problemów z fajerwerkami i pijakami. Co ty tu w ogóle robisz? Nie miałaś być na imprezie?

Marieke wzruszyła ramionami. Coś wisiało w powietrzu, w tym lodowatym chłodzie, który sprawiał, że wszystko zdawało się zastygłe, zatrzymane w czasie. Marieke wyczuwała to, lecz nie potrafiła określić, czym to było lub co miało przynieść. W dłoni ścisnęła pomarańczowy szal. Musiał zsunąć się, gdy położono dziewczynę na noszach. Był długi, miękki i jeszcze niemalże ciepły.

Chantal Simons

GDYBY KTOŚ MNIE ZAPYTAŁ, od czego to wszystko się zaczęło, odpowiedziałabym bez wahania, że od kota. Prawda jest jednak taka, że to pytanie nigdy nie padło, nikogo bowiem nie interesowała moja nieprawdopodobna teoria, na którą zresztą nie miałam żadnego namacalnego dowodu. Poza tym jednym, który tkwił zamknięty w klatce piersiowej mojej własnej córki. Nie mogłam jednak po niego sięgnąć i nawet gdybym to zrobiła, wciąż jeszcze nie potrafiłabym

wytłumaczyć całej serii dziwnych zdarzeń i tego niepokoju, który wzrastał powoli, by w końcu rzucić się na mnie w pełnej okazałości, jak jakiś mitologiczny potwór. Rogi, pazury, potężny ryk. Nigdy nie przypuszczałam, że stany emocjonalne mogą posiadać zwierzęce atrybuty. A jednak. Mój lęk był w nie wyposażony i nie wahał się ich użyć.

Nigdy nie wierzyłam w duchy, upiory, UFO i inne nadprzyrodzone zjawiska. Nie bałam się cmentarzy ani filmów, w których spod powierzchni wody lub z cienia wyłaniały się dziwaczne formy życia uzbrojone w ostre kły. Jeśli coś budziło mój strach, to były to raczej zupełnie przyziemne rzeczy, takie jak choroby, wypadki lub źli ludzie i ich nieczne intencje. Nawet jako małe dziecko nie hodowałam w szafie potwora hałasującego nocą, nie obawiałam się złych bestii, drzemiących pod łóżkiem. To, co nie pozwalało mi zmrużyć oka, to świadomość czasu i podskórny lęk, że wraz z jego upływem odejdą ci, których kocham. Czasem leżałam w gęstych ciemnościach pokoju i wsłuchiwałam się w znajome dźwięki dochodzące zza drzwi. Brzęk naczyń w kuchni. Głos mamy, stłumiony, delikatny jak wibracja, z której nie mogłam rozróżnić słów. Kroki taty, ciche skrzypienie desek w podłodze i szuranie krzesła. Odgłosy przynoszące ukojenie. Wtedy jeszcze wszystko było takie, jak zawsze, bezpieczne i normalne. Zasnęłam kołysana do snu tą symfonią, lecz strach, że kiedyś dobiegnie ona końca, wybudzał mnie czasem w środku nocy. Unosiłam się na łóżku i krzyk, który wiązał mi w gardle, boleśnie wypełniał płuca.

Dziś jako dorosła kobieta wiem już, że ten lęk przed stratą jest genetyczny, wrodzony. Nawet gdy jeszcze nie rozumiemy śmierci, jesteśmy jej w pewien sposób świadomi. Niemowlę, które odłożone do łóżeczka zaczyna płakać, domaga się obecności matki, ponieważ ona jest gwarancją jego przeżycia. Rodzimy się z tą wiedzą zakodowaną w naszych tkankach. Żeby przeżyć, potrzebujemy innych ludzi.

Jak opowiedzieć historię, której się samemu nie rozumie, na której istnienie nie ma dowodów, historię spisana skomplikowanym szyfrem uderzeń serca? Należy wrócić do początku początków. Choć sama nie wiem, jak daleko w przeszłość musiałabym się cofnąć.

Zawsze wiedziałam, że będę miała tylko jedno dziecko. Wychowałam się z dwiema siostrami. Nie byłam ani tak mądrą dziewczynką, jak moja starsza siostra, ani tak ładną, jak młodsza. Plasując się pomiędzy moim rodzeństwem, bez żadnych szczególnych talentów lub przyciągającej oczy urody, często cierpiałam na brak uwagi ze strony rodziców. Wiedziałam, że mnie kochali. I nadal kochają. A jednak doskwierało mi poczucie, że pozostaję gdzieś poza zasięgiem ich zainteresowania. W miarę upływu czasu wszystko nabrało jedynie intensywności. Moja starsza siostra wyruszyła studiować i stała się źródłem rodzinnej dumy, młodsza burzliwie przechodziła okres dojrzewania, sprawiała kłopoty wychowawcze i była tematem niekończących się dyskusji toczących się przy stole. Nauczyłam się żyć, nie będąc gwiazdą przedstawienia i nie zbierając owacji na stojąco. Dziś jestem wdzięczna rodzicom. Dzięki temu bowiem wyrosłam na kogoś, kto nie potrzebuje komplementów, nagród i wylewnych adoracji, by czuć się ze sobą dobrze. Zdaję sobie sprawę, że być może uchodzę czasem za osobę oschłą bądź wręcz chłodną. Nic bardziej mylnego.

Wcześniej odkryłam, że różnię się od koleżanek. Nie ekscytowały mnie miłosne opowieści ani przystojni aktorzy. Nie unosiłam się emocjami ani nie rumieniłam się. Z zaciekawieniem i sporą dozą niedowierzania obserwowałam ich chaotyczne i przerysowane zachowania. Nie czułam się lepsza od nich. Czułam się inna. Po prostu nie miałam potrzeby czynienia spraw bardziej skomplikowanymi, niż były w istocie.

Kiedy nadszedł czas, by wybrać kierunek dalszej edukacji po szkole średniej, moje koleżanki marzyły o tym, kim chcą zostać, zastanawiały się, co najbardziej chciałyby robić w życiu, niektóre roiły sobie kariery piosenkarskie lub aktorskie. Byłam córką kasjerki i konduktora. Nie miałam nierealnych ambicji, chciałam dobrze zarabiać i być niezależna. Pamiętam wyraz ich twarzy, gdy oznajmiłam, że wybieram się na stomatologię. Prawie wzdrygnęły się z obrzydzenia. To było takie mało romantyczne. Kto marzy o byciu dentystą?

Otrzymałam dofinansowanie. Dorabiałam wieczorami i w weekendy. Byłam zdecydowana ciężko pracować, by ukończyć studia. Lata później, już jako stomatolog z doświadczeniem, wiedziałam, że nie mogłam wybrać lepiej. Rozważnie i zgodnie z własnymi potrzebami. Nie wszystko jednak jest kwestią naszych decyzji. Odważyłabym się nawet twierdzić, iż niebezpiecznie niewiele.

Poznałam Carla niedługo po tym, jak otrzymałam posadę w Sneek, mieście oddalonym pół godziny drogi autem od Leeuwarden, z którego pochodziłam. W całym tym chaosie życiowych zmian pojawił się on. Był właścicielem firmy sprzedającej profesjonalne meble medyczne, fotele dentystyczne i łóżka do masażu. Niezbyt romantyczne zajęcie, ale idealnie pasujące do moich nieszczególnie romantycznych zapatrywań na życie. Klinika, w której pracowałam, wymieniała wyposażenie na bardziej nowoczesne. Zadzwoił tydzień po dostarczeniu foteli. Twierdził, że tylko po to, by dowiedzieć się, czy jesteśmy zadowolone. Zapytałam, czy to standardowy sposób traktowania klientów. Odpowiedział, że może mi to wyjaśnić przy kawie.

Carl był typem faceta, od którego biła wrodzona pewność siebie. Mówił dość doniośle, z równą nonszalancją opowiadał zarówno o swoich porażkach, jak i sukcesach. Wysoki, szeroki, a jednak dość zwinny, z gęstymi jasnymi włosami i parodniowym zarostem, który dodawał mu uroku. Gdy szliśmy razem ulicą, kobiety zatrzymywały na nim wzrok o ułamek sekundy za długo. Nie wiem, czy był tego świadomy, zdawał się nie poświęcać temu uwagi. Był człowiekiem interesu. Potrafił negocjować, nigdy nie zrażał się niepowodzeniem. Jego firma rozwijała się, ale Carl szybko nudził się stagnacją, nawet jeśli oznaczała dobrobyt i bezpieczeństwo. Lubił wyzwania. Imponował mi. Może przemawiał przeze mnie tykający zegar biologiczny, może nagła potrzeba stabilizacji w życiu, które zdawało się przyspieszać z każdym rokiem. Po krótkim czasie od spotkania przy kawie przeszliśmy do kolacji, po drodze zahaczając o kino i muzeum, by w rezultacie wylądować w mojej sypialni. Bardzo typowo i bez fajerwerków. Życie z Carlem miało jednak zapierające dech w piersiach tempo. Nim się spostrzegłam, sprzedaliśmy nasze mieszkania i zainwestowaliśmy w duży nowoczesny dom w luksusowej dzielnicy Sneek. Miałam trzydzieści dwa lata, dobrą posadę, dom, męża, który prowadził własną firmę, i nietrudno się domyślić, że do tej mozaiki sukcesów zawodowych i osobistych brakowało jeszcze tylko jednego. Dziecka.

Nie mogę powiedzieć, że bym przepadała za dziećmi, rozplęwała się na widok niemowląt lub odczuwała cokolwiek, co choćby przypominało instynkt macierzyński. Obserwowałam inne kobiety z ich pociechami z lekkim przerażeniem. Dźwięk szybko bijącego serca w moim łonie, który echem odbijał się od ścian pokoju w klinice położniczej, brzmiał surrealistycznie. Nie potrafiłam połączyć go z wyobrażeniem małej twarzyczki lub drobnych paluszków. Uśmiechałam się, widząc błysk w oczach Carla. Nie dzieliłam się z nim lękami dotyczącymi moich macierzyńskich kompetencji. Miałam wewnętrzne przekonanie, że bycie matką nie mogło być aż tak trudne. Ani aż tak cudowne.

Wtedy urodziła się Evi. Najpiękniejsza i najśłodsza istota na ziemskim globie. Wszystko,

czego nie czułam w moim życiu do tamtej chwili, wybuchło gorącymi emocjami otumaniającego szczęścia i oślepiającej miłości. Jakby tego było mało, Evi okazała się noworodkiem niewiarygodnie łatwym w obsłudze. Wszystkie historie o nieprzespanych nocach, kolkach i ulewaniu, okazały się w naszym przypadku bardzo przesadzone, jeśli nie całkowicie nieprawdziwe. Ze zdziwieniem słuchałam opowieści innych kobiet o ich zmaganiach, a gdy odwracały głowę w moją stronę, szukając zrozumienia dla ich problemów, wzruszałam ramionami. Evi bardzo wcześnie zaczęła przesypiać noce, rzadko płakała, raczej kwiliła. Była źródłem mego nieustannego zachwytu. Stałam się jedną z tym mam, na które patrzyłam kiedyś z lekkim uśmiechem politowania. Nie spuszczałam oka z mojej córki, największego skarbu, jaki posiadałam. Kariera, małżeństwo, życie towarzyskie – wszystko zeszło na drugi plan. Płakałam, gdy po paru miesiącach musiałam wracać do pracy, lecz nawet wówczas Evi, którą ze łzami w oczach oddawałam w ręce pracownicy żłobka, patrzyła na mnie spokojnie i ufnie. Może się wydawać, iż byłam nadopiekuńczą matką, której miłość przyduszała i blokowała, w moim odczuciu jednak wcale tak nie było. Nauczyłam się przełamywać swoje lęki i dawać Evi przestrzeń do rozwoju, do popełnienia błędów, do upadania, by nauczyła się sama podnosić.

Z niemowlęcia wyrosła na słodką, cichą dziewczynkę z jasnymi lekko falującymi włosami i jasnoniebieskimi oczyma. Dziecko jak z obrazka. Jak z reklamy. Spokojne, układne, zadowolone. Nigdy się nie brudziła, sprzątała swoje zabawki, nie rwała rajstopek, nie krzyczała, nie biła, nie kopała, nie gryzła, nie pluła, nie wspinała się na drzewa i nie skakała w kałuże. Nie była lękliwa, jedynie ostrożna. Nie była zbyt poważna, lecz skupiona. Wtedy, lata temu, przyglądałam się mojej pięknej, idealnej Evi pośród tych wszystkich zasmarkanych, brudnych, wrzeszczących dzieci i czułam na sobie zazdrosne i zmęczone spojrzenia innych mam. Byłam dumna. Choć już wtedy wątpy cień niepokoju przysłaniał moje szczęście. Składałam go jednak na karb macierzyńskiej troski. Zaakceptowałam go jako stały i nieodłączny element bycia matką, jako coś nieuchronnego, co odczuwamy wszystkie, gdy nasze dzieci stają się coraz bardziej samodzielne, powoli odsuwają się od nas, wymykając się z naszych ramion.

Wkrótce Evi rozpoczęła szkołę i trafiła do jednej klasy z synem mojej starej koleżanki jeszcze z czasów szkoły średniej. Okazało się, że Silke również wyemigrowała z Leeuwarden, gdzie obie dorastałyśmy. Dostała pracę pielęgniarki na oddziale dziecięcym w szpitalu w Sneek. Jej synek, Toby, był uroczym, rudowłosym chłopcem. Temperamentem przypominał Evi, dlatego nasza dawno zapomniana przyjaźń szybko odrodziła się na rzecz naszych dzieci, które wkrótce stały się nierozłączne.

Evi funkcjonowała w szkole bardzo dobrze, była dzieckiem niesprawiającym kłopotów, typem lubianym przez nauczycieli i niezauważanym przez większość rówieśników. Zdawało się, że radziła sobie świetnie. Jednak podczas gdy jej koleżanki i koledzy entuzjastycznie uczestniczyli w zajęciach pozaszkolnych, ona najchętniej po lekcjach wracała do domu. Nie naciskaliśmy, żeby wybrała hobby, nie wywieraliśmy presji. Evi wydawała się nam szczęśliwym dzieckiem o spokojnym usposobieniu, dzieckiem, które po prostu potrzebowało więcej odpoczynku i czasu na wyciszenie niż inne dzieci.

Żyłam we własnoręcznie zaprojektowanej bajce, jak w bańce mydlanej, na powierzchni której światło pozostawiało tęczyowy ślad. Jednak z tego, jak krucha jest bańka unosząca się w powietrzu, zdajemy sobie sprawę dopiero wtedy, gdy zderza się ona z twardą krawędzią życia. I pryska, pozostawiając po sobie mokrą plamę i smak mydła w ustach.

Tamtego lata, gdy Evi miała jedenaście lat, wyjechaliśmy na wakacje do Hiszpanii. Carl

właśnie rozkręcił nową działalność, firmę komputerową, która pochłaniała niemal cały jego czas i energię. Może powinnam była zauważyć coś wcześniej, przeczuć, podobnie jak przeczuwam nadchodzący deszcz w złamanej kiedyś kości? Mieliśmy za sobą czas pełen stresu i zamieszania. W naszym życiu panował chaos, byliśmy zabiegani, zmęczeni, rozproszeni. Poświęcałam Evi niezbyt wiele uwagi, której zresztą ona sama wcale się nie domagała. Moja zaradna, godna zaufania, samodzielna córka. Czekaliśmy na te wakacje, na oddech, na spokój.

Nasz hotel mieścił się na skalistym klifie, widok z balkonu zapierał dech w piersi. Błękit nieba mieszał się z lazurem morza, promienie słońca rzucały złoty blask na fale marszczące lekko toń. Było bardzo gorąco i godziny około południa spędzaliśmy ukryci w hotelowym apartamencie, gdzie dzięki klimatyzacji panował przyjemny chłód. Właśnie wtedy, odprężona i wypoczęta po tygodniach zawirowań, zaczęłam przyglądać się uważniej mojej córce. Nagle zwróciłam uwagę, że często była zmęczona, próbowała wymigać się od wspólnego zwiedzania, narzekała na upał, choć nie była nigdy typem marudy, jadła mniej i sprawiała wrażenie, jakby nic jej nie smakowało. Pewnego popołudnia siedziałyśmy na plaży z książkami pod kolorowym parasolem. Poprosiłam, żeby podała mi butelkę z wodą, i gdy brałam ją z jej dłoni, poczułam, że ma bardzo zimne palce, mimo temperatury wokół. Evi pochyliła głowę nad książką, nie zwracając uwagi na moją twarz skupioną na niej, na moje ściągnięte brwi i wyraźny już niepokój w oczach. Carl mnie uspokoił. Twierdził, że Evi rośnie i wkrótce wejdzie w okres dojrzewania, więc być może stąd jej nastroje, a ponadto możliwe, że zmiana klimatu nie służyła jej, w końcu nie każdy znosił to dobrze. To było jego wytłumaczenie w odpowiedzi na moje niepokoje. Oboje troszczyliśmy się więc, by nie siedziała w pełnym słońcu, a nasze spacerowanie nie były zbyt długie. Spędziliśmy cudowne wakacje i powrót do rzeczywistości okazał się boleśniejszy, niż przypuszczaliśmy.

Dwa tygodnie po naszym powrocie Evi zdawała się czuć jedynie gorzej. Apetyt nie wrócił jej także w domu, niemal co noc słyszałam, jak wstaje do ubikacji. Często wyglądała na zmęczoną. Kiedy pewnego poranka poskarżyła się, że jest jej dziwnie duszno i ma wrażenie, jakby nie spała, uznaliśmy, iż czas na wizytę u lekarza. Byłam pewna, że Evi nabawiła się jakiejś egzotycznej infekcji albo gorzej przechodzi rozpoczynający się okres dojrzewania. Podejrzywałam nawet, że być może zbliża się jej pierwsza menstruacja.

Na moją prośbę Carl wyrwał się z firmy, żeby dołączyć do nas w poczekalni lekarza domowego. Evi oparła głowę na moim ramieniu. Pamiętam, że zalała mnie fala dziwnego lęku. Ścisnęłam delikatnie jej zimną dłoń. Był to gest, który miał dodać otuchy mnie samej.

Lekarz zadawał Evi podchwytliwe pytania i wyczuwałam po tonie jego głosu, że chciał sprawę zbagatelizować i zrzucić na karb stresu lub stanu lękowego. Miałam ochotę być mu nawet wdzięczna za to ucieszenie mojego niepokojem. Dopiero kiedy przyłożył stetoskop do ciała mojej córki, wyraz jego twarzy się zmienił. Lekki cień napięcia naznaczył jego rysy. Jeszcze tego samego popołudnia udaliśmy się do szpitala na umówioną w trybie natychmiastowym wizytę u kardiologa. Evi została poddana badaniom. Pobrano krew, wykonano USG serca, EKG i zdjęcie RTG klatki piersiowej. Przechodziliśmy z pokoju do pokoju, w ciszy i w napięciu, które rosło. Miałam wrażenie, że korytarzami szpitala ciągnie się za nami jakiś cień, który z każdego kolejnego gabinetu wychodzi potężniejszy. Kiedy w końcu trafiliśmy z powrotem do gabinetu kardiologa, ten w milczeniu przyglądał się wynikom, by wreszcie podnieść na nas wzrok. Nie silił się na uśmiech. My również. To wtedy po raz pierwszy usłyszeliśmy imię naszego wroga. Kardiomiopatia mięśnia sercowego.

Nie wiedzieliśmy jeszcze wtedy, że przyjdzie nam stoczyć z nim walkę na śmierć i życie.

Kardiolog powiedział nam, że kardiomiopatia może rozwijać się bezobjawowo i wielu ludzi choruje na nią, nie wiedząc o tym. Zapewniał, że choroba nie jest wyrokiem i dzięki lekom oraz zmianie stylu życia nasza córka może rozwijać się prawidłowo i, być może, funkcjonować zupełnie normalnie. Nie potrafił jednak dać nam gwarancji.

Evi otrzymała lekarstwa i miała pozostać pod regularną opieką kardiologiczną. Po otrząśnięciu się z pierwszego szoku próbowaliśmy nauczyć się żyć z widmem choroby. Zdobyłam wszelkie możliwe informacje na temat powikłań, leczenia, zagrożeń. Dostosowałam tryb naszego życia do potrzeb Evi, która dzięki lekom wróciła do formy. Musieliśmy jednak stosować się do zaleceń kardiologa. Evi miała ograniczyć intensywne wysiłki fizyczne i unikać stresu. Staraliśmy się, by mimo zmian i świadomości choroby, nasze życie było normalne i nie odbierało Evi możliwości dorastania w poczuciu bezpieczeństwa.

Nie potrafiłam jednak wybaczyć sobie tego, że nie zauważyłam wcześniej oznak choroby, nie przeczułam ich. Uśmiech na mojej twarzy podszyty był wewnętrzną szarpaniną, wyrzutami i strachem dławiącym jak gaz. Nie mogłam oddychać swobodnie, nie mogłam normalnie żyć, wiedząc, że moja córka stoi oko w oko z chorobą, na którą nic nie poradzę. Jak się wkrótce okazało, wróg, z którym przyszło nam się zmierzyć, chciał nie tylko zdrowia naszej córki. Mimo usilnych starań, by go kontrolować, rozprzestrzenił się po naszym życiu jak infekcja.

Dziś nie pamiętam już, kiedy wszystko zaczęło się psuć. Wyrzuty wobec siebie samej zmieniły się w pretensje wobec Carla. Mieliśmy zupełnie inne podejście do choroby Evi. Podczas gdy mnie paraliżował strach, Carl zdawał się radzić sobie z sytuacją. Ufał lekom, lekarzom, sprawiał wrażenie, jakby był przekonany, że wszystko będzie dobrze. Kiedy ja walczyłam o to, by chronić Evi, Carl zdawał się wrócić do normalności szybciej, niż się spodziewałam. Miałam mu za złe, że nie stanął obok mnie w wojnie, którą wypowiedziałam chorobie naszej córki. Najpierw nie całkiem świadomie, potem już celowo zaczęłam wprowadzać w życie zasadę „kto nie jest z nami, jest przeciwko nam”.

– Chantal – zwrócił się do mnie Carl któregoś razu po ostrej wymianie zdań. – Naprawdę rozumiem, że potrzebujesz za to wszystko kogoś obwinąć i ukarać... Naprawdę rozumiem. Tak jest najprościej. Ale nie pozwolę ci obwiniać mnie. To niesprawiedliwe i dobrze o tym wiesz. Wyładuj swoje frustracje na kimś innym. Poszukaj sobie innego wroga.

Wkrótce każda rozmowa kończyła się kłótnią. Więc przestaliśmy rozmawiać. Nim się spostrzeżliśmy, nasza miłość umarła śmiercią mózgową. Funkcjonowanie naszego małżeństwa podtrzymywał przy życiu jedynie skomplikowany układ codziennych rytuałów, rutynowych czynności i wyuczonych na pamięć dialogów: „Wyniosłeś śmieci?”, „O której będzie obiad?”, „Przyszły papiery z urzędy podatkowego”, „Był do ciebie telefon”, „Czy możesz odebrać jutro Evi ze szkoły?”. Rozwód był jedynie formalnością, która zakończyła tę pozbawioną sensu egzystencję. Oboje odetchnęliśmy z ulgą. Sprzedaliśmy dom i każde z nas szybko znalazło sobie nowe miejsce. Nasze stosunki poprawiły się niemalże od razu. Zgodnie dzieliliśmy opiekę nad Evi, która nasze rozstanie przyjęła spokojnie i bez złości. Miała trzynaście lat i myślę, że była na tyle duża, by zauważyć, jak męczyliśmy się ze sobą.

To, co oddaliło mnie od Carla, paradoksalnie zbliżyło mnie do siostr, szczególnie starszej, Charlotte. Po urodzeniu trójki dzieci porzuciła pracę i podjęła się prowadzenia domu. Była pionierką ekologicznego stylu życia w swojej rodzinie, jeszcze zanim stało się to trendem rozpowszechnianym w mediach. To ona zaczęła wspierać mnie w zmianie stylu życia, poprawie

sposobu żywienia Evi, przekonana, że wprowadzenie ekologicznych produktów oraz wyeliminowanie niezdrowego jedzenia i sztucznych kosmetyków z naszego życia może nam pomóc zmniejszyć symptomy choroby. Wspólnie zaczęłyśmy szukać, wtedy nie tak powszechnie dostępnych, produktów, przepisów; wymieniać się informacjami. Carl wzdychał, lecz przyzwalał na to bez słowa.

Po rozwodzie to Charlotte i jej mąż pomogli mi znaleźć apartament i zorganizować przeprowadzkę. W tamtym okresie często bywałyśmy u nich z Evi. Ich dom tętnił życiem, pulsował ruchem, unosił się zapachami. Tam, otulone ferworem ich codziennego życia, mogłyśmy zapomnieć o chorobie, rozwodzie, zmianach. Przyglądałam się mojej siostrze, która w imię tej rodziny zrezygnowała z kariery, z możliwości rozwoju i stała w kuchni, mieszając zupę z jęczącym dzieckiem uczeponym spódnicy, spokojnie i cierpliwie odpowiadając na zaczepne odzywki swojej najstarszej, burzliwie dojrzewającej córki, Britty. Jej spokój i opanowanie w tym chaosie codzienności kołło moje niepokoje, sprawiał, że miałam poczucie przynależności i bezpieczeństwa. I przypominał mi siebie samą. Może dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, co to znaczy być siostrą swojej siostry? I może przez krótką chwilę, obserwując w skupieniu moją własną córkę wciśniętą na sofie między jej chichoczące nieustannie siostry cioteczne, pomyślałam, że decydując się na jedno dziecko, odebrałam jej szansę na coś bardzo niezwykłego. Było jednak za późno. A roztrząsanie podjętych dawno temu decyzji nie miało sensu. Evi była szczęśliwa, przekonywałam samą siebie, i najważniejszym stało się to, by utrzymać ją w dobrym zdrowiu i stabilnej kondycji.

Zamieszkałyśmy z Evi w pięknym, nowocześnie urządzonej mieszkanie na drugim piętrze budynku przy ulicy Leeuwarderkade, niemalże w centrum miasta. Z obszernego balkonu i dużych okien mogłyśmy podziwiać zielony teren przecięty wodami kanału, na którym kołysał się rząd łodzi. Wprowadziłyśmy się w kwietniu. Mieszkanie było pełne słonecznego światła, przytulne i świeże. Dawało poczucie nowego początku, optymizmu i nadziei, które były nam bardzo potrzebne.

Wydawało się, że nasze wysiłki, leczenie i stałe kontrole utrzymują Evi w dobrym stanie zdrowia. Nadal chodziła do szkoły, choć plan lekcji dopasowano do jej możliwości. Miewała dni, gdy była zbyt zmęczona na cokolwiek innego, oraz dni, gdy zdawała się funkcjonować zupełnie normalnie. Nasze życie ustabilizowało się i nabrało zwykłego rytmu. Nic tak nie ucisza niepokoju i lęków, nie tamuje złych przeczuć, jak rutyna dnia codziennego, jednostajny uspokajający ciąg dni, o którym myśliśmy, że nic go nie przerwie.

Sądziłyśmy, że to grypa. Evi czuła się źle, twierdziła, że bołą ją mięśnie, brzuch i głowa. Kiedy późnym popołudniem poskarżyła się na ucisk w klatce piersiowej, niezwłocznie udaliśmy się do szpitala.

Zawał serca. Tak brzmiała diagnoza. Evi miała szesnaście lat. Wykonano u niej zabieg poszerzenia naczyń krwionośnych, by ułatwić sercu pracę i poprawić jego wydajność, która rażąco spadała. Od tamtej pory stan Evi pogarszał się stopniowo. Coraz rzadziej miała siłę, by uczestniczyć w lekcjach, nawet wtedy, kiedy nauczyciele przychodzili do domu. W tamtym okresie pracowałam jedynie dwa dni w tygodniu, by być jak najczęściej z Evi. Miałam wrażenie, że wędnie i wyslizguje mi się z palców, które tak desperacko chcą ją uchwycić, że gaśnie powoli, niepostrzeżenie osuwając się w mrok. Kolejna kontrola u kardiologa dała nam do zrozumienia to, co wiedzieliśmy już od jakiegoś czasu. Serce Evi nie dawało rady. Było potrzebne nowe.

Evi Brouwer

WIĘKSZOŚĆ MOICH RÓWIEŚNICZEK ze słowem *serce* kojarzy miłość, emocje, chłopaków. Serduszka na kartkach pocztowych, roześmiane emotikony z serduszkami zamiast oczu, wyznania na Facebooku, zdjęcia całujących się par na tle zachodu słońca, pluszowe misie trzymające w łapkach olbrzymie czerwone serca z jaskrawym napisem *LOVE*. Przesłodzony symbol uczuć.

Prawda jest jednak brutalna i krwawa. Serce to pompa, zwykły mięsień, zbitka tkanek poprzecznie prążkowanych, kawałek mięsa umieszczony w klatce piersiowej i tłoczący krew w tętnice organizmu dzięki rytmicznym skurczom. Nie ma nic wspólnego z miłością, może jedynie tyle, że reaguje na impulsy z mózgu. Mózg. To tam rodzą się emocje. Ale nikt nie produkuje pluszowych misiów trzymających w łapkach olbrzymi, żółty i pofałdowany organ. Ludzie nie zawsze chcą znać prawdę, a nawet jeśli ją znają, uważają za niedostatecznie ładną i wybierają iluzję. Nawet potrafię to zrozumieć. Tylko mnie nie wolno było poddawać się iluzjom. Nawet tym ładnym.

Moje serce nie funkcjonowało dobrze. Właściwie powinnam powiedzieć: źle. Kardiomiopatia. Długie, skomplikowane słowo. Za dużo sylab. Dziwne, bo zawsze mi się wydawało, że najgorsze choroby mają krótkie nazwy, ostre jak brzytwa, jak jedno mocne uderzenie, które ścina ludzi z nóg. Rak. AIDS.

Na początku nie było tak tragicznie. Wszystko rozwijało się stopniowo, tak powoli, iż stało się nawet naturalne i zupełnie normalne to, że mogłam coraz mniej. Wiem, jak to brzmi. Makabrycznie. A jednak to prawda.

Jak to jest żyć z wyrokiem zbliżającej się śmierci, wiszącej nad głową jak olbrzymia chmura gradowa? Przyzwyczajasz się. W końcu. Tak jak do brzydkiego zapachu. Po jakimś czasie twój nos już go nie czuje.

W końcu przestałam chodzić do szkoły. Za duży wysiłek. Wszystko mnie męczyło. Nauczyciele musieli udzielać mi lekcji w domu. Nie za często i nie za dużo naraz. Czasem odwiedzały mnie szkolne koleżanki. Na początku bardzo mi zazdrościły: uwagi, lekcji w domu, wysypiania się. Szybko zorientowały się jednak, że nie o to chodziło. I przychodziły coraz rzadziej. Byłam przykrym i trochę strasznym przypomnieniem, że nie jesteśmy nieśmiertelni. Żaden nastolatek nie chce, by mu o tym przypominano. Nie za bardzo wiedziały, co ze mną zrobić, jak rozmawiać. Czułam niemalże, że odliczają minuty do końca wizyty. Czasem potrafiły godzinę rozmawiać o jakichś filmowych bohaterach lub gwiazdach muzyki, w których się systematycznie zadurzały. Nigdy nie potrafiłam zrozumieć, jak mogły zakochać się w kimś, kto nigdy nie będzie naprawdę ich. Bywało, że zapalały się jakimś złudnym entuzjazmem i prawie próbowały mnie przekonać, żebym zrobiła coś szalonego, wyszła z domu, przeżyła jakąś przygodę. Widziałam, jak gryzły się w język, żeby nie powiedzieć z bolesnym zapałem: „Zrób to, zanim będzie za późno, zanim umrzesz!”. Kiedyś wymyśliły, że założą mi stronę na Facebooku, żeby zbierać pieniądze i wsparcie oraz, jak to pięknie ujęły, szerzyć wiedzę na temat chorób serca. Kiedy ostro zaprotestowałam, zapytały zrezygnowane, co w takim razie mają zrobić. Odpowiedziałam, żeby wypełniły deklarację dawcy narządów, kiedy skończą osiemnaście lat. Wyraz ich twarzy był bezcenny. To nie tak, że ich nie lubiłam lub celowo chciałam je zszokować. Byłam nimi zmęczona. Wszystkim byłam zmęczona. Wydaje mi się, iż

miały kłopot z zaakceptowaniem faktu, że można umrzeć w taki sposób. Powoli gasnąc, bez fajerwerków, dramatycznych zwrotów akcji, wielkiej miłości rozdzierającej serce. Życie to nie hollywoodzka produkcja.

Niepotrzebne były mi dramaty ani porady szkolnych rówieśniczek, które w natłoku własnych spraw nie potrafiły postawić się w mojej, dość nieciekawej sytuacji. Nie miałam siły na ich entuzjazm i pomysły. Potrzebne mi było nowe serce. Jak się wkrótce okazało, szybciej, niż przypuszczaliśmy.

Nie tęskniłam za koleżankami, które stopniowo odsuwały się, być może zrażone moim nastawieniem. Wiem, co o mnie myślały. Że jestem zarozumiała. Że mi się wydaje, iż znam życie lepiej niż one, ponieważ choruję poważnie. Prawda była jednak inna. Zazdrościłam im. Ich obecność przypominała mi, że tak naprawdę one wiedziały o życiu o wiele więcej niż ja. Głównie dlatego, że je miały.

Może to był powód, dla którego nie odczuwałam boleśnie braku przyjaciółek. Żyły w innym świecie, pełnym możliwości, energii, przygód. Podczas gdy one przeżywały kolejne miłości, organizowały imprezy i zwiedzały różne kraje, ja uczyłam się akceptować fakt, że to wszystko było dla mnie nieosiągalne. Mój świat kurczył się coraz bardziej. Wkrótce pozostali mi jedynie oni: mama, tata, Toby i ciocia Charlotte. To były najważniejsze osoby w moim życiu, z nimi dzieliłam to, co dobre, i to, co złe. To byli moi ludzie, którzy mnie znali, którzy wypełniali mój mały świat po brzegi, rozjaśniali moje dni swoją obecnością, a nie swoimi poradami i pomysłami. Był jeszcze Karol, oczywiście, choć nie wiem, czy można policzyć kota jako osobę.

Na pierwszym miejscu stała zawsze moja mama. Była moją najlepszą przyjaciółką. Ile nastolatek może tak powiedzieć? Znałam ją lepiej niż ktokolwiek inny. Wiedziałam, co lubiła, a co ją drażniło. Uwielbiała kawę, czarną, którą piła rano zamiast śniadania. Ale po południu tylko z mlekiem. Zapach pomarańczy i krem do twarzy marki Bio Plus. Jazdę na łyżwach i dźwięk hiszpańskiej muzyki gitarowej. Szarlotkę i lody waniliowe. Miętową herbatę. Kwiecień, bo wtedy wszystko kwitnie i nabiera kolorów. Czarno-białe zdjęcia. Nie cierpiała skrobienia sztucami o talerze. Owoców morza i pikantnych potraw. Deszczu i zabłoconych butów. Bałaganu w szafie i włosów w odpływie prysznicza.

Ale to wszystko tak naprawdę nie miało znaczenia. Bo to mnie mama lubiła najbardziej na całym świecie, a to, czego szczególnie nie cierpiała, to moja choroba.

Zwykliśmy robić wszystko razem i o wszystkim sobie mówić. Wiedziałam, że mogę jej zaufać, że mogę liczyć na jej pomoc, opinię, spokój i miłość. Kiedy dotyka cię choroba, o której wiesz, że może odebrać ci wszystko, co masz, dorastasz szybciej. Inaczej patrzysz na to, co wartościowe. Doceniasz. Mama zawsze była przy mnie. Cokolwiek działo się w moim życiu, ona wiedziała o tym pierwsza.

Nigdy nie miałam kar, zakazów, nakazów. Wszystko podlegało negocjacji. Nawet gdy jeszcze nie byłam chora i mieszkaliśmy wszyscy razem, dostawałam więcej luzu niż moi rówieśnicy. Może dlatego, że nigdy tej swobody nie nadużywałam. Miałam to szczęście, że mimo rozvodu rodziców nasza rodzina pozostała zgodna. Niewiele pamiętam z czasu przed ich oficjalnym rozstaniem, choć może brzmi to śmiesznie. Nie było wielkich kłótni, nikt nie rzucał talerzami o ścianę. Bywało, że słyszałam intensywną rozmowę, którą urywano, gdy tylko wchodziłam do kuchni. Czasem wyczuwało się wiszące w domu lekkie napięcie, podobnie jak się wyczuwa w powietrzu nadchodzącą burzę. Albo mama wieczorem siedziała sama w pokoju,

wpatrzona w ekran telewizora z wyłączonym dźwiękiem, a na stoliku stała niedopita lampka wina. Wiedziałam, że nie ogląda, że jej oczy nie rejestrują migoczących obrazów, tylko że jej myśli dryfują gdzie indziej. Ale kiedy siadałam obok niej na sofie, by wtulić głowę w jej ciepłe ramię, zawsze miała dla mnie uśmiech, jakby jej własne troski czmychały, gdy tylko się zbliżałam.

Może dlatego, gdy wreszcie powiedzieli mi o rozwodzie, nie czułam nawet zdziwienia. Gdzieś w głębi duszy próbowałam przekonywać samą siebie, że to nie przeze mnie, że to nie dlatego, że jestem chora, że tak będzie lepiej. Znałam inne rodziny, gdzie doszło do rozwodu, i wiedziałam, że to nie koniec świata, a jednak myśl, że to ja zniszczyłam naszą rodzinę – nawet jeśli zrobiłam to nieumyślnie – ciążyła mi i drażniła mnie.

Dużo bardziej od rozwodu bałam się wyprowadzki i związanego z nią zamieszania. Na całe szczęście mieliśmy ciocię Charlotte, w domu której zawsze tak ładnie pachnie, a sofa zavalona jest miękkimi poduszkami. To tam było nasze schronienie przed chaosem spowodowanym zmianami. W domu cioci zwykle panowało zamieszanie, wszyscy tam głośno się śmiali i dyskutowali, na stole zawsze stało przygotowane przez ciocię jedzenie ze świeżych produktów. Tata po kryjomu nazywał ją szaloną hippiską. Wiedziałam, że mówił to z lekką pogardą, ale kiedy przyniosłam mu kawałek ciasta marchewkowego jej roboty, zjadł go prawie z talerzem. Ciocia nigdy nie robiła dramatu z mojej choroby. Kiedy nie miałam siły biegać z dziećmi albo wyjść na spacer, wystawiała mi wygodny fotel do ogrodu i wypychała na zewnątrz. Wciskała mi w rękę ekologiczne jabłko kupione na targu od rolnika i biegła do kuchni pichcić coś innego. Pachniało od niej cynamonem, miodem i bazylią. Przez okno kuchni widziałam jedynie jej twarz, bo parapet zastawiony był donicami pełnymi bujnych ziół. Mama mówiła, że czego by ciocia nie dotknęła, wypuszczało nowe pędy, jakby wstrzyknięto w nie dodatkowy zapas życia. Może liczyła, że ze mną cioci też się to uda.

Wkrótce przeprowadzka dobiegła końca, nasze nowe mieszkanie było gotowe i mogliśmy wrócić do rytmu dnia codziennego. W naszym życiu zapanował spokój i chyba wszyscy przywykliśmy do nowego układu. Tata często nas odwiedzał i co drugi weekend zabierał mnie do siebie, gdzie zamiast sałatek i zup z warzyw z ekologicznej uprawy jadaliśmy frytki i naleśniki z nutellą. Tata lubił mnie rozpieszczać. To był chyba jego sposób na opiekę nade mną. I na radzenie sobie z moją chorobą. Nigdy nie sprawiał takiego wrażenia, jakby brał pod uwagę, że może mi się coś stać. I może to było najfajniejsze w tych naszych weekendach. Poczucie, że nie zawsze muszę walczyć, być ostrożna, że czasem mogę po prostu odpuścić. Bo przecież nic złego nie może mi się stać.

A jednak złe przyszło. Zbliżało się powolnymi krokami i już jakiś czas, zanim stanęliśmy ze sobą twarzą w twarz, czułam jego obecność. Odbierała mi oddech, energię i siłę.

Poza mamą, tatą, ciocią i jej rodziną był jeszcze Toby i Silke, przyjaciółka mojej mamy. Przyjaźniliśmy się od lat i mimo że niewiele miałam do zaoferowania, Toby pozostał lojalnym i wiernym przyjacielem. Przychodził nawet wtedy, gdy nie chciało mi się rozmawiać czy starać. Odrabiał lekcje, grał na telefonie, robił herbatę, wynosił mamie śmieci i zawsze opuszczał deskę klozetową. Toby był jak kot, jego niewymuszona, cicha obecność pocieszała i rozweselała, nie odbierając jednocześnie życiowej przestrzeni. Był zawsze pod ręką, gdy go potrzebowałam, zawsze gotowy pomóc, pogadać, obejrzeć film, wyskoczyć po świeży chleb do ekosklepu.

Mama bardzo go lubiła. Widziałam to po sposobie, w jaki uśmiechała się do niego – nie tylko wargami, ale również oczyma.

Po jakimś czasie zorientowałam się, że zaczął mnie lubić jakby inaczej. Dawał mi to do zrozumienia w dość subtelny, lecz oczywisty sposób. Problem polegał na tym, że ja nie potrafiłam zdecydować, co konkretnie do niego czuję. Zazdrościłam mu nawet trochę tej pewności, której nie miałam. Ciągłe przypominałam sobie podekscytowane głosy koleżanek, które z wypiekami na twarzy opowiadały mi o swoich chłopakach, randkach, flirtach na czacie. Ja zamiast ekscytacji czułam raczej zażenowanie.

Kiedy zwierzyłam się mamie z moich rozterek, popatrzyła na mnie w milczeniu. Pamiętam, że tak dziwnie ściągnęła brwi. Zaraz potem usiadła przy stole, przy którym kroїła warzywa, po czym odsunęła deskę i pogłaskała mnie po dłoni. Więc osiągnęłyśmy kolejny etap i przyszła kolej na niezręczną rozmowę o seksie, pomyślałam. Ale zamiast tego mama opowiedziała mi o swoim pierwszym chłopaku i pierwszym pocałunku. O zażenowaniu i pragnieniach, o tym, że nie zawsze trzeba od razu wiedzieć, co się czuje, i że nie wszyscy zakochują się w ułamku sekundy i co tydzień od nowa. Dzięki niej nie czułam się dziwnie ze swoimi emocjami. Ale przede wszystkim miałam poczucie, że ktoś mnie rozumie.

Dwa miesiące po naszej rozmowie wylądowałam w szpitalu z – jak się okazało – zawałem serca. Doprowadzono mnie do porządku i wykonano zabieg poszerzenia naczyń. Angioplastyka. Kolejne za długie i mało romantyczne słowo. Wszyscy byliśmy przerażeni, choć w zasadzie nie faktem samego zawału, a raczej myślą, że choroba postępuje i moje serce jest coraz słabsze. Nikt nie musiał mi mówić, że nie zostało mi zbyt wiele czasu. Czułam to w mojej klatce piersiowej, w moim pulsie i w oddechu.

Chciałam wiedzieć, jak to jest. To może nie był najlepszy powód, żeby pocałować chłopaka. Ale nigdy nie żałowałam, że tak się stało. Nic się zresztą między nami nie zmieniło i wszystko zostało po staremu, jakbyśmy po prostu dodali do naszej przyjaźni małą dozę przyjemności. Tylko Toby jakby promieniał trochę bardziej. Był zawsze blisko, w dobrych i w trudnych momentach, kiedy choroba dawała o sobie znać. Również wtedy, gdy stała się oficjalnym wyrokiem śmierci.

Pamiętam wizytę u kardiologa, kiedy wreszcie padły te słowa. Wypowiedziane na głos w sterylnie czystym, anonimowym gabinecie. Korytarz, którym szliśmy we troje, wydawał się dłuższy niż zwykle, białe ściany zdawały się ciągnąć bez końca jak labirynt bez wyjścia. W poczekalni było dziwnie duszno. Miałam wrażenie, że ludzie wokół poruszają się w zwolnionym tempie, a mój własny oddech odbija się echem i zagłusza szum rozmów. Byłam już tam, znałam te hole, gabinety, zapamiętałam niektóre twarze. A jednak wszystko zdawało się nowe, wszędzie kryła się groźba. Drzwi otwierały się i zamykały. Za nimi czyhał sędzia w białym fartuchu i wyrok. Wiedziałam, że nie jest ze mną dobrze. Siedziałam między rodzicami. Ich milczenie było jednoznaczne. Oni też wiedzieli. Od czasu zabiegu wcale mi się nie poprawiało. Dokuczala mi bezsenność i uczucie ciężkości w klatce piersiowej, miałam wrażenie, że każdy oddech kosztuje mnie zbyt wiele wysiłku. Kiedy nie mogłam spać, zamartwiałam się. Nie o siebie. Myślałam o mamie. O tym, że jeśli umrę, na pewno się żałamie. Czasem dawałam z siebie wszystko, by ją rozweselić, i mimo zmęczenia wybierałam się na krótki spacer lub zakupy albo próbowałam wytrwać wieczorem do końca filmu, który wspólnie wybrałyśmy.

Kiedy wezwano nas do gabinetu, mama trzymała mnie za rękę. Zwykle tego nie robiła, jakby próbowała mnie przekonać, że nie ma powodu do stresu. A może chciała przekonać siebie? Tym razem nikt jednak nie udawał, nikt nie próbował trzymać fasonu. Tata odchrząkiwał regularnie,

jakby coś tkwiło mu w gardle. Kardiolog przejrzał moje badania w skupieniu, a potem otworzył usta. Transplantacja. Przeszczep. Twarz mojej mamy była blada i napięta, a oczy szkliste i nieruchome. Niemal usłyszałam ten dziwny trzask i pomyślałam, że pękło jej serce i teraz to nie ja, lecz ona będzie potrzebowała nowego.

Chantal Simons

NIE PAMIĘTAM, KIEDY DOKŁADNIE zaczęłam gorzej sypiać i w którym momencie to „gorzej” zmieniło się w poważną bezsenność. Ziołowe herbaty Charlotte przestały pomagać, zajęcia z pilatesu, na które mnie namówiła, nie zrobiły żadnej różnicy. Sen nie przychodził, a ja przestałam na niego czekać. Najczęściej nasłuchiwałam. Słyszałam, jak Evi szła do ubikacji, jak się wierciła w łóżku i zapalała lampkę, jak w kuchni nalewała wodę do szklanki. Nie mogłam tego słyszeć, ale oczyma duszy widziałam Karola, który z uniesionym ogonem lekko drepcze za nią i ociera się o jej chude łydki, gdy staje przy zlewie. Zawsze spał na jej łóżku i podążał za nią po całym domu, mruczając doniośle. Jak traktor, mówiła Evi, wybuchając śmiechem. Teraz śmiała się coraz rzadziej, jakby nawet to ją męczyło. Próbowалам wsłuchiwać się w odgłos jej bosych stóp na posadzce. Parę razy wstałam, by pobyć z nią chwilę w tych ciemnych godzinach, gdy sen do nas nie przychodził, ale gniewała się i wysyłała mnie do łóżka.

– Połóż się spać, mamo, proszę cię. Ty musisz jutro pracować. Ja nie muszę nic.

I nigdy nie wiedziałam, czy w jej słowach była gorzka skarga na los, czy jedynie stwierdzony fakt, argument, by mnie przekonać. Ilekroć więc podrywał mnie impuls, by do niej iść, powstrzymywałam się, zagryzając zęby. Nie chciałam, żeby zauważyła, że czuвам, nie śpię, kontroluję. Wiedziałam, że jeśli będzie czuła się bardzo źle, sama do mnie przyjdzie, że nie powinnam jej osaczać, że wystarczy być blisko. Zmagała się dzielnie, choć wyczuwałam, że choroba osłabia ją z dnia na dzień. Podczas gdy w ciągu dnia zużywałam całą moją energię, by nie sprawiać wrażenia zdruzgotanej, nocą oddawałam się dobrowolnie w ręce rozpacz. To, co zaciskało moją klatkę piersiową jak żelazna obręcz, puszczało, gdy zamykałam drzwi sypialni. Gryzłam palce, próbując nie szlochać. Moja córka miała wystarczająco dużo na głowie, ostatnie, czego potrzebowała, to zamartwianie się moim stanem emocjonalnym.

Pamiętam tę pierwszą noc po wizycie u kardiologa, kiedy Evi oficjalnie trafiła na krajową listę oczekujących na przeszczep serca. Nie spałam całą noc i wiedziałam, że Evi również. Zasnęła dopiero nad ranem. Wślizgnęłam się po cichu do jej pokoju. Kosmyk jasnych, lśniących włosów zsunął się na jej policzek. Oddychała powoli. Jej powieki drgały lekko. O czym śniła? Przez ułamek sekundy chciałam dotknąć jej twarzy lub dłoni, zatopić nos w jej włosach, poczuć znajomy zapach, przygarnąć ją do siebie, móc powiedzieć jej: „Nie pozwolę, by coś złego cię spotkało, nie pozwolę, nie pozwolę...”. Moja drżąca dłoń zawisała nad jej ciałem. Musiałam pozwolić jej spać, dryfować w tym stanie nieświadomości, gdzie niebezpieczeństwa, choroby i ból nie mogły jej dosięgnąć. Wymknęłam się z domu najciszej, jak mogłam. Był chłodny wrześnieowy poranek, jeden z tych, gdy wszystko wygląda jeszcze soczyście, jakby lato odmawiało odejścia, ale wiatr niósł już ze sobą zapach jesieni. Dochodziło wpół do siódmej rano. Wsiadłam na rower i parę minut później stałam przed domem Charlotte. Bramka do

ogródka na tyłach domu była zawsze otwarta. Moja siostra siedziała w fotelu z kubkiem herbaty, bosa stopy podciągnęła pod siebie, a kot leżał zwinięty na jej kolanach. Zastukałam delikatnie w okno tarasowe. Kiedy je otworzyła, chciałam coś powiedzieć, przywitać się, ale jedynym, na co było mnie stać, gdy wreszcie dotarłam do tego przylądka nadziei i pocieszenia, były łzy. Szlochałam jak dziecko przy jej drewnianym stole, z czołem położonym na szorstkim blacie. Nie miałam dokąd pójść, nie mogłam i nie chciałam nikomu pokazać swoich emocji. Ale wszystko, co kłębiło się w mojej maltretowanej strachem i rozpaczą duszy, musiało wreszcie znaleźć ujście. Charlotte siedziała obok mnie z dłonią na moim ramieniu. Nie mówiła nic. Jej dom wciąż jeszcze ogarnięty snem zdawał mi się jakimś nierealnym miejscem na ziemi. Przez kuchenne okno wpadały pierwsze promienie słońca, zapach ziół roznosił się po pokoju. Spokój i obecność mojej siostry były czymś namacalnym, co można chwycić w palce, czym można się otulić. Płakałam tak długo, aż zabrakło mi łez, choć wydawało mi się, że ten moment nigdy nie nadejdzie. Między napadami nieopanowanego szlochu powtarzałam w kółko: „Nie wiem, co mam robić, nie wiem, co mam robić”. Te słowa wyrwane z głębi mojego serca były jak mantra, jak nieutulona modlitwa, nigdy niewysłuchana. Gdy wreszcie podniosłam głowę i rozejrzałam się wokół, zobaczyłam, że poranne życie w domu Charlotte toczyło się swoim rytmem. Jej mąż przygotowywał tosty, najstarsza córka zalewała mieszanki ziołowe wrzątkiem, jej syn, Maks, pakował swój plecak, a z łazienki dochodził szum wody. Nikt nie ingerował w mój wybuch rozpacz, nie próbował tamować, pocieszać. Kiedy zorientowali się, że doszłam do siebie, postawili przede mną talerz z ciepłym tostem, filiżankę aromatycznej kawy i szklankę świeżo wyciśniętego soku z pomarańczy. Britta, moja najstarsza siostrzenica, ucałowała mnie w policzek i uścisnęła bez słowa. Czasem przypominała mi Evi – miała jej długie jasne włosy, zawsze spięte wysoko, smukłe ciało i niezwykle proporcjonalną twarz z pełnymi wargami. Była jedynie dwa lata starsza od Evi. Piękna, mądra, młoda dziewczyna. Zdrowa. Silna. Gotowa na wszystko, co przyniesie życie, na przyszłość, którą miała przed sobą.

Godzinę później opuściłam dom Charlotte. Byłam pusta, wyżłobiona od środka, lekka, pozbawiona wnętrza. Jechałam rowerem, mijając grupki młodzieży, podążającej do szkół. Roześmiani, rozkrzyczani, zdawali się ruszać na podbój świata. Zdarzało mi się, wracając z pracy, zatrzymać gdzieś i przypatrywać się im. Rozsiadali się na ławkach tuż nad wodą. Chłopcy mówili podniesionym głosem, zawsze w ruchu, przypominali trochę kolorowe ptaki w okresie godów. Wypięte klaty, aroganckie odzywki, plucie, puste puszki po piwie rzucone na trawę. Dziewczęta ciągle poprawiały włosy, chichotały i przepychały się lekko, niby oburzone. Przyglądałam się im z zaciekawieniem, zastanawiając się, czy to jest to, co z winy choroby straciła moja córka.

Nocą godziny mijały wolniej. Wszystko zdawało się ciemniejsze, cięższe i głębsze. Zdarzało się, że leżałam nieruchomo wpatrzona w mrok, wciąż od nowa rozpamiętując przeszłość. Czy zrobiłam coś nie tak, że Evi zasłużyła na taką karę? Czy popełniłam jakiś błąd? Minęła mi już faza przerzucania książek, gazet i przeczesywania internetu w poszukiwaniu przyczyn jej choroby, czegoś, na co mogłabym zrzucić winę. W tamtych chwilach winiłam już tylko siebie. Próbowałam odpowiedzieć sobie na pytanie, czy mogłam zrobić cokolwiek, by odmienić los.

Obserwowałam cyfry zmieniające się na wyświetlaczu zegarka. Czasem dobiegały mnie odgłosy miasta – szum aut, brzęk rowerowych kół, głosy, szczekanie psa, bicie dzwonu. Tam, za oknem mojej sypialni, toczyło się życie innych ludzi. Nie mogłam opanować myśli kołatających mi się w głowie, jak ptak, który uwięziony w klatce bije skrzydłami na oślep. Czy gdzieś tam żył

ktoś z mocno bijącym sercem odpowiednim dla mojej córki? Czy nieznajomi, których mijalam co dzień, nie posiadają tego, co może uratować Evi? Kiedy pochylałam się nad moimi pacjentami, przez ułamek sekundy zastęgałam uderzona świadomością, że w każdym ciele bije serce i że jedno z nich jest odpowiednie. Ale było inne pytanie, które męczyło mnie po nocach. Czy potrafiłabym zabić, by to serce zdobyć? A jeśli odpowiedź brzmiała „nie”, czy to czyniło ze mnie złą matkę? Ile jesteśmy w stanie zrobić dla naszych dzieci? Ile ja byłam zdecydowana zrobić dla mojej córki?

Każdej nocy powtarzałam ten sam błagalny psalm, wypraszając u Boga śmierć innej ludzkiej istoty, by ratować życie mojej córki i ją ocalić. Nie odbieraj mi jej. Nie odbieraj mi jej.

Syciłam się każdą chwilą z Evi – wspólnym śniadaniem czy krótkim spacerem, gdy czuła się na siłach, oraz wieczorami na sofie pod jednym kocem. Kojące dźwięki telewizora zabierały nas na parę chwil gdzie indziej. Nie przyznawałam się do tego nawet przed sobą, ale pod powierzchnią mojego optymizmu na pokaz, kryła się ta myśl, że być może zostało nam niewiele czasu. Było we mnie dużo złości na własną bezsilność, na koleje losu, na Boga i na lekarzy. Jeśli udało mi się zasnąć, mój własny niemy krzyk bólu budził mnie w nocy, jakby ktoś wyrwał mi moje dziecko z łona, wyszarpywał je, przemocą rozrywając łączące nas tkanki. Rozdzierająca niezgoda. Ból. Sprzeciw. I w ostateczności rozpacz.

Wiem, jak to wygląda. Jakbym widziała Evi jedynie przez pryzmat jej choroby, która otaczała ją jak aura. Częściowo na pewno tak było. Im słabsze było jej serce, im bardziej ograniczone stawało się jej życie, tym mniej pozostawało z normalności i nie dało się już uniknąć zderzenia z chorobą. Strach o życie mojej córki stał się cieniem, który ją przysłaniał.

Mijały miesiące. Za oknem dzień coraz szybciej zmieniał się w noc, coraz rzadziej widywaliśmy słońce, częściej padał deszcz, a zimny wiatr smagał drzewa, które stawały się z każdym dniem bardziej nagie. Evi przestała wychodzić z domu, a ja porzuciłam próby przekonywania jej, że powinna. Czasem, gdy chłodne promienie słońca padały na nasz balkon, siadywałyśmy tam z Karolem u naszych stóp, by wypić gorącą herbatę. Ale światło w oczach mojej córki gasło nieubłaganie.

Ostatnia wizyta kardiologiczna w grudniu tuż przed świętami uświadomiła nam, jak zły był stan Evi. Chudła, nie spała, nie jadła, męczyła się. Decyzja kardiologa zszokowała nas. Chciał hospitalizować Evi jak najszybciej. Ze względu na okres świąteczny ustalono, że Evi zgłosi się trzeciego stycznia na oddział. Miały zostać podłączone sonda i tlen, żeby poprawić jej kondycję.

Opuściliśmy gabinet w milczeniu i ze świadomością, że to mogła być ostatnia gwiazdka naszej córki. Kiedy Evi zasnęła w domu na sofie, wycieczona wizytą w szpitalu, Carl i ja usiedliśmy naprzeciw siebie przy stole w kuchni. Nie mówiliśmy nic. Zaparzyłam kawę i postawiłam przed nim filiżankę, po którą sięgnął drżącą dłonią. Jego twarz była szara, zmęczona, jakby nagle postarzał się o całe lata. Miał ten sam błysk desperacji i rozpacz w oczach, który znałam tak dobrze z lustrzanego odbicia. Nie żebym w ostatnich latach często patrzyła w lustro. Raczej unikałam widoku tej kobiety, którą się stałam, przerażonej, spiętej, zrozpaczonej. Mogłam ukrywać zmarszczki i niedoskonałości pod warstwą makijażu, ale strach i desperacja były jak zapach czosnku, intensywny, wnikaający do krwiobiegu, do głębi tkanek, niemożliwy do ukrycia.

– Może przyjdę w pierwszy dzień świąt? – zapytał cicho, tak cicho, jak jeszcze nigdy dotąd. Był to prawie szept lub oddech, który przybrał formę słów.

Skinęłam głową. Choinka w rogu pokoju migotała radośnie kolorowymi światełkami.

Powinniśmy byli rozmawiać o prezencie dla naszej córki, o tym, kto ją odbierze z imprezy sylwestrowej, może nawet powinniśmy byli pokłócić się o to, czy pozwolić jej iść. Tymczasem trwaliśmy oboje w ciszy, w której jak duszący zapach kadzideł unosiło się widmo pożegnania. Żadne z nas nie potrafiło opędnąć się od tej woni.

Wychodząc, Carl zatrzymał się w drzwiach i odwrócił do mnie. Widziałam wahanie w jego twarzy sekundę przed tym, gdy otworzył usta.

– Pamiętasz, jak Evi upadła w parku? – Skinęłam głową, choć nie zwrócił na to uwagi. Wiedział, że pamiętałam. – Miała wtedy prawie cztery lata i była najpiękniejszym dzieckiem na świecie. Wsiadła pierwszy raz na rowerek na dwóch kółkach i upadła tak niefortunnie, że zdarła sobie kolana do krwi. Okropnie płakała. Tak rozdzierająco. Pamiętam, że usiadłem na najbliższej ławce, trzymając ją w ramionach i pocieszając. Jej kolana krwawiły i nie pozwoliła ich nawet dotknąć. Kiedy się trochę uspokoiła, zapytałem, czy coś jeszcze ją boli. Jej usta nadal drżały od płaczu. Skinęła głową i położyła rączkę na sercu. W tamtej chwili byłem przekonany, że po prostu się wystraszyła. Ale potem, kiedy zachorowała... Do tej pory zastanawiam się, czy próbowała mi wtedy coś powiedzieć.

Odwrócił się i nim zdążyłam coś powiedzieć, zbiegł schodami. To był pierwszy i jedyny raz, kiedy słyszałam Carla otwarcie mówiącego w ten sposób o swoich uczuciach dotyczących choroby naszej córki.

I tak dotrwaliśmy do ostatniego dnia roku, na zmianę dotrzymując towarzystwa Evi. Tamtego dnia musiałam przejąć dyżur koleżanki, która zachorowała na grype, i do szesnastej pracowałam, by potem w lodowatym deszczu pędzić do domu. Toby, który też uległ rozprzestrzeniającej się epidemii grypi i przeziębień, spędził cały dzień, wymieniając wiadomości z Evi i co jakiś czas dając mi znać, o czym rozmawiają albo jak czuje się Evi. Jego opiekuńczość względem niej, lojalność i nieustępliwość rozczulały mnie. Powtarzałam Silke, ilekroć się widywaaliśmy, że jej syn to skarb.

Dłonie prawie przymarzły mi do kierownicy roweru, bo w pośpiechu zapomniałam rękawiczek. Krople deszczu były jak maleńkie brzytwy z lodu, które zadawały mi ból. Musiałam zatrzymać się pod drzewem naprzeciwko wideoteki, ponieważ zakupy, które robiłam, próbując przeciskać się między tłokiem w sklepie, zaczęły zsuwać się z ramy. Dopiero wtedy zauważyłam szyld pizzerii, na którą nigdy wcześniej nie zwróciłam uwagi. Oparłam rower o drzewo i pocierając sztywne od chłodu dłonie, ruszyłam w stronę ciemnozielonych drzwi, nad którymi napis głosił: *Pizzeria Venezia*. Chciałam sprawić Evi przyjemność i pomyślałam, że zapach pizzy podrażni jej łaknienie. Sięgnęłam dłonią w stronę okrągłej klamki, ale w tym momencie drzwi otworzyły się z rozmachem i z wąskiego korytarzyka wprost na mnie wypadła roześmiana para młodych ludzi. Prawie się zderzyliśmy, odsunęłam się w ostatniej chwili. Z wnętrza buchnął zapach ziół, sosu pomidorowego i topionego sera. Mój żołądek się skurczył. Chłopak i dziewczyna nie zwrócili na mnie najmniejszej uwagi. Zamiast wejść do środka, patrzyłam, jak odchodzą. On, ciemnowłosy i wysoki, trzymał w dłoni przezroczystą plastikową torbę z tekturowymi pudełkami od pizzy, drugą rękę zaś zarzucił luźno wokół ramion młodej kobiety, prawie jakby chciał się na niej wesprzeć. Dziewczyna miała lśniąco brązowe włosy do ramion, rozpięty płaszcz, spod którego wiatr unosił pomarańczowy szal. Mogła być odrobinę starsza od Evi, a może jedynie tak wyglądała. Było coś niezwykłego w sposobie jej poruszania się, w jej niewymuszonym spontanicznym śmiechu, w tym, jak swobodnie odrzucała głowę do tyłu, aż włosy rozsypywały się wokół jej ramion, a krople deszczu spadały na zaróżowione policzki. Nie

mogłam oderwać od niej wzroku, choć patrzenie na nią sprawiało mi dziwny ból. Przypominało mi, że moja własna piękna, młoda córka obarczona była zbyt ciężkim brzemieniem, by bawić się w tę niezwykłą noc. Miała zostać w domu, zbyt słaba, by robić to, co jej rówieśnicy. Moje oczy wodziły za dziewczyną. Z jej postury tryskały beztraska i młodość. Niezłomna pewność, że los jej sprzyjał. Sprawiała wrażenie kogoś, kto przyciąga uwagę całego świata, jednocześnie zupełnie na ten świat nie zważając. Kiedy szła ulicą, wszystko inne zdawało się blednąć w jej blasku. Odprowadziłam ich wzrokiem aż do auta, do którego wsiedli, wciąż jeszcze żywo wymieniając między sobą uwagi. Nie słyszałam jej głosu, ponieważ zagłuszał go szum ulicy.

Kiedy parę godzin później siedziałam na sofie, jej sylwetka wciąż jeszcze migąła mi przed oczyma. Evi spała skulona pod kocem obok mnie, chłodne stopy wsunęła pod moje udo. Na stoliku nadal leżało tekturowe pudełko z ledwo napoczętą pizzą. Ekran telewizora migotał obrazami bez dźwięku. Nie oglądałam nic. Patrzyłam na moją córkę, na jej jasne długie kosmyki, gładką, bladą cerę, podkrążone oczy i lekko wydęte wargi. Odziedziczyła po mnie blond włosy, ale ciemne, gęste rzęsy, które podkreślały jej oczy, miała po Carlu, podobnie jak wzrost i piękny owal twarzy. Sięgnęłam po album ze starymi zdjęciami, który wyciągnęłam z szafki tego wieczoru. Zapach wspomnień przyprawił moje serce o gwałtowny, bolesny skurcz. Przewracałam strony w skupieniu, powoli omiatając wzrokiem każdą fotografię. Mała Evi z pełnymi policzkami i ustami porcelanowej lalki, jasnymi lokami opadającymi na opalone ramionka. Jej włosy były wtedy niemal białe, rozjaśnione słońcem. Patrzyła prosto w obiektyw aparatu tym skupionym spojrzeniem, jakby wiedziała o życiu więcej, niż potrafiła powiedzieć. Czy mogła przeczuwać już wtedy, że będzie krótsze? Pełnia lata, beztraskie, ciepłe dni, jej podszyta tiulem sukieneczka zakupiona w najlepszym i najdroższym sklepie w Leeuwarden, buciki z błękitnymi kokardkami. Jej małe rączki w naszych dłoniach. Carl i ja, młodsi, lżejsi o ciężar trudnych doświadczeń, rozczarowań, strachu, uśmiechnięci. Wyglądaliśmy jak książkę Willem Alexander i księżna Maxima z małą księżniczką Amalią. Piękni, eleganccy, pewni swego losu. Poglądziłam opuszką palca fotografię, twarz mojej córki. Jakże pragnęłam usłyszeć jej śmiech, lekki, wolny od brzemienia, które nosiła. Gdybym mogła cofnąć czas, co zrobiłabym inaczej? Czy byłabym w stanie zmienić nasze przeznaczenie?

Co jakiś czas z zewnątrz dobiegały pojedyncze trzaski fajerwerków, choć zegar wskazywał dopiero dwudziestą pierwszą. Karol mruczał wtulony w Evi. Poglaskałam jego miękkie łebek. Zmrużył oczy i poddał się pieszczocie. Nie odstępował Evi ani na krok jak cień, szczególnie odkąd większość swego czasu spędzała w domu. Wzięłyśmy go ze schroniska, choć zupełnie tego nie planowałam. Trafiliśmy tam przypadkiem w trakcie wycieczki rowerowej wokół miasta, trzy lata temu. Evi zaciągnęła mnie do środka. Tylko popatrzemy, obiecała. Ale kiedy uprzejma pracowniczka schroniska włożyła jej w ręce maleńkie futrzane stworzonko z oczyma jak koraliki, wiedziałam, że nie skończy się na patrzeniu. Twarz Evi pojaśniała, policzki zarumieniły się, oczy błyszczały niewypowiedzianym błaganiem. Jako dziecko nigdy nie miałam psa, kota ani nawet chomika. Nie odczuwałam zresztą najmniejszej potrzeby kontaktu ze zwierzętami. Nie mogłam sobie również wyobrazić, że miałabym opiekować się kimkolwiek innym poza Evi. Byłam przekonana, że go zagłodzę lub zdepczę przez przypadek.

Opuściłyśmy schronisko tylko po to, by wrócić do niego dwa dni później wyposażone w specjalny pojemnik do przewozu zwierząt. Nie mogłam uwierzyć, że dałam się przekonać, ale szczęście Evi w tamtej chwili, gdy dumnie niosła swojego nowego przyjaciela, było bezcenne.

I nigdy nie żałowałam tamtej decyzji. Koralek szybko wyrósł na Karola i towarzyszył mojej córce w każdej chwili, osładzając jej godziny samotności i trudy walki z postępującą chorobą. Choć zwykle bał się obcych, z nami był bardzo związany.

Evi sama miała kocią naturę, zawsze ostrożna, w pierwszym kontakcie nieufna, cicha i niezależna. Nie lubiła moknąć, nie znosiła hałasu i zamieszania. Choć patrząc na moją śpiącą córkę, bezwiednie zaczęłam się zastanawiać, na ile to była autentyczna Evi, a na ile jej choroba.

Przez parę minut zmieniałam kanały, szukając czegokolwiek, co oderwałoby moje myśli od wspomnień. Zleciały się jak sępy, by pastwić się nad bezbronną ofiarą. Zaczęłam nawet żałować, że kazałam Carlowi nie przychodzić. Nie chciałam, żeby Evi widziała, jak się martwimy. Nie darowałabym sobie, gdyby mogła odczytać z naszych napiętych twarzy strach przed nadchodzącymi dniami. Wizja jej pobytu w szpitalu, pustego domu ścisła mnie boleśnie w sercu. Ekran telewizora zdawał się eksplodować szczęściem, widokiem radosnych ludzi, obietnicami i życzeniami. Miałam ochotę rzucić w niego pilotem. Strach przed tym nowym rokiem dławił mnie i paraliżował. Spojrzałam na śpiącą spokojnie i odprężoną Evi. Z powodu choroby Toby'ego spędzałyśmy tę noc we dwie. Nie musiałam mówić mu, że nie wolno mu przyjść i narażać Evi. Najważniejsze to jak najdłużej utrzymać ją w stabilnym stanie. Każda infekcja mogła mieć fatalne skutki dla jej już i tak bardzo słabego serca.

Kiedy wreszcie stałyśmy na balkonie, zawieszony nad ziemią, obserwując jak ciemne niebo wybucha feerią świateł i kolorów, tryska diamentowymi gwiazdami, migocze i drga, otoczyłam moją córkę ramionami. Przez grubą kurtkę, którą była otulona, czułam jej słabe, zmęczone ciało, przylegające do mojego, szukające wsparcia. Nagle przed oczyma znów zobaczyłam postać roześmianej dziewczyny z pizzerii, jej lekkie i swobodne kroki, posturę, z której niemalże bił blask młodości i zdrowia. To moja córka powinna być na jej miejscu. To powinna być Evi, tam w tym uśmiechu, w tej beztrójce i pewności siebie. To właśnie powinna robić, zamiast stać na tym balkonie, żegnając stary rok, żegnając gasnące w niej życie. Łzy buntu zapiekły mnie pod powiekami. Czułam znajomy zapach jej włosów. Jej zimne palce delikatnie, pocieszająco pogładziły moją dłoń, jakby potrafiła odczytać moje myśli. W blasku fajerwerków widziałam, że jej profil pozostał poważny, oczy miała utkwione w spektaklu sztucznych ogni. Ponad ich hukiem słyszałam wyraźnie wycie syren ambulansu, echo niosło ten dźwięk ponad miastem. Moje myśli automatycznie zmieniły bieg. Podniosłam twarz ku niebu. I po raz kolejny wyszeptalam bezgłośnie mój błagalny psalm: „Spraw, by ktoś zginął”.

Evi Brouwer

KIEDY BYŁAM MAŁĄ DZIEWCZYNKĄ, mama zawsze czytała mi przed snem. Robiła to nawet wtedy, gdy potrafiłam już sama czytać. Lubiłam słuchać brzmienia jej głosu. W kółko i do znudzenia prosiłam o czytanie tej samej bajki o śpiącej królewnie. Im byłam starsza, tym bardziej fascynowały mnie szczegóły tej opowieści. Czy można otrzymać pewne cechy osobowości jako prezent, tak jak wróżki podarowały małej królewnie urodę, mądrość, grację i talenty? Czy rodzimy się już gotowi, wyposażeni w cechy konieczne nam do życia, czy jednak zdobywamy je, dorastając? Czy można wszczepić komuś charakter, jak nowy organ? I czy

zawsze zostaje on zaakceptowany bez protestu? Dlaczego ciągnie nas do tego, co nieznanego i fascynującego? Nieszczęsne wrzeciono. Czy zawsze płacimy gorzko za naszą ciekawość? W każdej dowolnej chwili potrafiłam przywołać w pamięci głos mamy, słowa czytane rytmicznie, miękko, spływające powoli do mojego wnętrza jak delikatny balsam. Jakby to było, gdybym mogła zasnąć na sto lat i przeczekać najgorsze, dotrzeć do szczęśliwego zakończenia, oszczędziwszy sobie trudów i znojów? Gdyby tak można było obudzić się w sam raz na *happy end*, by przekonać się, że nic się nie zmieniło, ludzie, których kochamy, nie postarzeliby się i nie opuścili nas? Gdybym tak mogła zasnąć, zamiast umrzeć?

Wielka szkoda, że wyrosłam z wiary w bajki, że ceną za dorastanie jest świadomość sytuacji. Łatwiej byłoby znieść wszystko pogrążonemu w przyjemnej śpiączce.

Czekanie na przeszczep serca to tak naprawdę czekanie na czyjąś śmierć. Ta świadomość nigdy mnie nie opuszczała. Wiedziałam, że abym mogła żyć, musiał umrzeć ktoś inny. Nie jestem głupia, przeszukałam internet. Miałam świadomość tego, jakie są warunki przeszczepu i jakie serce jest mi potrzebne. Młode. Kiedy nie mogłam spać, rozmyślałam o tym często, o życiu, śmierci, wypadkach. Czy to sprawiedliwe i dobre, że pragnę żyć za cenę czyjejś śmierci? Jak wygląda życie po transplantacji? Życie z myślą, że ktoś umarł, a ja żyję? Czy odczuwa się wyrzuty sumienia? Czy tylko radość?

Pragnienie życia i strach przed śmiercią w końcu zdominowało zmęczenie, które uniemożliwiało mi normalne funkcjonowanie. Byłam wycieńczona brakiem snu, brakiem apetytu i złym samopoczuciem. Na początku tej fazy próbowałam zmusić się do czegokolwiek, w końcu jednak się poddałam. Kiedy kardiolog zdecydował o pobyciu w szpitalu, byłam mu niemalże wdzięczna, choć kątem oka rejestrowałam reakcje rodziców. Wiedziałam, że mój czas się zbliża. Pakując torbę do szpitala, rozglądałam się po pokoju. Karol, mruczając, dreptał po złożonych w kostkę ubraniach ułożonych na łóżku. Obok leżała książka, którą dostałam od Toby'ego i mój ulubiony różowy miś, mały woreczek z organtyny z suszonymi aromatycznymi ziołami od cioci Charlotte i tabletki kupione mi przez tatę. Poczułam nagle przenikliwy skurcz żalu, który przeszył mnie na wskroś. Pod powiekami zapiekły łzy. Nie chciałam odchodzić. Nie chciałam umrzeć w obcym szpitalu daleko od mamy, wyrwana z miejsca, które było mi bliskie. Przez łzy próbowałam układać rzeczy w torbie stojącej na ziemi. Byłam na siebie zła. Nie na chorobę, nie na niesprawiedliwość losu ani nawet nie na bezsilność lekarzy, którzy nie mogli mnie naprawić. Byłam zła na siebie, że nie potrafiłam wziąć się w garść.

Telefon zadzwonił trzeciego stycznia o siódmej pięćdziesiąt pięć rano. Pamiętam dokładnie, bo nie spałam już od szóstej. O trzynastej mieliśmy stawić się w szpitalu. Leżałam bez ruchu, wpatrując się w mrok panujący w pokoju. Próbowałam zapamiętać zapachy, dźwięki i inne kojące drobiazgi, z których zbudowane było moje poczucie bezpieczeństwa. Odgłos kroków mamy za drzwiami, brzęk szklanek, które wyjmowała w kuchni ze zmywarki, zapach świeżo parzonej kawy rozchodzący się po domu wcześniej rano. Dotyk miękkiego futerka pod moją dłońią i delikatne wibracje drobnego kociego ciała.

Ten ciąg znajomych bodźców przerwał brutalny i donośny dźwięk telefonu. Wsłuchiwałam się w głos mamy, pełna nadziei, że może przesunięto moją hospitalizację. Nie mogłam rozróżnić słów. Ale dobiegł mnie wyraźnie dziwny odgłos, jakby krótki wyrwany z głębi ciała spazm szloch. A potem cisza i urywane pojedyncze słowa, przytakujące i zdecydowane. Uniosłam się lekko na łokciach. Karol otworzył oczy i popatrzył na mnie zaniepokojony. Wpatrywałam się w drzwi, ale jeszcze przez długą chwilę panowała za nimi cisza. Kiedy wreszcie mama zastukała

delikatnie, zawsze pukała nim weszła, siedziałam już z bosymi stopami na zimnym parkiecie i Karolem ocierającym się o moje łydki.

– Evi?

Nie musiała nic mówić. Zobaczyłam to w jej twarzy. Jej wargi drżały w dziwnym uśmiechu, a oczy miała czerwone od powstrzymywanych łez. Kiedy na siebie spojrzaliśmy, nie mogła wydusić nic więcej. Zakryła usta dłonią i pokiwała głową. Zacisnęłam dłonie na brzegu łóżka. Karol skoczył na zapakowaną torbę, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że czas ruszać, że jestem gotowa. Byłam.

W pośpiechu zadzwoniłam do Toby'ego, jego zaspany głos sprawił, że poczułam nagłe ciepło. Szkoła była zamknięta z powodu nieustającej gołoledzi panującej od sylwestrowej nocy. Ogłoszono nawet kod czerwony. Dzień wcześniej jakieś auto ześlizgnęło się tak po prostu z chodnika wprost do lodowatej wody kanału. Wszyscy mówili tylko o ślizgawicy, zamkniętych szkołach, sklepach i wypadkach. Od czasu do czasu kropił dreszcz, w nocy temperatura spadała i wszystko zamarzało od nowa.

– Toby, obudziłeś się już? – Uśmiechnęłam się do słuchawki.

Mama zabrała zapakowaną torbę i po cichu zamknęła za sobą drzwi. Z kuchni dobiegał głos taty, który, mimo niesprzyjających warunków, dojechał do nas od razu. Słyszałam, jak dyskutują o tym, kto będzie prowadził auto.

– Evi? Co się dzieje? Coś się stało?

– Tak! To znaczy nie. Jedziemy do szpitala.

– Wiem... – odpowiedział. Usłyszałam, że ziewa.

– Dopiero o trzynastej, tak?

– Nie... Toby, jedziemy do szpitala w Groningen. Teraz. Jest serce.

W słuchawce zapanowała chwilowa cisza. Miałam wrażenie, że przestał oddychać.

– Już do was jadę – wypalił. Jego głos był nagle pobudzony i przytomny.

– Nie, nie przyjeżdżaj, jest ślisko, a my musimy od razu wyjechać. Ale chciałam zadzwonić, zanim... – nie mogłam dokończyć.

– Evi, przecież to... – Jemu też brakowało słów.

– Wiem, wiem! – przyznałam entuzjastycznie i zaraz potem zamilkłam na sekundę.

– Toby... jeśli umrę...

– Nie chcę tego słuchać – przerwał mi ostro. – Nawet tak nie mów!

– Jeśli umrę – zaczęłam od nowa. – To wrócę jako duch, żeby straszyć panią od matematyki.

Zaśmiał się nerwowo, a dźwięk jego śmiechu sprawił mi przyjemność.

– Nie umrzesz. Teraz wszystko będzie już dobrze, słyszysz?

– Tak – odpowiedziałam krótko, bo nagle poczułam dziwny ścisk w gardle i piekące pod powiekami łzy. Wszystko miało być dobrze.

Chantal Simons

KIEDY MOJE OCZY PO RAZ PIERWSZY UJRZAŁY EVI, jej obraz wdrukował się we mnie na zawsze. Jej głos i zapach wniknął w moje połączenia nerwowe. Małe, ciepłe, jeszcze wilgotne ciało, którego niemal niewyczuwalny ciężar spoczął w moich ramionach. Nie płakała. Kwiliła cichutko. Ja też. Po niemal trzydziestu godzinach wyczerpującego porodu nagle odzyskałam siły, jakby ktoś wstrzyknął mi nowy zapas energii. Evi otworzyła powoli oczy, którymi zaczęła wodzić po otoczeniu, aż do momentu, gdy jej wzrok padł na moją twarz. Pamiętam, że coś do niej mówiłam, choć nie wiem co. Zastygła, ale jej małe wargi poruszały się, jakby próbowała coś powiedzieć. Wtedy wiedziałam. Ona była miłością mojego życia, jego sensem. Byłam gotowa zrobić wszystko, co w mojej mocy, by ją chronić. Jeszcze nie wiedziałam, że to nie wystarczy.

Tak długo, jak długo nosisz dziecko pod sercem, jest ono integralną częścią ciebie. Cokolwiek robisz – jesz, pijesz, wdychasz, przeżywasz – dzielisz to z tą małą istotą, bezpiecznie umieszczoną w błonach twojego ciała. Nim się spostrzeżesz, wszystko się zmienia. Twój organizm odrzuca dziecko, odmawia dalszego karmienia go i noszenia, wypluwa z siebie, zmusza cię, byś je uwolniła, byś je skazała na zimno, głód, strach. Nieważne, jak desperacko będziesz próbowała zamknąć je w swoich ramionach i ochronić, będziesz musiała je wypuścić. Macierzyństwo to akt niezwyklej odwagi. Patrzysz, jak część ciebie zaczyna funkcjonować samodzielnie i nie masz już nad nią kontroli.

Evi wyszła z mojego łona. Jednak zawsze miałam poczucie, że tak naprawdę nigdy nie odłączyła się całkowicie od mojego ciała, jakbyśmy były zrośnięte jakimś niewidzialnym fragmentem tkanek. A może jedynie pragnęłam tak myśleć, wierzyć w to, by ocalić siebie od świadomości jej utraty.

Carl prowadził auto. Byłam mu za to wdzięczna, bo moje dłonie drżały i miałam wrażenie, że nie panuję nad żadną częścią ciała. Było ślisko. Droga do Groningen zajęła nam dwa razy więcej czasu niż przy normalnych warunkach atmosferycznych. Z jednego korka wpadaliśmy w drugi. W milczeniu mijaliśmy kolejne auta stojące na poboczu po kolizji. Kiedy dało się jechać, nie mogliśmy rozwinąć prędkości, ponieważ było zbyt ślisko. Od czasu do czasu Carl włączał radio, by zaraz potem wyłączyć je poirytowany. Czasem rzucał jakimś żartem i widziałam, że starał się rozładować napiętą atmosferę. Oboje zerkaliśmy w lusterko na siedzącą z tyłu Evi. Obserwowała obrazy przesuwające się wolno za oknem. Chwilę przed tym, jak odjechaliśmy, Toby nadjechał rowerem, chwiejąc się na oblodzonej powierzchni. Miał na sobie grubą kurtkę i spodnie od piżamy. Wiedział, że nie powinien podchodzić, i jedynie z daleka pomachał do Evi, która uniosła dłoń w jego kierunku. Toby uśmiechnął się szeroko i zrobił kilka śmiesznych min. Usłyszałam, jak Evi śmieje się cicho, i moje serce wypełniło przyjemne ciepło. Nie chciałam, żeby stała na zimnie, ale nie miałam serca przerywać im tego pożegnania. W głębi duszy żywiłam nadzieję, że było to tak naprawdę jedynie wstępem do nowej przyszłości.

Byłam świadoma, że zanim serce zostanie oficjalnie przyznane mojej córce, muszą zostać wykonane kolejne badania. A potem czekanie na wynik. Uniwersyteckie Centrum Medyczne w Groningen okazało się potężnym, nowoczesnym budynkiem, w którego licznych korytarzach musieliśmy się odnaleźć. Wpadliśmy w kołowrotek całego procesu. Z jednego gabinetu przechodziliśmy do kolejnego, przemierzając hole pomalowane na pastelowe kolory, mijając recepcje, poczekalnie, windy i schody. Wypełnialiśmy formularze, potwierdzaliśmy dane medyczne Evi, którą w tym czasie zmierzono, zważono, zbadano oraz której pobrano krew. Ponieważ była w kiepskiej kondycji, istniało ryzyko, że zostanie odrzucona i serce trafi do kogoś innego. Po paru godzinach wezwano nas na rozmowę z lekarzem koordynującym transplantację.

Parametry Evi były zgodne z dawcą, próby z przeciwciałami dawcy i biorcy wypadły pozytywnie i mimo osłabienia Evi kardiolog chciał podjąć się przeszczepu ze względu na bardzo zbieżne wyniki, które dawały duże szanse, że nowy organ zostanie przyjęty przez organizm.

Kiedy podpisaliśmy oficjalną zgodę na operację, poczułam, że nogi ugięły się pode mną. Zostawiłam Carla i Evi na sterylnie białym korytarzu i udałam się do łazienki, gdzie oparłam gorące czoło o chłodne kafelki, pachnące płynem do dezynfekcji. Próbowalam odzyskać kontrolę nad własnym ciałem, podporządkować oddech mojej własnej woli, zatrzymać szum w uszach.

O szesnastej zabrano Evi ze szpitalnego pokoju, który wskazano nam po podpisaniu formularzy i gdzie oczekiwaliśmy w napięciu na dalszy rozwój wypadków. Evi leżała na łóżku, Carl z dłońmi w kieszeniach spodni stał przy oknie. Ja gryzłam własne palce.

Kiedy wreszcie nasza córka zniknęła za drzwiami prowadzącymi do sali operacyjnej, zajęliśmy miejsca w poczekalni, której plastikowe, twarde krzesła miały być naszym wsparciem przez kolejne godziny. Mój telefon na blacie niewielkiego stolika migał co jakiś czas, dając znać o nowych wiadomościach i nieodebranych połączeniach. Nie miałam siły po niego sięgnąć, zmierzyć się z pytaniami, niepokojem i troską innych.

Minuty rozciągały się do granic możliwości, jakby każda miała w końcu pęknąć na tysiąc sekund zamiast na sześćdziesiąt. Siedzieliśmy blisko siebie, stykając się ramionami, jakbyśmy chcieli wesprzeć się na sobie nawzajem. Słyszałam oddech Carla, cięższy niż zwykle i pełen wstrzymywanego napięcia. Od czasu do czasu sięgał po telefon i przeglądał jakieś strony, którym nie umiałam poświęcić uwagi. Podnosił wzrok i obdarzał mnie pocieszającym uśmiechem, któremu nie wierzyłam za grosz. Wiedziałam, że maskuje nim własne zdenerwowanie i lęk. Znałam go na tyle dobrze. Rozpoznałam to po sposobie, w jaki wypuszczał powietrze z płuc – powoli, z pełną kontrolą. Objął mnie mocno ramieniem i przycisnął do siebie. Byłam wdzięczna za ten gest pełen troski. Zdawałam sobie sprawę, że przypadkowy obserwator uznałby nas za zgodne, wspierające się małżeństwo. Jedenaście sekund, podobno tyle trwa pierwsze wrażenie. Bardzo mylne w naszym przypadku. Parę chwil, w czasie których nie widać zniszczeń wyrządzonych nam przez niesprawiedliwy los, ran zadanych sobie nawzajem i gorzkiej prawdy, że nie potrafiliśmy być już szczęśliwi ani ze sobą, ani bez siebie. Choroba zniszczyła o wiele więcej niż jedynie zdrowie naszej córki. Odebrała nam szansę na szczęście, a może... odebraliśmy ją sobie sami.

Myśli jedna za drugą galopowały przez moją głowę. Oczyma duszy widziałam dłonie odziane w sterylne chirurgiczne rękawiczki, ujmujące tętniące jeszcze serce mojej córki. Niedoskonały, słaby, chory organ. Organ, który skonstruowało moje ciało, nieumiejętnie, z błędem. Z ciała Evi usuwano serce, które ja jej dałam, ale ona miała na zawsze pozostać moim sercem. Odruchowo położyłam dłoń nieco ponad piersią i pod palcami poczułam rytm krwi pulsującej w moim ciele. Zalała mnie fala goryczy i rozżalenia, której próbowałam się oprzeć, by zachować resztki przytomności umysłu. Staralam się skupić na czymś innym, myśleć o Karolu, którego zostawiliśmy, nie nakarmiwszy go uprzednio, o telefonach, które powinnam wykonać. Ale myśl o mojej córce, leżącej na stole operacyjnym z klatką piersiową otwartą na oścież, z pustą wnęką w miejscu, gdzie powinno tętnić serce, była jak dźwięk gongu, którego brzmienie słychać jeszcze długo po odłożeniu pałki. Czy organizm Evi był w stanie znieść trud wielogodzinnego zabiegu? Czy serce się przyjmie? Czy będą komplikacje? Nawet przez sekundę nie pomyślałam jednak o tym drugim ciele leżącym na stole operacyjnym. W mojej zmęczonej,

ogarniętej strachem i nadzieją głowie to ciało nie było osobą, a jedynie nośnikiem organu, który miał ocalić moje dziecko. Więc nie poświęciłam mu ani chwili uwagi, ani jednej najmniejszej myśli.

Kiedy paręnaście godzin później gładziłam dłoń wciąż jeszcze śpiącej Evi, zdałam sobie nagle sprawę, że wszystko miało się dla nas zmienić na lepsze.

Wydawało mi się, że właśnie wtedy nadeszło dobre zakończenie, że zmagania dobiegły końca, że nigdy już nie miałam stracić mojej Evi. Lecz tam, gdzie historia powinna się zakończyć pełnią szczęścia, ona ledwie się rozpoczynała. A strata, której tak się niegdyś obawiałam, miała wkrótce nastąpić i mieć zupełnie inny wymiar.

Finn Velde

ILEKROĆ PRÓBUJĘ PRZYWOŁAĆ W PAMIĘCI jakieś detale otoczenia, kolor ścian, pościeli, kształt krzesel czy stołu, doznaję wrażenia, że wszystko, co wtedy mnie otaczało, było płynne i wibrowało nieustannie. We wspomnieniach nie potrafię nadać niczemu konkretnej formy ani barwy. Mój wzrok zdawał się rejestrować obrazy, nie wyostrzając ich. A może moja pamięć blokowała to, co widziały oczy?

Mdliło mnie okropnie, nawet po tym, jak chwiejnym krokiem opuściłem gabinet ostrego dyżuru, by zająć miejsce w poczekalni. Podłoga zdawała się być sypkim piaskiem, na którym moje stopy nie potrafiły odnaleźć wsparcia, by stanąć stabilnie. Pytałem ich, naprawdę. Ale kręcili głowami. Jest w dobrych rękach, powtarzali. Robimy, co w naszej mocy, mówili.

Nie mogłem na niczym skupić myśli ani opanować dziwnego drżenia, jakby wszystkie części mojego ciała jedynie się stykały, szukając ze sobą jakiegoś połączenia. Może naprawdę rozpadałem się na kawałki jak spalone drewno.

Przez mgłę odurzających emocji i alkoholowego rauszu słyszałem kroki, dźwięk dzwonka telefonu i głosy ludzi, niektóre blisko, inne daleko jak echo. I mój własny oddech, nierówny i drżący.

– Finn? – Głos mamy dochodzący z oddali, lecz wyraźny, wyrwał mnie z odurzenia. Podniosłem wzrok i zobaczyłem ją. Prawie biegła, jej obcasy uderzały miarowo o błyszczącą posadzkę. Na jej twarzy odmalowywała się mieszanka zgrozy i strachu. Wypuściłem powietrze z płuc, próbując jednocześnie opanować wzbierające mdłości. Nie starałem się nawet wstać. Widok rodziców zmierzających w moją stronę sprawił, że zmiękły mi nogi i jedyne, na co było mnie stać, to otwarcie ust, z których i tak nie wydostał się nawet najmniejszy dźwięk.

Mama minęła Sandera bez słowa, jakby go w ogóle nie zauważyła, choć wiedziałem, że wcale tak nie było, ale tata zatrzymał się przy nim i uściśnął mu dłoń. Dopiero potem ruszył za mamą w moim kierunku.

– Finn, gdzie jest Finya? – Sposób, w jaki na mnie spojrzała, sprawił, że poczułem, jak tężeję od środka w jakimś spazmie strachu i wstydu. – Nic nam nie powiedzieli... Przysłali nas tutaj. Wszystko z tobą w porządku? Zbadano cię?

Mówiła szybko, za szybko, bym mógł nadążyć.

– Nie wiem – wydusiłem z siebie.

Widziałem, że rzuciła okiem w stronę Sandera, a jej usta zbiły się w wąską kreskę. Zawsze ją irytował, choć usilnie próbowała go ignorować. Poinstruowała tatę, żeby natychmiast poszukał lekarza. Kiedy położyła dłoń na moim ramieniu, poczułem, że drży. Tata pocałował mnie w czubek głowy, zawsze tak robił. Pachniał wodą kolońską. Nigdy nie pił, ani w urodziny, ani w sylwestrową noc, taką jak tamta. Kiedy odszedł w kierunku recepcji oddziału ostrego dyżuru, mama usiadła obok mnie. Spuściłem głowę nisko i oparłem łokcie na kolanach, jakbym chciał się powstrzymać przed rozglądaniem się wokół. Mama poderwała się nagle z miejsca i kiedy znów podniosłem wzrok, zobaczyłem tatę z innym mężczyzną. Mama podbiegła do nich, torując sobie drogę. Gdy rozmawiali, obserwowałem ich ze ściśniętym sercem. Nie miałem śmiałości podejść. Wiedziałem, że Sander też na nich patrzy. Kątem oka zauważyłem, jak pociera opatrunek na głowie. Mama powoli kiwała głową, nie spuszczać wzroku z wciąż jeszcze tłumaczącego coś lekarza. Kiedy położyła dłoń na ustach w geście jakiegoś niemego przerażenia, a tata zwiesił nagle głowę, odwróciłem twarz w stronę Sandera. Spojrzał na mnie, jakby poczuł na sobie moje oczy. Przygryzł wargę. Spuściłem wzrok i zamknąłem powieki. Poczułem, jak świat znów zaczyna wirować powoli. Nie miałem jednak odwagi otworzyć oczu. Nie chciałem ich otworzyć. Nie chciałem tam być. Podczas kilkugodzinnego oczekiwania na wynik operacji przypominałem sobie wciąż od nowa cały wieczór, jak gdyby taśma z obrazami w moim mózgu zacięła się i wracała ciągle do tego samego fragmentu. Sam nie wiedziałem, czy mdli mnie od alkoholu, czy od szybko przesuwających się migawek wspomnień.

Zaczęliśmy u nas w domu. Przyszły przyjaciółki Finyi, jakiś chłopak, którego zaprosiła jedna z nich, i jego kumpel. Sander przyjechał z Semem i Koenem. Arjen pojawił się tylko na chwilę, narobił hałasu i urwał się na inną imprezę. Ja jak zwykle nie zaprosiłem nikogo. Wsypywałem chipsy do salatek i rozlewałem piwo. Sander i Finya pojechali po pizzę. Muzyka grała za głośno i miałem wrażenie, że przebija mi skronie falą wibracji. Dopiero kiedy wszyscy się najedli, rozmowy zeszyły na sztuczne ognie. Chłopak, który przyjechał z jedną z przyjaciółek Finyi, zaczął opowiadać, że nigdy nie kupuje gotowych produktów, tylko sam je robi. Pokazał filmiki na telefonie i przechwalał się, jakie to niebezpieczne i nielegalne. Coś, czego nie powinien był mówić w obecności Finyi. I tak oto godzinę później wszyscy siedzieliśmy w autach w drodze do Hommerts. Jechaliśmy na ekskluzywny pokaz nielegalnych fajerwerków i imprezę w domu tego chłopaka. Na rondzie puszki z piwem i butelki szampana toczyły się z jednej strony bagażnika na drugą. Wzięliśmy auto Finyi. Nie pamiętam nawet dlaczego. Co jakiś czas dobiegały nas przedwczesne wybuchy sztucznych ogni z okolicznych placów i ulic. Deszcz przestał padać, ale temperatura spadała odczuwalnie i powoli wszystko zaczynało niebezpiecznie lśnić. Jako jedyny trzeźwy musiałem prowadzić. Reszta towarzystwa jechała innym autem przed nami. Jechali za szybko i miałem problem, żeby ich nie zgubić. Drogi były niemal puste i w ciągu parunastu minut znaleźliśmy się w małej wiosce. Nasz gospodarz mieszkał w domu ze spadzistym trójkątnym dachem. Tyły budynku wychodziły na rozległą łąkę. Było ciemno i zrobiło się tak zimno, że palce mi zeszywniały, gdy staliśmy w pokrytej szronem trawie, czekając, aż chłopak odpali sztuczne ognie. Żałowałem, że w ogóle tam byłem. Kiedy wreszcie udało mu się pokazać nam efekty swojej nielegalnej domowej fabryki fajerwerków, podniosły się okrzyki zachwytu i ekscytacji. Finya klaskała, a Sander gwizdał, reszta zaś huczała i wykrzykiwała coś, czego nie mogłem zrozumieć. Byłem naprawdę zadowolony, kiedy wreszcie zostaliśmy wpuszczeni do ciepłego domu, uprzednio wypakowawszy z bagażnika wszystko, co

ze sobą przywieźliśmy. O północy nikomu już nie chciało się wychodzić na zimno, żeby ponownie odpalić sztuczne ognie, więc po tym, jak powitaliśmy Nowy Rok, staliśmy przy oknie, obserwując sąsiadów chłopaka, którzy wylegli na ulice, pocierając z zimna dłonie i zapewniając nam kolejny pokaz fajerwerków, z tą różnicą, że te kupiono legalnie w przeznaczonych do tego punktach. Już wtedy kręciło mi się w głowie od nadmiaru piwa, które piłem z braku lepszej rozrywki. I po trochu ze złości. Dwie lampki szampana, które wlałem w siebie zaraz po północy, dopełniły czary goryczy. Potem były drinki. Może to dzięki nim wylądowałem na tylnym siedzeniu podrasowanego opla Finyi. Nie zwracałem uwagi na to, co dzieje się wokół mnie. Nie starałem się nawet wsłuchiwać w rozmowy prowadzone na przednich siedzeniach. Byłem zbyt zajęty próbą opanowania nieprzyjemnych mdłości, których fala wezbrała, gdy zamruczał silnik auta. Skąd mogłem wiedzieć, że najbliższe paręnaście minut przyniesie fatalny zwrot akcji. Ostateczny.

Czekaliśmy bardzo długo i ze wstydem muszę przyznać, że przysypiałem na twardym, szpitalnym krześle. Odmówił jednak, kiedy tata zaproponował, że zawiezie mnie do domu. Za oknami było już jasno, gdy wreszcie pozwolono nam zobaczyć Finyę. Nie rozpoznałbym jej, gdyby nie tabliczka z jej imieniem i nazwiskiem zawieszona na łóżku. Mimo iż lekarz uprzedził nas, że Finya jest utrzymywana w stanie śpiączki, widok był tak surrealistyczny i niepasujący do mojej siostry, iż nie mogłem uwierzyć, że to ona. Pokój na oddziale intensywnej terapii był pomieszczeniem pełnym rzędów łóżek. Jasnozielone linoleum tłumiło odgłos naszych kroków. Głowa pulsowała mi bólem i choć mdłości minęły, trzy kubki kawy wypite na pusty żołądek sprawiły, że doznawałem nieprzyjemnych skurczów. Mama ruszyła zdecydowanie w stronę szpitalnego łóżka i ujęła bezwolną dłoń w swoje palce. Lekarz, który nam towarzyszył, zasunął za nami zasłonę, dając nam odrobinę prywatności. Nic w Finyi nie przypominało jej samej. Przyglądałem się mojej siostrze, jakby była obcą osobą, anonimowym pacjentem podpiętym do skomplikowanych aparatów, których rytmiczne dźwięki wypełniały pokój. Na monitorze komputera stojącego przy łóżku czerwone, niebieskie i zielone linie rejestrowały funkcje życiowe.

– Jej stan jest stabilny – powiedział lekarz do mojego taty, który jako jedyny z naszej trójki był w stanie komunikować się ze światem zewnętrznym. – Proponuję, żeby udali się państwo do domu, by odpocząć i dojść do siebie. Gdyby coś się zmieniło, od razu zostaną państwo poinformowani.

– Gdyby się obudziła? – Pytanie ojca zdawało się wprowadzić lekarza w lekką konsternację. Zareagował dopiero po paru sekundach.

– Na przykład – powiedział, ale brzmiało to dziwnie nieprzekonująco.

Tata położył dłoń na ramieniu mamy, która siedziała pochylona nad łóżkiem.

– Evelien – zwrócił się do niej cicho, jakby nie chciał obudzić Finyi.

Mama pokręciła stanowczo głową.

– Nie. Jedź, zawieź Finna do domu. Dołączę do was później.

Tata spojrzał pytająco w stronę lekarza, jakby chciał się upewnić, czy ten się nie sprzeciwi. Jednak on kiwnął jedynie głową i pożegnawszy się dość lakonicznie, odsunął lekko zasłonę i przeszedł przez salę w stronę korytarza. Chwilę potem ruszyliśmy jego śladami, zostawiając mamę nadal pochyloną nad śpiącą Finyą.

Kiedy wyszliśmy przez oszklone drzwi na dziwnie pachnący korytarz, zobaczyłem Sandera w towarzystwie dwójki policjantów i krótki bolesny spazm zacisnął się wokół moich trzewi. Po

okazaniu legitymacji poinformowali nas, że muszą zadać nam kilka standardowych pytań wymaganych przy badaniu okoliczności wypadku drogowego, w którym ofiara doznała poważnego urazu. Nie mogłem znieść ich uważnych spojrzeń. Nie umknęło mojej uwadze to, że Sander patrzył im prosto w oczy. I to on odpowiadał, ja potwierdzałem skinieniem głowy. Tylko na tyle było mnie stać.

– Proszę nam powiedzieć, co się wydarzyło, tak jak to zapamiętałeś.

– Było ślisko. Straciliśmy panowanie nad pojazdem. Auto obróciło się wokół własnej osi. Uderzyliśmy w coś, potem jeszcze raz.

– Straciliście panowanie nad autem, to znaczy kto?

– Finya. To jej samochód, ona prowadziła.

– Rozumiem, że ty siedziałeś na miejscu pasażera? – Sander skinął.

– A ty na tylnym siedzeniu? – Policjant zwrócił się do mnie. Nie robił wrażenia szczególnie zainteresowanego naszymi odpowiedziami. Przytaknąłem.

– Badanie krwi wykazało, że wszyscy mieliście prawie promil alkoholu.

Nie wiedziałem, czy to było pytanie. Skinąłem, zerkając na Sandera. Zapytali nas o prędkość i udział innych pojazdów. Cała rozmowa trwała nie dłużej niż pięć minut, ale gdy policjanci z nagłym współczuciem uścisnęli dłoń ojca i odeszli, czułem się całkowicie wycieńczony, jak gdyby przesłuchiowano mnie całą noc.

Parę minut później jechaliśmy pustymi ulicami miasta w pierwszy dzień nowego roku. W milczeniu odwieźliśmy Sandera, by potem wrócić do dziwnie cichego domu.

Stan Finyi pozostał stabilny jedynie do wieczora. Około dziewiętnastej pojawiły się krwawienia w mózgu oraz obrzęk prowadzący do nadciśnienia śródczaszkowego. Finyę zabrano natychmiast na salę operacyjną, gdzie usunięto fragment kości czaszkowej, by zapobiec dalszym obrzękom i nadciśnieniu. Po zabiegu spędziliśmy całą noc w szpitalu. Mama odmówiła opuszczenia budynku i powrotu do domu. Pamiętam jej twarz, spiętą lękiem i zmęczeniem, bez śladu makijażu. Pielęgniarki, które przychodziły od czasu do czasu, by wymienić torebki z płynem, musiały ją prosić, by się odsunęła, gdyż zdawała się przywrzeć siłą woli do szpitalnego łóżka i odmawiała innym prawa do podchodzenia do niego. Drugiego stycznia rano stabilny stan Finyi znów się pogorszył. Ciśnienie krwi podniosło się gwałtownie, tylko po to, by dwie godziny później spaść. Lekarz, który kontrolował jej parametry życiowe i próbował wytłumaczyć nam, co się z nią dzieje, nie krył już kiepskich prognoz.

– To zły znak – powiedział po prostu, jakby chodziło o nadchodzącą burzę.

Mama podniosła na niego wzrok, nie puszczać jednak dłoni Finyi.

– Jak to zły znak? Co to znaczy? Czy konieczna jest kolejna operacja?

– Pani Velde – zaczął miękko, patrząc na nią uważnie. Czułem, że przygotowuje ją na najgorsze. – Operacja nic nie zmieni. Niestety, ale podejrzewam ustanie funkcji mózgowych. Z potwierdzeniem diagnozy musimy jednak poczekać dwadzieścia cztery godziny ze względu na narkozę, którą Finya otrzymała. Najpierw pani córkę zbada neurolog, żeby potwierdzić podejrzenie śmierci pnia mózgu.

Stałem obok taty zdrętwiały ze strachu i szoku. Jedynie siłą woli trzymałem się jeszcze na własnych nogach, których nie czułem. Patrzyłem niemo na twarz mamy stężałą w jakimś dziwnym grymasie. Nie potrafiłem odczytać jej emocji. Oczy utkwione w lekarzu zdawały mi się ogromne.

– Co próbuje mi pan powiedzieć? – zapytała niemal szeptem.

– Bardzo mi przykro, ale jeśli wstępna diagnoza zostanie potwierdzona, nie będziemy mogli zrobić dla państwa córki nic więcej.

Jego słowa unosiły się ponad łóżkiem mojej siostry jeszcze długo po tym, jak zostawił nas samych.

Późnym popołudniem przyszedł neurolog. Po zbadaniu Finyi zabrał nas wraz z dyżurującym na oddziale intensywnej terapii lekarzem do pokoju, gdzie usiedliśmy wszyscy w niezręcznej ciszy.

– Niestety mam dla państwa złe wieści. Stwierdziłem brak odruchów pniowych, czyli brak jakiegokolwiek reakcji czy aktywności mózgowej.

– Co to oznacza? – Głos taty był lekko zachrypnięty.

– Oznacza to śmierć mózgową, nieodwracalny stan, z którego państwa córka już nie wyjdzie. Jutro rano przeprowadzimy ostatnie badanie, tak zwaną próbę bezdechu, dzięki czemu potwierdzimy diagnozę. Jak państwo wiedzą, Finya nie oddycha samodzielnie. Robi to za nią respirator, który odłączymy na dziesięć minut, by po upływie tego czasu zbadać poziom dwutlenku węgla we krwi. Jest to badanie, po wykonaniu którego padnie ostateczna diagnoza. Muszę jednak już dziś uprzedzić, że nie spodziewam się jakichkolwiek zmian. Jest mi niezmiernie przykro, ale jeśli próba bezdechu potwierdzi brak prawidłowych ruchów oddechowych, zostanie oficjalnie stwierdzony zgon.

Z ust mamy wyrwał się krótki cichy jęk, jakby długo wstrzymywany oddech. Neurolog odczekał chwilę, dając nam parę sekund na oswojenie się z myślą.

– Ale... powiedziano nam, że Finya jest w śpiączce. – Tata odezwał się niepewnie.

Neurolog skinął głową i był wyraźnie przygotowany na to pytanie, prawdopodobnie często zadawane przez rodziny w podobnej sytuacji.

– Tak. To prawda. Zanim uszkodzenie mózgu doprowadziło do poważnego obrzęku, który podniósł ciśnienie śródczaszkowe, Finya była w stanie śpiączki. Jej mózg nadal wykazywał aktywność. Jednak po tym, jak ciśnienie wzrosło gwałtownie, został zablokowany dopływ krwi do mózgu, w wyniku czego komórki mózgowe nie otrzymały tlenu i obumarły. Potwierdziliśmy brak aktywności mózgowej, stosując wielorakie badania i jesteśmy w stu procentach pewni braku jakichkolwiek odruchów nerwowych w obrębie głowy.

Tata pokiwał głową, nie spuszczać wzroku z neurologa, który tłumaczył wszystko cierpliwie. Miałem wrażenie, że powtarza wyuczoną na pamięć lekcję. Mama milczała, wodząc jedynie wzrokiem po zebranych w pokoju.

Kiedy neurolog skończył, odezwał się lekarz z oddziału intensywnej terapii.

– Naprawdę nie możemy zrobić nic więcej. Jest jednak kwestia, którą powinni państwo rozważyć już dziś. Mimo fatalnego urazu mózgu Finya jest młodą i zdrową osobą. Jej organy nadają się do transplantacji, która może uratować życie i zdrowie innych ludzi. Rozumiem, że jest to ostatnia rzecz, o jakiej w tej sytuacji chcieliby państwo myśleć. Proszę mimo wszystko poświęcić chwilę na rozważenie tej opcji. O ile Finya sama nie podjęła decyzji i nie podpisała oświadczenia dawcy organów. Kiedy będą państwo gotowi na rozmowę o ewentualnym oddaniu organów do przeszczepu, koordynator do spraw transplantacji przeprowadzi państwa przez cały proces. W razie pytań jest on dostępny o każdej porze.

Obserwowałem twarz mamy, która wydłużyła się z powodu szoku. Jej oczy, dotąd pełne

niewymownego bólu, nagle błysły złością. Wciąż jednak milczała uparcie. Odezwała się dopiero, gdy wszyscy troje znów znaleźliśmy się na korytarzu.

– Nigdy im na to nie pozwolę. – To były jej słowa.

– Evelien... – Głos taty brzmiał miękko, jakby mówił do małego dziecka, które miało akurat atak niepohamowanego płaczu.

Stałem tam obok, jakbym nie przynależał do nich, jakbym był przypadkowym obserwatorem, niebiorącym udziału w rozgrywającej się na moich oczach tragedii. Od chwili, gdy Finya znalazła się w szpitalu, nie zamieniłem ani słowa z rodzicami. Może milczenie było jedyną ochroną przed rzeczywistością, której nie mogłem zaakceptować.

– Evelien, myślę, że musimy spojrzeć prawdzie w oczy...

– Nie. – Głos mamy był ostry i nabrzmiały desperacją.

– Evelien, Finya by tego nie chciała, nie chciałaby żyć w ten sposób.

– Zapytamy ją, gdy się obudzi – odpowiedziała uparcie.

– Przecież słyszałaś, co powiedzieli lekarze.

– Zabierzemy ją do innego szpitala.

– Evelien, w żadnym szpitalu nie potrafią ożywić tego, co umarło.

– Dlaczego tak łatwo się poddajesz? Tak łatwo ją sobie odpuszczasz? – Mama podniosła głos. Pielęgniarka przechodząca korytarzem spojrzała na nią z wyraźną naganą w oczach, na co mama nie zwróciła nawet najmniejszej uwagi.

– Wiesz, że to nie... – Tata przybrał obronny ton.

– Ty masz jeszcze drugą córkę, która może zająć miejsce Finyi, prawda? Ty nie tracisz wszystkiego w jednej chwili, tobie zostaje coś na pocieszenie! A co ze mną?!

Proszę, mama znów sięgnęła po swoją tajemną broń, ostateczny argument, wybrała jedynie najgorszy możliwy moment. Nawet nie poczułem się urażony, iż zapomniała, że ma jeszcze syna.

– Nikt i nic nie zastąpi Finyi. – Głos taty był twardy jak nigdy dotąd. Jego brzmienie sprawiło, że mama zamilkła na chwilę.

– Herman, ona przecież żyje – powiedziała cicho po chwili. Tata położył dłoń na jej ramieniu.

– To maszyna żyje za nią. Żyją jej organy, aparatura tłoczy tlen i krew przez jej ciało. Ale jej już tam nie ma...

Mama strzepnęła jego dłoń z siebie, jakby ją parzyła.

– Nie pozwolę im odłączyć jej od aparatury!

– Evelien, posłuchaj mnie przez chwilę, na litość boską. Decyzja, czy Finya będzie żyła, nie należy już do nas. Teraz musimy zmierzyć się z inną decyzją...

– Wiem, co chcesz powiedzieć – przerwała mu ostro. – Zabraniam ci. Nigdy nie pozwolę im pociąć mojego dziecka. Nie wyrażę zgody! Nie będą mogli nic jej zrobić.

Nie wiem, jak to się stało, ale coś wezbrało we mnie. Jakaś nagła potrzeba, by choć raz, pewnie ten ostatni, stanąć po stronie Finyi. Być jej głosem, którego nie miała.

– Mamo. – Usłyszałem nagle siebie samego, a ich oczy zwróciły się ku mnie. Byli równie zaskoczeni jak ja. – Nie musisz wyrażać zgody. Finya podpisała oświadczenie dawcy organów w dniu osiemnastych urodzin.

Kolejną noc spędziliśmy znów w szpitalu. Mama nie odezwała się już do nas i skulona przy łóżku Finyi odmawiała jakiegokolwiek kontaktu. Na dwie godziny pojechała do domu, żeby wziąć prysznic. Wróciła i przyłgnęła do łóżka Finyi. Lekarz dyżurujący przyszedł wcześniej rano, kiedy tata przyniósł nam świeżą kawę. Poinformował nas, że o ósmej trzydzieści odbędzie się próba bezdechu.

– Koordynator do spraw transplantacji potwierdził, że Finya podpisała oświadczenie i jej nazwisko znajduje się na oficjalnej liście dawców organów.

– Nie zgadzam się. Nie waż się dotknąć mojego dziecka. – odezwała się cicho, ale wyraźnie mama. Nie siliła się na grzecznościowe zwroty. Jej wargi były dziwnie ściągnięte, jakby stanowiły ostatnią barierę powstrzymującą tsunami, które w niej wezbrało.

– Proszę pani, Finya była... – zaczął miękko tonem, jakim mówi się do histeryzującego dziecka, z przesadnym spokojem, wyraźnie i powoli. Pielęgniarka stojąca obok lekarza spojrzała współczująco na mamę.

– Jest. Finya jest – przerwała mu ostro.

Obserwowałem lekarza, który zdawał się westchnąć niezauważalnie, jakby tracił cierpliwość albo zdawał sobie sprawę, że rozmowa nie ma sensu. Skinął głową, wskazującym palcem wsunął okulary głębiej na nos i zaczął jeszcze raz.

– Pani córka jest pełnoletnia.

– Pełnoletnia?! To jeszcze dziecko, uparte i przekorne dziecko!

– Jako dorosła osoba w pełni sił umysłowych wypełniła i podpisała deklarację dawcy organów. Ta decyzja należała i nadal należy do niej. Wiem, że to niełatwe, ale proszę to uszanować.

– Uszanować?! Co ty wiesz o mojej córce, o tym, kim jest?! – Mama uniosła się z krzesła. Odkleiłem się od ściany, żeby ją powstrzymać, bo wydawało mi się, że zaraz rzuci się na lekarza, jednak ona ruszyła w kierunku szpitalnego łóżka, jakby chciała ochronić Finyę własnym ciałem. – Ty widzisz organy! Serce, wątrobę, nerki... Co wam jeszcze potrzebne?! Nie możecie tak po prostu... Bez pozwolenia matki... To moje dziecko...

Jej słowa zaczynały nabierać dziwnie chaotycznej, niespotykanej u niej formy, jakby nie potrafiła złożyć ich w poprawne zdania. Głos jej się załamał.

Twarz lekarza wyrażała bezsilność. Widziałem to wyraźnie.

– Rozumiem, że potrzebują państwo czasu. Będę do dyspozycji, gdyby mieli państwo jakieś pytania.

Odwrócił się i wyszedł. Mama patrzyła za nim przez oszklone drzwi, jak szedł korytarzem, i gdy była pewna, że jej nie usłyszy, powiedziała chłodno:

– Dlaczego, kurwa, nie jesteś do dyspozycji, kiedy trzeba ratować moje dziecko?

Milczeliśmy przez chwilę. W tej lodowatej ciszy słyszałem oddech mojego taty. Cięższy niż zwykle, nabrzmiały od wstrzymywanych łez.

– A co, jeśli ona nas słyszy? – Pytanie zadane łagodnym, ciepłym głosem, tak niepodobnym do mojej mamy, wypełniło przestrzeń. – Jeśli wszystko czuje i jest świadoma tego, co się dzieje?

Obserwowałem twarz taty, która nagle zmieniła wyraz. Spojrzał na mamę z wyraźnym zdumieniem.

Odwróciła się nagle w jego kierunku.

– Posłuchaj mnie, Herman – powiedziała tym władczym tonem, który znałem aż nazbyt

dobrze. – Jest wiele potwierdzonych przypadków pacjentów, u których najpierw stwierdzono śmierć mózgową, a mimo to się obudzili.

– Evelien... – Głos taty znów nabrzmiał zmęczeniem.

– Nie, nie, musisz mnie wysłuchać! – Złapała go za dłoń i patrzyła uparcie w jego oczy. – Ci ludzie twierdzą, że wszystko czuli i słyszeli, rozumiesz? Czy wiedziałeś, że dawcom organów nie podaje się środków przeciwbólowych ani narkozy w czasie operacji pobierania organów? Mają wstrzyknięty jedynie środek zwiotczający mięśnie! Czytałam o tym w internecie! Wiesz, co to znaczy? Że nawet jeśli obudzą się na stole operacyjnym, nie mogą się poruszyć! Ich ciało zostaje pokrojone na kawałki... żywcem!

– Jezu Chryste, Evelien! – przerwał jej ostro tata. Podniosłem głowę i spojrzałem na nich, na walkę, jaką toczyli, na sposób, w jaki mama odgradzała Finyę własnym ciałem od reszty świata. – Po co czytasz te wszystkie bzdury w sieci?! Przecież każdy może tam napisać, co chce!

– To nie są bzdury! Tu chodzi o naszą córkę! Herman, błagam cię, zrób coś, podaj ich do sądu, nie pozwól im skrzywdzić mojego dziecka, błagam cię...

Szloch mamy był cichy. Nie pozostawiał nawet cząsteczki tlenu, którą można było nabrać w zaciśnięte bólem płuca. Wsysał wszystko jak czarna dziura.

Kiedy parę minut później tata niemal siłą zabrał mamę z sali, żeby na chwilę odpoczęła, zostałem sam na sam z moją siostrą. Patrzyłem na jej twarz, niemal nierozpoznawalną, na jej klatkę piersiową, która unosiła się rytmicznie w sztucznie zasilanym oddechu. Wdech, wydech. Odłączenie aparatury było jedynie formalnością. Finya opuściła już to spętane ciało. Wiedziałem to, choć jakaś część mnie odmawiała zaakceptowania tego.

– Czas zgonu: ósma pięćdziesiąt. Bardzo mi przykro. – Lekarze jeden po drugim opuszczali salę. Myślałem, że mama będzie płakać, ale ona trwała nieruchomo przy łóżku. Tata pocierał oczy. Zwiesił głowę i oparł łokcie na kolanach, jakby zamierzał zasnąć w tej pozycji.

Mama stała tuż przy nim nieruchoma i niemalże nieobecna, znieczulona lekami uspokajającymi, które podał jej lekarz.

W czasie, gdy wciąż siedzieliśmy jeszcze w częściowym szoku, czuwając przy łóżku Finyi, przez pomieszczenie przewijali się pielęgniarki i lekarze, pobierano krew, podawano płyny, osłuchiowano płuca i serce, sprawdzano parametry życiowe. Obserwowaliśmy to w milczeniu. Zauważyłem, że unikają patrzenia na nas, zażenowani tym zamieszaniem. Dziwny paradoks. Po oficjalnie ogłoszonym zgonie nadal żyła. Moja waleczna siostra zdawała się pokonać nawet śmierć.

Około dziesiątej do sali weszła kobieta na oko w wieku czterdziestu lat. Mogła być jednak młodsza, miałem wrażenie, że okulary trochę ją postarzały. Jej granatowa garsonka była nienagannie czysta i wyprasowana, jasne włosy miała ciasno ściągnięte w kok z tyłu głowy. Przedstawiła się jako Anne Nieuwkoop, koordynator do spraw transplantacji organów. Wyraz jej twarzy, współczujący i ciepły, zdradzał, że nie była jednym z lekarzy.

– To musi być dla państwa bardzo trudne, żegnać kogoś, kto nadal wydaje się wciąż żywy. Mogę jednak zapewnić, że dzięki swojej decyzji Finya uratuje życie innych. Może to będzie dla państwa jakimś pocieszeniem. Zespół lekarzy z naszego szpitala wciąż jeszcze sprawdza dane medyczne Finyi oraz stan organów. Jesteśmy w trakcie poszukiwania odpowiednich biorców. Wszystko musi zostać dokładnie sprawdzone. W związku z tym chciałam zapytać o tatuaż...

– Tatuaż? – Mama, dotąd milcząca zawzięcie, podniosła na nią zaskoczone spojrzenie. Zagryzłem wargi.

– Tak. Tatuaż generalnie nie jest przeciwwskazaniem do transplantacji, jednak ważne jest by nie był świeży. Dlatego potrzebna jest mi informacja, kiedy został wykonany.

Zapadła chwila niezręcznego milczenia, którą przerwałem, unikając spojrzenia mamy.

– Rok temu.

Mama wstała i wyszła bez słowa. Dogoniłem ją na korytarzu i w ciszy podążyłem za nią aż na dziedziniec przed szpitalem, gdzie zatrzymała się i drżącymi dłońmi wyciągnęła z torebki papierosy. Patrzyliśmy na rząd aut stojących na szpitalnym parkingu.

– Nie wiedziałam, że ma tatuaż – powiedziała cicho, po czym zaciągnęła się papierosem.

– Nie mówiła ci, żebyś się nie wściekła.

Pokiwała głową. W dziennym świetle zobaczyłem ciemne kręgi pod jej oczyma. Zacisnęła usta w wąską kreskę, ale widziałem, że drżały pod naporem uwięzionego za nimi szlochu.

– Ale ty wiedziałeś. Powiedziała ci? – zapytała po chwili.

Skinąłem głową. Nie chciałem wdawać się w szczegóły.

– Co to był za tatuaż? – zapytała w końcu.

– Myślę, że możesz sama zobaczyć – odpowiedziałem.

Kiedy wypaliła papierosa, wróciliśmy razem do pokoju. Znalazłem jedną z pielęgniarek, którą widziałem już przy łóżku Finyi, i poprosiłem ją o pomoc. Chwilę potem staliśmy wszyscy troje przy krawędzi szpitalnego łóżka, patrząc na obnażony fragment ciała. Tatuaż znajdował się na prawym boku, pod piersią. Przekwitająca róża była czarno-biała, jakby ktoś naszkicował ją ołówkiem. Ale opadające z niej płatki miały głęboko czerwony, niemal purpurowy kolor i wyglądały jak żywe pulsujące krwią fragmenty, wyrwane przemocą z obumierającego kwiatu. Patrzyliśmy w milczeniu na ten rysunek wyryty igłą, niemi i przerażeni jego nagle dobitnym znaczeniem, które nas sparaliżowało. Mama odwróciła wzrok.

O piętnastej trzydzieści zabrano Finyę na salę operacyjną i poradzono nam, by wrócić do domu. Anne, która przez cały ten czas informowała nas o przebiegu procesu transplantacyjnego, obiecała zadzwonić, gdy operacja zostanie zakończona. Mieliśmy wrócić wtedy do szpitala, by ostatecznie pożegnać Finyę. Albo to, co z niej pozostało, pomyślałem. Był wieczór, gdy ponownie nas wezwano. Finya leżała na szpitalnym łóżku, lecz tym razem jej ciało było wolne od rurek i kabli, pozostawiono jedynie opatrunek na jej głowie. Wyglądała spokojnie. Tym razem nie było wątpliwości, że nie żyła. Anne, która nam towarzyszyła, przekazała informacje na temat organów oraz ich przeznaczenia, po czym wycofała się po cichu, uprzednio po raz kolejny wypowiedziawszy standardowe kondolencje. Mama płakała tak okropnie, że miałem wrażenie, iż zaraz pęknie jej serce. Tym razem mogła przytulić Finyę, tata zaś jedynie ucałował jej czoło. Zawsze to robił, czule i miękko. Czuję się całkowicie zamrożony. Nie potrafiłem płakać.

Opuściliśmy salę. Tata otoczył mamę ramieniem. Skuliła się, jakby chciała zniknąć w jego ramionach, i szlochała cicho. Szliśmy niekończącym się korytarzem. Pod jedną ze ścian zauważyłem Sandera. Stał z dłońmi w kieszeniach czarnej kurtki. Modliłem się w duchu, żeby mama nie zwróciła na niego uwagi. Niestety moje modlitwy nie zostały wysłuchane. Podniosła głowę dokładnie w chwili, gdy mieliśmy go minąć, i zatrzymała się raptownie. Przez parę

sekund mierzyła go wzrokiem. Policzki miała mokre od łez, dłonie jej drżały, a palce trzymała zaciśnięte. Kiedy nagle na niego ruszyła, była tak szybka, że nawet tacie nie udało się jej powstrzymać.

– Ty! To twoja wina! Zawsze wiedziałam, że wpędzisz ją w kłopoty! Ostrzegałam ją! Mówiłam, że nie powinna się z tobą zadawać!

Okładała go pięściami w jakiejś szalonej furii. Próbował osłaniać się przed razami w milczeniu, prawie nie protestując. Kiedy tata wreszcie ją dopadł i chwycił za ramiona, zamiast słów z jej ust wyrывał się jedynie niepowstrzymany szloch. Stałem tam nieruchomo, moje nogi wrosły w szpitalne linoleum. Miałem wrażenie, że nigdy nie pozbędę się już z mojej skóry i ubrań zapachu środków do dezynfekcji. Patrzyłem na nich, jak szamoczą się z bólem i sobą nawzajem.

– Evelien! To Finya prowadziła auto! Była pod wpływem alkoholu! To nie jego wina! – Głos taty był zmęczony, ale wyraźny i dobitny.

Wymieniłem spojrzenia z Sanderem, który odsunął się na bok i obciągnął kurtkę. Moje usta drgnęły. Szpitalny korytarz stał się tunelem bez wyjścia, labiryntem, z którego miałem się już nie wydostać. Nim się spostrzegłem, moje nogi poderwały się do biegu i niosły mnie jeszcze długo po tym, jak wybiegłem na mroźne powietrze, szukając schronienia, którego miałem nie znaleźć. Finya umarła.

Evi Brouwer

ABY WSZCZEPIĆ DO ORGANIZMU BIORCY NOWE SERCE, najczęściej usuwa się to stare, niewydolne. Jedna transplantacja to tak naprawdę aż trzy operacje. Pierwsza polega na pobraniu serca od osoby, u której stwierdzono śmierć pnia mózgu, a której organy nadal żyją dzięki aparaturze podtrzymującej funkcje życiowe. Druga polega na usunięciu zużytego serca biorcy. Klatkę piersiową otwiera się podłużnym przecięciem mostka. Po otwarciu worka osierdziowego, w którym znajduje się organ, zakłada się specjalne rurki na żyły i aortę. Następnie zaciska się aortę i tętnicę płucną. Kawałek po kawałku przecina się przedsionki, komory, przegrodę międzyprzedsionkową, a na końcu naczynia. Dopiero potem wszywa się nowy organ i łączy naczynia. Wtedy zaczyna płynąć krew, ocieplając serce, które powoli podejmuje pracę.

Wiem to wszystko, bo dużo o tym czytałam. O różnych metodach przeszczepiania organów, nawet o takim, gdzie pacjentowi wszywa się nowe serce, nie usuwając starego. Zastanawiam się, jak to jest mieć dwa serca.

Obudziłam się po operacji, gdy za oknami było ciemno. Mama i tata siedzieli przy moim łóżku, niczego innego się zresztą nie spodziewałam. Wyglądali na zmęczonych. To była moja pierwsza myśl, kiedy otworzyłam oczy. Popatrzyłam na nich przez dziwną mgłę, która powoli zaczęła się przeredzać, i zobaczyłam dwoje wyczerpanych zmartwieniami ludzi. Postarzeliz się w ciągu tych paru godzin, gdy się nie widzieliśmy, o wiele lat, które mi umknęły. Zaraz potem pomyślałam o przeszczepie, o tym, że byłam tą osobą, która przez chwilę nie miała żadnego serca. I choć przydarzyło mi się to naprawdę, nie mogłam sobie tego wyobrazić.

Otrzymanie nowego serca powinno być szczęśliwym momentem. Ludzie myślą, że po transplantacji zaczyna się długo oczekiwany *happy end*. A przecież organ to nie część aparatury do kupienia na zamówienie, która raz zainstalowana będzie nieskazitelnie działała z dożywnością gwarancją. Serce to narząd zbudowany z obcych tkanek umieszczonych w żyjącym organizmie, który próbuje się ich pozbyć, ponieważ nie należą do niego. Zaczyna się walka o utrzymanie przeszczepu. Leki immunosupresyjne, kontrole, badania. Nawet najłżejsza gorączka może być oznaką rozpoczynającego się odrzutu.

Patrzyłam na rodziców, którzy zaczęli żyć w dziwnym napięciu. Męczyło mnie ono bardziej niż rekonwalescencja. Sposób, w jaki mi się przyglądali, jak gdyby chcieli na czas wyłapać pierwsze objawy odrzutu. Rozmawialiśmy, śmialiśmy się, ale każde ich zdanie, spojrzenie, każdy ich uśmiech podszywał niepokój, którego nagle nie mogłam dłużej znosić.

Jedynie Toby patrzył na mnie z szerokim, szczerym uśmiechem bez żadnych ukrytych intencji. No prawie. W weekendy przyjeżdżał do szpitala w Groningen z moimi rodzicami. Taktownie zostawiali nas na chwilę samych i wychodzili na kawę lub lunch. Pewnego dnia oglądaliśmy we dwoje film, rozparci na szpitalnym łóżku. Czasem bawiliśmy się pilotem do niego i naciskając przyciski, z głośnym śmiechem opuszczaliśmy łóżko lub podnosiliśmy je, dopóki jedna z pielęgniarek nie patrzyła na nas niby srogo z wyrozumiałym uśmiechem. Nie mogłam się skupić na filmie. Za dwa dni miałam opuścić szpital. Wyposażona w leki, kalendarz kontroli kardiologicznych, przykazania, porady i zakazy. Wpatrywałam się w obrazy na ekranie telewizora podwieszonego pod sufitem. Ramię Toby'ego, swobodnie oparte o moje, było ciepłe i przyjazne. Obiecaliśmy sobie coś nawzajem jakiś czas temu pod koniec lata, w jeden z tych lepszych wieczorów, gdy choroba mniej dawała mi się we znaki, choć jej świadomość piekła pod skórą. Całowaliśmy się w moim pokoju. Muzyka grała trochę głośniej niż zwykle, żeby mama nie słyszała, choć wiedziałam, że nie powiedziałyby ani słowa. Było gorąco. Oddychał tak dziwnie. Za szybko i zbyt chaotycznie. Zatrzymaliśmy się, widziałam, jak na mnie patrzył, jak błyszczały jego oczy. Pomyślałam wtedy, że gdyby to była jakaś inna dziewczyna, nie ja, już by to zrobili, bez ceregieli i niepotrzebnych gier.

– Zróbmy to – powiedziałam, a kiedy jego oczy rozszerzyły się ze zdziwienia, dodałam szybko: – Jak mamy nie będzie w domu.

Przygryzł śmiesznie wargę, jak dziecko, które nie może się zdecydować, czy woli ciastko, czy czekoladkę. Ku mojemu zaskoczeniu pokręcił głową.

– Nie. Nie teraz. Jak dostaniesz nowe serce.

I choć nie mógł być pewien, kiedy i czy w ogóle to nastąpi, jego słowa brzmiały jak obietnica. Nie mogę ukryć, że mi ulżyło, choć jeśli mam być całkiem szczerą, coś w głębi mojej duszy zakłuło mnie lekko. Coś w rodzaju rozczarowania, a może nadgryzionej dumy. Dziecinne fanaberie. Niby nie chciałam tego robić, ale kiedy on zdecydował, by to odłożyć, poczułam się lekko zraniona i nigdy potem żadne z nas nie wspomniało tej rozmowy.

Na tym szpitalnym łóżku dopadła mnie jednak nagła myśl, że może to właśnie kryje się za uśmiechem Toby'ego, który wkrótce przypomni mi o naszej umowie. Tym razem to ja chciałam ją odłożyć. Najchętniej na czas nieokreślony. Nie potrafiłam powiedzieć dlaczego.

Czułam się coraz lepiej. Z dnia na dzień. Wyniki kolejnych badań wskazywały na dobry stan nowego serca. Przeszczep się przyjął. Moja kondycja również była zadowolająca. Byłam gotowa na powrót do domu, zdecydowana pozbierać pogubione fragmenty życia, które porzuciłam dawno temu jak balast, który był zbyt ciężki i który musiałam wyrzucić za burtę, by móc

utrzymać się na powierzchni.

Dwudziestego lutego obchodziłam siedemnaste urodziny. Cała rodzina zjechała się na tę okoliczność. Babcia i dziadek z Leeuwarden, ciocia Charlotte z wujkiem i dziećmi, nawet ciocia Sharon z Amsterdamu. Toby z rodzicami również zostali zaproszeni. Był tort pełen świeczek, który mama zamówiła w cukierni, obiad w restauracji, gwar rozmów i było dużo śmiechu. Wszyscy zdawali się odprężeni. Byłam chyba najmniej rozmowną osobą w całym towarzystwie. Miałam wrażenie, że unoszę się ponad ich głosami, jakbym nie podlegała sile ciężkości zwykłych międzyludzkich interakcji.

Wymknęłam się do toalety, gdzie niemalże wpadłam na Brittę, pochyloną nad swoim telefonem. Jej palce zwinnie przemykały po wyświetlaczu. Podniosła na mnie roześmiane oczy.

– Mama nie pozwala mi używać telefonu przy stole, więc musiałam ukryć się tutaj – powiedziała konspiracyjnym tonem i zerknęła ponad moim ramieniem w stronę drzwi prowadzących na korytarz, upewniając się pewnie, czy ciocia Charlotte nie zdecydowała się ruszyć na jej poszukiwanie. Kliknęła parę razy w wyświetlacz, po czym uniosła go przed swoją twarz. Z telefonu patrzył na mnie ciemnowłosego chłopak, zadziornie i arogancko. Miał szeroki uśmiech i złoty łańcuszek na szyi.

– Fajny, co? Tylko nie mów mojej mamie, nic jeszcze nie wie. Zresztą, dopiero się poznaliśmy...

Schowała telefon do kieszeni obcisłych džinsów, choć prawie nie mogłam uwierzyć, że da się tam jeszcze coś wcisnąć. Miałam nadzieję, że kiedy wyjdę z ubikacji, Britta nie będzie na mnie czekała. Stała jednak przed lustrem, poprawiając z namaszczeniem jasne włosy. Kiedy znalazłam się obok niej, spojrzałam na nasze odbicia. Byłyśmy podobne, niemal jak siostry. Choć była dwa lata starsza, dorównywałam jej wzrostem. Tyle że w Britcie wszystko było pełniejsze – wargi, policzki, włosy, piersi, biodra. Przy niej wyglądałam jak długa, cienka tyczka. Zawsze patrzyłam na nią z lekkim podziwem, a może nawet zazdrością.

– Chciałam zafarbować włosy, ale mama strasznie marudzi, że nie powinnam, więc odpuściłam, żeby jej nie irytować. Na razie. A Twoja? – Britta odwróciła się od lustra.

– Co moja?

– Twoja też tak marudzi?

Spojrzałam na nią prawie tak, jakby mówiła po chińsku. Wzruszyłam ramionami. Było mi niemalże głupio, że nie mogłam podzielić jej narzekań na rodziców. Britta przyglądała mi się z zainteresowaniem.

– No i jak to jest? Życ z cudzym sercem? – zapytała prosto z mostu. Zawsze taka była, prostolinijna, bezpośrednia. Kiedyś jej zazdrościłam. Wszystkiego. Koleżanek, wyjść, charakteru, życia. Teraz czułam pod skórą swędzącą irytację na to pytanie zadane bez zastanowienia.

Coś mnie zakłuło pod żebrami. Chciałam odpowiedzieć, że teraz to jest moje serce, ale słowa nie chciały przejść mi przez gardło. Otworzyłam usta. W tej chwili drzwi do toalety otworzyły się lekko i ciocia Charlotte zajrzała do środka.

– Co wy tu tak długo robicie? Zamawiamy deser. Chcecie coś, dziewczyny?

Usiadłam na swoim miejscu przy stole, między mamą i tatą, i rozejrzałam się po znajomych twarzach, jakbym widziała je po raz pierwszy. Grzebałam w talerzu widelcem, przesuwając lekko zwiędnięte listki szpinaku, którego nie mogłam przełknąć. Szum rozmów był jak irytujące

bzyczenie owadów, od których próbowałam się opędzić.

Tamtej nocy, w moje siedemnaste urodziny, nie mogłam zasnąć. Obserwowałam kształty zanurzone w mroku. Ciemność sprawiała, że pomieszczenie zdawało się odmienione. Tak jak wszystko wokół mnie, dotąd trwające w stagnacji, zawieszone było w oczekiwaniu na przeszczep, który miał zdjąć ze mnie zły czar. Może faktycznie spałam tu sto lat i teraz przebudzona zobaczyłam moje życie na nowo?

Zabawne, jak inaczej wyglądają i pachną dobrze znane, stare miejsca, gdy wracasz do nich po przeżyciu czegoś niezwykłego. Nagle wszystko zdaje się odmienione, choć wciąż jest dokładnie takie samo. Jedyne, co się zmieniło, to ty.

Chantal Simons

TAK WIĘC WSZYSTKO ZACZĘŁO SIĘ OD KOTA. Może nawet wcześniej, niż mi się wydaje. Po powrocie Evi do domu nasze życie powoli zaczęło nabierać rozpędu. Nie mogę powiedzieć, że wróciło do normy, bo nic nie było takie jak wcześniej. Całe szczęście. Evi szybko odzyskiwała siły i energię. Dwa miesiące po przeszczepie wróciła do szkoły w pełnym wymiarze godzin. W okresie zimowym nasze spacery były krótkie, jedynie na tyle, by pracować nad kondycją Evi, ale nie spowodować infekcji, która mogłaby mieć fatalne skutki. Jednak wraz z marcem i stopniowym ociepleniem wychodziłyśmy częściej. Carl wyciągnął z piwnicy rower Evi, który od długiego czasu zbierał tam kurz. Piękny, biały batavus z jasnoróżowym siodełkiem i uchwytem oraz wiklinowym koszem zamontowanym na kierownicy. Prawie nieużywany. Patrzyłam, jak w marcowy sobotni poranek moja córka stoi przed drzwiami klatki i przesuwa palcami po metalowej ramie. Carl mówił coś do niej z uśmiechem, poprawił jej szalik. Kiwała głową. Stałam w oknie i patrzyłam na nich. Karol leżał rozparty na parapecie, mrużąc jak silnik traktora. Evi wsiadła na rower i odjechała. Jej jasne, długie włosy, uniesione wiatrem jak welon. Carl podniósł głowę i spojrzął w okno. Uśmiechnęliśmy się do siebie.

Obserwowałam ją, jak śmiejąc się bez troski, zataczała koła na placu przed budynkiem, i przez chwilę poczułam się, jakbym siedziała w maszynie czasu i znów patrzyła na pięcioletnią Evi, która ostrożnie wsiada na swój rowerek, po tym, jak Carl odpiął boczne kółka. Nie mogłam się poruszyć podczas tej podróży w czasie. Śmiech małej Evi mieszał się z dobiegającym z zewnątrz śmiechem mojej siedemnastoletniej córki. Moja dłoń bezwiednie spoczęła na piersi, w miejscu, gdzie pod skórą czułam delikatne uderzenia. Mojego ostatniego bijącego serca. Wodząc wzrokiem za Evi, miałam jedynie nadzieję, że tym razem nie spadnie, kalecząc się aż do krwi, aż do bólu serca. Kiedy parę minut później trzasnęły drzwi wejściowe, wciąż jeszcze stałam przy oknie swojej sypialni, wpatrzona w obrazy przeszłości, które powróciły nagle z zaskakującą intensywnością.

– Mamo?! Widziałaś?! – Głos Evi dobiegł z korytarza, wyrrywając mnie z zamyślenia.

Karol zerwał się jak poparzony i czmychnął pod łóżko. Jego reakcja wprawiła mnie w kompletną konsternację, ale roześmiana i zaróżowiona twarz Evi, która wkrótce ukazała się w drzwiach sypialni, odsunęła moją uwagę od jego zachowania.

– Tak, widziałam – odparłam, siląc się na uśmiech. Podeszła do mnie i uściśnięła mocno. Poczułam jej ciepłe dłonie na moich ramionach i policzek na moim własnym. Oczy błyszczały jej radośnie. Mówiła jeszcze coś o szkole i rowerze, jakby była siedmioletnim zaaferowanym dzieckiem. Przyglądałam się jej, słuchając nieuważnie.

– Mamo? Mamo? – Niebieskie oczy Evi patrzyły na mnie spod uniesionych brwi. – To mogę czy nie?

Skinęłam głową, nie wiedząc nawet, na co się godzę. Od tamtego dnia zaczęłam uważniej studiować zachowanie kota. To wtedy zauważyłam, już bez wątpliwości, że Karol omijał Evi szerokim łukiem. Ilekroć siadałyśmy razem na sofie, gdzie spał, zeskakiwał natychmiast, oglądając się na nas lekko urażonym wzrokiem. Kiedyś zwykł sypiać na łóżku Evi, teraz chętniej

wybierał moje. Nie łąsił się do niej i unikał kontaktu lub choćby przebywania blisko jej osoby. Ona sama zdawała się tego nie zauważać. Zresztą jej życie po długich latach więzienia, na jakie skazywała ją choroba, nagle nabrało nowego wymiaru. Znow pojawiły się koleżanki, szkoła, zajęcia, wyjścia. Jej stary, wierny przyjaciel i towarzysz niedoli w chwilach samotności został brutalnie odsunięty na bok. Tak to sobie przynajmniej tłumaczyłam, spychając wszechogarniający niepokój do rzadko odwiedzanego zakamarka głowy.

Nim się spostrzegliśmy, był kwiecień, mój ulubiony miesiąc roku, ponieważ wszystko budzi się wtedy do życia, jeszcze zaspane i nieśmiałe słońce staje się coraz cieplejsze, nagie gałęzie drzew zaczynają się zielenić, choć nie tak nachalnie jak w maju. Zielone trawniki nad brzegiem kanału pokryły się mleciami. Ogród Charlotte eksplodował kolorami i zapachami. Białe magnolie, intensywnie żółte krzewy forsycji, obsypane różowymi kwiatami drzewa wiśni. Łuk ponad drzwiami frontowymi, który porastały pnące się róże, zaczął się zazieleniać i między liśćmi widoczne były małe pączki kwiatów. Nigdy nie interesowałam się ogrodnictwem, choć lubiłam zieleń. To od Charlotte nauczyłam się nazw krzewów, drzew i kwiatów. Jej ogród zmieniał się w magiczne miejsce, gdzie latem w cieniu drzew można było wypić mrożoną herbatę z wyhodowanej przez nią mięty, nasłuchując bzyczenia pszczoł, obserwując motyle i ptaki. Wiosną każdą wolną chwilę spędzała pochylona nad rabatkami, grzebiąc w ziemi. Tak zastałam ją, gdy w pewne popołudnie zaraz po pracy wybrałam się do nich w odwiedziny. Zaparzyłyśmy kawę i owinięte w kurtki piłyśmy ją w promieniach chłodnego jeszcze słońca.

– Widzę, że coś cię gryzie – powiedziała wreszcie po tym, jak przegadałyśmy wszystkie codzienne sprawy. – Wszystko w porządku z Evi?

– Tak, tak – odpowiedziałam szybko. Nie chciałam, żeby się martwiła niepotrzebnie.

– Kiedy jedziecie do Groningen?

– Za dwa tygodnie.

– To cię martwi? Przecież wyniki Evi są bardzo dobre.

– Nie, coś innego, szczerze mówiąc. Tylko się nie śmieję. Karol dziwnie się zachowuje.

Charlotte uśmiechnęła się z nieukrywaną ulgą.

– Jest marzec, może ma ochotę na marcowanie.

– Przecież jest wykastrowany, poza tym nigdy się tak nie zachowywał.

– Ale co konkretnie robi? Miauczy? Hałasuje?

– Jest... niezbyt przyjazny w stosunku do Evi.

Charlotte pokiwała głową.

– Pamiętasz Divę, moją pierwszą kotkę, jeszcze z czasów sprzed dzieci? Pewnego razu naderwałam mięsień i musiałam spędzić dwa tygodnie w domu. Kiedy wróciłam do pracy i Diva znow zostawała całe dni sama, codziennie sikała mi do butów. Koty nie lubią zmian. I potrafią dać ci to wyraźnie do zrozumienia.

Opuściłam ogród mojej siostry lżejsza i spokojniejsza. Cała Charlotte. Zawsze wiedziała, co powiedzieć, jak pocieszyć. Urodziła się, by być mamą, i dobrze o tym wiedziała. Matkowała nam wszystkim, gdy tego potrzebowaliśmy, i wydawało się, że jej siły witalne nigdy się nie wypalały.

Jechałam rowerem przez miasto, napawając się zapachem przedwiośnia.

Ale nie tylko przyroda rozrastała się bujnie. Również Evi rozkwitała po zbyt długiej zimie. Jej niebieskie oczy przybrały odcień morza w słoneczny bezchmurny dzień, włosy lśniły,

policzki były zdrowo zaróżowione. Miałam wrażenie, że w mojej córce budzi się młoda dziewczyna, którą tak naprawdę jeszcze nie miała okazji być.

W kwietniu, po serii kontroli u miejscowego kardiologa w szpitalu w Sneek, czekała nas wizyta u specjalisty od przeszczepów w szpitalu w Groningen, gdzie odbyła się operacja Evi. I choć teoretycznie nie było najmniejszego powodu do zmartwień, wciąż odczuwałam jakiś niewyjaśniony niepokój, który jak tajemnicza wysypka rozprzestrzenił się w mojej głowie. Odmawiałam sobie jednak prawa do niego i uparcie przekonywałam siebie, że to nie z naszą córką, tylko z naszym kotem, jest coś nie w porządku. W końcu nasze życie zaczynało się od nowa, cień, z którym nauczyliśmy się żyć, rozwiął się jak mgła, ukazując naszym oczom piękny widok na przyszłość. Dlaczego więc patrzyłam w nią z obawą?

Evi Brouwer

PAMIĘTAM DOKŁADNIE, że pierwszy sen przyśnił mi się w noc przed kontrolą na oddziale kardiologicznym w Groningen. To chyba od niego wszystko się zaczęło. Może był to dziwny zbieg okoliczności, może wynik napięcia, jakie nieświadomie spiętrzyło się w związku ze zbliżającą się wizytą w szpitalu, gdzie wykonano przeszczep. Wtedy wydawało mi się, że powrót do tego miejsca niesie ze sobą irracjonalny lęk. Żeby odwrócić uwagę od myślenia o kontroli, do późna w nocy oglądałam telewizję. Mama nie powiedziała na ten temat ani słowa, choć położyła się wcześniej niż ja. Przypuszczam, że zauważyła moje zdenerwowanie. Kiedy zamknęła za sobą drzwi do sypialni, zostałam sama. Przez chwilę próbowałam skupić się na akcji toczącej się na ekranie telewizora, jednak po chwili moją uwagę przykuł Karol. Po tym, jak mama opuściła pokój, zerknął na mnie nieufnie. Wyprostował grzbiet, przeciągnął się i ułożył ponownie, tym razem na najodleglejszym krańcu sofy. Obserwowałam go w milczeniu. Wstałam i podeszłam do niego, powoli i ostrożnie wyciągając dłoń. Czmychnął jednak, fukając zabawnie. Usiadłam na podłodze, opierając plecy o sofę. Sięgnęłam po pilota, żeby wyłączyć telewizor. Nagle w ciemnym ekranie zobaczyłam moje własne odbicie zanurzone w dziwnym cieniu. Z tej odległości nie mogłam odgadnąć, czy to byłam ja, czy ktoś zupełnie inny. Z fascynacją przyglądałam się dziewczynie w odbiciu. Czy była ładna? Interesująca? Zdrowa czy chora?

Tej nocy śniłam, że jestem w jakimś bardzo zatłoczonym miejscu. Wydawało mi się, że była to dyskoteka, ale do końca nie potrafiłam tego określić. Było zbyt ciemno, by dojrzeć ściany, więc pomieszczenie zdawało mi się bezkresne. Postacie wokół mnie poruszały się rytmicznie, choć nie słyszałam muzyki. Sylwetki okryte mrokiem wydawały się nie mieć twarzy, jakby były tylko poruszającymi się falami głów. Niemal czułam, jak ich ciała ocierały się o mnie. Nie mogłam się poruszyć, ciała przylegały do mnie ciasno, od ich dotyku wzbierała we mnie jakaś panika. Próbowałam dojrzeć ich oblicza, lecz wszystkie były jednakowo wykrzywione i zamazane, jakbym widziała je w odbiciu bardzo brudnego lustra. I wtedy ponad głowami tłumu ujrzałam jedną wyraźną twarz, ostre rysy, bystre oczy. Choć dzieliła nas spora odległość, wiem, że widziałam ją bardzo dokładnie. Patrzyła wprost na mnie i było w jej oczach coś zapraszającego, jakaś zachęta ukryta w spojrzeniu, przyciąganie, które sprawiło, że podjęłam trud przepychania się przez labirynt ciał. Jednak kiedy się poruszyłam, dziewczyna wciąż jeszcze

nie spuszczać ze mnie wzroku, zaczęła się oddalać, jakby próbowała dać mi znak, że muszę podążać za nią. Próbowałam nie stracić jej z oczu i torować sobie drogę w rytmicznie falującym tłumie. Wkrótce jednak jej postać zniknęła, jak gdyby fala ciał pochłonęła ją na zawsze. Zatrzymałam się całkowicie zdezorientowana. Otaczające ciała napierały na mnie i miałam wrażenie, że nigdy się stamtąd nie wydostanę.

Obudziłam się z uczuciem bólu w uszach. Minęło parę sekund, nim dotarło do mnie, że irytujący dźwięk dochodził z telefonu, który leżał przy moim łóżku. Sięgnęłam po niego dłonią i odebrałam połączenie.

– Hej, Evi! Obudziłem cię? – Głos Toby’ego docierał do mnie przez mgłę snu. Mruknęłam coś niewyraźnie i poczułam nagle wzbierającą irytację, której źródła nie potrafiłam wyjaśnić. – Chciałem tylko usłyszeć twój głos, zanim zaczną się lekcje. O której wyjeżdżacie do Groningen?

– O dziewiątej.

– Jedziecie same?

– Tata po nas przyjedzie – powiedziałam, pocierając zaspane oczy. Nie miałam ochoty rozmawiać. Nie ciągnęłam więc dalej. Toby jednak błędnie zinterpretował moje lakoniczne odpowiedzi.

– Denerwujesz się? Chcesz, żebym się wyrwał ze szkoły i przyjechał?

W głowie próbowałam wyłapać resztki snu, szczegóły rozmywały się wraz z sączącym się do moich oczu światłem dnia.

– Nie – odparłam lekko roztargnionym głosem.

– Nie denerwujesz się czy mam nie przyjeżdżać? – dopytywał się, co tylko wzmogło moje już i tak narastające rozdrażnienie.

– Jezu, Toby... – jęknęłam, zanim zdążyłam się powstrzymać.

W słuchawce zapadła cisza i chyba żadne z nas nie wiedziało, jak ją przerwać. Naprawdę wolałam, żeby się rozłączył. Było mi głupio, że tak wypaliłam bezmyślnie. Wbiłam zęby w dolną wargę.

– OK. Do jutra – powiedział w końcu trochę zbolalym głosem. Połączenie zostało przerwane, ale zamiast poczuć się winna, westchnęłam z ulgą.

Rzuciłam telefon na kołdrę i przymknęłam powieki. Było jednak za późno. Twarz dziewczyny, którą tak bardzo chciałam zapamiętać, rozwiła się, jakby była zbudowana z sypkiego piachu. Pozostała mi jedynie pewność, że ją widziałam.

W gabinecie panowała całkowita cisza. Po serii badań i osłuchaniu mnie przez kardiologa zasiedliśmy przy jego biurku, gdzie przeglądał wyniki moich dotychczasowych kontroli. Byłam strasznie głodna i zmęczona. Mama zaciskała palce do białości, tata zaś siedział nieruchomo jak posąg. Ich napięcie udzielało się również mnie. Patrzyłam na łysiejącą głowę lekarza, pochyloną nad papierami. Wskazującym palcem wsunął okulary wyżej na nos i przez dłuższą chwilę przesuwając myszką, wpatrując się w monitor komputera. Jego czoło pofałdowały długie, głębokie zmarszczki, a usta zbiegły się w zabawny dzióbek. Chrząknął tak nagle, że mama podskoczyła na krześle. Kiedy wreszcie otworzył usta, żeby coś powiedzieć, mama niemal przestała oddychać.

– Tętnice i osierdzie serca wyglądają bardzo dobrze, ciśnienie tętnicze utrzymuje się w pięknej normie. Kurczliwość globalna jest w porządku, kreatynina bez zmian, współczynnik

przesiąkania kłębuszkowego nerek również. Cóż, Evi, widzę, że polubiliście się ze swoim nowym sercem. Pracuje, jakby było twoje. – Patrzył na mnie z uśmiechem, który nagle miałam ochotę zdrapać mu z twarzy paznokciami. Teraz to było moje własne serce, pomyślałam poirytowana. Nie pożyczylam go. Prezent, jaki dostajesz, jest twój. Własny.

Mama, z której napięcie spłynęło w ułamku sekundy, zaczęła opowiadać lekarzowi o tym, jak przykładnie biorę leki i dbam o zdrowie oraz zrównoważony wysiłek fizyczny, że przetrwałam zimę bez żadnej infekcji i nie miałam nawet kataru. Lekarz kiwał głową, zerkając na mnie z zainteresowaniem. Tata uśmiechał się lekko, jakby i jemu spadł z serca jakiś ciężar.

– Evi, jak się czujesz? Często bywasz zmęczona?

Wzruszyłam ramionami. Przez głowę przebiegały mi różne myśli. Ale odpowiedź zdawała się sama wyslizgnąć z moich ust.

– Czuję się... normalnie – odparłam, co było największym kłamstwem, jakie próbowałam wmówić sama sobie.

Opuściliśmy Centrum Medyczne w Groningen z wyznaczoną datą kolejnej wizyty dopiero we wrześniu. Skąd miałam wtedy wiedzieć, że za parę miesięcy pojadę tam z zupełnie inną odpowiedzią?

Kiedy następnego dnia jechałam do szkoły ścieżką rowerową wzdłuż Parku Wilhelminy, czułam się dziwnie podekscytowana. Wiał delikatny, jeszcze chłodny wiatr. Ale promienie słońca tańczyły wesoło między gałęziami drzew i odbijały się w wodach kanału, niemal rażąc w oczy. Wszystko pachniało trawą i glebą. Zwolniłam i rozejrzałam się wokół. Nagle zrozumiałam, dlaczego moja mama tak lubiła kwiecień. Miałam wrażenie, jakbym po raz pierwszy zobaczyła, że zieleń ma tysiące odcieni – od jasnych, niemal pastelowych, poprzez intensywne do bólu oczu, aż do ciemnych i głębokich. Mój wzrok zauważył krople rosy wiszące na długich źdźbłach trawy. Pod wpływem słonecznych promieni zmieniały się w błyszczące koraliki. Wszystko powoli nabierało koloru, głębi, intensywności i zaczynało pulsować, jakby przez obumarłe tkanki znów krążyły życiodajne soki. W powietrzu unosił się zapach oczekiwania, jakaś bliżej nieokreślona obietnica, która przyprawiała mnie o gęsią skórę. Prawie słyszałam, że świat coś do mnie szeptał ponad ogłuszającym świergotem ptaków. Obezwładniło mnie uczucie, że coś się zbliża, coś, czemu musiałam ulec.

– Evi! – Głos Toby’ego wyrwał mnie z tego dziwnego stanu zawieszenia między błogością i ekscytacją. – Evi, dobrze się czujesz? Coś się stało?

Prawie zeskoczył z roweru, a niepokój w jego oczach, gdy na mnie spojrzął, szybko narastał i przeradzał się w panikę. Dopiero wtedy zorientowałam się, że stoję obok mojego roweru na środku ścieżki.

– Tak, nie, to znaczy... Nic się nie stało – odparłam szybko i rozejrzałam się wokół, jakby sprawdzając, czy wszystko, co widziałam jeszcze przed chwilą, nadal tam było. Świat jednak zdawał się znów zupełnie zwyczajny, tylko zapach pozostał, rozwiewając się powoli. Chciałam za nim podążyć, ale Toby położył mi dłoń na ramieniu.

– Ale mnie przestraszyłaś. Myślałem, że źle się poczułaś... – Przejechał palcami po zmierzwionych włosach. – Strasznie wczesnie dziś wyszłaś. Byłem u ciebie w domu po drodze, ale twoja mama powiedziała, że już pojechałaś. Nadal jesteś zła za wczoraj?

– Nie jestem zła – odparłam, nie całkiem zgodnie z prawdą.

– Nawet mi nie napisałaś, jak poszła wizyta w szpitalu – powiedział z wyrzutem w głosie.

– Wiem, przepraszam, byłam zmęczona. – Powstrzymałam ciężkie westchnienie, które stężało mi w płucach.

– OK.

Wsiedliśmy na rowery i przez chwilę jechaliśmy obok siebie w dziwnie niezręcznej ciszy. Parę minut potem zaparkowaliśmy rowery na olbrzymim placu przed budynkiem szkoły. Słońce odbijało się w szybach, rażąc nas w oczy. Zaraz za nami nadjechały inne dziewczyny z klasy. Pomachały do nas, nie przerywając głośnych rozmów i chichotu. Ruszyłam w ich stronę, ale nim zdążyłam odejść, Toby chwycił mnie za rękę.

– Evi... Wszystko jest między nami OK, prawda? – W jego głosie usłyszałam źle skrywane błaganie.

Skinęłam głową i odwróciłam się. Jakoś nie mogłam znieść jego spojrzenia, które czułam na plecach nawet wtedy, gdy dzieliły nas już długie metry. Dołączyłam do grupki dziewcząt i z przylepionym na ustach uśmiechem słuchałam nieuważnie ich rozmów. Urwałam się ze szkoły godzinę wcześniej. Nauczycielce powiedziałam, że słabo się czuję. Bez słowa pozwoliła mi jechać do domu. Tak naprawdę nie chciałam wracać z Tobym. Zignorowałam wiadomości, które mi wysłał. Tak jak ignorowałam fakt, że Karol na mój widok schował się za szafę, spod której nie chciał wyjść, nawet gdy próbowałam skusić go kawałkiem wędliny. Zamknęłam się w swoim pokoju i próbowałam ochłonać ze wzbierających się we mnie emocji. Założyłam słuchawki na uszy i wkrótce mocna ściana głośnej muzyki oddzieliła mnie od świata i od samej siebie.

Finn Velde

MÓWI SIĘ, ŻE BLIŹNIĘTA ŁĄCZY NIEZWYKLE SILNA WIĘŹ wykraczająca poza normalną relację między rodzeństwem. Któż nie zna tych opowieści o tym, że kiedy jedno z bliźniąt się skaleczy, drugie również doświadcza bólu. Podobno potrafią przeczuć, co dzieje się z siostrą lub bratem, oraz odczuwają nawzajem swoje stany emocjonalne. Niektórzy twierdzą, że bliźnięta wyposażone są w szósty zmysł, pozwalający im na pozostawanie w łączności niezależnie od odległości i okoliczności. Choć nie ma żadnych dowodów naukowych na tę bliźniaczą telepatię, znane są przypadki bliźniąt, które rozdzielone tuż po narodzinach, prowadziły niemalże identyczne życie, doznając tych samych chorób, przeżywając te same porażki i sukcesy czy dokonując podobnych zawodowych i osobistych wyborów. Łączy je często nie tylko identyczny lub bardzo podobny wygląd, ale również te same zainteresowania, cechy charakteru oraz sposób postrzegania świata.

Niestety nie mogłem potwierdzić nic z tej teorii, mimo że urodziłem się jako jedno z bliźniąt.

Finya była ode mnie starsza o siedem minut. Choć zawsze wydawało mi się, że było to siedem lat. Byliśmy zupełnie zwykłym rodzeństwem. Łączyła nas bliska relacja, która miała swoje wzloty i upadki, ale nie było w niej nic nadnaturalnego, żadnych tajemniczych i niewyjaśnionych właściwości, brak jakiegokolwiek telepatii. Byliśmy bliźniakami, choć przede

wszystkim po prostu siostrą i bratem.

Chciałbym, żeby było inaczej. Szczególnie po tym, gdy zmarła, pragnąłem odczuć choć raz jej obecność i doznać głębokiego przekonania, że była blisko mnie. Czułem jednak jedynie pustkę, a nieobecność Finyi ujawniała się we wszystkim, czego dotknąłem. Gdy otwierałem szafkę w kuchni, mój wzrok padał najpierw na ulubiony kubek Finyi, gdy słuchałem radia, zawsze puszczała którąś z jej ulubionych piosenek. Tak było ze wszystkim. Nie wspominając już o Sanderze. Jego obecność, jak nic innego, przypominała mi o tym, co się stało.

Mijały miesiące, ale puste miejsce przy stole w naszym domu z każdym dniem było coraz bardziej puste, jak wnęka, która się pogłębia, lub czarna dziura wciągająca w nicność wszystko, co się do niej zbliży. Było za dużo milczenia i smutku, który jak wielka nabrzmiała burza chmura wisiał nad naszym domem. I choć po okresie intensywnej żałoby codzienne życie pozornie wróciło do normy, nic już nie było takie samo.

Wszędzie kryły się jakieś zagubione lub zapomniane resztki życia Finyi, które wypełzały w najmniej oczekiwanych momentach, nie zawsze mile widziane.

Mama zdawała się z całą stanowczością odmawiać zaakceptowania jej śmierci. Po rozpacz i smutku przysłała złość na wszystkich i wszystko. Włącznie z Finyą. Ciepłe wspomnienia mieszała z dozą winy, powtarzając, że Finya wiecznie robiła jej na złość, nie słuchała rodziców i w końcu wpędziła się do grobu. Zwykle uparcie milczałem, gdy zabierała się za wyliczanie mi moich własnych win. Tych najgorszych i tak nie znała.

Mama zacięcie i pieczołowicie gromadziła wszystko, co zostało po Finyi. Pokój mojej siostry był zachowany dokładnie w takim stanie, w jakim go opuściła. Mama nigdy nie wchodziła do środka, choć przyłapywałem ją czasem, jak stała w progu, wodząc nieobecny wzrokiem po wnętrzu. Zastanawiałem się, czy oczyma duszy widzi Finyę zajęta swoimi sprawami. Albumy ze zdjęciami z naszego dzieciństwa zajęły centralne miejsce na półce z książkami. Wszyscy powoli przyzwyczajaliśmy się do życia z duchem mojej siostry, niewidzialnym, lecz obecnym.

Niczego innego się zresztą nie spodziewałem po mojej siostrze. Ktoś taki, jak ona nie oddaje swojej pozycji bez walki. A wojowniczką była od urodzenia. Jako słabsza z naszej dwójki miała po narodzinach mniejsze szanse na przeżycie. Szybko jednak zaczęła przybierać na wadze i kiedy wreszcie rodzice mogli nas zabrać ze szpitala, Finya opuszczała go jako ta większa i silniejsza z dwojga bliźniąt.

I tak już pozostało. Nie mam pojęcia, czy Finya lubiła być moją siostrą. Wiem za to, jak to było być jej bratem. Dorastałem w cieniu mojej siostry. Podczas gdy ona wspinała się na drzewa, grała w piłkę i tłukła kolana, jeżdżąc na rowerze, ja malowałem jej kolorowanki z księżniczkami. Jako bliźnięta musieliśmy nauczyć się znosić siebie nawzajem nie tylko w domu, ale również w szkole. Byłem tym chłopcem w klasie, który bał się piłki rzuconej w jego stronę. Nie biłem, nie pląłem, nie kłąłem, nie potrafiłem szybko biegać ani kopać piłki. Byłem wybierany jako ostatni przy podziale członków drużyny do gry, tylko po to, by grać ławkę rezerwy. O tym, że mili chłopcy mają w życiu trudniej, przekonałem się bardzo szybko. Niewiele czasu minęło, gdy przypięto mi chwalebny etykietkę *cioty*, z którą musiałem nauczyć się żyć. Kariera szkolna Finyi przebiegała zupełnie inaczej. Była tym dzieckiem zwykle pakującym się w kłopoty z nauczycielami, ale lubianym przez rówieśników. Mama mawiała, że Finya doprowadza ją do czarnej rozpacz. Żadne kary, zakazy, nakazy, szantaże czy reprimendy nie działały. Finya robiła to, co chciała i jak chciała. Uparta, konsekwentna i nie do złamania. Nie potrzebowała aprobaty innych. I nie bała się ich krytyki. Nawet jeśli chodziło o jej własnych rodziców.

Po wypadku zaczęły powracać do mnie różne zapomniane wspomnienia z dzieciństwa, piosenki, które śpiewaliśmy, książki, które lubiliśmy, miejsca, które odwiedzaliśmy. Jedno z pierwszych wspomnień nawiedziło mnie już w szpitalu, zaraz po tym, jak Finyę zabrano na salę operacyjną, by z jej ciała wyjąć organy. Patrzyłem na puste miejsce, gdzie chwilę wcześniej stało szpitalne łóżko. To wtedy przypomniały mi się wakacje, gdy mieliśmy po siedem lat. Wyjechaliśmy na wakacje do Hiszpanii, gdzie rodzice wynajęli willę z ogrodem i basenem. Bawiliśmy się tam całymi dniami i trudno było wyciągnąć nas na jakiegokolwiek zwiedzanie. Na tyłach domu znaleźliśmy niewielką dziurę w furtce, przez którą przedostaliśmy się na porośnięte krzewami i drzewami zbocze. To był mój pomysł. Chciałem zobaczyć widok ze szczytu zbocza. Zaczęliśmy wspinać się do góry w kierunku pochyłego drzewa, na które planowaliśmy się wdrapać. Pokazałem Finyi, gdzie chcę się dostać, i chwilę potem siedzieliśmy na pierwszej gałęzi. Poczułem wyraźnie, jak kołysze się pod naszym ciężarem. To wtedy wpadłem w panikę. Straciłem równowagę i próbując złapać się czegokolwiek, spadłem, pociągając za sobą Finyę. Upadliśmy na twarde podłoże. Stoczyliśmy się kawałek w dół, ale zatrzymały nas ostre krzewy. Wrzeszczałem jak opętany. Ból rwał kostkę. Rodzice nadbiegli po chwili, ale nie mogli przedostać się przez niewielką dziurę w ogrodzeniu. Innej drogi nie było, ponieważ zbocze biegnące wzdłuż siatki porastały gęsto krzewy, przez które nie dało się przedostać. Finya pomogła mi się podnieść. Wspierając się na jej ramieniu i skacząc na jednej nodze, dotarłem do wnęki w siatce, przez którą rodzice wciągnęli mnie na teren ogrodu. Kiedy tylko znalazłem się w ramionach taty, mama skontrolowała moją kostkę, po czym odwróciła się do Finyi. Pamiętam jej głos pełen furii i wyrzutów.

– Ty i te twoje głupie pomysły! Popatrz, co narobiłaś! Przecież Finn mógł przez ciebie złamać nogę! Pewnego dnia wylądujesz w grobie i pociągniesz za sobą kogoś innego! Nie możesz choć raz normalnie się pobawić?! Czy ty zawsze musisz wymyślać najbardziej niebezpieczne zabawy i do tego wszystkiego wciągać w nie brata?!

Finya nie odezwała się ani słowem. Mimo że upadła z tej samej wysokości, co ja, nie płakała. Stała tam z zaciętą twarzą, jej usta były zaciśnięte w wąską kreskę, oczy utkwione gdzieś ponad ramieniem mamy. Tamtego dnia nie odezwała się już do nikogo więcej. Ale nazajutrz wszystko było w porządku, jakby nic się nie stało. Moja skręcona kostka bolała jeszcze dwa dni, choć dużo bardziej bolało mnie, że nie miałem odwagi się wtedy odezwać i powiedzieć prawdy.

Finya i ja sporo czasu spędzaliśmy razem, choć różniły nas temperamenty i zainteresowania. Nawet lata później, gdy oboje byliśmy nastolatkami, trzymaliśmy się razem. Zawsze zabierała mnie ze sobą jak wiernego psa. Nie protestowałem, bo poza nią nie miałem tak naprawdę wielu przyjaciół. Zawsze mnie chroniła, nawet gdy o to nie prosiłem. Długo myślałem, że robiła to, bo byłem dla niej ważny. Nieraz plątałem się jej pod nogami, zawadzałem jak piąte koło u wozu, choć nigdy nie dała mi tego odczuć. Znałem jednak moją siostrę lepiej niż ktokolwiek inny. Zwykłem ją wielbić, choć moja adoracja miała ostrą krawędź zazdrości. Bo Finya tak naprawdę była egoistką. Nie zważała na innych. I wiem, że trzymała mnie blisko siebie, bo mimo wszystko była taka, jak każdy z nas. Potrzebowała kogoś, kto zawsze stałby po jej stronie. Niestety dokonała w tej kwestii niezbyt szczęśliwego wyboru.

A ja dowiedziałem się, że nienaprawione błędy lubią powracać w innej formie, by nam przypomnieć nasze grzechy, za które nie odpokutowaliśmy.

Chantal Simons

ZASTANAWIAŁAM SIĘ, CZY BEZSENNOŚĆ STAŁA SIĘ JUŻ MOIM NAWYKIEM. W mroku nocy czuwałam sam na sam z moimi myślami. Evi sypiała bardzo dobrze i z błogą przyjemnością wsłuchiwałam się w senną ciszę dochodzącą zza drzwi jej pokoju. Po okresie rekonwalescencji zdawała się bez trudu odbudowywać życie zwykłej nastolatki. Z łatwością wróciła do szkoły i nadrabiając zaległości, próbowała dogonić rówieśników, w czym nauczyciele dopingowali ją z entuzjazmem. Coraz częściej Evi odwiedzały koleżanki, choć nadal rzadko dokądś wychodziła, starając się koncentrować na nauce. Carl z zachwytem opowiadał wszystkim o postępach i dobrze rokującym zdrowiu Evi. Biło od niego przekonanie, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. W weekendy zapewniał jej rozrywki, twierdząc, że musi się rozerwać. Zabierał ją do kin, restauracji i na koncerty, po czym odwoził w niedzielne popołudnie roześmianą i rozluźnioną.

Odnosiłam wrażenie, że byłam jedyną osobą, która miała jakiegokolwiek trudności z przystosowaniem się do nowej sytuacji. Próbowałam nadążyć za naszym nowym tempem życia. Wróciłam do pracy na pełen etat i brakowało mi wspólnego czasu spędzanego z Evi. Wiedziałam, że tak jest lepiej, że musiałam pozwolić jej na samodzielność i wolność, która została jej na tak długi czas odebrana przez chorobę.

Staralam się, by chwile, jakie spędzałyśmy razem, były ciepłe i wartościowe. Evi najczęściej błędziła myślami. Nasze niegdyś szczerze rozmowy zaczęły przybierać formę lakonicznej, jednowyrazowej wymiany zdań. Zrzucałam winę na zmęczenie, wiedząc, ile wysiłku wkładała w nadrobienie zaległości w szkole, nie tylko w nauce, ale również w życiu z rówieśnikami i wśród rówieśników.

Nie mogłam jednak nie zauważyć drobnostek, które powoli formowały całkiem pokaźny stosik. Niewielkie zmiany w zachowaniu mojej córki, które najpierw wywoływały jedynie lekkie zdziwienie, stopniowo zaczęły budzić lęk.

Talerz ze swoim ulubionym daniem odsuwała coraz częściej z miną obrzydzenia, pytając, czy zmieniłam coś w przepisie. Zapiekankę ze szpinakiem i łososiem robiłam zawsze w ten sam sposób. Wkrótce drogą kuchennych eksperymentów doszłam do wniosku, że Evi nie tolerowała szpinaku, jarmużu ani innych zielonych liści, które do tamtej pory zjadała ze smakiem. Miała za to zawsze ochotę na pizzę, spaghetti albo frytki, co przed operacją nie stanowiło stałego punktu w naszym menu.

Coraz częściej stawiała też przed swoją szafą i, niezadowolona z jej zawartości, bardzo krytycznie przerzucała ubrania. Tłumaczyłam sobie, że dotąd nie miała tyle styczności z rówieśnikami ani szansy, by porównywać się do innych. Kiedy jednak wyszłyśmy na zakupy, okazało się, że moja córka na wszystkie podsuwane jej ubrania kręciła głową. Odmawiała mierzenia podkoszulków w swoich ulubionych kolorach, w jasnych odcieniach mięty, błękitu i różu, w którym tak bardzo było jej do twarzy. Jednak gdy prosiłam, żeby sama coś wybrała, wydawało się, że nie bardzo wiedziała, czego chce. Wróciłyśmy do domu sfrustrowane i zmęczone.

W dni wolne od pracy, nawet w te, które Evi spędzała u Carla, umawialiśmy się w trójkę na wycieczki rowerowe, wyjścia do restauracji czy muzeum. Obserwowałam uważnie zachowanie naszej córki względem taty, jakbym chciała się upewnić, że nie tylko wobec mnie była tak

lakoniczna. Różnica między mną a Carlem polegała jednak na tym, iż on zdawał się tego całkowicie nie zauważać. Przy stole rzucał żartami, opowiadał anegdoty z pracy i sprawiał wrażenie, jakby odżył, jakby to, przez co przeszliśmy, nie pozostawiło na nim żadnego śladu. Wiedziałam, że ocenianie go w ten sposób było niesprawiedliwe, że kochał naszą córkę i martwił się o nią tak samo jak ja. Miałam jednak uczucie, że coś jest nie tak. Przeczucie, którym nie śmiałam się podzielić. Jednak byłam wdzięczna Carlowi za to, że zupełnie nieświadomie stał się równoważnią dla moich lęków. Bez trudu potrafił je ugłaskać i poskromić głupim żartem, odwracaniem uwagi, swoją żywotnością i swym entuzjazmem. Czas, który spędzaliśmy razem, uświadomił mi, że byliśmy świetnym małżeństwem i dobraną parą. Z ukłuciem żalu myślałam o tym zmarnowanym potencjale, o porzuconej szansie i o zburzonych możliwościach nie do odbudowania.

Nagle przypominały mi o tym spędzone wspólnie chwile, każda nasza rozmowa, każdy telefon bez okazji, śmiech. Moja uwaga skupiła się na naszej coraz cieplejszej relacji. Był to błąd, który krótko potem miałam sobie za złe. Skąd miałam wiedzieć, że za niedługo będę sobie znów wyrzucać, że coś ważnego umknęło mojej uwadze? Ale może tak to jest w życiu, że nienaprawione błędy, których sobie nie wybaczyliśmy, wracają do nas dopóty, dopóki nie nauczymy się ich naprawiać.

Pozwoliłam się więc dać uwieść majowej beztrójce i złudnym nadziejom, że może nie wszystko jeszcze przepadło i możemy być tak po prostu szczęśliwi.

Zacząłam częściej spoglądać w lustro i z przerażeniem stwierdziłam, że lata trosk pozostawiły zauważalne ślady na moim ciele. Ze zdziwieniem patrzyłam na kobietę w lustrzanym odbiciu, na jej poszarzałą cerę bez grama makijażu, krótkie jasne włosy zaczesane do tyłu, zbyt szeroką szczękę i pięciokilogramową nadwagę, której nie zrzuciła od lat. Gdzie się podziała zawsze dobrze ubrana i perfekcyjnie umalowana Chantal? Zanim zdążyłam się powstrzymać, pomyślałam o Carlu, o tym, czy mógłby jeszcze zobaczyć ją we mnie. I czy gdyby tak się stało, potrafiłabym dać nam jeszcze jakąś szansę. Tyle lat żyliśmy obok siebie, połączeni tym samym niewymownym lękiem jak magicznym nierozzerwalnym łańcuchem.

Zadzwoił do mnie w sobotnie przedpołudnie, że są z Evi w mieście, gdzie odbywały się koncerty, i pomyśleli, że może chciałabym z nimi spędzić popołudnie. Pamiętam, że w panice wyrzucałam z szafy wszystkie bluzki, że czułam szybko krążącą krew. Ręka, którą próbowałam malować rzęsy, drżała niekontrolowanie. Tusz był stary i kruszył się, opadając na policzki. Klęłam na głos, a Karol, siedzący na umywalce w łazience, patrzył na mnie z rozbawieniem. Głupia kobieta, myślał pewnie.

Podczas gdy wolnym krokiem mijaliśmy ulice centrum, klucząc w tłoku, wchłaniając atmosferę radości i swobody, czułam się jak w maszynie czasu, jakbyśmy przenieśli się lata wstecz i znów byli tamtą Chantal i tamtym Carlem, którzy kiedyś szli tymi drogami, unosząc się w swojej bańce mydlanej. Dużo rozmawialiśmy – o pracy, polityce, o wszystkim. Może dlatego milczenie Evi nas nie zaniepokoiło. Nie mogliśmy przecież oczekiwać, by nastolatka miała ochotę na drażnienie sytuacji społecznej w kraju. Jedliśmy lody, słuchaliśmy muzyki, spacerowaliśmy i gdy dobiegła siedemnasta, byliśmy w drodze do apartamentu Carla. Szliśmy uliczką nad wodą wiodącą wzdłuż odnowionego budynku teatru. Gdy doszliśmy do osiedla mieszkaniowego, nastał czas na rozstanie.

– W sumie jestem strasznie głodny i niewiele mam w lodówce. Może... zjesz dziś z nami w restauracji?

Miałam wrażenie, że nie chciał się jeszcze rozstawać i ta myśl sprawiła mi więcej przyjemności, niż chciałabym przyznać.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł... Evi, nie jesteś zbyt zmęczona? – zwróciłam się do córki, która patrzyła na nas z lekkim uśmiechem. – Może wolisz wrócić z tatą do domu i odpocząć? Chodziliśmy cały dzień...

– Nic mi nie jest, mamie – przerwała mi i wzruszyła ramionami. – Możemy zjeść razem. Ale idziemy na pizzę.

Carl westchnął z udawaną irytacją i mrugnął do mnie. Nie przepadał za pizzeriami i baremi szybkiej obsługi, lubił jadać w eleganckich miejscach, gdzie obsługiwano go z namaszczeniem. Uśmiechnęliśmy się do siebie.

– Tu za rogiem, obok biblioteki, jest pizzeria. – Przypomniałam sobie nagle miejsce, gdzie parę miesięcy temu w lodowato zimne popołudnie ostatniego dnia roku kupowałam pizzę na wynos. Wspomnienie zapachu w pomieszczeniu sprawiło, że moje ślinianki zaczęły pracować na wysokich obrotach i sama poczułam ogromny głód.

– Masz na myśli Wenezję? – zapytał.

– Nie wiem, jak się nazywa to miejsce, ale kupiłam tam kiedyś pyszną pizzę.

Carl westchnął znowu przesadnie i spojrzał na Evi.

– Odpowiada szanownej pani? – spytał ze śmiertelną powagą.

Evi skinęła głową z uśmiechem i Carl wyciągnął do niej szarmancko ramię, pod które wsunęła swoją szczupłą rękę. Drugie obrócił do mnie i tak równym krokiem ruszyliśmy w stronę Wenezji, śmiejąc się i żartując, rozluźnieni i głodni.

Zajęliśmy miejsce przy oknie. Carl zamówił sok pomarańczowy i dwie lampki najlepszego wina, jakbyśmy mieli coś do świętowania. Tryskał energią i humorem. Prawił komplementy kelnerce w czarnym długim fartuchu, wypytywał o wiszące na ścianach malowidła i zdjęcia ludzi w przebraniach z włoskich oper, o manekina odzianego w czarną pelerynę i złotą maskę, stojącego w rogu sali, o niezwykle figurki licznie zalegające na parapecie. Wystrój był w istocie interesujący i niekonwencjonalny, nic, czego człowiek się spodziewa, wchodząc do środka. Podano nam karty i z przerażeniem stwierdziliśmy, że lista z pizzami ciągnie się do siedemdziesiątego ósmego numeru. Dopiero kiedy podniosłam głowę znad menu, zauważyłam, że Evi, jako jedyna z nas, nie próbuje wybrać czegoś do jedzenia. Siedziała naprzeciw i sprawiała wrażenie spiętej. Jej twarz pobladła. Ściągnęła brwi i w skupieniu lustrowała otoczenie, jakby spodziewała się, że z któregoś kąta wypełźnie potwór.

– Evi, dobrze się czujesz? – spytałam nagle zaniepokojona. Na brzmienie mojego głosu Carl również spojrzał sponad karty dań.

– Nie wiem. Chyba... chyba mnie mdli.

Uniosłam brwi, w myślach przeglądając listę wszystkiego, co Evi dziś zjadła.

– Może chcesz szklankę wody?

Pokręciła głową. Jej palce objęły krawędź stolika.

– Wiecie, co? Chodźmy po prostu do domu. Zamówimy coś przez telefon.

Carl odłożył kartę. Ton jego głosu był niby lekki, ale podszyty niepokojem. Znałam to dokładnie. Mimo to w jego słowach najbardziej uderzyło mnie to, co powiedział, i przez chwilę w konsternacji przyznałam się przed sobą, że prawie mu uwierzyłam. Dopiero po ułamku sekundy z uszczypnięciem bólu pomyślałam: do którego domu? Twojego czy mojego?

– Nie. – Głos Evi był dość zdecydowany jak na kogoś, kto nie czuje się najlepiej. Podniosła się z krzesła, co natychmiast uczyniliśmy za nią. – Nie. Ja pójdę do domu, a wy zostańcie. Nie chcę wam zepsuć wieczoru.

– Co? Ale... – Carl zaczął mówić, ale Evi obróciła się i skierowała w stronę wyjścia. Dogoniłam ją tuż za drzwiami wyjściowymi.

– Evi! Co się dzieje?!

– Chyba... chyba dostanę okresu, naprawdę chcę iść do domu – odparła, nie patrząc mi w oczy.

– Rozumiem, ale... strasznie mnie wystraszyłaś. Może skoczę do marketu tutaj obok i...

– Nie, mam! Chcę iść do domu – odparła z takim przekonaniem, że odpuściłam.

– Pójdiesz do taty? Masz tam wszystko, czego potrzebujesz?

Skinęła głową niecierpliwie.

– Może jednak pójdziemy z tobą? Zjemy coś u taty i...

– Nie ma mowy. Nie. Nie zepsuję wam znowu wieczoru. Mam, wystarczająco już dla mnie zrobiłaś, po prostu wejdź do środka. – Przytuliła mnie tak nagle i tak szybko, że nie zdążyłam odpowiedzieć na jej uścisk, i nim się spostrzegłam, szła w kierunku osiedla. Długie włosy spływały jej po plecach, miała na sobie jasnobłękitne dżinsy, białe trampki i podkoszulek w miętowym kolorze. Lubiła jasne, pastelowe kolory, proste ubrania w sportowym swobodnym stylu. Patrzyłam, jak odchodzi ulicą, i próbowałam opędzić się od lęków kraczących nad moją głową. Obróciłam się i przez duże okno pizzerii zobaczyłam mojego byłego męża, który z głową wspartą na dłoni przyglądał mi się z uśmiechem. Weszłam do środka, zdecydowana spędzić miły wieczór. Po raz pierwszy od lat siedzieliśmy naprzeciw siebie, pogrążeni w rozmowie, jakbyśmy nie widzieli się przez długi czas, kiedy to cień choroby naszej córki wisiał między nami, przysłaniając widok.

Jednak uśpione na trochę niepokoje szybko przebudziły się znów do życia. Pewnego dnia wybrałyśmy się z Evi na targ po świeże owoce i kwiaty do domu. W mieście było już tłoczno i musiałyśmy torować sobie drogę i wszędzie czekać w kolejkach.

Widziałam, jak Evi wachała owoce, podnosiła je do swojej twarzy i wdychała ich aromat. Nigdy wcześniej nie widziałam, żeby to robiła, obserwowałam to więc z zainteresowaniem i przyjemnością. Sądziłam, że choroba na tyle skutecznie odbierała jej apetyt, iż teraz odkrywała aromaty i smaki na nowo. Wybierałyśmy truskawki, gdy Evi nagle ruszyła przed siebie, szukając czegoś. Zawołałam ją, lecz nie zareagowała. Przeciskała się w tłoku, ja podążałam za nią, przekonana, że zobaczyła koleżankę lub kolegę z klasy. Do domu wróciłyśmy bez truskawek, za to z kompletem bransoletek, których nigdy bym jej nie wybrała. Evi nie nosiła bransoletek, wisiorków ani nawet pierścionków. W uszach miała zwykle parę drobnych kolczyków, skromnych i nierzucających się w oczy. Tymczasem biżuteria, którą przyniosła z targu, była hałaśliwa, ciężka i zupełnie inna niż sama Evi. Nie miałam pojęcia, dlaczego chciała to kupić, i ona sama niewiele na ten temat powiedziała, poza upartym: „Podobają mi się”.

Jakiś czas potem wzięłam wolne popołudnie, żeby iść do fryzjera. Miałam już wychodzić, gdy w drzwiach stanął Toby. Wyglądał marnie i uderzył mnie dziwny smutek w jego twarzy. Zwykle pogodny i ciepły stał tam zupełnie zrezygnowany.

– Toby? Ale Evi nie ma w domu. Nie wracaliście razem ze szkoły?

W odpowiedzi na to pytanie spojrział na mnie lekko zaskoczony.

– Nigdy nie wracamy razem ze szkoły – odparł, jakby to wyjaśniało wszystko.

Przez chwilę tkwiłam w drzwiach skonsternowana. Ponieważ pracowałam w pełnym wymiarze godzin, wracałam do domu, gdy Evi była już po lekcjach. Zwykle zastawałam ją w domu nad pracą domową. Jeśli miała wrócić później, dawała mi znać, żebym się nie martwiła. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że od dwóch miesięcy, od czasu urodzin Evi, które świętowaliśmy hucznie, nie widziałam Toby’ego, ale przyjąłam jego obecność w naszym życiu jako tak oczywistą i gwarantowaną, że nigdy nie przyszło mi do głowy, iż Evi i Toby przestali się widywać. Podobnie nie mogłam uwierzyć, że moja córka nic by mi na ten temat nie wspomniała.

– Toby, wejdz proszę. – Zerknęłam na zegarek, upewniając się, czy nie spóźnię się na umówioną godzinę do fryzjera. – Nie widzisz Evi w szkole?

– W szkole tak. Ale poza tym raczej... rzadko. Zwykle... mnie unika albo nie odbiera telefonu, nie odpisuje na wiadomości, a jeśli odpisuje, to raczej dość zdawkowo. Nie chcę być natrętny, ale myślałam, że może zastanę ją w domu. Nie wiem, co zrobiłem nie tak...

– Strasznie dużo się uczy, więc zapewne po prostu jest zmęczona. Inaczej na pewno coś by powiedziała.

Pokiwał głową bez przekonania.

– Może – odparł i odwrócił się w stronę drzwi. – Proszę jej przekazać, że byłem.

– Oczywiście. – Uśmiechnęłam się ciepło i patrzyłam, jak zbiega schodami.

Po raz pierwszy w życiu poczułam, że powinnam wstydzić się za to, jak zachowała się Evi. Ten chłopak był przy niej na dobre i na złe, towarzyszył jej, gdy inni zapomnieli, był wierny jak pies, zawsze chętny do pomocy. I ja, i sama Evi zawsze traktowałyśmy go jak część naszej rodziny. Ale w tamtej chwili doznałam przykrego uczucia, że moja córka trzymała tego miłego chłopca blisko siebie, gdy był jej potrzebny, i odepchnęła, gdy tylko wróciły koleżanki. Nie mogłam uwierzyć, że moja piękna i kochana Evi dopuściła się świadomie czegoś takiego. Może zachłysnęła się odnowionym życiem towarzyskim i nie zdawała sobie z tego sprawy? Próbowałam wytłumaczyć sobie jej postępowanie, zrozumieć, co może dziać się w jej tak nagle niedostępnym dla mnie umyśle. Uśpione niepokoję przebudziły się do życia.

Ale była jeszcze druga kwestia, która uderzyła mnie, gdy pędziłam na rowerze w kierunku salonu fryzjerskiego. Wizyta Toby’ego uświadomiła mi, że nie ja jedna miałam problem z przystosowaniem się do nowej sytuacji.

Evi Brouwer

PARĘ TYGODNI PO PIERWSZYM ŚNIE MIAŁAM KOLEJNY. To była noc przed serią testów, do których przygotowywałam się długo. Brzuch bolał mnie ze stresu, wszystko rozpraszało uwagę. Wieczorem położyłam się wcześniej, ale długo nie mogłam zasnąć. Mama przyniosła mi ciepłe mleko z miodem i cynamonem, a jego zapach wypełnił pokój. Wiedziałam przecież, że głupie szkolne testy nie były sprawą życia i śmierci, jednak chciałam udowodnić

sobie, że dam radę dorównać reszcie klasy.

Dziwnie było wrócić do szkoły, gdzie wszyscy patrzyli na mnie, jakbym wstała z martwych. Niektórzy na początku omijali mnie szerokim łukiem, podejrzewam, że nie wiedzieli, co powiedzieć, innych zaś przyciągałam i fascynowałam. Moje stare koleżanki przyjęły mnie z powrotem jak wielce pożądaną bonus, jak córkę marnotrawną, jakbym to ja o nich zapomniała, a nie one o mnie. Nie miałam im tego za złe. Nawet tego, że doświadczyły już wszystkiego, czego ja jeszcze nie zdążyłam nawet dotknąć.

Do tego wszystkiego był jeszcze Toby. Jego nieustanna obecność w zasięgu mojego wzroku powoli zaczynała grać mi na nerwach. Wszyscy z góry założyli, że jesteśmy parą, co irytowało mnie jeszcze bardziej. Nie potrafiłam dokładnie określić dlaczego. I chyba sama sobie nie potrafiłam wytłumaczyć tych negatywnych odczuć. A już na pewno nie potrafiłam wytłumaczyć ich Toby'emu. Przyjęłam więc taktykę unikania, licząc po cichu na to, że sam się w końcu odsunie. On tymczasem plątał mi się pod nogami jak bezradne, głupie szczenię, trzymające się nogi, która je kopie.

Wszystko nałożyło się na siebie i wtedy miałam ten sen.

Szłam przez długi, wąski tunel. Nie było zupełnie ciemno, choć nigdzie nie widziałam okien, drzwi ani lamp, więc nie potrafiłam określić, skąd dochodziło światło. W jakiś dziwny sposób wiedziałam, dokąd iść. Pamiętam, że w końcu natrafiłam na drzwi. Klamka była ciepła, jakby chwilę wcześniej ktoś trzymał ją długo w dłoni. Kiedy pchnęłam drzwi, buchnęła we mnie fala ciepła i znów znalazłam się w zatłoczonym pomieszczeniu. Choć wyglądało inaczej, wiedziałam, że było to miejsce z poprzedniego snu. Tłum poruszał się rytmicznie w rytm muzyki, której nie słyszałam. Dopiero kiedy zaczęłam torować sobie drogę między ciasno do siebie przylegającymi sylwetkami, zobaczyłam, że każda miała na sobie taką samą czarną pelerynę, czarny kapelusz i złotą maskę na twarzy. Gdy mijałam postaci, jedna po drugiej odwracały się w moją stronę. Szukałam tej dziewczyny wzrokiem, wiedziałam, że gdzieś tam musi być. Wtedy dojrzałam ją pośród tłumu, a dokładniej tył jej głowy. Poruszała się szybciej niż ja. Przeciskałam się więc w panice, by jej nie zgubić. Tłum zaczął się nagle przersedzać i wtedy znów ją zobaczyłam. Stała przed figurką Jezusa, który miał zapraszająco rozłożone ramiona, a Jego oblicze było pozbawione oczu. Dziewczyna zdawała się wpatrywać w figurkę. Wokół nas migotało przytłumione światło świec, których nigdzie nie widziałam. Wyciągnęłam dłoń, by dotknąć jej ramienia, ponieważ stała nagle tak blisko, ale w chwili, gdy prawie jej dosięgłam, huknęła muzyka. Dziewczyna obejrzała się, patrząc mi prosto w oczy. Widziałam jej twarz przez ułamek sekundy, za krótko, by ją zarejestrować w pamięci. Dokładnie wtedy coś mną wstrząsnęło, jakby elektryczny szok przebiegł przez całe moje ciało. Obudziłam się w środku nocy i przez parę minut leżałam w bezruchu, sparaliżowana doznaniem. Czułam serce bijące w mojej klatce piersiowej, mocno i miarowo, jakby w rytm tej samej muzyki, która kołysała tłumem dziwnych postaci, jakby ono słyszało melodię, której ja nie mogłam usłyszeć. Położyłam dłoń w miejscu, gdzie przez skórę czułam uderzenia serca. W ustach miałam metaliczny smak. Podniosłam się powoli. Zapaliłam lampkę nocną i uniosłam rękę do nosa. Potem patrzyłam na moje zakrwawione palce, jakby nie należały do mnie. Nie mogłam oderwać wzroku od gęstej purpurowej mazi i mojej drżącej dłoni. Ten widok uruchamiał coś we mnie, co jak zardzewiały mechanizm nie mogło ruszyć i trzeszczało jedynie niebezpiecznie.

Rano obudziłam się przed budzikiem i leżałam chwilę otulona kołdrą, rozglądając się po pokoju. Byłam przekonana, że mój sen to zły znak, że serce zostanie odrzucone, że może

umieram powoli, nie wiedząc o tym. Myślałam o mamie i przez chwilę rozważałam, czy powiedzieć jej o krwawiącym nosie i złych snach, ale szybko odepchnęłam od siebie tę myśl i zdecydowałam się przemilczeć moje obawy. Jeśli miało się stać coś złego, to i tak nie miałam już na to wpływu. Nie mogłam temu zapobiec, dlatego nie martwiłam nadaremno mamy.

Kiedy parę dni po zdanych egzaminach wybraliśmy się całą rodziną do miasta, czułam się tak dobrze, że skrywane przed rodzicami lęki niemalże rozplynęły się w ciepłym majowym powietrzu. Obserwowałam rodziców, rozluźnionych i wesołych. Ich rozmowy i zgodna obecność pozbawiona napięcia i chłodu sprawiały, że zapominałam o swoich obawach. Wtedy weszliśmy do tej pizzerii. Jakbym nagle przez te drzwi przeszła z realnego świata wprost do świata snów. Nigdy nie byłam w tak dziwnie urządzonej miejscy. Cały sufit pokryty był malunkami przedstawiającymi układ słoneczny i znaki zodiaku na olbrzymim kręgu. Ściany obwieszane były fotografiami postaci w maskach i pelerynach, w ramach wisały maski, w kącie stał manekin ubrany w czarną pelerynę i czarny kapelusz z twarzą ukrytą pod złotą maską. Zajęliśmy miejsce przy oknie. Z parapetu patrzyła na mnie pustymi oczyma figurka Jezusa. Gapiłam się na nią przez dłuższą chwilę, jakbym miała doczekać się wyjaśnienia. Nie mogłam tam zostać otoczona marami ze snu, którego nie rozumiałam. Zaczęło mnie mdlić od intensywnego zapachu ziół i sosu. Rodzice pochyliłi się nad kartami dań. Myślałam intensywnie, jak się stąd wydostać. Głowa tętniła napięciem. Czułam za sobą niemą obecność postaci w kącie. Kiedy wreszcie wymyśliłam marną, lecz dość przekonującą wymówkę, mama nie odpuszczała. Jej oczy lustrowały mnie tak uważnie, że czułam się niemal prześwietlana. Kiedyś zawsze tak na mnie patrzyła, jakby miała moc zbadania stanu moich organów za pomocą wzroku. W końcu pozwoliła mi odejść. Mieszkanie taty znajdowało się pięć minut drogi od pizzerii i tam postanowiłam skryć się przed własnymi myślami. Nie żeby mi się udało. Jak mogłam bowiem śnić o miejscu, którego nigdy wcześniej nie widziałam?

Dziwne rzeczy przydarzają się każdemu. Postanowiłam zaliczyć sen właśnie do tej kategorii i świadomie o nim zapomnieć.

Jednak niedługo potem coś mi o nim przypomniało. Wyszliśmy z mamą na rynek w mieście, żeby kupić owoce, warzywa, sery i kwiaty. Mama i ciocia Charlotte znały niektórych rolników już od dawna i miały swoje ulubione stragany, gdzie zawsze robiły zakupy. Na stołach stały pierwsze dorodne truskawki i mama nie potrafiła się zdecydować, czy warto je kupować. Przeprowadziła swój zwyczajowy wywiad ze sprzedawczynią na temat pestycydów używanych do hodowli i prawie doprowadziła kobietę do czarnej rozpaczki swoimi uwagami. Mnie też. Westchnęłam głęboko i już miałam powiedzieć, że odechciało mi się tych cholernych truskawek, gdy nagle pośród gwaru ludzkich rozmów i szumu odgłosów miasteczka wyłapałam jeden dźwięk, który przyciągnął moją uwagę. Odwróciłam głowę w kierunku, skąd dobiegał odgłos, i zastygłam. Zapominając o mamie i truskawkach, ruszyłam w stronę metalicznego dzwonienia dobiegającego z tłumu wokół nas, gdzieś bardzo blisko, a jednak tak daleko. Nagle nie słyszałam nic innego. Było coś niezwykłego w tym dźwięku, coś pociągającego, co zmusiło mnie, bym przeciskając się pomiędzy ludźmi, podążała za nim. Gdzieś w tle słyszałam głos mamy próbującej mnie powstrzymać i przywołać. Mijałam stragany, szukając drogi między ludzkimi ciałami, które tworzyły dziwny labirynt bez wyjścia.

Nagle poczułam się jak w moim śnie. Miałam dziwne przekonanie, że gdzieś tam jest ta dziewczyna, za którą muszę podążać, choć nie wiem dlaczego.

Jednak zamiast na nią wpadłam niemal na kobietę stojącą przy straganie z biżuterią. Mierzyła

bransoletki. Podniosła dłoń, wskazując sprzedawcy inny produkt. Dreszcz dziwnej przyjemności przebiegł mi po plecach, gdy usłyszałam brzęk bransoletek, którymi obwieszony był jej nadgarstek. Srebrne kółeczka uderzały o siebie nawzajem przy każdym jej ruchu, dzwoniąc rozkosznie. Stałam tam, patrząc na nie, na błysk promieni słońca, które odbijały, na to, jak lśniły i dzwoniły.

– Evi. – Mama położyła mi nagle dłoń na ramieniu. Drgnęłam, gdy wyrwała mnie z tego dziwnego transu. – Wszystko dobrze? Wystraszyłaś mnie!

Popatrzyłam na nią ze zdziwieniem i przypomniałam sobie, że zostawiłam ją bez słowa przy innym straganie. Jej nieustanne zatroskanie i powtarzane milion razy pytanie, czy wszystko dobrze, w tamtej chwili stało się nieznośnie męczące. Jej oczy były jak radar skanujący moje zachowanie, by wykryć nawet najmniejsze podejrzanym symptomy. Miałam ochotę zniknąć, gdy tak na mnie patrzyła.

Mruknięłam coś i odwróciłam się do sprzedawcy. Kobieta z bransoletkami odeszła już w innym kierunku. Wróciłam do domu z takim samym kompletem, który mierzyła. Mama skwitowała zakup milczącym zdziwieniem, ale powstrzymała się od komentarza. Trujących truskawek nie kupiła.

Chantal Simons

KIEDYŚ PRZECZYTAŁAM GDZIEŚ, że w świecie zwierząt nawiązywanie więzi rodzinnych przebiega inaczej niż u ludzi. Na przykład u kaczyc piskląt, które krótko po wykluciu są w stanie same się poruszać, zachodzi proces wdrukowania obrazu matki, stąd małe zawsze trzymają się mamy i ona sama nie musi pilnować sporej liczby potomstwa. Ludzkie noworodki jednak rodzą się zwykle pojedynczo i są bezradne jeszcze długo po narodzinach. Stąd proces wdrukowania zachodzi u matki. Odbywa się on w pierwszych godzinach po porodzie i jest ważny do budowania relacji między mamą a dzieckiem. Podczas gdy małe pisklęta same wiedzą, kiedy stają się samodzielne i gotowe, by ruszyć w świat, zwracając mamie wolność, my, ludzkie mamy, do końca życia podążamy za swoimi samodzielnymi już dziećmi, biologicznie zmuszone do czuwania nad ich obrazem wdrukowanym w nasze istnienie, jesteśmy skazane na śledzenie każdego ich kroku nawet wtedy, gdy jedynym, czego pragną, jest uwolnienie się od nas. Natura ślepo obdarowała nas tym prezentem, który często zamienia się w przekleństwo.

Z konsternacją przyglądałam się swojej córce, jej zmiennym nastrojom, nietypowym zachowaniom, które próbowałam sobie jakoś wytłumaczyć stresem związanym ze szkolnymi i towarzyskimi wyzwaniem. Próbowałam być szczególnie czuła, miła i ostrożna w słowach. Nie wchodzić jej niepotrzebnie w drogę. Pilnowałam, żeby brała leki na czas, zdrowo jadła, przypominałam o kontrolach. Ale poza tym zapewniałam jej przestrzeń, starałam się nie komentować, gdy wracała do domu i zamykała się niemal od razu bez słowa w swoim pokoju. Karol wodził za nią niezadowolonym wzrokiem. Zauważyłam, że rzadko patrzyła mi w oczy, odpowiadała raczej, zerkając na mnie spod pochylonej głowy.

Toby przestał się w ogóle pokazywać, a jeśli przez nieuwagę zapytałam ją, co u niego słuchać, wzruszała ramionami. Natknęłam się na niego w upalny majowy dzień. Stał z rowerem

w cieniu drzewa pod naszym blokiem. Jego skóra zrobiła się czerwona od słońca, a piegi wyraźniejsze. Uśmiechnął się blado na mój widok. Napięcie i wyczekiwanie w jego zachowaniu były wyczuwalne na odległość.

– Toby, wejdiesz na górę?

Pokręcił słabo głową.

– Evi wysłała mi wiadomość, żebym tu na nią poczekał. Miała coś jeszcze załatwić po szkole.

– Och, nic mi nie mówiła, ale widać coś jej wypadło. Długo już czekasz? – zapytałam, bo miał spocone czoło i wyglądał na zmęczonego.

– Nie wiem... Może... pół godziny?

– Wejdz ze mną na górę, napijesz się czegoś.

– Nie, dziękuję, poczekam tutaj.

Westchnęłam tylko i pożegnałam się szybko, by ukryć się przed parzącym słońcem na chłodnej klatce schodowej. Jakież było moje zdziwienie, gdy zastałam Evi w domu.

– Cześć... Toby czeka na ciebie na dole... – powiedziałam, stawiając torbę z zakupami na podłodze w korytarzu. Palce spuchły mi od upału i ciężaru.

– Wiem – odparła ciężko po chwili milczenia.

– Jak to wiesz? Nie zejdiesz do niego? Czeka tam już całkiem długo, jest strasznie gorąco...

– Otarłam dłonią spocone czoło i rozmasowałam czerwone palce, na których odcisnęła się rączka od reklamówki.

Mimo że siedziała do mnie tyłem, prawie zobaczyłam, jak unosi brwi i zaciska usta w niekontrolowanej irytacji.

– Jest dużym chłopcem, da sobie radę.

– Słucham?! – Usłyszałam swój własny głos, lekko uniesiony. Zatrzymałam się w drodze do kuchni. Evi nie zadała sobie nawet trudu, by obejrzeć się w moim kierunku. – Jeśli nie masz ochoty go widzieć, powinnaś dać mu znać, że nie ma na co czekać – powiedziałam, powstrzymując złość.

– Przecież ja go wcale tam nie trzymam, stoi z własnej woli – mruknęła na tyle głośno, że mogłam ją usłyszeć.

– Evi... Co się z tobą dzieje? Toby naprawdę nie zasługuje na takie traktowanie. Wyślij mu chociaż wiadomość, przecież nie możesz go tam zostawić...

– Jezu, mamo, on nie jest bezdomnym psem, ma dokąd iść! – rzuciła ostro, po czym podniosła się z sofy i nie zerknąwszy nawet w moją stronę, ruszyła w kierunku swojego pokoju. Zostałam sama na korytarzu, wpatrując się z konsternacją w zatrzaśnięte z impetem drzwi. Z kuchni powoli wyłonił się Karol i rzuciwszy uprzednio niepewne spojrzenie w stronę pokoju Evi, przebiegł przez korytarz i wskoczył na sofę, gdzie ułożył się na oparciu. Popatrzył na mnie z lekkim wyrzutem. Musiałam odczekać chwilę, nim złość mi przeszła. Wysłałam do Toby'ego krótką wiadomość pełną przeprosin, po czym zabrałam się za przygotowywanie obiadu. Czułam się ciężka od emocji. Dystans między mną a tymi zamkniętymi drzwiami zdawał się wydłużać z każdą minutą i nim skończyłam kroić warzywa, miałam wrażenie, że przebycie go zajęłoby mi długie tygodnie i całkowicie wyczerpało. Więc zamiast podjąć wyzwanie i wyruszyć w tę podróż, odwróciłam wzrok.

Kiedy dwa dni później Carl wpadł niespodziewanie po pracy, stałam w łazience, składając

pranie.

– Chantal? – usłyszałam jego głos dochodzący z korytarza. Zerknęłam do lustra i w pośpiechu poprawiłam zmierzwiłone włosy. – O, tu jesteś. Cześć! Zmęczona?

Jego obecność i donośny, entuzjastyczny głos wypełniły całą przestrzeń małego pomieszczenia. Ze zdziwieniem zauważyłam, że wywołał we mnie dreszcz przyjemności. Nie pozostawiał miejsca na żadne wątpliwości, lęki czy zmartwienia. Składałam podkoszulki, bluzki i spodnie, gdy opowiadał mi o swoim dniu. Dałam się uwieść temu poczuciu, że jesteśmy normalną parą, rodziną.

– Spędziliśmy trzy dni, przywracając serwer do stanu używalności, a teraz gość nie chce zapłacić za wszystkie godziny pracy. W poniedziałek musimy tam jechać z prawnikiem, ale wszystko mam na papierze z jego podpisami, więc spodziewam się, że zapłaci szybciej, niż opuścimy jego biuro. – Wyjmował ubrania z suszarki i podawał mi, nie przerywając swojej opowieści.

Słuchałam uważnie aż do chwili, gdy wzięłam z jego dłoni podkoszulkę w czerwonym kolorze, który niemal ranił mi oczy. Rozłożyłam go i zobaczyłam, że na plecach miał ogromny czarny rysunek przedstawiający dłoń z wystawionym środkowym palcem. Uniosłam brwi i patrzyłam na kawałek materiału. Carl kontynuował relację ze swoich przeżyć z kłopotliwym klientem.

– Carl? – przerwałam mu, nadal trzymając w dłoniach podkoszulkę, który teraz podsunęłam mu pod oczy. Przestał mówić i rzucił okiem na T-shirt. – Czy to należy do Evi?

Wzruszył ramionami.

– Kupiłem jej tydzień temu, sama wybrała. Bardzo ładnie jej w czerwonym.

– Ale ona nawet nie lubi tego koloru – powiedziałam słabo, bo nagle oblał mnie zimny pot. Ścisnęłam w dłoni materiał jak drogocenny dowód na to, że moje lęki nie były bezpodstawne. – Carl, ona się ostatnio dziwnie zachowuje... Nie chciałam ci nic mówić, żebyś się nie martwił, ale czy ty nie widzisz, że ona się ostatnio zmieniła?

– Chantal, co ty próbujesz mi powiedzieć?

– Że z Evi dzieje się coś dziwnego! – powiedziałam teraz mocniej, głosem pełnym przekonania.

– Oczywiście! – odparł z lekkim uśmiechem. – Ona po prostu dojrzeła.

Pokręciłam głową, marszcząc brwi. Czułam lekką irytację i wspomnienie wielu podobnych rozmów z czasów przed rozwodem zakłuło mnie nieprzyjemnie.

– Nie, tu chodzi o coś innego. Nie wiem, jak ona się zachowuje, kiedy jest u ciebie, ale w domu stała się niemożliwa. Trzaska drzwiami, odpowiada mi burkliwie, zamyka się w pokoju, ignoruje Toby'ego, kot od niej ucieka – wyliczałam z zapalem, po czym wyciągnęłam do niego dłoń z czerwonym podkoszulkiem. – A teraz jeszcze to!

Carl słuchał i kiwał głową, jednak uśmiech nie zniknął z jego ust. Przybrał jedynie pobłażliwy wyraz.

– Chantal, posłuchaj siebie samej... To nie jest dziwne zachowanie. To się nazywa dojrzewanie. Mamy w domu nastolatkę. To dobry znak. Po tylu latach siedzenia w domu wreszcie ma siłę na młodzieńczy bunt, na odkrywanie.

– A Toby?

– Co z nim? Jezus, Chantal, naprawdę myślałaś, że tych dwoje będzie ze sobą do śmierci? To

dzieciaki! Zrywają ze sobą, płaczą, potem się schodzą. To jest normalne!

– Zachowanie Karola też?

Carl westchnął i czułam, że kończy mu się cierpliwość. Usiadł na brzegu wanny i potarł czoło wierzchem dłoni. To, co mówił, irytowało mnie, a jednocześnie pragnęłam, by nie przestawał. Chciałam, by ukoił wszystkie moje niepokoje, by zgasił żar, nim stanie się pożarem, który zacznie mnie spalać od środka.

– To tylko kot... Rozpieszczony, humorzasty kot przyzwyczajony do jej stałej obecności w domu. Naprawdę nie mogę uwierzyć, że o tym rozmawiamy.

– Ale ona ostatnio nie jest sobą – dodałam ostatnimi siłami. Wiedziałam, że przegrywam to starcie, ale ta porażka smakowała słodko.

– Oczywiście, że nie jest sobą. Nie jest już tą chorą Evi, na którą patrzyliśmy całe lata. Ona staje się młodą, zdrową kobietą! – Wyciągnął do mnie rękę i ujął moją dłoń w swoje palce. Jego głos stał się miękniejszy i pełen kojącego ciepła. – Chantal, przestań, proszę cię... Z Evi wszystko jest dobrze, zaufaj mi. Odpręż się. Przestań się wreszcie zamartwiać. Czy nie wystarczająco długo troszczyłaś się o nią? Pozwól jej dorosnąć i przejąć odpowiedzialność za siebie samą.

Patrzyliśmy na siebie. Moje palce poddawały się uściskowi jego ciepłej dłoni. W drugiej ręce nadal ściszałam czerwony podkoszulek. Carl przyciągnął mnie do siebie. Wciąż jeszcze siedział na brzegu wanny, na który zarzucił marynarkę. Kołnierzyk jego koszuli był rozpięty i gdy przylgnęłam do niego, poczułam znajomy zapach. Upuściłam podkoszulek i zarzuciłam rękę na jego ramiona. Zapomniałam, jakie są silne, ile w nich pocieszenia i poczucia bezpieczeństwa.

Nie został na noc i wyszedł, nim Evi wróciła do domu z wypadu do kina ze szkolnymi koleżankami. Nie chcieliśmy mieszać jej w głowie, a może dawać złudnej nadziei, że do siebie wrócimy, gdy sami niczego nie byliśmy jeszcze pewni. Kiedy opuścił mieszkanie, zaścieliłam swoje łóżko od nowa i dokończyłam składanie prania. Podniosłam z podłogi czerwony podkoszulek, trzymałam go w palcach parę chwil, jakby był nasiąknięty krwią, jakbym wcale nie chciała go dotknąć, po czym włożyłam go do szafy Evi z resztą jej ubrań. Miałam poczucie zacierania dowodów. A potem stanęłam przed lustrem w ostrym świetle łazienki. Moje policzki nadal były czerwone. Przyjrzałam się sobie z ukłuciem bólu. Uparte pięć kilo nadwagi było efektem wieczorów w towarzystwie lampki wina i przekąsek na pocieszenie, miały osłodzić troski i samotność. Moja skóra straciła już swoją naturalną gładkość i sprężystość, wiotczała stopniowo w tych najdelikatniejszych miejscach. Cieniutkie linie zmarszczek rozchodziły się po twarzy jak rzeki na mapie świata. Między brwiami zmarszczka głęboka jak wyrwa sprawiała, że wyglądałam na ciągle zmartwioną. Może nie umiałam już inaczej żyć, jak tylko troskami i lękami? Może sama sobie wyszukiwałam powody do zmartwień?

Finn Velde

TO W SUMIE CAŁKIEM ZABAWNE, jak bardzo byliśmy podobni, a jednocześnie inni. Zauważyłem to dopiero po śmierci Finyi. Zwykle nie sięgałem po albumy ze zdjęciami z naszego dzieciństwa, ale ilekroć to robiłem, uderzał mnie fakt, że jako dzieci na pierwszy rzut

oka byliśmy niemal lustrzanymi odbiciami. Kiedy jednak uważniej przyglądałem się fotografiom, w milczeniu studiując uchwycone aparatem momenty, widziałem jedynie to, co nas różniło. Finya zawsze patrzyła w obiektyw odważnym, dumnym spojrzeniem. Roześmiana, zaróżowione policzki, jakby dopiero co biegła, ręce jeszcze w ruchu, rozmazany obraz dłoni, kosmyki włosów spadające w nieładzie na czoło i oczy, lekko przybrudzone szorty, kolana zdarte do krwi. Kiedy na nią patrzyłem, fotografia zaczynała tętnić życiem, pod opuszkami palców mogłem niemalże poczuć ciepło jej ciała. Przesunąłem wzrok na postać chłopca siedzącego obok na trawie. Patrzył w aparat spod lekko pochylonej głowy, skupiona twarz, grzywka dokładnie uczesana po prawej stronie czoła, usta jak prosta kreska, oczy lekko nieobecne i poważne, blok na kolanach, ołówek w dłoni spoczywającej na trawie.

Finya była fascynującą mieszanką podobieństwa i odmienności. Jakby twoje lustrzane odbicie zaczęło żyć własnym życiem, w dodatku dużo ciekawszym niż twoje.

Stanowiliśmy zwyczajną rodzinę, ale z chwilą wypadku wszystko, co normalne, zdawało się odejść w zapomnienie, obróciło się w wątle wspomnienie prostych, codziennie powtarzanych czynności. W głębi duszy poza poczuciem winy i smutkiem kwitła we mnie złość. Złość na to, co nieodwracalne, na ostateczność pewnych zdarzeń, na niemożliwość przewidzenia, które nasze czyny pchną los na nieodpowiednie tory. Bo skąd mogłem wiedzieć? Poza tym łatwiej było kipieć złością niż wyrzutami sumienia i żalem.

Pamiętam, że kiedy mieliśmy po dwanaście lat, w szkole zorganizowano konkurs artystyczny na najlepszy plakat promujący ekologię. Pracowałem nad swoim dziełem dwa tygodnie. Zmieniałem wszystko, rwałem, zaczynałem od nowa. W jakiś dziwny sposób wygranie tego konkursu stało się moją obsesją. Miałem poczucie, iż to była moja szansa na udowodnienie, że jestem w czymś dobry. Lepszy od Finyi. Ona nie zamierzała nawet startować. Konkursy jej nie interesowały, podobnie jak nie pałała potrzebą wykazywania się czy bycia wyróżnianą. Obiecała mi jednak, że pójdziemy razem na wystawę plakatów i odczytanie wyników, które miało odbyć się zaraz po szkole. Przypomniałem jej o tym dzień przed ostatecznym terminem składania prac. Finya popatrzyła na mnie z konsternacją, po czym powiedziała, że będę musiał iść sam, bo już się umówiła. Na nic zdały się moje perswazje, że obiecała. Była nieugięta. Kiedy zacząłem krzyczeć, odwróciła się i poszła do swojego pokoju. Podążyłem za nią, wykrzykując najokropniejsze wyzwiska, jakie mi wtedy przyszły do głowy, choć tak naprawdę chciało mi się płakać.

Nie zwracała na mnie uwagi, więc w akcie furii chwyciłem za wiszący na drzwiach pokoju plakat jej ulubionego filmu. Chciałem go tylko zerwać, zwrócić na siebie jej uwagę, ale papier rozdarł się na pół po całej długości. Finya popatrzyła na mnie chłodno, po czym wróciła do rozkładania bluzek na łóżku, jakby nic się nie stało. Kiedy jednak po kolacji wróciłem do pokoju, moja praca konkursowa leżała na środku pokoju. W strzępach. Tamtej nocy wykonałem nową. Zająłem w konkursie trzecie miejsce. Nauczycielka plastyki pochwaliła pomysłowość, ale rozczarowałałem ją jakością wykonania pracy.

– Byłam pewna, że zajmiesz pierwsze miejsce – powiedziała, wręczając mi dyplom i pudełko nowych pasteli.

Nie odezwałem się do Finyi przez dwa tygodnie i nie mogę powiedzieć, żeby ten fakt zrobił na niej jakiegokolwiek wrażenie. Finya nie miała skrupułów i na nikim nie zależało jej tak bardzo, jak na sobie samej.

Łatwo jest opowiadać o kimś, kogo znało się tak dobrze. Jeszcze łatwiej, gdy ten ktoś był tak

wyrazisty jak Finya. Może puste miejsce po kimś nieciekawym i nudnym zaciera się szybciej, ale ona pozostawiła po sobie dziurę wielkości krateru jak spadająca gwiazda, która z hukiem i oślepiającym błyskiem wchodzi w atmosferę i uderza w ziemię, wyrwijąc jej fragment, a potem spala się na popiół.

Lubiłem szkicować moją siostrę. Była jak lśniący kamień, który, jeśli obróciłeś go w palcach, zmieniał kolor, odbijał światło w różnych odcieniach i nigdy nie wiedziałeś, co pokaże tym razem. Zawsze rysowałem ją bardzo wyraźną kreską, intensywnymi kolorami, które nakładałem warstwami tak, że nabierały głębi. Taka była. Mogłeś ją nienawidzić lub uwielbiać, ale nie dałbyś rady przejść obok niej obojętnie. Moja siostra była jak wzburzona rzeka, której wartki prąd porywał ze sobą wszystkich. Była jedną z osób roztaczających wokół silną energię, rodzaj pola magnetycznego – jeśli znalazłeś się w jego zasięgu, nie miałeś szans pokonać siły jego przyciągania.

Wybierała mocne kolory, pomarańczowy i czerwony, barwy ognia, którym sama płonęła. Nigdy niczego i nikogo się nie bała. Rzuciła światu wyzwanie i nie obawiała się porażki. Jeśli upadła, natychmiast wstawiała, otrzepywała kolana i ruszała dalej. Nie liczyła się ze zdaniem innych i nie interesowały ją ich opinie.

Wyglądała zwykle tak, jakby nie przywiązywała wagi do stroju, ale wiem, że było inaczej. Na przekór mamie kupowała czasem ubrania w sklepach z używaną odzieżą. Przyduże, lekko wyciągnięte swetry, wytarte i wystrzępione džinsy, falbaniaste kolorowe spódnice oraz podkoszulki, których kolor lekko wyblakł. Choć ubrania kupowała na kilogramy, obuwie nabywała jedynie w drogich butikach. Najchętniej nosiła kowbojskie kozaczki albo trampki, a także torebki z frędzlami i tysiącem kieszeni. Nigdy nie chciała wyglądać tak, jak inni. Gdy okazało się, że cała klasa nosi te same markowe trampki, Finya pomalowała swoje kolorowymi mazakami. Mama zbladła, gdy to zobaczyła, i jak zawsze wypomniała jej cenę obuwia.

Potrafiła rysować lepiej niż ja, choć to chyba najboleśniej z wyznań. Rysowała równą, stabilną kreską, miała wyczucie koloru i proporcji, wyobraźnię oraz łatwość przenoszenia swojej wizji na papier. To ją, a nie mnie mama namawiała na studia artystyczne. Ale Finya szybko zorientowała się, jak bardzo mamie na tym zależy, i uparcie twierdziła, że nie interesuje jej sztuka.

Dla mojej siostry pieniądze się nie liczyły, choć nie wiem, czy to dlatego, że zawsze mieliśmy ich sporo i nie musieliśmy zamartwiać się ich brakiem. Nie patrzyła na ludzi przez pryzmat zawartości ich portfela i nie interesowało jej, na co cię stać finansowo. Chciała za to wiedzieć, czy stać cię, by dotrzymać jej tempa. Wielu odpadało. Niektórzy pozostali. Życie z Fyną było jak jazda na karuzeli. Jeśli nie trzymałeś się mocno, wypadałeś z gry. Jeśli nie mogłeś znieść zawrotnej prędkości, dostawałeś mdłości.

Moja siostra nie obrażała się na ludzi, nie traktowała ich źle, nie zabiegała o nikogo. Zawsze i wszędzie robiła tylko to, na co miała ochotę. Nie oglądała się na innych. Nie miała wrogów. Jediną osobą, z którą toczyła nieustanną walkę, była nasza mama. Nigdy nie wiedziałem, dlaczego wisiało między nimi dziwne rozdrażnienie, jakby łączyła je linia wysokiego napięcia. Ilekroć któraś z nich jej dotknęła, dochodziło do krótkiego, bolesnego spięcia. Wpadały z jednego konfliktu w kolejny.

Pewnego razu, mieliśmy wtedy piętnaście lat, jakaś klientka mamy zachwyciła się długimi lśniącymi włosami Finy i nieopatrznie dodała, że są dokładnie takie, jak mamy. Następnego dnia moja siostra wróciła do domu obcięta na chłopaka i przefarbowana na rudo.

Kiedy mama urządziła w domu grilla dla klientów swojej galerii, Finya oznajmiła zebranym, że została weganą i nie tknęła nawet pieczarek faszerowanych serem.

Nie wtrącałem się w ich nieustanne kłótnie i niesnaski, których źródła nie rozumiałem. Czasem miałem wrażenie, jakby mama próbowała wcisnąć Finyę w jakąś sztywną ramę swojej wizji córki, a Finya tymczasem walczyła, by się z niej wydostać.

Najczęściej negocjatorem w tej walce był tata. Jest prawnikiem rozwodowym, co wydaje się dość śmieszne, bo sam się rozwiódł. Z pierwszego małżeństwa ma córkę i my jesteśmy jego drugą rodziną. Drugim wyborem, jak to zwykła wyrzucać mu mama przy każdej kłótni, jakby wspomnienie jego pierwszego małżeństwa i najstarszej córki było ostatecznym argumentem, którym mogła wygrać każdą sprzeczkę. Przypominała mu nazbyt często wysokość alimentów, które płacił bez słowa skargi nie tylko na córkę, ale również na byłą żonę. Tata ze stoickim spokojem znosił wszystkie szpileczki wbijane mu przez mamę. Nigdy nie wiedziałem do końca, czy to dlatego, że uważał, iż na nie zasługiwał, czy po prostu nie widział sensu walki z irracjonalną złością. Myślę, że dlatego był dobry w swoim fachu. Potrafił prowadzić negocjacje między dwojgiem skłóconych ludzi i nie ulegać ich wzburzonym emocjom.

Tata nigdy niepotrzebnie o tym nie rozmawiał, ale mama zdawała się pielęgnować w sobie zawiść do byłej żony swojego męża i najstarszego dziecka i przypominała mu o niej z lubością. Nigdy tego nie rozumiałem. Tata jest rodzajem faceta, który nawet pająka na podłodze nie miażdży, tylko łapie w szklankę i wynosi do ogrodu. Widywałem Fennę, przyrodną siostrę, raz do roku. Była trochę nieśmiała, spokojna i wycofana. Mimo tego, że tata opłacił jej studia, pracowała w bibliotece. Chyba odziedziczyła ten sam gen naszego ojca, co ja: nieumiejętność walki o siebie samego i brak siły przebicia. Nigdy nie przychodziła do nas do domu i myślę, że nie mogła znieść naszej mamy i chłodu, z którym ta obnosiła się jak urażone dziecko. Tak naprawdę więc w ogóle jej nie znałem, choć dzieliliśmy część DNA.

Była jeszcze jedna osoba, która stała się ogniskiem zapalnym i źródłem konfliktów w naszym domu. Sander, chłopak Finyi, którego mama nie lubiła co najmniej na równi z Fenną. Mamie w Sanderze wszystko przeszkadzało – jego wygląd, nieokrzesane zachowanie, miłość do aut, brak porządnego wykształcenia, błędy przeszłości. Jednym słowem wszystko to, co Finyi właśnie się w nim podobało. Choć prawdopodobnie najbardziej kręciła ją w całej tej sytuacji niechęć mamy do niego. Sander stał się kolejną kością niezgody i sztandarowym hasłem buntu mojej siostry przeciw mamie.

Miał szeroki, trochę bezczelny uśmiech, ciemne włosy i oczy. Nawet częściowo ułamany przedni ząb dodawał mu uroku i podkreślał szelmowski wygląd. Pamiętam, gdy pierwszy raz go szkicowałem, samym węglem rysowałem tylko ostre, mocne kreski. Mogłem sobie wyobrazić, co pociągało w nim Finyę. Przypominali siebie nawzajem. Ta sama wyrazistość i pewność siebie granicząca z arogancją. Dumne spojrzenie. Ale to, co u Finyi było jej istotą, u Sandera zdawało się być jedynie warstwą, pod którą kryło się coś więcej, jakaś niebezpieczna niezłomność.

Sander nigdy nie udawał, że jest kimś innym, kimś lepszym. Wydawał się niezwykle usatysfakcjonowany samym sobą i nie miał kompleksów, całkiem inaczej niż reszta zwykłych ludzi. Może to było w nim tak pociągające? Jego niewymuszone samozadowolenie, do którego ciągnęły dziewczyny jak ćmy do ognia.

Ale nie Finya. Ona widziała w nim zwierciadło swojej własnej pasji do życia, desperackiego pragnienia spróbowania wszystkiego – dotknięcia, doznania, przeżycia. Cechowała ich niezdolność do zazdrości, nawet w odniesieniu do łączącej ich relacji. Oboje byli pożądlivi,

wiecznie poszukiwali okazji i szans rzucanych im przez życie.

Ich spotkanie było jak zderzenie kontynentów, zmieniło bieg historii dla nas wszystkich, wywołało serię trzęsień ziemi i tsunami, których skutki nadal odczuwaliśmy.

Może brzmi to, jakby łączyła ich piękna romantyczna miłość, ale rzeczywistość była dużo mniej kolorowa. Kłócili się tak często, jak często się śmiali, i nie były to sprzeczki zakochanych, lecz bitwy, w których wszystkie chwytły były dozwolone. Iskry sypały się zarówno, gdy się kochali, jak i w czasie kłótni. Byłem cichym obserwatorem, na którego rzadko zwracano uwagę. Finya nigdy nie prosiła nikogo, by brał jej stronę w czasie dyskusji, zresztą nie było to potrzebne. W ostateczności wyciągała z rękawa najostrzejsze argumenty.

– Jesteś pierdolnięty! Popieprzony! – wrzeszczała na niego, a przypadkowi przechodnie odwracali głowy z zaciekawieni.

Sander wzruszał ramionami i zapalał papierosa.

– Przecież to ci się właśnie najbardziej we mnie podoba – odpierał atak z nonszalancją i lekkością, choć Finya kipiała wściekłością i miałem wrażenie, że wydlubie mu oczy paznokciami. Potrafiła jednak opanować emocje i przez zaciśnięte zęby rzucała na odchodne:

– Pieprz się!

– Z tobą zawsze, kicia. – Sander obdarzał ją szerokim, bezczelnym uśmiechem.

– W twoich marzeniach, idioto – syczała, ale czuć było, że złość jej powoli przechodzi.

Czasem dochodziło do rękoczynów, szczególnie gdy Sander przekraczał jakąś niewidzialną granicę i Finya rzucała się na niego w furii. Łapał ją wtedy za nadgarstki i ze śmiechem patrzył, jak się wije, próbując go dosięgnąć. Zwykle wprawiali w zakłopotanie innych ludzi, którzy nie wiedzieli, jak reagować, szczególnie gdy po paru minutach ostrych przekleństw, oboje zaczynali śmiać się jak szaleni. Jestem pewien, że większość świadków tego typu zajść sądziła, iż Finya i Sander są pod wpływem narkotyków. Prawda była jednak taka, że byli dla siebie nawzajem jak połączenie ekstazy i amfetaminy.

Nie jestem pewien, czy byli w sobie naprawdę zakochani. Wiem jedynie, że z miłości robimy czasem głupie rzeczy, takie, o które byśmy siebie w innych okolicznościach nie podejrzewali. I wiem to z własnego doświadczenia. Niestety.

Wieczorami wyciągałem stary blok pełen zapomnianych rysunków i przeglądałem go z namaszczeniem. Szkicowanie mojej siostry było jak tworzenie kiepskiej kopii oryginalnego dzieła. Niektóre prace opatrzyłem datą. Na przykład tę wykonaną w lecie, dwa lata przed wypadkiem. Finya przypominała na niej tancerkę flamenco – falbany spódnicy wokół jej nóg obracają się jak pierścienie Saturna, odsłaniają się smagłe łydki, wiesz, że wiruje w tańcu, choć nie widzisz ruchu. Zobaczyłem ją na kempingu, na który pojechaliśmy mimo narzekania i złorzeczeń mamy. Moja siostra tańczyła nad samą wodą, spod jej stóp sypał się piach, pomarańczowe, różowe i złote promienie zachodzącego słońca migotały w jej włosach. Pracowałem nad tym szkicem cztery dni, obraz nie dawał mi spokoju, budziłem się w nocy i w ciemnościach namiotu szukałem latarki, przy świetle której poprawiałem linie i kolory. Obsesyjnie poszukiwałem odpowiednich odcieni. Kiedy szkic był gotowy, spryskałem go fiksatywą i długo patrzyłem na własne wspomnienie uchwycone na papierze.

Również po śmierci szkicowałem Finyę, jej twarz powracała w moich rysunkach. Jednak z czasem szkice traciły ostrość i kolor, jakby kontury wspomnień zacierały się, najpierw ledwo widocznie, potem coraz bardziej zauważalnie. W mojej głowie wisiał nieuchwytny jeszcze lęk, że Finya najpierw odeszła z naszego życia, a teraz wymykała się z naszej pamięci. Nawet kilka

miesiący po jej śmierci przyłapywałem się na tym, że na nią czekam. Nie mogłem uwierzyć, by ktoś tak pełen sił witalnych, jak ona mógł zniknąć tak po prostu, nie pozostawiając po sobie nic.

Czasem byłem zazdrosny. Ją napędzał apetyt na przeżycia i doznania, mnie natomiast do życia stymulował lęk przed ryzykiem, wpadką. W końcu ten lęk przybrał realną formę i najgorsze z możliwych uchybień zostało popełnione. Błąd niewybaczalny. Zdrada.

Sander Horst

SĄ TACY, KTÓRZY TWIERDZĄ, że nic w życiu nie dzieje się bez przyczyny, ale ja nigdy tak nie uważałem, zresztą filozoficzne rozważania na tematy egzystencjalne nie są moją mocną stroną. A jednak po tym wszystkim, co się wydarzyło, zacząłem rozmyślać nad trafnością tej tezy.

Żeby opowiedzieć, jak poznałem Finę, muszę najpierw wytłumaczyć, skąd wzięłem się w nowo wybudowanej luksusowej dzielnicy Sneek, gdzie w normalnych warunkach nie powinno mnie tam być. Traf chciał inaczej.

Nie miałem w życiu łatwo, choć nie zwykłem narzekać. Szybko nauczyłem się, że najważniejsze to korzystać z każdej sprzyjającej okazji, żeby sobie to życie ułatwić. Czasem jednak nierozważnie chciałem za dużo i wpadałem w tarapaty. Nie znośłem, gdy ktoś mówił mi, co mam robić. Może nie byłem do tego przyzwyczajony. Ojciec zwykle lekceważąco machał ręką na wszystkie moje wpadki i otwierał kolejną puszkę piwa. Szczególnie po tym, jak mama nas zostawiła, przestało go interesować, co robię i z kim. Nie żeby kiedykolwiek był tym bardzo zainteresowany.

W wieku dwunastu lat trafiłem pod opiekę kuratora. Wagary, akty wandalizmu i obrażanie stróżów prawa. Był to co prawda jedynie wierzchołek góry lodowej, ale nie chwaliłem się tym głośno. Ponieważ rodzice nie mogli zapewnić mi odpowiedniej opieki, na mojego opiekuna prawnego sąd wyznaczył dziadka, u którego i tak spędzałem większość czasu. Babcia skomentowała to głębokim westchnieniem i wypominała mi często, że wpędzę ich oboje przedwcześnie do grobu. Dziadek przyjął wszystko bez słowa skargi. Nie mogę powiedzieć, że poprawiłem się po tej wpadce. Nauczyłem się jedynie ostrożności i sprytu. Umieszczono mnie w szkole specjalnej o profilu zawodowym, w klasie dla dzieciaków z trudnościami w nauce, gdzie miałem się jedynie regularnie stawiać i przesiadywać w ławce. Poziom był tak niski, że nie musiałem się wysilać, by przechodzić z klasy do klasy. Bardzo mi to odpowiadało, gdyż mogłem skupić się na innych rzeczach, zamiast tracić czas na uczenie się bezużytecznego szkolnego materiału.

Auta były moją największą miłością. Wychowałem się w warsztacie dziadka, zapach paliwa i oleju samochodowego do dziś wywołuje we mnie przyjemne doznania. Dziadek nie miał wielu klientów, gdyż duże serwisy samochodowe powoli przejmowały biznes. Miał za to specyficznych klientów. Obok warsztatu otworzył myjnię aut, w której pomagałem, odkąd pamiętam. Myjnia służyła bardziej do prania nieopodatkowanych zarobków niż do zarabiania. Bo to warsztat przynosił główne zyski. Czasem dziadek rozbierał kradzione auta na części, które potem były sprzedawane lub wykorzystywane do renowacji innych aut. Wyglądał drobne

wgniecenia, lakierował. To dziadek dał mi najważniejszą lekcję ekonomii i matematyki w jednym i wytłumaczył, jak obliczamy procenty, na czym polegają podatki oraz jak uniknąć ich płacenia i wyjść na czysto. Mogłoby się wydawać, że wróciłem na dobrą ścieżkę, ale najostrożniejsze nawet środki ostrożności nie pomogą, gdy wpadasz na nieodpowiednich ludzi. I tak mając piętnaście lat, trafiłem do ośrodka wychowawczego za włamanie i pobicie. Tam dostałem od życia kolejną lekcję. Choćbyś nie wiem jak bardzo był niewinny lub jak bardzo przekonany o swojej sile, nie donoś na innych. Inni zwykle mają przyjaciół, którzy odnajdą cię na końcu świata, w środku nocy i odpłacą za kablowanie. To był najgorszy okres w moim życiu i zagryzając zęby, robiłem wszystko, żeby się stamtąd wydostać. Kilka tygodni po tym, jak moja pozycja trochę się ustabilizowała i mogłem bezpiecznie chodzić korytarzem oraz wieszać skarpetki na suszarce bez obawy, że pięć minut później będą pływały w kiblu, przywieziono Arjena. Większość stałych mieszkańców ośrodka знаła go z jego wcześniejszego pobytu i nie uszło mojej uwadze, że wychowankowie witali go jak króla wracającego po zwycięskiej wojnie. Szybko zorientowałem się, że chcąc mieć większe szanse na przetrwanie, muszę wkupić się w łaski bossa. Możliwość przytrafiła się dość szybko, jak się bowiem okazało, Arjen zostawił w ośrodku nierozwiązane problemy, za likwidowanie których zabrał się pewnego wieczoru. Widziałem, jak pobił chłopaka w łazience. Wybił mu zęby, wałąc jego głową o grzejnik. Pamiętam ten dźwięk do dziś i do dziś wywołuje we mnie to samo nieprzyjemne wrażenie. Ofiarę zabrano na pogotowie. Mimo iż chłopak ledwo trzymał się na nogach, a z ust ciekła mu krew, odmówił podania nazwiska napastnika. Widać znał tę świętą zasadę, którą większości z nas wpojono na różne bolesne sposoby. Pluł krwią i wodząc wzrokiem po zebranych na korytarzu wychowankach ośrodka, którzy zbiegli się zaalarmowani harmiderem, powtarzał, że nic nie widział. Jedno oko zrobiło się fioletowe i spuchło jak piłeczka do golfa. Wychowawca naszej grupy zebrał nas w świetlicy w trybie natychmiastowym i oznajmił, że nikt nie opuści ośrodka, dopóki nie dowie się, kto był sprawcą. Patrzył na Arjena, bo tak jak wszyscy miał świadomość, że to on dokonał pobicia. Jednak bez dowodu lub świadka nie mógł nic zrobić i Arjen dobrze o tym wiedział. Miałem parę sekund na podjęcie ryzykownej decyzji. Wiedziałem, że nie ujdzie nam to płazem, ktoś musiał ponieść karę. Podniosłem się z mojego miejsca wokół stołu, przy którym wszyscy milczeli, rzucając sobie porozumiewawcze spojrzenia. Czulem na sobie ostre spojrzenie Arjena i zaskoczony wzrok wychowawcy. Facet nie spodziewał się, że ktoś zareaguje, i miał zamiar uziemić nas na miesiąc.

– Ja go pobiłem – powiedziałem bez ceregieli. Zerknąłem na Arjena, którego szczęka rozluźniła spazmatyczny zacisk.

– Czyżby? – W głosie wychowawcy brzmiało powątpiewanie. – I jaki niby miałeś powód? Dlaczego go pobiłeś?

– Bo jest głupią ciotą i pieprzonym kablem – odpowiedziałem i cichy pomruk śmiechu rozległ się wokół stołu.

Wychowawca uciszył zebranych i umieścił mnie na noc w izolatce. Rano przed śniadaniem zostałem wysłany do dyrektora ośrodka, który zgłosił pobicie na policji oraz u mojego kuratora. Przedłużono mi pobyt w placówce, a za karę odmówiono wyjść weekendowych na cały miesiąc. Ale było warto. To była niewielka cena, którą zapłaciłem z przyjemnością, za przyjaźń Arjena. Trzymaliśmy się razem również po wyjściu z ośrodka z bardzo zadowalającym rezultatem.

Arjen był dwa lata starszy ode mnie. Jego ojciec miał fabrykę jogurtów, więc kasy mu nie brakowało. Pracowaliśmy w warsztacie dziadka, imprezowaliśmy. Może za dobrze nam się

powodziło, może za wiele uchodziło nam płazem. Przestaliśmy być ostrożni i w ten sposób wpadliśmy w tarapaty. Policja zatrzymała nas w skradzionym aucie. Kłopot polegał na tym, że Arjen był już pełnoletni, i nie trzeba było być Einsteinem, żeby się domyślić, co mu groziło. Nie zastanawiałem się długo. Wziąłem winę na siebie, ponieważ brakowało mi jeszcze kilkunastu tygodni do osiemnastki i wylądowałem w tym samym ośrodku. Tym razem jednak moje życie tam było odrobinę łatwiejsze. Dobrze znałem zasady i miałem swoje kontakty. Zresztą w tym ciasnym świecie wieści rozchodzą się szybko i w okamgnieniu zyskałem szacunek za dokonane niegdyś czyny. Musiałem odczekać grzecznie i bez przypałów do czasu, aż mnie wypuszczą.

Jak się okazało, ojciec Arjena miał znajomości, gdzie trzeba. Wkrótce zamieniono moją karę na sto godzin prac społecznych i dołączyłem do Arjena, który z kwaśną miną odrabiał swoją część kary. W ten właśnie sposób pewnego upalnego czerwcowego dnia trafiłem do luksusowej, nowo wybudowanej dzielnicy na obrzeżach miasta, gdzie przekopywaliśmy ziemię pod planowane trawniki. Tam właśnie cztery lata temu zaczęła się moja historia z Finyą. Więc może wszystko dzieje się po coś.

Był straszny upał, ubrania kleiły mi się do skóry, pot spływał obfitymi strugami. Kląłem siarczyście w myślach i odliczałem godziny do przerwy, która jednak nie przynosiła ulgi. Pracowaliśmy na otwartej przestrzeni, gdzie nie było nawet jednego drzewa, w cieniu którego można by odpocząć. Staliśmy więc w parzącym słońcu, paląc papierosy i podając sobie plastikowe butelki z wodą ciepłą jak zupa. To wtedy po raz pierwszy zobaczyłem Finyę. Wyszła na taras jednego z domów położonych nad wodą. Nie zauważyła mnie od razu. Rozsiadła się wygodnie w ogrodowym fotelu i zarzuciła opalone zgrabne nogi na jego poręcz. Przez chwilę bawiła się telefonem. Miała na sobie dżinsowe wystrzępione szorty i pomarańczowy top odsłaniający ramiona. Tuż przy krawędzi tarasu kołysała się ogromna, lśniąca luksusem łódź z napisem *Evelien*. Przez chwilę zastanawiałem się, czy tak miała na imię dziewczyna na tarasie. Oparty o przyczepę auta wypełnioną workami z ziemią wypalałem kolejnego papierosa, nie spuszczając z niej wzroku. Dziewczyna sięgnęła po coś i wtedy mnie zauważyła. Zmrużyłem oczy od słońca. Ona siedziała w cieniu budynku. Podniosła z podłogi puszkę i patrząc na mnie, przyłożyła ją sobie do policzka z widocznym zadowoleniem. Arjen podał mi plastikową butelkę w połowie wypełnioną wodą. Słońce parzyło mnie w odsłonięte ramiona i w głowę. Patrzyłem, jak dziewczyna otwiera puszkę i z półśmiechem unosi ją do warg. Mogłem niemal poczuć w ustach smak zimnego, gazowanego napoju. Wiedziała, że na nią patrzę. I sprawiało jej to przyjemność. Kiedy znów na mnie spojrzała, uniosłem w jej stronę plastikową butelkę w geście toastu, co wywołało już nieskrywany, szczery uśmiech. Było w jej spojrzeniu coś, co mnie pociągało bardziej, niż chciałem się przyznać. Jakieś wyzwanie wypisane w jej oczach. Wyzwanie, które zamierzałem przyjąć.

Evi Brouwer

NA POCZĄTKU CZERWCA po tym, jak zdałam wszystkie testy w szkole, atmosfera w domu odrobinę się poprawiła. Wiedziałam, że mama bardzo się stara, i nie rozumiałam, dlaczego tak mnie to irytowało. Myślę, że było to poczucie winy, ponieważ ja nie wkładałam aż tyle wysiłku

w poprawę naszych stosunków. Czułam się osaczona przez nią i przez Toby'ego, który ilekroć nasze oczy się spotkały, patrzył na mnie jak zbity pies. Zmagałam się z wyrzutami sumienia i złością. Staralam się jednak nie doprowadzać do niepotrzebnych spięć, wracać do domu na umówioną godzinę, brać na czas lekarstwa, odbywać grzecznościowe rozmowy z mamą o szkole i koleżankach. Pozornie wszystko wróciło do normy i było jak dawniej. Choć miałam świadomość, że coś między nami było stracone.

Po szkole miałam więcej czasu wolnego na spotkania z koleżankami. Robiłam wszystko to, na co przed operacją nie miałam szans. Wychodziłam do kina, do sklepów i kafejek, plotkowałam, śmiałam się. Wreszcie czułam się jak zwykła dziewczyna, przeciętna nastolatka, jedna z tysięcy. Wsiąkałam w to zwyczajne życie, tak mi obce do tej pory, i dałam się mu porwać.

Miewałam też gorsze dni, gdy wszystko mnie przerastało i znów nie potrafiłam się odnaleźć. Wypełniała mnie jakaś niewyjaśniona, dziwna tęsknota za tym, co było, choć wiedziałam, że to zupełnie irracjonalne tęsknić za czasem, gdy chorowałam. Czasami wysyłałam Toby'emu wiadomość, pchana jakąś potrzebą nawiązania ponownego kontaktu, dotknięcia czegoś odległego, osiągnięcia tego, co zdawało się nagle zupełnie nieosiągalne. Nie da się wrócić do tego, co świadomie porzuciliśmy na pastwę czasu. Nie da się ruszyć w przyszłość, zabierając ze sobą jednocześnie przeszłość. Żeby wzbić się wyżej, trzeba zrzucić balast, uwolnić się od niepotrzebnego ciężaru, podjąć ryzyko upadku, na który może nie jesteśmy gotowi. Coś jednak pchało mnie w tę podróż, choć nadal tęsknym wzrokiem oglądałam się za siebie. Wszystkie te sprzeczne emocje targały mną jak porywisty wiatr. Brałam wtedy rower i jechałam przed siebie, dokąd mnie koła poniosły.

Tamtego dnia wracałam do domu po szkole. Było gorąco i mama poprosiła mnie, żebym starała się trzymać w cieniu, pić dużo wody i przebywać w chłodzie. Martwiła się, że upał może nadwerężyć moje serce. Wsiadłam na rower z zamiarem powrotu do domu. Na skrzyżowaniu Prins Hendrikkade, gdy zerknęłam w stronę, w którą powinnam się udać, między budynkami miasta ujrzałam ciemniejsze pasmo nieba. Zwiastowało zbliżający się deszcz. Zamiast skręcić w tamtym kierunku, zawróciłam rower. Jechałam ulicami miasta, nie bardzo wiedząc, dokąd mam się udać. Wiatr wiał mi przyjemnie w twarz i nie czułam parzących wciąż promieni słońca. Okrążyłam Waterpoort i wjechałam w wąskie uliczki, wzdłuż których biegły rzędy ciasno do siebie przylegających domków. Miałam poczucie, że coś mnie pcha, i choć wiedziałam, że zaraz się zgubię, nie potrafiłam się odwrócić i ruszyć w drogę powrotną. Nie znałam tej części miasta, a nazwy ulic niewiele mi mówiły, zresztą każda z nich nie tylko wyglądała podobnie, ale nawet nazwy brzmiały prawie identycznie: Pierwsza Woudstraat, Druga Woudstraat, Trzecia Woudstraat. Zeszłam z roweru i prowadziłam go, rozglądając się wokół. Usłyszałam muzykę, podniesione głosy, donośny śmiech i ryk silnika, jeszcze zanim doszłam do miejsca, gdzie wąska ulica biegnąca między niskimi ciasno zespolonymi budynkami nagle poszerzała się o niewielki plac z miejscami parkingowymi. Na obrzeżach placu rosły młode drzewka, wzdłuż niskiego płotka, który częściowo odgradzał dziedziniec od ulicy, stały ustawione w rzędzie śmietniki. Mogłam odwrócić się i pójść w przeciwną stronę, ale uwiódł mnie hipnotyzujący rytm muzyki, którego byłam ciekawa. Tak naprawdę nie wiem do tej pory, co się wtedy zdarzyło. Przystałam myśleć. Uległam jakiejś dziwnej sile przyciągania i ruszyłam w stronę dźwięków.

Na środku placu stało auto marki Volkswagen w matowym czarnym kolorze. Maskę była uniesiona i odsłaniała silnik. Wszystkie drzwi otwarto, a z głośników rozbrzmiewała muzyka. Od razu zauważyłam dwóch młodych mężczyzn zajętych samochodem, ale moją uwagę przykuł

tylko jeden z nich, ciemnowłosa, wysoki, pochylony nad obnażonym silnikiem. Zatrzymałam się i wciąż jeszcze zaciskając dłonie na kierownicy roweru, przyglądałam się chłopakowi w koszulce bez rękawów. Jego ramiona były opalone, błyszcząca od potu skóra opinała widoczne pod nią mięśnie. W ustach trzymał papierosa. Ręce aż do łokci miał umazane czarnym smarem. Wylał je o szmatę leżącą obok koła i rzucił nią w niskiego blondyna opartego o auto. Ten przeklął głośno i zaśmiał się. I wtedy mnie zobaczył. Powiedział coś do ciemnowłosego chłopaka i ruchem głowy wskazał w moim kierunku. Zastygłam zaskoczona. Nie wiem naprawdę, dlaczego mi się wydawało, że jestem niewidzialna, stojąc jedynie parę metrów od nich i przyglądając się im bezczelnie. Kompletna idiotka. Na domiar złego, gdy ciemnowłosa chłopak odwrócił się w moją stronę, zamiast ruszyć przed siebie, nadal tkwiłam z nogami wrosniętymi w chodnikowe płytki, nie mogąc oderwać od niego oczu. I ten sposób, w jaki na mnie spojrział! Uważnie, ale bez przesady. Wyjął z ust papierosa. Uśmiechnął się z lekką kpina, odsłaniając rząd równych zębów, z których jeden był lekko ułamany. Sprawiał wrażenie, jakby był przyzwyczajony, że się na niego patrzy, jakby mu to nie przeszkadzało. Odwrócił się w kierunku towarzysza i zaśmiał bezgłośnie, widziałam jednak to jednoznaczne drżenie ramion. Ten drugi również się śmiał, wykrzywiając twarz, na której gdzieś widniały blizny po przebytej niegdyś ospie. Wcale im się zresztą nie dziwiłam, gdyby nie chodziło o mnie samą, pewnie też bym parsknęła śmiechem. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę z obecności trzeciego chłopaka, siedzącego na drewnianym stole w rogu placu. Podniósł jedynie głowę znad notatnika, który leżał na jego kolanach, i założył za ucho kosmyk brązowych włosów. Nie śmiał się. Miał ściągnięte niezadowolaniem brwi. Nie przyjrzałam mu się zbyt uważnie, zwróciłam jednak uwagę, że to nie na mnie patrzył ze złością, lecz na śmiejącą się dwójkę kolegów. Dopiero potem zerknął na mnie, jak gdyby mnie tak naprawdę nie widział, i wrócił do tego, czym się dotąd zajmował. Ciemnowłosa chłopak wsiał do auta i przekręcił kluczyk. Silnik znów ryknął, wyrывая mnie ze stanu dziwnego transu. Moje nogi poderwały się do marszu. Zerknęłam jeszcze raz przez ramię, jakbym chciała się upewnić, czy nadal na mnie patrzą. Nie wiem, jak długo szłam, błędząc uliczkami. Zignorowałam coraz silniejsze podmuchy wiatru i granatowe chmury nadciągające nad miasteczko. Szłam, klnąc w myślach na swoją głupotę. Moje policzki piekły ze wstydu. Myśli pulsowały w głowie. Szczególnie ta jedna nieprzyjemna myśl. Twarz ciemnowłosego chłopaka wydała mi się bowiem znajoma.

Wkrótce znalazłam się znów na Prins Hendrikkade. Lunał deszcz, przyjemnie chłodząc moje emocje. Kiedy wreszcie dotarłam do domu, byłam zupełnie przemoczona. Mama wyszła z kuchni, przywołana dźwiękiem klucza w zamku.

– Evi? Wysłalam ci wiadomość, dzwoniłam... Boże, jesteś całkiem mokra!

Próbowałam opanować irytację.

– Tak, mam, z nieba pada woda, więc jestem mokra. To nieunikniona konsekwencja spaceru w deszczu.

– Evi, wiesz, że nie powinnaś się przeziębić. Infekcje są... – zaczęła, ale przerwałam jej szybko.

– Wiem! – powiedziałam trochę za ostro. Kątem oka widziałam, jak zamknęła usta i stała w drzwiach kuchni z marchewką w dłoni, drążąc oczyma dziurę w mojej głowie.

– Myślałam, że skończyłaś lekcje o czternastej. – Głos mamy był teraz cichszy i ostrożniejszy.

Obraz ciemnowłosego chłopaka wrócił nagle przed moje oczy z całą gamą emocji – od

podniecenia przez wstyd aż do złości na siebie samą.

– Miałam ochotę na spacer, bo była ładna pogoda. – Zauważyłam, że mama otworzyła usta, ale uprzedziłam ją. – I proszę nie mów mi nic o upałach. Idę się przebrać.

Zostawiłam ją w korytarzu i z ulgą zamknęłam za sobą drzwi do pokoju. Zrzuciłam z siebie mokre ubrania i otworzyłam szafę, by sięgnąć po suche ciuchy. W lustrze zawieszonym po wewnętrznej stronie drzwiczek mignęło przez chwilę moje odbicie. Powoli rozchyliłam drzwi i oto stałam ze sobą twarzą w twarz. Rodzice wychowali mnie w przekonaniu, że jestem ładna, i nigdy nie przyszło mi do głowy, by to negować. Zresztą to, co widziałam w lustrze, nie było nieprzyjemne dla oka. Choć wtedy po raz pierwszy spojrzałam na siebie krytycznie. To nie tak, że czułam się brzydka. Raczej nudna, bez wyrazu. Oczyma duszy zobaczyłam pełen kpiny uśmiech ciemnowłosego chłopaka. I poczułam krew wzbierającą jak fala w moim ciele, przyjemny dreszcz, który sprawił, że moje sutki stwardniały. Spojrzałam w lustro zaskoczona. Przygryzłam wargę. Taki ktoś nigdy nie zainteresowałby się dziewczyną taką, jak ja. Przesunęłam wzrok z moich piersi na bliznę biegnącą między nimi. Dotknęłam jej palcami. Potem powoli zjechałam niżej i przymykając powieki, próbowałam wyobrazić sobie, jakby to było, gdyby on mnie tak dotykał. I wtedy nagle uświadomiłam sobie, skąd znałam tę twarz, ten arogancki uśmiech, te ciemne oczy. Przypomniałam sobie zdjęcie chłopaka na telefonie Britty. Otworzyłam oczy i spojrzałam na siebie. Kretynka.

Chantal Simons

TEGO WIECZORU UMÓWIŁAM SIĘ Z CARLEM W JEGO MIESZKANIU. Nie miałam ochoty siedzieć w domu i patrzeć na zamknięte drzwi pokoju Evi. Nie chciałam być sama z moimi niepokojami. Carl chyba źle zrozumiał moje intencje, bo gdy przyszedłam, miał na sobie świeżo wyprasowaną, białą koszulę, a na stoliku w salonie stała butelka wina i drewniana deska z serami i winogronami. Usiadłam niezręcznie na sofie, nagle świadoma, że mam na sobie zwykłą bluzkę z plamą po sosie do spaghetti, które przygotowałam na obiad. Pocierałam dłonie, lekko zdenerwowana. Rozważałam w głowie, czy naprawdę chcę znów zaczynać ten temat. Pokusa zapomnienia była ogromna, szczególnie gdy Carl podał mi lampkę aromatycznego wina i zajął miejsce obok mnie. Jego ramię spoczęło na oparciu sofy, tuż za moimi plecami. Strumień dawno zatraconych w rutynie dnia codziennego wspomnień ruszył. Przypomniałam sobie nasze pierwsze spotkania i to błogie uczucie, gdy otaczał mnie ramieniem, dając mi do zrozumienia, że tam przynależę. Upiłam spory łyk wina i odstawiłam lampkę na stół. Carl pochylił się ku mnie i jego oddech na mojej szyi wywołał dreszcz przyjemności.

– Carl – powiedziałam, choć brzmienie jego imienia w moich ustach przypominało westchnienie..

– Mhm... – odparł, całując mnie za uchem.

– Musimy porozmawiać. – Odsunęłam się lekko, żeby opanować emocje. – O Evi.

– Chyba nie znowu o tym samym? – zapytał, dobrze maskując cień irytacji.

Zagryzłam zęby, żałując, że w ogóle tam przyszedłam. Chciałam się podnieść i wyjść, ale powstrzymał mnie, łapiąc za dłoń.

– Nie, Chantal, przepraszam, porozmawiajmy.

– Carl, z Evi dzieje się naprawdę coś dziwnego. Tracę z nią kontakt, nie potrafimy ze sobą rozmawiać. Mam wrażenie, że irytuje ją wszystko, co zrobię lub powiem. Nie mówi mi, o której wróci, nie odbiera telefonu, gdy dzwonię, nie wiem w sumie, gdzie ona się podziewa. Martwię się, że nie dba o siebie, że będzie zapominała brać leki albo się rozchoruje.

Carl słuchał potoku słów z łokciami opartymi na kolanach i ze zwieszoną głową. Miałam wrażenie, że był mną zmęczony.

Kiedy skończyłam, pokręcił głową.

– Więc... jak myślisz, co się z nią dzieje?

– Nie wiem, nie wiem. – Zamilkłam, bo najdziwniejsze pomysły tkwiły mi w gardle i nie potrafiłam ich wypowiedzieć na głos. – Może... może zażywa narkotyki?

Carl unióśł brwi.

– Evi i narkotyki? Chantal... daj spokój...

– Ale coś jest z nią nie tak!

– Nie wiem, czego ode mnie oczekujesz, Chantal. Słyszę, co mówisz, i nadal uważam, że przesadzasz. Posłuchaj siebie. Czy pragnęłaś dla niej tego przeszczeptu, żeby siedziała w domu tak, jak wtedy, gdy była chora i nie miała na nic siły? Evi korzysta z życia i młodości. To

wszystko.

– Nie wiem, czy to korzystanie, czy zaprzeczanie. To serce nie będzie jej służyło w ten sposób wiecznie. Tylko i wyłącznie ostrożność może przedłużyć jego funkcjonowanie. Oboje to wiemy.

Tym razem Carl westchnął poirytowany.

– Naprawdę musisz jej o tym przypominać? Myślisz, że ona nie wie, że ma mniej czasu niż inni? Może właśnie dlatego powinna z niego skorzystać teraz, kiedy wreszcie ma energię? – mówił podniesionym dobitnym głosem.

Przez chwilę milczeliśmy.

– Ja tylko próbuję dbać o jej zdrowie, zapewnić jej dobrą przyszłość – odezwałam się trochę ciszej.

– Nie możesz ochronić Evi przed wszystkim, pozwól jej na samodzielność, na błędy, na porażki.

– Ależ oczywiście, że chcę jej pozwolić na samodzielność! Tu nie o to chodzi, lecz o fakt, że nie mamy pojęcia tak naprawdę, co się nią dzieje! Carl, niektóre z tych błędów mogą kosztować ją życie! – uniosłam się lekko. Czułam, że nic dobrego z tej rozmowy nie wyniknie. Carl widział sprawy zupełnie inaczej niż ja. Kolejny strumień wspomnień ruszył jak wartka rzeka, przypominając mi nasze rozmowy przed rozwodem.

– Przesadzasz! Ona nie jest już małym dzieckiem i jeśli ktokolwiek z nas wie, co to znaczy prawie stracić życie, to właśnie Evi.

Podniosłam się z sofy i tym razem Carl nie próbował mnie zatrzymywać.

– Ja przesadzam? A może to ty ignorujesz znaki, że z twoją córką dzieje się coś niedobrego?! Nie po raz pierwszy z resztą – dorzuciłam, zanim zdążyłam ugryźć się w język. Było za późno, by cofnąć te straszne słowa. I jak się okazało, za późno dla nas, by spróbować do siebie wrócić.

– Boże, Chantal... – Popatrzył na mnie nagle tym pełnym rozczarowania wzrokiem, jakbym właśnie wymierzyła mu policzek. – Dlaczego znowu próbujesz wszystko zepsuć?

W drodze do domu musiałam powstrzymać łzy, które piekły mnie pod powiekami. Nie pamiętam, jak dotarłam do sypialni, której drzwi zamknęłam z hukiem. Długo płakałam skulona pod kołdrą. Karol zwinięty w kłębek leżał u moich stóp. Myśli nachodziły mnie falami. Może naprawdę wszystko psułam, może moja córka była po prostu typową nastolatką? Może zmarnowałam ostatnią szansę na idealne życie w imię lęków i niepokojów, które pielęgnowałam w sobie nadaremno? Może spędziłam połowę mojego życia, opiekując się córką, która teraz nie chciała zamienić ze mną paru zdań bez złości? Czy pragnęłam od niej wdzięczności za moją troskę? Czego naprawdę chciałam? Co się wydarzyło? Gdzie popełniłam błąd? Wtedy uświadomiłam sobie, że skoro zmiany w zachowaniu Evi nastąpiły dopiero po przeszczepie, może miały z nim bezpośredni związek.

Kiedy obudziłam się rano z zapuchniętymi od płaczu powiekami i potwornym bólem głowy, Karol siedział obok mnie i przyglądał mi się uważnie.

– To twoja wina – mruknęłam do niego i podniosłam się powoli. Moje skronie pulsowały. – Ja nawet nie chciałam mieć kota. Wszędzie zostawiasz sierść i masz humory. A teraz jeszcze to... Kto to widział, żeby wierzyć kotu na słowo?

Po wypiciu mocnej kawy i połknięciu dwóch tabletek przeciwbólowych udałam się do pracy. Evi jeszcze spała i choć nie sądziłam, by to ją interesowało, zostawiłam jej na kartce wiadomość,

że będę dziś później w domu.

Silke czekała na mnie w szpitalnej kawiarni. Z uśmiechem przyniosła do stolika dwie filiżanki kawy.

– Nie mam dużo czasu, ale bardzo się cieszę, że wpadłaś. Chociaż jeszcze bardziej cieszę się, że już cię tutaj tak często nie widuję. – Uścisnęłyśmy się serdecznie i zajęłyśmy miejsce w rogu kawiarni, z dala od ruchliwej, ogromnej hali, gdzie mieściła się recepcja szpitala. – Co cię tutaj sprowadza? Kontrola Evi?

– Właściwie to przyszłam, żeby z tobą porozmawiać o Evi. Po pierwsze chciałam cię przeprosić za jej zachowanie w stosunku do Toby'ego. Próbowałam z nią rozmawiać, ale...

Silke przerwała mi z ciepłym uśmiechem i machnęła dłonią.

– Och, Chantal, mam nadzieję, że nie zawracasz sobie tym głowy? To z tego powodu chciałaś się spotkać? Nie wiedziałam, że tak się tym przejęłaś. Zrywanie relacji nigdy nie jest przyjemne, a już na pewno nie w tym wieku, ale przecież tacy są młodzi, zaraz znajdą sobie oboje kogoś innego i zapomną o rozstaniu.

– Wiem, wiem, ale Evi mogła załatwić to wszystko jakoś inaczej – powiedziałam, zastanawiając się, jak przekazać jej, po co naprawdę przyszłam.

– Evi ma dopiero siedemnaście lat, na pewno nie chciała celowo zranić Toby'ego, po prostu nie wiedziała, jak inaczej ma się zachować. Całkiem normalne w tym wieku.

– Ja po prostu bardzo lubię Toby'ego i nie mogłam sobie wymarzyć lepszego chłopaka dla mojej córki – powiedziałam, unosząc do ust filiżankę z gorącą kawą.

– A ja lubię twoją córkę, ale obie wiemy, że nasze dzieci nie będą żyły ze sobą tylko po to, by nas zadowolić. Proszę, nie zawracaj sobie tym głowy. Toby zawsze ciepło o tobie mówi i myślę, że wie, jak bardzo go lubisz i że jest ci przykro. W tym wieku złamane serce szybko się zrasta. Najważniejsze, że Evi dobrze się czuje i wreszcie możecie odetchnąć z ulgą!

Pokiwałam głową i upiłam trochę kawy. Silke przyglądała mi się uważnie, może zauważyła podkrążone oczy pod warstwą makijażu.

– Dlaczego mam wrażenie, że coś jeszcze cię martwi?

– Bo tak jest – odparłam i wzięłam głęboki wdech. – Coś dziwnego dzieje się z Evi. Jakby... Ostatnio nie jest sobą. Zupełnie jej nie poznaję. Jest niemila, mrukliwa, nie dogadujemy się, ciągle wybucha złością, nawet o najdrobniejsze pierdoły. Mam wrażenie, że żyję z tykającą bombą, która lada chwila wybuchnie.

Twarz Silke rozjaśnił szeroki uśmiech zrozumienia.

– Gratuluję, Chantal, masz w domu rasową nastolatkę! Wiem, że nie jesteś przyzwyczajona. Myślę, że choroba Evi opóźniła ten proces, ale nie ocaliła was od niego. Uwierz mi, mówi ci to matka dwóch dorastających synów. Wybacz, Chantal, ale to, co przeżywasz i obserwujesz, jest zupełnie normalne. Opowiem ci, jak to jest. Pewnego dnia zapach ich potu przestaje ci się podobać i przypominać woń niemowlęcia, którym byli. Pod zbyt luźnymi podkoszulkami ich niezręczne i nieproporcjonalne ciała przechodzą transformację i nabierają męskiej formy. Ich głos staje się niski i głęboki, a słowa „mama”, „proszę”, „dziękuję”, „przepraszam” przestają występować w ich słowniku, który jest za to pełen naburmuszonych mruknięć i krótkich, lakonicznych odzywek. W twojej łazience pojawiają się kolejne maszynki do golenia i dezodoranty. Nim się spostrzeżesz, mali chłopcy, których tuliłaś do snu co wieczór, zmieniają

się w obcych, dość niezyczliwych facetów, których podkoszulki nadal musisz prać ty. Ich pokój staje się twierdzą, do której nie masz wstępu, a ty jesteś wrogiem numer jeden. Wydają się nieustannie wkurzeni, a rozmowy z nimi przypominają spacer po bardzo cienkim lodzie. Jeden nierozważny krok i słyszysz złowrogi trzask, który zwiastuje kąpiel w lodowatej wodzie. Czujesz się winna i ostrożnie dobierasz słowa, ale to nie ma znaczenia, wszystko, co mówisz, jest głupie i spotyka się w najlepszym razie z przewracaniem oczyma. Witaj w świecie matek dorastających dzieci! Tak po prostu jest. Nie przeskoczysz tej fazy, choć do tej pory udało ci się ją ominąć, opóźnić. Tak po prostu jest...

Wzruszyła ramionami i sięgnęła po filiżankę. Milczałam przez chwilę, próbując przełknąć jej słowa. Obronić się przed nimi. Przed wątpliwościami, które podcinały moją i tak niezbyt stabilną pewność, że miałam rację.

– Nie, Silke, ty nie rozumiesz. – Pochyliłam się ku niej i chwyciłam ją za dłoń, która spoczywała na stole. – Myślę, że z nią się coś dzieje i jest to związane z przeszczepem.

– Co masz konkretnie na myśli? – spytała. Jej dłoń leżała nieruchomo pod moimi palcami.

Wiem, że zachowywałam się, jakbym straciła zmysły, widziałam, jak na mnie patrzyła z niepokojem i zaskoczeniem w oczach.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć, to jest bardziej... przecucie, rozumiesz? Ale wiem, że coś jest nie tak. Znam Evi. – Słyszałam swój własny głos, pełen desperacji.

Silke uśmiechnęła się cierpko.

– Znałaś Evi jako małą dziewczynkę, a potem nastolatkę, chorą i coraz słabszą. To nie ta sama dziewczyna, Chantal...

Przerwałam jej, kręcąc zamasyżycie głową i odmawiając słuchania jej słów.

– Nie o to chodzi, wiem, że nie o to chodzi. Ale w jednym masz rację. To nie jest ta sama dziewczyna.

Silke westchnęła. Chyba zrezygnowała z próby przekonania mnie do swoich opinii, bo spytała po chwili:

– Podejrzewasz narkotyki?

Pokręciłam głową.

– Nie, to niemożliwe. Evi jest pod stałą kontrolą lekarską, łyka codziennie mnóstwo pigułek, nie wierzę, że mogłaby wpakować się w tego typu kłopoty. Wiedziałabym – powiedziałam, choć zdawałam sobie sprawę, jak idiotycznie to brzmi po tym wszystkim, z czego się jej zwierzyłam. – To musi być coś innego.

– Chantal. – Silke pochyliła się lekko w moją stronę i ucisnęła delikatnie moją dłoń. – Posłuchaj mnie. Z Evi wszystko jest w porządku. Jej wyniki są idealne, przyjmuje lekarstwa, dba o siebie. Jej zachowanie nie ma związku z przeszczepem. Nie może mieć! Może dziewczyna po prostu czuje się dobrze i wreszcie może robić to, co do tej pory jedynie obserwowała u innych. Odpocznij, zrób coś dla siebie... Chantal, twoja córka jest wreszcie zdrowa, samodzielna. Czas, żebyś jej na to pozwoliła. Pomyśl wreszcie o sobie, widzę przecież, że źle wyglądasz...

Siedziałam w milczeniu, patrząc na jej ciepły, pełen wyrozumiałości uśmiech. Miałam ochotę wyrwać dłoń z jej palców, ale zdrętwiałam, świadoma, że nikt nie jest w stanie mi pomóc.

– Wiem, że mi nie wierzysz. Mimo to muszę cię poprosić o przysługę.

Skinęła głową w oczekiwaniu.

– Potrzebuję informacji o dawcy serca Evi.

Silke uniosła brwi i odsunęła się.

– Wybacz, Chantal, ale nawet gdybym chciała, nie mogę ci pomóc. Te dane nie są ogólnie dostępne. Szczególnie jeśli rodzina dawcy nie wyraziła zgody na ich ujawnianie.

Zacisnęłam usta.

– Więc nie możesz ich zdobyć?

– Nie mam dostępu do bazy danych. To serce mogło przyjechać do Evi nawet z drugiego krańca Holandii.

Pokiwałam głową. Wiedziałam, że nie okłamałaby mnie.

– Kto ma dostęp do tej bazy?

Wzruszyła ramionami.

– Najlepiej skontaktować się z kardiologiem odpowiedzialnym za przeszczep albo koordynatorem transplantacji, który prowadził cały proces.

– Dziękuję – powiedziałam, wstałam od stolika i ruszyłam zdecydowanie w stronę hali.

– Chantal, poczekaj! Co chcesz zrobić? – Silke dogoniła mnie tuż przed obrotowymi drzwiami, które prowadziły na zewnątrz.

– Dowiedzieć się, co się dzieje z moją córką.

Opuściłam szpital zdecydowana podążać za głosem intuicji. W mojej głowie pojawił się plan, z którym jednak musiałam poczekać. Trzy dni później wcześniej rano siedziałam w pociągu do Groningen. Mogłam pożyczyć auto od Carla, ale postanowiłam nic mu nie mówić o mojej niespodziewanej wycieczce. Wołałam nie prowokować niepotrzebnych pytań, a tym bardziej kolejnej kłótni. Wzięłam dzień wolny w pracy, tłumacząc się sprawami rodzinnymi, a Evi powiedziałam, że wybieram się do Groningen na szkolenie o nowych materiałach do produkcji plomb.

Nie miałam umówionej wizyty i szansa, że w ogóle uda mi się spotkać z ordynatorem oddziału kardiologicznego była niewielka, ale postanowiłam zaryzykować. W recepcji powiedziano mi, że przyjmuje w gabinecie do południa, a potem ma wielogodzinną operację. Upředzono mnie, że doktor van der Wal jest bardzo zajęty i najprawdopodobniej nie będzie miał czasu ze mną rozmawiać. Uparcie jednak twierdziłam, że poczekam. Zajęłam miejsce przed gabinetem z mocnym postanowieniem pozostania na warcie za wszelką cenę. Jak się okazało, nie musiałam wcale długo czekać. Kiedy drzwi gabinetu otworzyły się i pielęgniarka wypuściła kolejnego pacjenta, poderwałam się z miejsca i ignorując jej pełne dezaprobaty i zaskoczenia spojrzenie, przycisnęłam się do gabinetu.

– Panie ordynatorze – zaczęłam gotowa błagać go o parę minut rozmowy.

Podniósł głowę znad papierów i zsunął okulary.

– Pani Simons? – Był zdziwiony, ale nie zły, więc przestąpiłam dwa kolejne kroki w jego kierunku. Nim zdążyłam kontynuować, machnął dłonią na pielęgniarkę, która zamknęła drzwi do gabinetu. Wskazał mi krzesło stojące przy jego biurku. – Proszę usiąść. Co panią sprowadza? Jak się miewa Evi?

Byłam przyjemnie zaskoczona, iż pamięta jej imię. Dzięki temu miałam poczucie, że nie była jedynie kolejnym przypadkiem w kartotece.

– Dziękuję, panie doktorze. Obiecuję, że nie zajmę wiele czasu, i przepraszam, że tak

znienacka... Chodzi właśnie o Evi.

– Słucham, proszę mówić.

– Nie wiem, jak to wytłumaczyć. Jej wyniki z medycznego punktu widzenia są bardzo dobre, ale... Jej zachowanie zmieniło się od czasu operacji i zaczynam się martwić. Zastanawiam się, czy jest możliwe, że ma to związek z przeszczepem. Bo takie mam odczucie.

Van der Wal zdjął okulary i położył je na stole przed sobą. Sposób, w jaki na mnie popatrzył, powiedział mi, że znów źle trafiłam.

– Pani Simons, bardzo się cieszę, że wyniki Evi są w normie. Najważniejsze, żeby organ pracował, spełniał swoją funkcję i zapewniał pacjentowi możliwość normalnego życia, na które pani córka do momentu transplantacji nie miała szans. To na pewno emocjonalnie bardzo obciążające dla tak młodej osoby, która musi nagle stawić czoła nowym wyzwaniom. Proszę dać córce czas. Minęło zaledwie parę miesięcy od przeszczepu.

Wzięłam głęboki oddech. Czułam, że znowu ponoszę porażkę i po raz kolejny robię z siebie idiotkę.

– Panie doktorze, mimo wszystko chciałam pana prosić o możliwość otrzymania danych osobowych dawcy serca Evi.

Moje słowa zawisły nad dzielącym nas biurkiem.

– Przykro mi, ale nie mogę udzielić pani tych informacji. Widzę, że jest pani bardzo zaniepokojona. Uważam, że zupełnie niepotrzebnie, ale dla spokoju ducha, pani i mojego, proszę skontaktować się z koordynatorem do spraw transplantacji. W recepcji dostanie pani nazwisko tej osoby i numer telefonu. Mam nadzieję, że rozmowa z nią uspokoi panią.

Z gabinetu ordynatora oddziału kardiologicznego wyniosłam wątlą płomyk nadziei, że gdzieś tam w medycznym świątku jest ktoś, kto rozumie, co dzieje się w moim życiu.

Młoda blondynka w recepcji podała mi numer telefonu do Anne Nieuwkoop. Schowałam kartkę do torebki i opuściłam Centrum Medyczne w Groningen. Na stacji okazało się, że musiałam czekać na pociąg. Kupiłam więc kawę na wynos w jednej z kafejek i wyjęłam złożoną kartkę. Wystukałam numer.

– Anne, słucham. – Rezulutny głos zabrzmiał w słuchawce.

– Dzień dobry. Nazywam się Chantal Simons. Otrzymałam pani numer telefonu od ordynatora oddziału kardiologicznego Centrum Medycznego w Groningen. Dzwonię do pani w sprawie transplantacji serca, która odbyła się na początku stycznia tego roku. Mam... pytania i obawy, o których chciałam porozmawiać. Doktor van der Wal poradził mi, abym się z panią w tej sprawie skontaktowała.

– Rozumiem. Będę potrzebowała trochę więcej informacji, nie wiem, czy jest pani stroną dawcy, czy biorcy. To raczej nie jest rozmowa na telefon. Czy możemy się umówić na spotkanie? Gdzie pani mieszka?

– W Sneek, ale mogę przyjechać do innego miasta, to nie stanowi problemu – zapewniłam ją szybko.

– Nie ma takiej potrzeby. Współpracuję z kilkoma szpitalami w regionie. W szpitalu Antonius w Sneek będę w poniedziałek. Jeśli odpowiada pani ten dzień, możemy się tam spotkać. Proszę podać godzinę.

W drodze do domu w milczeniu obserwowałam widoki przesuwane się za brudną szybą. Tak właśnie w tamtej chwili wyglądało moje życie. Jakbym siedziała w rozpędzonym pociągu,

nad którym nie miałam kontroli, i jedyne, co mogłam zrobić, to patrzeć przez okno na uciekające obrazy. Ale zamierzałam to zmienić.

W piątek wieczorem Evi spakowała torbę. Carl przyjechał po nią, ale nie wszedł na górę, wysłał jej jedynie wiadomość, że czeka w aucie. Zabolalo mnie to, choć jednocześnie odczułam ulgę, że nie muszę mu patrzeć w oczy po tym wszystkim, co między nami zaszło.

Spędziłam sobotę, szorując łazienkę i kuchnię w jakimś obsesyjnym transie. Wieczorem obejrzałam film i płakałam pół godziny, nie wiedząc, czy nad losem bohaterów, czy nad swoim. Karol mruzczał rozkosznie zwinięty w kłębek obok mnie. Nagle zobaczyłam swoje życie zupełnie wyraźnie. Oto była moja przyszłość. Samotność z kotem. Wspomnienia i żale.

Carl przywiózł Evi w niedzielne popołudnie. Rzuciła coś mrukliwie na powitanie i nim zdążyłam nacieszyć się jej widokiem, zniknęła za drzwiami swojej sypialni. Nagle zamiast smutku poczułam złość. Nie miałam ochoty przez całe niedzielne popołudnie wpatrywać się w zatrzaśnięte drzwi. Zapukałam i weszłam do pokoju. Evi leżała na łóżku z tabletem.

– Wychodzę. Jadę do Charlotte. Chcesz pojechać ze mną czy zostajesz w domu?

– Zostaję – odpowiedziała, nie siląc się nawet, by brzmiało to miło.

Chwyciłam żakiet z wieszaka, ale kiedy byłam już prawie na schodach, Evi otworzyła drzwi mieszkania.

– Dobra, jadę z tobą – powiedziała i zbiegła na dół.

Jej zmiany nastroju wprowadzały mnie w całkowitą konsternację. Jechałyśmy rowerami przez oblane słońcem ulice miasta. Evi wydawała się nagle radośniejsza, pedałowiała szybko, jakby coś ją pchało. Pomyślałam, że może cieszyła się na spotkanie z dawno niewidzianą Britta, która studiowała i bywała w domu rzadziej niż kiedyś. Wiedziałam, że stała się dla Evi substytutem siostry. Dziewczyny kiedyś świetnie się ze sobą dogadywały, mimo sporej różnicy w sposobie życia. Britta nigdy nie dawała Evi odczuć, że przez chorobę jest inna niż reszta dziewcząt. Mimo buntowniczej natury Brittę łączyła ciepła relacja z mamą i trochę liczyłam na to, że Evi widząc to, przemyśli swoje zachowanie.

Evi Brouwer

DWA DNI PO NAJGORSZYM WYGŁUPIE MOJEGO ŻYCIA nadal nie potrafiłam zapomnieć o tamtym chłopaku. W rezultacie nie myślałam o niczym innym, opętana jakąś obsesją. W mojej głowie toczyła się walka między pragnieniem zobaczenia go jeszcze raz a świadomością, że to oznaczałoby wygłupienie się po raz kolejny. Ja taka nie jestem. Nie tracę głowy dla byle którego chłopaka, a już na pewno nie dlatego, że ma seksowne ciało albo ładną buzię. Nie zadurzam się ot tak sobie w przypadkowych osobach. Walczyłam sama ze sobą w myślach, gotowa stłamsić tę obsesję. Ale było widocznie już za późno, bo mdliło mnie na widok jedzenia, a na myśl o jego uśmiechu i ciemnych oczach robiło mi się gorąco.

W piątek po lekcjach poddałam się i z bólem brzucha oraz spoconymi dłońmi ruszyłam rowerem między uliczki. Nie pamiętałam drogi do placyku ani nazwy ulicy, szczerze mówiąc, nie pamiętałam nawet, jak wróciłam wtedy do domu. Kluczyłam chwilę, ale rzędy budynków

były do siebie tak podobne, że po kilkunastu minutach miałam wrażenie, iż plac, do którego wtedy dotarłam jakimś cudem, w ogóle nie istniał. Kiedy już prawie zrezygnowałam z poszukiwań, rozpoznałam jeden z domów na rogu i ruszyłam w stronę, gdzie parę dni wcześniej zobaczyłam tego chłopaka. Byłam zdecydowana jedynie przejechać tamtędy rowerem, nie zwracając na siebie uwagi, i rzucić okiem na plac. Bardzo się jednak rozczarowałam, gdy okazało się, że plac był pusty. Nawet czarne auto już tam nie stało. Wróciłam do domu z uczuciem ciężkości. Zdziwiłam się, że mama nie była w pracy i przypomniałam sobie, że mówiła coś o szkoleniu. Sprawiała wrażenie dziwnie nieobecnej, ale było mi to na rękę. Nie miałam ochoty na rozmowy. I nawet gdybym miała ochotę, nie mogłabym powiedzieć mamie o nieznanym chłopaku.

Na całe szczęście był piątek i tata zabrał mnie do siebie. Bardzo sprytnie nie wszedł na górę, żebym nie zauważyła, że pokłócił się z mamą. Czasem miałam wrażenie, że rodzice myśleli, iż byłam ślepa albo głupia. Ja jednak dokładnie wyłapywałam to napięcie między nimi.

Weekend u taty był odprężający. Tata nie przyglądał mi się uważnie, bo zajmował się sobą. Przyrządzał za to dobre jedzenie albo zamawiał pizzę do domu, którą zjadaliśmy przed telewizorem. Nie przypominał mi o lekach, nie próbował rozmawiać na siłę i nie pytał, o której wrócę, gdy wychodziłam.

W niedzielne popołudnie po powrocie mama niemal od razu zdecydowała się iść do cioci Charlotte, jakby nie chciała być ze mną w domu. Najpierw ucieszyłam się, że zostanę sama, ale potem wpadła mi do głowy myśl, że jeśli zastanę Brittę, może uda mi się dowiedzieć od niej, jak ma na imię ten chłopak.

Kiedy przyjechałyśmy, okazało się, że w ogrodzie stał grill, sponad którego unosiły się smakowite zapachy. Śmiech cioci usłyszałyśmy, jeszcze zanim weszłyśmy do ogrodu, gdzie rozsiadła się cała rodzina. Nasza niespodziewana wizyta wywołała okrzyki radości. Rozejrzałam się w poszukiwaniu Britty. Wyszła do ogrodu przez drzwi tarasowe. Miała na sobie szorty i przykrótki top odsłaniający jej płaski, opalony brzuch. Włosy zebrała w niedbały kok, kosmyki opadały na jej szyję i kark. Przez głowę przebiegła mi myśl, że takich dziewcząt nikt nie wyśmiewa, nawet jeśli stoją na środku ulicy.

Podano mi szklankę mrożonej herbaty i talerzyk z bagietką, sałatką i grillowanym udkiem kurczaka. Od jego zapachu mój żołądek zaczął produkować nadwyżkę soków trawiennych. Usiadłyśmy z Brittą na schodku przed drzwiami tarasowymi jak za dawnych czasów, ramię w ramię. Zapytałam ją o studia i przez chwilę opowiadała mi o nauce, egzaminach, aż w końcu zeszło na chłopaków. Zamieniłam się cała w słuch, ale opowiadała tylko o nowo poznanych osobach.

– A ten chłopak, którego mi pokazywałaś na moich urodzinach? – zapytałam w końcu, usilnie starając się, by mój głos brzmiał jakby nigdy nic.

– Sander? – Britta nie zwróciła uwagi na moje narastające napięcie.

– Nie wiem, nie pamiętam, czy mówiłaś, jak się nazywał.

– No cóż. Raczej nic z tego nie będzie na dłuższą metę. Zresztą to nie jest chłopak, którego można zabrać do domu i przedstawić rodzicom, jeśli wiesz, co mam na myśli. Ale jest fajny. Piszemy ze sobą od czasu do czasu, obiecał, że zabierze mnie na nielegalne wyścigi samochodowe. Tylko nie mów mojej mamie. – Odwróciła się do mnie, ściągając brwi, jakby się przestraszyła, że za dużo powiedziała.

– No coś ty, przecież wiesz, że nie pisnę ani słowa – obruszyłam się lekko.

– Czekaj, wiesz co, wyślę mu wiadomość, że jestem w mieście. – Wyjęła telefon i przesuając szybko palcami po wyświetlaczu, odnalazła kontakt do chłopaka. Rzuciłam okiem na telefon, niby od niechcienia, i moim oczom ukazało się znajome zdjęcie. Odwróciłam wzrok, czując, że krew zaczyna napływać do moich policzków. Britta klikała przez chwilę, po czym schowała komórkę do kieszeni obcisłych szortów. Podniosła się i pociągnęła mnie za sobą. Odwróciła się w stronę cioci Charlotte i zawołała: – Mamo, idziemy z Evi na krótki spacer, pogadamy sobie i wrócimy, dobra?

Ciocia Charlotte pomachała do nas z uśmiechem.

– Idźcie sobie poplotkować, tylko wróćcie na deser!

– Co ty robisz? – zapytałam, kiedy opuściliśmy ogród i ruszyliśmy zadrzewioną ulicą Leeuwarderkade, biegnącą wzdłuż kanału. Domy były tu duże, ogrody obszerne. Na chodniku małe dziewczynki rysowały kredą i jeździły na hulajnogach. Na trawie nad krawędzią wody chłopcy łowili ryby. Britta pociągnęła mnie za sobą, przyspieszając kroku. Minęliśmy kościół po lewej i doszliśmy do skrzyżowania łączącego się z mostem. Po drugiej stronie na poboczu ulicy zauważyłam znajome czarne auto. Po obu stronach maski biegła naklejka z czerwonymi językami ognia. Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Prawie zabrakło mi tchu. Przez moment nie mogłam zapanować nad własnym organizmem, w którym zaczęły zachodzić dziwne procesy. Jakby wszystko przyspieszyło. Zwolniłam kroku, ale Britta nie zwróciła na to uwagi. Sander na jej widok wysiadł z auta i oparł się o drzwi. Wyglądał inaczej. Miał na sobie biały T-shirt i jasnoniebieskie dżinsy, dłonie trzymał w kieszeniach spodni i uśmiechał się szeroko, mrużąc od słońca ciemne oczy. Nagle ogarnęła mnie panika, że mnie rozpozna i opowie o wszystkim Britcie. Nie mogłam złapać oddechu, choć wiedziałam, że to nie z powodu szybkiego tempa, którym przemierzyliśmy dystans. Kiedy przeszliśmy przez most i stanęliśmy wreszcie przed chłopakiem, wyciągnął ramiona i przyciągnął do siebie Brittę. Jego dłonie zatrzymały się tam, gdzie zaczynają się pośladki, a kończą plecy. Przycisnął jej biodra do swoich i pocałował ją tak mocno, że Britta wygięła się lekko do tyłu. Odwróciłam wzrok. Nie byłam zażenowana sceną rozgrywającą się przed moimi oczyma, lecz uczuciami, które wezbrały we mnie – mieszaniną podniecenia, pragnienia i zazdrości rozpalającej w ciele dziwny ogień. Sander, zajęty Brittą, zdawał się mnie nie zauważać. Byłam mu za to nawet wdzięczna.

– W przyszłą sobotę jest wyścig – powiedział w końcu, zapalając papierosa.

Britta jęknęła.

– Tylko nie w przyszłą sobotę, nie mogę, muszę się uczyć do egzaminu.

– Egzamin nie zajac, a te wyścigi są organizowane rzadko. Przyjedź – mruknął i położył wolną dłoń na jej pośladku, co chwilowo osłabiło opór Britty, szybko jednak przywołała się do porządku.

– Nie dam rady, serio. Muszę zdać ten cholerny egzamin, inaczej zawałę rok. Ale... Evi, nie masz ochoty iść?

Oboje spojrzeli na mnie i poczułam, że zeszywniałam z wrażenia jak drewniana kukielka. Na domiar złego zabrakło mi słów i nie mogłam nic z siebie wydusić.

– Twoja siostra? – Sander przyglądał mi się chwilę bez wielkiego zainteresowania. Pod jego spojrzeniem czułam się całkowicie sparaliżowana.

– Cioteczna – odparła Britta i odkleiła się nagle od chłopaka. Kiedy przytuliła mnie lekko, poczułam na jej ciele jego zapach – mieszankę tytoniu, piwa, benzyny, potu i męskiego szamponu – zakręciło mi się w głowie. – Evi, co ty na to? Potem mi wszystko opowiesz! No,

pojedź, błagam cię, wyrwij się na trochę, należy ci się, w końcu zaliczyłaś wszystkie testy.

– No nie wiem... Co ja powiem mamie?

– Wymyślisz coś! Taka okazja nie trafia się często!

Otworzyłam usta, żeby coś powiedzieć. Czułam się jak kompletna idiotka. Z drewnianej kukiełki stałam się szmacianą, bezwolną lalką.

– Jak potrzebujesz niani dla siostry, to mogę ci kogoś polecić – odezwał się Sander, po czym zaciągnął się papierosem i zerknął na mnie z lekko ironicznym wyrazem twarzy.

– Ona nie potrzebuje niani, tylko rozrywki – odcięła się Britta.

Stałam rozdarta. Chciałam zapaść się pod ziemię. Ostatnie, czego pragnęłam, to ten jego drwiący wzrok. Zebrałam się na odwagę.

– Jasne, czemu nie. – Mój głos brzmiał obco, nienaturalnie twardo.

Sander zerknął w moim kierunku i wzruszył ramionami.

– Dobra, kicia, dogadamy się. Muszę lecieć. – Przygarnął Brittę do siebie zdecydowanym ruchem. Tym razem jednak nie odwróciłam wzroku, gdy wepchnął język między jej wargi, a jego dłoń powędrowała pod przykrótki, ciasny top. Patrzyłam, pozwalając, by ciepło rozlewało się po moim wnętrzu, podrażniając zmysły. Czułam wszędzie przyjemne szczypanie.

– Musimy wracać. – Britta odwróciła się do mnie. Sander klepnął ją po pośladku i rzucił papierosa na chodnik. Zgasił go czubkiem buta i pociągnął za kławkę w aucie.

– Evi, tak? – upewnił się i jego ciemne oczy zlustrowały mnie nagle uważnie, jakby rejestrowały detale. Piekły mnie policzki. Skinęłam głową, tylko na tyle było mnie stać. Britta pociągnęła mnie za rękę. Wróciliśmy do ogrodu cioci Charlotte, gdzie pośród głośnych rozmów, śmiechu i jedzenia nikt właściwie nie zauważył naszego powrotu.

Usiadliśmy na schodach, jakbyśmy wcale nie opuścili tego miejsca. Britta pochyliła się w moją stronę.

– Cholerny egzamin. Ale naprawdę muszę go zdać. Rodzice płacą kupę kasy za te studia... Kurczę... – Britta wodziła oczyma za swoją mamą. – Jak je skończę i będę na swoim, to dopiero pożyję. – Westchnęła głęboko, a potem spojrzała na mnie. – Ale ty masz jechać z nimi! Zobaczysz, jak będzie fajnie!

– Wrobiłaś mnie! Co miałam powiedzieć? Wysłałam na kretynkę!

– Nieprawda! Poza tym przyda ci się jakaś przygoda!

– Ale, Britta, ja tam nikogo nie znam! – broniłam się zaciekle. Nie przypuszczałam, że potraktuje moją zgodę poważnie. Nagle ogarnęła mnie panika.

– No znasz przecież Sandera, zresztą postawią cię gdzieś i będziesz jedynie oglądać wyścig! I rozejrzysz się dla mnie, czy jakieś inne dziewczyny nie kręcą się wokół niego... Dobra? No, proszę cię, zgódź się!

Otworzyłam usta, żeby zaprotestować, ale zabrakło mi przekonania. Wzruszyłam więc ramionami i Britta zarzuciła ramiona wokół mojej szyi.

Tamtej nocy znów śniłam ten dziwny sen. Przepychałam się przez ten sam tłok, rytmicznie falujący w rytm muzyki, której nie słyszałam. Oczyma szukałam dziewczyny, za którą wiedziałam, że mam podążać, lecz nigdzie nie mogłam jej znaleźć. Mur ciał zaciskał się wokół mnie, zamiast się przeredzać, i wkrótce opanowało mnie uczucie narastającej paniki. W tej nienaturalnej ciszy, otaczającej mnie, podobnie jak ten niemy tłum, słyszałam jedynie własny zduszony i nierówny oddech. Czułam, jak powoli zostaję zgnieciona, aż brakowało mi tchu. To

wtedy czyjeś palce ujęły moją dłoń i pociągnęły stanowczo. Wynurzyłam się na powierzchnię wody, łapiąc powietrze dużym haustem. Oddychałam ciężko, jakby coś nadal ścisnęło moje płuca. Odruchowo przymknęłam powieki i położyłam dłoń na piersi, by uspokoić rozdygotane ciało. Mój oddech się wyrównał. Pod palcami nie czułam jednak uderzeń serca. Otworzyłam oczy. Musiały przywyknąć do otaczającego je mroku, w którym dziwnie się unosiłam, jakbym nadal dryfowała na wodzie. Dopiero po chwili uzmysłowiłam sobie, że siedzę w aucie. Odwróciłam głowę. Za kierownicą siedziała dziewczyna. Włosy opadały jej na twarz, której rysów nie mogłam dojrzeć. Nie wiedziałam, dokąd jedziemy. Miałam wrażenie, że pędzimy z zatrważającą prędkością w gęstniejącą ciemność jak w jakąś czarną dziurę, która miała nas wessać. Dokąd mnie zabierasz? Dokąd mnie zabierasz? Dokąd...?

Sny były jak ryby, wyslizgiwały mi się z palców, kiedy próbowałam je uchwycić. A potem odpływały szybko, sprytnie omijając moje dłonie, pozostawiając po sobie lśniące w słońcu dnia łuski, których ostre krawędzie raniły moją pamięć, gdy próbowałam przypomnieć sobie więcej.

Obudziłam się przed budzikiem i przez parę minut obserwowałam promień słońca, tańczący w tym cienkim przesmyku między zasłoną a ścianą, jakby próbował się przez niego przecisnąć do wnętrza pokoju. Zabawne, że sny nawet po przebudzeniu potrafią unosić się w świetle dnia jak zapach, niewidoczny, nieuchwytny, lecz obecny, tylko po to, by potem rozproszyć się w nicłość i zapomnienie.

Sięgnęłam po telefon. Na wyświetlaczu mignęły powiadomienia o nowych wiadomościach na Facebooku. *Sander Horst zaprosił cię do grona znajomych. Nowa wiadomość od Sander Horst.* Jego zdjęcie profilowe zamiast twarzy przedstawiało znajome czarne auto z czerwonymi językami ognia wzdłuż maski. Ścisnęłam w palcach telefon, jakby miał mi się wyslizgnąć. Potwierdziłam zaproszenie i kliknęłam w wiadomość, która natychmiast pokazała się na wyświetlaczu. *Sobota, czwarta po południu. Gdzie mam cię odebrać?* Sander nie był zbyt wylewny i nie sprawiał wrażenia, jakby zabranie mnie było mu na rękę. Przez chwilę miałam ochotę napisać mu, żeby sobie odpuścił, ale paląca ciekawość i pragnienie zobaczenia go jeszcze raz sprawiły, że po paru minutach głębokiego namysłu podałam mu miejsce, gdzie będę czekała. Stłumiłam poczucie winy wobec Britty, dla której miałam mieć Sandera na oku, podczas gdy sama byłam jedną z dziewcząt stojących w długiej kolejce po jego uwagę. Tamtego dnia jednak nie miałam skrupułów i gotowa byłam zrobić, co w mojej mocy, by zająć w tej kolejce pierwsze miejsce.

Chantal Simons

OGROMNA HALA SZPITALA W SNEEK TĘTNIŁA RUCHEM, gdy pojawiłam się tam na umówioną godzinę. W recepcji podano mi numer pokoju i wkrótce, pokonując kolejne piętra i klucząc w długich korytarzach, trafiłam pod właściwe drzwi. Zapukałam delikatnie. Z wnętrza dobiegło wyraźne zaproszenie. Nacisnęłam klamkę.

Anne Nieuwkoop okazała się kobietą w okolicach czterdziestki, z ciasno upiętymi jasnymi włosami. Jej twarz zdobiły okulary w srebrnych oprawkach, które dodawały jej niepotrzebnie wieku i powagi. Miała na sobie szarą opinającą spódnicę do kolan i nienagannie białą bluzkę,

której kołnierzyk lekko odsłaniał dekolt. Zadbana, nieprzesadnie elegancka, wizytówka profesjonalizmu i poważnego podejścia do swojego fachu. Takie sprawiała wrażenie. I choć wiekowo dzieliło nas jedynie parę lat, nagle poczułam się stara, znoszona i wymięta. A przecież kiedyś sama byłam taką kobietą. Kiedy weszłam, Anne uniosła się zza biurka, odkładając widelec do plastikowego pojemnika.

– Dzień dobry. – Uśmiechnęła się ciepło i uprzednio wytarłszy dłoń o papierową chusteczkę, przywitała się, ściskając moją rękę. – Anne Nieuwkoop. Proszę wybaczyć, próbuję coś zjeść między spotkaniami. Proszę usiąść. Napije się pani czegoś?

Uścisnęłam jej dłoń i wymamrotałam moje nazwisko, z tym nagłym ścisaniem w żołądku, że może nie powinnam była tam nigdy przychodzić. Zająłam miejsce przy biurku. Anne odsunęła plastikowy pojemnik z sałatką.

– Rozumiem, że chodzi o pani córkę, Evi Brouwer, prawda? Otrzymała organ ze styczeniowej transplantacji. Zabieg został przeprowadzony w Centrum Medycznym w Groningen. Z tego, co wiem, przeszczep przyjął się bardzo dobrze i wszystkie kontrole potwierdzają, że serce funkcjonuje bez szwanku. – Tu Anne zawiesiła głos, jakby oczekiwała, że zaprzeczę lub potwierdzę, lecz milczałam. – A jednak coś panią niepokoi – dodała, nie otrzymawszy ode mnie odpowiedzi.

Pięć minut później, gdy skończyłam mówić, powtarzając po raz kolejny litanię moich lęków i trosk, ciepły uśmiech zniknął z twarzy Anne.

– Przykro mi, ale niestety nie mogę pani pomóc. Rodzina dawcy kategorycznie odmówiła możliwości kontaktu z biorcami organów. Pragną pozostać anonimowi. Poza tym... – Kobieta zamilkła na chwilę i widziałam, że uznała to, co jej powiedziałam, za całkowitą bzdurę. – Nie widzę podstaw, by naruszać spokój tych ludzi. Pani córka jest zdrowa, organ funkcjonuje dobrze.

Anne niemalże wypchnęła mnie z pokoju, zasłaniając się kolejnymi spotkaniami służbowymi. Wyczułam w jej zachowaniu lekkie zdenerwowanie i miałam wrażenie, że jest na mnie prawie zła. Byłam spóźniona do pracy i kiedy weszłam do kliniki, czekało na mnie już dwoje pacjentów. Przeprosiłam wylewnie i szybko naciągnęłam fartuch. To wtedy usłyszałam dźwięk nadchodzącej wiadomości w telefonie i mimo niezadowolonej miny mojej asystentki Barber sięgnęłam po komórkę. Była to krótka wiadomość od Anne, która sprawiła, że serce podeszło mi do gardła, prawie uniemożliwiając oddychanie. *Nie mogę Pani pomóc. Znam jednak kogoś, kto ma podobne doświadczenia. Ta osoba zgodziła się z panią porozmawiać. Rixt Edelman. Oto numer telefonu.*

Jeszcze tego samego wieczoru wykonałam telefon do Rixt Edelman, która aż nazbyt chętnie zgodziła się na spotkanie. Okazało się jednak, iż mieszkała w prowincji Groningen, w miasteczku Winsum, i z powodu dyżuru musiałam poprosić o spotkanie w sobotę. Przez cały tydzień starałam się skupiać na pracy. Evi zostały jeszcze ostatnie tygodnie szkoły i Carl zaczął wspominać coś o wakacjach i wyjeździe. Nie miałam jednak głowy do rozmowy o urlopie. Nie byłam w stanie wybiegać myślami dalej niż do kolejnej soboty.

W tamten weekend Evi miała zostać w domu, ponieważ Carl pracował. Myślałam, że będę musiała tłumaczyć się z mojego wyjazdu, ale okazało się, że Evi miała plany na popołudnie. Nie chciałam wypytywać jej zbyt dokładnie, żeby nie zburzyć pozornego zawieszenia broni między nami, więc kiedy rzuciła coś o filmie i pizzy, życzyłam jej miłego popołudnia i powiedziałam, że nie wiem, o której dokładnie będę w domu, więc całkiem dobrze wyszło, że nie zje obiadu w domu.

Musiałam przesiadać się trzy razy, by wreszcie po półtorej godziny dotrzeć do Winsum, gdzie z wydrukiem komputerowym przedstawiającym mapę miasteczka znalazłam podany mi przez Rixt adres. Szeregowce przy tej ulicy ciągnęły się ciasno, trawniki przed domkami były zaniedbane, pomiędzy płytek chodnikowych bujnie wyrastały chwasty. Ponad przyciskiem dzwonka wisiała przyklejona taśmą kartka z nabazgranym na szybko tekstem *NIE DZIAŁA*. Lekko rozmazane litery wyglądały, jakby zmoczył je deszcz. Zapukałam.

Drzwi otworzyła mi niska kobieta z nadwagą i okrągłą rumianą twarzą. Warkocz cienkich jasnych włosów spływał po jej ramieniu. Była młoda, lecz sprawiała wrażenie zaniedbanej. Miała na sobie znoszone czarne getry i szarą tunikę do kolan. Uśmiechała się ciepło i przyjaźnie. Zaprosiła mnie do środka. Korytarz był wąski i ciemny, w rogu stały jakieś deski, a zamiast lampy pod sufitem wisiała na kablu żarówka. Schody prowadzące na piętro zawałone były butami, ubraniami i stosami gazet. Rixt zaprowadziła mnie do pokoju i wskazała miejsce na sofie. Kiedy zaproponowała kawę, zgodziłam się chętnie i na chwilę zniknęła w ciemnym korytarzyku. Wkrótce usłyszałam syczenie ekspresu do kawy.

W domu unosił się zapach cebuli i czosnku oraz kocich odchodów – połączenie to nieprzyjemnie podrażniało mój pusty żołądek. Pokój, w którym siedziałyśmy na sofie, był zabałaganiony. W rogu stał kosz pełen prania, przy szafie leżał stos czasopism, który groził zawaleniem w każdej chwili. Parapet zastawiony był obficie rozrośniętymi roślinami. Stolika do kawy nikt już dawno nie wycierał, ponieważ wszędzie widać było okrągłe ślady po szklankach lub kubkach, okruszki oraz zaschłe plamy po jedzeniu, do których przylepiła się kocia sierść. Pod stolikiem walały się papiery, dokumenty i nieotwarte niebieskie koperty z urzędu skarbowego. Rixt postawiła dwa kubki z kawą na brudnym stoliku. Przejechała dłonią po jego powierzchni, zrzucając okruszki na zaplamiony dywan. Zza sofy wyszedł gruby kot z potarganą sierścią, obwąchał okruszki, po czym obrażony skierował się w stronę korytarza, gdzie usiadł tak, by móc nas nadal obserwować.

– Anne mówiła mi, że martwi panią zachowanie córki po przeszczepie serca – powiedziała, po czym usiadła obok mnie. Wsypała do swojej kawy dwie łyżeczki cukru i zamieszała energicznie, rozchlapując zawartość.

Skinęłam powoli i uniosłam kubek do twarzy. Nawet kawa miała dziwny kwaskowaty aromat. Mój nos powoli przyzwyczajał się do nieprzyjemnej woni panującej w pomieszczeniu.

– Tak, Evi przeszła transplantację pół roku temu. Od tamtej pory jej zachowanie stopniowo się zmieniało. Ona po prostu... wydaje się nie być sobą.

Rixt pokiwała głową.

– Wiem dokładnie, co ma pani na myśli. Mój mąż również przeszedł transplantację serca, po której całkowicie się zmienił. Nie potrafiłam udowodnić, że ma to związek z przeszczepem, zresztą nawet gdybym mogła... – Westchnęła głęboko. – Nie sądziłam, że ktoś mi kiedyś uwierzy i zechce usłyszeć, co mam do powiedzenia. Wszyscy myślą, że całkowicie zwariowałam, i ja sama chyba powoli zaczęłam w to wierzyć.

– Proszę mi opowiedzieć, co przytrafiło się pani mężowi – przerwałam jej niecierpliwie. Nie chciałam słuchać o utracie zmysłów. O tym wiedziałam już chyba wszystko. Po chwili z korytarza dobiegły nas odgłosy wymiotującego kota.

– Byłemu mężowi – powiedziała i uśmiech zniknął z jej twarzy. – Poznaliśmy się w szkole średniej. Daan już wtedy był chory, wiedziałam o tym. Ale jak to bywa z pierwszą miłością, niewiele to zmieniło w kwestii moich uczuć. Byliśmy zakochani, szczęśliwi i wierzyliśmy, że

wszystko się jakoś ułoży. Po szkole średniej zaczęliśmy pracować w supermarkecie i szybko zapadła decyzja o ślubie. Zapisaliśmy się na listę oczekujących na mieszkanie socjalne. Przyznano nam to miejsce poza kolejką w związku z chorobą Daana, która wtedy postępowała coraz szybciej. Daan przestał pracować, a ja wzięłam dodatkową pracę, ale nadal trudno nam było związać koniec z końcem. I wtedy zadzwonił telefon. – Rixt podniosła kubek i upiła trochę kawy. Patrzyła przed siebie zamyślona. – Sama pani wie, co się działo potem. Operacja, leki, kontrole. Ale byliśmy szczęśliwi. Spełniło się nasze marzenie. Mimo zmęczenia patrzyłam ufnie w przyszłość. Co za błąd! Najpierw pojawiły się te sny. Daan budził się w nocy spocony i przerażony. Czasem krzyczał przez sen. Budziłam go wtedy i próbowałam opanować atak paniki. Nigdy nie potrafił dokładnie powiedzieć, o czym były te koszmary. Czasem mówił coś o wojnie, czasem o wybuchających bombach, ludziach we krwi, rozrzuconych częściach ciała, płaczących dzieciach. Wkrótce jednak przestał mi opowiadać, o czym śnił. Lekarze byli nad wyraz zadowoleni z jego stanu, według nich Daan wracał niezwykle szybko do zdrowia. Z każdym tygodniem, gdy czuł się lepiej fizycznie, jego stan emocjonalny się pogarszał. Jakby tego było mało, miałam poczucie, że odsuwał się ode mnie i celowo unikał. Poszłam do lekarza, myślałam, że może to skutek uboczny brania leków. Skontaktowałam się z Anne, koordynatorem do spraw transplantacji. Ale wszyscy patrzyli na mnie, jakbym oszalała. Znajomi powtarzali mi, że za krótko go trzymam, że przyzwyczałam się, że mam go pod pantoflem. Niektórzy dawali mi dobre rady. Znajdź sobie jakieś hobby, mówili. Ale ja znałam Daana jak nikt inny. Byłam przy nim w zdrowiu i w chorobie, w bogactwie i w biedzie i nie zamierzałam się poddać. Niestety. Pewnego dnia mój mąż spakował torbę i zniknął, kiedy akurat byłam w pracy. Nie zostawił mi żadnej kartki. Wpadłam w panikę. Okazało się jednak, że dał znać rodzicom, iż pragnie zacząć życie od nowa. Policja nie chciała słyszeć o przyjęciu zgłoszenia o zaginięciu. Nie było podstaw. Jakiś czas potem Daan przysłał mi list, w którym napisał, że nie chce już tak żyć, nie chce zmarnować danej mu szansy na nudną i bezwartościową egzystencję. Chciał robić coś, co ma znaczenie. Tak było napisane w liście. Został nadany z Ukrainy, gdzie wtedy rozpoczynały się walki przeciw rządowi. Nie mogłam w to uwierzyć. Daan nigdy nie interesował się polityką, nigdy nie oglądał wiadomości ani nie czytywał gazet przy śniadaniu. Był młodym, zabawnym mężczyzną, który chciał jedynie być zdrowy, lubił komedie i gry planszowe, spacerować po lesie i muzykę. Trzy miesiące później przysłano mi papiery rozwodowe, które podpisałam. Ale nie przestałam szukać przyczyn. Dotarłam do artykułów o pamięci tkankowej, przeczytałam inne niewiarygodne historie ludzi, którzy żyli z przeszczepionym organem i wraz z nim otrzymali część wspomnień lub osobowości dawcy.

– Pamięć tkankowa? – Uniosłam dłoń, przerywając jej.

Skinęła energicznie głową. Miała w oczach ten dziwny błysk, jakby posiadała wiedzę niedostępną innym.

– Tak się nazywa to zjawisko, którego doświadczają niektórzy ludzie po transplantacji. Już to pani tłumaczę. Otóż zwykle jesteśmy przekonani, że pamięć znajduje się w mózgu, że tam zapisane są nasze wspomnienia i upodobania. Mózg i ciało porozumiewają się ze sobą za pomocą związków chemicznych zwanych peptydami. Sieć peptydowo-receptorowa rozmieszczona jest w całym ciele, we wszystkich komórkach. Nasza osobowość jest dosłownie zapisana w naszych tkankach. Otrzymując organ innej osoby, otrzymujemy fragment jej pamięci i percepcji.

Słuchałam uważnie, próbując ukryć niedowierzanie.

– Co pani wtedy zrobiła? – zapytałam. – Kiedy już pani wiedziała, co się dzieje z mężem.

– Postanowiłam znaleźć dawcę serca Daana. To nie było trudne, rodzina wyraziła bowiem zgodę na kontakt. Okazało się, że serce Daana należało do reportera wojennego. Spotkałam się z jego żoną i córeczką, której nigdy nie poznałam. Kimberley powiedziała mi, że parę tygodni przed wypadkiem motocyklowym, w wyniku którego zginął, postanowił porzucić niebezpieczną pracę, by móc częściej przebywać z rodziną. Jego żona była w siódmym miesiącu ciąży, gdy zdarzył się wypadek. – Zapadła cisza. Nie wiedziałam, co powiedzieć, więc milczałam. Rixt odezwała się po chwili, jej głos znów był żywszy. – Śledzę Daana w internecie. Wiem, że ostatnio przebywał w Grecji, pracował z syryjskimi uchodźcami. Wierzę, że jeszcze do mnie wróci, kiedy spełni swoją misję, kiedy to serce spełni swoją misję. Żeby tylko nie było za późno.

Patrzyłam na nią szeroko otwartymi oczyma. Czułam mrowienie strachu w kończynach. Oto siedział przede mną żywy dowód na to, że mogłam mieć rację. W mojej głowie toczyła się walka. Wierzyłam słowom tej kobiety, choć brzmiały one bardzo niewiarygodnie. Z drugiej strony nie mogłam zaakceptować faktu, że to właśnie mogło dzieć się z moją córką. Chyba zauważyła wahanie w moich oczach, ponieważ dodała:

– Proszę znaleźć dawcę serca. Dowiedzieć się czegoś o nim. Wtedy pani zrozumie od nowa swoją córkę. Proszę nie czekać – powiedziała, patrząc na mnie ponaglającym wzrokiem.

Kiwnęłam głową, choć tak naprawdę nie byłam w stanie zapewnić jej, że potrafię to zrobić. Albo że chcę.

Kiedy stałyśmy w drzwiach, podziękowałam jej po raz kolejny za to, że zechciała się ze mną spotkać.

– Nie ma za co. Nie wiem, która z nas bardziej potrzebowała tej rozmowy.

W drodze do domu myśli kłębiły się w mojej głowie jak burzowe chmury. W głębi duszy wiedziałam, że byłam na dobrym tropie, ale był we mnie ogromny sprzeciw wobec akceptacji czegoś tak nieprawdopodobnego. Moja racjonalna i logiczna natura nie chciała pogodzić się z oczywistymi faktami.

Evi nie było w domu, gdy wróciłam, ale też nie spodziewałam się, że ją zastanę. Zamiast zjeść obiad, nalałam sobie lampkę wina i otworzyłam laptop. W wyszukiwarce wpisałam „pamięć tkankowa po przeszczepie”. Ze zdziwieniem zaczęłam przeglądać pierwsze z ponad dziesięciu tysięcy strony. Zjawisko znane było również pod nazwą pamięci komórkowej. Przewijałam jedna po drugiej historie ludzi, którzy po przeszczepie doznali zmian nawyków, zachowań, zmian w osobowości, a także opowieści ludzi, których męczyły sny pełne wspomnień z życia dawcy. Nieprawdopodobne relacje sprawiające, że oblewał mnie zimny pot. Wyszukiwarka pokierowała mnie do linków anglojęzycznych i wyrzuciła porażający wynik sześciuset tysięcy stron. Wzięłam głęboki oddech.

Jedno z czasopism medycznych zamieściło wyniki badań przeprowadzonych na czterdziestu siedmiu pacjentach, którzy przeszli transplantację serca w ciągu dwóch lat. Badania przeprowadzono w Austrii. Okazało się, że siedemdziesiąt dziewięć procent osób poddanych badaniom nie doznało zmian w osobowości po przeszczepie. Piętnaście procent doświadczyło zmian charakteru, lecz twierdziło, że są one związane z sytuacją zagrożenia życia, jaką jest poważna choroba i operacja przeszczepu nowego serca. Jedynie (lub aż) sześć procent potwierdziło drastyczną transformację osobowości po otrzymaniu nowego organu. Mimo iż wyniki wydają się niezbyt istotne, naukowcy kontynuowali badania, by uwierzytelnić istnienie tego fenomenu.

Kolejny link opisywał prawdziwe, choć nieprawdopodobne, historie ludzi, którzy doświadczyli ekstremalnych zmian w wyniku otrzymania nowego organu. Podano przykład mężczyzny, u którego dwa miesiące po przeszczepie wątroby odkryto zmianę grupy krwi. Z kolei młoda dziewczyna pochodząca z marokańskiej rodziny po tym, jak wszczepiono jej nową nerkę, obudziła się i poprosiła o żydowski przysmak, o którego istnieniu wcześniej nie miała nawet pojęcia, ponieważ nigdy nie zetknęła się z kulturą żydowską. Okazało się, że nerka, którą otrzymała, pochodziła od młodego rabina.

Najbardziej drastycznymi przykładami pamięci tkankowej były jednak te dotyczące transplantacji serca. Wstrząsnęła mną historia chłopca nękanego po przeszczepie przez straszne koszmary senne. Jak się okazało, nowy organ należał do zamordowanej dziewczynki. Co więcej, sprawcę morderstwa znaleziono dzięki szczegółowym opisom ze snów tegoż chłopca.

Dotarłam również do opowieści kobiety, która po przeszczepie serca i płuc, miała nieustanną ochotę na udka kurczaka oraz piwo, czyli rzeczy, których do tamtej pory nie cierpiała. Dawcę, osiemnastoletniego chłopaka, który zginął w wypadku motocyklowym, zobaczyła w swoim śnie. Kobieta ta doznała różnych zmian osobowościowych. Zmusiły one ją wkrótce do podjęcia poszukiwań dawcy jej nowych organów. Swoje doświadczenia spisała w książce*.

Moje początkowe niedowierzanie zmieniło się w poczucie wszechogarniającej i szybko narastającej paniki. Przeciwnicy teorii tłumaczyli w artykułach, że nie ma naukowych dowodów na istnienie tego zjawiska. Ale historie ludzi, setki, tysiące linków i rozpoznawane przeze mnie rzeczy sprawiały, że argumenty przeciwników przestały do mnie przemawiać. O dziesiątej wieczorem wyłączyłam laptop. Kręciło mi się w głowie, trochę od wina, którego niedopita butelka stała na stoliku, trochę od emocji.

Miałam ochotę zadzwonić do Carla i powiedzieć mu o moich odkryciach. Wiedziałam jednak, jakby zareagował. I rozumiałam to. Jak miałam wytłumaczyć komuś, że organ wszczepiony mojej córce, serce, które miało być jej ratunkiem, stało się intruzem przejmującym nad nią kontrolę? Nawet dla mnie samej brzmiało to jak jakiś absurd, w który trudno byłoby mi uwierzyć, gdybym nie stała się tego niemym i bezsilnym świadkiem. Straciłam rachubę czasu i dopiero, gdy wyłączyłam laptop, zorientowałam się, jak było późno i że Evi nadal nie wróciła, nie miałam też od niej żadnych wieści. Wybrałam numer, ale po paru sygnałach było oczywiste, że moja córka znów nie odbiera. Dla pewności zadzwoniłam do Carla, ale okazało się, że Evi u niego nie było. Parę minut później oddzwonił z wiadomością, że z Evi jest wszystko w porządku, jest z przyjaciółkami, dobrze się bawi, wzięła lekarstwa i wróci późno. Nie miałam pojęcia, co znaczyło, że wróci późno, ale zagryzłam zęby i powstrzymałam potok pytań pod tytułem: gdzie jest, z kim, o której wróci. Poza lękiem odczuwałam również wzbierającą złość, że Evi bezczelnie zignorowała mój telefon, ale odebrała ten od ojca. Nalałam sobie kolejną lampkę wina. Za oknem jeszcze nie zapadł zmrok. Pomyślałam o tych wszystkich, którzy delektowali się teraz długim czerwcowym, gorącym wieczorem. Tarasy w mieście na pewno zostały zapełnione, zimne piwo lało się litrami, szmer rozmów unosił się ponad ulicami jak mgła. Gdzieś tam była moja córka. Karol mruczał rozciągnięty na parapecie. Wsypałam jedzenie do jego pustej miseczki i wymieniłam wodę na świeżą. Przybiegł od razu z wysoko uniesionym ogonem i otarł się z wdzięcznością o moje łydki.

Wyjęłam z lodówki ser camembert i pokroiłam go w kostki, obok położyłam kawałki ogórka, orzechy i parę winogron. Bardzo spóźniony obiad pasujący do lampki wina. Godziny mijały. Ekran telewizora towarzyszył mi w mojej samotności. Oglądałam program o koszmarnych

pannach młodych. Śledziłam losy młodych, rozpieszczonych, sfrustrowanych kobiet, których jedynym życiowym celem był idealny ślub. Furie, kłótnie, wrzaski, łyzy i bezsilne matki załamujące ręce nad nierealnymi żądaniami córek. Za każdym razem, kiedy chciałam w końcu przełączyć na inny program, coś mnie powstrzymywało. Czekałam, aż jedna z tych uciśnionych matek wreszcie coś powie, wykrzyczy. Ale się nie doczekałam. Kręciły głowami, przewracały oczyma, ale wszystkie, co do jednej, robiły, co w ich mocy, by spełnić życzenia wybrednych córek. Nie wiedziałam, co irytowało mnie w tym programie bardziej – to, że córki nie szanowały matek, czy to, że matki nadal kochały córki, które na to nie zasługiwały. I wtedy uderzyła mnie ta przerażająca myśl, że zawsze kochałam Evi, bo była łatwa do kochania, a teraz gdy stała się skomplikowana i trudna do zaakceptowania, odrzucałam ją i wmawiałam sobie, że przez przeszczep stała się kimś innym. Jakie miałam prawo, by oceniać tamte telewizyjne matki? One kochały bezwarunkowo, ja kochałam „chorą” wersję mojej córki, której desperacko się trzymałam. Zaczęły ogarniać mnie wątpliwości. Może naprawdę popadałam w paranoję i dałam się wkręcić w jakiś psychiczny kołowrotek? Może potrafiłam kochać tylko to, co mieściło się w moich ramach ideału, a gdy okazywało się, że ludzie nie są tacy, jakimi chcę, by byli, że mają braki, usterki, wady, odpychałam ich? Czy nie tak stało się z Carlem? Czy to nie dzieje się teraz między mną a Evi?

Tuż przed dwunastą wzięłam do ręki telefon. Nie mogłam dzwonić do Carla. Wiedziałam, że skończyłoby się kłótnią. Wybrałam numer do Charlotte, choć zdawałam sobie sprawę z tego, że już śpi.

– Chantal? Co się dzieje? – Po trzecim sygnale usłyszałam wreszcie jej zaspany głos. – Co się stało?

– Evi jeszcze nie wróciła do domu. Nie wiem, co robić.

– Rozumiem. Tylko spokojnie. Dzwoniłaś do niej? Wysłałaś wiadomość? Nie mówiła, dokąd idzie?

– Carl do niej dzwonił dwie godziny temu. Powiedziała mu, że dobrze się bawi i późno wróci.

Usłyszałam westchnienie ulgi i jej głos stał się od razu spokojniejszy.

– To dlaczego tak się martwisz?

– Bo nie wiem, o której to jest późno, dla mnie już jest późno. Bo nie wiem, gdzie konkretnie jest i z kim dokładnie. – Nie rozumiałam, dlaczego nagle opanowała mnie złość.

– Chantal, posłuchaj. Nie ma się czym przejmować. Idź spać. Evi wróci do domu.

– Ale kiedy wróci? Kiedy mam w takim razie zacząć się przejmować? Jak nie będzie jej do czwartej w nocy? Czy dopiero, jak nie wróci do rana? – mówiłam z narastającą irytacją. Nagle miałam wrażenie, że nikt nie stał po mojej stronie, że nikt nawet nie próbował mnie zrozumieć czy postawić się w mojej sytuacji.

– Weź głęboki oddech. Do rana na pewno wróci. Posłuchaj mnie, wszystkie dzieciaki odwalają taki numer przynajmniej raz w życiu. Myślisz, że Britta nie? Raz wróciła o szóstej rano pijana w sztok.

– I co zrobiłaś? Ukarłaś ją?

– A po co? Trzymałam jej włosy, gdy wymiotowała. I współczułam, kiedy cały następny dzień pękała jej głowa. Lepszej kary nie mogłabym wymyślić. Nigdy więcej nie przyszła do

domu w takim stanie.

Westchnęłam.

– Charlotte, ale Evi to nie Britta. Ona nie jest jakąś tam przeciętną nastolatką – powiedziałam, nim zorientowałam się, jak to zabrzmiało.

– Wiem, Chantal, i mam wrażenie, że tu leży pies pogrzebany. Ty nie chcesz, żeby Evi była zwykłą nastolatką. Szczególnie nie teraz, gdy ma na to realną szansę.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Że może czas, żebyś dała sobie spokój z tą rygorystyczną kontrolą. Daj dziewczynie trochę swobody. Jeszcze do niedawna nie mogła oddychać pełną piersią przez chorobę, a teraz nie może przez ciebie.

Przez chwilę głos uwiązał mi w gardle. Jej słowa uderzyły mnie boleśnie. Rozłączyłam się, nie mówiąc nic więcej. Zgasilałam wszystkie światła i w ciemnościach odnalazłam swoje łóżko, na którym Karol ułożył się wygodnie. Przez otwarte okno wpadał przyjemny, chłodny wiatr. Godziny mijały, obserwowałam ich powolny bieg na wyświetlaczu elektronicznego budzika na mojej szafce nocnej. Czas przestał biec, zaczął pełzać mozolnie w gęstych ciemnościach, w którym zmieniałam się powoli w mój własny oddech. W blasku dnia łatwo było mi negocjować i powątpiewać we wszystko, czego się dowiedziałam, ale w mroku nocy, gdy sen nie nadchodził, fale lęku napływały z siłą tsunami. Miałam wrażenie, że powoli zamieniam się w Rixt z jej wyrazem twarzy pełnym konspiracyjnego szaleństwa i tłustymi włosami, że skończę tak jak ona, mieszkając w brudnym domu z zakłaczonym kotem. Mimo to wiedziałam, że miała rację. Musiałam odnaleźć dawcę serca córki.

Tamtej nocy przyśniła mi się czteroletnia Evi. Jej jasne, lekko kręcone włosy rozwiewał wiatr. Widziałam dokładnie każdy szczegół, małe jeszcze dziecięco pulchne paluszki, lekko brązowe od słońca gołe nogi, niebieskie sandały. Miała na sobie błękitną sukienkę w różowe motyle i spinę z kwiatkiem we włosach. Jechała na rowerku, tak jak kiedyś, przez parkową alejkę, jej dziecięcy, beztroski, szczerzy śmiech unosił się na wietrze. Patrzyłam, jak się oddala. Słońce tańczyło między gałęziami drzew, rzucając co jakiś czas błyszczący promień na jej rozwiane włosy. Gdzieś pod tą błogą sielanką czułam coś ukrytego, jakieś zagrożenie. Widziałam, jak rowerek Evi przyspieszył. Nabrał nagle nienaturalnej prędkości i pędził alejką, która zdawała się nie mieć końca. Za serce złapał mnie skurcz bezsilności i paniki. *Mamo! Mamo!!!* Przerażliwy krzyk Evi wyrwał mnie ze snu. Uniosłam się na łóżku, łapczywie chwytając powietrze w płuca. Czułam, że drzę. Zerknęłam na budzik. Dochodziła piąta nad ranem. Za oknem było już jasno. Opuściłam sypialnię i skierowałam kroki w stronę pokoju Evi. Mojej córki jednak nadal nie było w domu.

Evi Brouwer

CZEKAŁAM POD STACJĄ GŁÓWNA. W soboty było tam dość spokojnie. Ludzie nie spieszyli się na pociąg, by dojechać do pracy czy szkoły. Wolałam nie umawiać się z nim pod domem i nie ryzykować, że mama mnie zobaczy. Gdybym wiedziała, że wyjdzie na pół dnia, nie

podejmowałabym takich środków ostrożności, ale nie uprzedziła mnie wystarczająco wcześniej. Nie wiedziałam nawet, dokąd poszła, bo jedyne, na czym mi zależało, to możliwość wyjścia bez konieczności przechodzenia przez jej wnikliwe przesłuchanie. Spędziłam chyba godzinę przed lustrem i jeśli do tamtej pory nigdy nie narzekałam na swój wygląd, tak tamtego popołudnia miałam ochotę walić głową we własne odbicie. I to nie dlatego, że źle wyglądałam. Ja po prostu nie wyglądałam. Miałam wrażenie, że byłam pozbawiona wyrazu, mdła, zwykła. Kiedy oczyma wyobraźni widziałam Sanderę obok mojego lustrzanego odbicia, zdawałam sobie sprawę, że taki chłopak nigdy nie zwróciłby na mnie uwagi sam z siebie. I to bolało. Może za bardzo byłam przyzwyczajona do psiej lojalności Toby'ego, na którą nie musiałam zasłużyć.

Spóźnił się dziesięć minut. Kiedy już myślałam, że o mnie zapomniał, co wcale by mnie zresztą nie zdziwiło, na niewielki plac pod budynkiem stacji kolejowej wjechało jego czarne auto. Zatrzymało się z piskiem opon. Drzwi od strony pasażera otworzyły się i moim oczom ukazał się wysoki, szczupły chłopak. Nie wiedziałam, czy skurcz żołądka był spowodowany ekscytacją, czy bardziej rozczarowaniem, że nie będę w aucie sama z Sanderem.

Chłopak wysiadł i otworzył zapraszająco drzwi, choć wyraźnie nie był zadowolony z mojej obecności. Podmuch wiatru rozwiął połę jego kraciatej koszuli, odsłaniając różowy podkoszulek. Przydługie kosmyki brązowych włosów spadały mu na oczy. Miał ładną, delikatną twarz, trochę zbyt dziewczęcą. Nie rozpoznałam go od razu, dopiero po chwili, gdy mruknął coś w moją stronę, przypomniałam sobie go siedzącego z notatnikiem na drewnianym stole na placyku, gdzie pierwszy raz zobaczyłam Sanderę. Gdy podeszłam bliżej, zauważyłam, że miał na nosie piegi, z rodzaju tych, które w lecie stają się dzięki działaniu słońca bardziej widoczne. Toby też takie miał i zawsze uważałam, że były słodkie. Tym razem jednak stanowiły dość przykre i irytujące przypomnienie. Trzeciego chłopaka, którego również widziałam wtedy na placu, nie było, o czym przekonałam się, gdy wsiadłam do auta i zajęłam miejsce z tyłu. Sander obrócił się w moją stronę. Miał na sobie granatowy podkoszulek bez rękawów i dżinsowe spodenki do kolan. Dostałam zawrotów głowy od jego bliskości, przez co się zawstydziłam.

– Gotowa? – spytał i zerknął na mój czerwony podkoszulek. – Fajny T-shirt.

Skinęłam głową, nie bardzo wiedząc, czy to miała być odpowiedź na pytanie, czy potwierdzenie jego opinii na temat mojego ubioru, który wybierałam w pocie czoła, przerzucając zawartość szafy jak jakaś pomyłona nastolatka, by wreszcie założyć czerwony podkoszulek, który kupił mi tata. Auto ruszyło i w sumie dopiero wtedy zorientowałam się, że nie mam pojęcia, dokąd jedziemy.

Chyba oczekiwałam, że będziemy pędzić z niedozwoloną prędkością, ale zamiast tego jechaliśmy spokojnie. Opuściliśmy granice miasta i ruszyliśmy, kierując się w stronę Drachten. Śledziłam tablice drogowe, próbując zgadnąć, dokąd się udajemy. Sander włączył radio, które ryknęło jak straszliwy zwierz. Czasem wymieniał uwagi z chłopakiem siedzącym na miejscu pasażera. Hałas z głośników, mieszający się z rykiem silnika, którego dźwięk wpadał przez otwarte okna, uniemożliwiał mi jednak zrozumienie słów.

Teren, na który wjechaliśmy, pełen był aut, ludzi i błota. Kawałek dalej, za łąką służącą za parking, rozstawiono bramki. Pilnujący ich mężczyźni w dresowych spodniach, z czaszkami tak łysymi, że ich powierzchnia odbijała blask słońca, przywitani się z Sanderem i przepuścili nas bez słowa. Na rozciągającej się przed nami przestrzeni znajdował się prowizoryczny tor. W niczym nie przypominał tego, co kojarzyło mi się ze słowem *rajd samochodowy*. Nie było żadnej widowni, a tłum stał po prostu ciasno za metalowymi bramkami, niektórzy siedzieli na

trawie, inni zaś na maskach aut. Część toru biegła między usypanymi kopcami ziemi. Silniki ryczały tak donośnie, że aby usłyszeć, co Sander krzyczał, musiałam pochylać się w jego stronę. Wdychałam jego zapach za każdym razem, gdy przysuwał się bliżej. Z rozmowy Sander z chłopakiem w różowym podkoszulku udało mi się wyłapać imię. Finn. Pasowało do niego, choć on sam całkowicie nie pasował do towarzystwa, szczególnie gdy dołączył do nas trzeci z grupy, Arjen. Jak się okazało, Sander nie brał udziału w wyścigu, pracował za to przy autach. To Arjen siedział za kierownicą. Przy torze było mnóstwo zamieszania, hałasu i kurzu.auta stojące na linii startu wyglądały tak, jakby ktoś je pożyczył ze złomowiska. Brakowało im szyb, w niektórych widziałam jedynie siatkę osłaniającą kierowcę. Część osób biorących udział miała na głowie kaski, ale nie wszyscy. Sander powiedział mi, że ponieważ wyścig był nielegalnie zorganizowany, w razie wypadków nie ma ubezpieczenia i każdy kierowca jedzie na własne ryzyko. Arjen zajął miejsce w niewielkim czarnym aucie z obitymi bokami. Na masce widniała olbrzymia trupia czaszka namalowana białą farbą. Nie założył kasku. Na drzwiach pojazdu znajdował się numer pięćdziesiąt cztery. Przesunęliśmy się za barierki. Gdy auta ruszyły, błoto i piach wystrzeliły spod ich kół. Próbowałam podążyć wzrokiem za czarnym samochodem, ale na torze poza szybką jazdą działo się o wiele więcej. Auta zderzały się i spychały wzajemnie w stronę kopców ziemi. Na początku były to dość delikatne próby, które z upływem czasu przybierały na sile i brutalności. Po jakimś czasie parę aut odpadło z gry. Z jednego z nich, zepchniętego siłą uderzenia na pobocze, troje ludzi musiało wyciągać poturbowanego kierowcę. Gdy auto Arjena uniknęło zderzenia z dwoma rywalizującymi ze sobą samochodami, podskoczyłam z wrażenia i położyłam dłoń na ustach. Czułam adrenalinę, która buzowała mi w głowie. Sander się pochylił.

– Wszystkie chwytaki dozwolone! – próbował przekrzyczeć ryk silników.

Miałam wrażenie, że podoba mu się moja reakcja na wyścig, że sprawia mu przyjemność to, że jestem przejęta. Tłum wokół nas zagęścił się, ludzie krzyczeli i przepychali się. Poczulałam nagle, że Sander pociągnął mnie za ramię i przesunął tak, że stałam tuż przed nim. Dłonie oparł na metalowej balustradzie i ramionami odgradzał mnie od tłoku wokół nas. Czułam blisko jego ciało, niemalże przylegaliśmy do siebie, a jego oddech łaskotał mnie po szyi. Nie mogłam skupić się na wyścigu. Nie mogłam oddychać. Sander i Finn wymieniali uwagi, pokazywali sobie coś nawzajem. Byłam jednak zbyt pochłonięta kłębiącymi się we mnie emocjami, by słuchać uważnie.

Arjen dotarł do mety jako drugi, choć dla mnie osobiście był to cud, że w ogóle tam dojechał, zważywszy na to, ilu uczestników wyścigu nigdy go nie ukończyło. Arjen wytarł pot i kurz z twarzy i wyszedł z pojazdu przez okno, drzwi bowiem były zaspawane. Stali w trójkę, omawiając wyniki wyścigu i wymieniając uwagi na temat zdarzeń na torze. Sander obszedł auto i uważnym spojrzeniem lustrował uszkodzenia.

Wokół nas traktory holowały beużyteczne pojazdy na pobocze, na przyczepy ładowano samochody. Muzyka płynąca z dużych głośników nie milkła jednak i okazało się, że po zakończonym wyścigu rozpoczyna się impreza z grillem i piwem. Poszliśmy w miejsce, gdzie rozstawiono duże namioty. Teren musiał należeć do jednego z uczestników, ponieważ znajdował się blisko gospodarstwa rolnego. Muzyka była tu tak głośna, że wibrowała w brzuchu. Ludzie siedzieli na kocach, trawie lub rozkładanych krzesłach. Choć nadal było jasno, wiedziałam, że zrobiło się późno. Zerknęłam na telefon i zorientowałam się, że mama próbowała się do mnie dodzwonić. Westchnęłam głęboko.

– Kłopoty? – Sander nachylił się w moją stronę i podał mi plastikowy przezroczysty kubek z piwem, który posłusznie wzięłam, choć nigdy jeszcze nie miałam w ustach alkoholu.

– Moja mama. – Wzruszyłam ramionami i schowałam telefon do kieszeni, jakby mnie to w ogóle nie obchodziło, co oczywiście nie było całkowitą prawdą. Usiedliśmy na trawie, Arjen i Sander głośno rozmawiali, popijając piwo, Finn bawił się puszką coca-coli, której jeszcze nie otworzył, a ja obracałam w dłoniach mój plastikowy kubek, z którego nie upiłam ani odrobiny.

– Zaraz będzie ciepłe, a nie ma nic gorszego niż ciepłe piwo. Pij, lala! – Arjen przyglądał mi się łapczywie. Mówił w taki sposób, że miało się wrażenie, jakby był przyzwyczajony do rozdawania rozkazów. Jego jasne, nażelowane włosy z jednej strony oddzielało zgolone równo pasmo biegnące przez całą czaszkę. Miał pociągłą twarz z uwydatnionymi kośćmi policzkowymi i ostrą brodą. W jego oczach było coś sprytnego, jakby cały czas kalkulował. Upił duży łyk piwa i zwrócił się do Sandera, wskazując na mnie ruchem głowy. – Kto to?

– Siostra Britty.

– Siostra? Obie je obracasz? Człowieku, ty to się potrafisz w życiu ustawić!

Zabrzmiało to tak ordynarnie, że automatycznie odwróciłam wzrok. Arjen i Sander parsknęli śmiechem. Zerknęłam na Finna, który ściągnął brwi i otworzył puszkę. Napój syknął jak wściekły wąż. Finn zwykle patrzył na wszystko spod pochylonej głowy, w sumie to zerkał krótko, ale tak uważnie, jakby jego oczy w tych niedługich sekundach rejestrowały otoczenie niczym aparat fotograficzny.

Kiedy śmiech ucichł, oczy Arjena znów skupiły się na mnie. Zamiast wstydu poczułam jednak złość. Nie mogłam dać po sobie poznać, że jego słowa mnie poruszyły. Podniosłam kubek i upiłam parę łyków. Chłodny gazowany napój spłynął mi do gardła. Nie miałam zamiaru pozwolić nikomu tak siebie traktować. Nie miałam pojęcia, co Sander robił z tą dwójką, której nie potrafiłam polubić. Kiedy odwróciłam twarz w jego stronę, napotkałam szeroki uśmiech i ciemne, skrzące się w blasku zachodzącego słońca oczy. Drżałam. W tamtej chwili był wszystkim, czego chciałam, choć pragnień, jakie wtedy wstrząsnęły moim ciałem, jeszcze nie znałam.

Wkrótce mój kubek był pusty i wymknęłam się do ubikacji. Na telefonie wyświetliło się nieodebrane połączenie od taty. Połknęłam leki bez popijania i oddzwoniłam szybko. Kiedy wróciłam, czekał na mnie kolejny kubek piwa i hamburgery w wielkich bułkach, obficie polane sosem. Pomyślałam tylko, że mama umarłaby na ten widok. Zaczął zapadać zmrok, a wraz z nim po raz pierwszy w życiu poczułam wzbierający powoli rausz. Śmiałam się nieopanowanie, a raczej chichotałam, jedzenie bardzo mi smakowało, a świeże powietrze odurzało, zamiast otrzeźwiać.

W pewnym momencie Sander podniósł się i wyciągnął do mnie dłoń.

– Chodź, maleńka, przejdziemy się, trochę ochłoniesz.

Zauważył oczywiście, że byłam podpita i, szczerze mówiąc, nie czułam wstydu, jedynie to przyjemne łaskotanie. Posłusznie podniosłam się z trawy i otrzepałam szorty. Zakreśliło mi się w głowie i musiałam przytrzymać się jego ramienia, żeby nie upaść, co nie uszło uwadze Arjena. Prychnął śmiechem. Sander złapał mnie za ramię i pociągnął, ale odwróciłam się jeszcze w ostatniej chwili, z wdzięcznością pokazując Arjenowi środkowy palec. Jak Boga kocham, nie wiem, skąd mi się wziął ten odruch. On chyba też nie wiedział, bo z wrażenia nie zdążył zareagować. Sander uśmiechnął się szeroko i objął mnie stanowczo w pasie.

– Niegrzeczna dziewczynka – szepnął mi do ucha, wywołując tym dreszcz, który rozniósł się

po całym moim ciele. Dałam się prowadzić między grupkami ludzi. Wiatr był ciepły, echo niosło za nami dźwięki muzyki. Usiedliśmy na trawie tam, gdzie noc graniczyła z imprezą, gdzie dźwięki cichły, a światła były ledwo widoczne. Sander zapalił papierosa.

– Nigdy nie jeździsz w wyścigach? – zapytałam, gdy opanowałam nagłą falę mdłości.

– Ja? Nie, skąd. Nie rajcuje mnie rozbijanie aut, tylko naprawianie.

– Aha. Czyli jesteś szefem technicznym?

Zaśmiał się i spojrzał na mnie uważnie.

– Składałam do kupy to, co oni rozpieprzą. W skrócie.

– Dlaczego ten wyścig jest nielegalny?

– Gość, który to organizuje, Gerrit, ma też tutaj legalne imprezy autocrossowe. Kosztują dużo więcej kasy i zachodu, no i reguł uczestnictwa jest więcej, wszystko musi być bezpieczne i zatwierdzone, bo to organizator ponosi odpowiedzialność na piśmie. Nie każdego rajcuje coś takiego. Niektórzy lubią adrenalinę i... otwarte możliwości. Jak bierzesz udział w tym, co widziałas dzisiaj, i ktoś cię puknie tak, że coś złamiesz, to odpowiedzialność jest tylko twoja. Każdy wie, w co się pakuje. Poza tym Gerrit zarabia ładne pieniądze za te nielegalne wyścigi.

– I często to się zdarza?

– Co? Poważniejsze wypadki?

Skinęłam głowę. Zmrużył oczy i wzruszył ramionami.

– Czasem. Gerrit zna gości, którzy pracują w pogotowiu ratunkowym, zawsze ma na zapleczu kogoś, kto jest w stanie udzielić pierwszej pomocy albo ocenić stan poszkodowanego. A potem muszą radzić sobie sami.

– Arjen jest dobry? – zapytałam, zmieniając temat, bo wizja wypadków na torze jakoś mnie przerażała.

– Niezły – przytaknął Sander. – Mógł dzisiaj wygrać ten wyścig, ale za bardzo lubi rozpieprzać wszystko, co spotka na drodze. A to go spowalnia. Choć wygrana tak naprawdę nie ma tu wielkiego znaczenia, bardziej dojechać do mety w jednym kawałku. – Wyszczерzył zęby. – A ty studiujesz, jak Britta?

– Nie. Chodzę jeszcze do szkoły. Do Bogermana – dodałam, choć nie wiem po co. Nie miałam ochoty gadać o szkole. – A ty?

– A tak wyglądam? – Roześmiał się i to wcale nie sarkastycznie, a raczej całkiem szczerze. Pokręcił głowę. – Nie, ze szkołą skończyłem najszybciej, jak się dało. Pracuję dla Gerrita i w warsztacie mojego dziadka jako mechanik samochodowy.

– I lubisz to?

– No jasne.

Zamilkliśmy, bo nie mieliśmy zbyt wielu tematów do rozmów. Zastanawiałam się, czy mnie pocałuje i czy chciałabym, żeby to zrobił. Zamiast tego jednak podniósł się i otrzepał spodnie z trawy i piachu.

– Chodź, bo nam wypiją całe piwo.

Pomaszerowałam posłusznie za nim, bardzo starając się iść w prostej linii. Kiedy dotarliśmy do miejsca, gdzie nadal trwała impreza, okazało się, że Arjen znalazł sobie towarzyszkę w bardzo obcisłych i bardzo krótkich szortach z utlenionymi na blond włosami. Siedziała między jego nogami i pozwalała się obmacywać. Nie zwróciła na nas uwagi. Zerknęłam na Sandera, ale zdawał się być niezainteresowany jej obfitym biustem, niemalże wypadającym spod ciasnego

podkoszulka.

Nie wiedziałam, która była godzina, ale kiedy usiedliśmy, powoli zaczęły opanowywać mnie zmęczenie i chłód nocy, którego inni zdawali się nie czuć, wpełzał pod moją skórę. Nie chciałam być jednak tą, która marudzi i psuje zabawę, więc siedziałam cicho, próbując nie zasnąć. Alkoholowy rausz opadł i zaczęłam zastanawiać się, jak wrócimy do domu, skoro Sander pił piwo za piwem. Spojrzałam na Finna i puszkę w jego dłoni, upewniając się, czy nadal pije jedynie colę. Chyba to zauważył, bo rzucił mi poirytowane spojrzenie. Wkrótce dołączyli do nas inni ludzie, dyskusje przerywały głośne wybuchy śmiechu, muzyka dudniła mi w uszach.

Kiedy wreszcie ruszyliśmy na poszukiwanie auta zaparkowanego spory kawałek dalej, ledwo trzymałam się na nogach. Sander wyjął z bagażnika szarą bluzę i podał mi ją. Pachniała papierosami i piwem i miała plamy z samochodowego smaru na mankietach. Założyłam ją i wsiadłam do auta. Sander rzucił Finnowi kluczyki, co przyjął z ulgą. Nie pamiętam momentu opuszczania parkingu na łące. Zasnęłam w chwili, gdy ruszył silnik.

Obudził mnie Sander.

– Hej, hej. – Jego dłoń potrząsnęła lekko moim ramieniem. – Gdzie cię wysadzić?

Rozejrzałam się wokół siebie, auto jechało wolno znajomymi ulicami miasta. Świtało. Poczułam skurcz w brzuchu. Rzeczywistość uderzyła we mnie jak chłodne powietrze poranka. I co teraz? Jak miałam wrócić do domu?

– Nie wiem... Na stacji? – Przetarłam zaspane oczy.

– Ale ty chyba mieszkasz w Sneek? – odezwał się do mnie po raz pierwszy Finn, ale zamiast odebrać jego pytanie jako wyraz troski, poczułam irytację, że miesza się w nie swoje sprawy.

– No i co z tego? – zachnęłam się niepotrzebnie.

– Okej. Jak chcesz – mruknął, wzruszając ramionami, i skręcił.

Sander wysiadł ze mną. Chciałam mu oddać bluzę, ale machnął ręką.

– To na razie, mała! – rzucił tylko.

Nie wysiłał się na rzewne pożegnania. Odwrócił się i wsiadł do auta, które odjechało z niewielkiego parkingu przy Stacji Głównej. Było mi zimno w krótkich spodenkach. Wsadziłam dłonie do kieszeni bluzy Sandera i wciągnęłam nosem jego zapach zmieszany z wonią grilla i wilgotnej trawy. Ruszyłam ulicą Doctor Boumaweg biegnącą wzdłuż torów kolejowych w kierunku skrzyżowania z zamiarem powrotu do domu, jednak gdy dotarłam do przejścia, skręciłam w stronę Parku Wilhelminy. Wszędzie było pusto, przeszłam przez ulicę, nie czekając na zielone światło (po raz pierwszy w moim życiu!) i wkrótce weszłam na opustoszały teren parku. Było zimno, ale w powietrzu unosiła się świeżość poranka. Nad wodami kanału wisiała lekka mgła, promienie wschodzącego słońca migotały w kroplach rosy, a ciszę przerywały pierwsze dźwięki śpiewu ptaków. Rozglądałam się wokół siebie urzeczona, prawie nie mogąc uwierzyć, że po tylu latach życia widzę to wszystko po raz pierwszy. Jak to się stało, że nigdy dotąd nie przyszło mi do głowy, by na własne oczy zobaczyć wschód słońca? Nęcąca obietnica wolności, jak zapach trawy, podrażniała zmysły. Nagle wszystko zdawało się piękne, nowe, niezwykle i naznaczone kosmiczną energią. Szłam przed siebie, a moje kroki były lekkie w tym uniesieniu i zachwycie. Było bezwietrznie. W pozbawionych choćby jednej zmarszczki wodach kanału wszystko odbijało się jak w lustrze. Cieniutka warstwa mgły kłębiąca się tuż ponad taflą zacierała granicę między tym, co rzeczywiste, a tym, co było jedynie odbiciem. Wydawało mi się niemal, że są to dwa równoległe światy stykające się ze sobą. Tak się właśnie czułam tamtej nocy i tamtego poranka, jakbym balansowała na tej niewidocznej linii pomiędzy nimi.

Zamiast do domu skierowałam się do cioci Charlotte. Szybkie tempo rozgrzało mnie i kwadrans później weszłam w Leeuwarderkade. Ulicę nadal spowijał spokój. Bateria w moim telefonie wyczerpała się, więc nie wiedziałam, która była godzina. Zatrzymałam się przed domem cioci.

Pnące się wokół drzwi frontowych róże zaczęły przekwitać, jakby źle znosiły upały. Purpurowe płatki opadły i leżały na schodkach przed wejściem. Patrzyłam na nie przez parę dłuższych chwil, jakby przypominały mi o czymś, ale nie byłam w stanie uchwycić wspomnienia, od którego poczułam na plecach zimny dreszcz.

Ciocia zawsze wcześniej wstawała. Odkąd Britta, Dina i Max urosli, ogród Charlotte został podzielony na trzy części, jedną zajęły kury, druga była odgradzona cienką siatką, tam znajdowały się grządki ciotki, a reszta stała wolna, porośnięta trawą i kwiatami. Wzdłuż ogrodzenia rosły krzewy i drzewka. Nie chciałam nikogo budzić, więc weszłam od strony ogrodu, przez okno tarasowe widziałam ciocię. Siedziała przy stole z głową wspartą na dłoni, w drugiej trzymała kubek herbaty. Miała na sobie kolorowy puchaty szlafrok. Kiedy mnie zauważyła i podniosła się z uśmiechem, coś w wyrazie jej twarzy, jakiś cień dobrze skrywanej ulgi, powiedział mi, że wiedziała. Otworzyła przeszkłone drzwi z ciepłym uśmiechem i zapraszająco machnęła dłonią. W pokoju pachniało ziołową herbatą. Słodka, aromatyczna woń, tak dobrze odzwierciedlająca nastawienie cioci. Poczyszczająca i kojąca.

– Siadaj, siadaj. Masz ochotę na herbatę? – Nim jeszcze otworzyłam usta, stała w kuchni, napełniając czajnik wodą. Zauważyłam, że zlustrowała mnie ekspresowo, po czym uspokojona wyspała do sitka mieszankę ziół. – Jak mniemam, nie wybrałaś się po prostu na poranny spacer.

Jej pytanie pozostało bez odpowiedzi, której się zresztą nie spodziewała. Zalała zioła i postawiła parujący napój na stole, przy którym usiadłam. Zajęła miejsce po drugiej stronie i podniosła swój kubek do ust. Była bardzo podobna do mamy, szczególnie rano. Tylko jej twarzy brakowało tego lekkiego napięcia, które naznaczało zawsze rysy mojej mamy.

– Evi, czy masz coś przeciwko temu, żebyśmy zadzwoniła do Chantal?

Pokręciłam głową. Wolałam, żeby to zrobiła i żeby to na nią spadły pierwsze gromy, których się spodziewałam po powrocie do domu. Charlotte wstała i wyszła do holu, gdzie na stoliku stał zwykły telefon, jakich już się nie widuje raczej u innych ludzi. Zamknęła za sobą drzwi i po chwili usłyszałam jej spokojny, kojący głos. A potem na dłuższy moment zaległa cisza i wiedziałam, że mama pewnie daje upust swoim emocjom. Ciocia przynajmniej traktowała mnie jak dorosłą osobę, a nie jak chore, niesamodzielne dziecko.

Mimo to nagle poczułam dziwne wyrzuty sumienia i falę wstydu. W tle słyszałam znów cichy głos cioci. Przed oczyma stanęła mi twarz mamy, jej zmartwione i przestraszone oczy. Potrząsnęłam głową, jakbym chciała strząsnąć z siebie nieprzyjemną myśl, ale ona uporczywie pozostawała w mojej głowie.

Wkrótce drzwi się otwarły i Charlotte ponownie zajęła swoje miejsce przy stole. W domu panowała cisza. Wujek, Max i Dina na pewno jeszcze spali. Tylko ciocia zawsze tak wcześniej wstawała.

– Możesz tu zostać, jak długo chcesz, ale w ostateczności będziesz musiała wrócić do domu, wiesz to, prawda? Jesteś głodna? Możemy zjeść razem śniadanie i potem zdecydować, co zrobimy.

Skinęłam z wdzięcznością głową. Co prawda na myśl o jedzeniu mój żołądek kurczył się nieprzyjemnie, ale chciałam odsunąć od siebie powrót do domu o parę chwil. Wyszłyśmy

z ciocią do ogródka i w sianie w niewielkim kurniku wspólnie szukałyśmy jajek. Było mi błogo być przy niej, nie musieć stawiać czoła konsekwencjom ostatniej nocy i udawać, że nadal jestem małą dziewczynką, której nie stać na wybryki. Charlotte usmażyła jajecznicę na maśle i podała mi talerz. Zapach sprawił, że poczułam się głodna, a pierwsze kęsy zdawały rozplływać się w moich ustach. Ciocia podsunęła mi deskę z liśćmi sałaty i posiekany szczypiorkiem, ale pokręciłam głową. Na widok sałaty zaczynało mnie mdlić. Wzruszyła ramionami i dalej kroić pomidory i ogórki, smarowała masłem chleb. Nasze milczenie nie było niezręczne lub wymuszone. W jej domu istniała jakaś strefa bezpieczeństwa. Tam mogłam zebrać siły i przygotować się na rozmowę z mamą. Nie miałam wątpliwości, że miał to być sąd ostateczny.

Kiedy skończyłyśmy jeść i pozmywałyśmy naczynia, z góry dobiegł nas szmer. Wujek zszedł na dół. Na mój widok rzucił jedynie „cześć” i potargał moje włosy, jak wtedy, gdy byłam małą dziewczynką, po czym skierował się prosto do ekspresu do kawy. Dałam cioci znać, że idę zadzwonić i wymknęłam się do korytarza, gdzie wykreśliłam numer do taty. Przyjechał pod dom cioci i zadzwonił do drzwi, nie chciał jednak wejść, więc stał na schodkach pod łukiem przekwitających róż. Ręce trzymał w kieszeniach, a twarz miał poważną.

Kiedy wsiedliśmy do auta, przekręcił kluczyk, ale zanim odjechał przed domu cioci, powiedział:

- Mogłaś wysłać wiadomość.
- Bateria mi się wyczerpała – odpowiedziałam na wpół przeprasząco, na wpół z wyrzutem.
- Teraz nam obojgu dostanie się po głowie.
- Wiem – mruknęłam i odwróciłam twarz w stronę okna.

Mama siedziała przy stole w kuchni. Miała podkrążone oczy i nieumyte włosy. Zauważyłam to od razu. Odkąd pamiętam, nosiła je dość krótko. Tworzyły miękkie pachnące fale wokół jej twarzy. Spojrzałam na nią i nagle wydała mi się starsza niż kiedykolwiek wcześniej. Bo że była zła, nie miałam wątpliwości. Jej usta ściągnęły się w wąski pasek, nadając jej twarzy ostry wyraz.

Nie odpowiedziała, kiedy się przywitałam cicho i usiadłam do stołu, na którym stała filiżanka z niedopitą kawą. Tata oparł się o parapet z rękoma skrzyżowanymi na piersi. Mama podniosła na mnie wzrok, którym zlustrowała bluzę Sandera. Dałabym sobie uciąć rękę, że nawet z odległości jej czujny nos wyłapał zapach piwa i papierosów. Wiedziałam, że powinnam przeprosić, ale jakoś nie mogłam wydusić z siebie ani słowa, więc milczeliśmy wszyscy, aż w końcu tata westchnął głęboko.

- Evi, masz nam coś do powiedzenia? – zapytał.

Wzruszyłam ramionami. Co tu było dużo gadać. Widać była to noc pierwszych razów, bo z całą pewnością czekała mnie kara. Pierwszy raz w życiu.

– Przepraszam – mruknęłam bez przekonania, zdając sobie sprawę, że to, co powiem, niewiele zmieni.

Mama nadal nic nie mówiła, jej oczy wodziły wzrokiem po stole. Zdrapywała paznokciem jakąś niewidzialną plamkę.

- Chcesz jej dać karę? – zwrócił się tata do mamy. – Zakaz wyjść?

– Mam areszt domowy? – Uniosłam się na krześle, ponieważ opanowała mnie niewiarygodna złość i chęć buntu.

Mama nadal milczała, co jeszcze bardziej mnie zirytowało. Patrzyłam na nią. Rozważała coś.

– Nie – odezwała się wreszcie, nawet jej głos był zmęczony. – Żadnych kar i żadnego aresztu domowego. Tylko obietnica, że nigdy więcej tego nie zrobisz.

Popatrzyła na mnie w taki sposób, że jajecznicę cioci podeszła mi do gardła. Skinęłam jednak głową.

– Obiecuję – powiedziałam bardziej, żeby mieć to już z głowy niż dlatego, że miałam zamiar solennie dotrzymać tej obietnicy.

Kiedy pół godziny później leżałam w moim pokoju pod ciepłą kołdrą, patrząc, jak dzień rozpoczyna się na dobre, i próbując chwilę się zdrzemnąć, bluza Sandera wisiała na oparciu krzesła, przypominając mi tamtą noc, która nagle wydawała mi się odległa jak coś, co nigdy się nie zdarzyło.

Finn Velde

RODZEŃSTWO ZUPEŁNIE NIEUMYŚLNIE DZIELI ZE SOBĄ ASPEKTY ŻYCIA, których nie pokazuje reszcie świata. Dorastając w jednym domu, zmuszeni do dzielenia wspólnej przestrzeni życiowej, miłości i uwagi rodziców, czy im się to podoba, czy nie, bracia i siostry wiedzą o sobie nawzajem więcej, niż by sobie życzyli.

Są rzeczy, które tylko ja wiedziałem o Finyi. Na przykład to, że lubiła muzykę country, choć nigdy nie przyznałaby się do tego publicznie. Panicznie bała się ciem, twierdziła, że są tłuste i obrzydliwie włochate, ale co gorsza, zupełnie nieprzewidywalne (Finya nie była ani tłusta, ani włochata, ale nie wiem, jak ktoś, kto sam jest tak nieprzewidywalny, mógł bać się ciem z tego powodu). Nigdy nie malowała paznokci, bo nie lubiła zapachu lakierów i zmywaczy. Nie cierpiała szpinaku i innych liściastych warzyw. Nie tykała nawet natki pietruszki, szczególnie jeśli pływała w zupie. Miała bzika na punkcie kozaczków i nosiła je nawet w letnie dni do krótkich sukienek, spódnic i szortów. Uwielbiała frędzle, intensywne kolory i głośne dźwięki.

Finya nie rozczulała się nad małymi kociętami, nie chciała głaskać każdego napotkanego psa ani jeździć konno, jak inne dziewczęta w jej wieku. Nie lubiła zwierząt. Ani one nie przepadały za nią. Chyba czuły, że sama jest drapieżnikiem, z którym lepiej nie zadzierać.

Uwielbiała za to dzieci. Twierdziła, że są szczerze i nieokiełznane jak nieoszlifowany diament.

Finya nie musiała starać się osiągnąć czegoś w sztuce, ona urodziła się artystką. Wiedziałem to, podobnie jak wiedziała to moja mama, której największą życiową miłością było malarstwo. Sama pogrzebała marzenia o tworzeniu jeszcze zanim się urodziliśmy, ale zawsze odnosiłem wrażenie, że nigdy do końca się z tym nie pogodziła. W czasach, gdy byliśmy dziećmi, moja mama została właścicielką jedynej wtedy galerii sztuki w miasteczku. Tata zainwestował w ten interes mnóstwo pieniędzy. To był jego prezent urodzinowy dla mamy. Pewnie sam nie przypuszczał, że mamie wkrótce uda się nie tylko zwrócić mu zainwestowaną kwotę, ale również wypromować galerię na tyle, by przynosiła spore zyski. Może była lepszą kobietą interesu niż malarką? I choć do dziś w naszym mieście powstało więcej takich miejsc, galeria mamy cieszyła się już renomą, która zapewniała jej stabilną pozycję. Nawet mimo konfliktów między mamą

a Finyą było jasne, że mama wiedziała, jaki talent miała Finya, i myślę, że czasem kierowała nią niewysłowiona frustracja, że jej córka marnuje coś, co ona chciała pielęgnować i rozwijać. Finya jednak ponad wszystko unikała definiowania siebie przez innych. Nawet kosztem porzucenia czegoś, co kochała. Tworzenie przychodziło jej zresztą bardzo łatwo, nie musiała walczyć, rwać kolejnych stron. Może dlatego nie ceniła swoich umiejętności.

Kiedy po skończeniu szkoły średniej Finya wybrała kierunek „projektowanie mediów” w lokalnej szkole wyższej, mama nie odzywała się do niej przez tydzień. Jestem pewien, że chciała dla Finyi czegoś lepszego. Akademii Sztuk Pięknych w Leeuwarden na przykład, do której to ja złożyłem podanie i do której mnie nie przyjęto. Pamiętam dzień rozmowy kwalifikacyjnej połączonej z pokazem własnych prac, których zestaw przygotowywałem przez kilka tygodni. Wiedziałem, że nie jestem wystarczająco dobry, i ta wiedza paraliżowała mnie do tego stopnia, że gdy usiadłem przy długim stole, za którym siedziała komisja akademicka, nie potrafiłem wydusić z siebie ani słowa. Przeglądali w milczeniu moje prace, od czasu do czasu zadając pytania. Martwe natury, krajobrazy, autoportret. Opuściłem salę, wiedząc, że nie zostanę przyjęty. Z nikim nie podzieliłem się ani moimi planami, ani moją porażką. Wylądowałem w tej samej lokalnej szkole wyższej, po ukończeniu której miałem otrzymać marny tytuł pracownika społeczno-kulturalnego.

Nie wiem, dlaczego Finya nie skusiła się na Akademię Sztuk Pięknych. Czasem myślałem, że zrobiła to z powodu Sandera. Czy mogła kochać go tak bardzo? Studia w innym mieście, do tego tak wymagające, ograniczyłyby znacznie możliwość ich spotkań. Albo może chciała po prostu zrobić na złość mamie. Nigdy nie wiedziałem do końca, co nią kierowało. To była jedna z nielicznych rzeczy, które stanowiły dla mnie zagadkę w życiu Finyi.

Finya również wiedziała o mnie rzeczy, którymi wolałem nie chwalić się przed światem. Znała moje słabości i marzenia, nawet jeśli nie wypowiadałem ich na głos. Miałem wrażenie, że jestem dla niej otwartą księgą. Różnica między nami była taka, że ona potrafiła umiejętnie i bez skrupułów wykorzystywać te informacje na własne potrzeby. Coś, czego ja nigdy się nie nauczyłem.

Kiedy zna się kogoś tak dobrze, jego mocne i słabe strony, wady i zalety, jego nastroje i upodobania, posiadanie tej wiedzy staje się czasem niebezpiecznym narzędziem. Zresztą mieliśmy dobrą nauczycielkę. Mama zawsze była fantastyczna we władaniu tą bronią, szczególnie wobec taty, który przyjmował razy, jakby mu się należały. Nigdy nie zrozumielem, dlaczego pozwalał, by mu wymierzała te niezasłużone kary, choć musiałem przyznać, że obaj mieliśmy ten sam problem: chroniczny brak asertywności i niemalże destrukcyjną nieumiejętność samoobrony. Po śmierci Finyi parę tygodni nie widziałem Sandera. Żaden z nas nie szukał kontaktu i pewnie nie bardzo wiedzieliśmy, jak mamy się zachować. Zresztą Finya była jedynym łącznikiem między nami i kiedy jej zabrakło, wydawało mi się jasne, że nie mieliśmy powodu, by się spotykać. Byłem przekonany, że nigdy już go nie zobaczę. To Sander odezwał się pierwszy. Nie podjechał autem pod dom. Czekał na mnie za zakrętem. Kiedy wsiadłem, ruszył bez słowa ciemnymi ulicami. Był luty, ale po zimie, która uderzyła tamtej tragicznej noworocznej nocy, nie został żaden ślad. Jeździliśmy po okolicy bez celu i zbędnych rozmów. To było prawie surrealistyczne doznanie zobaczyć Sandera bez Finyi. Prawie uwierzyłem, że spokorniał.

Odwiózł mnie do domu, ale zaparkował za tym samym zakrętem. Dopiero kiedy chciałem już wysiąść, zapytał, czy znowu wpadnę do warsztatu. Wzruszyłem ramionami, nie bardzo

wiedząc, co niby miałbym tam robić. Ale powiedziałem, że przyjdę. Jak zawsze.

Warsztat Horst & Zoon mieścił się na obrzeżach miasta w dość obskurnym magazynie, gdzie śmierdziało benzyną, olejem samochodowym i spalinami. Z jednej strony stała fabryka, z drugiej zaś myjnia samochodowa, a kawałek dalej wielki sklep z używanymi meblami. Kiedy pewnego dnia po zajęciach pojechałem tam rowerem, Sander wydawał się zadowolony, że się pojawiłem. Choć wiedziałem oczywiście, że nie z powodu, z którego ja byłem zadowolony, iż znów go zobaczyłem. Nie dałbym sobie również wmówić, że cieszył się, bo przypominałem mu o Finyi. Sander nie był takim typem. Zero sentymentów.

Pogadaliśmy chwilę, jakby nigdy nic, Arjen jak zwykle kręcił się w warsztacie i wkurzał wszystkich swoimi odzywkami. Zazwyczaj starałem się nie wdawać w rozmowy z nim. Gość był niższy ode mnie, ale masywnie zbudowany, jakby jego skórę wypełniały jedynie mięśnie.

Sander podał mi puszkę coli i wyciągnął papierosa. Jego dziadek skinął mi głową, ale nie przerwał roboty i widziałem, że unika mojego spojrzenia. Od tamtej pory znów trzymaliśmy się razem. Po zajęciach spotykaliśmy się w warsztacie albo w domu dziadka Sandera. Na małym placyku przed budynkiem, gdzie mieszkali, Sander najczęściej dłubał coś pod maską swojego auta. Miał na tym punkcie fioła. Wymieniał głośniki na lepsze albo felgi na fajniejsze, ciągle coś czyścił i naprawiał. Nawet Arjen nie wiedział tyle o autach i przyjeżdżał swoim bmw tylko po to, żeby Sander na nie spojrzął, co ten zwykle robił z krzywą miną. Zawsze narzekał, że Arjen za bardzo piłuje tę brykę. Ale stać go było na nowe części. Pamiętam, że kiedy Finya na nasze osiemnaste urodziny poprosiła o auto, tata, który nie potrafił odmawiać, kupił jej małego, srebrnego opla tigrę. Nie trudno zgadnąć, że pierwsze, co zrobiła, to zabrała nowy nabytek do warsztatu Sandera, który obejrzał samochód i pokiwał głową z udawanym uznaniem.

– Co byś zmienił? – zapytała Finya. Sander spojrzął na nią, a jego twarz rozjaśnił uśmiech.

– Wszystko?

– Więc zrób to – odparła i rzuciła mu kluczyki.

– To będzie trochę kosztowało.

– Wiem. Nie jestem tania. – Mrugnęła.

Kiedy odebraliśmy auto dwa tygodnie później, nie mogłem uwierzyć, że to nadal ten sam pojazd. Kolor był głęboko pomarańczowy, podobnie jak felgi, tylne szyby przyciemniane, dodano spojler dachowy i srebrną listwę na klapę, a z przodu auto dopełniał nisko wiszący zderzak.

– Za to będziesz musiała zapłacić. – Sander stał z rękoma w kieszeniach, oparty o stalową kolumnę podtrzymującą strop warsztatu jego dziadka. – Ale to, co w środku, to mój prezent dla ciebie.

Zaczął opowiadać, co poprawił i zmienił. Padało mnóstwo nazw, których nie potrafiłem skojarzyć nawet z rzeczywistymi przedmiotami. Gaźnik, układ wtryskowy, kolektory ssące, głowica, wałek rozrzędu. To wszystko stanowiło jakiś abstrakcyjny świat, w którym tylko Sander potrafił się odnaleźć. Potem otworzył bagażnik i zaprezentował wzmacniacz i skrzynię basową podłączone do systemu audio w samochodzie. Jego ciemne oczy były nagle pełne światła i nieskrywanej dumy.

Finya obeszła w milczeniu auto, jej palce powoli sunęły po karoserii. Sander wiódł za nią wzrokiem. Podeszła do niego i zarzuciła mu ramiona wokół szyi. Podniósł ją i posadził na masce opla. Jej stopy obute w krótkie kozaczki wsparły się o zderzak. Gdy zaczęli się całować, wyszedłem z garażu.

Kiedy tamtego dnia wróciliśmy do domu pomarańczową tigrą, na widok której ludzie odwracali głowy, mama zbladła i przez parę minut brakowało jej słów. Najpierw myślała, że Finya sprzedała swój prezent i zakupiła „tę hałaśliwą puszkę w okropnym krzykliwym kolorze”. Pałała złością, ale naprawdę rozjuszył ją dopiero fakt, że to był ten sam samochód przerobiony przez Sandera. Finya opuściła kuchnię, zanim mama zdążyła wykrzyknąć swoją litanie zarzutów. Ja zostałem, żeby nie wkurzać jej jeszcze bardziej i żeby miała na kim wyładować swoją złość. Zresztą i tak w końcu skupiło się na tacie. Jak zwykle.

– Zawsze na wszystko jej pozwalasz! Przez ciebie jest taka rozpuszczona! Dla nikogo nie ma respektu, niczego nie szanuje! Popatrz, co zrobiła z prezentem, który kosztował tyle pieniędzy!

– Evelien, to jej prezent, mogła zrobić z nim, co chciała. – Tata próbował wyciszyć sytuację i przemówić mamie do rozsądku. Chociaż obaj wiedzieliśmy, że było za późno i cokolwiek byśmy nie powiedzieli, wywoływałoby to efekt odwrotny od pożądanego.

– Oczywiście! Ona zawsze robi, co chce! Z nikim się nie liczy! I do tego ten Sander! Nie widzisz, co to za typ? Wpędzi ją kiedyś w poważne kłopoty!

Jakoś nigdy nie stać mnie było na to, żeby odeprzeć atak, stanąć w obronie Finyi albo chociażby we własnej. Nie walczyłem z tornadem, czekałem, aż nawałnica minie, a potem oceniałem straty.

Do dziś zastanawiam się, co skłoniło Finyę, by oddać auto w ręce Sandera. Chęć dopieczenia mamie czy jednak potrzeba zrobienia przyjemności Sanderowi.

Po śmierci Finyi jej opel tigra został oddany do kasacji.

Od czasu mojej wizyty w warsztacie stało się normą, że znów kręciłem się tam codziennie. Nawet Arjen przestał fukać jak urażony kot i rzucać mi te pełne pogardy spojrzenia. Trzymaliśmy się w trójkę. Jeździliśmy na wyścigi, do których Sander przygotowywał samochody, po to, żeby Arjen mógł je rozbijać. I choć żaden z nas nie podjął rozmowy o Finyi, a jej imię nigdy nie zostało wypowiedziane na głos, miałem wrażenie, że jej wspomnienie wisiało między nami jak jakiś zapach. A może był to sekret, który wspólnie dzieliliśmy? Może to on był mgłą, która wszystko okrywała? Nic już nie było takie jak dawniej.

Bywało, że w bezsenne noce pytałem siebie, co zrobiłaby Finya na moim miejscu. Znałem ją tak dobrze, a mimo to nie chciałem odpowiedzieć sobie na to pytanie. Wiedziałem, że ona postąpiłaby słusznie.

Czasem wydawało mi się, że już w łonie matki rozdzielono nam geny niesprawiedliwie. A potem los obdarował nas nierówno szansami.

Czy byłem zazdrosny o Finyę? Niemalże zawsze. Miała wszystko, czego ja pragnąłem. Nie wyłączając Sandera.

Evi Brouwer

PRZEZ KOLEJNE TRZY DNI nie miałam żadnych wieści od Sandera. Nie żebym spodziewała się czegokolwiek innego. Parę razy dziennie sprawdzałam jego profil na Facebooku. Byłam świadoma, że wyglądało to bardzo żałośnie, ale nie mogłam się powstrzymać. Umieścił parę zdjęć z sobotniego popołudnia. Wszystkie przedstawiały auta – niektóre ukazywały rozpedzone pojazdy z obitą karoserią, od niechcienia pomalowane jaskrawą farbą, z tumanami kurzu unoszącymi się gęsto wokół kół, inne zaś pokazywały uszkodzenia po przebytych wyścigu. Jak idiotka parę razy dziennie wchodziłam na jego profil, przeglądałam stare zdjęcia i posty, których nie było zbyt wiele.

Myślałam, że zwariuję. Britta zarzuciła mnie pytaniami o wyjazd i kazała sobie dość szczegółowo opowiedzieć o wszystkim. Gadałyśmy na czacie do późnej nocy. Oczywiście nie omieszkła wypytać mnie również o cały dramat z powrotem do domu i musiałam kłamać, że zostałam na imprezie tak długo, bo nie miałam śmiałości poprosić, żeby mnie odwieźli do domu. Brzmiało to dość wiarygodnie, ale sprawiło jedynie, że czułam się jeszcze bardziej żałośnie. Osiągnęłam apogeum żalosności i głupoty. Czekałam na jakiś nieokreślony znak od losu, a raczej od Sandera. Nie mogłam uwierzyć, że można czuć się w ten sposób, właśnie wtedy, gdy nagle miało się wszystko, o czym się kiedyś marzyło. Byłam zdrowa, dawałam radę w szkole, miałam koleżanki i życie. Ale może tak to działa? Kiedy dostajemy wszystko, czego pragnęliśmy, zaczynamy instynktownie szukać czegoś, czego jeszcze nie mamy. Tylko że ja oczywiście musiałam wybrać sobie coś, co nie tylko nie było moje, ale również należało do kogoś innego. Może nieoficjalnie, ale jednak.

Wyszłyśmy ze szkoły we trzy – ja, Sanne i Ilona. Rozległy plac wypełniony rowerami obłany był słońcem. Zostały nam ostatnie tygodnie zajęć lekcyjnych, atmosfera była coraz luźniejsza. Próbowałam zapiąć oporny suwak w plecaku, gdy Ilona szturchnęła mnie łokciem.

– Ej, patrzcie... – powiedziała cicho.

Sanne jęknęła i teatralnie przewróciła oczami.

– Ale ciacho... O matko, chyba zaraz zasłabnę...

Zarzuciłam plecak na ramię. Podniosłam głowę i spojrzałam w kierunku, w którym patrzyły. Po drugiej stronie ulicy biegnącej za ogrodzeniem zobaczyłam dwa czarne auta zaparkowane wzdłuż krawężnika. Sander stał oparty o maskę swojego volkswagena i palił papierosa. Przejechał dłonią po ciemnych włosach. Miał na sobie podkoszulek bez rękawów i czyste dżinsy. Jego widok wprowadził mnie w osłupienie, którego nie potrafiłam ukryć. Dopiero po chwili zauważyłam Finna i Arjena, stojących za drugim pojazdem. Zatrzymałam się zupełnie nieumyślnie, ponieważ nie mogłam oderwać oczu od postaci Sandera. Czułam, że moje policzki płoną, a serce pompuje krew ze zdwojoną siłą. W chaosie myśli, przepływających przez moją głowę, próbowałam przypomnieć sobie, jak wyglądam, ze zgrozą stwierdzając, że mam na sobie jasnoróżowy podkoszulek i stare, beżowe szorty. Rączka od plecaka wpijała mi się w ramię.

– Evi... Evi! – Sanne szarpnęła mnie lekko i pociągnęła w stronę naszych rowerów stojących w jednym z wielu rzędów metalowych stojaków. – Jezu, nie gap się tak!

Wyswobodziłam rękę z jej palców i odkleiliśmy wzrok od postaci Sandera.

– Ja ich znam. Zaraz wrócę. Tylko się przywitam – powiedziałam, choć zaschło mi w gardle do tego stopnia, że każde słowo kosztowało mnie sporo wysiłku. Nie wiem, skąd wzięłam odwagę, żeby postawić pierwsze kroki.

Powoli, ale zdecydowanie, ruszyłam przez plac między zaparkowanymi rowerami i grupkami uczniów. Czułam na swoich plecach zdumione i zazdrosne spojrzenia Ilony i Sanne. Moje oczy znów odnalazły Sandera. Arjen podszedł do niego i stali teraz obok siebie oparci o auto, z rękoma w kieszeniach. Okulary przeciwsłoneczne na nosie, błyszczące od potu umięśnione ramiona i bijąca od nich pewność siebie. Wyglądali jak jakieś nieziemskie połączenie *Szybkich i wściekłych* z *Młodymi gniewnymi*. Wiedziałam, jakie robili wrażenie na innych. Miałam też świadomość, że Evi sprzed roku na taki widok wydełaby wargi z pogardą. Ale musiałam być ze sobą szczerą. Tamta Evi nie miała nawet najmniejszych szans, by ktoś taki zwrócił na nią uwagę. Nie miałam pojęcia, co robili przed moją szkołą, i podejrzewałam, że czekają na kogoś innego, ale mogłam się przynajmniej przywitać. Sander zauważył mnie pierwszy. Przemierzał ulicę, nawet się nie rozglądając, a idący chodnikiem ludzie schodzili mu z drogi, gdy szedł w moją stronę. Zatrzymał się przed otwartą na oścież bramą prowadzącą na plac, przez który szłam. Zdjął z nosa okulary. Kiedy tam dotarłam, uśmiechnął się i machnął głową na powitanie.

– Cześć, kicia, jak leci? – Wsunął dłonie w kieszenie luźnych dżinsów i oparł się nonszalancko ramieniem o ogrodzenie. Patrzył na mnie, mrużąc oczy od słońca. Okulary przeciwsłoneczne wisiały zaczepione o podkoszulek, który odsłaniał fragment jego klatki. Próbowałam na niego nie patrzeć.

– W porządku – odpowiedziałam, czując, jak język lepi się do mojego suchego podniebienia. Lepiej mówić mniej, niż palnąć coś głupiego.

– Skończyłaś lekcje? Jesteś wolna czy masz już plany? – spytał i w ułamku sekundy zdałam sobie sprawę, że przyjechał tutaj ze względu na mnie.

Poczułam fale wzburzonej krwi, uderzające w moje policzki. Pokręciłam głową. Stałam tam niezręcznie jak jakaś idiotka, niezdolna wydusić z siebie żadnej błyskotliwej uwagi.

– A one? Nie czekają na ciebie? – Wskazał ruchem głowy na Ilonę i Sanne, które stały nieruchomo przy swoich rowerach. Spojrzałam na nie i wzruszyłam ramionami. – Masz ochotę się z nami pokręcić po mieście?

Odniosłam wrażenie, że gram rolę w jakimś bardzo marnym filmie dla nastolatków. Tylko nie mogłam sobie przypomnieć swojej kwestii. Żałowałam nawet, że nie miałam przy sobie puszki piwa, po którym ostatnio język mi się trochę rozwiązał. Tymczasem jedyne, na co było mnie stać, to skinienie głową. Machnęłam jeszcze dłonią w kierunku dziewczyn, rejestrując ich zdumione twarze. Chwilę potem siedziałam znów na tylnym siedzeniu auta Sandera. Finn, który zajął miejsce pasażera, nie przywitał się. Silnik ryknął i samochód ruszył z piskiem opon. Kiedy odjeżdżaliśmy, mignęła mi jeszcze znajoma twarz Toby'ego. Stał na chodniku, nieruchomy, wpatrzony w przyciemnianą szybę, za którą nie mógł mnie przecież widzieć. A jednak miałam poczucie, że przed jego zboląłym spojrzeniem nie mogłabym ukryć się nawet na drugim krańcu świata.

– Musimy najpierw odebrać tę lalę Arjena. – Auto Sandera podążyło za czarnym bmw przed nami, które prowadził Arjen.

– Chyba żartujesz? – Finn nie wydawał się z tego powodu zadowolony. Przy jego stopach na samochodowym dywaniku leżał notatnik w skórzanej oprawie.

Sander wzruszył ramionami. Wolną dłonią wyciągnął papierosa, którego Finn podpałił.

– Jego sprawa, nie moja. Ja mu lasek nie będę wybierał.

Zaparkowaliśmy na małym placyku przed budynkami kafejek przy Prins Hendrikkade. Arjen wysiadł i wszyscy razem ruszyliśmy w stronę klubu nocnego La Celene. Pomalowane na czarno szyby zdobiły naklejki przedstawiające powyginane w erotycznych pozach kobiece postacie. Wewnątrz panował mrok, do którego moje oczy musiały przywyknąć. Przy barze oświetlonym kolorowymi przyciemnianymi lampkami stał rząd stołków obitych materiałem w panterkę. W rogu niewielkiej sali na podwyższeniu widniał pomalowany na złoto fotel, a na środku tej minisceny tkwiła metalowa rura ciągnąca się od podłogi do sufitu. Na samym końcu pomieszczenia stała długa sofa, lekko przysłonięta prześwitującymi firankami. Nie było najmniejszych wątpliwości, w jakiego rodzaju miejscu się znalazłam. Mogłam sobie wyobrazić, że wieczorami klub przyciągał klientów, jednak o tej porze dnia świecił pustkami. Dopiero po chwili zza drzwi obok baru wyszedł mężczyzna. Miał krótkie włosy, które zdobiły jego czaszkę jak szczecina szczołki, czarny podkoszulek opinał mocno zbudowane ciało i ramiona pełne tatuaży, które w tym świetle wyglądały jak abstrakcyjne malowidła pokrywające jego skórę. Po kolei spoglądał na nas srogo, jego twarz rozjaśniła się dopiero na widok Arjena, ale wzrok zatrzymał na mnie. Kiedy przejechał spojrzeniem przez całe moje ciało od stóp do czubka głowy, miałam wrażenie, że jego oczy bardziej liżą, niż patrzą. Czułam, że się kurczę. Przesunęłam się za Sanderę, próbując nie rzucać się w oczy. Mężczyzna ucisnął dłoń Arjena, a potem odwrócił się w stronę drzwi i wrzasnął gromkim głosem tak, że prawie podskoczyłam.

– Priscilla!!! Rusz dupę!

Parę sekund potem tleniona blondynka, którą zapamiętałam z wyścigu, weszła do sali. Miała na sobie błękitny ciasny top, z którego prawie wypadały jej piersi, i krótką białą spódniczkę z dziwnym łańcuszkiem wokół bioder. Co jakiś czas obciągała ją niezręcznie. Nawet gruba warstwa makijażu nie mogła ukryć jej zaspanych oczu. Pełne kształty przypominały mi trochę Britte. Nie byłam w stanie określić jej wieku, ale oczy obrysowane grubą czarną linią i otoczone mocno wytuszowanymi rzęsami miały w sobie coś dziewczęcego. Była seksowna w ten tandetny sposób pasujący idealnie do tego miejsca. Arjen objął jej talię ramieniem, a ona przyłgnęła do niego tak, że ich ciała stykały się na całej linii.

Kiedy opuściliśmy klub, odetchnęłam z ulgą. Przez chwilę przeraził mnie fakt, że ktoś mógł mnie zobaczyć, jak z niego wychodzę, i powiedzieć o tym mamie. Miałam ochotę wrócić do domu, ale mój plecak leżał na tylnym siedzeniu auta. Wahałam się między chęcią ucieczki a przemożną potrzebą bycia przy Sanderze. Obawiałam się również, dokąd tym razem pojedziemy. Okazało się jednak, że zaparkowaliśmy przy Parku Wilhelminy, naprzeciw baru szybkiej obsługi, dokąd skierowaliśmy nasze kroki. Chłopaki zamówili hamburgery i frytki. Sander odwrócił się do mnie i podał mi schłodzoną puszkę coli.

– Co będziesz jadła, mała? – zapytał.

W barze unosiły się smakowite zapachy, ale mój żołądek był zawiązany na supeł. Pokręciłam głową, że nic nie chcę, jednak mimo to zamówił dodatkowe frytki z majonezem. Usiedliśmy przy jednym ze stolików, żeby poczekać na realizację zamówienia. Priscilla wpakowała się Arjenowi na kolana. W barze było gorąco, a woń spalonego oleju zdawała się przyklejać do spoconej skóry.

Obecność Sander sprawiała, że czułam się dziwnie pobudzona, jakby wszystko, czego doznawałam, uderzało we mnie podwójnie, jakby świat wokół ze swoimi kolorami, zapachami, dźwiękami stawał się jaskrawszy, gdy on był blisko. Wydawało mi się, że kiedy byłam z nim, uruchamiały się we mnie dodatkowe zmysły o wysokiej czułości. Nagle zauważałam drobiazgi z ogromną wyrazistością, kodowałam rzeczy, których istnienia do tej pory nie byłam nawet świadoma. I choć z jednej strony przerażało mnie to, z drugiej – pociągało.

Jedzenie w papierowych torebkach zabraliśmy do parku. Znaleźliśmy tam miejsce pod roslymi kasztanami, za którymi widok rozciągał się na wody kanału i biegnącą wzdłuż nich dobrze mi znaną ścieżkę rowerową, ponieważ często dojeżdżałam nią do szkoły. Priscilla okazała się nad wyraz rozmowna. Gdy tylko usiedliśmy na ławkach pod drzewami, zapaliła papierosa i na przemian zaciągając się nim i zjadając frytki, zaczęła opowiadać nam o tym, że parę miesięcy temu na tej samej ulicy po drugiej stronie kanału stało się coś przerażającego. Arjen klepnął ją w pupę, gdy się podniosła, żeby obciągnąć swoją spódniczkę.

– Niunia, wszyscy słyszeli to już milion razy, nie nudź.

– Ja nie – powiedziałam, choć nie wiem, czy chciałam być miła, czy po prostu ciekawość wzięła górę.

Arjen spojrział na mnie zaskoczony. W jego oczach dostrzegłam cień złości.

– A z tobą co jest nie tak? Na księżycu byłaś czy jak? Całe miasto o tym trąbiło. Mieszkał tam morderca. Przechowywał w domu ciało zamordowanej kobiety.

Priscilla prychnęła lekko.

– Właściwie to były dwie kobiety. Szczątki jednej zamordowanej znaleziono dawno temu, ale nie w domu, tylko zakopane w ogrodzie. Druga nadal żyła. Podobno otarła się o śmierć. – Priscilla z głupiutkiej, słodkiej blondynki zmieniła się nagle w eksperta od lokalnych wiadomości.

– Serio? A skąd ty tak to dokładnie wiesz? – Arjen szczypnął ją w pośladek. Podskoczyła i uśmiechnęła się nieco wyniośle.

– Mamy czasem w klubie klientów z branży policyjnej. Lubią sobie pogadać chłopaki.

Arjen zmrużył oczy i otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale w tym momencie jego uwagę przykuło coś za naszymi plecami. Jego twarz wykrzywiła się, uniósł się powoli, niemalże zrzucając Priscillę siedzącą na jego kolanach. Torebka z frytkami, którą odłożył na ławkę, przechyliła się i cała zawartość wypadła na ziemię.

– Co jest, kurwa...?

Odwrociliśmy się wszyscy jak na zawołanie. Trzech młodych mężczyzn w białych obcisłych podkoszulkach i włosach obciętych na języka zatrzymało się parę metrów dalej. Zdawali się zastygnąć w bezruchu na widok Arjena. Widziałam w ich twarzach, że nie mieli pojęcia, czy mają się wycofać, czy iść dalej. Sander oblizał usta koniuszkiem języka i podał mi papierową torebkę z frytkami. Bałam się, a jednak coś w ich zachowaniu, jakieś niebezpieczne napięcie, sprawiało, że odczuwałam podniecenie. Sander podniósł się i dołączył do Arjena, który ruszył zdecydowanym krokiem w stronę spłoszonej grupki. Zafascynowana obserwowałam wszystko razem z Finnem i Priscillą. Arjen popchnął jednego z piękniśków. Wyszczał mu coś do ucha i zaczęła się szamotanina. Najwyższy z trójki próbował rozdzielić resztę. Ktoś zaklął głośno. Jeden z białych podkoszulków upadł. Widziałam, jak Sander z rozmachem kopnął go w brzuch tak, że tamten zwinął się z bólu.

Nie wiem, czy na pewno oddychałam w trakcie całego zdarzenia. Zobaczyłam krew na chodniku. Odgłosy bójkii zupełnie nie przypominały filmowych efektów dźwiękowych. Od razu wiedziałeś, że to, co słyszysz, to rzeczywiste dźwięki pękających tkanek, jakby ta wiedza była genetycznie zaprogramowana.

To wtedy, zaraz za zakrętem alejki, skąd nadeszła grupka chłopaków, zauważyłam kobietę z wózkiem, która w popłochu zawróciła w inną stronę. Wszystko potoczyło się bardzo szybko. Ruszyłam za nią w jakimś adrenalinowym amoku, przecinając rozległy trawnik na poboczu porośnięty krzewami i drzewami. Nie miałam szans jej dogonić, ale zobaczyłam na czas, jak w panice wystukuje coś w telefonie i podnosi go do ucha, drugą ręką pchając spacerówkę. Odwróciłam się i najszybciej, jak potrafiłam, podbiegłam do bijących się chłopaków.

– Sander... Sander! – Próbowałam podejść na tyle blisko, by mnie usłyszał, ale na tyle daleko, by nie narazić się na jakiś cios. – Ona wzywa policję! – krzyknęłam.

Obejrzał się na mnie. Jego ciemne oczy błyszczały pod ściągniętymi brwiami. Zamiast strachu czułam jedynie ekscytację i łaskotanie w każdym zakamarku ciała.

– Zbieramy się! – Sander klepnął Arjena, po czym chwycił moją dłoń i wkrótce biegliśmy alejkami parku w stronę parkingu. Jego palce ścisnęły mocno moje i puściły dopiero, gdy dobiegliśmy do auta. Wsunęłam się na tylne siedzenie tak szybko, jak tylko mogłam. Kłůło mnie w boku i miałam zadyszkę. Finn zatrzasnął drzwi od strony pasażera, gdy auto było już w ruchu. Sander ustawił lusterko nad przednią szybą tak, że nasze oczy spotkały się w nim. Prowadził, zerkając na mnie uważnie i z zaciekawieniem, którego jeszcze w jego spojrzeniu nie widziałam. Odwiózł mnie pod szkołę, gdzie mój rower stał samotnie na opustoszałym placu. Myślałam, że nie wysiadzie, dlatego ruszyłam w stronę stojaków, machnąwszy ręką na pożegnanie. Finn nie podniósł nawet głowy znad telefonu.

Usłyszałam jednak, jak Sander otwiera drzwi, więc się obróciłam. Stał obok mnie, bliżej niż dotychczas. Miał plamę z krwi na podkoszulku, pękniętą wargę i długie zadrapanie wzdłuż przedramienia.

– Przestraszona? – zapytał i wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

– Nie – odparłam zgodnie z prawdą.

Zapalił papierosa i podniósł na mnie ciemne oczy.

– To dobrze. Arjen miał z nimi stare porachunki.

Skinęłam głową, jakby to było zupełnie normalne, jakbym codziennie była świadkiem bijatyk.

– Może lepiej nie opowiadaj mamusi o tym zdarzeniu – powiedział w końcu i z rozczerwaniem zdałam sobie sprawę, że nie wysiadł za mną, żeby się pożegnać, a jedynie po to, by upewnić się, że będę trzymać buzię na kłódkę.

– Nic jej nie opowiadam – fuknęłam ze złością i ruszyłam w stronę roweru, trochę zawstydzona moją przerysowaną reakcją.

Przez chwilę panowała cisza, ale nim dotarłam do stojaka, usłyszałam jeszcze, jak mnie woła.

– Hej, mała! – Obróciłam się, nadal rozzłoszczona. Stał tam, gdzie go zostawiłam. Przechylił głowę lekko na bok, a ciemne włosy spadły mu na czoło, na twarzy zaś widniało lekkie rozbawienie. – Jestem twoim dłużnikiem!

Wzruszyłam ramionami i wyjęłam z plecaka kluczyk do zamka rowerowego.

Jeszcze w drodze do domu moje serce biło mocno. Nie czułam oporu pedałów, miałam wrażenie, że mój rower unosi się w powietrzu.

Wieczorem, gdy leżałam w nagrzanym słońcem pokoju, próbując zasnąć, oczy Sandera zmieniły się w oczy Toby'ego. Moje myśli dryfowały między nimi. W sypialni mamy było cicho. W tej ciszy i mroku czułam się nagle zagubiona i samotna. Miałam wrażenie, że choć nadal byłam tutaj, Sander zabrał mnie naprawdę na drugi kraniec świata, skąd z trudem mogłam porozumieć się z tymi, których zostawiłam za sobą.

Chantal Simons

MUSIAŁAM PODEJŚĆ DO TEGO STRATEGICZNIE. Szanse, że w ogóle uda mi się odnaleźć dawcę serca Evi, były niewielkie, szczególnie że nie mogłam liczyć na pomoc ludzi, którzy mieli dostęp do źródeł. W słoneczne popołudnie po pracy usiadłam na balkonie w przyjemnym letnim wietrze i postanowiłam przemyśleć swoją taktykę. Przede wszystkim posegregować w głowie informacje. Uświadomiłam sobie bowiem, że wiem już co nieco o dawcy. W przypadku transplantacji organów warunki i przepisy są dość surowe. Najprawdopodobniej musiał być to ktoś młody, ponieważ dzieci i młodzież nie mogą przyjmować organów od dorosłych. Parametry wagi i wzrostu nie mogą wahać się o więcej niż dziesięć procent, więc była to osoba podobnej wagi, wzrostu i wieku, co Evi. Płeć w przeszczepach nie ma znaczenia. Mogła to być młoda dziewczyna lub chłopak. Ale co najważniejsze, dzięki regułom transplantacji znałam datę śmierci dawcy. Pomiędzy zgonem a operacją może bowiem minąć minimalnie sześć, a maksymalnie dwanaście godzin. Były to zasady ustalone przez organizację Eurotransplant zarządzającą przeszczepami organów nie tylko w Holandii, ale również w Belgii, Niemczech i innych państwach.

Musiałam skupić się na mojej misji. Zebrałam myśli. Nie miałam zatem nazwiska. Jedynie przybliżoną datę śmierci i niezbyt pewny wiek dawcy. Ilu młodych ludzi ginie tego samego dnia w kraju? Nawet jeśli uda mi się odkopać wszystkie zgony z tego dnia, wytypowanie osób, które mogły być potencjalnym dawcą, będzie pracochłonne, a może nawet niemożliwe. Potrzebowałam jakiejś wskazówki, czegokolwiek, co zawęziłoby zakres poszukiwań. Wybrałam w telefonie numer do Rixt. Odebrała niemal od razu.

– Dzień dobry, znalazła go pani? – wypaliła natychmiast. Nie przypuszczałam, że rozpozna numer i będzie wiedziała, że to ja.

– Jeszcze nie. To nie takie proste, zwłaszcza że rodzina dawcy definitywnie odmówiła zgody na kontakty z biorcami. Nie mam pojęcia, od czego zacząć. Czy dzwonić ponownie do Anne i próbować ją przekonać, żeby mi pomogła?

– Ona nie piśnie słowa, jeśli rodzina odmówiła współpracy. Ale... W jaki sposób otrzymała pani kontakt do niej? – Głos Rixt zdawał mi się zmęczony.

– Od ordynatora oddziału kardiologicznego w Centrum Medycznym w Groningen. Tam dokonano przeszczepu. To on poradził mi skontaktować się z Anne.

W słuchawce zapanowała cisza. Po chwili usłyszałam ciężki oddech Rixt.

– Zatem bardzo możliwe, że dawca pochodził z tego regionu, za który odpowiedzialna jest Nieuwkoop. Z tego, co pamiętam, ma pod swoimi skrzydłami dwie prowincje, Fryzję i Groningen, ale nie jestem pewna.

– Rozumiem, spróbuję więc w ten sposób szukać po dacie zgonu.

– Właśnie. – Rixt jakby ożywiła się nagle, gdy zdała sobie sprawę, że wiem, o czym mówię.

– Z sercem jest łatwo, może być poza ciałem jedynie od trzech do pięciu godzin, nerki mogą czekać nawet dobę. Którego dnia córka miała przeszczep?

– Trzeciego stycznia.

– Proszę sprawdzić najpierw tę datę. Jeśli nic nie zwróci pani uwagi, to może pani również poszukać wiadomości z pierwszego i drugiego stycznia. Najlepiej pogrzebać w informacjach o śmiertelnych ofiarach wypadków z dni poprzedzających przeszczep. To musiał być ktoś młody, o takich zdarzeniach zwykle coś piszą w gazetach. Musi jednak pani zdawać sobie sprawę, że dawca mógł mieć wypadek nawet parę dni przed przeszczepem i spędzić długie dni w niepewnej sytuacji aż do momentu, gdy orzeczono śmierć mózgową. Więc może chodzić nawet o koniec grudnia. Najlepiej wyznaczyć sobie szerokie ramy i szukać na upartego.

– Tak zrobię. – Czulałam łaskotanie w żołądku, które było efektem napływającej adrenaliny.

– Proszę dać mi znać, kiedy pani wpadnie na jakiś trop.

Rixt życzyła mi powodzenia, po czym się rozłączyłyśmy.

Nigdy nie byłam biegła w posługiwaniu się komputerami, a internet ze swoim ogromem informacji całkowicie mnie obezwładniał. Nie mogłam jednak poprosić o pomoc Carla, bo musiałabym zdradzić mu swój plan. To nie wchodziło w grę. Wolałam nawet nie pytać go o radę. Postanowiłam więc zacząć po prostu od biblioteki. Rixt miała rację – jeśli w regionie zdarzył się wypadek z ofiarami śmiertelnymi, musiała pojawić się o tym jakaś wzmianka w gazetach.

W sobotę zaraz po tym, jak przyniosłam do domu zakupy, Evi z błyszczącymi oczyma i zaróżowionymi policzkami oznajmiła, że wychodzi i na pewno da mi znać, o której wróci. Ostatnimi dniami była bardziej nieobecna, ale musiałam przyznać, że mniej marudna i poirytowana. Nie próbowałam nawet pytać, dokąd idzie, żeby nie dawać jej powodu do kłamania. Sama zaś wsiadłam na rower i pięć minut później stałam w przyjemnie chłodnej bibliotece. Zaraz za rozsuwanymi drzwiami po prawej mieściło się pomieszczenie z fotelami i stołami, gdzie można było napić się kawy z ogólnie dostępnego automatu i wypić ją, przeglądając gazety i czasopisma. Rozejrzałam się po półkach z magazynami, po czym skierowałam się do tej części, gdzie leżała prasa codzienna. Tak jak się spodziewałam, dostępne egzemplarze pochodziły z ostatnich dni. Skierowałam się więc do biurka w recepcji, przy którym za komputerem siedziała pracowniczka biblioteki, młoda dziewczyna o dość przeciętnej urodzie. Na tabliczce przypiętej do jej nieforemnej bluzki widniało imię i nazwisko „Fenna Velde”.

– Dzień dobry, czy może mi pani pomóc? Szukam czegoś.

Podniosła spłoszony wzrok znad monitora.

– Oczywiście. Słucham. Szuka pani jakiejś konkretnej pozycji?

– Nie chodzi mi o książkę, poszukuję prasy, a mianowicie gazet z wiadomościami regionalnymi.

Fenna wskazała mi dłonią dział z czasopismami.

– Mamy szereg tytułów, z którymi może się pani zapoznać.

– Problem polega na tym, że chodzi mi o prasę sprzed pół roku.

Dziewczyna uśmiechnęła się ciepło i wydeła usta.

– Przykro mi, ale egzemplarze prasy regionalnej wyrzucamy po dwóch tygodniach. Mamy dostępne dla wszystkich archiwum komputerowe, ale są w nim przechowywane jedynie tytuły krajowe.

Westchnęłam. Cały mój plan wziął w łeb.

– Dziękuję za informację. Do widzenia.

– Proszę poczekać. – Zatrzymała mnie dziewczyna. – Większość gazet ma swoje archiwum internetowe. Jeśli powie mi pani, jakich tytułów pani potrzebuje, mogę bardzo szybko sprawdzić, czy jest dostępna archiwalna wersja komputerowa numeru. Może pani również skorzystać z komputerów biblioteki, żeby poszukać potrzebnych informacji.

– Nie chcę zawracać pani głowy... – zaczęłam, choć bardziej chodziło o to, że wolałam nie musieć tłumaczyć, czego szukam. Do tego wizja grzebania w sieci zupełnie odbierała mi chęci.

– A wyglądam, jakbym była strasznie zajęta? – Wskazała dłonią na niemalże pustą przestrzeń. Uśmiechnęła się ciepło. Miała bardzo zwykłą twarz, z rodzaju tych, które nie przyciągają uwagi. – Proszę usiąść. – Wskazała mi krzesło obok biurka, obite miękkim materiałem. – Rozumiem, że chodzi o tytuły regionalne?

– Tak, chodzi mi o Fryzję.

Skinęła głową. Jej palce uderzały niezwykle szybko w klawisze klawiatury.

– „Echo Fryzji” to największa gazeta, zawiera najważniejsze wiadomości z całego regionu. „Kurier Sneek” wydawany jest jedynie w naszym mieście oraz w najbliższych położonych wioskach takich jak IJlst, wychodzi jeszcze „Dziennik Leeuwarden”. Myślę, że to są główne tytuły, których pani potrzebuje na początek. To znaczy nie wiem, czego konkretnie pani szuka, ale te mają swoje strony internetowe. Zapraszam panią do jednego z naszych komputerów bibliotecznych.

Fenna poprowadziła mnie przez opustoszałą bibliotekę do miejsca, gdzie stały biurka z komputerami. Pochyliła się nad jednym z nich i po paru chwilach w wyszukiwarce czekały na mnie otwarte strony wymienionych przez nią gazet z numerami ze stycznia. Wskazała mi krzesło i życząc powodzenia, odeszła. Wróciła po chwili z papierowym kubkiem z pachnącą aromatycznie kawą. Czułam, że jestem jej winna jakieś wyjaśnienie, ale wolałam uchodzić za osobę niemłą niż wariatkę. To była przykra prawda. Podziękowałam jej za kawę i wróciłam do przeglądania wiadomości styczniowych. Zaczęłam od miasteczkowej gazety, głównie dlatego, że jej strona była najbardziej przejrzysta, a szanse, że dawca pochodził z tego samego miasta, znikome, więc mogłam odhaczyć jeden region.

Po godzinie głowa mi pulsowała i jedyna wartościowa informacja, którą zdobyłam, to fakt, że pierwsze dni roku przyniosły straszną gołoledź, będącą przyczyną wielu wypadków drogowych w okolicy. Westchnęłam i wstałam, rozprostowując zdrętwiałe nogi. Napełniłam papierowy kubek świeżą kawą z automatu stojącego w rogu działu z prasą, uśmiechnęłam się do Fenny i wróciłam do biurka. Przez chwilę wodziłam wzrokiem po niekończących się kolumnach tekstu. Może powinnam zmienić strategię? Mogłam przecież wynająć kogoś do wyszukania informacji. Może powinnam powiedzieć Toby’emu o wszystkim? Nie. Zdecydowanie nie. Nikt nie mógł wiedzieć. Prawdopodobnie to wszystko było jakąś paranoją. Uparcie przeglądałam kolejne strony, wiadomości o kolizjach, kradzieżach, koncertach. Moje oczy zaczęły śwędzić od ciągłego patrzenia w ekran komputerowy. Oparłam się wygodnie i przez chwilę zamknęłam je,

by odpoczęły. Kiedy znów spojrzałam na monitor, coś interesującego rzuciło mi się w oczy. Po lewej stronie widniały linki do stałych kolumn z ogłoszeniami. Tytuł pierwszej brzmiał: *Nekrologi, kondolencje, pożegnania*. Byłam gotowa przejrzeć ogłoszenia z kondolencjami ze stron internetowych wszystkich gazet. Nagle uderzyła mnie myśl, że przecież szukam kogoś zmarłego. Powątpiewałam, by wciąż jeszcze umieszczano tego typu pośmiertne anonse, szczególnie dla młodych ludzi, ale postanowiłam sprawdzić to dokładnie, nim wykluczę tę opcję.

Zaczęłam od największej regionalnej gazety. „Echo Fryzji” miało dość skomplikowaną stronę internetową, ale udało mi się odnaleźć link *Ogłoszenia rodzinne*, pod którym mieściły się nekrologi. Mimo to straciłam pierwsze dziesięć minut, czytając kondolencje z datą trzeciego stycznia. Nie mogłam uwierzyć, ile publikowano takich anonsów. Dopiero po paru minutach zorientowałam się, że wszystkie one mają datę zgonu z trzech, czterech, a nawet pięciu dni przed datą publikacji. Westchnęłam poirytowana własną głupotą i w głowie dokonywałam obliczeń. Musiałam zacząć od dwóch, trzech dni po trzecim stycznia.

Okazało się, że wyszukiwarka na stronie gazety miała opcję wyszukiwania pomiędzy wybranymi dniami. Wpisałam od piątego do ósmego stycznia i kliknęłam w klawisz enter. Skupiłam się głównie na dacie narodzin, szukałam kogoś młodego, chłopaka lub dziewczyny.

Do biurka podeszła Fenna i taktownie omijając wzrokiem ekran monitora komputerowego, zapytała, czy czegoś potrzebuję. W pierwszej chwili pokręciłam głową, ale gdy już prawie się odwróciła, by odejść, zatrzymałam ją i poprosiłam o długopis i kartkę. Spodziewałam się, że przyniesie mi jakiś świstek, ale wróciła po minucie z dwoma długopisami (w razie gdyby jeden nie działał) oraz notatnikiem ze stronami w linie, który, jak od razu zaznaczyła, mogłam zachować. Patrzyłam za nią, gdy wracała do swojego biurka. Była typem osoby, której się nie zapamiętuje, jeśli widziało się ją tylko raz. Miała przeciętną urodę i sprawiała wrażenie, jakby celowo nie chciała rzucać się w oczy. Jednak już po krótkiej wymianie zdań okazało się, że była również osobą, której życzliwości nie zapomina się tak łatwo. Strumień moich myśli ruszył niepowstrzymany. Kim była jej mama? Jak udało się jej zaszcześcić to dobro i ciepło, które biło od dziewczyny? Czy może niesłusznie uważałam, że to, co w dzieciach najlepsze, jest zasługą rodziców? Może Fenna była taka dzięki samej sobie? Może ukształtowały ją jej własne doświadczenia, a nie wychowanie, które otrzymała? Skąd we mnie to silne przekonanie, że mamy kontrolę nad tym, kim stają się nasze dzieci?

Wróciłam do pracy. Postanowiłam zapisać wszystkie zgony osób w okolicach wieku Evi, a potem spróbować je jakoś posegregować i sprawdzić przyczynę zgonu, ponieważ to również miało znaczenie i mogło wykluczyć daną osobę.

Zrobiłam sobie kolejną kawę i kontynuowałam moje poszukiwania. Wkrótce na kartce przede mną widniały cztery nazwiska, a obok nich wiek i data śmierci. Okazało się, że w ciągu pięciu styczniowych dni aż cztery młode osoby pożegnały się życiem. Czternastoletnia dziewczynka z Kollum, dwóch chłopaków – dwudziestodwuletni z Harlingen oraz siedemnastoletni z Drachten, a także dziewiętnastoletnia dziewczyna ze Sneek. Po chwili namysłu skreśliłam czternastoletnią dziewczynkę, jej serce nie mogło pasować. Byłam zmęczona. Do tego miałam świadomość, że czeka mnie ta sama akcja poszukiwawcza w prowincji Groningen i że bardzo możliwe było to, iż mimo wyłożonych starań mogę w ogóle nie dotrzeć do dawcy. Jednak na dziś miałam dość. Zamknęłam wszystkie strony i rozprostowałam zeszytwniałe ciało. Spojrzałam na kartkę papieru wyrwaną z notatnika, zastanawiając się, jak sprawdzić przyczynę śmierci tych osób. Musiałam odpocząć i dać sobie

chwilę, by to przemyśleć. Sprzątnęłam puste kubki po kawie i podeszłam do biurka Fenny. Podałam jej notatnik i długopisy.

– Bardzo pani dziękuję.

Uśmiechnęła się ciepło. Nie pytała, czy znalazłam to, czego szukałam, ani czego szukałam.

– Cieszę się, że mogłam pomóc.

Było słoneczne, ciepłe późne popołudnie, pierwsze dni lipca. Evi nadal nie wróciła do domu. Otworzyłam szeroko drzwi na balkon i przyjemny letni wiatr wpadł do mieszkania, niosąc ze sobą zapachy miast. Przygotowałam risotto, które zjadłam w samotności, po czym usiadłam z filiżanką kawy na balkonie. Cały czas miałam przed oczyma nazwiska młodych ludzi. Próbowalam obmyślić najlepszą strategię dalszych poszukiwań.

Gdy zadzwonił dzwonek do drzwi, byłam tak głęboko pogrążona w moich rozmyślaniach, że prawie go nie usłyszałam. Gdy zdałam sobie sprawę, że ktoś stoi przed drzwiami, zerwałam się z wiklinowego fotela i rzuciłam w stronę holu. Kiedy pociągnęłam gwałtownie za klamkę, Toby był już w drodze ku schodom.

– Toby! Cześć! – Jego ciepły uśmiech zawsze rozjaśniał pomieszczenie. Tym razem jednak był to lekki grymas na twarzy. Zauważyłam, że piegi na jego nosie stały się wyraźniejsze, jak zawsze latem. – Wejdiesz?

Pokręcił głową i wyciągnął w moją stronę plastikową torbę.

– Nie, dziękuję. Przyniosłem tylko resztę rzeczy Evi, które u mnie leżały. Mogłem jej dać to w szkole, ale nie chcę, żeby czuła się niezręcznie.

Wzięłam torebkę z jego dłoni.

– Jak to? Niezręcznie? Nie rozumiem.

– W tej sytuacji to chyba oczywiste – powiedział słabo i przez chwilę miałam wrażenie, że się rozpłacze.

– Słucham? W jakiej sytuacji?

Popatrzył na mnie lekko zaskoczony.

– No... Evi ma przecież kogoś innego.

Przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć. Toby widać też nie, bo stał niezręcznie na klatce, przestępując z nogi na nogę.

– Czy to jest ktoś ze szkoły? – zapytałam w końcu, choć zdawałam sobie sprawę, że nie powinnam go dręczyć pytaniami.

– Nie. Ja go nie znam, ale na pewno nie jest z naszej szkoły. Wygląda też na trochę starszego. – Toby mówił niepewnie i wiedziałam, że źle robię, przepytując go w ten sposób.

– Rozumiem. Dziękuję, że mi powiedziałeś. Evi jakoś zapomniała o tym wspomnieć – dodałam cierpko.

Toby pokiwał głową.

– Wszystkim zapomniała powiedzieć – odparł, choć nie słyszałam nawet cienia złości w jego głosie, jedynie smutek i rozczarowanie.

– Słuchaj, Toby, zawsze jesteś tu mile widziany.

Uśmiechnął się blado, pożegnał i powoli ruszył w kierunku schodów.

– Toby! Jeszcze jedno – zatrzymałam go. – Czy wiesz może, jak mogę kogoś najszybciej znaleźć?

– No... to zależy, kogo pani szuka.

– Starego znajomego z czasów szkoły średniej – odpowiedziałam wymijająco. Kłamstwo przyszło mi zaskakująco łatwo.

– To może Facebook? Tak najłatwiej, oczywiście, o ile ten ktoś ma konto. No i pani też musi założyć swoje, ale to bardzo proste. Proszę najpierw spróbować wpisać nazwisko w Google.

Westchnęłam. Zatem znów czekało mnie przeczesywanie internetu. Wyglądało na to, że klucz do rozwiązania mojej zagadki znajdował się właśnie tam.

Podziękowałam mu i patrzyłam przez chwilę, jak zbiega schodami. Ten chłopiec przez tak długi czas był nieodłączną częścią naszego życia, iż nie mogłam uwierzyć, że Evi wyrzuciła go tak po prostu, jakby był zużyтым przedmiotem.

Evi spotykała się z kimś innym i celowo zatajała tę informację. Popatrzyłam na drzwi jej pokoju, które ostatnimi czasy częściej bywały zamknięte niż otwarte. I jakby tej ściany między nami było mało, Evi używała również słuchawek i tableta, by skuteczniej oddzielić mnie od siebie. Westchnęłam i powstrzymałam się od naciśnięcia na klamkę. Nic nie byłoby dobrym usprawiedliwieniem łamania jej prywatności. To wiedziałam na pewno. Zresztą być może sama podzieli się ze mną nowinkami, kiedy poczuje się na to gotowa. Przekonywałam siebie, dobrze wiedząc, że tak się nie stanie.

Dopiłam kawę, ciesząc się ostatnimi promieniami słońca, i postanowiłam sięgnąć po laptop. Wyjęłam z torebki kartkę z listą osób i położyłam ją na stole obok komputera. To wtedy zgrzytnął zamek w drzwiach.

– Cześć! – Głos Evi sprawił, że wpadłam w panikę, wsunęłam kartkę pod klawiaturę i odwróciłam się.

– Cześć. Podgrzeję ci risotto – powiedziałam, gdy zajrzała do pokoju.

– Ale ja już jadłam – odparła, stojąc w drzwiach. Miała na sobie niebieską letnią sukienkę przed kolana z nadrukiem palmy i plecionym paskiem wokół bioder. Kolor podkreślał jej oczy i delikatną urodę. Włosy, jasne i lśniące, spływały długimi kosmykami po jej ramionach. Przez chwilę zabrakło mi słów, gdy patrzyłam na tę młodą dziewczynę. Jej błyszczące oczy nosiły ostatnio nieustanny cień gniewu, na który, jak czułam, nie zasługiwałam.

– Jesteś pewna? Lepiej, żebyś nie brała leków na pusty żołądek – przypomniałam jej, za późno gryząc się w język.

– Oj, mamoo... – jęknęła. – Przecież wiem. Mówię, że jadłam. Ale pić mi się chce. Mamy kostki lodu?

Skinęłam głową i podążyłam za nią do kuchni, zostawiając kartkę ukrytą pod laptopem. Za oknem słońce chyliło się ku zachodowi. Przyglądałam się Evi, która wrzuciła parę kostek lodu do szklanki i napełniła ją wodą z kranu, ignorując pełen dzbanek z filtrem stojący tuż obok, jakby chciała mi coś zamanifestować.

– Jak ci minął dzień? – spytałam.

– W porządku.

– Widziałaś się z Sanne i Iloną?

– Nie, z innymi ludźmi – odparła wymijająco i momentalnie zmieniła temat.

– A ty co robiłaś cały dzień?

Wzruszyłam ramionami.

– Zakupy, lunch z koleżanką, spacer po mieście, nic ciekawego.

– Kupiłaś coś fajnego w mieście?

Zaprzeczyłam ruchem głowy. Evi wykręciła się potrzebą wzięcia prysznic i wkrótce zniknęła za drzwiami łazienki. Wstawiłam naczynie z risotto do lodówki i wróciłam do salonu. Popatrzyłam na laptop i pomyślałam o leżącej pod nim kartce. Więc teraz obie z Evi miałyśmy przed sobą sekrety. Jak to się stało?

Evi Brouwer

TYM RAZEM NIE MUSIAŁAM CZEKAĆ DŁUGO. Już dzień później, gdy siedziałam w szkolnej ławce, próbując unikać ciekawskich spojrzeń Sanne i Ilony, na wyświetlaczu komórki pokazała mi się wiadomość od Sandera. Był miły i używał mojego imienia. Ja za to próbowałam być lakoniczna i sucha. Chyba to zauważył, bo w rezultacie rozmowa na czacie urwała się i byłam pewna, że na dobre zawałam.

Tym bardziej zdziwiłam się, gdy wyszliśmy ze szkoły. Sander stał oparty o bramę. Palił papierosa. Jego dżinsy były brudne od smaru samochodowego, miał na sobie czarny podkoszulek, a lekki zarost dodawał mu uroku. Zrobiło mi się gorąco, gdy zdałam sobie sprawę, że znów przyjechał tu z mojego powodu. Dla mnie. Jego auto stało zaparkowane przy chodniku. Widziałam Finna, który siedział na miejscu pasażera. Sander wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i wyrzucił niedopałek na ziemię. A potem ruszył w naszą stronę.

Zmusiłam się, by zrobić parę kroków w jego kierunku i przyjąć jak najbardziej neutralną minę. Widać to była gra, którą lubił. Chciałam zostawić za sobą Sanne i Ilonę, ale uparcie szły przy moim boku, jakby się przykleiły i nie mogły odkleić, i gdy Sander wreszcie przemierzył plac, stały tuż obok mnie. Miałam wrażenie, że nie oddychają. Rozumiałam dokładnie, jak się czuły.

– Evi, Evi... – Myślałam, że pochyli się do mnie, ale on wyciągnął dłoń w kierunku Sanne i Ilony. – Cześć, jestem Sander. Jak leci?

Przez chwilę moje serce ścisnęła bolesna obręcz zazdrości. Nigdy mi się w ten sposób nie przedstawił. Przez głowę przebiegła mi myśl, że albo jest zainteresowany którąś z nich, albo próbuje zrobić na mnie wrażenie.

– Hej – powiedziałam, nie siląc się na nic więcej. Miejsce zazdrości szybko zajęła złość, której przyczyny nie potrafiłam dokładnie zrozumieć.

– Zajęta? Przejedziesz się z nami czy nadal się gniewasz? – zapytał. Lekko figlarny uśmiech błędził po jego ustach. Pachniał papierosami, potem i samochodowym olejem.

Wzruszyłam ramionami, sama nie wiedząc, co to miało znaczyć.

– No, Evi, nie bądź taka.

Kątem oka wyłapałam zdumione spojrzenia dziewczyn. One padłyby do jego stóp, gdyby tylko skinął palcem w ich stronę. Ja też. Tydzień temu. Dziś nie.

Patrzył na mnie tymi swoimi ciemnymi jak węgiel oczyma, w których widziałam samą siebie – smukłą postać z pasmami długich, jasnych włosów.

– Muszę być na czas w domu – powiedziałam w końcu.

– Spoko. Odwiozę cię.

Odwróciłam się do dziewczyn i machnęłam dłonią na pożegnanie. Gdy ruszyliśmy przez plac pełen uczniów, Sander objął mnie nonszalancko ramieniem, jakby to było coś, co robił od zawsze. Poczułam ciepło i ciężar jego ciała. Sposób, w jaki to zrobił, jakby od niechcienia, a jednak stanowczo, był wiadomością dla wszystkich wokół: ona należy do mnie. I nie mogę powiedzieć, żeby to nie zrobiło na mnie wrażenia.

Finn mruknął coś na kształt powitania, gdy wsiadłam do auta i rzuciłam plecak na podłogę. Było jasne, że mnie nie lubił, choć nie potrafiłam powiedzieć dlaczego. Nie żeby mi zależało na jego sympatii.

Zaparkowaliśmy przed warsztatem samochodowym, gdzieś na obrzeżu miasta. Nie miałam pojęcia, czy potrafiłabym stamtąd znaleźć drogę do domu.

Okazało się, że tam właśnie pracował Sander. Starszy mężczyzna, pochylony nad silnikiem auta, nawet na nas nie spojrzął, gdy weszliśmy, choć przywitałam się uprzejmie. Sander podał mi puszkę coli z małej lodówki stojącej w rogu. Finn usiadł na podłodze w drzwiach warsztatu i pochylił się z ołówkiem nad swoim notatnikiem. Nie wiedziałam, czy pisze, czy rysuje. Sander zabrał się do pracy, popijając piwo. Od czasu do czasu pytał mnie o coś albo prosił, żebym mu podała jakieś narzędzie, choć byłoby szybciej, gdyby sam po nie wstał, bo zwykle musiał mi tłumaczyć, jak konkretnie wygląda i gdzie leży. Nie za bardzo wiedziałam, po co mnie tam zabrał, ale cieszyłam się, że mogę bezkarnie przyglądać mu się, jak pracuje. Jego ręce wkrótce były po łokcie wysmarowane olejem. Nie miałam pojęcia, co konkretnie robił, ale on wyraźnie tak. Po jakimś czasie gwizdnął do Finna, który podniósł się z podłogi i odłożywszy notatnik, wsiadł za kierownicę. Kiedy przekręcił kluczyk, silnik zamruczał lekko i Sander wyszczerzył zęby, kiwając głową.

Starszy pan poklepał go po ramieniu.

– Ten odbiorą jutro rano. Idę do domu. Zamkniesz warsztat, jak skończysz? Przyjdź na obiad, bo inaczej babcia będzie narzekać.

Sander skinął głową i starszy pan opuścił pomieszczenie. Zaraz potem zjawił się Arjen. Jego czarne bmw zaparkowało z piskiem opon tuż przed wejściem. Ten chłopak wnosił ze sobą rodzaj dziwnego napięcia, które trudno było mi znieść. Podrzucił kluczyki od auta w jednej dłoni, drugą zaś potarosił włosy Finna, jakby ten był małym chłopcem. Finn rzucił mu poirytowane spojrzenie.

– Wow, ale bryka! – Zagwizdał przeciągle. – Diesel czy benzyna?

– Diesel.

– Podrasowałeś?

Sander pokręcił głową.

– Nie, tylko wymieniłem turbosprężarkę i kilka innych drobiazgów.

– Jest sprawa. – Arjen ściszył głos i zerknął na mnie, jakby dopiero teraz mnie zauważył. – Cześć, lala, jak leci?

Wyciągnął papierosy i poczęstował Sandera, po czym wyszli przed warsztat i tam rozmawiali przez chwilę. Usłyszałam jedynie ostatni fragment rozmowy, gdy weszli z powrotem do pomieszczenia, dopalając papierosy.

– Niech przywiozą go tutaj, ale dopiero, jak się ściemni. Bez blach, nie chcę kłopotów. Muszą go odebrać przed ósmą trzydzieści rano, żeby dziadek nie widział.

– Spoko, spoko. – Arjen splunął na podłogę. – Wskoczmy na piwo?

– Nie mogę. Muszę odwieźć tę małą i zajechać do babci na obiad.

– Babcia też człowiek. – Arjen klepnął go po ramieniu. – To spadam!

Parę minut później siedzieliśmy znów w aucie. Byłam głodna. Szumiało mi w głowie od wrażeń, myśli i wątpliwości. Co ta trójka robiła razem? Co łączyło Sanderę z Finnem lub Arjenem? I przede wszystkim: co ja robiłam wśród nich?

Sander odwiózł mnie pod szkołę. W parnym lipcowym powietrzu, wśród pustych metalowych stojaków błyszczących w słońcu, stał mój rower.

– Gdzie ty w ogóle mieszkasz? – Sander odwrócił się do mnie, gdy sięgnęłam po plecak, by wysiąść.

– Wiesz, gdzie jest Plac Normandii?

– Jasne.

– To tam w okolicy, po drugiej stronie kanału, gdzie stoją niskie bloki.

Kiwnął głową.

– Zawieźć cię jutro do szkoły? – zapytał. Nie tylko mnie zaskoczyło to pytanie. Finn podniósł głowę znad komórki i popatrzył uważnie na Sanderę.

– Lepiej nie.

– Nie to nie.

– Przecież na pewno musisz pracować, a ja mam rowerem blisko – zaczęłam się tłumaczyć jak kretynka, choć obiecałam sobie, że nie będę mu padać do stóp.

– W porządku – uciął krótko.

Myślałam, że się popłaczę, jadąc rowerem przez miasto. Mama wysłała mi trzy wiadomości, że czeka z obiadem. Odpisałam, że most jest uniesiony, ale za chwilę będę. Kiedy usiadłam wreszcie do stołu, nie mogłam nic przełknąć. Zerkalam na komórkę, choć domyślałam się, że Sander nie wyśle mi żadnej wiadomości.

Mama przyglądała mi się z tym niepokojem w oczach, od którego zaczynało mnie mdlić. Nic nie mówiła, ale wiedziałam, co myśli. Patrzyłam na leżący na talerzu obiad – razowy makaron z pieczonymi brukselkami, prażonymi migdałami i suszoną żurawiną. Wmusiłam w siebie kilka kęsów i wzięłam leki, ostentacyjnie w kuchni, żeby widziała i nie męczyła mnie potem pytaniami, czy nie zapomniałam. Obejrzałyśmy film na sofie, choć mama wydawała mi się dziwnie milcząca. Byłam tak zajęta Sanderem, że nie zauważyłam, iż tata przestał nas odwiedzać. Dobrze mi zrobiło odwrócenie uwagi od myślenia o Sanderze. Niestety przypomniała mi o nim Britta, która akurat tego wieczoru zbombardowała mnie pytaniami, czy widziałam go ostatnio. Kłamałam jak z nut. A potem wyłączyłam telefon i wczołgałam się pod kołdrę. Było za gorąco, by spać, więc przewracałam się z boku na bok. Nie pamiętam, jak i kiedy zasnąłam.

Tamtej nocy przyśnił mi się kolejny sen. Ta sama sala, ten sam tłum tańczący w rytm muzyki, której nie słyszałam. I dziewczyna. Jej postać szybko przemykała między sylwetkami bez twarzy. Nie bałam się tak, jak za pierwszym razem. Wiedziałam, że muszę za nią iść. Ruszyłam więc zdecydowanie. Tłum się przerzedził. Minęłam statuetkę Jezusa. Choć jego oczy były puste, miałam poczucie, że na mnie patrzył. Kiedy prawie dogoniłam dziewczynę, sala zmieniła się w ciemność. Siedzieliśmy w aucie. Ona za kierownicą. Ja obok w fotelu pasażera. Ale samochód stał w miejscu. Miałam wrażenie, że czekamy, że obie na coś czekamy. Albo na kogoś.

Finn Velde

NIGDY NIE ROZUMIAŁEM, co naprawdę łączyło Sandera i Arjena, który był tak prymitywnym typem, że sama jego bliskość przyprawiała mnie o niestrawność. Istniał między nimi rodzaj jakiejś niepodważalnej lojalności, której nie próbowała złamać nawet Finya. Nie wtrącała się w ich sprawy, może czując, że nie ma do tego prawa. Poza tym jednym razem dwa lata temu.

Arjen urządził imprezę u siebie w domu. Jego rodzice popłynęli jachtem na wakacje. Było już późno i większość osób wypila za dużo. Siedzieliśmy więc na sofach, gdy z kuchni dobiegły nas krzyki. Arjen wrzeszczał na swoją nową dziewczynę. Najpierw scysja wywołała jedynie uśmiechy i komentarze, ale kiedy zaczęła przybierać na sile, przestało być nam do śmiechu. W pewnym momencie coś spadło z trzaskiem na podłogę. Dziewczyna wrzasnęła przerażona. Zauważyłem, że Finya popatrzyła na Sandera wymownie, on jedynie wzruszył ramionami. Finya zacisnęła usta i podniosła się z sofy. Ruszyła w stronę kuchni, Sander poderwał się za nią, choć nie wiem, czy planował ją zatrzymać. Wstałem i zajrzałem za róg, gdzie ogromny luksusowy salon z telewizorem wielkości kinowego ekranu otwierał się na przestronną kuchnię wyłożoną marmurem, który usiany był potłuczonym szkłem. Stałem tuż za Sanderem. Jakież to dla mnie typowe, schować się za kimś innym.

– Hej, wszystko w porządku? – Głos Finyi przerwał serię krzyków, brzmiał spokojnie, a nawet wesoło.

Pamiętam spojrzenie Arjena. Zaskoczone, rozwścieczone. Miałem wrażenie, że rzuci w nią czymś, ale chyba był zbyt zdumiony.

– Czego? – burknął wreszcie, łypiąc na nią jak byk na torreadora.

– W sumie to mam problem i chciałam zapytać, czy Kim nie mogłaby mi pomóc.

Finya ruchem głowy wskazała na skuloną w kącie postać.

– Problem? – Głos Arjena był schrypnięty i drżał od powstrzymanej złości. Nawet wtedy jeszcze jego pięści były zaciśnięte do białości, a mięśnie ramion drgały.

– No wiesz... Kobięcy problem. – Finya świetnie grała swoją rolę, stała tam, obracając w dłoniach jakiś wazon i robiąc głupie miny. – Okres, znaczy się – dodała po chwili milczenia.

– Co? – Twarz Arjena wykrzywiła się w konsternacji. Miałem ochotę wybuchnąć śmiechem i przysięgam, że usta Sandera też drgnęły.

– No, okresu dostałam. A nie mam przy sobie potrzebnych rzeczy.

– Rzeczy? – Pięści Arjena rozluźniły uścisk. Kim skulona w rogu kuchni wodziła wzrokiem od jego twarzy do twarzy Finyi, która właśnie odstawiła wazon i westchnęła ciężko.

– Tampony – powiedziała powoli i dobitnie. – Tamponów zapomniałam. Pożyczysz mi, Kim?

Kim skinęła głową, jej oczy były utkwione w Arjenie, który stał nadal na środku kuchni i patrzył na Finyę, jakby spadła z nieba. Ona tymczasem uniosła brwi i ruszyła w stronę Kim. Zauważyłem, że Sander drgnął, jakby chciał ruszyć za nią, ale ona minęła już Arjena, jakby go tam nie było, wzięła dłoń Kim i pociągnęła dziewczynę za sobą w stronę ubikacji.

– Spadaj, głupia dziwko! – rzucił Arjen na pożegnanie w stronę Kim, która już nie śmiała na niego spojrzeć. Zebrałem rozbite naczynia, a Sander otworzył lodówkę i wyjął puszkę piwa,

którą podał Arjenowi. Nigdy więcej już nie zobaczyliśmy Kim.

Nie jestem w stanie jednoznacznie stwierdzić, czy Finya była tak odważna, czy tak szalona. Choć myślę, że po przekroczeniu pewnej granicy odwaga płynnie zmienia się w szaleństwo. A może to intencje decydują o tym, czy dane zachowanie było aktem heroizmu, czy utraty zmysłów.

Tamtego wieczora Finya więcej się nie odezwała do Sandera. Wyglądała na obrażoną i za każdym razem, gdy ten próbował coś do niej powiedzieć, odwracała głowę i udawała, że jest zajęta czymś innym. Nie wiem, czy Finya chciała pomóc tamtej dziewczynie, czy jedynie zmanifestować coś Sanderowi swoim zachowaniem. Nigdy nie dało jej się do końca rozszyfrować.

Mama opowiedziała mi niedawno, że kiedy byliśmy mali, bardzo się kłóciliśmy. Podobno Finya, ilekroć czegoś chciała, próbowała mnie zmanipulować i przegadać. Była w tym niezwykle uparta i niezłomna, do tego stopnia, że nie uznawała żadnych negocjacji, a już na pewno nie odmowy. Mama mówiła, że w rezultacie, nie mogąc jej znieść, zaczynałem w ramach protestu okropnie wrzeszczeć.

Nie mogę sobie tego w ogóle przypomnieć. Tego, że kiedykolwiek próbowałem przeciwstawić się Finyi. Mnie nie stać nigdy na akt odwagi. Ani nawet na akt szaleństwa.

Rzadko szkicuję moją mamę. To nie dlatego, że jej nie kocham albo że wydaje mi się nie dość interesująca. Po prostu zawsze odnoszę wrażenie, że nie mam wystarczająco ostrego ołówka. Za każdym razem, gdy zaczynam, jestem zadowolony, ale już po chwili grafit ołówka ściera się i linie stają się miększe. Wtedy zaczyna się moja bezowocna walka. Zawsze kończy się niezupełnie trafnym szkicem, który nigdy mnie nie satysfakcjonuje. To zresztą takie typowe dla mojej mamy, którą trudno zadowolić. Nawet poszukując artystów do swojej galerii, jest wybredna i wymagająca. Wszystko, co wisi na ścianach lokalu, to owoc jej bezkompromisowości. Niemal niemożliwym jest to, że potrafi żyć z tatą, który zarabia na życie, walcząc o kompromisy.

Myślałem, że im więcej czasu będzie upływało od śmierci Finyi, tym łatwiej będzie się z nią pogodzić, nauczyć się żyć ze stratą. Jednak zamiast tego ciężar tej świadomości zdawał się z każdym dniem przyciskać mnie coraz bardziej do ziemi. Miałem poczucie, że nic nie przynosiło ulgi, nikt nie dawał ukojenia, byłem schwyty w ciasną sieć bólu, winy i wspomnień. Zajęcia w szkole opuszczałem regularnie, wołałem przesiadywać beczynn timerze w warsztacie dziadka Sandera, szkicować, włóczyć się i grać godzinami w głupie gry. Wydawało mi się, że nadejście lata tylko pogorszyło mój stan gorzkości. Wszechogarniająca ekstaza słońca i radości działała na mnie przygnębiająco. Miałem ochotę krzyczeć, ale moje usta pozostawały ciasno zaciśnięte.

Pewnego lipcowego dnia coś mnie zaprowadziło do galerii mamy. Lekcje w szkole dobiegły końca i całymi dniami próbowałem znaleźć sobie jakieś zajęcie. Nie chadzałem tam często. Może powinienem powiedzieć: prawie nigdy. Moje ego zdawało się cierpieć sromotnie wśród wiszących na ścianach galerii dowodów mojej małości. Nie zawsze podzielałem zachwyt mamy nad wybranymi przez nią artystami, ale bywały momenty, że jęczałem w duchu z zazdrości i podziwu.

Okna galerii ciągnęły się wzdłuż budynku położonego na rogu ulicy Oud Kerkhof. Przez wąski przesmyk między ramą okna a wiszącym w nim portretem zobaczyłem postać mamy. Rozmawiała przez telefon, stojąc przy biurku. Pamiętam, że kupiła je w jednym ze sklepów

z antykami w Amsterdamie i tata musiał zapłacić fortunę, by je dostarczono do Sneek. Pasowało jednak do wystroju pomieszczeń, a nowoczesne krzesło z przezroczystego plastiku stojące przy nim nadawało mu lekkości. Minąłem rząd okien i pchnąłem białe drzwi prowadzące do niewielkiego holu, gdzie mama postawiła wąski regał z ulotkami i czasopismami o sztuce oraz ogromną donicę z egzotyczną rośliną. Już prawie otworzyłem oszklone drzwi, za którymi mieściły się pomieszczenia galerii, gdy moje oczy wyłapały wiszący obok na ścianie szkic w grubej, drewnianej ramie. Zatrzymałem się z dłonią na szkle, które miałem pchnąć. Moje palce nie czuły jednak jego chłodnej powierzchni, bo krew odpłynęła z wszystkich moich członków i uderzyła falą w twarz. Zapiekle mnie policzki. Patrzyłem na wykonany ołówkiem rysunek. Ogier galopujący w tumanach kurzu. Gdybym nie wiedział, w jaki sposób powstał, widziałbym precyzyjnie kreski i cienie. Ale pamiętałem dokładnie, jak Finya go rysowała – gruba książka na jej kolanach jako podkładka pod kartkę, niedbałe ruchy dłoni. Pocierała palcem miejsca, gdzie końskie kopyta ginęły w kłębach wzbijającego się kurzu. Spryskała szkic lakierem do włosów i rzuciła go na biurko. Po chwili obcasy jej kozaczków stuknęły na schodach, którymi zbiegała. Moje szczęki zwarły się jak metalowe zaciski. Cała Finya. Z kilku kresek potrafiła stworzyć dynamikę, ruch, głębię, przestrzeń. Zastanawiałem się, czy w wyobraźni widziała tego ogiera, czy słyszała uderzenia kopyt o podłogę, ciężki oddech, rzenie? Nigdy jej o to nie zapytałem, moja przerośnięta duma nie pozwoliła mi na to. O tyle rzeczy nie zapytałem Finyi. Tworzenie przychodziło jej tak łatwo, od niechcenia, nie widziałem w niej śladu frustracji, wątpliwości czy zmagania się z efektami pracy, które ja znałem nazbyt dobrze. Zdawało się, że zawsze była tak samo usatysfakcjonowana.

Chyba drżałem. Cofnąłem dłoń, wciąż jeszcze spoczywającą na szklanych drzwiach, obróciłem się i opuściłem galerię. Może biegłem, nie wiem, miasto było wypełnione ludźmi spacerującymi w słońcu. Chciałem uciec z tego dusznego miasteczka pełnego wspomnień. Musiałem ciągle iść, pozostawać w ruchu. Zatrzymał mnie uniesiony most. Łodzie i jachty przepływały powoli i z gracją przez wody kanału, na pokładach ludzie popijali wino i rozsyłali błogie uśmiechy, podczas gdy ulica ponad nimi stała zakorkowana autami, w których kierowcy pocili się i klęli.

– Hej, Finn! – Nie wiedziałem, jak długo Sander wołał mnie przez opuszczoną szybę swojego volkswagena, który stał po drugiej stronie mostu. Zauważyłem go dopiero po chwili. Moje szczęki wciąż jeszcze zaciśnięte spazmem doznanego bólu odmówiły posłuszeństwa, więc uniosłem jedynie dłoń w jego kierunku i wysiliłem się na grymas przypominający uśmiech. Sander krzyknął coś i wskazał palcem ulicę za mną. Skinąłem i obróciwszy się, ruszyłem w stronę ronda przy Prins Hendrikkade. Parę minut później, gdy ruch uliczny znowu ruszył, Sander zjechał na pobocze. Wsiadłem szybko i odjechaliśmy. W aucie panował przyjemny chłód.

– Człowieku, co za upał! Jakbym mógł, siedziałbym cały dzień w aucie z klimą włączoną na maksa. – Sander dopalał papierosa. Miał na sobie robocze, brudne dżinsy i niezbyt świeży podkoszulek. – I czego łazisz po mieście jak pierdoła? Nie mogłeś dać znać?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie pracujesz czy musiałeś po coś wyskoczyć?

– Jadę po Evi. – Wyrzucił niedopałek przez lekko uchyloną szybę, którą szybko zamknął. Westchnąłem ciężko. Ostatnimi tygodniami ta dziewczyna była piątym kołem u wozu. Sander wszędzie ją zabierał.

– No co? – zapytał, szczerząc zęby.

– Przecież ty jej nawet nie lubisz – powiedziałem trochę zbyt gniewnie. Wcale nie byłem tego taki pewien. To ja jej nie lubiłem.

– I co z tego? Nie muszę jej lubić, żeby ją przelecieć. Może dlatego ty masz wieczny kłopot z laskami, bo wydaje ci się, że musisz je lubić, żeby je obracać?

Zacisnąłem pięści ze złości. Nie spodziewałem się, że będzie mi udawadniał swoją sympatię do tej dziewczyny. To nie było w jego stylu, ale tekst, którym rzucił, zabolął mnie podwójnie. Miałem ochotę go popchnąć. Przyłożyć mu. Prawie otworzyłem usta, żeby mu powiedzieć, jaki był prawdziwy powód moich kłopotów z laskami, ale powstrzymałem się w ostatniej chwili.

– Więc nie lubiłeś Finyi? – zapytałem zamiast tego, choć ułamek sekundy po tym, jak to pytanie padło z moich ust, wiedziałem, że posunąłem się ciut za daleko.

Sander zacisnął usta i milczał przez chwilę. Kiedy się odezwał, jego głos był dziwnie chłodny.

– Słuchaj, rozumiem, że Finya była twoją siostrą, ale naprawdę uważasz, że z powodu jej śmierci muszę żyć w celibacie?

– Nie. Nie z powodu jej śmierci – powiedziałem sucho i Sander obrzucił mnie ostrym spojrzeniem, jakbym mu przypomniał o czymś, co wolał zapomnieć.

Może zapomniał. Ale ja nie. Pewnie łatwiej nie pamiętać, gdy się ma dobrze opracowany plan rozpraszania uwagi. Ten Sander nosił ostatnio tytuł „Evi”.

Nie planowałem jej szkicować. Obecność dziewczyny, choć nie była nachalna, irytowała mnie i męczyła. Ezoteryczna blondynka, jasna cera, pastelowe, lekkie kolory, tylko w oczach coś mocnego, jakby miały głębię oceanu pod powierzchnią błękitnej tęczęwki. Chciałem ją narysować lekką kreską, niemalże delikatnie rozmazaną, jakby obraz nie był ostry, chciałem wypełnić przestrzeń między liniami miękkim, jasnym różem i miętową zielenią. Ilekroć próbowałem naszkicować jej postać, odkładałem w końcu kartkę poirytowany i zrezygnowany. Wszystko się zgadzało, jedynie oczy, choć wiedziałem, że były takie same, jasnoniebieskie, dziwnie chłodne w porównaniu do delikatnych rysów jej twarzy i ciepłych kolorów, nie pasowały w żaden sposób. Próbowałem nadać im więcej głębi, używając ciemniejszego błękitu. Stawały się jednak przerysowane i nierealistyczne. Wkrótce mój blok wypełniły szkice jej sylwetki, zbliżenia twarzy, wszystkie z oczyma pustymi jak krater. Już nie tylko nie lubiłem Evi. Stała się źródłem mojej narastającej frustracji. Ilekroć ją widywałem, śledziłem jej twarz, próbując zrozumieć, co ukrywa to chłodne spojrzenie i ten ciepły, nieśmiały uśmiech.

Sander Horst

PAMIĘTAM, KIEDY FINYA pierwszy raz wsiadła do mojego auta. Miała na sobie białą spódniczkę z falbanami i koronkami, odsłaniającą jej opalone gładkie uda, krótkie kowbojskie kozaczki, zamszową brązową kurtkę i pomarańczowy podkoszulek z białym nadrukiem przedstawiającym orła w locie. Bóg mi świadkiem, że była chodzącym zjawiskiem. Kosmyki włosów spadały jej na twarz. Miała w oczach ogień. Wiedziałem, że się sparzę. Ale z takiej

dziewczyny nie rezygnuje się tylko dlatego, że niesie ze sobą ryzyko. To tak jak z jazdą autem z niedozwoloną prędkością. Wiesz, że możesz wpaść w kłopoty, ale przyjemność i adrenalina smakują tak dobrze, że wizja problemów z policją czy wypadku błędnie i staje się nieważna.

Chyba dosyć wcześnie nauczyłem się nie tęsknić za nikim i niczym. Ta praktyczna umiejętność skutecznie chroni przed stratą czasu. Nie wiem, czy tęsknię za Finyą. Ale myślę o niej. Pachniała rzeczami, które normalnie nie posiadają zapachu: zachodem słońca w lecie, pierwszą wiosenną burzą, napięciem tuż przed pierwszym pocałunkiem, spontanicznym śmiechem, którego echo niesie się po ulicy, namiętą kłótnią. Finya zamieniała wszystko w żywioł, czegokolwiek nie dotknęła, stawało się to naznaczone jej ognistym temperamentem. Nie mam żadnych wątpliwości, co do tego, że była jedyna w swoim rodzaju. Śmieszny paradoks, w szczególności, że miała brata bliźniaka. Finn przypomina ją z wyglądu, ale tak naprawdę jest bardziej jak lustrzane odbicie: niby takie samo jak oryginał, ale wszystko odwrotnie. Nie wiem, co dokładnie z nim nie w porządku. Finya trzymała go zawsze pod swoimi skrzydłami jak jakieś bezwolne stworzonko, niezdolne zadbać o siebie samego. Był jak jej cień, zdolny do funkcjonowania jedynie dzięki niej. A teraz, gdy nie ma Finyi, szukam w nim czasem jej cienia. Ale zdaje się, że Finya przepadła na zawsze, bez śladu, jakby nigdy jej nie było. W żadnym z nas.

Finn mylił się. To nie tak, że nie lubię Evi. Może sam z siebie nigdy nie zwróciłbym na nią uwagi. Za cicha i zbyt wycofana, by rzucać się w oczy komukolwiek. Wielka szkoda, bo urody jej nie brakuje, ma wszystko na swoim miejscu. Więc nie wiedziałem najpierw, co mnie w niej pociąga, o ile w ogóle można tak to nazwać. Postanowiłem więc sam się przekonać.

Evi pachnie jakąś zagadką. Kiedy na nią patrzysz, wiesz, że pod tą słodką, ładną buzią kryje się coś więcej, co czasem, jedynie na ułamek sekundy, przebija się przez jej nieśmiałą posturę. Jakby było w niej coś, co próbuje się uwolnić. Nie jest gadatliwa ani nachalna, ale wiesz, że za jej milczeniem nie kryje się nuda, lecz jakieś niedopowiedzenie. Wiesz, że nie kłamie, ale jesteś pewien, że nie mówi całej prawdy. Może to mnie kręci najbardziej, ta świadomość, że to, co widać gołym okiem, jest jedynie ładną powłóczką.

To Finn jej nie lubił, nie ja. Kiedy zabrałem ją do warsztatu dziadka, nie odezwał się do mnie przez całe popołudnie. Arjenowi było wszystko jedno, z kim się zadawałem, tak jak mnie nie obchodziło, kogo on akurat obraca. Dla Finna jednak cała sytuacja miała wymiar osobisty. Próbowałem udawać, że mnie to nie rusza, że nie widzę jego naburmuszonej miny. Tamtego wieczoru musiałem wrócić do warsztatu, żeby odebrać brykę, którą przywieźli kumple Arjena. Czekala mnie praca przez całą noc, musiałem wyrobić się, nim dziadek rano otworzy warsztat. Goście podjechali, kiedy zapadał zmrok. Bmw miało niemieckie blachy, chociaż wyraźnie zaznaczyłem, żeby je zdjęli. Nie chciałem wpaść w żadne kłopoty. Tego typu przekręty to było za dużo nawet dla dziadka, który często zarabiał na czarno. Ale auto z kradzieży to co innego. Szczególnie takie auto. Robiłem to rzadko i tylko wtedy, gdy poprosił o to Arjen. I oczywiście dla kasy, która była niezła. Łysy gość z wydatnym brzuszkiem wysiadł z samochodu i upewnił się, czy wiem, co mam zrobić i o której ma odebrać auto. Pod warsztat podjechało czarne audi, wsiadł szybko, jakby chodnik palił mu się pod brzydkimi gumowymi klapkami. Nie mogłem prawie uwierzyć, że ktoś, kto je nosi, jeździ takim autem. W mojej dłoni ciążyły kluczyki, które rzucił mi chwilę przed tym, jak audi z piskiem opon opuściło opustoszały teren. Wsiadłem do bmw. Skórzany biały fotel kierowcy był nadal ciepły. Przejechałem palcami po desce rozdzielczej, pokrętałach, wysuwanym wyświetlaczu, wdychałem zapach jeszcze nowiutkiego

auta. Sprawiało wrażenie, jakby ledwo opuściło fabrykę. Prawie żal mi się zrobiło gościa, który wkrótce miał się zorientować, że jego bryka zmieniła właściciela. Silnik mruknął i auto wjechało do warsztatu. Zasunąłem metalowe drzwi i włączyłem światło. Miałem za mało czasu. Wyjąłem z półki rolki folii i zacząłem zabezpieczać lusterka, klosze lamp i szyby. Zdjąłem blachy i wrzuciłem je do bagażnika, gdzie leżały już nowe, pewnie również skradzione. Będą się musieli sami ich pozbyć. Im mniej śladów, tym lepiej. Odkręciłem koła i zabezpieczyłem opony folią. Auto było zadbane i regularnie woskowane, co przy zmianie koloru niestety utrudniało sprawę. Dochodziła północ. Potarłem oczy i zerknąłem na telefon. Westchnąłem ciężko i wysłałem wiadomość do Finna. Mogłem poprosić o pomoc Arjena, ale on robił wszystko na odwal się, niechlujnie i niezbyt starannie. Robota za taką kasę wymagała trochę wysiłku. Finn był dokładny i skupiony. Jeśli coś robił, wiadomo było, że zrobi to porządnie. Nie wiem, dlaczego pomagał mi w tej robocie, auta nie interesowały go w ogóle, bazgrał jedynie coś w tym swoim notatniku. Kiedyś zajrzałem mu przez ramię i zobaczyłem Finnę, której twarz, po części skryta w cieniu jak oblicze sennej mary, patrzyła na mnie. Nigdy więcej nie próbowałem zerknąć na jego rysunki.

Pół godziny później stał w warsztacie. Doceniałem, że przyjechał mimo naszej ostatniej rozmowy. Nie był to zresztą pierwszy raz, gdy pomagał mi przy tego typu sprawach, wiedział więc, co go czekało. Zdjął bluzę i rzucił ją w kąt. Z szafki wyjął maski i rozcieńczalnik. Ja w tym czasie szorowałem karoserię.

– Jaki kolor? – zapytał, przeglądając puszki z gumą natryskową. Przejechałem palcami po lśniącym srebrnym lakierze i podniosłem głowę.

– Niebieski metalik? – zapytałem niepewnie. Takie auto w jakimkolwiek kolorze będzie rzucało się w oczy. Chodziło jedynie o to, by bezpiecznie wyjechało z kraju. O nowe blachy i papiery troszczyli się goście zarabiający tym na życie. Ja dbałem jedynie o to, by na pierwszy rzut oka bryka nie była rozpoznawalna.

Finn skinął i zaczął przygotowywać opakowania oraz pojemniki ze sprayem. Pracowaliśmy w milczeniu, nakładając pierwszą warstwę. Kiedy musiała schnąć, zrobiłem nam obrzydliwą rozpuszczalną kawę. Z niepokojem patrzyłem na schnącą farbę. Bałem się, że zrobią się zacieki. Karoseria była zadbaną i regularnie woskowana. Założyliśmy maski i przystąpiliśmy do nakładania drugiej warstwy.

Zaczynało świtać, gdy skończyliśmy. Przykręcaliśmy koła z niebieskimi felgami, zdejmowaliśmy folię. O siódmej pod warsztat podjechało czarne audi. Łysol z zadowoleniem pokiwał głową, gdy podałem mu kluczyki. Wcisnął mi kasę do ręki.

– Arjen miał rację. Niezła robota. – Obrzucił Finna nieufnym spojrzeniem. – Myślałem, że pracujesz sam?

Wzruszyłem ramionami i zapaliłem papierosa. Naprawdę chciałem tylko, żeby zabrał stąd furę i odjechał.

– Aby dokonać takich zmian w parę godzin, muszę iść na kompromisy – powiedziałem.

Łysol skinął. Miał na sobie nadal gumowe kłapki i podkoszulek, który odsłaniał fragment opasłego brzucha.

– Jest jeszcze jedno auto... – zaczął powoli.

Zacisnąłem szczęki. To było trochę za dużo. Spore ryzyko. Pokręciłem głową.

– Zapłacę ekstra – dodał.

– Na kiedy? – spytałem.

– Najlepiej na wczoraj. – Mrugnął, ale kiedy zauważył, że nie było mi do śmiechu, sprostował szybko. – Jutro rano.

Zaciągnąłem się papierosem. Oczy piekły mnie ze zmęczenia.

– To będzie kosztowało.

Łysol pokiwał głową.

– Chodzi o to, by pojechały jednym transportem.

Miałem godzinę, żeby sprzątnąć warsztat i dojść do siebie. Potarłem czoło.

– Dobra.

Facet poklepał mnie po ramieniu i chwilę potem samochód marki BMW model M4 odjechał, zabierając ze sobą zapach salonu i ledwo wyschniętej farby. Za nim ruszyło czarne audi, którego kierowcy nie widziałem przez przyciemniane szyby.

Kocham nowe auta, lśniący lakier, czyściutkie opony, które jeszcze nie tknęły asfaltu. Moje własne jednak odnowiłem zupełnie sam od zera. Z rozpadającego się, nudnego volkswagena stworzyłem nieprzećiętne auto z niewiarygodnymi możliwościami. Każdą śrubkę przykręciłem sam, każdy kabel i element. Nie ma w tym aucie części, której nie dotknęły moje palce. Znam je na wskroś.

Finn podał mi puszkę napoju energetycznego i zabrał się do sprzątanía śladów po naszych poczynaniach. Czekają mnie kolejne dwadzieścia cztery godziny pracy.

Gdzieś koło piętnastej miałem dość. Zerknąłem na komórkę i w jakimś dziwnym odruchu pomyślałem o Evi. O tym, że jej obecność dodałaby mi energii.

Kiedy Finya po raz pierwszy przyszła ze mną do warsztatu, dziadek nie omieszkiał skomentować jej wizyty.

– Bogate dzieciaki – powiedział. – Uważaj, bo narobią ci kłopotów.

Było to paradoksalne i śmieszne, zwłaszcza że dokładnie przed tym samym musiała ostrzec Finyę jej mama. Kłopoty jednak znajdują cię niezależnie od statusu społecznego i stanu konta w banku.

Evi Brouwer

PRÓBOWAŁAM NIE ROZPACZAĆ. Nie odzywał się. Trudno. Miałam swoje życie. On swoje. Zresztą, jakie były szanse, że naprawdę mogło się między nami coś wydarzyć? Marne. Taka była szczerza prawda. Więc zdecydowałam zagryźć zęby i dać sobie spokój, nie sprawdzać komórki co pięć minut, nie zaglądać na jego profil co wieczór i przede wszystkim ignorować pytania Sanne i Ilony.

Bycie blisko Sandera było jak jazda na kolejce górskiej w parku rozrywki. Chwilę po tym, jak miałeś poczucie, że spadasz w dół, kolejka unosiła cię znów w górę z niemożliwą prędkością. Musiałam przyznać, że mimo łez i frustracji smak adrenaliny na długo osładzał całą resztę.

Wiadomość przyszła o szóstej dziesiątej w sobotę. Sięgnęłam po telefon, mimo iż oczy odmawiały współpracy. *Hej, mała. Śpisz?* Przez parę sekund gapiłam się na wyświetlacz telefonu. Co niby miałabym innego robić o szóstej rano w sobotni poranek? *Już nie*, odpisałam

po chwili. Dźwięk nowej wiadomości nadszedł ułamek sekundy później. *Stoję na placu przed twoim domem.*

Zakłuło mnie w podbrzuszu. Nagle poczułam się pobudzona. *Daj mi minutę.* Wciągnęłam na siebie białe dzinsy, jasnoniebieski podkoszulek i kurtkę dzinsową, ochlapałam twarz zimną wodą, rozczesałam włosy i wyszorowałam zęby. Wszystko najciszej, jak się dało. W sypialni mamy panowała całkowita cisza, gdy przechodziłam przez korytarz. Mama była ostatnio jakaś roztargniona. Mimo że moją głowę zajmowały inne sprawy, zauważyłam, że coś ją trapi. Przyjęłam jednak, że to ta cała sytuacja z tatą. Karol leżał na oparciu sofy i nieufnie obserwował moje poczynania. Zbiegłam po schodach.

Sander stał na opustoszałym parkingu na Placu Normandii. Palił papierosa oparty o swoje auto. Wyglądał, jakby w ogóle nie spał. Na twarzy miał parodniowy zarost, podkrążone oczy i wymięte, zaplamione ubrania. A mimo to na jego widok wszystko we mnie zaczęło trzepotać, jakby we wnętrzu mojego ciała uwięzione były motyle zamiast kości, tkanek i krwi.

– Evi... – powiedział na mój widok. Wyrzucił niedopałek i ruszył w moją stronę. Przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że zamierzał mnie pocałować. Panika ścisnęła moje serce. Kiedy jednak zatrzymał się, nawet mnie nie dotykając, poczułam jednocześnie ulgę i rozczarowanie. – Masz ochotę się przejechać?

– O szóstej rano? – wypaliłam, zanim zdążyłam opanować zdumienie. Nie wiem sama, czego się spodziewałam, zbiegając po schodach. Liczyło się tylko to, że na mnie czekał.

Wzruszył ramionami. Było zimno, mimo że słońce już wzeszło i jego jaskrawe promienie świeciły ponad budynkami, rażąc nas w oczy.

– Dopiero skończyłem robotę – powiedział jakby mniej entuzjastycznie i zorientowałam się, że zależy mu, żebym z nim pojechała. Nie pytałam, co to była za robota. Nie byłam głupia.

– W porządku, ale... – W głowie obliczałam szybko, ile mam czasu, żebym nie spóźniła się z lekami. – Muszę być w domu na ósmą.

Skinął głową i otworzył drzwi auta od strony pasażera. Wsiadłam bez wahania.

Ulice miasta były puste, gdy jechaliśmy Oppenhuizerweg w stronę ronda, na którym zjechaliśmy na autostradę A7 w kierunku Bolsward. Minęliśmy Park Rasterhoff i wybudowany na jego obrzeżu luksusowy hotel Van Der Valk z wielkim tukanem w czerwono-żółtym kolorze, wyrysowanym na bocznej ścianie. Sander odezwał się dopiero, gdy wyjechaliśmy za Bolsward. Dwupasmowa, całkowicie pusta droga oddzielona była pasmem zieleni od drogi biegnącej w przeciwnym kierunku. Wzdłuż niej rosły drzewa, roztaczały się rozległe zielone pola i łąki, a gdzieś tam stały w oddali zabudowania gospodarstw rolnych. Ponad koronami drzew górowały skrzydła wiatraków, które wiatr obracał powoli.

– Jechałaś kiedyś szybko autem? – spytał nagle.

Pokiwałam twierdząco głową, choć nie byłam przekonana.

– Jak szybko? – nalegał.

– Nie mam pojęcia... – zaczęłam, próbując przypomnieć sobie w głowie, ile kilometrów na godzinę jeździł tata. Zerknęłam na szybkościomierz w aucie Sandera wskazujący sto czterdzieści. Nawet nie poczułam, że jechaliśmy tak szybko. – Może... Sto dwadzieścia na godzinę?

Sander skinął głową. Bez słowa sięgnął po moją dłoń. Położył ją na gałce dźwigni biegów. Pod palcami poczułam jeszcze ciepłą od jego dotyku powierzchnię. Tu w aucie był inny,

delikatniejszy, bardziej skupiony. Jego dłoń objęła moją, przyciskając ją stanowczo. Pchnął lekko i poczułam, jak pod naszymi dłońmi drążek przesuwa się i zmienia biegi. Miałam wrażenie, że Sander chciał, żebym poczuła wszystko naprawdę. Silnik ryknął i auto z niewiarygodnym przyspieszeniem rozpędziło się po pustej drodze oblanej promieniami wschodzącego słońca. Prędkość niemal wbiła mnie w siedzenie, zaparła dech w piersiach. Zerknęłam na szybkościomierz, którego strzałka w parę sekund zbliżyła się do dwustu kilometrów. Poczułam skurcz żołądka. Nie był to jednak strach, lecz przyjemny spazm, którego echo rozeszło się po moim ciele. Asfalt zdawał się uciekać spod kół auta, za oknami obrazy przesuwały się szybko. Widok rozciągał się aż po horyzont, ciemna linia drzew w oddali, wieżyczka kościoła, która mignęła mi przed oczyma. Niebo ponad nami było rozpięte jak potężna, błękitna kopuła. Moje ciało odprężyło się, dreszcz emocji łaskotał przyjemnie. Spojrzałam na Sandera. Zobaczyłam jego profil, pozbawiony tego lekko aroganckiego uśmiechu i jego oczy wpatrzone w drogę. Zmieraliśmy w stronę Afsluitdijk, tamy oddzielającej Morze Północne od jeziora IJsselmeer. Oparłam głowę o zagłówek i delectowałam się uczuciem. Dłoń Sandera wciąż jeszcze obejmowała moją, zdecydowanie i bez zażenowania. Wjechaliśmy na pas biegnący między jeziorem a morzem. Wkrótce zjechaliśmy z drogi głównej na wąski pas prowadzący przez porośnięty suchymi trawami teren tuż przed tamą, gdzie ludzie parkowali auta, by popatrzeć na morze. O tak wczesnej porze było tam jednak pusto. Sander zaparkował auto na samym krańcu drogi, w miejscu najdalej położonym od autostrady. Wyszliśmy. Widok rozciągał się stąd na bezkresny błękit. Z lekcji geografii pamiętałam, że było to morze przybrzeżne, oddzielone od otwartych wód łukiem Wysp Fryzyjskich. Wiał porywisty wiatr, którego podmuch zdawał się niemalże ciągnąć moje włosy. Morze wokół nas było skąpane w słońcu. W oddali granica jego wód zacierała się i przechodziła w rozpostarte nad nami niebo. Usiedliśmy na wysuszonej słońcem trawie. W tym miejscu, o ile dało radę oprzeć się pokusie oglądania za siebie, można było ulec iluzji, że jest się samemu na całym świecie.

– Evi...

Głos Sandera wyrwał mnie z zamyślenia i zachwytu. Był cichy, a jednak donośny, jakby dochodził z mojego własnego wnętrza. Obróciłam ku niemu twarz, na którą wiatr uparcie zwiewał kosmyki włosów.

– Słucham? – próbowałam sprawić, by mój głos przedarł się przez szum wiatru i fal. Ale miałam wrażenie, że brzmi inaczej, jak gdyby nie był mój.

Patrzył na mnie uważnie, gdy próbowałam bezskutecznie odzyskać kontrolę nad moimi fruującymi włosami. Wyciągnął dłoń i złapał pukiel moich włosów, po czym powoli owinął go sobie wokół palców, by chwilę później puścić go wolno. Niemalże od razu wiatr ponownie porwał go do szalonego tańca. Uśmiechnęliśmy się do siebie. A potem mnie pocałował.

Uwięziony w mojej klatce piersiowej ptak trzepotał skrzydłami o jej ściany, jakby lada chwila miał wydostać się na zewnątrz. To było to, na co czekałam. W jednej chwili wszystko zniknęło – choroba, lęki, poczucie winy, zagubienie. Pocałował mnie. Tego chciało moje serce.

Siedzieliśmy potem jeszcze chwilę w ogłuszającym huku wiatru i fal.

– Czy ty masz prawo jazdy? – spytał, gdy wstaliśmy, otrzepując się z piachu i trawy.

– Nie – odparłam zgodnie z prawdą.

– Ale umiesz prowadzić samochód? – Przyglądał mi się uważnie.

Pokręciłam głową. Ruszyliśmy w stronę zaparkowanego obok auta.

– W ogóle? – zapytał z niedowierzaniem w głosie. Nie wiedziałam, do czego zmierza.

– Nigdy nie siedziałam za kierownicą – odpowiedziałam już trochę naburmuszona i nagle zawstydzona faktem, który do tej pory nigdy mi nie przeszkadzał.

– Poczekaj. – Sander przytrzymał mnie lekko za ramię. Wydawał się rozbawiony. – Nigdy w życiu nie trzymałaś w rękach kierownicy?

Wzruszyłam ramionami. Narastała we mnie złość, że psuje ten idealny moment.

– Przecież mówię!

Chwycił mnie za dłoń i pociągnął w stronę samochodu. Otworzył przede mną drzwi od strony kierowcy.

– Wsiadaj – powiedział stanowczo.

– Co? Nie! Nie umiem prowadzić – zaprotestowałam ostro.

– Właśnie dlatego! Wsiadaj! – Jego oczy błyszczały, głos był mocny, a wiatr targał jego ciemne włosy. Usiadłam na miejscu kierowcy. Zamknął za mną drzwi i nagle ogłuszająca cisza otoczyła mnie zewsząd. Po chwili Sander z szerokim, szelmowskim uśmiechem usiadł obok na fotelu pasażera. Podał mi kluczyki.

– Lekcja numer jeden: włóż kluczyk do stacyjki.

Metalowa powierzchnia breloczka wciąż była jeszcze ciepła od jego dłoni.

– Sander – powiedziałam niepewnie. – Ja naprawdę nie umiem prowadzić auta.

– Kluczyk – powtórzył. – Włóż do stacyjki.

– A jak rozbiję twoje auto?! – próbowałam jeszcze odwieść go od tego pomysłu.

Westchnął.

– Przecież tu jestem. Siedzę obok. Rozejrzyj się wokół. Pusta droga, żadnych innych aut. Wyluzuj. Po prostu rób, co mówię.

Nabrałam powietrza w płuca i drżącą ręką włożyłam kluczyk do stacyjki.

– Tadam! – Zaśmiał się. – Dźwignia biegów musi być na luzie. Zobacz.

Położył swoją dłoń na moją i lekko poprowadził ją między ruchami dźwigni, aż została ustawiona pomiędzy biegami.

– Zaciśnij hamulec ręczny. Auto musi być na luzie.

Popatrzyłam na niego, unosząc brwi do góry. Wziął moją dłoń i położył ją na hamulcu, który przycisnęłam lekko pod naporem jego ręki, aż kliknęła posłusznie.

– Wciśnij sprzęgło do końca, to ten pedał po lewej. Do samej podłogi, dobrze. Teraz przekręć kluczyk.

Zwarłam wargi i zaciskając lewą dłoń na kierownicy tak mocno, jakby od tego zależało moje życie, prawą dłonią przekręciłam kluczyk. Silnik zamruczał.

– Świetnie. A teraz najtrudniejsze i najprzyjemniejsze. Będziesz musiała lekko puszczać sprzęgło. Jednocześnie prawą nogą musisz dodawać gazu, powolutku i delikatnie. Musisz wyczuć auto. Wrzuć bieg na jedynekę.

Miałam wrażenie, że krew zastygła mi żyłach, a wszystkie kończyny zdrętwiały i zrobiły się sztywne. W efekcie, gdy tylko poruszyłam stopami, auto szarpnęło, po czym zgąsło. Westchnęłam i spojrzałam na Sandera.

– Mówiłam ci, że ja... – zaczęłam. Mój głos brzmiał żałośnie.

– Hej, hej – uciszył mnie. Mówił łagodnie, a uśmiech nie schodził mu z ust. – Jeszcze raz. No, mała. Pokaż, co potrafisz.

Wcisnęłam sprzęgło. Przekręciłam kluczyk w stacyjce.

– Musisz poczuć, kiedy auto bierze. Wsłuchaj się w silnik. Wciśnij gaz tylko odrobinę, a teraz powoli puszczaj sprzęgło. Usłyszysz, kiedy zacnie brać. Tak. Teraz wciśnij mocniej gaz, delikatnie, z wyczuciem.

Auto ruszyło powoli. Moje palce zacisnęły kierownicę w spazmie całkowitej ekscytacji.

– Teraz. Puść sprzęgło do końca. Zmień bieg na dwójkę. – Pomógł mi, kładąc swoje palce na mojej drżącej dłoni. – Dodaj gazu, spokojnie. Jedziesz, mała.

Z moich ust wydobył się dziwny pisk nieopisanej radości, gdy jechałam powoli wąską asfaltową drogą wzdłuż morza.

– Sander, zakręt, zakręt! – wrzasnęłam.

Roześmiał się serdecznie, po czym przytrzymując kierownicę, pomógł mi wmanewrować auto w zakole. Parę metrów dalej silnik znów mi zgasł. Moje mięśnie drżały od napięcia. Kręciło mi się w głowie z wrażenia. Jakaś nieopisana euforia wypełniła moje płuca zamiast powietrza.

– To co? Zawieziesz nas do domu? – Mrugnął.

W drodze powrotnej zatrzymaliśmy się na stacji benzynowej, gdzie Sander kupił nam francuskie rogaliki na śniadanie. Siedzieliśmy na trawie, obserwując nadal nieliczne jeszcze auta, od czasu do czasu przemykające autostradą. Nie chciałam wracać do domu, myśleć o lekach, mamie, tacie, Tobym. Mogłam siedzieć tam całe życie, gapić się na samochody i zapomnieć o wszystkim, skąd przyszłam, kim byłam. Może nawet wcale nie wiedziałam, kim byłam.

Położyliśmy się na trawie, a jej żdźbła łaskotały mnie w policzek. Jej zapach mieszał się z wonią paliwa, tworząc dziwnie przyjemną i zaskakująco znaną mieszankę.

– Masz jutro czas? – zapytał, patrząc mi w oczy.

Pokiwałam głową. Czułam mrowienie, które rozchodziło się po ciele jak kręgi po wodzie. Palcami gładził moją skórę tuż ponad linią, gdzie zaczynały się moje spodnie, a kończył podkoszulek.

– Jedź z nami na plażę De Potten. Wiesz, gdzie to jest? Zaraz za Sneek.

Uśmiechnęłam się, gotowa zgodzić na wszystko. Dopiero sekundę potem uderzyła mnie ta myśl. Plaża. Bikini. Blizna.

Usiadłam, prostując się. Uniósł się lekko, podpierając łokciem.

– No co jest, Evi?

– Ja... – Próbowałam na poczekaniu wymyślić jakiś pretekst, wymówkę. – Jednak nie mogę. Moja ciocia ma urodziny, muszę do niej pojechać.

– Na pewno dasz radę się wyrwać, jedziemy dopiero późnym popołudniem – mruknął i przesunął palcami po odsłoniętym fragmencie moich pleców. Dotknął jakiegoś miejsca, które uruchomiło całą falę doznań. Jego dłonie wędrowały wyżej pod materiał podkoszulka, w górę pleców, jakby odbywały wspinaczkę na szczyt. Ptak w klatce z żeber obudził się i rzucał dziko, bijąc skrzydłami na oślep.

Na lekcji biologii uczą cię budowy organów płciowych, podając łacińskie nazwy, które wprawiają w zażenowanie i niezręczny chichot nawet najbardziej zatwardziały miłośników tego przedmiotu. Ale nikt tak naprawdę nie tłumaczy działania niezwykłego połączenia między mózgiem, sercem a podbrzuszem.

Mój organizm zdawał się prowadzić walkę między paniką a podnieceniem. W żadnym wypadku nie mogłam wybrać się na plażę i zaprezentować w bikini.

– Może, ale nic nie obiecuję – odparłam wreszcie, próbując opanować dreszcz przyjemności. Musiałam wracać do domu, aby zażyć leki.

Kiedy wysiadłam z auta na Placu Normandii, było już gorąco. Sander chciał wsiąść ze mną, ale bałam się, że ktoś nas zobaczy i powie o tym mamie. Wolałam, żeby dowiedziała się ode mnie. Choć nie byłam pewna, czy kiedykolwiek dam radę jej o tym opowiedzieć.

W domu przywitał mnie zapach kawy i naleśników. Jeśli nie spędzałam weekendu u taty, mama zawsze smażyła je w sobotni poranek. Chyba myślała, że jeszcze śpię, bo kiedy weszłam do kuchni, z której Karol wybiegł od razu w popłochu, unosząc ogon do góry jak sztandar, mama miała niewyraźną minę.

– Evi? Wychodziłaś? – Stała w swoim rozciągniętym podkoszulku i cienkich spodniach z lnu, z drewnianą łopatką w dłoni i patrzyła na mnie lekko zdezorientowana.

– Na spacer – skłamałam gładko. – Potem będzie za gorąco. Teraz było jeszcze przyjemnie chłodno. Nie chciałam cię budzić. Przecież wiedziałam, że wrócę na śniadanie. Z czym będą naleśniki?

Mama podskoczyła nagle, jakby rażona prądem.

– O Boże, naleśniki! – W panice chwyciła za patelnię, z której zaczął unosić się już nieprzyjemny zapach spalenizny.

Jadłyśmy w niezręcznym milczeniu. Niewypowiedziane słowa zdawały się wisieć między nami, zagęszczać powietrze, którym oddychaliśmy, dostawały się do naszych dróg oddechowych i jak gaz uniemożliwiały swobodne oddychanie. Nie potrafiłam jednak przełamać bariery, która urosła we mnie.

Moją głowę zajmowały myśli o Sanderze. Czy to, co się wydarzyło, oznaczało, że byłam jego dziewczyną, czy jeszcze nie? A może w ogóle nie bawił się w dziewczyny i tego typu związki? Czy powinnam biec do niego za każdym razem, gdy zawoła, czy może raczej grać niedostępną, żeby nie miał poczucia, że nie musi się starać? Co było w takiej sytuacji normalne, ogólnie przyjęte? Czy powinnam opowiedzieć o wszystkim Sanne i Ilonie, zapytać je o zdanie? Czy może lepiej nie ryzykować, że puszczą farbę i rozgadają całemu światu?

Tamtego dnia, kiedy rozebrałam się w łazience, spojrzałam w lustro na bliznę biegnącą wzdłuż mojego mostka. Uderzyła mnie myśl, że to ona, ta blizna, jest jak zaporę, jak tamę, która powstrzymuje coś we mnie, coś, co wzbiera z każdym dniem. Poczułam strach. I ekscytację.

Chantal Simons

KARTKA Z NAZWISKAMI, którą nosiłam w torebce przez parę dni, ciążyła mi niezmiernie. Świadomość, że ją mam, a może bardziej, że nic z nią nie robię, podrażniała moje nerwy. Miałam jednak poczucie, że jeśli ją wyjmę, otworzę jakieś drzwi i przekroczę pewną granicę, za którą nie ma odwrotu. To już nie będą niewinne poszukiwania wytłumaczenia dziwnego zachowania Evi, lecz grzebanie w życiu innych ludzi, być może niemających żadnego związku

z przeszczepem, naruszanie ich prywatności. Odraczałam więc ten moment. Próbowałam wmawiać sobie jeszcze, że muszę zachować trzeźwość umysłu, ocalić resztki normalności.

Wkrótce zdarzyły się jednak dwie rzeczy, które zmusiły mnie do sięgnięcia po ukryty skrawek papieru i podjęcia porzuconych poszukiwań.

W sobotni poranek Evi ukradkiem wymknęła się z domu. Byłam przekonana, że nadal śpi, za drzwiami jej sypialni panowała cisza. Kiedy jednak smażyłam w kuchni naleśniki, popijając kawę, nagle stanęła w drzwiach. Ubrana, z włosami w nieładzie, zaróżowionymi policzkami i ustami tak pąsowymi, że niemal słyszałam szum krwi, która tętniła pod cienką skórą jej warg. Jej oczy błyszczały jakąś przekorą, której nigdy dotąd u Evi nie dostrzegłam. Wiedziałam, że kłamie, i byłam pewna, że ona o tym wie. To nie fakt, że wyszła z domu tak wcześnie, zdziwił mnie tak bardzo, lecz to wszystko, co w niej dojrzałam, gdy stała w drzwiach kuchni. Ta przerażająca myśl, że nie rozpoznawałam swojej córki w tej dziewczynie. Zapytana o to, gdzie była, rzuciła jakąś naprędce wymyśloną i mało wiarygodną wymówkę, jakby nie miało dla niej znaczenia, czy się domyślę, że kłamie, czy nie. Nagle zdałam sobie sprawę, że choć Evi była sensem mojego istnienia, ja nie miałam wstępu do jej życia.

Jakiś czas później targana silnymi uczuciami wybrałam się na przejażdżkę rowerową. Miałam wrażenie, że ściany naszego mieszkania zbliżają się do siebie z każdym dniem, by w końcu zmiażdżyć mnie na dobre. Potrzebowałam wyrwać się z tego labiryntu ścian, w którym kręciłam się w kółko, nie potrafiąc znaleźć wyjścia. Przejechałam parę kilometrów obrzeżami miasta w upalnym powietrzu, lecz choć moje ciało było zmęczone, myśli zdawały się być tak samo niespokojne i rozgorączkowane jak wcześniej. Zamiast wrócić do chłodnego mieszkania, zaparkowałam rower pod mostem tuż na skraju Parku Zwette i weszłam w przyjemny cień gęsto rosnących tu drzew. Szłam ścieżką żwirową już jakiś czas, gdy w oddali dojrzałam kobiecą postać z naręczem polnych kwiatów i małym psem przy nodze, zmierzającą w moim kierunku powolnym krokiem. Nie miałam ochoty na żadne towarzystwo, szczególnie przypadkowe, a już na pewno nie na pogawędki o pogodzie. Nie było jednak żadnej możliwości, by uniknąć spotkania, nie mogłam skrócić ani obrócić się i uciec. Byłam więc zmuszona podążyć dalej naprzód. W pewnym momencie pies wystrzelił w moją stronę i zaczął obszczekiwać mnie, podskakując wokół. Kobieta pospieszyła ku nam. Wtedy usłyszałam męski głos.

– Rosemary! Rosemary, ty niegrzeczna dziewczyno, wracaj w tej chwili!

Rosemary w istocie nie była najlepiej wytresowanym psem na świecie i kontynuowała obszczekiwanie moich łydek, uniemożliwiając mi jakikolwiek ruch.

Podniosłam wzrok i z zaskoczeniem zobaczyłam przed sobą mężczyznę, którego z oddali wzięłam za kobietę. Był na oko grubo po pięćdziesiątce i miał na sobie wymiętą, żółtą sukienkę w różowe kwiaty, niebieski wełniany sweter mimo upału i japonki, które odsłaniały pomalowane na niebiesko paznokcie u stóp. Obwisłe policzki i podbródek pokrywał parodniowy zarost, a przerzedzone włosy sterczały we wszystkie strony. W jednej dłoni trzymał bujny bukiet, raczej chwastów niż kwiatów. Pochylił się i wolną ręką odsunął ode mnie psa, który od razu uspokoił się i zaczął obwąchiwać kępkę trawy.

– To nie mój pies. – Mężczyzna sapnął, prostując plecy. Nie mogłam widzieć jego oczu skrytych za okularami przeciwsłonecznymi, ale czułam, że przygląda mi się uważnie.

– Och – wydobyło się z moich ust. Na nic więcej nie było mnie stać. Miałam bałagan w głowie i spotkania z dziwakami były ostatnim, czego potrzebowałam. Chciałam już odejść, wybąkawszy uprzednio jakieś zgrabne pożegnanie.

– Należał do kogoś innego, ale ten ktoś nie żyje. Zginął – mówił to, nie spuszczać ze mnie wzroku. Gładził palcami łodyżki roślin. W geście tym było coś perwersyjnego, choć nie potrafiłam określić, co dokładnie. Paznokcie u jego rąk również miały metaliczny niebieski kolor. Lakier był zdarty w paru miejscach. – Od czasu jego śmierci Rosemary nie jest tym samym psem. Nienawidzi wszystkich. Nawet mnie. Popatrz, pogryzła mnie w łydkę, blizny mam do dziś! – Pochylił się z wysiłkiem i odsłonił lewą nogę. – Nie jadła cały tydzień po pogrzebie, warczała na mnie i wyła w środku nocy. Jak jakiś wilk. Ja też wyłem. Już mnie nie gryzie, ale minął rok od wypadku.

– Bardzo mi przykro – wydusiłam z siebie. Nic innego nie przyszło mi do głowy. Unikałam jego spojrzenia, które czułam na sobie. Było jak pajęczyna, tak cienka, że ledwo ją widzisz, ale jeśli w nią wejdiesz, czujesz jej lepkie, mocne nici na swoim ciele. Zamiast obrócić się i odejść, stałam tam nadal, jakby moje nogi wrosły w tę glebę, podobnie jak korzenie drzew, których cień przynosił nam chłód.

Mężczyzna przytaknął i pochylił głowę, milczał przez moment, skubiąc łodyżkę grubymi palcami. Po chwili ożywił się i zaczął znowu opowiadać.

– Tak, tak, to było straszne. Ciężarówki. Dwie. Zmiażdżyły go w aucie jak harmonijkę, oszczędzę ci drastycznych opisów. Czułem, że stanie się coś złego, wiesz? To było jak cień, budzisz się i masz wrażenie, że wszystko okrywa ten ciemny, chłodny cień. To był taki dzień. Mówiłem mu, powtarzałem. Nie jedź. Mam złe przeczucia. Ale on był uparty, zawsze ignorował moje uwagi. Wzdychał, że przesadzam. Typowy facet. Ja też jestem mężczyzną, ale też troszkę kobietą, rozumiesz? Wzięliśmy nawet ślub w Amsterdamie jedenaście lat temu. To nie tak, że nie kocham kobiet! Owszem! Mógłbym pokochać ciebie, no wiesz, platonicznie oczywiście. Ale z nim łączyło mnie wszystko. Tak... o czym to ja...? – Potarł dłonią nieogolony podbródek. – Jeździł za szybko i nieuważnie. Ja mu mówiłem. Zamknąłem drzwi i pochowałem wszystkie klucze. Wrzeszczał na mnie okropnie, że musi być na czas. Rosemary szczekała. Ugryzła mnie w kostkę, gdy próbowałem go odciągnąć od drzwi. Tak... – Ponownie pogładził łodyżki chwastów z dziwną czułością i znów podniósł na mnie wzrok. – Byłem kiedyś w związku z kobietą, owszem. Co to było za nieszczęście! Wieczne kłótnie! Tak to jest, jak się próbuje być czymś, kimś, kim się nie jest. Wszyscy ponoszą konsekwencje, również ci niczemu niewinni. Tak... O czym to ja mówiłem...? Ciężarówki. Złapały go w pułapkę, nie mógł ani zwolnić, ani ich wyminąć. Jeden kierowca próbował hamować. Drugi stracił kontrolę nad pojazdem. Tak mi mówili ci z policji. A on utknął pomiędzy ciężarówkami. Zmiażdżyły go jak harmonijkę. Nic nie zostało. Nie będę ci opowiadał tych drastycznych fragmentów. Straszne, tak... On był dla mnie wszystkim. Wszystkim – powtórzył z naciskiem i poskubał paznokieć kciuka. – Czułem, że kogoś dzisiaj spotkam. Czasem, jak spaceruję, a spaceruję codziennie, bo to jest zdrowe... Trzeba być blisko natury. Blisko siebie. Tak... O czym to ja...? Czasem, jak tak idę, to mam ochotę pójść aż do tego mostu tam wyżej i skoczyć. Po co się tak męczyć w samotności? Ale nie mogę jakoś. Nigdy do tego mostu nie dochodzę, tak jak dzisiaj. Akurat w te dni zawsze ktoś staje na mojej drodze. Tak... To był niezwykły mężczyzna. Dobry, bystry, zabawny, tylko taki niespokojny. Przeczucie nie wolno lekceważyć. Codziennie myślę, co by było, gdyby nie wsiadł do auta tamtego dnia.

Wydawało mi się, że w parnym lipcowym powietrzu poczułam mroźny powiew. Stałam wrośnięta w ziemię, próbując między dygresjami poskładać jego słowa jak puzzle. To się działo niemal poza moją wolą, bo przecież byłam jedynie uprzejma. Nagle wyciągnął w moją stronę

dłoń i dotknął mojego ramienia.

– Ciebie coś trapi. Ja jestem jak magnes. Zbieram na siebie te troski, wątpliwości, problemy. Ja to potrafię. Ludzie myślą, że jestem dziwakiem, tylko dlatego, że nie dałem się zepchnąć z mojej własnej drogi, ani wtedy, gdy była przyjemna, ani wtedy, gdy bolała. Nigdy nie daj sobie wmówić, że jest inaczej, niż czujesz. Nie daj się otumanić. Niezależnie od ceny, którą trzeba zapłacić. Tak... Przecież widzę, że cię coś trapi, kobieto.

Otworzyłam usta, żeby grzecznie zaprzeczyć i uwolnić się od jego obecności, ale palce zacisnęły się wokół mojego ramienia.

– Nie wolno lekceważyć przeczuć. Ty się boisz. Boisz się szukać. Szukania nie trzeba się bać. Ale to, co znajdziesz... Czy dasz radę to unieść? Czy będziesz wiedziała, co w ogóle zrobić z tym, co odkryjesz?

Rozluźnił uścisk, z którego natychmiast wyswobodziłam ramię. Wciąż jeszcze czułam opuszki jego palców, jakby pozostawiły parzący ślad na mojej skórze. Pożegnałam się w popłochu. Prawie biegłam do miejsca, gdzie zostawiłam rower. Okazało się jednak, że już go tam nie było i padłam ofiarą kradzieży w najgorszym możliwym momencie. Czekał mnie więc spacer do domu. Długi spacer. Kiedy kwadrans później szłam ulicą Worp Tjaardastraat, parę metrów dalej po drugiej stronie zatrzymało się auto. Carl wysiadł i gestem dłoni dał mi znać, żebym przeszła, co uczyniłam niezwłocznie.

– Co ty tutaj robisz, Chantal?

– Ukradli mi rower – powiedziałam. Mój głos drżał z emocji, których nie chciałam pokazać.

– Ukradli? Jak to? Gdzie? – zapytał, wskazując mi drzwi od strony pasażera.

– Nieważne.

– Ale jesteś pewna? Może zaparkowałaś go gdzie indziej.

Przewróciłam oczyma i westchnęłam ciężko.

– Ukradli. Nie stał tam, gdzie go zostawiłam.

Zatrzasnęłam za sobą drzwi, które natychmiast odcięły nas od hałasu ruchu drogowego. We wnętrzu auta było przyjemnie chłodno i świeżo, jakby było hermetycznie zamkniętym światem, do którego nie przedzierał się zaduch i kurz z zewnątrz. Głos dziwnego mężczyzny wdarł się jednak nawet tam, łomocząc w moją głowę, choć spotkanie z nim wydawało się nagle tak surrealistyczne, że nie byłam nawet przekonana, czy naprawdę do niego doszło.

– Ale zabezpieczyłaś go? – Carl kontynuował przesłuchanie, gdy wsiedliśmy.

– Jak myślisz? – odparłam poirytowana, próbując odgonić się od niepokojących myśli, jakby były owadami, które tną uparcie.

– Chcesz to zgłosić od razu? Czy odwieźć cię do domu?

Wzruszyłam ramionami.

– Po co mam to zgłaszać? Przecież oboje wiemy, że przepadł. Chyba żaden skradziony rower w historii tego kraju nie wrócił do właściciela! Strata czasu!

– To odwiozę cię do domu – powiedział jakoś słabiej i zjechał z chodnika, włączając się do ruchu. – Evi dzwoniła dziś do mnie. Była na zakupach. Podobno nie miała nic odpowiedniego na sezon letni. Wpłaciłem jej trochę na konto, żeby mogła sobie coś kupić. Mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu.

Uniosłam brwi, oczyma duszy widząc szafę Evi, w której, o ile dobrze sobie przypominałam, niczego nie brakowało. Mnie przecież też mogła poprosić o pieniądze.

– Chyba nie będziesz się o to boczyć? – spytał głosem, który nagle nabrał lekkiej ostrości.

– Przecież nic nie mówię – odparłam nieco urażona. W aucie działała klimatyzacja. Było mi nagle bardzo zimno i miałam wszystkiego serdecznie dość.

Przez resztę drogi do mojego mieszkania milczeliśmy. Tak było lepiej. W każdej naszej rozmowie, nieważne, na jak bardzo trywialny temat, zawsze wyływały w końcu stare rozczarowania i nieporozumienia.

Nie zapraszałam go na górę, ale wysiadł i ruszył za mną, rozluźniając krawat. Na klatce panował przyjemny chłód. Gdy weszliśmy do mieszkania, okazało się, że Evi nadal nie było w domu. Otworzyłam przeszkłone drzwi wychodzące na balkon i ciepłe powietrze buchnęło do wnętrza. Carl stał na środku pokoju, trochę niezręcznie, co było do niego niepodobne. Próbowałam nie zwracać na to uwagi, moja głowa pulsowała nadal od nadmiaru wrażeń i emocji. Podałam mu szklanekę soku pomarańczowego z kostkami lodu, a sama udałam się pod prysznic. Ale nawet chłodna woda i mydło nie usunęły wrażenia, że opuszki palców tamtego mężczyzny odcisnęły ślad na moim ramieniu. Nie wspominając już nawet o jego słowach, których echo dogoniło mnie aż w łazience i których nie zagłuszył nawet szum wody. Prawie zapomniałam, że w pokoju czeka Carl. Kiedy wyszłam na korytarz, odświeżona i ubrana w czyste ubrania, przywitał mnie zapach kawy i grzanek z serem. Zastałam Carla w kuchni, rękawy koszuli miał podwinięte do łokci. Właśnie wyciągał z piekarnika ciepłe bułeczki z apetycznie roztopionym na nich serem, w którym zatopione były plastry pomidora i zielony szczypiorek. Jego miłość do niezbyt zdrowego żywienia zawsze mnie martwiła, ale ilekroć namawiałam go na kontrolę cholesterolu, wracał od lekarza, pokazując mi wzorowe wyniki badań krwi. Nigdy tego nie rozumiałam, organizm Carla zdawał się jednak z równą łatwością znosić jego nawyki żywieniowe, jak i stres związany z prowadzeniem własnego interesu. Czasem miałam wrażenie, że on je nie tylko tolerował, ale wręcz ich potrzebował do normalnego funkcjonowania.

– Nie musiałeś tego robić – powiedziałam, nie komentując bałaganu, który powstał w ciągu kwadransu w mojej kuchni.

– Wyglądałaś, jakby ci to było potrzebne. Siadaj, bo ci wystygną. Zagrzałem ci mleko do kawy. – Pamiętał dokładnie, że do popołudniowej kawy zawsze dodawałam mleko.

Zajął miejsce przy stole, a Carl usiadł naprzeciw mnie. Uniósł filiżankę do ust, nie spuszczać ze mnie wzroku.

– Zgłoszę twój rower jutro.

– Nie możesz zgłosić mojego roweru.

– Założysz się? – Uśmiechnął się szeroko tym beztroskim uśmiechem, w którym widziałam młodą kobietę sprzed wielu lat.

– Dziękuję – powiedziałam i wbiłam zęby w grzanek. Smak sera, pomidora i perfekcyjnie dobranych przypraw wypełnił moje usta. Poczułam się głodna.

– Słuchaj, Chantal. – Carl odstawił filiżankę kawy na stół. Przez chwilę obracał ją w palcach w kółko. – Źle to wyszło.

– Co konkretnie? – zapytałam. – Nasze małżeństwo? Życie? Czy tylko ostatnia rozmowa?

– Wszystko – powiedział i podniósł na mnie wzrok. – Wszystko źle wyszło. Nie tak, jak chciałem. Cokolwiek mówię, brzmi to lepiej w mojej głowie niż w moich ustach. Czasem odnoszę wrażenie, że masz mi ciągle coś za złe, że we wszystkim, co powiem, doszukujesz się

jakiegoś dowodu na moje błędy.

– Carl, ja... – próbowałam mu przerwać, ale uniósł dłoń, uciszając mnie.

– Za każdym razem, gdy rozmawiamy o Evi, dochodzi między nami do kłótni. A przecież nigdy nie twierdziłam, że jesteś złą matką. Nigdy! Wszystko, co powiedziałem, nie miało być skierowane przeciw tobie. Czasem nawet nie wiem, skąd się biorą te kłótnie. Po każdej z nich jeszcze długie tygodnie od nowa odgrywam w głowie naszą wymianę zdań, żeby odkryć ten punkt, w którym wszystko obraca się w tę samą burzę. Chantal, ja tylko pragnę, żebyśmy zostawili to już za sobą. Choroby, lęki, kłótnie, niesnaski. Chyba wszyscy zasługujemy na odrobinę normalności, wytchnienia.

Nigdy nie daj sobie wmówić, że jest inaczej, niż czujesz. Nie daj się otumanić.

Grzanka w moich ustach zmieniła się w kawałek drewna, który próbowałam z trudem przeżuć. Moja drżąca dłoń sięgnęła po filiżankę kawy. Aromatyczny płyn wypełnił moje usta. Musiałam myśleć trzeźwo. Zdecydować się na coś. Tu i teraz.

– Carl... – zaczęłam ponownie, ale wtedy wyjął z marynarki wiszącej na poręczy krzesła bilety, które położył między nami na stole. – Co to jest? – spytałam.

– To są trzy bilety lotnicze do Prowansji. Na koniec sierpnia, dopiero wtedy mogę sobie pozwolić na wakacje. Chcę, żebyśmy polecili we troje. Spróbowali przynajmniej.

– Czy Evi o tym wie?

Pokręcił głową.

– Nie, jeszcze nie, to ma być niespodzianka.

Dziwne, ale oczyma duszy zobaczyłam nas spacerujących wśród malowniczych lawendowych pól z małą Evi, której loki unosi ciepły wiatr. To była iluzja, która jak kolorowa mgła przysłaniała mi realny obraz rzeczywistości. Chciałam się nią otulić, osłonić od chłodu. Chwycić się jej i pozwolić ponieść. Chciałam się dać otumanić. Było jednak za późno.

– Carl, ja... Ja jeszcze nie mogę zostawić tego za sobą.

– Słucham? – Nie wiem, czy wydawał mi się bardziej zaskoczony, czy zmęczony.

– Nie mogę tego jeszcze zostawić. Potrzebuję więcej czasu.

Jego usta poruszały się bezdźwięcznie, a potem pokiwał głową. Podniósł się i wziął marynarkę z poręczy krzesła. Oboje nie byliśmy w stanie spojrzeć sobie w oczy.

Ruszył w stronę wyjścia, ale zatrzymał się w drzwiach kuchni.

– Nie wiem, ile czasu potrzebujesz, Chantal. Pamiętaj jednak, że nie mamy go aż tak wiele.

Kiedy opuścił mieszkanie, schowałam twarz w dłoniach i rozpłakałam się. Bilety lotnicze nadal leżały na stole obok jego niedopitej filiżanki kawy. Cena, którą trzeba zapłacić.

Evi Brouwer

SIEDZIAŁYŚMY W AUCIE W CAŁKOWITYM MILCZENIU. Ona zajmowała miejsce kierowcy, ja fotel pasażera. Nic do mnie nie mówiła, nie byłam nawet pewna, czy wie, że tam jestem. Nagle nie śmiałam się poruszyć, jakbym bała się, że ją wystraszę swoją nieproszoną obecnością. W jakiś niezrozumiały sposób czułam, że nie byłam na swoim miejscu. Za szybami panowała ciemność. Nie potrafiłam nawet stwierdzić, czy jedziemy, czy nadal stoimy. Odnosiłam wrażenie, że czekamy wieki, choć nie byłam pewna na co. Narastał we mnie niepokój i miałam to niewyjaśnione poczucie, że coś się zbliża w tej ciemności. Wnętrze auta wydało mi się nagle hermetycznie zamkniętą szklaną kulą, w której mój własny oddech i rytm bijącego serca rozbrzmiewały nienaturalnie głośno, odbite echem od ścian. Ich zwielokrotniony dźwięk wypełniał przestrzeń. I wtedy zniemacka rozbłysło światło samochodowych lamp. W ich długich smugach, przecinających ciemność, zobaczyłam męską postać, powoli zbliżającą się w naszą stronę. Pochyliłam się lekko do przodu, próbując dojrzeć jego twarz, lecz nim podszedł na tyle blisko, bym mogła ją zobaczyć, światła zgasły, a ja otworzyłam oczy. Poczułam ciepło pod nosem i uniosłam palce do twarzy. W pokoju było szarawo. Usiadłam na łóżku i pocierając nos, sięgnęłam do lampki nocnej, której blask wypełnił przestrzeń. Spojrzałam na moją dłoń umazaną świeżą krwią i na poduszkę, na której plama z krwi patrzyła na mnie purpurowym okiem.

Ślady nocnego incydentu usunęłam, nim mama wstała. Była niedziela, ale zamiast się wyspać, wierciłam się w łóżku niespokojnie, czekając, aż będzie pora wstawać. Przeglądałam nowe posty na Facebooku. Przed oczyma mignęło mi zdjęcie umieszczone przez Toby'ego. Zdał egzamin na prawo jazdy. Stał trochę niepewnie na tle auta, z poważną twarzą ozdobioną piegami, które w lecie zawsze były bardziej widoczne. Mój palec zawisł chwilę nad ikonką niebieskiego kciuka, ale zamiast polubić zdjęcie, zjechałam w dół, próbując wymazać je z pamięci.

W głowie starałam się wymyślić jakiś dobry plan na popołudnie. Musiałam wyrwać się z domu na plażę i sprawiać wrażenie, że ledwie mi się to udało i nie miałam czasu na zabranie bikini.

O ósmej trzydzieści zrzuciłam kołdrę i wyszłam do pustej kuchni. Zaparzyłam mamie kawę ze świeżo zmielonych ziaren i przygotowałam śniadanie tak, jak lubiła najbardziej. Bułeczki z piekarnika, ser, jagody, kawałki pomarańczy, której sok spływał mi aż po łokcie, gdy ją obierałam. Wkrótce usłyszałam szuranie i drzwi sypialni mamy otworzyły się powoli. Była zaskoczona, widziałam to po jej uśmiechu. Z dziwnym ukłuciem wstydu zdałam sobie sprawę, że nie pamiętam, kiedy się tak do mnie ostatnio uśmiechnęła. Miała jednak dziwne czerwone kręgi wokół oczu, jakby długo płakała. Apetyt również niezbyt jej dopisywał, jadła raczej po to, by zrobić mi przyjemność. Karol siedział w drzwiach kuchni i patrzył na nas z lekką pogardą, typową dla kotów. Jakoś nie potrafiłam wzbudzić w sobie nawet odrobiny sympatii dla tego stworzenia, które zdawało się w milczeniu knuć coś przebiegle.

- Evi, chcę dziś po południu wyskoczyć do Charlotte. Mogę pożyczyć twój rower?
- Co? – Uczucie paniki wezbrało we mnie w ułamku sekundy. – Mój rower? Ale...

– Mój ukradli wczoraj, pech, a piechotą to spory kawałek.

Włożyłam do ust jagody i żując je, próbowałam opanować złość i wymyślić coś na poczekaniu, żeby ocalić mój i tak wąty plan.

– Ale ja go potrzebuję.

– Wybierasz się dokądś? Nic mi nie mówiłaś.

– Bo nie wiedziałam. Jakoś tak spontanicznie wyszło. Umówiłam się z Iloną i Sanne. Chcemy jechać na plażę.

– Na plażę? Którą?

– De Potten. To całkiem blisko. W sam raz na przejażdżkę rowerową.

– No dobrze, tylko pamiętaj, żebyś nie siedziała w pełnym słońcu. Te upały są bardzo obciążające dla serca.

– Mamo, przecież wiem... – odparłam. Prawda była taka, że całe moje ciało łaknęło ciepłych promieni słonecznych.

– Może rodzice Sanne mogliby was podrzucić i odebrać?

Z moich ust wyrывa się westchnienie nabrzmiałe irytacją. Kłamstwa płyną wartko.

– No nie mogą właśnie, mają jakieś rodzinne przyjęcie urodzinowe. I to daleko. W Rotterdamie.

– To Sanne ma rodzinę w tej części Holandii? W ogóle nie wiedziałam. – Dociekania mamy wydają się nie mieć końca.

– Ja też nie, ale widać mają.

– Tata nie może cię zawieźć? – rzuciła niby od niechcienia mama.

– A ciebie nie może? – odcięłam się nagle, nie potrafiąc dłużej ukryć irytacji. Odsunęłam talerz z niedojedzoną bułeczką i wyszłam do pokoju, z impetem zamykając za sobą drzwi. Mignęła mi w przelocie moja własna twarz w lustrze, stężała złością i wykrzywiona grymasem. Ukryłam się w pokoju, chyba nie przed mamą, lecz przed sobą i przed wstydem. Jak to się stało, że dawałam się targać tym wszystkim emocjom?

Dojechałam na plażę po siedemnastej, celowo spóźniona, wiedząc, że wszyscy siedzą już tam od godziny. Dojechanie rowerem z centrum miasta zajęło mi około dwudziestu minut. Mimo popołudniowej pory parking był niemal pełen, choć widziałam rodziny z dziećmi pakujące się do domu. De Potten było niewielką plażą nad jeziorem Snekermeer, często odwiedzaną przez mieszkańców miasta. Ta część akwenu wydawała się mała w porównaniu z obszernymi wodami, na które wpływało się przesmykiem. Zaparkowałam rower pod jednym z licznych drzew i ruszyłam przez rozległy trawnik, rozglądając się w poszukiwaniu Sander'a i całej reszty. Kluczyłam między plażowiczami rozłożonymi na trawie lub piachu. Bransoletki, niegdyś kupione na straganie, dzwoniły, wydając metaliczny dźwięk, i połyskiwały w słońcu. Miałam na sobie całkowicie nową krótką letnią spódniczkę z falbanami, której biel niemal oślepiła w jaskrawym słońcu, i pomarańczowy T-shirt z nadrukiem. Czułam się bardziej przebrana niż ubrana, ale ponieważ nie mogłam założyć bikini, chciałam wyglądać wyjątkowo w inny sposób. Usłyszałam za sobą gwizd podziwu i obejrzałam się lekko speszona. Sander szedł w moim kierunku. W dłoni niósł opakowanie z puszkami piwa. Miał na sobie jedynie krótkie, kolorowe spodenki. Szeroki uśmiech rozjaśnił jego twarz. Nawet ten lekko ułamany ząb dodawał mu uroku. Wolną dłonią zdjął z nosa okulary przeciwsłoneczne i przejechał oczyma po moim ciele, które, jak zawsze na jego widok, zdążyło już na ruszyć na pełnych obrotach z produkcją

adrenaliny i endorfin.

– Dziewczyno, masz nogi do samej ziemi. – Mrugnął i podszedł na tyle blisko, że poczułam jego zapach. – Więc jednak się wyrwałaś.

Skinęłam jedynie głową. Moje gardło było nagle tak suche, że żaden przyzwoity dźwięk nie mógł się z niego wydostać.

– Chodź, mała. Dam ci zimnego piwa.

Ruszyliśmy razem przez plażę. Szliśmy pasmem piachu tuż nad wodą, więc zdjęłam klapki i niosłam je w dłoni. Z daleka rozpoznałam głos Arjena. Był podpity i wykrzykiwał coś, na przemian wybuchając głośnym śmiechem. Jego czarne bmw stało zaparkowane na drodze żwirowej z drugiej strony brzegu jeziora. Z wnętrza auta dochodziła muzyka. Nie było tu piachu, jedynie trawa i drzewa. Pod jednym z nich na kocach i ręcznikach siedziała grupa ludzi, w kierunku której zmierzaliśmy. Co jakiś czas z pobliskiego brzegu dobiegały plusk wody, wrzaski i popiskiwanie. Kiedy podeszliśmy do rozłożonych na trawie koców, Sander rzucił puszki z piwem. Finn siedział tyłem do nas, oparty o pień drzewa, z nieodłącznym notatnikiem i ołówkiem w ręce. Jakaś nieznana mi dziewczyna w jaskraworóżowym bikini z pasją żuła gumę, leżąc płasko na pasiastym, kolorowym ręczniku. Rzuciła krótkie powitanie między młalszymi. Reszta towarzystwa siedziała trochę dalej, popijała piwo, paliła papierosy i próbowała rozmawiać, przekrzykując muzykę. Sander nie starał się mnie nikomu przedstawiać. Zresztą nikt nie zwracał uwagi na moje nagłe pojawienie się. Odgarnęłam włosy z twarzy. Moje bransoletki zabręczały dźwięcznie. Coś dziwnego się wtedy stało. Finn obrócił się jak rażony prądem. Wbił we mnie wzrok i miałam wrażenie, że widzi mnie po raz pierwszy. Jego oczy utkwione w mojej twarzy zdawały się ogromne i pełne niemego przerażenia. Dopiero wtedy zobaczyłam, że mają ten dziwny kolor bursztynu, w którym uwieszone są promienie słoneczne. To był krótki moment konsternacji, może parę sekund, gdy nie mogliśmy oderwać od siebie oczu. Moja dłoń zawisała w powietrzu. Wiedziałam, że coś we mnie zobaczył, choć w tamtej chwili wyczuwałam w nim jedynie mieszankę strachu i złości, która w dziwny sposób paraliżowała mnie, uniemożliwiając jakiś sensowny ruch.

To Sander wyrwał nas ze stanu osłupienia. Trzepnął Finna po głowie tak, że chłopak skulił się lekko.

– Co ty, kurwa, ducha zobaczyłeś? – Roześmiał się i rzucił mu puszkę piwa, którą Finn złapał niezdarnie. Zerknął na mnie jeszcze raz, jakby chciał się upewnić, że to na pewno ja. Próbowałam unikać jego spojrzenia i jak najszybciej otrząsnąć się z poczucia, że zrobiłam coś bardzo niewłaściwego.

Sander otworzył puszkę piwa i rozsiadł się na kocach, pociągając mnie za sobą. Wolałam pójść bliżej jeziora, jak najdalej od pochmurnej twarzy Finna, który ponownie pochylił się nad swoim notatnikiem. Zauważyłam, że Sander ewidentnie unikał zaglądania do tego zeszytu. Przypuszczałam, że po prostu szanował prywatność chłopaka. Po części dziwiłam się jednak, że żartuje z wszystkiego, ale nigdy nie wspomina owego bloku. Zresztą Finn zwykle trzymał się na poboczu i w cieniu wszelkich zdarzeń. Nieodłączny notatnik zdawał się niemal częścią jego ciała.

Sander podał mi puszkę.

– Pij, mała, gorąco jest.

Moja mama doznałaby szoku, gdyby mnie wtedy zobaczyła. Nie chciałam o niej myśleć, a jednak wracała do mnie w tamtej chwili, gdy ubrana w krzykliwe ciuchy brałam puszkę piwa

z dłoni Sandera. Nie byłam córką, której oczekiwała. Nie byłam Evi, którą znała. Którą ja sama znałam.

– Ale jesteście rozmowni. – Sander położył się na kocu obok mnie i wyjął z kieszeni spodenek paczkę papierosów. Mrugnął do mnie i zaśmiał się lekko.

Wysiliłam się na uśmiech. Kiedy jego postać znajdowała się w zasięgu mojego wzroku, wszystkie rozsądne myśli czmychały, jakby nigdy ich nie było. Sander wsunął dłoń pod moją bluzkę. Obserwowałam zamieszanie panujące na brzegu jeziora. Woda mieniła się srebrzyście w promieniach słońca. Jej kropelki rozbryzgiwały co chwila, gdy kolejni plażowicze wskakiwali z rozpędem w jej toń. My siedzieliśmy w cieniu drzewa, choć moja skóra pragnęła światła, ciepła i chłodu wody. Sander wypalił papierosa, dopił piwo dużymi haustami i unosząc się na łokciach, powiedział, jakby czytał moje myśli:

– Wskakuj w bikini, mała.

– Nie mam bikini. Mówiłam ci, że będę na urodzinach cioci i nie wiem, czy dam radę się wyrwać. – Próbowałam nie dać po sobie poznać, że zalewa mnie fala wszechogarniającej paniki.

Zerknął na mnie lekko urażony, ale szybko znów się rozpromienił.

– Ale bieliznę chyba masz pod tą krótką spódniczką? – zamruczał i jego dłoń powędrowała w górę wzdłuż mojego uda.

Kątem oka zauważyłam, że ramiona Finna, siedzącego do nas tyłem, uniosły się nieznacznie, jakby próbował tłumić westchnienie. Mogłam się oczywiście mylić, choć oczyma wyobraźni zobaczyłam momentalnie jego gniewne bursztynowe spojrzenie. Nie żeby mnie to obchodziło. Wszystko, ale na pewno nie to.

– Nie ma mowy, nie będę paradować w bieliźnie po plaży.

– No dobra – powiedział, podnosząc się. Podał mi dłoń, a kiedy wstałam, rzucił się nagle, chwytając mnie w pasie. – To zrobimy z ciebie miss mokrego podkoszulka!

Nim zdążyłam zareagować, moje nogi dyndały w powietrzu w drodze ku błękitnej toni jeziora. Odruchowo zacisnęłam ramiona wokół szyi Sandera i sekundę później z impetem zanurzyliśmy się w chłodną wodę. Zapiszczałam w reakcji na nagłą zmianę temperatury. Śmiałyśmy się głośno jeszcze po tym, jak udało mi się wyjść na brzeg. Mokre ubrania lepiły się do mojego ciała. Byłam z jednej strony przerażona tym faktem, z drugiej całkowicie rozbawiona. Nie umknęło mojej uwadze to wygłodniałe spojrzenie Sandera, którym obrzucił mnie, gdy stałam na trawie, wyciskając wodę z włosów.

Nie wróciliśmy na koc w cieniu drzewa, lecz usiedliśmy na mokrej ziemi w pełnym słońcu, czekając, aż jego promienie wysuszą nas i ogrzeją. Opuszki moich palców nadal pamiętały ciepło jego skóry i kształt ramion. Odwróciłam wzrok, opanowując wzbierające podniecenie. Jakiś czas potem wróciliśmy na koce, gdzie zrobiło się zamieszanie. Otwierano kolejne puszki piwa, paczki chipsów, wokół krążyły papierosy i jointy. Muzyka dudniła z głośników auta. Próbowałam wdać się w jakąś bezwartościową i płytką rozmowę z obecnymi dziewczynami, gdy Sander dołączył do grupki chłopaków, którzy rozgrywali mecz piłki siatkowej. Staralam się podążać za ich rozmową, ale kątem oka obserwowałam Sandera. Widziałam, jak odbija się i wyskakuje w górę, jak jego ciało wygina się i napręża w wysiłku.

– No, ale rzucił ją czy nie? – zapytała dziewczyna z gumą do żucia.

– Tak, ale jaka była afera! Umieścił na jej profilu jakieś nagie fotki z tamtej imprezy, które ona kasowała od razu. Wysłał do wszystkich jej znajomych wiadomość, że jest zdziwą i sypia

z kim popadnie. Jej matka niestety też się o tym dowiedziała. A jej ojciec, jak mówiła Annelies, poszedł na policję i złożył zawiadomienie o zniesławieniu. Podobno zatrudnili adwokata – opowiadała, będąc podekscytowaną, dziewczyna z tatuażem na ramieniu. Miała długie ciemne włosy splecione w gruby warkocz.

– O cholera, będzie miał przesrane. Przecież on ma już coś na koncie i kartotekę policyjną – dodała asymetrycznie obcięta blondynka w czarnym kostiumie kąpielowym.

Ta z gumą do żucia pokręciła głową z niedowierzaniem i wydeła usta.

– Jasne, daj spokój. On ma tyle kasy, że nic mu nie zrobią. Tatuś zapłaci komu trzeba.

– Ja słyszałam, że ona się pocięła, jak zaczęły wypływać te zdjęcia – wtrąciła się dziewczyna z fioletowymi pasemkami i kolczykiem w nosie. Co jakiś czas odklejała wzrok od wyświetlacza telefonu, po którym śmigały zwinnie jej palce.

– Też bym się, kurwa, pocięła. – Ta z gumą mlasnęła, po czym odwróciła się do mnie. – Ty jesteś z Sanderem?

Kiwnęłam głową, lekko zażenowana, że mnie zauważyły.

– OK – mruknęła.

Ta z tatuażem przyjrzała mi się uważnie.

– Strasznie przypominasz tę poprzednią.

– Brittę. – Pokiwała głową ta z asymetryczną fryzurą, podnosząc głowę znad telefonu. – Wysłała do mnie kiedyś wiadomość, ale czy jej się wydaje, że Sander będzie na nią pięć lat czekał? Lepszy wróbel w garści niż gołąb na dachu. Bez obrazy, no nie? – Jej uśmiech był lekko wymuszony. Czulałam, że się czerwienię.

– I tak się szybko pozbierał po tym wypadku – rzuciła ta z tatuażem.

– Co się dziwisz? Faceci. – Dziewczyna z gumą mlasnęła pogardliwie, choć jeszcze kwadrans wcześniej widziałam, jak łasi się do jednego z nich.

Otworzyłam usta, żeby zapytać, co mają na myśli, ale dokładnie wtedy czyjeś spocone, gorące ramiona objęły mnie w pasie. Sander opadł na trawę obok mnie, dysząc ciężko.

– Plotkujecie, co? – Uśmiechnął się szeroko. Jego ramiona obejmowały mnie ciasno. – Komary zaczynają ciąć. Wracamy niedługo, tylko się przepłynę.

Po jakimś czasie koce, ręczniki i torby zostały zebrane i ruszyliśmy całą grupą w stronę aut. Bez trudu rozpoznałam czarny volkswagen Sandera. Otwierano drzwi i bagażniki. W zamieszaniu wokół wylapałam spojrzenie Sandera. Był podpity, jego oczy skrzyły się jakimś ogniem. W pewnym momencie podszedł bardzo blisko i popchnął mnie lekko tak, że moje ciało utknęło między nim a maską auta. Podniósł mnie i posadził na niej. Moja już przykrótką spódnica podciągnęła się jeszcze wyżej, odsłaniając uda aż do pośladków. Wiedziałam, że robił to celowo na oczach innych, widowisko, które mieli podziwiać. W jakimś dziwnym odruchu moje ciało wiedziało, co miało robić, odgrywało jakiś znany mu schemat. Oparłam boscie stopy na zderzaku. Przycisnęłam kolana do jego bioder. Przez cienki materiał majtek czulałam, jak napał na mnie swoim ciałem. Moje dłonie zsunęły się po nagim torsie Sandera, by spocząć na jego twardym brzuchu. Wsunęłam kciuki za pasek spodni chłopaka. Pocałował mnie tak głęboko, że przez chwilę zabrakło mi powietrza w płucach. Zaraz potem objął moją talię ramieniem i postawił mnie na ziemi jak trofeum, które zdobył. Obciągnęłam przykrótką spódniczkę i odgarnęłam z twarzy kosmyki włosów. Ruszyłam w kierunku miejsca pasażera i kiedy pociągnęłam za klamkę, mignęła mi przed oczyma stężała w niemej złości twarz Finna. Sander

obserwował wszystko z szerokim uśmiechem. Najpierw zawahałam się, by w końcu rzucić Finnowi wyzywające spojrzenie. Wsiadłam i zatrzasnęłam za sobą drzwi. Kiedy usiadłam na siedzeniu pasażera, ogarnęło mnie poczucie, że zajęłam czyjeś miejsce, nie tylko w tym aucie. Ile dziewcząt siedziało tu przede mną? Którą z kolei byłam? I na jak długo to miejsce pozostanie moje?

Auto było nagrzane słońcem, jego wnętrze nieźnośnie parne i pozbawione tlenu. Sander otworzył drzwi od strony kierowcy i pochyliwszy się, rzucił mi kluczyki od auta.

– Otwórz okna, mała, ja wrzucę twój rower.

– A Finn?

– Finn pojedzie z Arjenem.

Kiedy odwróciłam wzrok, Arjen stał obok swojego auta z jedną ręką zarzuconą na ramiona Finna, drugą zaś targając jego włosy. Finn próbował wyswobodzić się z uścisku. Rozległ się huczny śmiech i wszyscy powoli zaczęli wsiadać do aut. Sander opuścił oparcia tylnych siedzeń i wrzucił mój rower na tyły volkswagena. Kiedy wsiadł i przekręcił kluczyk, nie byłam w stanie nawet zastanawiać się nad tym, jak będzie prowadził po tej ilości piwa, którą wypił. Tętniła we mnie czysta adrenalina.

– Finn mnie nie lubi – powiedziałam, kiedy ruszyliśmy z parkingu przy plaży.

Sander popatrzył na mnie z rozbajającym uśmiechem i wzruszył ramionami.

– Finn nie lubi nikogo, nawet siebie.

– Ciebie lubi – powiedziałam i zabrzmiało to prawie jak wyrzut.

– Nie jestem tego taki pewien – odparł. Otworzył usta, jakby chciał coś dodać, ale zrezygnował. Odezwał się dopiero po chwili. – Zależy ci, żeby cię lubił?

Nie odpowiedziałam na to pytanie. Przed oczyma nadal miałam jego pochmurne spojrzenie. Jakaś część mnie wiedziała, że te wszystkie dziewczyny, które siedziały niegdyś w tym fotelu, nie miały znaczenia. Ich już nie było. Miejsce, które zajęłam, należało do Finna.

Chantal Simons

JEST TAKI MOMENT TAMTEJ NOCY SYLWESTROWEJ, któremu odmawiam prawa do życia w mojej głowie. Wspomnienie tak bolesne, że skazałam je na wygnanie z pamięci. A jednak wróciło, uderzając w moje wnętrzości jak ostry nóż.

Evi leżała na sofie. Karol mruczał wtulony w nią. Czułam jej chłodne stopy pod moimi udami. Położone na stole pudełko z ledwo napoczętą pizzą przypominało mi straszną rzeczywistość, podczas gdy migoczący obraz telewizora pokazywał roześmianych ludzi, z nadzieją oczekujących na Nowy Rok. Nadzieją, która wyciekała ze mnie powoli, pozostawiając przerażającą pustkę.

Myślałam, że Evi śpi, dopiero po chwili zauważyłam, że patrzy na mnie sponad koca, którym była otulona. Położyła swoje palce na mojej dłoni i powiedziała cicho, nie spuszczając ze mnie oczu.

– Mamo? Jak myślisz, jak to jest umierać?

Moje serce ścisnął bolesny skurcz.

– Evi, nie będziemy przecież o tym rozmawiać... – zaczęłam, próbując odepchnąć od siebie myśli, które skłębiły się w mojej głowie jak ciemne chmury zwiastujące śnieżny sztorm. Nie mogłam spojrzeć jej w oczy. Obawiałam się że zmusiłoby mnie to do konfrontacji z najstraszniejszym z moich demonów: stratą.

Ona jednak ścisnęła moje palce gwałtowniej i powtórzyła z naciskiem.

– Ale jak myślisz?

Nasze demony boją się własnych imion. Spojrzałam w błękitne oczy Evi i zobaczyłam w nich cień strachu. Wtedy zrozumiałam, jak egoistyczna była moja próba ucieczki od tego tematu. Tak, to ja byłam matką, która musiała pogodzić się z faktem, że najgorszy ze scenariuszy zbliżał się nieubłaganie. Ale to ona, moja córka, miała zmierzyć się z nim sam na sam. Ja natomiast zamiast ją wspierać, odpychałam od siebie każdą myśl o tym, co miało nastąpić. Odmawiałam stawiania czoła faktom, uparcie próbując wierzyć, że jeśli nie wypowiem tych słów na głos, one nigdy się nie zmaterializują. Śmierć. Strata. Pożegnanie. Demony o wykrzywionych grymasem bólu twarzach. Odmawiałam nazwania ich, ale nie tylko. Odbierałam mojej córce prawo do przygotowania się na spotkanie z nimi.

W jej oczach malowało się niewypowiedziane błaganie. Wiedziałam, że potrzebuje zapewnienia, że nie będzie sama, że nie będzie cierpiała. Przełknęłam więc własny strach i ból, wzięłam głęboki oddech i oplotłam palcami jej chłodną dłoń.

– Myślę, że umieranie przypomina zasypianie. Zapadasz w sen i podobnie jak we śnie, gdy w końcu otacza cię ciemność, niczego nie jesteś już świadoma. Różnica jest jedynie taka, że z tego snu już się nie budzimy.

Czułam, jak jej dłoń powoli rozluźnia się pod moimi palcami. Odwróciła głowę i przez chwilę w milczeniu śledziła obrazy na ekranie telewizora. Kiedy odezwała się ponownie, jej głos był spokojny.

– Nie boję się umierania. Tylko samotności.

Naprawdę chciałam coś wtedy powiedzieć. Zmusić moje zaciśnięte do bólu gardło, by uwolniło słowa. Nigdy nie będziesz sama. Nie opuszczę cię. Nie zostawię. Nie dopuszczę, byś cierpiała. Nie pozwolę ci odejść. W tamtej chwili żadne z tych kłamstw nie przeszło mi jednak przez usta. Wplotłam więc jedynie swoje palce między chłodne palce Evi i ucisnęłam je ze smutnym uśmiechem. Jestem przy tobie. To była jedyna prawda, jaką znało moje serce.

W niedzielę, po dość nieprzyjemnej porannej wymianie zdań, Evi nie wyszła już z pokoju. Wzięłam więc prysznic, ubrałam się i z braku innego środka lokomocji udałam się pieszo do mojej siostry.

W domu Charlotte było gwarno. Tętniło życie rodzinne. Britta wróciła ze studiów, by spędzić tu wakacje. Gęste, jasne włosy zebrane w luźny, wysoki kok sprawiały, że jej zwykle dziewczęca twarz nabrała bardziej kobiecego wyrazu. Miała na sobie wzorzystą krótką sukienkę. Max z kolei zdawał się rosnać w zastraszającym tempie i coraz bardziej przypominał swojego ojca. Dina, najmłodsza z rodzeństwa, z dziewczynki zmieniała się w podlotka. Nie spodziewano się mnie, jednak zostałam, jak zawsze, przyjęta, jakbym nigdy nie wychodziła. Nakryto do stołu na niedzielny lunch i wkrótce po domu rozszedł się zapach świeżo pieczonych bułeczek. Na patelni skwierczały omlety ze szczypiorkiem, Dina myła liście sałaty zerwane z grządki, Wouter parzył kawę i rozlewał sok wyciśnięty z pomarańczy do szklanek.

– Max, żadnych telefonów przy stole – upomniał syna, gdy ten z oczyma wlepionymi

w komórkę usiadł na krzesło.

– Wiem przecież, tylko skończę pisać z Thomasem.

Wkrótce wszyscy siedzieliśmy przy stole. Wiklinowy kosz z bułeczkami krążył wokół. Rozmawiano o planach na popołudnie i o wakacjach. Jedynie ja i Britta byłyśmy milczące.

– Masz już wakacje? – zapytałam ją w końcu. – Wszystkie egzaminy zdane?

Skinęła głową, nie patrząc mi w oczy.

– Wróciłam w piątek. Został mi jeden egzamin do powtórki we wrześniu. Choć nie wiem, czy do niego podejść.

– Jak to? – Wouter zainteresował się nagle naszą rozmową i popatrzył na córkę uważnie. – Przecież musisz zdać wszystko, żeby w pełni zaliczyć rok. Prawda?

Britta odłożyła nóż na talerz i oblizwała usta.

– Bo ja... nie wiem w sumie, czy chcę wracać na studia.

– Nie rozumiem, jak to nie wiesz, czy chcesz kontynuować studia? – Wouter pochylił się lekko i skupił całą uwagę na córce. Charlotte również odstawiła swoją filiżankę.

– Normalnie. Nie wiem. Cały rok tylko wkuwam jakieś pierdoły, które nie będą mi potrzebne w przyszłości. I do tego czekają mnie jeszcze cztery kolejne lata, a potem co? Dyplom i prawniczy kołowrotek do grobowej deski?!

– Tu nie chodzi tylko o dyplom, ale o twój wkład w rozwój społeczeństwa, o twoją niezależność finansową, o samodzielność i bezpieczną przyszłość – zaoponował Wouter. Max westchnął lekko i zerknął na wyświetlacz telefonu, korzystając z nieuwagi ojca.

– Ale, tato, o czym ty mówisz?! To jest jakaś paranoja! A co, jeśli ja uważam, że comiesięczna wypłata i gwarancja emerytury nie są szczytem moich marzeń? – Britta uniosła się lekko na swoim krześle.

– Nikt nie mówi, że muszą być! Oczywiście, że powinnaś mieć inne marzenia! Ale trzeba mieć je za co spełniać!

Zapadła cisza, Britta patrzyła pochmurno w talerz. Po chwili Wouter uspokoił się i jako pierwszy podjął dalszą rozmowę.

– Britta, słuchaj, nie pracowałam przecież tak ciężko cały rok po to, żeby teraz zrezygnować. Wakacje dopiero się zaczęły, odpoczniesz i zobaczysz wszystko w innym świetle.

Pokręciła głową.

– Za późno, tato, ja już podjęłam decyzję.

– Chyba nie mówisz tego poważnie?! – podniósł głos. – To co chcesz robić w najbliższym czasie, pracować i spłacić nam pieniądze włożone w pierwszy rok twoich studiów?

– Wouter. – Charlotte uniosła dłoń i położyła ją na jego ramieniu.

Zapanowała krótka cisza.

– Nie to chciałem powiedzieć. – Wouter popatrzył na córkę i jego spojrzenie zmiękło. – Wiem, że jesteś zmęczona. Pierwszy rok studiów był na pewno intensywny, ale nie powinnaś poddawać się przy pierwszej przeszkodzie.

– Tu nie chodzi o zmęczenie i przeszkody, tato. Ja po prostu zmieniałam priorytety.

– Na jakie?

– Nie chcę marnować młodości na naukę tego, co nudne. Jest tyle ciekawszych rzeczy do odkrycia.

– I zaprzepaścić to, na co tak ciężko pracowałam?

– Mama też swego czasu zmieniła priorytety, zaprzepaściła karierę i wybrała coś innego.

Spojrzałam na Charlotte, która przypatrywała się w milczeniu swojej córce. Po jej ustach błędził lekki uśmiech. Britta nie zawsze była łatwym dzieckiem, ale nigdy nie usłyszałam od Charlotte słowa skargi.

Wouter pokiwał głową.

– Ale mama skończyła to, co zaczęła. I jeśli zechce, ma do czego wrócić. Rozumiesz to, prawda? Skazujesz się na dość niestabilną sytuację życiową, rezygnując ze studiów.

– Pozostając na studiach, skazuję się na lata straconego czasu.

Wouter westchnął. Obserwowałam ich rozmowę, choć to nie same słowa najbardziej mnie dotyczyły, lecz sposób, w jaki prowadzili dyskusję, próbując przedstawić drugiej stronie swoje racje i zrozumieć się nawzajem.

– Myślę, że powinnaś dobrze to przemyśleć, zdecydować, czego chcesz, używając głowy i rozumu, a nie emocji i serca.

– Może to jest właśnie cały problem. Wszystkim wydaje się, że racjonalizowanie pragnień i zamierzeń pomoże nam je zrealizować, podczas gdy okazuje się, że jest zupełnie inaczej. Czytałam ostatnio, że w tej kwestii to właśnie mózg przegrywa z sercem. Według niedawno przeprowadzonych badań serce jest najsilniejszym generatorem pola elektromagnetycznego. Podobno sześć tysięcy razy silniejszym niż mózg.

Wouter ściągnął brwi, jakby nie mógł nadążyć za Brittą. Ja nie miałam tego problemu. Zdrętwiałam pod wrażeniem jej słów.

– Ale co to ma do rzeczy...? – ponownie podjął rozmowę Wouter, przerwałam mu jednak szybko i zwracając się do Britty, położyłam swoją dłoń na jej nadgarstku.

– Poczekaj, możesz powtórzyć to, co powiedziałaś?

– Powiedziałam, że serce jest najsilniejszym generatorem pola elektromagnetycznego.

– Co to konkretnie oznacza? – zapytałam, czując, jak moje własne serce przyspiesza, a uwaga skupia się wyłącznie na słowach Britty, która uprzednio rzuciwszy ojcu przelotne spojrzenie, zwróciła się do mnie.

– To dość proste. Do niedawna uważano, że świadomość mieści się jedynie w mózgu. Badania neurokardiologiczne odkryły jednak, że serce ma swój własny skomplikowany system nerwowy, który pozwala mu zapamiętywać, uczyć się i podejmować decyzje niezależnie od mózgu. Mówi się nawet o tym, że serce uznawane jest obecnie za wyrafinowany i wysoce złożony system z własnym „mózgiem”. Pojęcia takie, jak intuicja, energia, wibracje nabierają w tym świetle nowego znaczenia. Zresztą dużo jest o tym teraz w internecie i jak ciocia zechce, to mogę pogrzebać. – Odwróciła się do Woutera. – To właśnie próbowałam powiedzieć, tato. To jest to, co mnie interesuje.

Dałam sobie parę chwil, żeby otrząsnąć się z informacji, po czym wstałam od stołu. Zarejestrowałam kątem oka uważne spojrzenie Charlotte.

– Przepraszam – powiedziałam, unikając jej wzroku. – Coś mi się przypomniało, muszę wracać.

Zostawiłam ich przy stole i wyszłam. Skierowałam swoje kroki w stronę miasta. Panował niedzielny spokój. Sklepy były zamknięte, miasto sprawiało wrażenie prawie opustoszałego. Nieliczne kafejki oferowały ciemne parasole na tarasie, mrożoną kawę i chłodzące napoje, ale

domyślałam się, że większość mieszkańców ruszyła nad wodę. Nie czułam się swobodnie we własnym domu. Nie chciałam tam wracać. Choć tak naprawdę nie miałam dokąd pójść. Co robić, gdy twój mąż jest twoim byłym mężem, od którego dzieli cię mur zbudowany z miliona różnych zdań, twoja córka w ogóle nie przypomina dziecka, które wydałaś na świat, a twoje przyjaciółki i siostry spędzają czas ze swoimi rodzinami, bo ich dzieci jeszcze ich nie nienawidzą, a mężowie nadal je znoszą?

Więc oto byłam ja, samotna kobieta, niezupełnie o zdrowych zmysłach. Może właśnie tak miałam umrzeć – w samotności. Może nawet nie będę tej samotności już świadoma i pogrążę się na zawsze w dziwactwach przynależnych ludziom takim, jak ja.

Zajęłam miejsce w kącie tarasu jednej z otwartych kafejek i przez chwilę obserwowałam klientów przy innych stolikach. Parę metrów dalej para młodych ludzi, siedząca blisko siebie, szeptała coś, popijając piwo. Widziałam ich ciasno splecione dłonie i ciała pochylone ku sobie, jakby stały się magnesami, których przyciąganie było silniejsze niż okoliczności. Ich usta szeptały słowa pełne pasji i słodyczy, a oczy skrzyły się pragnieniami. Patrzyłam na nich zauroczona, siedząc samotnie, jedynie z jedną lampką zimnego białego wina. Parę stolików na lewo hałasowała rodzina z dwójką małych chłopców o włosach niemal tak białych jak śnieg. Gonili się wokół stolika, piszcząc z radości i pozostawiając na wszystkich ślady czekolady i bitej śmietany. Kobieta z ustami przypominającymi wąską kreskę wyciętą w jej twarzy próbowała ogarnąć zamieszanie, które robili, podczas gdy mężczyzna pochylony nad telefonem wydawał się pochłonięty czymś zupełnie innym. Bliżej mnie w milczeniu zjadała swoje sałatki para w średnim wieku. Od czasu do czasu wymieniali między sobą jakieś uprzejme uwagi i nieśmiałe uśmiechy.

Niesamowicie, z jaką łatwością, odwagą i determinacją skaczemy na głębokie wody miłości, gdy jesteśmy młodzi, jeszcze nieskrzywdzeni, niezłamani rozczarowaniami, które przynoszą kolejne relacje, gorąco przekonani, że fale odmętu złapią nas bezpiecznie i ocalą od utonięcia. Potem życie konfrontuje nasze wyobrażenia, oczekiwania i kiedy budzimy się w wieku czterdziestu lat, zupełnie inaczej podchodzimy do związku. Zanurzamy jedynie stopy, ostrożnie, próbując nie zamoczyć nogawek i nie pozwolić falom sięgnąć wyżej.

Młodziutka kelnerka w czarnej bluzce i w długim czarnym fartuchu zręcznie omijała stoliki. Wodziłam oczyma za jej zwinnym tańcem, podziwiając w duchu grację, z jaką unosiła tace pełne chyboczących się na niej szklanek i talerzy.

Co tak naprawdę łączyło tych wszystkich ludzi? Co trzymało ich przy sobie? Więzy krwi? Zobowiązania? A może jesteśmy sterowani siłami, o których nie mamy pojęcia? Fale, wibracje, energia tańczą między nami, decydując o życiowych wyborach. Usilnie próbujemy racjonalizować nasze życie, poddawać je sumiennym analizom, podczas gdy w tle, poza zasięgiem naszej świadomości, toczy się już proces prowadzący nas tam, gdzie powinniśmy być.

Machnęłam dłonią w stronę kelnerki i zapłaciłam, zostawiając spory napiwek. Kiedy wróciłam do domu, drzwi pokoju Evi nadal pozostawały zamknięte. Gdy jednak zapukałam, nie padła żadna odpowiedź. Pokój był pusty.

Strata. Kiedy twoje serce jęczy z bólu. Kiedy nic nie może wypełnić pustki. Kiedy wszystko traci sens i znaczenie. Najgorsza ze strat. Ta świadomie wybrana.

Nigdy nie będziesz sama. Nie opuszczę cię. Nie zostawię. Nie dopuszczę, byś cierpiała. Nie pozwolę ci odejść.

Nakarmiłam Karola. Włączyłam laptop. Przedemną na stole leżała kartka z nazwiskami.

Pozwoliłam sercu prowadzić mnie tam, dokąd i tak miałam dotrzeć.

Finn Velde

FINYA ZWYKŁA POWTARZAĆ, ŻE NIE UFA LUDZIOM, którzy najpierw mówią, że kochają słońce, a potem siedzą bezpiecznie w cieniu, ukryci przed jego ciepłem i światłem. W blasku słońca jej oczy w kolorze miodu i bursztynu nabierały ognistych odcieni. Mamy takie same oczy. Mieliśmy. Kiedy nas porównuję, z łatwością wskakuję na czas terazniejszy, jakbym próbował ocalić Finyę we mnie, w tym, co było w nas podobne. Skorupa, taka sama okładka. Oczy, kolor włosów, uśmiech, nos. Ktoś naszkicował nas tym samym ołówkiem, tą samą kreską, by potem wypełnić formy innymi kolorami.

A jednak kiedy patrzę w lustro, nie widzę w sobie Finyi, jedynie moje własne odbicie. Może tym byliśmy – odbiciem w lustrze, które dzieliła szklana powierzchnia.

Narodziny bliźniąt, choć w dzisiejszych czasach zdarzają się statystycznie częściej, są nadal wyjątkowym zdarzeniem. Sam rozwój ciąży bliźniaczej może mieć wielorakie początki. W przypadku ciąży dwojaczków, czyli bliźniąt dwujajowych, płody mogą mieć nawet różnych ojców. Nie zdarza się to w przypadku bliźniąt jednojajowych, które są genetycznie niemal identyczne.

Na podstawie różnicy płci lekarze powiedzieli mojej mamie, że jesteśmy bliźniętami dwujajowymi. Kiedy jednak okazało się, jak bardzo jesteśmy do siebie podobni, nawet oni wahali się co do decyzji w tej kwestii.

Tylko że ja lubię cień. Wydaje mi się odpowiednim dla mnie miejscem, w którym można bezpiecznie unikać konfrontacji. Finya nigdy nie unikała konfliktów, to one ją nakreślały, podobnie jak słońce w pełni.

Ale nie zawsze da się unikać starcia. Czasem jest ono nieuchronne. W kosmosie rzadko dochodzi do kolizji gwiazd, ale nawet ich mijanie się zaburza orbity okrążających je planet i niszczy niektóre układy planetarne. Jednak mieszanie się obłoków międzygwiazdowych powoduje także powstawanie nowych gwiazd i układów.

Nigdy nie byłem zakochany w dziewczynie, choć nie potrafię przypomnieć sobie, kiedy dokładnie zrozumiałem, że one mnie po prostu nie interesują. Najpierw powtarzałem sobie, że to się samo jakoś rozwinie, kiedy przyjdzie czas. Czekałem więc cierpliwie. Do chwili, gdy uświadomiłem sobie najgorsze. Dziwne rzeczy dzieją się z ciałem w okresie dojrzewania. Wszystko się zmienia. Miałem wrażenie, że jestem wilkołakiem, który wraz z zapadnięciem zmierzchu przeistacza się bez udziału własnej woli w bestię pokrytą futrem, z paszczą pełną kłów i ostrymi pazurami zamiast palców. To te pazury szkicowały nieustannie męskie ciała, mocno zarysowane szczęki, torsy, ramiona. Podobnie jak wilkołak musiałem nauczyć się ukrywać przed ludzkimi oczyma swoją brzydką stronę, niewygodną prawdę, chować się w głębi lasów, w cieniu drzew, unikać spojrzeń, rozmów, dotyku. Izolacja i samotność były bezpiecznym wyborem.

To nie tak, że dziewczyny mi się wcale nie podobają. Potrafię docenić ich estetyczny urok. Bywało, że godzinami przypatrywałem się ich twarzom, wąskim ramionom, krągłym biodrom, obserwowałem, jak odgarniają włosy, w jaki sposób przechylają głowę. Szkicowałem ich ciała, oblicza, oczy. Były obiektami sztuki, pięknym eksponatem, fascynującą konstrukcją, którą uparcie próbowałem odtworzyć na kartce papieru.

Ale to, że coś wydaje się nam piękne, nie jest równoznaczne z tym, że będzie źródłem seksualnego przyciągania. Nie wszystko, co ładne, pociąga nas w ten obezwładniający sposób. Szkicowałem dziewczęta, bo były przeznaczone do uwieczniania. Męskie ciała malowałem, by dać upust pragnieniom, zaspokoić choć w minimalnej części pożądanie, któremu nie potrafiłem jeszcze nadać nazwy.

Czasem po szkole jechałem rowerem aż na obrzeża miasta, do Parku Rasterhoff, gdzie wspinałem się na szczyt niewielkiego wzgórza. Na jego zboczach pasły się owce. Widok rozciągał się na wody, łąki, pola, za moimi plecami po drugiej stronie kanału stało kilka domków, a w oddali huczała ruchliwa autostrada. Zwykłem tam uciekać po tych najgorszych dniach, kiedy nie potrafiłem się odnaleźć we własnym życiu.

Czy Finya wiedziała? Jeśli ktokolwiek wiedział, to na pewno ona. Tylu rzeczy sobie nie powiedzieliśmy. Może dlatego, że były zbędne. W pewnym momencie zaczęła nalegać, żebym z nią wychodził. Wyciągała mnie z domu siłą, namawiała. Czasem odnajdywała mnie nawet tam, na wzgórzu, pochłoniętego szkicami, które były jedyną ucieczką od siebie samego. Próbowałem się bronić, ale w rezultacie dreptałem za nią i jej przyjaciółkami jak parobek gotowy do usługiwania damom dworu. Wszyscy przywykli do mojej nienarzucającej się obecności, jakbym był powietrzem, niewidocznym, lecz wyczuwalnym. Obserwowałem bezkarnie zdarzenia, relacje, ludzi. Skupiałem się na tym, co potrafiłem najlepiej. Szkicowałem. Gdy w życiu Finyi pojawił się Sander, wilkołak zaczął się budzić i wychodzić z cienia części, niż bym tego chciał. Coraz trudniej było ukryć pazury, kły i wszystko, co z nimi wyrastało z mojego ciała.

Parę dni po wypadzie na plażę, w czwartkowy wieczór, Arjen urządził grilla z okazji wyjazdu jego starych na wakacje. Grill miał odbyć się w piątek, ale na piątkowe popołudnie zapowiadano ulewne burze. Więc zmieniono datę na czwartek.

Nigdy nie szkicowałem Arjena. Nie było w jego postaci nic interesującego, ani krzty głębi. Był płaskim gryzmołem bez znaczenia, w dodatku w krzykliwych kolorach. Jedyne powód, dla którego znosiłem jego obecność, to Sander.

Ojciec Arjena był właścicielem jakiejś fabryki, w każdym razie kasy im nie brakowało, co zresztą widać było na pierwszy rzut oka, gdy się zobaczyło ich willę wybudowaną tuż nad kanałem. Budynek był duży i zadbane, miał dwa garaże. Ogród na tyłach schodził aż do samej wody. Tuż przy oknie tarasowym, przez które wychodziło się na zewnątrz, stały leżaki, w głębi ogrodu mieścił się zaś taras z drogimi plecionymi fotelami, stołem i dużym luksusowym grillem. W ogrodzie huczała muzyka, jakieś techno, które robiło ci wodę z mózgu. Znad grilla unosił się dym, obok stał ogrodowy okrągły składany stolik zastawiony szklankami. Za nim w wielkiej metalowej misce wypełnionej lodem i wodą pływały butelki z piwem. Ludzie siedzieli na fotelach, leżakach lub trawie. Niektóre dziewczęta paradowały w stanikach od bikini. Panował upał, powietrze było gęste i nieruchome. Miałem wrażenie, że muszę prawie je rozgarniać rękoma, by poruszać się naprzód.

Kręciłem się bez celu między towarzystwem, próbując udawać, że mnie tam nie ma. W końcu znalazłem sobie dogodne miejsce przy ogrodzeniu, gdzie usadowiłem się w pobliżu

balii z lodem i butelkami. Na jednym z leżaków tarasowych widziałem Sandera w dżinsach, które wisiały tak nisko, że odsłaniały gumkę od bokserek i fragment kości biodrowych. Leżał rozciągnięty z Evi u swojego boku. Jej długie jasne włosy spadły na jego klatkę piersiową. Próbowałem zakodować sposób, w jaki się nad nim pochyliła, by potem móc odtworzyć go ołówkiem. Później, gdy odwróciłem głowę, straciłem ich z oczu, ponieważ wcześniej usilnie próbowałem nie szukać ich wśród innych uczestników imprezy.

Nie miałem nic lepszego do roboty, wychylałem więc piwo za piwem, obserwując ruch wokół i znieczulając się alkoholem, aby nie myśleć o nagich męskich torsach, umięśnionych ramionach, wąskich biodrach oraz przyjemnej woni testosteronu i potu, podsycającej skutecznie ogień, który próbowałem ugasić.

Dochodziła chyba dwudziesta druga, gdy zaczął zapadać lekki zmierzch, wokół bzycały komary, lód w balii zmienił się w chłodną wodę. Rozmowy były coraz głośniejsze, śmiech bardziej gwałtowny. W pewnym momencie usłyszałem pisk i odwróciłem głowę w stronę, skąd dochodził.

Arjen wrzucił kostkę lodu do majtek jakiejś dziewczyny, którą widziałem po raz pierwszy. Rozległ się jego huczny śmiech. Splunął i z widoczną przyjemnością obserwował, jak próbowała uwolnić się od dyskomfortu, bez pozbywania się ubrań. Złapał ją za ramię, kiedy zamierzała odejść, zażenowana skupioną na niej uwagą wszystkich. Próbowała uwolnić się z jego uścisku.

– Jezu! Przestań... – rzuciła, ale tylko roześmiał się bardziej i klepnął ją po pupie, aż rozległ się mocny dźwięk klaśnięcia. – Au! – wrzasnęła.

– Chyba powiedziała, że masz przestać!?! – Usłyszałem szorstki, stanowczy głos.

Trzeba być wariatem albo samobójcą, żeby wchodzić w dyskusje z tym gościem, kiedy jest podpity. Arjen obejrzał się, jakby nie wierzył, że zdanie rzucone było w jego kierunku. Wzbudziło w nim zdziwienie i konsternację, które odmalowały się na jego twarzy. Wyglądał trochę jak mały chłopiec, któremu wyjęto z ręki loda, tuż po tym, jak go pierwszy raz polizał. Stłumiłem odruchowy chichot, który po wypiciu trzeciego piwa zdawał się zupełnie naturalną reakcją. Ale do śmiechu było mi jedynie do chwili, gdy zobaczyłem, kto podjął się starcia. Evi stała teraz twarzą w twarz z Arjenem. Jej policzki były pąsowe, oczy błyszczały, a usta drżały lekko. Mogło mi się jednak wydawać, zwłaszcza że momentami miałem wrażenie, iż wszystko drży. Obserwowałem zdarzenie z bezpiecznej odległości. Byłem jednak na tyle blisko, by zauważyć, jak szczęki Arjena zakleszczyły się w odruchu wściekłości. Facet miał jakiś kompleks na punkcie dziewczyn, które potrafiły mu odmówić. Był podpity i nawet gdy stał prosto, kołysał się jak drzewo poruszane wiatrem. Evi patrzyła mu w oczy.

– Że co? – bardziej chrypnął, niż zapytał.

– Sprawiasz jej ból, przestań – powtórzyła głośno i wyraźnie, mimo że w odruchu cofnęła się o krok. Parę dziewczyn, które stało obok, śmiejąc się do tej pory, odeszło w kierunku domu. Kumple Arjena udawali, że szukają papierosów, otwieracza do butelek albo podziwiają gwiazdy.

To wtedy rozpoznałem w niej coś, co jak rezonans poruszonej struny zabrzmiało we mnie. Strach. Zobaczyłem w jej błękitnych oczach lęk, który nie powstrzymywał jej przed wystąpieniem przeciwko Arjenowi. Może dlatego się podniosłem. Z powodu tego strachu, który był mi tak dobrze znany. Zawsze się bałem. Całe życie coś mnie przerażało. Tyle że ja pozwalałem, by ten strach kontrolował wszystko, co robiłem. A może po prostu byłem zbyt pijany, by racjonalnie ocenić sytuację?

Stałem jedynie parę kroków od stolika z butelkami i szklankami, obok którego na dużym

grilla przyjemnie syczały kawałki mięsa. Z butelką piwa w dłoni ruszyłem z impetem w kierunku stolika i sekundę później huk tłuczonego szkła sprawił, że wszyscy skupili uwagę na mnie. Trochę nieudolnie wymierzyłem parametry, bo przewracając stolik, straciłem równowagę i wylądowałem na kolanach obok niego.

Podniosłem się powoli z ziemi, mamrocząc jakieś przekleństwa. Piekła mnie prawa dłoń, którą niezdarne próbowałem się asekurować. Moja lewa dłoń była pokryta szkłem i umazana krwią. Rozejrzałem się wokół. Arjen spoglądał na mnie szklistymi od alkoholu i złości oczyma. Evi miała otwarte ze zdumienia usta, patrzyła na moje dłonie, jakby nie mogła oderwać od nich wzroku. Zastygła w bezruchu. Przez ułamek sekundy ja również nie mogłem zmusić się do żadnego, nawet najdrobniejszego gestu. Wszystko wokół stało się jednowymiarowe, płaskie i rozmazane jak impresjonistyczny obraz stworzony za pomocą warstwy pastelowych plam. Tylko Evi ze swoim przerażeniem była wyraźna i jaskrawa jak rysunek w neonowych kolorach, wielowymiarowa, kompletna. Stała tam jak jakaś święta figurka, jak objawienie. Moje kolana były miękkie, z trudem utrzymywały mnie w pionie, i niemalże znowu upadłem.

– Co ty, kurwa, ślepy jesteś?! – Głos Arjena nabrzmiał był irytacją, ale wściekłość, którą chwilę wcześniej pałał, zdawała się zelżeć i zmienić kierunek.

Odróciłem oczy od sylwetki Evi i świat znów stał się trójwymiarowy.

– Przepraszam, przepraszam, odkupię te szklanki i w ogóle... – zacząłem, czując, że moja twarz płonie ze wstydu. Po krótkiej chwili większość osób wróciła do tego, co im przerwałem, ktoś postawił stolik, ktoś inny zaczął zbierać szkło do czarnego worka na śmieci.

Kątem oka zobaczyłem Sanderę wychodzącego przez drzwi tarasowe na zewnątrz. Uniósł brwi, a po jego ustach błędził lekko szyderczy uśmiech.

– Wychodzę na minutę, żeby się odlać, a ty w tym czasie dajesz radę rozpiardolić całą imprezę! – Poklepał mnie po ramieniu. – Velde, po piwie wychodzi z ciebie prawdziwa bestia! Następnym razem wypij od razu coś mocniejszego.

– Bestia, kurwa... Słoń w składzie porcelany... Pieprzona ciamajda... – Usłyszałem czyjąś uwagę i szyderczy śmiech kogoś innego oraz dziewczęcy chichot za moimi plecami.

Ukląknęłam, żeby pomóc zbierać rozbite szkło. Delikatnie wyjąłem parę kawałków, które utknęły w ranach na moich dłoniach. Sander wziął z miski z lodem kilka butelek piwa i ustawił na stoliku. Zauważyłem, że rozejrzał się, szukając wzrokiem Evi. Ja też próbowałem ją zlokalizować, ale korzystając z chwili nieuwagi, musiała się wymknąć, bo nigdzie jej nie widziałem. Arjen podszedł do nas.

– Jaki rozpiardol! – Język zaczynał mu się plątać, szczególnie gdy w wyrazie było więcej „r” niż tyle, ilu mógł podołać.

Sander szturchnął go lekko.

– Hamburgery się zaraz spalą. Lepiej zjedz coś, bo ci wali do głowy. A ty idź umyj te ręce, bo wszystko upierdolisz krwią – zwrócił się do mnie.

– Dobra, dobra...

Podeszli razem do stojącego obok grilla, gdzie Sander zdjął mięso ze srebrnych tac i ułożył je na talerzach. Wokół niego stłoczyli się zaraz chętni na przekąskę.

W domu Arjena było przyjemnie chłodno. Wiatr niósł dźwięki muzyki z zewnątrz. Podłogę w holu wyłożono lśniącymi płytkami, które odbijały echo kroków. Pociągnąłem za klamkę drzwi od łazienki, zostawiając na srebrnej powierzchni brzydki krwawy ślad. Syknąłem z bólu.

Wszedłem do ciemnego, przyjemnie chłodnego pomieszczenia. Po omacku przesunąłem palcami po ścianie, szukając włącznika i dopiero, gdy światło rozbłysło, zobaczyłem, że nie byłem w łazience sam.

– Och, przepraszam... Nie wiedziałem, że ktoś tu... – bąknąłem i cofnąłem się automatycznie. Evi siedziała na podłodze z kolanami podkurczonymi pod brodę. Jasne włosy dziewczyny spadały jak peleryna wokół jej skulonego ciała. Podniosła głowę, mrużąc oczy, ale widząc mnie, pochyliła ją znowu.

– Nic nie szkodzi – mruknęła.

– Muszę tylko umyć ręce – wymamrotałem, czując, że dłonie pieką mnie coraz bardziej. Nie miałem ochoty szukać innej łazienki albo co grosza, ubrudzić wszystkiego dookoła.

Odkręciłem wodę i mocny strumień zimnej wody splukał rany. Rozejrzałem się za ręcznikiem, by owinąć papierem toaletowym lewą dłoń, która była w gorszym stanie. Miałem już wyjść, ale zatrzymałem się jeszcze przy drzwiach i spojrzałem na Evi.

– Nie przejmuj się nim – powiedziałem cicho. – Jutro nie będzie o niczym pamiętać.

Wyszedłem i wróciłem do ogrodu, gdzie nadal dudniła muzyka. Skierowałem się do stolika z napojami. Po chwili zaczął mnie Sander.

– Widziałeś Evi? – spytał i zaciągnął się papierosem.

– Jest w ubikacji – odparłem, próbując otworzyć butelkę piwa tak, by nie zepsuć prowizorycznego opatrunku z papieru. Sander wyjął ją z mojej dłoni i oparł o krawędź stolika. Kapsel odskoczył. Podał mi butelkę, z której od razu upiłem łączywie parę łyków.

– Dzięki. – Klepnął mnie, po czym odwrócił się i ruszył w stronę domu.

Nie wiem, za co mi dziękował. Za informację czy za zbite szkło. Obserwowałem go, jak szedł, by w końcu odwrócić wzrok i unieść butelkę do ust. Przymknąłem powieki, gdy chłodne szkło zetknęło się z powierzchnią moich warg. Były chwile, kiedy wszystko we mnie drżało na widok Sandera, a wizje i wyobrażenia obezwładniały mój umysł, choć wiedziałem, że nigdy nie obrócą się w rzeczywistość. Wlałem w siebie zimny napój, czując, jak spływa mi do gardła. Nieporanionym wierzchem dłoni otarłem usta. Sander zniknął już we wnętrzu domu, a wraz z nim obraz i smak, którego miałem nigdy nie spróbować.

Kiedy tamtej nocy jechałem rowerem do domu, nadal zadawałem sobie pytanie, dlaczego zrobiłem dla Evi to, czego nigdy nie odważyłem się zrobić dla mojej siostry. Lipcowa noc miała barwę ciepłego granatu, który jak miękkie szal otulał cienie drzew i budynków. Była to tak inna noc niż ta, gdy zdarzył się wypadek. Twarz Finyi z jej skrzyjącym się spojrzeniem stanęła mi przed oczyma. Nie czułem się bohaterem i bez wątpliwości nim nie byłem. Pomogłem Evi, bo tego potrzebowała. Finya zawsze radziła sobie sama, nie czekała na ratunek, nikogo nie potrzebowała. Czasem zastanawiam się, czy kiedykolwiek się bała. Nigdy tego po niej nie było widać. Czy bała się, gdy umierała? Czy może po prostu zasnęła? A może w ogóle nie miała świadomości, że umiera? Może jej życie skończyło się w ułamku sekundy, gdy zamknęła oczy, jakby ktoś nagle i bez zapowiedzi wyłączył prąd? Co było ostatnią rzeczą, którą zobaczyła, nim wszystko pochłonęła ciemność?

Evi Brouwer

TAK WIĘC BYŁAM DZIEWCZYNĄ SANDERA. Oficjalnie. Miałam poczucie, że spełnił się sen, że coś, co jedynie śniłam, stało się rzeczywistością, która nagle zdawała mi się nieprzerwanym *déjà vu*. Nie spodziewałam się jednak, że nawet marzenia okupione są pewną ceną.

To zdarzyło się w ostatnie dni roku szkolnego, choć uczęszczanie na zajęcia było już jedynie formalnością. Namówiona przez Sandera postanowiłam nie marnować czasu na formalności i prawie nie pokazywałam się w szkole. Miałam nadzieję, że nauczyciele nie zdążą poinformować mamy. Umówiłam się z Sanne, że gdyby ktoś pytał, wspomni coś o złym samopoczuciu. W końcu miałam świetną wymówkę i mogłam jej wreszcie użyć dla własnych korzyści. Mama zresztą wydawała mi się czymś zajęta, była lekko rozkojarzona, nie wspomniała o naszej niedzielnej kłótni i zachowywała się, jakby nic się nie stało. To przytłumiło trochę poczucie winy i sprawiło, że kolejne kłamstwa i wagary przestały wydawać mi się takie straszne.

Zamiast chodzić na lekcje, przesiadywałam z Sanderem w warsztacie, gdzie piliśmy za dużo coca-coli, jedliśmy paczki chipsów zamiast lunchu i całowaliśmy się w kącie, jeśli akurat byliśmy sami. Obserwowałam go przy pracy, a potem, wracając do domu, odkrywałam czarne smugi smaru samochodowego na moich udach lub szyi. Finn kręcił się zwykle w pobliżu. Czasem przyjeżdżał Arjen z ogolonymi na łyso krzykliwymi kolegami i jakąś inną dziewczyną, która nie była Priscillą. Nikogo nie dziwiła jej obecność i nikt nie pytał o nagłe zniknięcie Priscilli, więc i ja w tej kwestii przyjęłam strategię milczenia.

Wszystko szło tak gładko do czasu tego feralnego czwartku, który nadszedł jak burzowa chmura.

Rano Sander zabrał mnie do warsztatu. Kupiłam nam dla odmiany bułeczki na śniadanie i truskawki, żeby go zaskoczyć. Po dwunastej pojechaliśmy do jego domu. Nigdy tam nie byłam, więc nie wiedziałam, dokąd jedziemy ani czego mam się spodziewać. Okazało się, że zaparkowaliśmy auto na tym samym małym placu parkingowym, gdzie zobaczyłam Sandera po raz pierwszy, choć on wydawał się tego zupełnie nie pamiętać. Zresztą nawet dla mnie ten moment był już okryty dziwną mgłą.

Weszliśmy do środka tylko na chwilę. Sander mieszkał w jednym z wąskich domków wybudowanych w rzędzie. Przez wyłożony brązowymi kafelkami korytarz przeszliśmy do małego salonu, który przypominał pokój ze starodawnych filmów. Starsza kobieta, chyba jego babcia, siedziała w jednym z ciężkich obitych ciemnym ałtarem foteli. Telewizor grał trochę za głośno i zorientowałam się szybko, że puszczano jeden z odcinków niekończącej się od lat telenoweli *Dobre czasy, złe czasy*. Kobieta odwróciła wzrok od ekranu i spojrzała na mnie, nie ukrywając niechęci, fuknęła cicho, po czym wstała. Minęła nas w drzwiach, kierując się do niewielkiej ciemnej kuchni i mamrocząc coś pod nosem.

Sander zostawił mnie i udał się za nią.

– Babciu, niechże babcia już przestanie marudzić. Wezmę tylko parę rzeczy i już wychodzimy. Muszę odkurzyć auto, więc będzie trochę hałasu.

Mówił do kobiety wesołym głosem, jakby nie traktował jej zrzędzenia zbyt poważnie. Odparła coś, ale nie mogłam rozróżnić słów. Stałam niezręcznie w drzwiach salonu, rozglądając się wokół. Na jednej ze ścian zobaczyłam szkolne zdjęcie Sandera, gdy był małym chłopcem. I choć nie przypominał mężczyzny, którym się stał, jego oczy nawet wtedy miały ten ciemny błysk.

Wyszliśmy na zewnątrz i siedząc na drewnianym stole w rogu placu, wypiliśmy colę.

Dźwięk nadchodzącej wiadomości zwiastował kłopoty. Wyjęłam telefon i zerknęłam na wyświetlacz. *Evi, dlaczego nie było cię w szkole?* Wiadomość od mamy. Westchnęłam ciężko. Rozważałam opcje, gdy nadjechał Finn. Oparł rower o drewniane ogrodzenie i otarł pot z czoła. Śnieżnobiały podkoszulek lepił się do jego pleców, przez ramię przewieszoną miał granatową materiałową torbę.

– Cześć! – rzucił w stronę Sandera, na mnie jedynie spojrzął. – Straszny upał!

Sander podał mi puszkę coli, którą Finn otworzył z sykiem, i upił łączywie parę łyków. Wskazał ruchem głowy na auto, wiadra i odkurzacz, stojące obok.

– Potrzebujesz pomocy?

Sander jednym ruchem ściągnął z siebie podkoszulek, odsłaniając błyszczące od potu ciało. Siedziałam z telefonem w dłoni, próbując skoncentrować myśli na wiadomości od mamy, ale zauważyłam, jak Finn odruchowo odwrócił wzrok. Przyjrzałam mu się z nagłym zaciekawieniem, prawie pewna, że jedynie mi się wydawało. Sander rzucił w niego podkoszulkiem, który Finn złapał nieporadnie, rozchlapując wokół siebie.

– Palant – rzucił, jednak uśmiechnął się niepewnie.

– Mięczak – odparł mi Sander przez ramię z szerokim uśmiechem i ruszył w stronę auta.

Finn odstawił puszkę na stół obok mnie, wyraźnie unikając jakiegokolwiek kontaktu wzrokowego. Położył podkoszulek Sandera na ławkę, rzucając obok swoją torbę. Bez słowa obrócił się i chwytając po drodze wiadra, skierował się w stronę domu, skąd wyszedł po chwili, chlapiąc wodą z pełnych kubłów.

Nie umknęło mojej uwadze, jak byli inni, gdy wokół nie kręcił się Arjen ze swoim nachalnym i momentami brutalnym zachowaniem.

Evi, GDZIE JESTEŚ?

Wyświetlacz telefonu migał. Schowałam twarz w dłoniach. Myśl, *Evi, powiedziałaś sobie. Wszystko w porządku. Wrócę na obiad.* Mój palec drżał, gdy wysyłałam wiadomość. Spodziewałam się serii ostrych zdań, nakazów, zakazów i kazań. Ale odpowiedziała mi cisza. Zerkałam co chwilę na wyświetlacz, jednak żadna wiadomość już nie przyszła. Domyślałam się więc, że ostateczne starcie odbędzie się dopiero w domu, co niezbyt mnie cieszyło, w szczególności że wieczorem miała odbyć się impreza w domu Arjena, na którą chciałam pojechać. Nie dla samej imprezy, oczywiście, ponieważ ona zupełnie mnie nie interesowała, ale dla Sandera.

Przez parę minut obserwowałam wygłupy chłopaków, którzy rzucali się moką szmatą ponad dachem auta. Spodenki Sandera były całkowicie przemoczone, a koszulka Finna miała plamy z piany. Zrzucił turkusowe, niezbyt męskie trampki i gonił Sandera na boso wokół samochodu. W otwartych drzwiach domu przez chwilę pokazała się starsza pani, pokręciła głową z kwaśną miną i zniknęła w korytarzu.

Dopiero wtedy zauważyłam, że z torby Finna wysunął się dobrze mi znany notatnik, obłożony w jasnobrązową skórzaną okładkę. Popatrzyłam na niego z wahaniem, ale w końcu ciekawość zwyciężyła i sięgnęłam w jego kierunku. Wzięłam go do ręki, czując ciężar sporej liczby stron, które krył. Ważyłam go w dłoni przez chwilę, a potem odchyliłam delikatnie okładkę, by odsłonić zawartość.

– Co ty robisz? – W tym momencie usłyszałam tuż obok szorstki głos Finna. Okładka opadła, nim zdążyłam zerknąć do wnętrza. Podskoczyłam zaskoczona, prawie upuszczając

notatnik. Spomiędzy kartek wysunął się ołówek i spadł na płytki chodnikowe.

Finn niemal wyrwał mi zeszyt z ręki. Jego twarz była pochmurna i gniewna. Podniósł ołówek.

Otworzyłam usta, żeby się wytłumaczyć, ale moje słowa zagłuszył odkurzacz, który Sander podłączył, by sprzątnąć wnętrze auta. Finn wepchnął notatnik do torby, zasunął zamek z nadmierną pieczołowitością i odszedł, nie oglądając się na mnie.

Gdybym wiedziała, że to był dopiero początek nieprzyjemności tego dnia, pewnie schowałabym się głęboko pod kołdrę i poczekała, aż minie. Choć to na piątek zapowiadano ulewne deszcze i straszne burze, dla mnie miały one nadejść dzień wcześniej.

Pozwoliłam się odwieźć do domu, ale mamy nadal nie było. Schowałam się w swoim pokoju, próbując wymyślić jakieś rozsądne i mocne argumenty na zbliżającą się niechybnie rozmowę. Musiałam wyjść tego wieczoru, choćbym miała to zrobić wbrew wszystkim. Cieszyłam się, że nadchodzący weekend miałam spędzić u taty, bo nie wyobrażałam sobie przebywania z mamą w jednym pomieszczeniu. Podejrzewałam, że nam obu brakowałoby tlenu.

Siedziałam na łóżku z tabletem, wymieniając wiadomości z Sanne, która tak jak wszyscy, oprócz mnie, odebrała tamtego dnia swój szkolny raport. Mama wróciła dopiero o szóstej z torbą pełną zakupów i udała się prosto do kuchni, omijając drzwi mojego pokoju. Słyszałam jej kroki, a potem donośne stukanie drzwiczek od szafek kuchennych i brzdęk naczyń. Wkrótce mieszkanie wypełniła woń szpinaku z fetą, przyprawiając mnie o lekkie mdłości. Mama nie zawołała mnie na obiad i widać próbowała dać mi do zrozumienia, że to ja mam wykonać pierwszy ruch. Najchętniej wymknęłabym się z domu i poszła prosto na imprezę Arjena, ale wiedziałam, że to tylko rozjuszy mamę. Wzięłam głęboki oddech i pchnęłam drzwi. Mama jadła obiad na balkonie. Na stoliku obok jej talerza stała niedopita lampka białego wina. Karol wsadził głowę między pręty i z wysokości obserwował kaczki pływające po kanale. Mama, widząc mnie, odłożyła widelec i wytarła usta chusteczką.

– Obiad stoi na kuchence. Nałóż sobie, jak chcesz. – Z zaskoczeniem zauważyłam, że nie była zła, choć przyglądała mi się bardzo uważnie.

Bąknęłam coś i z ciężkim sercem weszłam do kuchni. Chwilę potem dosiadłam się do niewielkiego stolika na balkonie. Widelcem przesuwałam zdechłe listki szpinaku, próbując wyjeść jedynie makaron. Mama śledziła w milczeniu moje poczynania.

– Zawsze lubiłaś szpinak – powiedziała, choć miałam wrażenie, że mówi bardziej do siebie niż do mnie.

Mruknęłam coś o tym, że nie jestem głodna i że to pewnie przez ten upał. Pokiwała głową bez przekonania. Nie wiedziałam, o co jej chodzi z tym szpinakiem.

– Twoja nauczycielka dzwoniła do mnie. Pytała, czy sama odbierzesz swój raport, czy muszą ci go wysłać do domu.

W jej głosie nie było złości, jakby stwierdzała fakt. Nie miałam jednak śmiałości spojrzeć na nią, więc gapiłam się w nadal pełny talerz.

– Jutro go odbiorę. Zająć już nie ma, ale szkoła jest jeszcze otwarta – powiedziałam w końcu, wciąż na nią nie patrząc.

– Tata nie da rady odebrać cię jutro przed osiemnastą, więc jeśli chcesz być u niego wcześniej, musisz sama dojechać.

Skinęłam. Musiałam powiedzieć jej o wieczornym wyjściu, ale nie miałam pojęcia, jak

zacząć.

– Jestem zaproszona dziś wieczorem na imprezę z okazji zakończenia roku szkolnego – skłamałam szybciej, niż pomyślałam. Naciąganie faktów do własnych potrzeb było moim nowym talentem.

Mama podniosła lampkę wina i upiła łyk, po czym obracała ją w dłoni. Światło tańczyło na powierzchni przezroczystego płynu i odbijało się na szkle.

– To bardzo miło, że cię zaproszono. Idziesz z ludźmi ze szkoły?

– Tak – skłamałam. Znowu. Po czym dodałam szybko: – I nie tylko.

Nie wiem, czy byłam bardziej zaskoczona jej reakcją, czy ucieszona, że poszło tak gładko. Przemknęło mi przez głowę, że zbyt gładko, ale radość przesłoniła niepokój.

Na wszelki wypadek umówiłam się z Sanderem, że przyjadę na rowerze. Nie miałam ochoty na żadną wpadkę i chciałam mieć możliwość powrotu do domu, kiedy zechcę.

Arjen mieszkał w dzielnicy willowej, gdzie moi rodzice kiedyś mieli dom. Został sprzedany w trakcie rozwodu. Zupełnie niepotrzebnie skręciłam, żeby przejechać obok niego. Na podjeździe do garażu zobaczyłam dwa różowe rowerki i niebieską hulajnogę. Zatrzymałam się i przez parę minut stałam po drugiej stronie spokojnej uliczki, obserwując obrazy za dużym oknem salonu. Pamiętałam dokładnie, jak wyglądał kilka lat temu, gdy tam mieszkaliśmy. Wszystko zdawało się jednak zmieniać, sytuacje, otoczenie, i miałam wrażenie, że nie pozostawał na tym żaden ślad po nas, my za to byliśmy głęboko naznaczeni wszystkim, czego dotknęliśmy w życiu. Odjechałam, czując dziwny ciężar.

Bez trudu odnalazłam dom Arjena. Wzdłuż całej ulicy, przy której mieszkał, stały zaparkowane drogie auta. Rozpoznałam to należące do Sandera. Zza domu dochodziły dźwięki głośnej muzyki, śmiech i pokrzykiwania. Zapach grillowanego mięsa przypomniiał mi, że właściwie nie zjadłam obiadu. Wysoka drewniana furka, prowadząca do ogrodu na tyły domu, stała otwarta, nie trudziłam się więc pukaniem do drzwi. Zaparkowałam rower przy jednej z latarni i ruszyłam w stronę ogródka. Sander zauważył mnie niemal od razu. Stał z grupką innych młodych mężczyzn. Wszyscy palili papierosy, nosili podkoszulki bez rękawów i mieli głowy zgolone prawie na zero. Pluli, śmiali się za głośno i klęli częściej, niż używali zwykłych słów. Wśród nich Sander odznaczał się swoimi bujnymi ciemnymi włosami, po których od czasu do czasu przejeżdżał dłonią, odgarniając kosmyki spadające na czoło. Jego widok zapierał dech w piersi.

Podeszłam, rzucając niepewne spojrzenie jego kolegom. Przyciągnął mnie od razu łapczywym, stanowczym ruchem i przycisnął swoje wilgotne ciepłe usta do zagłębienia mojej szyi. Zadrzałam. Chciałam odejść, ale przytrzymał mnie, obejmując ręką, której ciężar spoczął na moich ramionach. Kontynuował rozmowę.

– Będzie w cholerę aut, podobno tor ma być dłuższy, zakręty ostrzejsze. Wyścig odbędzie się wcześniej rano, bo w niedzielę w tym miejscu jest autocross, więc w ciągu dwudziestu czterech godzin wszystko musi być sprzątnięte i gotowe.

– Kurwa, zapowiada się znowu kierat – westchnął jeden z chłopaków i splunął.

– I do tego w czasie pierdolonego Sneekweek – dodał drugi, krzywiąc się.

– Tak jest co roku, przynajmniej masz większą szansę, że obejdzie się bez glin. Wszyscy i tak są w mieście.

Sander pokiwał głową.

– Właśnie, wyścig jest celowo w czasie Sneekweek. Niedzielny autocross przyciąga turystów, bilety sprzedają się jak ciepłe bułeczki, a o sobocie wiedzą tylko wtajemniczeni.

– Dużo ludzi będzie w sobotę? – zapytał chłopak z chrypką i czerwonym nosem.

Sander wzruszył ramionami.

– Trudno powiedzieć, ale raczej tak. Jedzie więcej aut, więc będzie potrzeba więcej rąk do pomocy.

– Ja tam mogę ładować, ale sprzątać nie mam ochoty – odparł czerwony nos z kwaśną miną i zaciągnął się papierosem.

– Roehl dzwonił do mnie. Daje dobrą kasę za przygotowanie toru, ale roboty ma być w chuj. Szczerze powiedział – zaczął inny z chłopaków. – A ty jak zwykle przy blachach? – zwrócił się w stronę Sander, który upił łyk piwa i kiwnął głową.

– Ktoś musi klepać. – Zaśmiał się. Odpowiedział mu chór gromkiego śmiechu. – Chodź, mała, trzeba ci znaleźć coś do picia.

Pociągnął mnie za sobą w głąb ogrodu. Gdzieś przy wysokim drewnianym ogrodzeniu mignęła mi postać Finna, choć nie byłam pewna. Rozpoznałam parę twarzy dziewcząt, które zapamiętałam z plaży. Arjena nie trzeba było szukać, jego donośny podпиты głos górował ponad innymi.

Stanowczo pokręciłam głową, gdy Sander wyciągnął rękę z butelką piwa, schylił się więc nad ogromną balią z lodem i podał mi puszkę coli. Chwilę potem zainstalowaliśmy się na jednym z luksusowych leżaków, stojących tuż przed drzwiami tarasu. Sander bawił się moimi włosami, kosmyki oplatały jego palce jak węże mitologicznej Meduzy. Przypomniałam sobie nagle, co nam mówiono w szkole o jej postaci, jak z pięknej dziewczyny zazdrosna Atena zrobiła potwora o kobiecym ciele. Podobno jej wzrok zamieniał żywe istoty w kamień. Są tacy, którzy twierdzą, że działo się to nie dlatego, iż jej oczy były tak straszne i zimne. Były to oczy przerażone. Było to oblicze okaleczonego piękna, odebranej urody, straty i bólu.

– Evi? – Zorientowałam się, że Sander coś do mnie mówił. – Co tak dziwnie patrzysz?

Wzruszyłam ramionami i ukryłam pod warstwą uśmiechu dziwny niepokój i rozkojarzenie.

– Strasznie mi gorąco – powiedziałam, żeby odwrócić jego uwagę.

– Ty jesteś gorąca – mruknął, przyciągając mnie ramieniem bliżej swojego rozciągniętego wzdłuż leżaka ciała.

Wyjął telefon, uniosł go ponad naszymi twarzami i zrobił nam to dziwne zdjęcie, na którym wyglądaliśmy, jakbyśmy leżeli na łożku.

Obserwowałam, jak włącza Facebook i umieszcza zdjęcie na swoim profilu.

– Muszę się czasem pochwalić. – Mrugnął do mnie.

Położyłam dłoń na jego gorącym torsie. Pod twardą powierzchnią poczułam rytm serca. Przycisnęłam opuszki lekko do tej niewielkiej przestrzeni między żebrami, próbując poczuć więcej. Opanowała mnie nagle chęć, by przebić warstwę skóry, wsunąć pod nią palce i dotknąć pulsującego krwią organu. Opanowałam drżenie, jakie wywołała we mnie ta myśl. Telefon w małej torebce przewieszanej przez moje ramię wibrował przez chwilę. Wyjęłam go i zerknęłam na wyświetlacz. Z zaskoczenia uniosłam brwi. Wiadomość od Britty. Uwolniłam się od ramienia Sander i podniosłam z leżaka.

– Dokąd uciekasz, mała?

– Zaraz wrócę – odparłam, nie patrząc na niego.

Słowa z wyświetlacza komórki krzyczały do mnie. Odeszłam na bok, gdzie w spokoju mogłam je przeczytać. *Wiem, że jesteś na imprezie z Sanderem. Nie mogę uwierzyć, że tak się zachowujesz. Jesteś dla mnie jak siostra, a siostry nie robią sobie takich rzeczy. Sander nic mnie nie obchodzi, nie zależy mi na nim. Ale tak się nie robi, Evi.* Do wiadomości załączyła zdjęcie, które chwilę wcześniej pstryknął Sander. Gapiłam się na wyświetlacz przez parę sekund. Mój palec drgnął i nim zdążyłam to przemyśleć, moja odpowiedź została wysłana. *Skoro ci na nim nie zależy, to o co ci chodzi? Sam wybrał, nikt go nie zmuszał. Może to cię boli?* Przez moment nie było z jej strony żadnej reakcji. Przyszła dopiero po chwili. *Nie poznaję cię, Evi. To tylko chłopak. Naprawdę wart jest tego, by ranić bliskich ci ludzi?* Westchnęłam poirytowana. Poczułam w sobie bulgoczącą złość, wzbierała się jak mleko, które miało wykropić z garnka. *To tylko mój chłopak. I wyobrażam sobie, że twoje ego zostało zranione.* Nie odpisała już więcej, więc z ulgą wyłączyłam telefon.

Sander zniknął z leżaka. Ruszyłam zatem pomiędzy imprezowiczami w stronę stolika z napojami. Minęłam grupkę ludzi, wśród których stał Arjen. Jego głos wskazywał na to, że był już ostro podпиты i z tego, co widziałam w ten upalny wieczór, alkohol wszystkim uderzał mocno do głowy.

– Chyba żartujesz?! Jesteś pewna?! Finn? – Usłyszałam nagle znajomy głos. Odwróciłam wzrok w stronę, skąd dochodził. Od razu rozpoznałam dziewczynę z pasemkami i kolczykiem w nosie i jej ciemnowłosą koleżankę z tatuażem na ramieniu, która kiwała z przekonaniem głową. Nie chciałam, żeby mnie zauważyły, ale imię Finna, a może raczej sposób, w jaki je wypowiedziano, przyciągnęły moją uwagę. Wyjęłam telefon i udając, że coś sprawdzam, zatrzymałam się na tyle blisko, by słyszeć, o czym rozmawiają.

– Naprawdę! – kontynuowała ta z ciemnym warkoczem. – Theo mi powiedział. Sam nie mógł uwierzyć. Nawet nie wiedział, że Finn ma prawo jazdy.

– No wiesz, nie żeby to miało znaczenie – dodała inna dziewczyna. – Znam takich, co jeździli w wyścigach bez prawka.

– Jasne, ale widziałaś kiedyś w ogóle Finna za kółkiem? On nawet nie ma auta – odparła ta z pasemkami.

– Jego siostra, Finya, miała i prawko, i auto. – Usłyszałam nieznany mi dziewczęcy głos. – Zabiła się, prowadząc. Może dlatego on nie jeździ?

Mimo upału zrobiło mi się nagle dziwnie zimno, choć chłód, który odczuwałam, zdawał się pochodzić z mojego własnego wnętrza.

– No, przynajmniej do teraz... – zaczęła dziewczyna z ciemnym warkoczem, ale przerwał jej nagły piskliwy wrzask, który sprawił, że wszystkie głowy obróciły się w stronę, skąd dochodził.

Jakaś dziewczyna wiła się jak węgorz. Arjen próbował ją przytrzymać. Najpierw patrzyłam oniemiała na to niezbyt przyjemne widowisko, lecz nim ucichł jej krzyk, wezbrała we mnie złość. Miałam nagłe, obezwładniające poczucie, że ten kretyń przerwał mi coś ważnego i w najmniejszym nawet stopniu nie zdawał sobie z tego sprawy. Wbiłam paznokcie w skórę, zaciskając dłonie w pięści, by powstrzymać gniew, który jak nawałnica nadciągnął znikąd. Dziewczyna protestowała. I wtedy wymierzył jej mocnego klapsa.

– Chyba powiedziała, że masz przestać! – Mogłabym przysiąc, że to nie był mój głos.

– Że co? – Arjen patrzył na mnie tym swoim debilnym spojrzeniem, które budząc zgrozę, jednocześnie śmieszyło.

– Sprawiasz jej ból, przestań – powtórzyłam, widząc jego rosnącą w zastraszającym tempie

wściekłość.

Nigdy dotąd nikogo się w życiu nie bałam. Moim jedynym wrogiem była choroba, z którą musiałam się zmierzyć, z którą pragnęłam wygrać. Bałam się śmierci, pożegnania, bałam się odejść w nicość. W tym lęku, tak pierwotnym i naturalnym, miałam jednak sprzymierzeńców, nie byłam samotna. Ale tamtego wieczoru bałam się głównie Arjena. Widziałam w nim ten rodzaj złości, rozprzestrzeniającej się jak epidemia, na którą nie ma lekarstwa. Jeśli padłes jej ofiarą, zostawałes na polu bitwy sam, nikt nie śmiał cię dotknąć ze strachu przed zarazą.

Ułamki sekund rozciągnęły się, jakby czas zrobił się nagle elastyczny. Kiedy już myślałam, że Arjen dopadnie mnie jak rozjuszony byk, za moimi plecami rozległ się ogłuszający hałas tłuczonego szkła. Gdy oczy Arjena skierowały się w tamtą stronę, oblało mnie poczucie ulgi. Obróciłam się i moim oczom ukazał się komiczny obraz. Finn próbował podnieść się do pionu sponad dziesiątek potłuczonych butelek i szklanek. Obok niego na ziemi leżał metalowy stolik. Zamierzałam obrócić się i odejść, korzystając z dogodnej chwili, gdy uwaga Arjena nie koncentrowała się na mnie. Ale nie mogłam. Nie tylko odejść. Nie byłam w stanie się poruszyć. Zobaczyłam bowiem jego dłonie pokryte krwią. Ich widok podzialał jak dziwny środek paralizujący. Moje serce złapał nagły, bolesny skurcz, jakby ostra igła przeszła je na wskroś. Patrzyłam na dłonie Finna. Miałam wrażenie, że wszystko wokół nas zaciera się, a my stoimy na przeciwległych krańcach tunelu, który nas dzieli. Chciałam położyć dłoń na mojej piersi, pod którą serce zaczęło walić jak oszalałe, gdy zorientowałam się, że on także stał ze spojrzeniem wbitym we mnie. Miałam wrażenie, że był tak samo sparalizowany. Finn odwrócił wzrok. Tunel znikł. Obróciłam się na pięcie i niemalże biegiem ruszyłam w stronę domu, prawie po omacku i kierowana bezpodstawną paniką szukałam łazienki, w której chłodzie, ciemności i ciszy mogłam się skryć. Nie przed samą sobą, niestety. Osunęłam się na wyłożoną błyszczącymi kafelkami podłogę i oparłam plecy o wannę. Przez cienki materiał podkoszulka czułam na skórze jej chłodną powierzchnię. Podciągnęłam kolana i oparłam na nich czoło, obejmując podkurczone nogi ramionami. Powoli mój oddech uspokoił się, choć obrazy, jak migawki stroboskopowej lampy, uderzały nawet pod przymkniętymi powiekami.

Nagle ktoś otworzył drzwi. Rozbłysło światło, zadając ból moim oczom. Finn stał niezręcznie na środku łazienki, próbując się wytłumaczyć. Mruknęłam coś, usilnie starając się nie zwracać uwagi na jego dłonie, które zaraz potem umył w pośpiechu, krzywiąc się zabawnie nad zlewem. Miał już wyjść, jego dłonie były owinięte, jakby zamieniał się stopniowo w mumię, poczynając od palców, ale zatrzymał się i powiedział:

– Nie przejmuj się nim. Jutro nie będzie o niczym pamiętał.

To akurat była prawda. Kłopot polegał na tym, że Finn nie miał pojęcia, iż to on sam stanowił przyczynę mojego rozdrażnienia. O Arjenie zapomniałam już dawno.

Kiedy parę minut później znalazł mnie Sander, wyszliśmy wspólnie do ogrodu, gdzie nadal dudniła muzyka, rozbrzmiewały wybuchy śmiechu, a głosy obecnych ludzi gęstniały jak parne powietrze. Wydawało mi się, że wszystko unosi się nieznacznie, jakby grawitacja odpuszczała lekko. Trzymałam się na uboczu. Próbowałam zlokalizować dziewczęta, których rozmowę podsłuchiwałam, ale kiedy je znalazłam, okazało się, że zmieniły temat. Snułam się jeszcze przez jakiś czas wśród coraz bardziej pijanych ludzi, by wreszcie opuścić ogród. Prowadziłam rower, idąc ulicami. Echo imprezy długo jeszcze podążało za mną. Dochodziła północ i gdy wreszcie wsiadłam na rower, byłam już spory kawałek dalej.

W sypialni mamy panowała cisza, ale wąskie pasmo światła widoczne w przesmyku pod jej

drzwiami wskazywało na to, że jeszcze nie spała. Wyciągnęłam dłoń w stronę klamki, zawahałam się jednak w ostatniej chwili. Co miałabym jej powiedzieć?

Tamtej nocy znów nawiedził mnie ten sen. To samo auto i hermetyczna cisza w jego ciasnym, ciemnym wnętrzu. Miałam wrażenie, że brakowało tam tlenu. Byłam niespokojna, na granicy strachu. Dziewczyna siedziała w mroku obok mnie na miejscu kierowcy. Milczała, zastygła w bezruchu. Jej dłonie na kierownicy, palce zaciśnięte spazmatycznie. Wiedziałam, że czekamy. Nagle wezbrała we mnie złość jak fala spienionej wody. Patrzyłam na nią i nic nie rozumiałam. Byłam zmęczona, nie chciałam tam być, bałam się. Wydawało mi się, że krzyczę i walę pięściami w okno i deskę rozdzielczą. Próbowałam szarpać za klamkę, ale drzwi auta nawet nie drgnęły. Moje ruchy w tej surrealistycznej przestrzeni były spowolnione, jakbyśmy znajdowały się pod wodą. Dziewczyna się nie poruszyła. Chciałam zmusić ją, by odwróciła głowę, ale mój atak furii zdawał się nie robić na niej nawet najmniejszego wrażenia. Wyciągnęłam dłoń, by jej dotknąć, lecz dokładnie w tej chwili lampy auta rozbłysły, rzucając długie smugi światła i odwracając moją uwagę od postaci dziewczyny. Zdawałyśmy się obie skupiać na tym, co wyłaniało się powoli z cienia. Skoncentrowałam wzrok, by dojrzeć postać, która powoli szła w naszą stronę. Zbliżała się, krok po kroku, coraz wyraźniejsza w blasku lamp. Sander, pomyślałam, pochylając się do przodu. Jeszcze parę kroków. Czułam napięcie. Zerknęłam na dziewczynę obok mnie. Jej dłonie nadal obejmowały kierownicę, włosy okalały twarz w taki sposób, że nie mogłam dojrzeć jej profilu. Jednak nagle w ciszy usłyszałam jej oddech i bicie serca. Najpierw wyraźne i przyspieszone, jakby była przerażona, potem coraz wolniejsze, cichsze. Patrzyłam na jej nieruchomą postać. Wdech. Krótki, urywany, płytki. Uderzenie serca, ledwo słyszalne, ciężkie. Wydech. Cisza. Kątem oka zobaczyłam postać, która stała teraz całkowicie blisko i była widoczna w smudze światła. Odwróciłam głowę. Finn. Jego duże oczy, pełne strachu. Usta lekko rozchylone, jakby słowa zawisły na ich krawędzi. I dłonie wiszące bezwładnie wzdłuż szczupłego ciała. Dłonie umazane krwią. Lampy auta zgasły i wszystko okrył mrok.

Chantal Simons

ABE BRAEKEN STRACIŁ PRZYTOMNOŚĆ W CZASIE MECZU KOSZYKÓWKI, uzyskawszy uprzednio pięć punktów dla swojej drużyny. Tego dnia nie czuł się zbyt dobrze, ale jak wspominali jego koledzy, nie był mięczakiem i lekka niedyspozycja nie mogła go powstrzymać przed daniem z siebie wszystkiego. W tym przypadku, jak się okazało, nawet własnego życia. W wieku dwudziestu dwóch lat doznał rozległego zawału serca, fatalnego w skutkach. Godzinna reanimacja zakończyła się porażką, nie udało się przywrócić akcji serca. Według lekarzy zawał był wynikiem wrodzonej wady serca, która ujawniła się dopiero w wieku dorosłym. Dziennik regionalny „Harlingen” umieścił na swoich łamach artykuł, w którym rodzina, przyjaciele i koledzy z drużyny koszykarskiej wspominali Abe’a jako niezwykle uczynnego i otwartego człowieka. Jego historia była poruszająca. Ale jego serce

bezwartościowe. Nie został więc dawcą organu mojej córki.

Niewiarygodne, ile informacji można odnaleźć, przeczesując internet. Wystarczy wpisać nazwisko w wyszukiwarce, by przy odrobinie szczęścia zalała cię fala informacji. Abe Braeken był niezwykle łatwą zdobyczą. Nagłośniona w lokalnych mediach śmierć koszykarza nie była trudna do odnalezienia. W innych przypadkach należy się bardziej postarać. Czasem zdarza się, że to samo imię i nazwisko noszą dwie lub trzy osoby i trzeba dobrać dokładnie części układanki, by wiedzieć, o kogo chodzi. Z tego właśnie powodu byłam zmuszona założyć konto na Facebooku. Kosztowało mnie to trochę zdrowia. Nie miałam pojęcia, co ludziom się w tym tak podoba. Próbowałam znaleźć jakieś przyzwoite zdjęcie siebie samej na komputerze, ale w końcu poddałam się i zamiast twarzy na fotografii profilowej widniały kwiaty forsycji. Ominęłam opcję dzielenia się ze światem informacjami na temat mojego życia osobistego. Rubryki daty narodzin, skończonych szkół i zawodowych wyborów pozostały puste. Tak na dobrą sprawę nie miałam pojęcia, jak to wszystko działa. Szybko jednak zrozumiałam, że opcja *wyszukaj* jest moją drogą przez internetowy gąszcz.

Siedemnastoletni Julian van der Nest odszedł pierwszego dnia nowego roku po długiej chorobie. Wrogiem, który go pokonał, była leukemia. Dziesiątki zdjęć i wspomnień, umieszczonych po jego śmierci na profilu, wzruszały do głębi. Był w tym samym wieku co Evi. Zmarnowałam więc sporo czasu, przeglądając jego profil, poznając ostatnie miesiące jego zmagania z chorobą, czytając komentarze ludzi, którzy go wspierali w walce na śmierć i życie. Czułam się wyczerpana emocjonalnie. W przeciwieństwie do Juliana profil Abe'a był zabezpieczony, miałam więc dostęp jedynie do jego zdjęcia głównego, na którym stał roześmiany z piłką w dłoniach. To było niemal surrealistyczne. Martwi ludzie, którzy zdawali się pozostawić po sobie żywe wirtualne kopie.

Spojrzałam na skreślone nazwisko czternastoletniej dziewczynki z Kollum. Berber Groenewoud jechała na rowerze poboczem drogi. Była jedną z ofiar gołoledzi, która zaatakowała w ostatnim dniu poprzedniego roku. Kierowca ciężarówki stracił panowanie nad pojazdem. Dziewczynka zginęła na miejscu. Mężczyzna zmarł dopiero po nieudanej próbie reanimacji w szpitalu. Nie potrafiłam oderwać oczu od twarzy patrzącej na mnie ze zdjęcia pod artykułem, który lokalna gazeta umieściła również w wersji komputerowej. Pod spodem widniało duże zdjęcie z miejsca wypadku. Przewrócona ciężarówka w rowie, parę metrów dalej, w tle, leżał na drodze rower. Miałam wrażenie, że wygięte koło nadal się obraca, skrzypiąc cicho.

Link do artykułu umieściła na profilu Berber jej mama, dołączając rozdzierające serce słowa pożegnania. Moje myśli samoistnie zdawały się płynąć w stronę kobiety, jak gdyby próbowały połączyć się telepatycznie z jej bólem, strachem i rozpaczą. Znałam je przecież.

Wypuściłam z płuc powietrze. Ile z tych tragicznych śmierci musiałam jeszcze dotknąć, by odnaleźć tę, dzięki której żyła moja córka? Miałam jedynie cztery pierwsze nazwiska. Wierchołek góry lodowej. To był dopiero początek. Jeden region.

Wstałam od stołu i rozprostowałam kości. Za oknem zapadał powoli zmrok. Co jakiś czas przyjemną ciszę lipcowego wieczoru przerywał ryczący silnik łodzi motorowej, przemykającej po wodach kanału. Karol w skupieniu obserwował lot ptaków. Od czasu do czasu wsadzał pyszczek między pręty balkonu, po czym cofał się, jakby przygotowywał się do skoku.

Zrobiłam sobie sałatkę zamiast obiadu, nie licząc na to, że Evi wróci i zjemy razem.

Napełniłam kieliszek czerwonym winem i wróciłam do laptopa. Z monitora patrzyły na mnie twarze nieznanych ludzi, których prywatność naruszałam w imię samozwańczej misji. Może

myliłam się i skazywałam się na niepotrzebne emocje? Usiadłam do stołu. Jeszcze jedno nazwisko dzisiaj. Ostatnie. Potem miałam zdecydować, czy podejmę dalsze poszukiwania.

Finya Velde miała skończone dziewiętnaście lat, gdy odeszła. U progu dorosłego życia czekała na nią śmierć. Jej facebookowy profil nie był zabezpieczony, dlatego mogłam bezkarnie przeglądać jego zawartość. Ze zdjęcia patrzyło na mnie zbliżenie jej szczupłej kształtnej twarzy, otulonej brązowymi kosmykami. Wyróżniały się w niej piwne, błyszczące oczy. Miałam wrażenie, że tak jak w prawdziwym bursztynie, był w nich uwięziony promień słońca. Jej bystre, żywe spojrzenie, pewny siebie uśmiech, zadziornie uniesiony podbródek sprawiły, iż nie mogłam uwierzyć, że była już tylko wspomnieniem. Oderwałam wzrok od fotografii i zjechałam myszką w dół. Ostatnie opublikowane na jej profilu zdjęcia i wiadomości były całkiem świeże. Jej przyjaciółki zdawały się nie móc o niej zapomnieć. Umieszczały stare zdjęcia, wklejały linki do piosenek. Profil Finyi Velde, mimo jej śmierci, nadal tętnił życiem.

Jedna z dziewczyn umieściła fotografię, na której stała z Finią na tle morza, ich uniesione ponad głowami dłonie tworzyły serce. Roześmiane twarze, rozwiane włosy. Pod zdjęciem cytata. *Jesteś jak gwiazda, twój blask widać na niebie jeszcze długo po tym, gdy nie ma już ciebie.* A poniżej zdjęcie przypominające ujęcie z filmu. Finya siedząca na masce czarnego auta między wymalowanymi po obu stronach językami ognia. Długie opalone nogi były prowokacyjnie rozsunięte, ale falbany białej krótkiej spódniczki zakrywały bieliznę, odsłaniając jedynie smagłe uda. Stopy obute w krótkie kozaczki z klamerką wspierały się o zderzak. Kołnierzyk dżinsowej kurtki postawiony, głowa odchylona, oczy przymknięte. Mogłaby być modelką albo aktorką. Poniżej zdjęcie z tym samym autem, tym razem jednak nad dziewczyną pochyla się chłopak, ciemnowłosy, dobrze zbudowany, podkoszulek bez rękawów odsłania umięśnione ramiona. Pod zdjęciem podpis: *Sander Horst.*

Zjechałam myszką niżej. Zdjęcia z imprez, zbliżenia grupki młodych dziewcząt robiących śmieszne miny do obiektywu. Wszystko wspomnienia. Mimo iż od daty jej śmierci minęły miesiące, wiadomości napływały nadal. Zjechałam jeszcze niżej, zerkając na daty postów, aż do momentu, gdy zobaczyłam te pochodzące ze stycznia, z pierwszych dni po jej śmierci.

Szok! Nie wierzę! Finya, wracaj natychmiast!

Finya, ty kretynko, nigdy Ci tego nie wybaczę!

Gdziekolwiek jesteś, błagam, poczekaj na mnie...

Tęsknię! Nigdy cię nie zapomnę! Do zobaczenia kiedyś!

Co za straszna, niepotrzebna, zbyt wczesna śmierć.

Bolesne pożegnanie u progu nowego roku...

Kondolencje dla całej rodziny!

Grzeczne dziewczynki idą do nieba, niegrzeczne idą tam, dokąd chcą... Mam nadzieję, że jesteś tam, gdzie chcesz... W moim sercu na zawsze!

Dlaczego nam to zrobiłaś, wariatko?

Bez ciebie nic nie jest takie samo!

Finya... Lights out... Party is over... :(

Niecierpliwie przeglądałam posty i czytałam komentarze. Byłam całkowicie pochłonięta, gdy z tego stanu dziwnej hipnozy wyrwał mnie dźwięk telefonu. Imię Carla pojawiło się na wyświetlaczu komórki. Zerknęłam głupio na monitor laptopa, jakbym się bała, że Carl go zobaczy w czasie rozmowy telefonicznej.

– Słucham? – Czułam, że mój głos brzmiał nienaturalnie, choć bardzo się starałam, by było inaczej. Zastanawiałam się, dlaczego dzwonił, zwłaszcza że rozstaliśmy się w dziwnym impasie.

– Zgłosiłem twój rower – powiedział bez ogródek.

Oczywiście! Ta wiadomość nagle rozjaśniła mi umysł i przypomniałam sobie głupi rower.

– Boże, całkowicie wypadło mi to z głowy, dziękuję, niesamowite, że...

– Nie dziękuj. Zgłosiłem tylko kradzież – przerwał mi szybko. – Policjant, który przyjął zgłoszenie, nie robił mi żadnych nadziei, niestety.

Westchnęłam. Przecież mu mówiłam, że to strata czasu.

– Niczego innego się nie spodziewałam. Mimo wszystko dziękuję.

Zapadła chwila ciszy, jakby się wahał, ale w końcu odezwał się znowu.

– Kupiłem ci rower. Stoi zaparkowany tam, gdzie zwykle stał ten stary. Beżowy ze skórzanym siodełkiem. Kluczyki wrzuciłem do skrzynki pocztowej.

– Co? Ale, Carl, naprawdę mogę sama sobie kupić nowy rower!

– Przecież nie mówię, że nie możesz. Chciałem tylko...

– Poczekaj, przecież jest niedziela...

– W Leeuwarden sklepy były otwarte – przerwał mi znowu, choć wiedział, jak tego nie cierpię.

Zamilkłam.

– Chciałem pomóc – powiedział w końcu.

Kłopot polega na tym, że jego pomoc odbierałam często jako próbę trzymania ręki na pulsie. Miałam wrażenie, że ilekroć podejmował się takich rzeczy, robił to z nieświadomej potrzeby posiadania choćby iluzorycznej kontroli nad wszystkim. Urodzony dyrektor.

– Wiem. Bardzo to doceniam. Jeśli nie masz nic przeciwko, to chciałabym zatrzymać rower, ale zwrócę ci pieniądze za niego. Mam nadzieję, że prześlesz mi rachunek...

– To naprawdę nie jest konieczne... – przerwał mi ponownie, co sprawiło, że wszystkie włoski na moim ciele zjeżyły się w proteście.

– Jest – naciskałam na tyle stanowczo, by zakończyć słowne przepychanki, i na tyle łagodnie, by go nie urazić i nie wzniecić kolejnej ostrej wymiany zdań.

Słyszałam, że wypuścił powietrze z płuc. Zwykle była to oznaka narastającej irytacji.

– Skoro tak wolisz – odparł i pożegnał się szybko.

Zeszłam na dół, gdzie na miejscu mojego skradzionego stał zupełnie nowy, błyszczący rower. Miał nie tylko skórzane siodełko, ale również piękny wiklinowy kosz z przodu, dodatkowe zabezpieczenie, skórzane ręczki i kolorystycznie dobrany dzwonek. Usiadłam na ławce i patrzyłam na ten gustowny i drogi prezent.

Kiedy wróciłam na górę, czułam się całkowicie rozbita. Miałam wrażenie, że rzeczywistość nakładała się warstwami na moje surrealistyczne odczucia, które jak jaskrawa farba wciąż jeszcze były widoczne. Nie miałam głowy do dalszych poszukiwań. Wyłączyłam laptop, choć twarze Juliana, Berber, Abe'a i Finyi widziałam nadal, jakby były odbite w szybie, przez którą patrzyłam na świat.

Nie wiedziałam już sama, czy zmagam się bardziej z rzeczywistą sytuacją, czy z moimi wyobrażeniami o niej. Moje uczucia przypominały rozjuszony morze, fale unosiły się tylko po to, by zaraz potem uderzyć z trzaskiem w skaliste zbocze wątpliwości i opać.

Rozpoczął się sezon wakacyjny, a wraz z nim pierwsze urlopy, również w naszej przychodni

stomatologicznej. Pracowałam od ósmej rano do siedemnastej. Już we wtorek musiałam zostać godzinę dłużej z powodu pacjenta z nagłym bólem zęba.

W czwartek rano do gabinetu weszła kobieta z chłopczykiem, na oko ośmioletnim. Zaraz po wejściu zaczął klaskać wściekle, kręcąc głową w dziwnym spazmie. Kobieta uklękła przed nim, nie zwracając na mnie uwagi. Wymieniłam spojrzenia z moją asystentką, która zdążyła już zająć swoje miejsce na wysokim stołku po przeciwnej stronie fotela dentystycznego. Mimo że nasz wspólny dyżur dopiero się zaczynał, obie wiedziałyśmy już, że będzie długi i męczący.

– Daan, to jest pani stomatolog. Musi obejrzeć twoje ząbki. To potrwa tylko chwilę. – Kobieta ujęła delikatnie chude ramiona chłopca, ale klaskał coraz mocniej. W pewnym momencie uderzył ją z całych sił w policzek. Kobieta odsunęła się jedynie o milimetr w odruchu samoobrony. Jej głos, którym uspokajająco szeptała nadal, był łagodny i bez cienia złości, choć na jej policzku widniała czerwona plama.

Po chwili podniosła się z kolan i odwróciła do mnie.

– Daan cierpi na autyzm. Nowe sytuacje i miejsca są dla niego bardzo trudne i wyzwają tego typu reakcje. – Uśmiechnęła się słabo, prawie przepaszając. – To nie jego wina, nie robi tego złośliwie, to jest po prostu... silniejsze od niego – wyjaśniła spokojnie i miałam wrażenie, że te słowa zwykła powtarzać bardzo często.

Poczułam, jak moje serce kurczy się w jakimś niemym akcie współczucia. Podeszłam bliżej i podając jej dłoń, przedstawiłam się.

– Proszę mi powiedzieć, jak mogę mu to ułatwić – powiedziałam.

Pół godziny później kobieta i jej synek opuścili gabinet. Asystentka wzdychała, zerkając na wykaz pacjentów w komputerze, obie wiedziałyśmy, że nie nadrobimy tego opóźnienia. Do tego wszystkiego zaraz potem, dokładnie wtedy, gdy zakładałam plombę innemu pacjentowi, do gabinetu wparowała Trijntje z telefonem w dłoni.

– Dzwoni pani ze szkoły Evi. Mówi, że to pilne.

Zsunęłam z ust maseczkę, wyswobodziłam dłoń z gumowej rękawiczki i sięgnęłam po telefon.

– Chantal Simons, słucham.

– Dzień dobry, Rebecca Vossenbergh. Chciałam tylko upewnić się, czy wszystko w porządku z Evi.

Zastygłam w milczeniu.

– Jak to...? Przepraszam, nie rozumiem.

Tym razem to nauczycielka zdawała się szukać słów.

– Evi od poniedziałku nie przychodzi do szkoły. To są oczywiście ostatnie dni roku szkolnego, ale ponieważ nie było od pani żadnej informacji, postanowiłam zadzwonić, bo dziś jest oficjalnie ostatni dzień roku szkolnego i wszyscy odbierają raporty. Jeśli Evi się dziś nie pojawi, będzie mogła odebrać swój raport w sekretariacie szkoły w godzinach od dziewiątej do szesnastej. Evi nie sprawiała ostatnio wrażenia chorej, wręcz przeciwnie... Jeśli to konieczne, możemy przesłać raport pocztą na adres domowy.

Ton jej głosu był niemal przepaszający.

– Evi czuje się świetnie. Na tyle dobrze, by wagarować. Bardzo dziękuję za pani troskę i telefon. Porozmawiam z córką.

Miałam kłopot ze skoncentrowaniem się na plombie pacjenta, który czekał na fotelu,

zerkając niepewnie w moją stronę. Posłałam mu swój najzyczliwszy uśmiech, żeby przekonać go, iż nie zamienię się teraz w „dentystę sadystę” z anegdotek.

Po krótkim namyśle wysłałam Evi wiadomość. Nie chciałam tego robić, ale moje myśli kołowały wokół czarnych scenariuszy i wszystkich niebezpiecznych rzeczy, które mogła robić, podczas gdy ja myślałam, że siedzi w szkole. Byłam zbyt wściekła, by odpowiedzieć, gdy odpisała, choć poczułam coś w rodzaju ulgi, ponieważ nie zignorowała mojej niezbyt przyjaznej wiadomości.

Całe popołudnie pracowałam jak robot, świadomie odłączona od własnych emocji, które wzbierały niebezpiecznie za tamą zawodowych obowiązków.

Kiedy wreszcie kwadrans po piątej opuściłam gabinet, musiałam zmierzyć się z całą gamą uczuć. Wsiadłam na mój nowy rower. Siodełko było nagrzane jak patelnia. Zrobiłam zakupy w dziwnym amoku, jakby tłok ludzi wokół mnie i półki wypełnione towarami pozostawały za zasięgiem moich doznań.

Dopiero w domu, gdy postawiłam torbę z zakupami na blacie kuchennym, moje emocjonalne odrętwienie odpuściło. Trampki Evi z rozrzuconymi luźno sznurowadłami leżały w korytarzu, ale drzwi jej pokoju były zamknięte, jakby dawała mi do zrozumienia, że mam nie próbować forsować bram tej twierdzy.

Nie byłam w stanie zabrać się za cholerny obiad. Ruszył we mnie jakiś dziwny strumień myśli, który wzmagał się na sile, jakby zdążał ku wodospadom. Więc Evi nie chodziła do szkoły i nie miałam pojęcia, jak, gdzie i z kim spędza czas. Wiedziałam za to od Toby’ego, że widywała się z kimś spoza szkoły. Co robiła? Czy zażywała narkotyki, czy paliła, piła alkohol? Może to był ktoś starszy, kto wykorzystywał jej niewinność? Ale jak mogła go poznać? Przecież do tej pory jej światem były dom i szkoła. Oparłam się o blat kuchenny, jakbym próbowała utrzymać równowagę pod naporem spienionych myśli. Oczywiście duszy widziałam Evi w tych wszystkich miejscach i sytuacjach, w których żadna matka nie chciałaby widzieć swojej dorastającej córki. Wizje tego, co ewentualnie mogło się z nią dzieć, oblewały mnie jak lodowata woda. Myśli, których nie chciałam do siebie dopuścić, stały się głośne i wyraźne. Czy to możliwe, że Evi uprawiała seks? Czy się zabezpieczała? Czy rozumiała konsekwencje? Czy jej serce zniosłoby ciężę i poród? Otrząsnęłam się szybko. Nie. To nie mogła być prawda.

Rozpakowałam zakupy i wyłożyłam na blat potrzebne produkty. W milczeniu myślałam liście szpinaku. Nigdy nie lubiłam tego robić, ponieważ była to żmudna praca. Nalałam sobie lampkę białego wina. Chłodny napój był jak kojący nektar.

Powoli spośród spienionych kłębow wyłaniała się myśl. Już wiedziałam, że to ona uwierała mnie cały dzień. Odłożyłam nóż na drewnianą deskę i przymknęłam powieki. Pozwoliłam myśli nabrać formy. Jak echo wróciły słowa mamy autystycznego chłopca. Zrozumiałam, jaką byłam egoistką. Jeśli to wszystko bowiem nie stanowiło chorej iluzji, ale było prawdą, to nie mogłam winić Evi za jej zachowanie, które wynikało nie ze złej woli, lecz czegoś, czego prawdopodobnie sama nie rozumiała i nie potrafiła kontrolować. Wściekałam się na nią, odczuwałam niechęć, winiłam ją za jej chłód i opryskliwość. Sama sprawiałam, że Evi odsuwała się ode mnie. Cały czas myślałam jedynie o własnym strachu, skupiałam się na swoich emocjach, podczas gdy prawdopodobnie ona musiała zmagać się z tym wszystkim sama.

Kiedy Evi zdecydowała się wreszcie wyjść ze swojego pokoju, byłam już całkiem spokojna i gotowa na konfrontację. Swoją dociekliwość zamieniłam na wyrozumiałość, a podejrzliwość na życzliwą przychylność. Pozostawiłam sobie przestrzeń, by patrzeć na moją córkę w zupełnie

nowy sposób, by widzieć jej zachowanie nie jako celową złośliwość, lecz jako próbę, być może nie zawsze udaną, na przetrwanie, na radzenie sobie z nową sytuacją. Widziałam wyraźnie jej zaskoczenie, najwidoczniej spodziewała się innej reakcji.

Po spóźnionym obiedzie spędziła prawie godzinę w łazience i kiedy ją opuściła, jeszcze mniej przypominała dziewczynę, która była moją córką. Skwitowałam jednak jej wygląd miłym komplementem i życząc jej udanego wieczoru, wróciłam na balkon, zagryzając zęby, by powstrzymać się przed cisnącymi się na usta pytaniami, o której wróci i czy pamięta o lekach.

Wkrótce wyszła, zostawiając za sobą echo kroków, rozlegające się na klatce schodowej, i delikatny zapach jej szamponu do włosów, który jak mgiełka unosił się w korytarzu. Dolałam sobie białego wina, wrzucając do lampki zamrożone winogrona, żeby napój dłużej pozostał przyjemnie chłodny. Otworzyłam laptop i zalogowałam się znów na stronę Facebooka. Wpisałam imię i nazwisko dziewczyny, której śmierć nadal pozostawała nieodgadniona. Postanowiłam nie pomijać niczego i jeszcze raz przejrzeć uważnie jej profil oraz przeszukać wszystkie linki, które wyszukiwarka wyrzuciła po wpisaniu jej imienia. Po godzinie piekły mnie oczy i nie byłam ani odrobinę mądrzejsza. Wiedziałam przynajmniej tyle, że istniała tylko jedna Finya Velde. Jej nazwisko widniało na oficjalnej stronie szkoły, do której uczęszczała. A profil na Facebooku, choć pełen osobistych pożegnań, nie zdradzał nic na temat przyczyn jej śmierci. Potarłam oczy i po raz drugi zjechałam myszką do najświeższych postów z pierwszych dni po śmierci Finyi. Czytając je, nabrałam nagle głębokiego przekonania, że Finya popełniła samobójstwo. To wyjaśniałoby wiele z tych komentarzy oraz to, że brakowało jakiegokolwiek wzmianki o przyczynach jej odejścia. Może był to po prostu tragiczny wypadek?

Nie miałam pojęcia, czy to ją dyskwalifikowało jako dawcę, czy nie. Byłam zmęczona, sfrustrowana i równocześnie głęboko przekonana, że tym razem nie poddam się i jeśli będzie trzeba, sprawdzę każdą możliwość. Najpierw jednak musiałam odszyfrować tę jedną.

Z szafki w korytarzu wyjęłam książkę telefoniczną. Velde. Ile osób lub rodzin z tym nazwiskiem mogło mieszkać w Sneek? Znalazłam sześć osób pod tym nazwiskiem, trzy mogłam odrzucić od razu. Van der Velde nie interesowało mnie w ogóle. H. Velde, notariusz, E. Velde, Galeria Sztuki Współczesnej, R. Velde, numer prywatny. Przez chwilę patrzyłam na nazwisko, tylko po to, by zatrasnąć grubą żółtą książkę z impetem. W czasach telefonii komórkowej nie każdy był zarejestrowanym użytkownikiem telefonu stacjonarnego. A nawet gdyby, co niby chciałam zrobić? Dzwonić po obcych ludziach i pytać, czy znają zmarłą dziewczynę i czy przypadkiem nie wiedzą, co stało się po śmierci z jej organami?

Za oknem powoli zaczęło się ściemniać. Gdzieś tam w tym mieście była moja córka, wśród obcych mi ludzi, zagubiona, z sercem zamkniętym w klatce piersiowej, któremu nie ufałam.

Podeszłam do komputera i wzięłam do ręki kartkę papieru. Zmięłam ją w palcach, bo nie była mi już potrzebna. Wypisane na niej nazwiska znałam na pamięć i jeszcze długo miałam ich nie zapomnieć. Wrzuciłam ją do śmietnika. W chwili, gdy obróciłam się w stronę komputera, błysk wspomnienia przeszył moją pamięć. Oczywiście. Fenna. Młoda kobieta z biblioteki, która była tak miła, by przynieść mi notatnik, długopisy i poświęcić chwilę swojego czasu. Nagle przypomniałam sobie nazwisko na tabliczce przypiętej do jej bluzki. Fenna Velde.

Sander Horst

JESTEM JEDYNAKIEM. Nie mam ani siostry, ani brata, nikt nigdy nie dzielił ze mną codzienności. Nikt się mną nie opiekował ani nie zainteresował, gdy było ciężko. Nikt nie patrzył na to, co rozgrywało się w moim domu, nikt nie chował się ze mną w miękkiej i ciepłej norze z koldry, gdy za ścianą trwało tornado. Nikt ze mną nie płakał ani się nie śmiał. I za nikogo nie ponosiłem odpowiedzialności, gdy zostałem sam. Nikim nie musiałem się opiekować, na nikogo oglądać, o nikogo troszczyć.

Nie wiedziałem więc, co mógł czuć Finn, gdy jego siostra bliźniaczka pożegnała się z życiem, czego zresztą on sam był świadkiem. Finn nie jest gadatliwy, nie żebym go pytał o jego uczucia albo bardzo się nimi przejmował.

Nie sądzę nawet, żeby wbrew temu, co myśli Evi, Finn mnie jakoś szczególnie lubił. Zwykle mam wrażenie, że on nikogo nie lubi, nie jestem nawet pewien, co tak naprawdę czuł do swojej bliźniaczki, bo wzajemnej sympatii długo by szukać. Dlatego nie rozumiałem do końca, dlaczego Finya wszędzie ciągnęła ze sobą brata. Po jakimś czasie było mi to nawet na rękę. Ilekroć potrzebowaliśmy trzeźwego kierowcy, zawsze mieliśmy do dyspozycji Finna. Nigdy nie protestował. Nie na głos przynajmniej.

Pewnie, gdy się jest jedynakiem, nie ma się zielonego pojęcia o tym, co łączy siostry i braci. Szczególnie bliźnięta. Babcia powiedziała mi kiedyś, że między bliźniakami jest silna więź, nawet jeśli nie da się jej dojrzeć gołym okiem. Miała rację. Nie dało się nic zauważyć. Gołym okiem za to widać było ich fizyczne podobieństwo, które do dziś czasem mnie rozstraja. Ten sam kolor i kształt oczu z tą kurtyną gęstych rzęs, nos, który na samym końcu lekko się zwęża i unosi, te same delikatnie wypukłe usta, które przypominają lekko otwartą muszlę w pąsowym kolorze. Nawet uśmiechali się ironicznie w ten sam sposób, unosząc lewy kącik ust. Te same brązowe włosy, które lśniły, gdy tylko światło musnęło ich gładką powierzchnię.

Tylko w Finyi wszystko było żywsze, intensywniejsze, mocniejsze, jakby Finn był jedynie jej niedoskonałym odbiciem, odciskiem jej sylwetki w gipsie.

Przywykłem do jego postaci do tego stopnia, że był cieniem. Jej cieniem. Moim cieniem. Po jakimś czasie w dziwny sposób jego cicha obecność przynosiła ukojenie, przestała przypominać mi boleśnie Finyę, drażnić, a zaczęła być tłem.

Wbrew woli przypominałem sobie w tym okresie wiele rzeczy, szczegółów, o których dawno myślałem, że wymknęły się pamięci jak śliskie kostki lodu spomiędzy zbyt mocno ściskających je palców. Nie wiem, skąd nagle wypełzały wspomnienia i uczucia, które ukołysałem już dawno do snu. Przysysały się do mojej głowy i skóry jak pijawki. Próbowałem je strząsnąć, wierzgając w panice. Finya zdawała się wracać w najmniej oczekiwanych momentach jak odgłos jej kozaczków na betonowej podłodze warsztatu dziadka.

Trzymałem ją zawsze odrobinę za mocno. Zbyt stanowczo. Jakbym się bał, że gdy ją puszczę, umknie mi natychmiast. Jakbym się obawiał, że inaczej nie utrzymam jej przy sobie. Zresztą prawda jest taka, że Finya nigdy do nikogo nie należała, poza samą sobą. Nikt nie mógł jej narzucić swej woli, zmusić do czegoś, czego sama nie chciała. Mogła wziąć w posiadanie cały świat, ale świat nie miał nawet w najmniejszym stopniu władzy nad nią samą.

I w końcu umknęła mi, nieważne, jak bardzo próbowałem do niej przywrzeć, przytrzymać ją.

Najgorsze z wszystkiego jest to, że zamiast cierpieć z powodu jej odejścia, byłem wściekły. Rozpierał mnie niewytłumaczalny gniew. Zrzucałem go na fakt, że wypadek oznaczał kłopoty, a kłopotów miałem dość. Byłem wściekły na siebie samego za strach, który czułem. Pamiętam te pierwsze godziny po wypadku, gdy przypominałem zwierzę w potrzasku, ciężko dyszące, z płucami zaciśniętymi paniką. Wszędzie czaiło się niebezpieczeństwo. Nie sądziłem, że Finya umrze. Byłem pewien, że się obudzi, będzie rzucać przekleństwami i okładać mnie pięściami. Ale godziny mijały, korytarze szpitala wydłużały się i wkrótce miałem wrażenie, że dzieliły mnie od jej pokoju setki kilometrów. Wtedy zdałem sobie sprawę, że to nie Finyi powinienem się obawiać.

Długo nie wiedziałem o tym, że nie umarła tak po prostu. Nikomu jakoś nie było spieszo poinformować mnie o szczegółach. Dopiero Finn parę tygodni po tym, jak się spotkaliśmy po śmierci jego siostry, wspomniał o odłączeniu aparatury podtrzymującej życie. Musiałem to przełknąć. Nie odparłem wtedy nic, brakowało mi słów. Nie opuszczała mnie myśl, że w takim razie to nie był jej własny wybór. Nie odeszła. Pozwolono jej odejść. Ale w sumie jaka to różnica?

Za wspomnieniami o Finyi kryły się te inne, którym odmawiałem dostępu do mojej głowy. Przeciekały jednak wymieszane z tymi, w których kryła się ona.

Pamiętam dokładnie dzień, kiedy zrozumiałem, że mama nie wróci. Obudziłem się rano znowu za późno, żeby iść do szkoły, do której i tak nie miałem zamiaru się udać. Na półświadomie tłumaczyłem sobie zwykle, że lepiej nie iść wcale, niż przyjść spóźnionemu i znosić te spojrzenia wszystkich, gdy idziesz przez cichą klasę między stolikami i jesteś uważnie obserwowany.

Tamtego poranka zdałem sobie sprawę, że wszystko w domu śmierdzi. Ojciec spał na sofie, chrapiąc donośnie. Pilot do telewizora leżał obok jego głowy na zmiętolonej, zaplamionej poduszce. Popielniczka pełna petów stała na ziemi obok pustych puszek po piwie. Na podłodze widniała duża plama. Stolik był zawalony talerzami i pustymi paczkami po papierosach. Zerknąłem na ojca i udając, że nie czuję zapachu moczu, przykniąłem drzwi i skierowałem się do kuchni. Lodówka była prawie pusta, karton mleka dwa dni temu stracił ważność, a ostatnie kromki chleba pokryły się pleśnią. Na blacie zastawionym kubkami i talerzami nie było już czystych naczyń, a resztki jedzenia zaczęły wydawać dziwną woń, podobnie jak przepełniony kosz na śmieci pod zlewem.

W kącie w łazience na stercie brudnych ubrań leżał mój podkoszulek z poprzedniego dnia. Naciągnąłem go, mimo że wyglądał nieświeżo. Do plecaka, któremu urwał się jeden pasek, wrzuciłem parę książek, nie zerkając nawet na plan lekcji, i wyszedłem z domu. Kurtka, którą zabrałem ze sobą, miała przykrótkie rękawy. Próbowałem w głowie policzyć tygodnie, odkąd mama spakowała walizki, ale straciłem rachubę.

Nienawidziłem jej, że mnie tak zostawiła, ale rozumiałem to. Babcia, fukając z irytacją i mamrocząc pod nosem, zrobiła mi kanapki na śniadanie, które pochłonąłem, jakbym nie jadł od paru dni. Kazała mi iść do warsztatu dziadka i poskarżyć się na ojca. Ale ja wiedziałem już, że muszę radzić sobie sam. Nawet jeśli to nie był mój wybór.

Z tego, co rozumiałem z ubolewań babci, mama wybrała się na poszukiwanie samej siebie. Podobno odnalazła się w ramionach kolegi z pracy. Według niej mój ojciec był życiowym nieudacznikiem. Babcia nie szczędziła sił na narzekanie. Unikałem więc pobytu w domu dziadków, dopóki nie zostałem zmuszony przez kuratora do zamieszkania tam na stałe. Ojca

widywałem tylko wtedy, kiedy babcia kazała mi jechać do niego rowerem z obiadem, który ugotowała. Po jakimś czasie zacząłem się jednak buntować się przeciw tym wycieczkom i babcia, marudząc, poddała się.

Pamiętam, jak dziadek po raz pierwszy tłumaczył mi działanie silnika samochodowego. Ręce miał brudne aż po łokcie. Za paskiem od spodni trzymał starą szmatę, w którą od czasu do czasu wycierał dłonie. Jego pomarszczone palce zwinnie poruszały się w skomplikowanym mechanizmie auta. Imponował mi wiedzą. Wystarczyło, że posłuchał chwilę melodii silnika, i zwykle od razu wiedział, co było zepsute.

– Silnik to serce auta – powiedział. Przejechał opuszkami po żeliwnej powierzchni, jakby ją pieścił. – Bez serca auto nie ruszy. Przez to serce musi popłynąć benzyna. Silnik składa się z cylindrów i tłoków. W cylindrach zasysana jest mieszanka powietrza i benzyny. Widzisz to tutaj? To świeca zapłonowa. W niej powstaje iskra, która zapala benzynę. Dochodzi do eksplozji, a w jej wyniku powstają gorące gazy. Ich ciśnienie naciska na tłok. Tłoki, przesuwając się, poruszają wał korbowy, a ten z kolei obraca koła. Rozumiesz?

Pamiętam, że pokiwałem wtedy głową pod uważnym spojrzeniem dziadka. Zrozumiałem nagle, iż ludzie funkcjonują na tej samej zasadzie. Potrzebujemy iskry, wybuchu i ciśnienia, by ruszyć, by działać, by żyć. Dziadek stanowczo wziął moją dłoń i przesunął ją po wgłębieniach i wypukłościach silnika, po kablach, śrubach i zaworach. Próbowałem od nowa powtarzać w myślach jego wywody jak tabliczkę mnożenia. Rytm słów zlewał się z warkotem silnika i wprawiał mnie w rodzaj hipnozy. Do dziś, gdy napotykam jakąś trudność, usterkę, która nie jest zupełnie jasna, słyszę w głowie głos dziadka i czuję jego twarde, szorstkie palce na moich, palce, które mnie prowadzą przez skomplikowane mechanizmy w poszukiwaniu defektu.

Dziadek nauczył mnie robić omlet i otwierać butelkę piwa bez użycia otwieracza, oddzielać mięso od kości i wypełniać papiery podatkowe. I nigdy nie narzekać.

Kiedy pewnego lipcowego dnia Finn wszedł do warsztatu dziadka, wiedziałem, że coś było nie tak. Przypominał trochę spłoszonego kota, który rozglądał się niepewnie z ukrycia. Zaczęliśmy już trenować do wyścigu, choć kosztowało to sporo czasu, energii i nieraz ryzyka i przypominało logistyczne przedsięwzięcie. Wszystko dlatego, że niełatwo znaleźć miejsce, gdzie można bez obaw wcisnąć pedał. Finn jednak zdawał się niezłomny. Nie wspominał o wyścigach od czasu wypadku, więc kiedy pewnego dnia wypalił, że chce spróbować, nie brałem go na poważnie. Ale uparł się i przypomniał mi, że mu obiecałem. Nie miałem zbytnio wyboru, więc zabraliśmy się za organizację prowizorycznych jazd po trudnym terenie. Potrzeba było piachu albo błota, nierównego podłoża, zakrętów. Do tego wszystkiego umiejętności Finna nie wybiegały poza sto na godzinę i poruszanie się po bezpiecznej dwupasmówce. Miałem jednak wrażenie, że udział w wyścigu stał się dla niego nagle czymś więcej, jakby chciał sobie coś udowodnić. Choć mogłem się oczywiście mylić.

Kręcił się po warsztacie, ale nic nie mówił. Krople deszczu uderzały w metalowy dach garażu. Łało tak od tygodnia, jakby świat zapomniał, że był środek lata. Wymieniałem właśnie pasek rozrządu. Dosyć żmudna robota, w szczególności że aby się do niego dostać, trzeba zdemontować kilka elementów auta, odłączyć akumulator, poluzować śruby koła, potem unieść pojazd, zdemontować nadkole, zdjęć pasek napędu alternatora, zablokować koło zamachowe, żeby odkręcić pasowe, i tak dalej. Finn oparł się o blat roboczy, gdzie leżały narzędzia, i obserwował moje zmagania. Kiedy wreszcie dostałem się do paska i udało mi się go zdjąć, czekało mnie jeszcze założenie nowego. Najważniejsze to właściwe napięcie paska. Większość

ludzi, która amatorsko bierze się do tej roboty, żeby zaoszczędzić na mechaniku, nie wie, że po wymianie paska należy ręcznie wykonać kilka pełnych obrotów wału korbowego, aby sprawdzić, czy nie ma w silniku kolizji i czy pasek się nie zsuwa. W starszych autach usterka paska rozrządu sprawi po prostu, że silnik zgaśnie, ale w nowszych modelach, jeśli pasek zerwie się lub przeskoczy o kilka zębów, tłoki zaczną uderzać o zawory, doprowadzając do całkowitej i nieodwracalnej dewastacji silnika.

– Sander... – Finn nie patrzył na mnie, jego palce zaciskały się na krawędzi blatu aż do białości, jakby się obawiał, że bez tego wsparcia upadnie. Zerknąłem na niego. Miał w oczach jakiś niepokój. Rzuciłem stary, zjechany pasek na blat. – Słuchaj...

Umilkł nagle. Wypakowałem nowy zestaw rozrządu, żeby przygotować go do założenia.

– No co jest? Strach ci pupę ściska przed wyścigiem? – zażartowałem, choć coś w tonie jego głosu sprawiało, że krew w moich żyłach stała się nieprzyjemnie chłodna.

Wróciłem do auta i zacząłem zakładać pasek, ostrożnie i precyzyjnie. Próbowałem nie zwracać uwagi na Finna, licząc, że to odbierze mu ochotę na filozoficzne rozmowy. Ale on pochylił się nade mną. Słyszałem, że głośno przełknął ślinę i przejechał palcami po lśniących włosach. Założył za ucho niesforny kosmyk. Zawsze uważałem, że powinien coś zrobić z tymi przydługimi włosami.

– Nie myślisz czasem o tym... – urwał nagle. Jego oddech był płytki. – O tym, co się wtedy stało...?

Kiedy wypowiedział te słowa na głos, wiedziałem dokładnie, co ma na myśli. Nieuważnie przytrzymałem palec o sekundę za długo między paskiem rozrządu i kołem. Ostra krawędź przecięła mi skórę. Syknąłem z bólu. Zrobiło mi się gorąco i poczułem nagłą irytację. Podniosłem się i opierając bokiem o pojazd, przysunąłem twarz do twarzy Finna.

– Nie, Finn, nie myślę. To był wypadek. – Mój głos był cichy, ale w pustym warsztacie brzmiał jak gong.

– Ale... to, co zrobiliśmy... – zaczął znowu. Zagryzłem zęby. Miałem ochotę potrząsnąć tym jego chuderlawym ciałem.

– Nic nie zrobiliśmy. Słyszysz mnie? Nic. To był wypadek – powtórzyłem i odsunąłem się od niego.

Chwyciłem z blatu narzędzia i pochyliłem się ponownie nad cholernym paskiem, który nie chciał zaskoczyć. Finn stał jeszcze parę minut oparty o auto, po czym opuścił warsztat, nie odzywając się więcej.

Jedynym, o czym mogłem wtedy myśleć, były słowa dziadka. Aby silnik zaczął pracować i zmusił auto do ruszenia, musi być iskra, wybuch, ciśnienie. Wszystko w odpowiedniej kolejności i odpowiednim rytmie. Jak symfonia instrumentów muzycznych. Jak momenty w łańcuchu zdarzeń. Więc w panice myślałem o tym, co powiedział Finn. Skąd się wzięła ta iskra, która go teraz napędzała? Jak mogłem ją przeoczyć, skoro trzymałem go tak blisko siebie jak to tylko możliwe?

Evi Brouwer

JESTEM JEDYNACZKĄ i nigdy nie musiałam dzielić z nikim uwagi i miłości rodziców, zabawek, przestrzeni, niczego. Byłam w centrum ich życia i zainteresowania, nie musiałam o nic zabiegać, nie musiałam się starać. Choroba tylko spotęgowała wszystko. Żyłam w taki sposób i nigdy nawet przez głowę nie przeszła mi myśl, że mogłoby być inaczej. Byłam świadkiem kłótni Britty z jej rodzeństwem, widziałam, jak Max szamotał się z Diną, ale nigdy nie dotykało mnie to osobiście, nie brałam udziału w ich przepychankach.

Britta nie miała racji. Nie byłyśmy dla siebie jak siostry. Nie zbudowałyśmy relacji z trudem, walcząc o własną pozycję, docierając się, poznając. Nie byłyśmy zmuszone dzielić ze sobą małej przestrzeni, niezależnie od wzajemnej sympatii lub jej braku, znosić swojej obecności w niezręcznych sytuacjach, nauczyć się żyć z ograniczoną prywatnością. Nie nauczyłyśmy się sobie dokuczać i kłócić, by potem móc wybaczać, nie potrafiłyśmy wyczuwać drobnych zmian nastroju drugiej strony, nie zdarzało się nam śmiać z głupich rzeczy zrozumiałych tylko dla nas. Powierniczki? Rywalki? Siostry? Nie. Nawet samo to słowo nie wywoływało we mnie najmniejszych wibracji. Nic, żadnego poruszenia. Żadnego obrazu. Po naszej kłótni nie odczułam straty Britty. Było mi jedynie wstyd, że wszystko wyszło na jaw. Tylko tyle.

W piątek zaczęło wiać. Kiedy jechałam rowerem do szkoły, żeby odebrać raport, miałam wrażenie, że każdy kolejny podmuch wznosił na sile, dmąc mi w twarz, jakby próbował mnie powstrzymać. Gdy dojechałam na zupełnie pusty plac przed budynkiem, miałam zadyszkę. Niebo było pochmurne, sine i zawieszono nisko ponad dachami, jakby w każdej chwili mogło runąć na ziemię. Przemierzałam opustoszałe korytarze w kierunku sekretariatu.

Sekretarka dyrektora szkoły, pani Abema, wręczyła mi teczkę z uśmiechem i popijając kawę, próbowała wciągnąć mnie w pogawędkę o wakacjach, choć miałam wrażenie, że robiła to w ramach przerwania nudy. Kiedy wreszcie udało mi się wykręcić nadchodzącą burzą i wymknąć z pokoju, ściskając w ręku teczkę z raportem, na korytarzu prawie wpadłam na moją nauczycielkę. Nie było mowy, żeby zostawiła mnie w spokoju.

– Evi? Widzę, że odebrałaś raport. – Pani Vossenberg wskazała ruchem głowy teczkę. Uśmiechnęła się lekko i zlustrowała mnie uważnym spojrzeniem.

– Tak... Dzień dobry... – próbowałam powiedzieć coś sensownego. Nie spodziewałam się zobaczyć jej tutaj akurat dzisiaj i mówiąc szczerze, przez kolejne sześć tygodni do końca wakacji. – Ja... muszę się pospieszyć, bo zaraz będzie padać.

Pokiwała ze zrozumieniem głową i rzuciła przelotnym spojrzeniem w stronę okna, jakby musiała się upewnić, czy nie oszukuję. Przytrzymała mnie jednak delikatnie za ramię, gdy próbowałam ją wyminąć.

– Słuchaj, Evi – zaczęła łagodnie, ale zdecydowanie, co zmusiło mnie do zatrzymania się posłusznie przed nią. Byłam gotowa na pierwszą w życiu szkolną reprimendę. Pokornie zwiesiłam głowę w oczekiwaniu. – Rozmawiałam z twoją mamą i wiem, że ostatni tydzień wagarowałaś. Chciałam, żebyś wiedziała, że nie uwzględniłam tych nieusprawiedliwionych nieobecności w twoim raporcie.

Podniosłam na nią twarz i nasze oczy się spotkały. Tego akurat wcale się nie spodziewałam. Po krótkiej chwili milczenia, w której próbowałam zastanowić się, co mam na to odpowiedzieć, pani Vossenberg kontynuowała.

– Wiem, że nie jest ci łatwo. Wróciłaś do szkoły po bardzo długiej nieobecności, musiałaś sporo nadrobić, nie tylko w kwestii materiału. Trudno jest znów wpaść w stary rytm, odkurzyć relacje, znajomości, poczuć się częścią klasowej społeczności. A najtrudniej pewnie od nowa

zdefiniować siebie, podczas gdy przez tak długi czas w dużej mierze to choroba definiowała ciebie. Widziałam twoje starania i zmagania. One nie pozostały niezauważone. Widziałam również, że powoli zaczęłaś odsuwać się od tego, co, zdawało się, odbudowałaś z takim trudem.

Musiałam stłumić westchnienie, które wezbrało w moich płucach jak fala za ścianą tamy, powoli pękającej. Każde słowo nauczycielki nadwyreżało naruszoną już konstrukcję.

– Co się z tobą dzieje, Evi? Masz jakieś problemy w domu? Wpadłaś w złe towarzystwo? Trudno ci się odnaleźć w nowej sytuacji życiowej? Szkolny psycholog znajdzie dla ciebie czas nawet w trakcie wakacji...

– Nie mam żadnych problemów... – jęknęłam, bo tama runęła i uwolniła wreszcie tłumioną zbyt długo falę. Moje ręce zakleszczyły się wokół teczki z raportem, jakby była tarczą mającą mnie ochronić przed słowami nauczycielki.

Pani Vossenberga pokiwała głową. Nie było nawet cienia złości w jej twarzy. Zresztą odkąd pamiętam, zawsze miała anielską cierpliwość i chyba lubiła swoją pracę, choć nie mogłam się temu nadziwić.

– Rozumiem. Przemyśl to. Nie zapominaj, że nie jesteś z tym wszystkim sama. Czasem łatwiej porozmawiać z kimś obcym niż z bliskimi, szczególnie z rodzicami. Udanych wakacji, Evi, i dbaj o siebie.

Odeszła korytarzem, zostawiając mnie z moją złością. Stałam jeszcze parę chwil, czekając, aż odgłos jej kroków ucichnie, i dopiero wtedy ruszyłam przed siebie. Za szkolnymi ogromnymi oknami niebo ciemniało w zastraszającym tempie. Pierwsze ciężkie krople deszczu zaczęły spadać z granatowych chmur, gdy pędziłam rowerem przez miasto. Podmuchy wiatru były porywiste, w powietrzu czuło się niemalże pogodowy horror, który miał się za chwilę rozpętać. Lało się ze mnie, gdy wreszcie dotarłam do domu. Parkowałam rower w strugach deszczu. Plastikowa teczka nie uratowała raportu, którego rogi były przemoczone. Zrzuciłam z siebie mokre ubrania, wciągnęłam miękkie dresowe spodnie i rzuciłam się na łóżko w pokoju ze słuchawkami na uszach, żeby zagłuszyć słowa nauczycielki odbite echem opustoszałych szkolnych korytarzy. *Co się z tobą dzieje, Evi?* Byłam zła. Z każdego najmniejszego powodu. I bez powodu w ogóle. Bywały chwile, że nie czułam się sobą, jakby jakaś część mnie chciała zupełnie czegoś innego niż reszta, która trwała w stanie buntu. Zerknęłam na wyświetlacz telefonu. Nie śmiałam umówić się z Sanderem, żeby nie natknąć się na Arjena, choć Finn uspokoił mnie, że najprawdopodobniej nie będzie o niczym pamiętał. Zakopałam się pod koc i nim się spostrzegłam, usnęłam. Kiedy się obudziłam, z kuchni docierały do mnie znajome odgłosy. Mama stuknęła garnkami, talerzami, sztućcami. W mieszkaniu unosił się zapach rozpuszczonego sera, który sprawił, że moje ślinianki zaczęły działać na pełnych obrotach. Wygrzebałam się z łóżka. Zdałam sobie sprawę, że nie widziałam mamy od wczorajszego wieczoru. Wyszła do pracy, nim się obudziłam. Otworzyłam drzwi mojego pokoju i skierowałam się do kuchni. Mimo iż była dopiero szósta po południu, w pomieszczeniu paliło się światło. Za oknami nadal szalała burza i panowały ciemności, jakby granatowe niebo zamierzało zjechać tak nisko, by zetknąć się z ziemią. Włosy mamy nadal były mokre, musiała więc zmoknąć, wracając do domu. Miała na sobie szare dresowe spodnie i czarny podkoszulek.

– O Boże! – Podskoczyła z nożem w dłoni. – Ale mnie wystraszyłaś! Skradasz się jak kot! Nie chciałam cię budzić, nie wiem, o której wróciłaś wczoraj z imprezy, więc podejrzewałam, że musisz odespać. Ale widzę, że pojechałaś do szkoły. Zdażyłaś przed deszczem?

Machnęła dłonią w stronę stołu kuchennego, na którym suszył się mój raport. Pokręciłam

głową i usiadłam. Czułam się dziwnie śpiąca i nie całkiem obudzona, a radość i odprężenie mamy jedynie potęgowało uczucie, że poruszam się w jakimś dziwnym surrealistycznym świecie, w którym jestem tylko częścią siebie. Mama podśpiewywała, obracając na patelni krążki sera camembert w panierce. Przyglądałam się, jak kroji pomidory i ogórki.

– Gratuluję, Evi! Naprawdę nieźle ci poszło, prawda? Wszystko nadrobiłaś! Niesamowite! – mówiła mama, nie odwracając się. Jej głos zdawał się dobiegać do mnie z oddali.

Kiwnęłam głową. Nie wspomniała nawet o moich parodniowych wagarach i nie pytała o imprezę. Kiedy nadal nic nie mówiłam, obróciła się i popatrzyła na mnie, unosząc brwi.

– Źle się czujesz? Może się przeziębiałaś od tego deszczu?

– Nie, nie sędzę. To tylko... ta pogoda... jest taka dobijająca – wydukałam.

Mama wyłączyła gaz i zdjęła z patelni apetycznie wyglądające kotlety z sera.

– Zjesz ze mną czy u taty? – zapytała, wyjmując talerze z szafki. – Przyjedzie po ciebie autem o siódmej, żebyś nie musiała tłuc się rowerem w taką pogodę.

Oczywiście całkowicie zapomniałam, że miałam spędzić pierwszy tydzień wakacji u taty. Nie zapakowałam torby. Nie sądziłam również, żeby tata miał u siebie coś więcej do jedzenia niż pizzę z supermarketu w zamrażalniku.

Mama nakryła stół dla nas obu i wkrótce przy akompaniamencie ulewnego deszczu, który strugami spływał po szybach, usiadłyśmy do posiłku.

Nasze milczenie zdawało się jej w ogóle nie przeszkadzać. Ja w tym czasie usilnie próbowałam sobie przypomnieć, o czym rozmawiałyśmy niegdyś przy stole, w czasach, gdy nic nie działo się w moim życiu, a jednak zawsze miałyśmy sobie coś do powiedzenia. Miałam wrażenie, że było to lata temu. To właśnie wtedy, nabijając na widelec kawałek sera camembert, zdałam sobie sprawę z czegoś, co dotąd umknęło mojej uwadze. Widelec zawisł w powietrzu w drodze do moich ust. Wcale nie lata temu. Ale miesiące. A dokładnie prawie siedem miesięcy, które minęły od przeszczepu. Opuściłam dłoń, widelec stuknął z brzękiem o krawędź talerza. Mama nie podniosła głowy. Moje wargi drgnęły pod ciężarem słów, które pragnęłam powiedzieć. Otworzyłam usta. Ciszę przerwał dzwonek domofonu.

– Chyba tata przyjechał wcześniej. – Mama podniosła się i pospieszyła do korytarza, nie zwróciwszy uwagi na moją konsternację.

Chwilę później usłyszałam znajomy głos. Zawsze wnosił ze sobą zupełnie inny rodzaj energii niż mama. Jego obecność zdawała się wypełniać pomieszczenie aż po brzegi.

Zmierzył moje włosy chłodną dłonią.

– Cześć, córcia! – rzucił, po czym odsunął sobie jedno z krzesel przy stole. – To co, wreszcie zasłużone wakacje? Jedz sobie spokojnie, nie spieszy mi się.

Kiwnęłam głową, próbując wyłączyć strumień zalewających mnie myśli, podobnych do deszczu za oknami zalewającego świat. Przeszczep. Dlaczego wcześniej nie zwróciłam na to uwagi? Dlaczego nie przyszło mi do głowy, że moje konflikty z mamą miały źródło właśnie gdzieś tam?

– Evi?

Z zamyślenia wyrwał mnie głos mamy, która patrzyła na mnie ze ściągniętymi niepokojem brwiami. Zdałam sobie sprawę, że zadano mi pytanie.

– Słucham?

– Tata pytał, gdzie masz torbę.

Mama podała mi mój raport, nad którym pochylił głowę.

– Jeszcze się nie spakowałam. Zaraz to zrobię.

Jadłam w milczeniu. Rodzice wymieniali grzecznościowe uwagi na temat pracy. Moja głowa była epicentrum tornada. Myśli wirowały jak trąba powietrzna.

Odstawiłam talerz na blat i wymknęłam się do pokoju, żeby spakować rzeczy. Przez uchylone drzwi słyszałam głosy rodziców.

– Co ona jakaś taka niewyraźna? – pytał tata.

– Wróciła wczoraj późno z imprezy. Może piła? Nie wiem. No i zmokła, jadąc do domu ze szkoły. Może zmierz jej dla pewności temperaturę przed snem. I daj mi znać. Tu są jej leki.

– Chantal... Przemyślałaś moją propozycję?

Zastygłam ze stosem podkoszulków w dłoniach. Cała zamieniłam się w słuch.

– Carl, nie mam czasu teraz o tym myśleć. Wszyscy jadą na urlopy, a zepsute zęby nie robią sobie jakoś wakacji.

Zapanowała cisza, a chwilę później tata odezwał się tak cicho, że ledwo go słyszałam:

– W porządku.

W moim pokoju w mieszkaniu taty czułam się zwykle jak w hotelu. To było niby moje miejsce, do którego sama wybrałam meble i kolor ścian, a jednak zawsze pachniało nowością, tym specyficznym zapachem rzadko używanych pomieszczeń. Tata czasem nawet w weekendy do późnej nocy siedział przed laptopem. Ekran telewizora migał niemymi obrazami.

Nie miałam temperatury i tata z nieskrywaną ulgą natychmiast powiadomił mamę. Obejrzeliśmy film, siedząc obok siebie na sofie i zajadając popcorn z mikrofal, na który mama fuknęła z oburzeniem. Próbowałam skupić się na akcji, nie dopuszczać do siebie niespokojnych myśli, ale przyłapywałam się na tym, że gubię wątek i wpatruję się w ekran bez świadomości tego, na co patrzę. Czułam, że tata zerka na mnie od czasu do czasu.

Kiedy byłam małą dziewczynką, zwykł unosić mnie i sadzać sobie na ramionach. Pamiętam jego dłonie, które przytrzymywały moje kolana, podczas gdy ja podziwiałam widoki z wysoka. Zdawał mi się najsilniejszym i najpotężniejszym człowiekiem, jakby był skałą zdolną oprzeć się wszelkim nawałnicom, górą wznoszącą się ponad światem, który widziałam z jej szczytu. Byłam pewna, że tak widzi go mój tata, że góruje ponad wszystkim, wszędzie sięga wzrokiem, wszystko wie. Bezpieczna frunęłam, niesiona na jego mocnych barkach.

– Evi, co ty taka jakaś milcząca i niewyraźna jesteś? – spytał w końcu, gdy na ekranie telewizora zaczęły przesuwać się końcowe napisy.

Wzruszyłam ramionami i wymamrotałam coś o zmęczeniu i pogodzie. Popatrzyłam na niego i zdałam sobie sprawę, że nie mogę już wspiąć się na jego ramiona, by z tej pozycji zobaczyć wszystko lepiej. Przyjrzałam się jego skroniom, na których widniały siwe pasemka, bruzdom wyrytym w jego twarzy, zmęczonym oczom. I zrozumiałam, jak złudna była moja dziecięca wiara w jego ponadludzkie możliwości. Nie tylko nie dałby już rady unieść mnie na swych ramionach, lecz sam wcale nie widział dalej niż ja ani wyraźniej niż ja. I tak naprawdę nic nie wiedział.

Tata wysłał mnie do łóżka, co uczyniłam niezwłocznie bardziej dlatego, by uwolnić się od jego pytań, niż dlatego, że chciało mi się spać.

Dochodziła północ. Wsunęłam się pod pachnącą świeżością kołdrę i zgasłam lampkę nocną.

Niewyraźna. Tak się właśnie czułam, jakby wszystko, czym byłam, było niewyraźne, bliżej nieokreślone. Czy to możliwe, że wszystko, co odczuwałam, miało związek z przeszczepem? Odnosiłam wrażenie, że w mojej głowie panował całkowity zamęt, jakby ta myśl była wiatrem, który wzbijał tumany pyłu. Niczego już nie wiedziałam na pewno. Wiedziałałam jedynie, iż są we mnie rzeczy, których nie potrafiłam wyjaśnić ani zrozumieć. Jakbym się zgubiła i nie wiedziała, w którą stronę mam iść. Leżałam, wsłuchując się w rytm serca, które biło w mojej piersi, wpatrując się w ciemność i czekając na jakiś znak lub choćby na sen, który wyrwałby mnie z tego dziwnego stanu.

Schowany pod poduszką telefon zawibrował cicho. Wyjęłam go i moje serce zadrżało przyjemnie, gdy ujrzałam wiadomość od Sandera. Tylko tyle było mi trzeba. Jego imię na wyświetlaczu komórki, jedna myśl. Tętno przyspieszało, temperatura mojego ciała skakała wzwyż. Cały ten niespokojnie kotłujący się zamęt opadał, jakby nigdy nie istniał. To, co niewyraźne, nabierało ostrości, krawędzi, kolorów. Wszystko inne zniknęło, traciło znaczenie. Z jego powodu.

Hej, Evi, jesteś? Co porabiasz? Kiedy się zobaczymy?

Odpisałam natychmiast, bardzo się starając, żeby nie zauważył, iż prawie podskakuję z radości.

Jestem na tydzień u taty.

Telefon zawibrował ponownie.

Oki doki, mała. Nie chcesz pojeździć w deszczu?

O ile u taty zawsze miałam więcej wolności, o tyle wiedziałam, że tamtego wieczoru nie udałoby mi się już wyrwać z domu. Sander musiał zaczekać.

Nie mogę, naprawdę, przepraszam.

Przygryzłam wargę, czekając na odpowiedź.

Szkoda, ale to nic. Podobno ma tak lać cały tydzień, więc jeszcze zdążymy.

Uśmiechnęłam się do telefonu.

Masz dużo pracy?

Próbowałam go jeszcze zatrzymać przy sobie.

Nie chciałam, żeby zniknął, urwał rozmowę, stracił zainteresowanie.

Sporo. Wszystko przez te wyścigi w czasie Sneekweek. A ty nie idziesz już spać?

To zależy.

Odpisywał teraz niemal natychmiast.

Od czego?

Od ciebie.

Wstrzymałam oddech. Nie chciałam przerwać tej nitki. Tak łatwo było ze sobą rozmawiać za pomocą telefonu, łatwiej zburzyć barierę wstydu, powiedzieć coś, czego normalnie nie miałyby się śmiałości zakomunikować w twarz.

Myślałam, że grzeczne dziewczynki idą do łóżeczka na czas... same...

Nigdy nie mówiłam, że jestem grzeczna.

Brzmi obiecująco. Drażnisz się ze mną?

Czułam, że ta gra słów mu odpowiada.

Cóż, nie będę cię zatrzymywać, pewnie chce ci się spać.

To zależy...

Odbijał piłeczkę błyskawicznie.

Od czego?

Od tego, co konkretnie rozumiesz pod słowem „spać”...

Przewróciłam się na bok, twarzą w stronę okna, za którym gdzieś w tych ciemnościach był Sander. Moje serce zostało dziwnie pobudzone, zdawało się uderzać rytmicznie w ściany zbudowane z żeber.

Pewnie coś zupełnie innego niż ty. Ale na to za krótko się znamy...

Skąd się wzięła ta Evi, mająca śmiałość do takich zagrań z chłopakiem, na którym jej tak bardzo zależało?

Ooo... Może mogę coś na to poradzić? Żebyśmy się lepiej poznali.

Czyżby?

Co chcesz wiedzieć, mała? Pytaj.

Przygryzłam wargę. Teraz albo nigdy.

Mieszkasz u babci i dziadka?

Odpowiedź przyszła dopiero po minucie, jakby się wahał.

Tak.

Od zawsze?

Od długiego czasu.

Wiedziałam, o co chciałam zapytać, ale byłam też świadoma, że mogłabym posunąć się za daleko. Nie miałam pewności, czy jego nagła otwartość była szczerą, czy stanowiła jedynie element gry, którą prowadziliśmy.

Twoi rodzice nie żyją?

Rodzice mają się świetnie.

To dlaczego z nimi nie mieszkasz?

Chwila przerwy, podczas której zagryzłam zęby na paznokciu kciuka.

Matka zostawiła nas dawno temu. A ojciec, według opinii sądu rodzinnego i kuratora, był niewydolny wychowawczo. Dlatego.

Przeczytałam jego wiadomość trzy razy. Sąd rodzinny, kurator. Słowa tak mi obce, że ich znaczenie wydawało się niemal abstrakcyjne. To było zatem życie Sandera. Musiałam zmienić temat, nie mogłam ryzykować.

Bardzo mi przykro.

Mnie nie.

Chciałam usłyszeć, jak to mówi, wyczuć po brzmieniu jego głosu, czy jest nabrzmiąły bólem, złością, czy obojętnością. Ale mogłam jedynie wpatrywać się w słowa i domyślać się, co się za nimi kryje.

Długo znasz Arjena?

Wystarczająco długo i dość dobrze. Ale nie śpimy ze sobą.

Zażartował i to dodało mi odwagi.

Gdzie się poznaliście?

Znowu ta chwila milczenia z jego strony.

Tam, gdzie nie ma grzecznych dziewczynek.

Odpowiedział wymijająco. Czułam, że muszę się zatrzymać, ale było jeszcze jedno pytanie, na które chciałam usłyszeć odpowiedź.

Skąd znasz Finna?

Mrok mojego pachnącego nowością pokoju rozpraszało światło wyświetlacza telefonu. Wpatrywałam się dociekliwie w jego blask, jakbym mogła wzrokiem zmusić Sanderę do odpowiedzi, do reakcji.

Przez jego siostrę.

Patrzyłam na słowa, które wyświetliły się w okienku rozmowy. Chciałam wyczytać ukrytą za nimi historię. Tymczasem próbowałam udawać, że nic nie wiem.

Blisko ją znasz?

Skąd ten pomysł? Co ci Finn powiedział?

Bam! To była zatem granica jego otwartości. Czułam, że się do niej niebezpiecznie zbliżyłam. Wpadłam w lekką panikę, próbując zawrócić z obranej ścieżki.

Nic, Finn w ogóle ze mną nie rozmawia. Byłam tylko ciekawa.

Krótką chwilę potem przyszła kolejna wiadomość.

Myślałem, że to mnie chciałaś bliżej poznać...

Wróciłam do naszej gry.

Och, zrobiłeś się nagle zazdrosny?

O Finna? Ha ha ha...

Odrężyłam się znowu. Choć poczułam też cień dziwnej złości, jakby Sander mnie uraził. Może był przekonany, że miał mnie już w garści.

Właściwie to muszę już iść spać.

Hej, mała, co jest? Po tym, jak mnie tak dobrze poznałaś? To nie fair...

A czego się spodziewałaś?

Znowu się drażnisz... Może teraz twoja kolej, żeby odpowiedzieć na kilka pytań?

OK.

Twoi rodzice nie są już razem?

Nie. Rozwiedli się parę lat temu. Ale nie kłócą się czy coś w tym stylu. Żyją w zgodzie.

Britta mówiła, że nie jesteście siostrami.

Ciotecznymi. Jej mama to siostra mojej mamy.

Tak na marginesie, Britta odezwała się do mnie wczoraj...

Serce zabiło mi jakoś mocniej. Powinnam udawać, że nie wiem, o co chodzi, czy przyznać się, że się pokłóciłyśmy?

Tak? I co chciała?

Zakomunikować mi, że faktycznie nie jesteś taką grzeczną dziewczynką, na jaką wyglądasz.

Cóż, jeśli jesteś zainteresowany grzecznymi dziewczynkami, może powinieneś szukać gdzie indziej.

No, no... Nie tak ostro, mała. Nigdy niczego takiego nie powiedziałem.

Jeszcze jakieś pytania?

Cień złości nabrzmiał jak burzowa chmura.

Tak. Co masz na sobie?

Poczułam przyjemne łaskotanie w dole brzucha.

Podkoszulek na ramiączkach.

Tylko?

Nie. Spodenki od pizamy.

A pod spodem?

Nic...

To co? Znamy się już wystarczająco dobrze?

Na co?

Dobrze wiesz na co.

Będziesz musiał poczekać, mój tata jest w domu.

Czekanie nie należy do moich mocnych stron...

Zrobiło mi się przyjemnie gorąco. Przygryzłam wargę, w której krew pulsowała intensywnie. Jego stanowczość załagodziła moją złość i sprawiła mi przyjemność. Długo potem nie mogłam zasnąć, dryfując jeszcze po powierzchni jego słów, które tworzyły upajającą mieszankę, koktajl wprawiający mnie w stan znieczulenia i odurzenia.

Następnego dnia wieczorem auto Sandera podjechało pod supermarket, gdzie czekałam, kryjąc się pod dachem przed deszczem. Powiedziałam tacie, że umówiłam się z koleżankami. Wręczył mi jedynie parasol i spytał, czy mam pieniądze. Cały dzień spędziliśmy razem, na obiad przywieźliśmy pudełka z chińszczyzną. Wizja spotkania z Sanderem poprawiała mi nastrój, co nie umknęło uwadze taty. W mieście wpadliśmy na mamę przed budynkiem biblioteki. Wyglądała, jakby zobaczyła ducha. Zaczęła coś tłumaczyć o wypożyczonej książce, którą zgubiła, i nim zdążyliśmy zrozumieć, o co chodziło, stwierdziła, że jest umówiona, spóźniona i musi się pospieszyć. Nie miała nawet parasola i pomknęła rowerem w deszczu przez ulice pełne kałuż. Tata patrzył chwilę, aż zniknęła za zakrętem. Przez moment odniosłam wrażenie, że zaciskając dłoń na ręczce parasola, wahał się, którą z nas ma nim osłonić.

Auto Sandera zatrzymało się z piskiem opon. Nie wysiadł od razu. Tłumaczył coś jeszcze Finnowi, który siedział na miejscu pasażera. Podeszłam dopiero, gdy Sander machnął na mnie dłonią. Usiadłam z tyłu. Sander obrócił się do mnie z szerokim uśmiechem. Jego ciemne oczy skrzyły się, a każda z iskier spadała na moje ciało, pozostawiając parzący ślad. Moja błyskotliwość z poprzedniego wieczoru rozviała się i mogłam jedynie siedzieć i patrzeć na niego.

– Cześć – mruknął, ale jego uśmiech mówił o wiele więcej. – Nie zmokłaś?

Pokręciłam głową. Jego zapach przyprawiał mnie o zawroty głowy. Byłam na sobie prawie wściekła.

Dopiero gdy odwrócił się, uwalniając mnie spod uroku swojego spojrzenia, odzyskałam zdolność oddychania. I mowę.

– Dokąd jedziemy? – spytałam, gdy wyjechaliśmy z parkingu na skrzyżowanie przy placu Sint Antonius.

– Pokażę ci, gdzie teraz pracuję wieczorami. Muszę tam coś dokończyć. Potem zajmę się tobą. – Mrugnął do mnie.

Finn westchnął, na co Sander klepnął go po ramieniu, aż huknęło.

– Nie marudź – rzucił w jego stronę.

Wkrótce opuściliśmy Sneek przy akompaniamencie ogłuszających dźwięków muzyki. Wartko pracujące wycieraczki wprawiały mnie w stan dziwnej błogości, jakby ich rytmiczny ruch miał hipnotyzujące właściwości. Oparłam głowę i poczułam, jak moje ciało daje się nieść.

Sander wjechał na autostradę i tam auto przyspieszyło. Za oknami rozpościerały się zielone pastwiska, pola ciągnęły się aż po horyzont zanurzony w szarości.

Skręciliśmy w jedną z bocznych dróg, by zaraz potem wjechać na piaszczystą ścieżkę, prowadzącą w stronę zabudowań gospodarczych. Na tyłach pod zadaszeniem stały trzy inne pojazdy albo raczej resztki tego, czym były. Postawny mężczyzna w granatowym kombinezonie wybiegł do nas i otworzył drzwi do obszernego pomieszczenia w niskim budynku. Wysiedliśmy. Sander chwycił moją dłoń i pociągnął za sobą. Pędem ruszyliśmy w kierunku otwartych drzwi garażowych. Zaczęłam się śmiać, gdy zimne krople deszczu spadły na moją rozgrzaną skórę. Wbiegliśmy do garażu, w którym zaczęły mrugać światła neonówek.

– Finn, nie rób z siebie idioty! Chodźże! – zawołał Sander w stronę, skąd przybiegliśmy.

Odwrociłam głowę. Finn stał w strugach deszczu. Ramiona trzymał rozpostarte, podkoszulek miał już całkowicie przemoknięty, a mokre włosy przylepiły mu się do czoła. Mężczyzna w niebieskim kombinezonie podszedł i stanął obok nas.

– A jemu co? Nałykał się czegoś? – zapytał, nie zwracając na mnie nawet najmniejszej uwagi.

Sander wzruszył ramionami.

– Czasem tak ma – odparł. – Zrobię dziś część roboty, ale potem spadam.

Mężczyzna kiwnął głową.

– Tylko pogaś światła, jak będziesz wychodził, i zamknij wszystko na kłódkę. Masz potrzebne części i tak dalej?

Sander skinął głową.

Rozmawiali, jak gdyby nigdy nic, a Finn stał tam z twarzą uniesioną ku niebu. Moje serce skurczyło się nagle boleśnie. Poczułam napierającą falę złości. Ich rozmowa stała się tłem. Szum deszczu działał na mnie pobudzająco. Coś wzywało mnie stamtąd. Ruszyłam, nim zdążyłam pomyśleć, co robię. Moje trampki zapadały się w błotnistą powierzchnię. Finn musiał usłyszeć kroki, bo spojrzał w moim kierunku. Kiedy nasze oczy spotkały się, nie mogłam powstrzymać śmiechu. Zimne krople zdawały się łaskotać moje ramiona. Śmiałam się na głos, niekontrolowanie. Rozrzuciłam ramiona, podniosłam twarz w stronę ciężkich chmur. Czułam deszcz na moich policzkach, powiekach, dłoniach. Czułam deszcz na moim sercu, które wybuchło nieopanowaną i niewytłumaczalną radością. I wtedy usłyszałam, że Finn również się śmieje. Kiedy uniosłam powieki, wciąż jeszcze stał naprzeciwko i patrzył na mnie, zanosząc się śmiechem. Nie wiem, jak długo to trwało, gdy wreszcie zdołaliśmy się opanować. Dopiero wtedy dotarł do mnie głos Sandera.

– Evi! Evi! Całkiem wam odbiło? – Stał nadal w otwartych drzwiach pomieszczenia garażowego.

Zaczęliśmy śmiać się od nowa, ale posłusznie pobiegliśmy w jego stronę, dysząc i próbując złapać oddech.

– Ręczniki są w ubikacji. – Sander wskazał ruchem głowy drzwi na końcu pomieszczenia. Obok stał stolik z mikrofalówką, czajnikiem bezprzewodowym i niewielką lodówką w rogu.

Ruszyłam za Finnem, który podał mi ręcznik. Nie patrzył na mnie, ale kiedy próbowaliśmy osuszyć włosy, nasze oczy spotkały się znowu. Parsknęliśmy śmiechem. Sander patrzył na nas spoode łba, ze ściągniętymi brwiami, jakby nic nie rozumiał. W jego spojrzeniu była mieszanka pobłażania i irytacji. Zrobił nam jednak herbatę, a sam sięgnął po piwo z lodówki i zabrał się do

roboty przy dźwiękach radia. Finn przyniósł z auta swoją torbę, po czym znalazł sobie miejsce w kącie, gdzie usiadł oparty o ścianę ze swoim notatnikiem. Obserwowałam Sandera, jego brudne dłonie skręcające śruby i montujące mechanizmy, o których nie miałam pojęcia. Pracował w milczeniu, ale już wiedziałam, że zawsze był przy pracy taki skupiony. Nawet jeśli coś mu nie wyszło, nie było widać na jego twarzy śladu frustracji czy irytacji. Jedynie spokój i pełna koncentracja. Lubiłam patrzeć, jak pracuje. Wszedł na zewnątrz pod zadaszenie i uniósł maskę czegoś, co kiedyś było autem, a teraz przypominało jedynie szkielet. Nie rozumiałam, co konkretnie robił, nie potrafiłabym nazwać przedmiotów, których dotykały jego dłonie, ale rytm czynności, płynność ruchów i skupienie wciągały mnie niczym fascynująca historia. Czas biegł niepostrzeżenie. W obecności Sandera traciłam poczucie jego upływu.

– Lubisz to? – zapytałam w pewnym momencie, gdy na chwilę odwrócił uwagę od swoich zajęć i wytarł brudne dłonie w spodnie. Wyjął z lodówki kolejne piwo, które otworzył z sykiem tylko po to, by upić łyk i wrócić do rozbebeszonych wnętrzności auta.

– Co konkretnie? – Spojrzał na mnie spod pochylonej głowy. Po chwili jego oczy błędziły z powrotem po skomplikowanym systemie rurek i zaworów.

– No... naprawiać ten złom – Wskazałam ruchem głowy na wrak pojazdu.

Sander wzruszył ramionami.

– Lubię, jak coś, co nie działało, zaczyna działać. I lubię, jak mi za to dobrze płacą. Więc nie narzekam.

– Ten wyścig w czasie Sneekweek będzie się odbywał tam, gdzie poprzedni?

Sander skinął głową. Patrzyłam jeszcze chwilę, jak dokręca śruby kluczem i mocuje się z jakimś przewodem, który utknął za głęboko. Wokół nas szumiał deszcz, ale lipcowe powietrze było ciepłe. Odszukałam wzrokiem Finna. Siedział nadal w kącie, plecami oparty o ścianę. Głowę miał pochyloną nad notatnikiem. Podeszłam do niego, ale zdawał się całkiem pochłonięty swoim zajęciem. Ołówek w jego palcach poruszał się szybko po powierzchni kartki. Usiadłam obok niego, na tyle blisko, by móc rozmawiać, i na tyle daleko, by nie móc zajrzeć do notatnika. Finn zerknął na mnie, ale nie przerwał szkicowania. Byłam pewna, że rysuje, a nie pisze. Kątem oka rejestrowałam ruch jego dłoni, próbując wyobrazić sobie, co przedstawiał szkic. Zauważyłam plastry na jeszcze świeżych ranach na prawej dłoni i bandaż, którym owinięta była lewa ręka.

– Nigdy nikomu nie pokazujesz swoich prac? – zapytałam wreszcie, mając pewność, że Finn nie odezwałby się jako pierwszy.

– A po co? – odpowiedział pytaniem na pytanie. – No nie wiem.

Uśmiechnęłam się.

– Pewnie niektórzy są ciekawi, co tam rysujesz.

– To ich problem, nie mój – odparł szorstko.

– Fakt. – Kiwnęłam głową. – Ja jestem ciekawa. Ale masz rację, to mój problem.

Milczeliśmy przez chwilę. Starłam się nie zerkać na notatnik Finna, na jego brązową skórzaną okładkę, przetartą na rogach od częstego używania. Finn pochylił się nad szkicownikiem jeszcze bardziej, jakby chciał go osłonić swoim ciałem.

– Nie powinnaś zająć się czymś innym? – zapytał, nie podnosząc głowy i nie odrywając ołówka od kartki.

– Myślałam, że przyda ci się towarzystwo – powiedziałam lekko, jeszcze licząc na to, że się

odpręży.

– A wyglądam, jakbym go potrzebował? – fuknął znad notatnika.

– No dobra, nie wściekaj się tak od razu – odparłam i podniosłam się z podłogi. Odeszłam, zostawiając go za sobą. Nie wiem, dlaczego mi się wydawało, że coś między nami zaskoczyło. Sygnał od Finna był wyraźny i nie mógł zostać niepoprawnie zinterpretowany. Nie przepadał za mną i nic się w tej kwestii nie zmieniło.

Sander przekręcił kluczyk i silnik warknął. Stałam w drzwiach garażu. Wyszczrzył do mnie zęby w szerokim uśmiechu.

– Gotowe! Spadamy stąd!

Dochodziła dwudziesta druga i na zewnątrz powoli zapadał zmrok. Deszcz zelżał, ale padał nieustająco. Mgła wilgoci wisiała w ciepłym powietrzu.

Finn wepchnął notatnik do torby i podniósł się z podłogi. Sander uporządkował narzędzia, umył ręce i pogasił wszystkie światła. Zasuwał drzwi garażu i zatrzasnął kłódkę. Wkrótce siedzieliśmy znów w jego aucie, które mknęło w kierunku Sneek. Kiedy wjechaliśmy do miasta, było już ciemno. Mokre ulice lśniły w świetle ulicznych latarni. Mimo deszczowej pogody puby i kafejki, które mijaliśmy, były przepełnione, ludzie stali na zewnątrz pod parasolami lub zadaszeniem, a gwar rozmów i dźwięki muzyki mieszały się z szumem ruchu ulicznego. Zaparkowaliśmy na placu przy Prins Hendrikkade, tuż przed drzwiami nocnego klubu. Myśl, że znów wejdziemy do środka, sparaliżowała mnie całkowicie.

– Umówiłem się tu z Arjenem. – Sander wyłączył silnik.

W tej samej chwili drzwi klubu otworzyły się z hukiem. Odwróciliśmy głowy w stronę budynku, na progu którego rozgrywała się szarpanina. Postawny mężczyzna w czarnym podkoszulku potrząsał Arjenem jak kukiełką. W okamgnieniu Sander wyskoczył z auta. Finn westchnął tak głośno, że nie miałam pewności, czy nie był to jęk. Wstrzymałam oddech, patrząc jak Sander rzuca się w kierunku mężczyzny, którego teraz rozpoznałam bez trudu dzięki tatuażom pokrywającym jego ramiona. Skurczyłam się w sobie na samo przypomnienie jego spojrzenia. Pierwszy cios Sandera był trafny, wymierzony znienacka, podczas gdy tamten miał ręce zajęte Arjenem. Pod wpływem uderzenia facet rozluźnił uścisk i Arjen odskoczył na bok, zataczając się. Uwaga napastnika szybko zwróciła się ku Sanderowi, napierającemu na niego od nowa. Arjen odzyskał równowagę i rzucił się w ich kierunku. Cios przeciwnika powalił Sandera na ziemię. Zerknęłam w stronę przepełnionych kafejek znajdujących się jedynie parę metrów dalej. Ludzie zaczęli obracać się w kierunku szamotaniny i podnosić się z krzesel, by mieć lepszy widok na całe zajście. Wtedy drzwi klubu zostały ponownie otwarte i jakiś inny facet dołączył do bijatyki. Arjen leżał skulony na ziemi, ale ciosy spadały na niego nadal. Zaczęłam w panice szukać swojego telefonu. Finn obrócił się w moim kierunku.

– Co ty robisz? – zapytał ostro.

– A jak ci się wydaje?! Musimy zadzwonić po policję, przecież oni ich zabijają.

Finn złapał mnie za rękę, w której trzymałam komórkę.

– Zwariowałaś?! Przecież Arjen na pewno coś odwalił! Jeszcze tylko policji im trzeba!

Nagły dotyk jego dłoni sprawił, że rzeczywistość przybrała w ułamku sekundy wymiar tunelu, który rozciągał się między nami. Zakręciło mi się w głowie. Wessałam łapczywie powietrze w płuca. Finn puścił mój nadgarstek, ale jego oczy były rozszerzone tym samym zaskoczeniem i przerażeniem, którego doznałam ja sama. Otworzyłam usta, żeby coś

powiedzieć, zapytać go, czy też tego doświadczył. Jego twarz szybko jednak przybrała gniewny wyraz, jakby się zreflektował. W tamtej chwili drzwi auta się otworzyły. Sander wepchnął Arjena na tylne siedzenie, prawie mnie przewracając. Sam wskoczył na miejsce kierowcy i ruszył z placyku z piskiem opon, prawie zderzając się z innym samochodem.

– Kurwa, kurwa, kurwa, moje auto – syczał Arjen, choć nie wiedziałam, czy z bólu, czy z żalu za swoim bmw.

– Potem je odbierzemy. – Sander wytarł zakrwawiony nos dłonią i zerknął przelotnie w lusterko, jakby się upewniał, czy nikt za nami nie jedzie. Przejechał przez skrzyżowanie przy Sint Antonius na czerwonym świetle, nawet nie zwalniając. – Czy ta lala wie, gdzie mieszkasz?

Arjen wymamrotał coś niezrozumiałego.

– Kurwa, Arjen! – Sander huknął tak, że podskoczyłam.

– Wie! Ta jebana kurwa! – warknął i splunął za okno.

– OK – mruknął Sander.

Siedziałam najdalej jak to możliwe od Arjena, przyciśnięta do bocznych drzwi. Wolałam nie zwracać na siebie jego uwagi. Pokasływał i charczał. Śmierdział piwem, papierosami i potem. Z rozbitej wargi ciekła mu wąska strużka krwi, oko szybko puchło, a policzek stawał się fioletowy. Jego podkoszulek z krzykliwym nadrukiem był poplamiony.

Wyjechaliśmy na obrzeża Sneek i zorientowałam się, że jedziemy do warsztatu. Telefon w mojej dłoni zawibrował i na wyświetlaczu pojawiła się wiadomość od taty.

*Córcia, o której będziesz w domu? Wszystko dobrze? Mam na ciebie czekać? Widziałam, że Sander rzucił mi przelotne spojrzenie, które wyłapałam w lusterku wiszącym nad przednią szybą. Nie próbowałam się nawet uśmiechać. Arjen wytarł podkoszulkiem usta i nie zwracał na mnie uwagi, jakbym była powietrzem. Odpisałam tacie: *Cześć, jest bardzo fajnie i wesoło, zostanę dłużej, nie czekaj na mnie.**

Wysłałam wiadomość i na wszelki wypadek wyłączyłam telefon.

Deszcz nadal kropił, gdy wysiedliśmy z auta. Sander zaparkował je w bocznej uliczce i musieliśmy parędziesiąt metrów przejść piechotą opustoszałymi drogami między ogromnymi budynkami magazynów. Kiedy weszliśmy do środka, Finn zasunął za nami drzwi. Błysnęły lampy i poraziło nas jasne światło. Sander włączył niewielki telewizor stojący na podwieszanej pod sufitem półce w rogu warsztatu. Zmienił kanał z MTV na sport i pomieszczenie wypełniły dźwięki ryczących silników. Arjen wyjął sobie z lodówki piwo i przyłożył je do fioletowego policzka. Miał przekrwione oczy i był wyraźnie pijany, choć bijatyka musiała go już częściowo otrzeźwić. Sander wyszedł do ubikacji, usłyszałam, że odkręcił kran.

– Co się gapisz? – syknął Arjen do Finna, który ważył się zerknąć w jego stronę. Ruszył na niego i pchnął go na tyle mocno, że Finn prawie stracił równowagę, ale nic nie powiedział. – Głupia cipa... – burknął Arjen, ale nie wiedziałam, czy mówił o Finnie, czy o mnie. Siedziałam niezręcznie na drugim końcu warsztatu, w dłoni nadal ściskając telefon. Czułam, jak bulgotał we mnie dziwny koktajl strachu i złości. Dlaczego Finn pozwalał się tak traktować?

Arjen w tym czasie postawił krzesło przed telewizorem i jakby nigdy nic gapił się w ekran, gdzie rozpędzone wyścigówki zataczały koła po torze.

– Co żeś tam, kurwa, nawyrabiał? – Sander wyszedł z łazienki z mokrym ręcznikiem przyciśniętym do krwawiącego nosa. Stał za Arjenem w oczekiwaniu na odpowiedź, ale ten nawet nie obrócił się w jego stronę. Fuknął jedynie i upił łąpczywie parę łyków piwa.

– Głodny jestem. Nie masz tu czegoś do żarcia? – zapytał.

– Mogę zamówić pizzę – odparł Sander.

Podniosłam na niego zaskoczone spojrzenie. Siedzieliśmy tam ukryci jak w jakimś bunkrze przez Arjena i mieliśmy jeszcze spełniać jego życzenia? Nie odezwałam się jednak. Rzuciłam okiem na Finna. Podszedł i usiadł obok mnie na stojących luzem pod ścianą fotelach samochodowych, jakby zrozumiał moje nieme zaproszenie. Wyjął notatnik i zaczął szkicować. Sander próbował wytłumaczyć pracownikowi pizzerii, gdzie znajdował się warsztat. Siedzieliśmy potem wpatrzeni w ekran, czekając na pizzę. Zerknęłam na wyświetlacz komórki, obawiając się kolejnej wiadomości od taty, ale telefon milczał.

Kiedy usłyszeliśmy dźwięk nadjeżdżającego skutera, Sander wyszedł na zewnątrz, żeby zapłacić i odebrać nasze pizze. Nie miałam ochoty jeść, w warsztacie unosił się zapach benzyny, olejów samochodowych, a zdenerwowanie skurczyło mój żołądek. Czułam się nie na swoim miejscu. Wzięłam jednak posłusznie kawałek, gdy Sander podsunął mi pudełko. Jego nos był czerwony, ale już nie krwawił. Atmosfera powoli się rozluźniała. Arjen przestał patrzeć na nas morderczym spojrzeniem, sączył swoje piwo, napełniał brzuch i komentował głośno poczynania kierowców rajdu.

Przysypiałam na fotelu samochodowym. Nie śmiałam wspomnieć o tym, że w końcu muszę kiedyś wrócić do domu, ani zapytać, kiedy będziemy mogli się stąd wydostać. Około drugiej w nocy Sander podniósł się i klepnął Arjena.

– Jedziemy po twoją brykę.

– Najwyższy czas.

Sander machnął głową na Finna. Miałam wrażenie, że moja obecność mu nagle przeszkadza, że celowo mnie nie zauważa. Na jego twarzy malowało się napięcie. Arjen włączył się na siedzenie pasażera, więc Finn i ja zmuszeni byliśmy zająć miejsca obok siebie z tyłu auta. Sander otworzył przede mną drzwi. Nim jednak zdążyłam wsiąść, przyciągnął mnie do siebie i przycisnął swoje gorące wargi do moich. Ten nieoczekiwany gest przyprawił mnie o krótki bezdech. Wsunęłam się na siedzenie obok Finna, unikając jego spojrzenia. Byłam śpiąca, zmęczona i nie chciałam wracać do tego klubu.

Całe szczęście okazało się, że auto Arjena stało zaparkowane przy ulicy Gedempte Pol naprzeciwko McDonalda, a nie pod budynkiem klubu, który mieścił się za rogiem. Dopiero kiedy wysiedliśmy, zauważyliśmy, że opony bmw były przebite, wokół auta leżały kawałki szkła, a karoseria została porysowana. Arjen przez chwilę stał w całkowitym milczeniu. Potem zaklął cicho i otworzył bagażnik. Wyjął z niego grubą rurę metrowej długości.

– Arjen... – Sander próbował go jeszcze zatrzymać, ale bezskutecznie. Arjen strzepnął z siebie jego rękę jak natrętną muchę. Sander chwycił z bagażnika coś w rodzaju ciężkiego klucza i ruszył za Arjenem w kierunku placu, przy którym mieścił się klub.

Chciałam pójść za nimi. To był bardziej odruch niż wola. Sander jednak się obrócił.

– Zostań – rzucił stanowczo, jak do psa. Rozejrzałam się w panice. Byłam niedaleko domu, mogłam pobiec do mamy. Ale co bym jej powiedziała? Mieszkanie taty znajdowało się równie blisko, choć musiałabym minąć La Celene, na co w tamtej chwili nie byłam w stanie się odważyć.

– Myślisz, że on chce ich zabić? – Odwróciłam się do Finna, który stał oparty o auto Sandera. Jego oczy były zmęczone. Potarł je wierzchem dłoni i rzucił nerwowe spojrzenie w stronę, gdzie za rogiem budynku zniknęli Arjen i Sander. Nie odpowiedział jednak, tylko

wzruszył ramionami. – Dlaczego nic nie zrobisz?! – krzyknęłam w końcu. Czułam, że wzbiera we mnie panika i złość na jego beczynność. – Przecież możesz coś zdziałać!

– Niby co? – Finn zjeżył się. Jego oczy błysnęły gniewem.

Brzęk tłuczonego szkła przerwał naszą kłótnię. Rozległ się okropny harmider, a potem wrzask i wyraźny odgłos szybkich kroków zmierzających w naszym kierunku.

– Do auta! – Finn prawie wepchnął mnie do środka.

Moje serce waliło jak oszałałe. Sander i Arjen nadbiegli zza zakrętu, za którym mieścił się plac, i wsiedli w pośpiechu. Ruszyliśmy ulicami miasta. Budynki i światła migają za oknami. Wyjechaliśmy z centrum, pozostawiając za sobą zagrożenie.

W aucie panowała całkowita cisza. Jedynie nasze oddechy, szybkie, płytkie, nieregularne, mieszały się ze sobą.

– Odwiozę cię do domu, ale najpierw podrzucę małą – odezwał się Sander jako pierwszy. Mówił do Arjena, który pokasływał i pluł za okno.

– Chyba może poczekać – warknął.

– Powiedziałem, że odwiozę ją najpierw – odparł stanowczo Sander.

Prawie nie oddychałam. Finn sięgnął do torby leżącej przy jego stopach. Kątem oka zauważyłam, że przesuwają coś w moją stronę. Wyciągnęłam palce i powoli chwyciłam róg złożonej na pół kartki, którą mi podał. Rozłożyłam ją na kolanach.

Obudził mnie tata hałasujący w kuchni oraz zapach gofrów i kawy. Podniosłam się z łóżka. Moja głowa była ciężka od złych snów i wspomnień ostatniego wieczoru. Potarłam oczy, zmuszając się do przebudzenia. Sięgnęłam dłonią po kartkę, która leżała na szafce nocnej obok łóżka. Rozłożyłam ją powoli i przez chwilę patrzyłam zaspanymi oczyma na rysunek, który przedstawiała.

To byłam ja. Bez wątpienia. Stałam z twarzą uniesioną ku niebu i rozrzuconymi ramionami, jakbym próbowała złapać w nie padający deszcz. Szkic był wykonany ołówkiem, żadnych kolorów, a jednak cienie i kreski w doskonały sposób oddawały głębię, wielowymiarowość, nastrój i dynamikę kropel zraszających moje ciało, którego szczegóły zostały pieczołowicie odzwierciedlone. To byłam ja. Moje usta rozwarte w spontanicznym śmiechu, przymknięte powieki, jakbym delektowała się tym momentem. Moje włosy zlewały się z deszczem, co sprawiało dziwnie surrealistyczne wrażenie. Jakbym cała miała się przemienić w ulewę. Może to było to, co nie pasowało. Bo coś mi przeszkadzało w tym szkicu, kłuło jak wbity pod skórę kawałek szkła. Coś nie było moje.

Odłożyłam kartkę i wstałam z łóżka. Czułam się ociężała i z trudem otwierałam oczy mimo późnych godzin porannych.

– Dzień dobry, śpiąca królowo – przywitał mnie tata, całując w czoło ustami wilgotnymi od kawy. Miał mokre włosy. Pewnie biegał rano i zdążył wziąć już prysznic. Za oknem było szarawo i wietrznie, jakby lato zapomniało, jak być latem. – Dobrze się wczoraj bawiłaś?

Mruknięłam coś pod nosem i wdrapałam się na wysoki stołek. W mieszkaniu taty nie było stołu, jedynie barek umieszczony na podwyższeniu między otwartą kuchnią a salonem, przy którym stały cztery stolki. Tata podsunął mi pod nos kubek kakao i talerz z jeszcze ciepłymi goframami, które pochłonęłam, zanim zdążył je posypać cukrem pudrem. Usiadł naprzeciw mnie i popijając kawę, przeglądał wiadomości na laptopie. To był jego rytuał. Skubał palcami róg

gofra, nie jedząc w zasadzie. Mama zawsze narzekała, że nie jada śniadań, a kawa to nie pożywienie. Tata jednak zdawał się lubić swoje poranki i delektował się nimi bez wyrzutów sumienia. I jak mniemałam, bez gderania mamy nad uchem.

– Niesamowite – westchnął wreszcie. – Poszukują świadków wandalizmu z ostatniej nocy. Ktoś rozbił okna i drzwi w tym nocnym klubie i w piekarni przy Prins Hendrikkade. Wiesz, tam obok jest pizzeria i bar z frytkami. Co się dzieje w tym mieście?

Mówił trochę sam do siebie, nie zauważając, że skuliłam się na stołku, jakbym miała zamiar zniknąć. Próbowалам na niego nie patrzeć. Odnosiłam przemożne wrażenie, że jeśli spojrzy mi w oczy, będzie wiedział, gdzie spędziłam ostatnią noc.

– Wandale... – mruknął bardziej do siebie niż do mnie. – Pewnie jakieś szczeniaki, których rodzice nie wychowali i nie pilnują, gdzie się wałęsają po nocy i co wyrabiają. Mam nadzieję, że ktoś coś widział. Może jakaś kamera zarejestrowała zdarzenie. Żeby im to nie uszło bezkarnie.

Mieszałam łyżką kakao z takim zapamiętaniem, że część wylała się na stół. Tata dołał sobie kawy.

– Wyspałaś się? O której wróciłaś? – Czułam na sobie jego spojrzenie. Zdawało się wypalać mi dziurę w głowie.

– No, nie wiem... Coś koło drugiej chyba... – wymamrotałam, usilnie próbując wymyślić jakiś inny temat do rozmowy.

– Byłaś u Ilony?

Skinęłam głową.

– No, nie całkiem, to znaczy nie tylko tam. Sanne była z nami – rzuciłam, żeby dodać moim zeznaniom wiarygodności.

– Ale nie kręciłyście się po nocy po mieście?

– No jasne, że nie. Wyszliśmy tylko z psem Sanne na spacer.

Tata pokiwał głową, upił łyk kawy i skierował wzrok na ekran laptopa.

Ta dziwna myśl z poprzedniego wieczoru, że przeszczep doprowadził do jakichś nieodwracalnych zmian, rozmyła się i wydawała mi się tamtego poranka czystym absurdem. Nie mogłam zrzucić winy za moje kłamstwa i zachowanie na operację i nowy organ. To było całkowicie niedorzeczne. Musiałam spojrzeć nieprzyjemnej prawdzie w oczy.

– Co będziemy dziś robić? – spytałam, żeby odwrócić jego uwagę od tego, o czym nie chciałam rozmawiać.

– Taka pogoda, że chyba zostaje nam tylko kino.

Kino wydawało mi się rewelacyjną opcją. Nie trzeba rozmawiać. Ani kłamać.

Wysłałam wiadomość Sanderowi, gdy tata kupował nasze bilety. Odpowiedź była lakoniczna, że cały dzień jest w Drachten i musi pracować, ale odezwie się wieczorem.

Kiedy wyszliśmy z kina, okazało się, że deszcz przestał padać i choć wilgoć unosiła się w powietrzu, było ciepło. Zabraliśmy rowery i tata zaproponował, żebyśmy pospacerowali w Zwette Bos.

– Przyda ci się świeże powietrze – stwierdził i czułam, że tu akurat wypełniał szczegółowe instrukcje mamy.

Pojechaliśmy więc w kierunku lasu i zaparkowaliśmy rowery przy moście. Silny wiatr

targał gałęziami drzew. Lasek był w zasadzie parkiem, zielonym terenem między łąką – gdzie zimą wylewano ogromne lodowisko, a latem pasły się owce – ruchliwą ulicą Leeuwarderweg a cmentarzem rzymskokatolickim z piękną kapliczką. Cmentarz otoczony był wysokim ogrodzeniem. W cieniu drzew przyjemnie się spacerowało, gdy pogoda dopisywała. Tamtego dnia jednak park był szaro-zielony i mokry, z liści kapały krople deszczu, a żwirową ścieżkę pokrywały kałuże, pomarszczone podmuchami wiatru, który strząsał ostatnie deszczowe krople na nasze głowy.

Ruszyliśmy mimo wszystko przed siebie drogą wzdłuż kanału, na którym kołysały się kaczki.

Byliśmy już w głębi lasu, gdy zadzwonił telefon taty. Zerknął na wyświetlacz.

– To jeden z klientów, przepraszam, ale muszę odebrać – powiedział.

Przez chwilę słuchałam jego rozmowy i zawiłych komputerowych sformułowań, szybko jednak się znudziłam. Rozejrzałam się wokół. Za niewielkim pagórkem między drzewami dojrzałam zamontowane na polance sprzęty do fitnessu. Obróciłam się do taty, ale był pochłonięty rozmową. Ruszyłam więc w tamtą stronę, żeby się czymś zająć. Ponad moją głowę silny wiatr przesunął szybko chmury i poruszał drzewami. Podniosłam wzrok na ich korony, idąc ścieżką. Nagle zadziwił mnie ten ogłuszający szum. Jeden liść jest cienki, lekki, nie wydaje najmniejszego dźwięku, upadając na ziemię, jeden liść nie ma znaczenia. Ale tysiące, może miliony zebranych razem, tworzyły orkiestrę. Obserwowałam ruch gałęzi, które zdawały się tańczyć do muzyki wygrywanej przez wiatr. Doznawałam jednocześnie zachwyty i przerażenia. Było coś niepokojącego w tym szaleństwie, które odgrywało się ponad moją głowę. Spomiędzy szumu moje uszy wyłapały odgłos kroków. Myślałam, że to tata mnie dogonił. Ale kiedy obejrzałam się za siebie, zobaczyłam dziwną postać starszego mężczyzny w błękitnej sukience. Mały pies przy jego nodze również mnie zauważył i nim spostrzegłam, rozpędził się w moim kierunku, szczekając okropnie. Nie ugryzł mnie, ale obskakiwał z każdej strony tak, że obawiałam się wykonać jakikolwiek ruch.

– Rosemary! Ty czorcie! – wrzasnął mężczyzna i pospieszył za psem.

Odepchnął go nogą, bo ręce pełne miał jakichś badyli. Mimo szarawej pogody nosił okulary przeciwsłoneczne, jego nieogolona twarz i sterczące włosy wyglądały nieświeżo. Klapki odsłaniały grube stopy, których paznokcie zdobiły resztki lakieru do paznokci.

– Przepraszam, przepraszam, młoda panienko, to nie mój pies. Czort jeden – sapnął mężczyzna.

Spojrzałam ponad jego ramieniem, gorąco licząc na to, że tata zaraz nadejdzie. Nigdzie jednak nie było go widać.

– Nic nie szkodzi – wydusiłam.

– To pies nieżyjącego przyjaciela. Tak...

– Bardzo mi przykro – wymamrotałam, zerkając ponownie w stronę, gdzie zostawiłam tatę.

Mężczyzna pokiwał głową i skubnął łodyżki badyli.

– To był cudowny mężczyzna. Taka szkoda... Wielka szkoda... Mówiłem mu, mówiłem, ale nie słuchał, nie posłuchał mnie. Tylko tego głosu. Tak... Kiedy tak długo pada deszcz, myślę o nim nieustannie. Często tu spaceruję, ale nie w deszcz. Rosemary nie lubi moknąć, robi się jeszcze bardziej drażliwa niż zwykle. O czym to ja mówiłem? Ach tak... Głosu posłuchał. Niestety. Czasem tak trzeba. Tak... Słuchać głosu i podążać za nim, nawet jeśli dochodzi

z ciemności, nawet jeśli nikt inny go nie słyszy. Ja mu mówiłem. Ale pojechał za tym głosem i ciemność go pochłonęła.

Pokiwał głową i zamyślił się, skubiąc badyle, z których kapały krople. Potem podniósł na mnie oczy, jakby dopiero mnie zobaczył, i poczułam jego spojrzenie zza ciemnych szybek okularów. Patrzył na mnie tak, że dreszcz przebiegł po moich plecach. Wyciągnął dłoń i pogładził mój policzek. Nie potrafiłam się ruszyć. Miałam wrażenie, że gdy jego palce dotknęły mojej skóry, mężczyzna niemalże podskoczył w dziwnym spazmie.

– Ty się zgubiłaś – powiedział nagle, chwytając mnie za ramię grubymi palcami, których paznokcie nosiły ślady czerwonego lakieru.

– Nie, ja... – zaczęłam, opanowując panikę. Chciałam mu powiedzieć, że nie jestem sama, ale strach ścisnął mi gardło. Dotyk jego dłoni, choć wcale nie mocny, zdawał się zadawać mi ból. Rozejrzałam się, szukając wzrokiem taty.

Mężczyzna nachylił się w moim kierunku. Zmroziła mnie jego bliskość. Ponad nami drzewa również skłoniły się pod naporem porywistego wiatru.

– Ktoś cię szuka – powiedział wyraźnie, rozluźnił uścisk i nie odwracając się, odszedł drogą między drzewami. Pies obszczał mnie wściekle jeszcze raz, a potem ruszył pędem za mężczyzną.

Chantal Simons

MUSIAŁAM JĄ ZNALEŹĆ. Szukać dalej. Teoretycznie wiedziałam, iż prawdopodobieństwo, że dawca pochodził z tego samego miasta co Evi, było niewielkie. Znikome. Mój analityczny umysł niemal wykluczał tę opcję. A jednak serce matki nie odpuszczało i kazało mi doprowadzić śledztwo do końca, nim odrzucę dziewczynę o bursztynowych oczach jako potencjalnego dawcę. Nie wiedziałam jedynie, jak mam się za to zabrać. Internet może i był niewyczerpanym źródłem wszelkich informacji, ale zdawał się czynić jeden jedyny wyjątek i to właśnie w kwestii dotyczącej przyczyn śmierci Finyi.

W mojej głowie jej postać urosła do rozmiarów nieodgadnionej tajemnicy, której cień przysłał wszystko. Twarz Finyi wracała do mnie w myślach i snach. Prześladowała mnie i zakłócała spokój. Zdjęcia profilu, postacie jej koleżanek, chłopaków, jej posty i słowa przez nią umieszczone otaczały mnie jak mgła, przez którą patrzyłam na świat.

Życie jest za krótkie na wątpliwości, lęki i żale. A szczególnie na nieodpowiednich ludzi.

Nie jestem księżniczką. Nie potrzebuję, by mnie ratowano. Jestem królową. To ja rządę tym chaosem.

Rodzisz się w jeden dzień. W jeden dzień umierasz. I to, co pomiędzy, też mija jak jeden dzień. To wszystko, co mamy. Ten dzień. Dziś. Więc spraw, żeby się liczył.

Ale były również cytaty, zaskakujące fragmenty wierszy poetów, których nazwiska nic mi nie mówiły, ale ich słowa wzruszały, fragmenty piosenek lub linki do utworów.

Z tych małych puzzli w mojej głowie tworzyła się postać dziewiętnastoletniej Finyi, osoby z krwi i kości, młodej dziewczyny z marzeniami, planami i tętniącym życiem. Nim spostrzegłam, w mroku późnych godzin nocnych Finya niemal zmartwychwstała w mojej wyobraźni.

Miałam świadomość, że moje przekonanie, iż to jej serce nosiła Evi, mogło być urojeniem. Nie miało bowiem żadnych podstaw. Nic nie wiedziałam o śmierci tej dziewczyny. Nie znałam jej, a jedyne informacje o niej, jakie posiadałam, pochodziły z portalu Facebook. Zdałam sobie jednak sprawę, że nie mogłam ruszyć dalej z poszukiwaniami potencjalnych dawców, dopóki nie dotrę do rozwiązania tej zagadki.

Velde. Nazwisko młodej kobiety z biblioteki mogło być czystym przypadkiem. Wszystko mogło nim być. Zbiegiem okoliczności, przez który traciłam czas. A jednak jeśli istniał choć cień szansy, że obie kobiety coś łączyło, musiałam zaryzykować. Choćby po to, by uwolnić się od ducha Finyi, którego sama przywołałam do życia.

W soboty biblioteka była czynna od dziesiątej. Weszłam do wnętrza przez automatycznie sterowane drzwi jako jedna z pierwszych czytelników. Miejsce za monitorem komputera w głębi pomieszczenia bibliotecznego było jednak puste. Rozejrzałam się zdezorientowana. Miałam jakieś złudne przekonanie, że ta młoda kobieta będzie na mnie czekała w tym miejscu, że jej widok doda mi odwagi i zmusi do zdobycia informacji, której potrzebowałam. Mój plan nie miał konkretnych szczegółów. Nie miałam również w zanadrzu planu B.

Nie bardzo wiedząc, co dalej, postanowiłam zaczekać. Podeszłam do automatu z kawą,

mieszczącego się w dziale z czasopismami, wzięłam papierowy kubek i nacisnęłam przycisk. Ciemny aromatyczny płyn wypełnił go po brzegi. Zająłam miejsce w jednym z wygodnych foteli. Po drugiej stronie w rogu siedział starszy pan z ogromną gazetą w pomarszczonych, drżących dłoniach. Co jakiś czas rozsuwane drzwi szumiały cicho, przepuszczając kolejnych czytelników. Wzięłam do ręki czasopismo, leżące na stoliku obok mnie, i próbowałam skupić się na jego treści. Moje spojrzenie ślizgało się jednak po powierzchni stron, nie mogąc znaleźć przyczepności. Czułam, że jestem podenerwowana, i tak naprawdę nie wiedziałam nawet, co tam robiłam. Skąd wpadł mi do głowy ten szalony pomysł? Nawet jeśli te kobiety były siostrami lub kuzynkami, jak miałam się tego dowiedzieć? Moje palce przewracały strony czasopisma automatycznie, a oczy nie rejestrowały treści. Dopóki nie natrafiły na zdjęcie reklamowe, przedstawiające matkę i córkę w objęciach – usta kobiety znajdowały się na czole dziewczynki, przybierając czuły gest.

Nie wiedziałam nic o matce Finyi. A przecież ona też straciła dziecko. Też. Jak mogłam tak pomyśleć? Evi żyła. To nie ja straciłam córkę. Tylko ta inna kobieta, której prywatność zamierzałam naruszyć i bezcześcić wspomnienia na rzecz teorii spiskowej, na której istnienie nie miałam nawet dowodu. Może Finya była dawczynią serca Evi. Ale przede wszystkim była czyjąś córką.

Fenna Velde szła powoli przez obszerne pomieszczenie biblioteki. W rękach trzymała wysoki stos książek. Jej granatowe, proste baleriny pasowały do idealnie wyprasowanej spódnicy. Patrzyłam na nią sponad mojego czasopisma. Fale emocji zalewały mnie raz po raz. Szukałam w jej twarzy jakiegokolwiek podobieństwa do Finyi, czegokolwiek, co pchnęłoby mnie do ostatecznego zagrania. Ale jedyne, co widziałam, to życzliwość w jej spokojnej, lekko nieśmiałej twarzy. Rodzaj miękkości, której nie chce się ranić, nawet nieumyślnie, nawet jeśli cel uświęca środki. Odłożyłam czasopismo, podniosłam się i opuściłam bibliotekę, żegnana cichym szumem rozsuwanych automatycznie szklanych drzwi.

Jakieś ciemne moce musiały sprzysiąc się przeciwko mnie, bo zdążyłam postawić jedynie parę kroków, gdy wpadłam na Carla i Evi. Ich widok wprowadził mnie w całkowite osłupienie i choć nie pytali o nic, zaczęłam wymyślać niestworzone historie o tym, co robiłam w bibliotece. Pożegnałam się najszybciej jak to możliwe, wyłapując jeszcze pełne konsternacji spojrzenie Evi. Nasze oczy spotkały się w tym dziwnym momencie, gdy obie nie bardzo już wiedziałyśmy, co o sobie nawzajem myśleć.

Dawno temu, kiedy Evi była mała, zwykła wyciągać do mnie rozpostarte paluszki, w zapraszającym, niemal błagalnym geście. Weź mnie, przytul mnie, Kochaj mnie, ochroń mnie. Mamo. Mamo...

A teraz stała przede mną, niezręcznie przestępując z nogi na nogę i rzucając nam niespokojne spojrzenia. Jakbyśmy byli obcymi ludźmi, którzy próbują udawać, że przynależą do jej życia.

Kiedy pędziłam rowerem ulicami miasta, omijając kałuże i ostre szpony parasoli, zrozumiałam, że jest jeszcze jedna opcja. Ktoś, kto wiedział. Ktoś, kto nie był emocjonalnie związany ze śmiercią Finyi. Koordynator do spraw transplantacji, Anne Nieuwkoop.

Osuszyłam włosy ręcznikiem, rozpakowałam zakupy i wrzuciłam mokre ubrania do pralki. Karol patrzył na mnie z wyrzutem, więc napełniłam jego miseczkę karmą, po czym wyszukałam w telefonie numer do Anne i wcisnęłam przycisk bez wahania i najmniejszych wątpliwości.

– Anne Nieuwkoop, słucham?

Jej głos w słuchawce brzmiał miło, profesjonalnie i gładko. Tak ją zapamiętałam. Choć

w mojej wyobraźni stała się nagle bramą chroniącą tajemnice, do których musiałam dotrzeć.

– Dzień dobry, z tej strony Chantal Simons. Spotkałyśmy się jakiś czas temu w związku z przeszczepem serca mojej córki, Evi Brouwer.

Sekunda milczenia, która była odpowiedzią, dała mi jasno do zrozumienia, iż Anne nie miała ochoty na sobotnie pogawędki przy kawie.

– Tak, oczywiście, pamiętam – zreflektowała się szybko kobieta. – W czym mogę pomóc? Czy z Evi wszystko w porządku?

– I tak, i nie. Chciałam panią prosić o jeszcze jedno spotkanie. To nie jest rozmowa na telefon.

– Nie za bardzo rozumiem, jaki byłby cel tego spotkania...

– Proszę panią tylko o pięć minut.

To samo krótkie wymowne milczenie, a potem lekkie westchnienie, ledwo słyszalne.

– Dobrze. Proszę mi dać chwilę, żebym mogła zerknąć do notatnika, kiedy będę znów w szpitalu w Sneek...

– Nie – powiedziałam stanowczo, odrobinę za ostro. – To nie może czekać.

– Ale...

– Jeśli poda mi pani adres domowy, dojadę dokądkolwiek trzeba. Pięć minut, o tyle proszę.

Nalegałam, wiedząc, że tę rozmowę musimy przeprowadzić w cztery oczy. Nawet jeśli nie wyjawi mi szczegółów przeszczepu, chcę zobaczyć jej reakcję. Szansa, że coś zdradzi w osobistej rozmowie, była większa niż podczas telefonicznego połączenia, które mogła w każdej chwili przerwać.

– Dobrze – westchnęła. – Jutro. Mieszkam na obrzeżach Leeuwarden.

Umówiłyśmy się na jedenastą na niedzielne przedpołudnie. Spędziłam cały dzień i wieczór, próbując nie myśleć o moich zwariowanych zamierzeniach i nie analizować. A przede wszystkim nie zmienić zdania.

Urodziłam się i wychowałam w Leeuwarden, znałam więc miasto dobrze, ale mimo to nowo wybudowany region na obrzeżu miasta był mi całkowicie nieznany i chwilę trwało, zanim odnalazłam właściwą ulicę. Domy wybudowano tu duże, luksusowe, z oknami do samej ziemi i błyszczącymi dachówkami, jeszcze nietkniętymi zielonym nalotem upływających lat. Ogródki były puste, między płytkami chodnikowymi nie wyrastały chwasty, a na wypielęgnowanych trawnikach stały cieniutkie, dopiero co zasadzone drzewka.

Może z powodu deszczu, a może z przyczyn letnich wakacji ulice były puste – żadnych dzieci na rolkach, hulajnogach czy biegnących za piłką. Wokół panowała niepokojąca cisza, w tle słyszałam jedynie szum odległej autostrady.

Zadzwoiłam do drzwi spóźniona trzy minuty. Niedzielną Anne nie miała na sobie garsonki, lecz dzinsy i kwiecistą lekką bluzkę. Przywitałyśmy się niezręcznie i widziałam w jej twarzy, że nie bardzo wie, czego ma oczekiwać.

Poprowadziła mnie przez minimalistycznie urządzone korytarz do jasnego pokoju z obszernym biurkiem, na którym stał jedynie laptop. Z kuchni dobiegały nas dziecięce głosy.

Anne zamknęła drzwi. Nie zaproponowała mi nic do picia, dając do zrozumienia, że naprawdę ma dla mnie jedynie pięć minut. Wskazała mi dziwnie uformowany fotel, jeden z dwóch, które stały przy maleńkim stoliku na metalowych, powyginanych nóżkach.

– Słucham. – Splotła dłonie na kolanach.

– Pewnie się pani domyśla, dlaczego tu jestem.
– Wręcz przeciwnie – odparła chłodno.
– Nie wiedziałam, że ma pani dzieci.
– Dwójkę. Ale chyba nie przyszła pani rozmawiać o moich dzieciach?
– Nie. Chodzi o moją córkę. Wiem, że naruszam pani prywatność, ale tu chodzi o moje dziecko.

– Które z tego, co rozumiem, dzięki pracy całego zespołu medycznego, jest zdrowe i cieszy się życiem – powiedziała, patrząc na mnie uważnie. Jej spojrzenie nosiło cień irytacji i zażenowania. Musiała myśleć, że całkowicie zwariowałam.

– Fizycznie. Tak. Fizycznie jest zdrowa i zawdzięcza wam życie. I temu sercu. Osobie, która umarła.

Oczy Anne zwęziły się, gdy zbliżałam się do wypowiedzenia na głos tego słowa.

– Evi żyje dzięki dawcy organu. Ale również dzięki niemu stała się inną osobą. Jakby ktoś wraz z tym sercem wszczepił jej nowe cechy charakteru, zachowania, preferencje, które dotąd nie były częścią jej osoby. Do czasu transplantacji.

– Proszę siebie posłuchać! To nie jest możliwe! Nie da się przeszczepić osobowości! Organ to jedynie tkanki, żywe tkanki, które przejmują zadanie starych, chorych lub zużytych.

– Mimo to moja córka wraz z nimi otrzymała coś, co nie należy do niej. Muszę odnaleźć dawcę – powiedziałam stanowczo.

Anne podniosła się raptownie.

– Już pani mówiłam i powtarzam po raz kolejny. Nie mogę pani pomóc. To są poufne informacje, na rozpowszechnianie których rodzina dawcy nie wyraziła zgody. To jest ich prawo i nie wolno mi go łamać.

Wstałam i postąpiłam krok w jej kierunku.

– W porządku. Rozumiem. Nie będę pani zmuszać do wyjawiania tajemnicy zawodowej. Powiem tylko jedno nazwisko. Jedno. Proszę tylko, żeby pani kiwnęła głową na tak lub nie. Obiecuję, że nigdy już mnie pani nie zobaczy, nikt się nie dowie. Tylko o to proszę.

Strumień słów wylewał się z moich ust błagalnym tonem.

Anne przygryzła wargę. Jej oczy unikały mojego spojrzenia. Miałam wrażenie, że moje słowa uderzały w niezłomną skalną ścianę.

Drzwi pokoju otworzyły się z trzaskiem. Sześcioletni chłopiec wpadł prosto na Anne, minawszy mnie, jakbym była jedynie nagromadzeniem powietrza, i objął ją mocno w pasie.

– Mamo! Erik mnie popycha!

Ręka Anne automatycznie powędrowała na głowę chłopca i pogładziła jego jasne włosy. Jej rysy wygładziły się w lekkim uśmiechu, niespokojne spojrzenie złagodniało. Skalna ściana runęła pod dotykiem małych rączek.

– Mama jest teraz zajęta, Ben. Zapewne twój brat nie chciał ci celowo wyrządzić krzywdy. – Anne pochyliła się nad synkiem.

– A właśnie, że tak! Eric jest głupi! – Wargi chłopca wykrzywiły się w płaczliwym grymasie. Przywarł do matki jeszcze mocniej. Anne uniosła go z trudem. Wtulił się w nią, nadal nie zwracając na mnie uwagi. Kobieta popatrzyła na mnie sponad jego jasnowłosej główki.

Nasze oczy się spotkały. Proszę, proszę. Moje usta bezgłośnie formowały słowa.

– Finya Velde – powiedziałam cicho, nie spuszczać z niej wzroku.

Powoli, niemal niezauważalnie, Anne skinęła głową, nadal ściskając w ramionach swojego synka.

Przez chwilę zabrakło mi tchu. Czy to możliwe, że moja matczyna intuicja mnie nie zawiodła? Że doprowadziła mnie aż tutaj? Stałam na środku pokoju w domu obcych ludzi, nagle zupełnie bezbronna i zdezorientowana. Tak bardzo koncentrowałam się na znalezieniu dawcy serca Evi, że nigdy nie pomyślałam o tym, co z tą wiedzą zamierzam uczynić. Pytanie jak olbrzymi podświetlany billboard rozbłysło przed moimi oczyma. Znalazłam ją. I co teraz?

Finn Velde

OBUDZIŁEM SIĘ W ŚRODKU NOCY ZE SNU, którego jakoś nie mogłem sobie przypomnieć. Wiedziałem tylko, że był ciemny i straszny, bo moje serce waliło jak oszalone, a ciało stało się gorące i ciężkie. Próbowałem się uspokoić, ale ciemność zdawała się mnie wsysać jak potężny wąż wypełzający z otchłani. Zapaliłem lampkę nocną i sięgnąłem po blok. Byłem zbyt zmęczony, żeby szkicować, ale przeglądanie prac odwracało moją uwagę od wspomnienia sennych koszmarów.

Za oknem znów padał deszcz. Od czasu do czasu błyskawica rozjaśniała niebo, a zaraz po niej do moich uszu dobiegał burzowy pomruk.

Poprzedniego wieczoru jeździliśmy z Sanderem po błotnistym terenie na obrzeżu miasta. Od roku stała tam tablica informująca o planach budowy nowego osiedla, jednak nic się nie działo. Miejsce zarosło trawą, gdzieś tam zdobiły je pagórki usypanej ziemi. Pojechaliśmy tam, kiedy już zapadał zmrok, żeby uniknąć kłopotów.

Kazał mi usiąść w swoim aucie za kierownicą, sam natomiast zajął miejsce obok. Za każdym razem ze stoickim spokojem pozwalał mi prowadzić swoje auto w warunkach, w których wszystko się mogło zdarzyć. Powoli uczył mnie, jak panować nad pojazdem, gdy koła ślizgają się po asfalcie, gdy zalewający szyby deszcz ogranicza widoczność do minimum, gdy zanurzone w błocie koła przez chwilę odmawiają współpracy, gdy podłoże jest grząskie, podmokłe lub sypkie. Tłumaczył mi i pokazywał, jak i kiedy zareagować, by auto nie wypadło z drogi na ostrym zakręcie.

Nie martwiłem się o trudne warunki, ale myślałem, że mógłbym rozwalić samochód Sandera, który nieustannie dopieszczał, była mocno stresująca. On zdawał się jednak nie mieć obaw i nawet w chwilach, gdy miałem wrażenie, iż auto żyje własnym życiem i zaczyna mieć swoją wolę, Sander pozostawał spokojny. Nie mogłem uwierzyć, że tak mi ufa. Zaciskałem palce na kierownicy, aż robiły się niemal białe, jakby krew przestawała w nich płynąć. Mój żołądek zwijał się w dziwnym skurczu strachu. W głowie zaczynało mi szumieć, myśli pierzchały. Wszystko wokół zmieniało się w tor przeszkód, w wąską ścieżkę, a po jej obu stronach rozciągała się niewidoczna dla innych oczu przepaść.

W takich chwilach miałem ochotę zgasić silnik i odwołać wszystko. Za każdym razem, gdy potężny skurcz strachu zaciskał mój żołądek, krzychałem wewnątrz swojej głowy. Ale obecność Sandera, jego rozluźniona twarz, spokojny głos instruujący mnie co chwila, były jak narkotyk, silniejszy niż lęk, rozsądek czy własna wola.

Sander nie pytał, dlaczego postanowiłem jednak jechać w wyścigu. Gdyby nawet zapytał, nie potrafiłbym jednoznacznie odpowiedzieć. Czułem jakiś przymus. Jakbym sam siebie chciał tym sposobem wyrwać z marazmu, zmusić do czegoś więcej, niż jedynie błędzić myślami, czując, jak dni uciekają.

Kiedy poprosiłem go, żeby mnie zgłosił, kiwnął tylko głową i zapytał, czy potrzebuję pomocy w wyborze auta i przygotowaniach. Odkupiliśmy jakiś stary wrak u jakiegoś znajomego Sandera, który przyglądał mi się podejrzliwie. W ciągu trzech dni silnik działał na tyle, by przetrwać wyścig. Malowanie należało do mnie i choć planowałem inny kolor, wkrótce karoseria była pokryta warstwą pomarańczowej farby. Objechaliśmy tym ognistym wrakiem kilka dróg między budynkami magazynów, po czym Sander załatwił kogoś, kto przewiózł auto do Drachten, gdzie miało czekać na wyścig. Nie skomentował koloru, co przyjąłem z ulgą. Interesowało go tylko, czy hamulce i silnik działają i czy umiem go odpalić.

Po zakończonej jeździe auto było obryzganę błotem aż po szyby. Moje mięśnie drżały jak po wyczerpanym wysiłku. Zatrzymaliśmy się w McDonalddie, żeby coś zjeść, a potem o północy szorowaliśmy samochód przed warsztatem dziadka Sandera.

Arjen nie pokazywał się od trzech dni. Po awanturze pod klubem był wściekły. Podobno odholowano jego auto na policyjny parking i jego ojciec musiał za to nieźle zapłacić.

Sander kłął często, bo do wyścigów zostało dziesięć dni. Ja również czułem upływ czasu. Sypiałem coraz gorzej, dławilo mnie napięcie, choć przecież wiedziałem, że nie wygram wyścigu. Dojechać do mety. O to chodziło. Przewyciężyć strach. Pokonać własne ograniczenia. Pokazać im, że mnie na to stać. Tak sobie mówiłem. Ale w ciemną noc, jak tamta, gdy świat za oknem szalał, miałem wrażenie, że w świetle błyskawic widziałem coś więcej, jeszcze jeden nienazwany powód własnego szaleństwa. Być bliżej Finyi, znaleźć do niej drogę.

Odgłos ulewnego deszczu przypomniał mi o Evi i dźwięk jej śmiechu wypełnił nagle moją głowę. W blasku lampki nocnej przewracałem strony notatnika, odszukując szkice postaci dziewczyny, rysunek jej twarzy, w której oczy pozostawały niemal puste. Patrzyłem na moje prace, czując wzbierającą złość na ich niedoskonałość. Miałem ochotę wyrwać kartki i pozbyć się ich widoku, ale tkwiłem nadal pochylony nad nimi, jakby wspomnienie tamtej chwili w deszczu powstrzymywało mnie przed zniszczeniem twarzy Evi.

Sięgnąłem do torby wsuniętej niedbale pod łóżko i wyjąłem z niej ołówki i suche pastele, których często używałem. Mama wiecznie narzekała, że nie może doprać rękawów moich swetrów, których mankiety miały wszystkie kolory tęczy.

W mroku nocy, sam ze sobą, czułem się najbezpieczniej. Moja dłoń zdawała się być wtedy odważniejsza i z nieokiełznaną śmiałością szkicowała to, czego moje oczy nie mogłyby znieść w świetle dnia. Patrzyłem, jak pod moimi palcami twarz Evi się zmienia. Gdy skończyłem, z jej twarzy patrzyły na mnie oczy Finyi, które niespodziewanie wypełniły puste dotąd spojrzenie. Wstrzymałem oddech. Miałem poczucie, że za oknem mojego pokoju nawet ulewa ucichła. Tęskniłem za moją siostrą.

Pod koniec tygodnia deszcze i burze ustały, ludzie wylegli na ulice. Miasto, jak zwykle o tej porze roku, zaczęła zalewać fala turystów, przybywająca na zbliżające się obchody Sneekweek. Kiedyś również braliśmy w nich hucznie udział, uczując z innymi na naszej łodzi, która teraz beczynnie kołysała się na kanałach w porcie. Po zimie ojciec zwodował jacht z hangaru, ale nie wypłynął dalej niż do zatoczki De Domp przy kempingu, gdzie cumowały inne łodzie.

Sander pracował nieustannie. W dzień w warsztacie, wieczorami w Drachten, gdzie

przygotowywał auto dla Arjena i trzy inne pojazdy. W sobotnie popołudnie mieliśmy wybrać się zobaczyć pracę nad przygotowaniem toru. Mimo iż widziałem już niejednego tor, Sander twierdził, że powinienem go zobaczyć przed wyścigiem. Zabraliśmy Evi z Placu Normandii, gdzie na nas czekała. Siedziała na murku po przeciwnej stronie ogromnego parkingu. Kosmyki jasnych, długich włosów opadały na jej ramiona i plecy, gdy tam siedziała, odchylając głowę do tyłu i rozkoszując się słońcem. Jej długie nogi leżały na murku. Słyszałem, jak Sander wciągnął powietrze. Wiem, jakie zrobiła na nim wrażenie, nawet ja nie mogłem pozostać obojętny na ten widok. Moje serce złapał krótki spazm, palce drgnęły, jakby automatycznie chciały sięgnąć po ołówek. Promienie słońca tańczyły w jej włosach. Musiała rozpoznać dźwięk silnika auta Sandera, bo kiedy podjechaliśmy, otworzyła oczy, zgrabnie zrzuciła stopy na chodnik i zeskoczyła z murku. Zerknęła na mnie, wsiadając na miejsce obok Sandera. Jej spojrzenie było ciepłe. Unikałem go jednak. Czułem się zażenowany moim gestem sprzed paru dni. Nie zwykłem nikomu pokazywać, a już na pewno nie dawać swoich prac, i nie byłem pewien, co Evi pomyślała o tym głupim szkicu. W tamtej chwili nie myślałem jednak jasno. Pytanie, które rzuciła mi w twarz w tej ciemnej ulicy w środku miasta, było jak wymierzony policzek. *Dlaczego nic nie robisz?* Więc nagle chciałem coś zrobić, złagodzić jej gniew. Słuszny zresztą. Nawet nie znałem tej dziewczyny, ale wszystko, co robiła, mówiła, uderzało we mnie i nie mogłem się obronić.

Na terenie, gdzie odbywały się wyścigi, postawiono już koparkę i ciężarówki z bramkami, mającymi zabezpieczać publiczność. Na poboczach drogi, którą miały za tydzień pędzić auta, piętrzyły się kopce czarnej ziemi. Sander przywitał się z organizatorem i grupką młodych mężczyzn pracujących na torze. Evi i ja zostaliśmy w tyle. Jeszcze było tam w miarę spokojnie, ale wiedziałem, jakie piekło rozpętuje się, gdy zaczynają warczeć silniki, a potem z łoskotem ruszają, rozbryzgując piach i błoto spod rozpędzonych kół. Zdawałem sobie sprawę z tego, jakie ryzyko niesie udział w nielegalnie organizowanym rajdzie. Tam wszystkie chwytaki były dozwolone, uczestnicy w większości pałali żądzą krwi, tkwili w uzależnieniu od adrenaliny i nie bali się uszkodzić nie tylko wraku, który prowadzili, ale również siebie lub kogoś innego. To nie byli wielbienie szybkości i turbodoładowania, lecz nieokiełznani szaleńcy, z lubością oddający się niszczycielskiej sile. Tacy jak Arjen.

Na udział w legalnym wyścigu nie miałem jednak szans. Aby stanąć na linii startowej, musiałbym być ubezpieczonym członkiem zarejestrowanego klubu motoryzacyjnego. Nielegalny rajd miał wiele zalet. Płaciłeś i nikogo nic więcej nie interesowało. Nikt cię nie sprawdzał, o nic nie pytał, nie prosił o wypełnienie formularzy, nic nie podpisywałeś. Jeśli wyszedłeś z wyścigu w jednym kawałku, to i tak już wygrałeś, jeśli nie, to szkoda. Widziałem gości wysiadających o własnych siłach z auta z otwartym złamaniem. Mówili potem, że adrenalina buzowała im w głowie tak, że nie czuli bólu.

Faceta, który wygrał poprzedni nielegalny autocross, wyciągali przez okno jego roztrzaskanego auta, bo miał tak wyłamany obojczyk, że wyglądał, jakby ktoś poprzestawiał mu wszystkie kości powyżej pasa. Ale wypił jeszcze całą butelkę szampana, zanim jakiś koleś zabrał go na pogotowie.

Kiedy stałem po kolana w piachu, obserwując rozciągający się przede mną tor, miałem ich wszystkich przed oczyma. Ich rozbite nosy, połamane ręce, strzaskane nogi. Słyszałem ryk silników, jazgot ocierającej się o siebie stali i trzask zderzających się aut. Wiedziałem, jakie wspomnienie kryło się głębiej, pod tym łoskotem rajdu samochodowego. To, które chciałem

ukryć. To, w którym dowiedziałem się, jak to wszystko brzmi, pachnie, gdy siedzisz wewnątrz pojazdu. To, od którego chciałem się wreszcie uwolnić.

– Finn? – Podskoczyłem wyrwany z zamyślenia. Evi patrzyła na mnie z uniesionymi brwiami. Spojrzałem na nią. W jej błękitne oczy, w których żarzył się bursztynowy płomień. – Strasznie masz poważną minę.

Odwróciła się i wspólnie patrzyliśmy teraz na Sandera, który parę metrów dalej przykląkł z kluczem w dłoni przy kole jednego z pojazdów. Mięśnie jego ramion napięły się z wysiłku, gdy dokręcał coś w skupieniu.

– Jakoś tak... bo nie pada deszcz – zażartowałem nagle.

Rzuciliśmy sobie porozumiewawcze uśmiechy. Zauważyłem bransoletki na jej lewej ręce, które odbijały światło. Finya też nosiła bransoletki. Tylko nie pamiętałem, na którym nadgarstku. Ile innych wspomnień umknęło mi niezauważonych...?

– Twój szkic... – zaczęła Evi trochę niepewnie. Odwróciłem wzrok, zażenowany faktem, że o nim wspomniała. Nie wiedziałem, jak zareagować. – Twój szkic... Oddałeś tak dokładnie, co wtedy czułam... Zawsze potrafiłeś tak pięknie rysować?

Wzruszyłem ramionami w odpowiedzi na ten komplement.

– Chodzisz do szkoły artystycznej? – zapytała.

Pokręciłem głową. Wolałem unikać tego typu pytań. Evi widać zniechęciła się moją lakonicznością, bo zamilkła. Sander machnął na nas ręką, dając znać, że mamy do niego dołączyć. Ruszyliśmy w kierunku prowizorycznego garażu pod metalowym zadaszeniem, gdzie grupka mężczyzn rozprawiała głośno, popijając piwo i oglądając auta. Parę metrów dalej mieścił się warsztat, zaaranżowany w budynkach gospodarczych. Dochodziły z niego dźwięki spawania. Sander przywitał się. Ktoś podał mu piwo i od razu został wciągnięty w szereg pytań. Ktoś otworzył maskę, jakiś silnik burknął i kolejne obowiązki pochłonięły go na dłuższy czas. Byłem przyzwyczajony, więc znalazłem sobie miejsce za wiatą, gdzie rozsiadłem się na trawie. Evi stała chwilę niezręcznie, niezauważana przez nikogo, a potem dołączyła do mnie. Wyciągnęła długie nogi na trawie.

– Załóż się, że potrafisz z łatwością naszkicować, co tylko chcesz – powiedziała, nie patrząc na mnie.

Zastanawiałem się, dlaczego znowu próbowała drażnić ten temat. Zacząłem już nawet żałować, że dałem jej wtedy szkic.

– Może – odparłem wymijająco.

– Pewnie nawet z zamkniętymi oczyma – dodała i popatrzyła na mnie.

– Nie no, oczy mi są jednak potrzebne – powiedziałem, choć wiedziałem, że są rzeczy i osoby, których szkic mógłbym wykonać bez unoszenia powiek.

– Narysowałbyś coś dla mnie? – zaskoczyła mnie tym pytaniem.

– Już to zrobiłem.

– Wiem, ale gdybym cię poprosiła.

Wzruszyłem ramionami. Nie wiem dlaczego, ale palce zaczęły mnie piec, tak bardzo miałem ochotę chwycić ołówek.

– Zależy, co byś chciała, żebym narysował – powiedziałem jednak.

– No... na przykład Sandera. – Wskazała ruchem głowy w kierunku grupki mężczyzn, wśród których jak młody bóg stał Sander. Obnażona klatka, podkoszulek niedbale wetknięty za

skórzany pasek džinsów, ramiona oparte o auto, nad którym się pochylał. Podniósł się powoli i sięgnął po puszkę piwa, stojącą na dachu pojazdu. Uniósł ją do ust, odchylając głowę. Skurcz w moim podbrzuszu dał mi znać, że czas odwrócić wzrok.

– Nie rysuję na życzenie – burknąłem.

– A jak ci zapłacę?

Uniosłem brwi.

– Nie rysuję również za pieniądze.

– Poważny błąd – prawie wykrzyknęła z przekonaniem. – Mógłbyś nieźle zarobić.

Byłem niemalże rozbawiony. Nie fatygowałem się jej wytłumaczyć, że kasy akurat mi nie brakuje.

– Nie, dziękuję.

– To po co rysujesz? – spytała po prostu.

– Bo muszę – odparłem. Miałem świadomość, że lepszą odpowiedzią byłoby: „Bo lubię”. Ale to była akurat najszczęsza prawda.

Pokiwała głową.

– Rozumiem – powiedziała. – Często szkicujesz portrety?

Jej oczy śledziły postać Sandera, moje próbowały unikać jego widoku. Podgrzewał mi krew w żyłach.

– Czasem.

– Używasz tylko ołówka?

– Nie tylko. Ołówka, węgla, pasteli suchych. Farby wybieram rzadziej, bo więcej z nimi zachodu, ale po nie też sięgam. Ołówek najłatwiej jest zabrać, ale mam w torbie zwykle węgiel i kredki.

– Wolisz rysować ludzi, zwierzęta czy pejzaże?

Zamyśliłem się.

– Nie wiem w sumie. Chyba nie wybieram tego na tej zasadzie. Widzę coś, co mnie porusza, i szkicuję. Moja... – urwałem przerażony. Prawie to powiedziałem. *Moja siostra lubiła szkice przedstawiające ruch.*

Evi patrzyła na mnie w oczekiwaniu.

– Tak? – Jej błękitne oczy miały znów ten bursztynowy błysk. A może jedynie chciałem to w nich zobaczyć.

– Nie, nic... Pić mi się chce. Idę po colę. Przynieść ci coś?

Podniosłem się, nim odpowiedziała. Czułem, jak coś we mnie płonie i wypala bolesny ślad. Zaciskając szczęki, odszedłem w kierunku warsztatu, gdzie znajdowały się napoje. Kiedy wróciłem, Evi nadal siedziała na trawie. Podałem jej puszkę coli, choć wcale nie prosiła mnie, żebym jej przynosił. Zająłem miejsce obok i przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu, obserwując harmider pod zadaszeniem spowodowany przybyciem Arjena i jego kolegów. Ktoś od razu włączył muzykę i z głośników umieszczonych na wysokich słupach ryknęło techno, raniąc moje uszy.

– Najbardziej lubię szkicować emocje, uczucia, chwile. Nieważne, czy jest to człowiek, drzewo, czy pies. Linie, kreski, kolory, cienie opowiadają wtedy jakąś historię, wyrażają to, co nie mieści się w słowach. Lubię, jak prace mają jakiś cień abstrakcji lub surrealizmu. Niekoniecznie bardzo oczywisty, czasem ukryty.

Nie wiem, dlaczego to powiedziałem. Może chciałem, żeby zrozumiała. Może z powodu tamtej chwili w deszczu. A może dlatego, że niespodziewanie Evi sprawiła, że zacząłem myśleć o Finyi. Ale nie tak, jak myślałem o niej dotąd. Przypomniała mi dobre chwile z moją siostrą. Tak naprawdę nie pamiętam, kiedy po raz ostatni się śmiałem. Ale jeśli kiedykolwiek się śmiałem, to na pewno z Finyą. I to słodko-gorzkie wspomnienie, okraszone poczuciem winy, zaległo we mnie jak ciężki głaz. Tyle rzeczy o niej zapomniałem i zapomniałem. Jak choćby to, że była najbliższym mi na świecie człowiekiem.

Evi spojrzała na mnie z zaciekawieniem.

– Chciałabym zobaczyć wszystko, co kiedykolwiek narysowałeś – powiedziała z rozbijającą szczerością.

Sięgnąłem po torbę i powoli wyjąłem z niej oprawiony w skórzaną okładkę szkicownik. Nie zwierzał wszystkich moich prac, jedynie kilka ostatnich i czyste strony, które świeciły zapraszającą pustką.

– Hej, Sander! On ci tę lalę podrywa czy przy niej waruje?

Donośny głos Arjena rozległ się ponad hukiem muzyki. Z oddali silniki warczały jak rozwścieczone psy. Nie zauważyłem, że zaszedł nas od tyłu. Zanim się zorientowałem, wyrwał z moich dłoni notatnik. Skoczyłem na równe nogi jak oparzony. Próbowałem jeszcze sięgnąć po moją własność, ale Arjen był szybszy. Odskoczył w bok, wymachując blokiem i śmiejąc mi się brutalnie w twarz.

– I co tam chowasz? Gazetki dla gejów? – Jakiś kolega Arjena parsknął śmiechem.

Zauważyłem, że Evi stała teraz obok mnie.

– Oddaj mu to – powiedziała spokojnie.

– Bo co? Poskarżysz się mamusi? – Arjen spojrzał na nią z obrzydzeniem i postąpił krok naprzód. Cofnąłem się automatycznie, choć nienawidziłem się za ten gest. Evi jednak stała nadal nieporuszona.

– Bo zadzwonię na policję i powiem im, co widziałam tydzień temu – powiedziała wyraźnie. Mój żołądek skurczył się boleśnie. Nie mogłem uwierzyć, że się nie przesłyszałem.

– Ty mała dziwko – syknął Arjen. – Wydaje ci się, że kim jesteś...?

Ruszył na nią, ale dokładnie w tym momencie tuż za nim pojawił się Sander. Zwinnym ruchem wyjął notatnik z jego dłoni, odwracając uwagę od Evi.

– Kurwa, Arjen, oddaj dzieciakowi zeszyt i zajmij się czymś pożytecznym. Mam dość roboty i bez pilnowania was – rzucił poirytowany przez ramię i szedł dalej, jakby nigdy nic, po drodze wpychając mi jeszcze mój szkicownik w rękę.

Arjen fuknął i poszedł za nim, ale mijając mnie, celowo zahaczył ramieniem tak, że prawie straciłem równowagę.

Z ulgą włożyłem blok do torby. Powinienem się cieszyć, że Sander ocalił mnie z tej sytuacji, ale zamiast tego czułem się urażony jego słowami. *Dzieciak*. Może miał rację? Może zachowywałem się jak małolat, który nie potrafił o sobie zadbać? Może nadszedł czas, by zacząć zachowywać się jak mężczyzna?

Zostaliśmy w Drachten do późnego wieczora. Było głośno i dużo zamieszania, więc plątałem się wszędzie, szukając sobie zajęcia albo chociaż spokojnego miejsca i próbując za wszelką cenę unikać kontaktu z Arjenem. Co jakiś czas zerkałem w stronę toru, który przybierał coraz bardziej konkretną formę. Sander porwał Evi ze sobą. Pod wieczór był już podпиты. Ale właściciel toru

i organizator rajdu w jednym wyglądał na zadowolonego. Przywiózł dla wszystkich hamburgery i frytki w ogromnej ilości. Piwo łało się hektolitrami.

Zapadał zmrok, gdy zaczęliśmy zbierać się w drogę powrotną, choć wiele osób pracujących przy organizacji rajdu dopiero zaczynało się rozgrzewać do całonocnego imprezowania. Znałem to aż nazbyt dobrze.

Sander zawiesił rękę na ramionach Evi i przyciągnął ją do siebie. Wiedziałem, że regularnie jeździł po alkoholu i nikt nie robił z tego wielkiej sprawy. Ale w jego gościu było coś niekontrolowanego. Kiedy podeszliśmy do auta, spojrzałem na niego. Był zmęczony, podpity i miał zamiar wsiąść za kółko. Ale to ja byłem dzieciakiem, którego należało pilnować.

Evi chyba pomyślała to samo, bo rzuciła mi niespokojne spojrzenie. Westchnąłem.

– Sander, ja będę prowadził – powiedziałem bez ogródek.

– Innym razem – odparł i dopił ostatnie piwo.

– Nie – odparłem stanowczo, po czym z naciskiem dodałem: – Tym razem.

– O co ci, kurwa, chodzi? – Rzucił puszkę na ziemię.

O Evi. Nagle chodziło mi o Evi. Wzruszyłem ramionami, jakby mi to nie robiło różnicy.

– O nic. Daj mi kluczyki.

Patrzyliśmy na siebie przez chwilę. Jego ciemne oczy w zapadającym mroku wydawały się ciemniejsze niż zwykle. Do dziś nie rozumiem, dlaczego na to poszedł. Rzucił mi kluczyki, które złapałem niezręcznie, i usiadł na tylnym siedzeniu, pociągając za sobą Evi. Moje dłonie drżały, gdy położyłem je na kierownicy. Kiedy wyjechaliśmy na drogę szybkiego ruchu, zjechałem na prawy pas i postanowiłem na nim zostać. Po lewej śmigali ci, którym dozwolona prędkość stu dwudziestu kilometrów na godzinę przeszkadzała w rozwinięciu skrzydeł. Włączyłem radio i zerknąłem w lusterko. Sander pochylał się nad Evi, jego dłoń wędrowała gdzieś pod jej podkoszulkiem. Całował ją łapczywie. Skoncentrowałem wzrok na drodze i podkreśliłem dźwięk, próbując ignorować myśli, które jak zdziczałe ptaki waliły ostrymi dziobami w szyby auta.

Odwieźliśmy najpierw Evi, której usta zdawały się pąsowe. Miała żdźbła trawy we włosach i ten dziwny błysk w oczach rozjaśniający ich błękit. Sander próbował ją namówić, żeby została, ale twierdziła, że obiecała mamie wrócić na czas.

Patrzyliśmy obaj, jak znika za rogiem budynku. Sander przesiadł się na miejsce pasażera.

Kiedy jakiś czas potem siedzieliśmy w aucie zaparkowanym pod domem jego dziadka przy Woudestraat, rozparł się wygodnie w fotelu i zapalił papierosa. Otworzył okna i dzikie ptaki wpadły z hukiem, raniąc moją głowę.

Siedzieliśmy w milczeniu. Ja zbierałem się na odwagę, on rozkoszował się papierosem.

– Sander?

– Hm? – mruknął. Powieki miał przymknięte, głowę odchyłoną do tyłu, wspartą o zagłówek fotela, a wargi lekko rozchylone. Znałem każdy milimetr jego profilu, oświetlonego teraz jedynie blaskiem ulicznych latarni. Mógłbym odtworzyć na papierze każdą kreskę z zamkniętymi oczyma. Ile razy wyobrażałem sobie, jak smakują te usta?

– Tamten wypadek... Chyba nadszedł czas, żeby powiedzieć prawdę.

Powoli odwrócił głowę. Jego oczy zdawały się teraz ciemniejsze niż kiedykolwiek wcześniej, jak dwie bezkresne czarne dziury, które wsysały wszystko wokół.

– Prawdę – powtórzył cicho, wbijając we mnie spojrzenie.

– Musimy powiedzieć prawdę. Chcę iść na policję.

Bardzo wolno pokiwał głową. I wypalił papierosa do końca, nie odzywając się. Kiedy wyrzucił niedopałek przez otwarte szyby, powiedział:

– Po wyścigu, OK? Pójdziemy po wyścigu.

Skinąłem. Nie wiem, czy mu uwierzyłem. Pewnie wierzyłem, bo nie miałem innego wyjścia. A może bardzo pragnąłem mu zaufać, uwierzyć w coś dobrego w nim, w przyjaźń, która nas łączyła. Ale chyba najbardziej zdawałem sobie sprawę z tego, że ten wyścig miał rozstrzygnąć coś więcej niż jedynie zwycięstwo na mecie.

– Po wyścigu – potwierdziłem.

Wracałem do domu piechotą przez ciemną Selfhelpweg, gdzie mieściły się hangary, magazyny, cumowały łodzie, a po prawej rozciągały się łąki. Było ciemno, niemal tak ciemno jak w moim życiu, do którego zdawał się nie docierać nawet wąty blask księżyca. W domu panowała cisza i mrok. Chciało mi się pić po tym przydługim spacerze. Ruszyłem przez obszerny korytarz do salonu. Gumowe podeszwy moich tramppek wydawały dziwny dźwięk na podłodze z jasnego gresu, który połyskiwał w miejscach, gdzie przez ogromne okna pokoju padało na niego światło księżyca. Salon był dużą otwartą przestrzenią połączoną z kuchnią, którą oddzielała wysepka. Pamiętałem, jak mama z wielką wnikliwością wybierała każdy szczegół tego domu. Finya cieszyła się z nowego miejsca, mnie przerażały zmiany. Parę lat temu, gdy się tu wprowadzaliśmy, okolica była pusta, trawniki jeszcze nie porosły zielenią, a z dużego tarasu wiszącego ponad wodą widać było ruchliwą ulicę Lemmerweg. Dziś wszystko się zieleniło, posadzono drzewa, budynki zapełniły się rodzinami, na wodach kanału cumowały łodzie kołyszące się lekko, ulice tętniły życiem, choć nawet to nie mogło ocieplić nowoczesnego, kanciastego stylu, w jakim wybudowano to luksusowe osiedle.

Przeszedłem przez salon. Unosił się w nim zapach mamy. Ściany zdobiły zakupione przez nią dzieła sztuki, z których była niezmiernie dumna. Otworzyłem lodówkę. Jasne światło uderzyło mnie w oczy. Dopiero wtedy usłyszałem za plecami szelest. Obróciłem się przestraszony.

– Coraz później wracasz do domu. – Mama siedziała na skórzanej sofie, okryta kocem, z lampką białego wina w dłoni. Nie miałem poczucia czasu, choć wiedziałem, że to nie na mnie czekała w środku nocy.

– Wiem. Przepraszam – odparłem pokornie i sięgnąłem do lodówki po puszkę coli. Zachłannie opróżniłem jej zawartość.

– Gdzie ty się podziewasz wieczorami? – Jej pytanie rzucone w mrok zawisło w niewidzialnej gęstej sieci tysiąca niezadanych pytań, które nie padły między nami.

Wzruszyłem ramionami, choć wiedziałem, że nie mogła tego widzieć.

– Wszędzie i nigdzie – powiedziałem, bo przyznanie się, że spotykam się z Sanderem, nie wchodziło w grę. – Idę spać, jestem padnięty.

Chwyciłem torbę i wbiegłem schodami na górę. Zrzuciłem trampki i nie ściągając ubrań, wyciągnąłem się na łóżku.

Zapach mamy mogłem z łatwością namalować kolorami. Pastelowy róż ze smugami fuksji, odrobina ciemnego fioleto i granatu, srebrne krawędzie. Kiedy twoje nozdrza wyczuły go, wiedziałeś, że była blisko jak nadchodzący zmierzch.

Finya pachniała inaczej. Jej zapach był świeży, intensywny, obezwładniający zmysły,

przysłaniający inne wonie. Zapach Finyi był pomarańczowy, żółto-złoty, oślepiający jak promienie słońca odbite na tafli wody. Czerwony jak żarzące się w ogniu węgle.

Przypomniałem sobie nagle, leżąc w ciemnościach pokoju, tę kłótnię, jedną z wielu, które toczyliśmy niestrudzenie. Mieliśmy po jedenaście lat. Wróciliśmy z wakacji na Arubie, opaleni i zmęczeni. Pamiętam, że nawet włoski na rękach zbieleły nam od słońca. Przywieźliśmy pamiątki, muszle, kamyki, pocztówki, bransoletki, wisiorki z koralikami i kolorowymi piórami. Jak się potem okazało, Finya w tajemnicy przed wszystkimi zabrała ze sobą coś jeszcze. To był nieprzyjemny zbieg okoliczności, że nasza pomoc domowa akurat wyjechała na urlop i mama sama musiała zmieniać pościel. Nigdy nie zapomnę jej miny i krzyku przerażenia, gdy podniosła poduszkę Finyi, pod którą ta schowała odnóża i skorupy krabów znalezione na plaży. Mama była wściekła. Wrzeszczała, że mam zawołać tatę, żeby sam to wyrzucił, bo ona nie dotknie tych obrzydliwych resztek. Wybuchła straszna awantura, w wyniku której miałem ochotę schować się do szafy. Ale nie Finya. Ona nie bała się gniewu mamy. Wpadła do pokoju jak burza przywołana wrzaskami, wyrwała ojcu worek na śmieci, w który zamierzał wrzucić jej skarby, i zaczęła krzyczeć, że to jest pogwałcenie jej prywatności. Nie wiem, co bardziej wkurzyło mamę. Fakt, że nieoczekiwane odkrycie przeraziło ją na śmierć, czy to, że Finya zamiast się ukorzyć i przyznać do błędu, była bardziej wściekła od samej mamy. Krzyczały na siebie, wymachując rękoma nad łóżkiem, na którym leżały rozrzucone szczątki krabów, a tata stał obok, usiłując się bezskutecznie wtrącić.

– Jeśli ważysz się tknąć moje rzeczy, ucieknę z domu i nigdy nie wrócę! – rzuciła Finya mamie w twarz.

– I bardzo dobrze! Wreszcie w tym domu zapanowałyby spokój! Kiedyś wpędzisz mnie do grobu! Albo siebie! – syknęła mama w odpowiedzi i trzaskając za sobą drzwiami, zakończyła dyskusję.

Tata chrząknął, zerknąwszy na bałagan na łóżku Finyi.

– Mama wcale tak nie myśli. Po prostu bardzo się przestraszyła. Proponuję, żebyś zorganizowała na te skarby jakieś pudełko i odpowiednio je oznaczyła.

Zabrał ze sobą pusty worek na śmieci i poszedł ugłaskać mamę, zostawiając nas samych ze szczątkami krabów. Przypomniałem sobie nagle, jak Finya ze łzami złości w oczach, mamrocząc pod nosem, wkładała z ogromną ostrożnością krabie odnóża do pudełka po butach. A ja patrzyłem na nią, jak zwykle onieśmielony jej gniewem, nawet jeśli nie skierowanym we mnie. Powinienem był ją przytulić. Zamknąć w ramionach. I powiedzieć cicho: „Płacz, Finya, wolno ci płakać, być czasem tą słabszą, tą, którą trzeba chronić”.

Obróciłem twarz, by stłumić nagły szloch w poduszce.

To ciekawe, że tak zaciekle walczyliśmy z najbliższymi ludźmi, że potrafimy się tak zajadle ranić. Pewnie dlatego, że wiemy, iż zawsze nam wybaczą, zawsze będą gotowi nas przyjąć. Żyjemy w głębokim przekonaniu, że w końcu pogodzimy się mimo wszystko. Nie da się jednak pojednać, gdy ludzi rozdziela śmierć.

Chantal Simons

FINYA VELDE BYŁA PIĘKNĄ DZIEWCZYNĄ, młodą kobietą, której życie zostało brutalnie przerwane. Nie znałam przyczyny jej śmierci, ale wiedziałam już, że jej serce uratowało moją córkę. I zmieniło ją.

Kiedy wróciłam do domu, miałam głowę pełną myśli. Zakończyłam dzień z mocnym postanowieniem, że powiem Evi prawdę. Pokażę jej zdjęcie dziewczyny, dzięki której żyje. Opowiem, jak znalazłam Finyę, że zrobiłam to dla niej. Byłam przekonana, że dam radę udowodnić jej, iż wszystko, przez co teraz przechodzimy, jest wynikiem przeszczepu. Wyjaśniłabym Evi, co to jest pamięć tkankowa. Leżąc w mroku pokoju, sam na sam z bezsennością, wyobrażałam sobie, jak moja córka patrzy na mnie z niedowierzaniem, jak jej oczy rozszerza zdumienie. Nagle twarz Evi przybrała poirytowany i rozczarowany wyraz oblicza Carla, by zaraz potem zmienić się w pobłażanie odmalowane na twarzy Silke. Oczyma duszy widziałam, jak Evi odsuwa się ode mnie, tak jak odsuwamy się od kogoś, kto brzydko kaszle, w obawie, że nas zarazi paskudną chorobą. Zasnęłam nad ranem zmęczona myślą, że tak naprawdę nie miałam pojęcia, co powinnam zrobić.

Evi wróciła po weekendzie u Carla w poniedziałkowy poranek, kiedy byłam już w pracy. Wieczorem przygotowałam dla nas domowej roboty pizzę, którą zjadła ze smakiem. Próbowałam rozmawiać z nią o wakacjach, wypytać, dokąd wyjeżdżają Sanne i Ilona, czy wie, co słyhać u Toby'ego, i czy ma jakieś ciekawe plany na najbliższy tydzień. Z każdym pytaniem dystans między nami zdawał się jedynie powiększać. Evi sprawiała wrażenie nieobecnej myślami, a ja straciłam pewność siebie i odwagę do realizacji mojego postanowienia.

Następnego dnia w przerwie na lunch skontaktowałam się z obsługą cmentarza w Sneek. Wiedziałam z ogłoszeń z kondolencjami, że tam została pochowana Finya. Wymyśliłam jakąś historyjkę o cioci z daleka, by uwiarygodnić moją prośbę. Okazało się jednak, że miejsce spoczynku podano mi bez problemu. Dowiedziałam się, że Finya nie miała grobu, lecz urnę.

Po pracy, zamiast do domu, pojechałam do kwiaciarni, gdzie zakupiłam bukiet pomarańczowych róż. Miałam poczucie, że one spodobałyby się Finyi najbardziej. I Evi. Jej też bardzo by się podobały. Na cmentarz prowadziła ulica Kerkhoflaan. Po lewej stały rzędy domków z czerwonymi dachami i małutkimi ogródkami pod frontowymi oknami. Po prawej natomiast wody kanału oddzielały drogę od budynków biegnących po drugiej stronie wzdłuż torów kolejowych. Kanał biegł poniżej poziomu ulicy, spadzisty trawnik na obu jego brzegach porastały brzozy, a kawałek dalej, za urokliwym kamiennym mostkiem, również wierzby, które moczyły gałązki w wodzie. Łódki leżały spokojnie, pomiędzy nimi od czasu do czasu przepłynęła kaczka lub czarna łyska. Było tu spokojnie, niemal sielankowo. Na samym końcu ulicy zobaczyłam potężną czarną bramę, której wrota były zamknięte. Jedynie bramka obok stała otwarta. Zaparkowałam rower parę metrów dalej i ściskając bukiet róż w dłoni, weszłam na teren cmentarza. Dzień był szary i po paru godzinach monotonnego deszczu wszystko pokrywała warstwa wilgoci. Mimo to górowała tu zieleń, z której jak kwiaty wyrastały niewielkie kamienne nagrobki. Spokój spoczywających dusz zdawały się chronić liczne drzewa, których korony bujnie rozrosły się ponad cmentarzem. Wąskie alejki przecinały zielony teren co jakiś czas, ułatwiając dotarcie do grobów. Gdyby nie fakt, że był to cmentarz, byłoby tu pięknie – oaza zieleni, spokoju i błogości. Skierowałam się w prawo, gdzie kończyły się trawniki i w ogromnych drewnianych ścianach w formie półkoli mieściły się urny. Widok nie był tak przytulny, jak tam, gdzie wszystko porastała roślinność. Powoli zbliżyłam się do jednej ze ścian i pośród wielu półeczek chronionych szybkami odnalazłam tę, za którą znajdowała się urna

z prochami Finyi. Niewielki pojemnik z pięknie wyrzeźbionego drewna oraz ze srebrną obręczą, na której wygrawerowano imię, nazwisko oraz daty urodzenia i śmierci. Niemal niewiarygodne, że mieścił ludzkie szczątki. Mała półeczka zawierała również kilka innych przedmiotów. Zdjęcie roześmianej Finyi oprawione w drewnianą ramkę, mały, realistycznie wyglądający jednorożec z długą grzywą, którego obecność tam wносиła dziwnie bajkową atmosferę, obok niego figurka dziewczęcego anioła z metalu – postać była pochylona na klęczkach nad kwiatem trzymany w dłoni, a skrzydła miała złożone po wyczerpującym locie. Tomik wierszy Rilkego w przekładzie na język niderlandzki, wciśnięty za urnę, płyta z muzyką zespołu, którego nazwa nic mi nie mówiła. Patrzyłam na te przedmioty, które przynieśli tu ludzie kochający Finyę, na rzeczy, które chcieli jej ofiarować, które miała zabrać ze sobą w tę ostatnią podróż, samotną i nieplanowaną. Moje serce zacisnął spazm bólu. Usiadłam na ławce przed drewnianą półokrągłą ścianą. Przypominała z tej odległości szachownicę. Zdjęcie Finyi zdawało mi się niemal hologramem, na którym poruszała się, odrzucała głowę do tyłu w spontanicznym śmiechu, przymykała powieki, a jej włosy rozsypywały się na ramionach. Położyłam róże obok siebie. I tak nie miałam gdzie ich zostawić. Nie mogłam się poruszyć pod ciężarem obezwładniającego mnie smutku. Co musiała czuć mama Finyi, gdy tu siedziała? Czy przychodziła często? Czy nie mogła znieść tego widoku, tego bólu? Czy myśl, że śmierć jej córki uratowała inne życie, przynosiła jej ukojenie, czy jedynie bunt, że ktoś inny żył, a jej córka musiała zginąć? Ile łez tu wypłakała? Ile przekleństw rzuciła w powietrze? Ile razy pękło jej serce, gdy budziła się w nocy i przez chwilę myślała, że to wszystko było jedynie złym snem, okropnym koszmarem, by zaraz potem zdać sobie sprawę z rzeczywistości i wyc z bólu w poduszkę nad niesprawiedliwością losu? Ile razy wyrzekała Bogu, że powinien był zabrać ją samą zamiast córki?

Zacisnęłam dłonie na krawędzi wilgotnej drewnianej ławki, ale było za późno. Łzy popłynęły same. To mogłam być ja. To mogła być moja córka. Gdyby nie Finya...

Nie wiem, jak długo opłakiwałam samą siebie, rzeczy, które się nie zdarzyły, i te, które naprawdę się wydarzyły. Po jakimś czasie znów powoli zaczął kropić ciepły deszcz. Otarłam łzy i odeszłam, zostawiając za sobą zroszone kroplami pomarańczowe róże.

Nie wiedziałam, co robić, miałam jednak poczucie, że moja droga powrotna do Evi wiedzie przez Finyę. Musiałam więc dowiedzieć się o niej jak najwięcej, by móc znów nawiązać kontakt z moją córką, odgrzebać z gruzów resztki naszej niegdyś ciepłej i bliskiej relacji. Nawet po trzęsieniu ziemi można przecież odbudować wszystko – może inne, może nowe, może silniejsze? I ta myśl po długich tygodniach zmagania i narastającej niechęci do własnej córki przyniosła mi nagły spokój. Nie mogłam negować obecności Finyi, nie mogłam odrzucać tego, co uratowało Evi, musiałam to zaakceptować i odpowiednio wykorzystać. Dużo bardziej niepokoiły mnie słowa Rixt, które wracały teraz do mnie. Słowa o tym, że serce miało spełnić misję, że kiedy poznam dawcę, zrozumie zachowanie Evi.

Nie rozumiałam jednak nic, poza tym, że to, co się działo, było prawdziwe. Od nowa przejrzałam profil Finyi na Facebooku. Tym razem bardzo dokładnie, z ogromną wnikliwością studiowałam wszystkie detale – w co się ubierała, czego słuchała, co oglądała, co czytywała, co lubiła robić, co chętnie jadała. Szczegóły wpisane w jej posty, komentarze, strony i linki, które polubiła. Twarze jej koleżanek, znajomych, przyjaciółek, chłopaków.

Następnego dnia w czasie przerwy na lunch popędziłam rowerem do sklepu, którego stronę internetową polubiła Finya. Ogłuszyła mnie muzyka techno bijąca po uszach z wszystkich głośników rozwieszonych w rozległym pomieszczeniu. Ubrania były w większości krzykliwe

i kolorowe. Stałam na środku lekko zdezorientowana, by wreszcie ruszyć w kierunku jednej z pracownic. Młoda dziewczyna w czarnym podkoszulku z nazwą sklepu uśmiechnęła się życzliwie. Wytłumaczyłam jej, iż szukam czegoś na prezent dla siostrzenicy i wiem jedynie, że lubi ubrania tej marki i mocne kolory. Dziewczyna dość szybko wpadła na pomysł i parę minut później stałyśmy w innej części sklepu przy luksusowych przymierzalniach. Na czerwonej skórzanej sofie leżały podkoszulki, sukienki i bluzy, które mi przyniosła. Przyglądałam się im cały czas, mając przed oczyma znaleziony niegdyś w praniu czerwony podkoszulek Evi.

– Wezmę ten. – Wskazałam palcem na biały obcisły T-shirt z trupią czaszką ułożoną z pomarańczowych kwiatów.

Kiedy dziewczyna pakowała go na ladzie do papierowej torebki, przyglądałam się wisiorcom, kolczykom i bransoletkom wiszącym obok kasy. Bransoletki... Pamiętałam, że Evi kupiła sobie niedawno na straganie w centrum miasta pęk brzęczących kółek.

– Czy to będzie pasowało do podkoszulka? – zapytałam dziewczynę, wskazując na sznur kolorowych koralików do owijania wokół nadgarstka.

– Pewnie! Proszę wybrać kolor.

Tego dnia wracałam do domu, jakby mój rower miał skrzydła, a nie pedały. Miasto, mimo deszczowej pogody, tętniło życiem i napływającymi zewsząd turystami. Kanały, na których tłoczyły się łodzie i jachty, były bardziej ruchliwe niż ulice. Mosty unoszono częściej niż zwykle, co blokowało skutecznie ruch drogowy i znacznie opóźniało dotarcie do celu. Wszystko z powodu zbliżających się obchodów Sneekweek.

Udało mi się wrócić wcześniej niż Evi. Postanowiłam zrobić jej niespodziankę. Wyjęłam papierową torebkę i ozdobiłam ją dużą kokardą. Dla pewności zapukałam do pokoju Evi, ale kiedy odpowiedziała mi cisza, pchnęłam drzwi i weszłam powoli. Postawiłam prezent na środku jej łóżka. Obróciłam się i już miałam wyjść, gdy moje oczy wyłapały rysunek przypięty pinezką do ściany nad biurkiem Evi. Wszystkie włoski na moim ciele uniosły się w wyniku dreszczu, który jak elektryczny impuls przebiegł nerwami. Utkwiłam wzrok w kartce papieru. Szkic bez wątpienia przedstawiał moją córkę. Nie to jednak wywołało taką reakcję. Podeszłam bliżej i oparłam drżące ręce na blacie biurka. Pochyliłam się w kierunku ściany. Nigdy jeszcze nie byłam tak blisko czegoś tak niewytłumaczalnego, ale podobieństwo nie mogło być przypadkowe. Twarz Evi na rysunku odrzucona była do tyłu, jej usta rozwarły się w spontanicznym śmiechu, powieki zostały przymknięte, włosy rozsypały się na rozpostartych jak skrzydła ramionach. To były nie te oczy, nie ten nos, nie te usta, nie te włosy. Wszystko było inne, ruch, emocje, wrażenie, identyczne jak to, co widziałam na zdjęciu Finyi umieszczonym przy urnie z jej prochami. Moje serce ścisnął skurcz. Opuściłam pokój i zamknęłam za sobą drzwi.

Na obiad usmażyłam hamburgery. Takie z plastrem boczku, sałatą, pomidorem i ogórkiem.

– Cześć! Co tak pachnie? – usłyszałam głos Evi dochodzący z korytarza. Trzasnęły drzwi. Wróciła.

Stała w kuchni. Miała zaróżowione policzki, włosy zwinięte wysoko na czubku głowy w kok, z którego wypadały jasne kosmyki, a oczy błyszczały w ten dziwnie niepokojący sposób, wprawiający moje serce w lekkie drżenie. Za każdym razem w odruchu lęku myślałam, że wyglądała, jakby miała gorączkę. Choć wiedziałam już, że coś innego paliło ją od środka.

– Hamburgery? – spytała wyraźnie zdziwiona.

– Nie chciało mi się gotować. – Wzruszyłam ramionami, podając jej kosz z ciepłymi bułeczkami. – Pomyślałam, że nie będziesz miała nic przeciwko temu, żebyśmy zjadły coś prostego.

– Nie mam absolutnie nic przeciwko!

Zajadała się z takim smakiem, że przyłapywałam się na przyglądaniu się jej z uśmiechem. Zamiast zadawać pytania i narażać się na ryzyko lakonicznych odpowiedzi, opowiedziałam jej o swoim dniu w pracy, nie zwracając sobie głowy tym, czy słucha. Po skończonym obiedzie pomogła mi zebrać naczynia i włożyć do zmywarki. Od czasu do czasu zerknęła na telefon, gdy dźwięk nadchodzącej wiadomości przerywał ciszę. Starłam stół, zerkając, jak kręci się po kuchni z komórką w dłoni, by w końcu udać się do pokoju.

– Mamo? – Wróciła dwie minuty później z papierową torbą ozdobioną ogromną różową kokardą. Uśmiechnęłam się pod nosem. – Co to jest?

– To dla ciebie. Ode mnie. Otwórz.

– Ale ja nie mam urodzin.

– Potraktuj to jako prezent z okazji zakończenia roku szkolnego, nagroda za dobry raport szkolny. Wiem, jak ciężko musiałaś pracować, żeby nadrobić materiał. No, otwórz.

Od razu wiedziałam, że podarunek jej się spodobał. Uniosła T-shirt, przyglądając mu się, a sznur koralików od razu wsunęła na nadgarstek.

– Podoba ci się? – spytałam.

Podniosła na mnie nadal zaskoczone spojrzenie, a potem bez słowa zarzuciła mi ramiona na szyję w krótkim, mocnym uścisku.

– Bardzo! – rzuciła z szerokim uśmiechem. – A tak w ogóle to chciałam cię zapytać, czy mogę w sobotę wyjść na dłużej. Obiecuję, że wrócę przed północą, może wcześniej.

Skinęłam głową. Żadnych pytań, przypomniałam sobie.

– Super – rzuciła i zniknęła za drzwiami pokoju, za którymi wkrótce rozległa się głośna muzyka.

Czułam się, jakbym odbyła jakiś maraton. Opadłam na krzesło przy kuchennym stole. Karol wygrzebał się spod sofę i przybiegł ocierać się o moje łydki. Miałam wrażenie, że Evi nie potrafiła się ze mną porozumieć, nie wiedziała, jak odpowiedzieć na moją potrzebę czułości i bliskości.

Z opowieści ludzi, którzy doświadczyli fenomenu pamięci tkankowej, wiedziałam, że jej efekty głównie dotyczyły nagłych wspomnień z życia dawcy, zmiany gustu, preferencji, smaku. Ale czy tkanki mogły przenosić ze sobą uczucia, emocje, które dominowały w życiu dawcy? A co, jeśli Finyi i jej mamy nie łączyły ciepłe relacje? Jedyne, co mogłam zrobić, to ufać, że to jest to, czego serce Finyi potrzebuje, by uwolnić moją córkę. I dać mu to. Jak niewiarygodnie to brzmiało!

Eksperymentowałam z czymś, czego nie potrafiłam zrozumieć do końca. Może podejmowałam zbyt duże ryzyko?

Sander Horst

NIE JESTEM ZŁYM FACETEM ANI CZARNYM CHARAKTEREM. Po prostu szybko się nauczyłem, że robienie złych rzeczy jest dobrze opłacane. Wiedziałem, że muszę sam o siebie zadbać, a to nie zawsze było proste. Czasem musiałem robić to, czego nie chciałem, by osiągnąć to, co chciałem.

Dziadek zwykł mi powtarzać, że jeśli wpadnę w kłopoty, najważniejsze to utrzymać głowę nad powierzchnią wody. I tak właśnie robiłem. Zapewniałem sobie największe szanse na przeżycie. W każdy możliwy sposób.

Zawsze mi się wydawało, że Finya funkcjonowała na tej samej zasadzie. Miała silną wolę przetrwania i własna egzystencja była jej priorytetem. W każdym zderzeniu z wolą innych ludzi Finya zawsze zostawała zwycięzcą. Silna, zdeterminowana i słodka. Nie udawała, że da się ugłaskać pod włos, mamici miłymi słówkami i że pozwoli komuś przejąć ster. Gdziekolwiek się pojawiała, przysłała wszystko inne. Gdyby ją rzucić na pożarcie wilkom, wróciłaby jako ich alfa.

Rozpoznałem w Evi coś z tego zdecydowania. Może to ono mnie do niej przyciągało? Było cichsze niż to Finyi, przyczajone, stonowane, ale od czasu do czasu wybuchało w najmniej oczekiwanym momencie, by potem przygasnąć równie niespodziewanie.

Nie podobało mi się, że zaczęła plątać się przy Finnie, któremu ostatnio dziwne pomysły wpadały do głowy, ale nie miałem czasu o tym myśleć. Wielki błąd. O tym miałem się jednak przekonać za późno.

Moja uwaga skupiała się na przygotowaniu aut do rajdu i pracy w warsztacie. Dziadek niby nie miał wielu klientów, ale zawsze było coś do zrobienia. Sam zresztą nie stawał się młodszym i coraz wcześniej wychodził do domu, zostawiając mi robotę do skończenia. Nie żebym miał coś przeciwko.

Wieczory spędzałem głównie z Finnem, żeby nauczyć go kontroli nad autem w trudnych warunkach. Nie wiem, skąd po tylu miesiącach wrócił do niego pomysł, żeby jednak jechać w rajdzie. Myślałem, że nigdy się nie ośmieli. Coś jednak zaskoczyło w jego głowie. Był zdeterminowany, choć tak niepewny siebie, że nawet kierownica w jego dłoniach drżała z trwogi. Tego wyczucia nie da się zresztą opanować w ciągu paru tygodni. Zrobiłem, co mogłem.

Napięcie rosło. Im bardziej zbliżał się termin wyścigu, tym krótsze były noce. Brak snu i adrenalina stanowiły niebezpieczną i odurzającą mieszankę. Miewałem momenty, gdy wydawało mi się, że funkcjonuję na jakimś dziwnym haju. Nawet gdy silniki aut cichły, wciąż jeszcze słyszałem w uszach ich warkot. Było albo gorąco, albo mokro.

Żyłem w stanie jakiegoś pobudzenia, które przybierało na sile. Szczypało, otumaniało.

I wtedy Finn wypalił coś o wypadku. Pociemniało mi przed oczyma. Moje nerwy jak puszczony luzem urwane kable elektryczne zaczęły skrzyć się niebezpiecznie, ranić od środka. Patrzyłem przez okno wypełnionego mrokiem pokoju, jak odchodził ulicą. Byłem zmęczony, ale już nie śpiący. Przez głowę wartkim potokiem płynęły myśli. Obrazy przesuwały się jak w zwariowanym kalejdoskopie. Wiedziałem, że było za późno, by zatrzymać mechanizm zdarzeń, który rozkręcił się na dobre. To tornado miało zniszczyć moje życie. Obudził mnie dzwoniący telefon. Była ósma rano w niedzielę.

– Kurwa, Arjen... Zdajesz sobie sprawę, że to mój jedyny wolny dzień, człowieku?

– Nie pierdol – rzucił. – Wyśpisz się po śmierci.

Albo w ciupie, pomyślałem mimowolnie.

– Co jest? – spytałem, pocierając zaspane oczy. Ciężar poprzedniego wieczoru nadal naciskał na moją klatkę piersiową, nie mogłem zaczerpnąć tchu.

– Szyby już wstawili, ale resztę trzeba mi naprawić.

– Dzisiaj?

– A kiedy, jak nie dzisiaj? Ojciec może odholować auto pod warsztat. Ocenisz straty.

Westchnąłem i podniosłem się.

– Dobra. Za pół godziny. Muszę chociaż wziąć prysznic.

Moja głowa pracowała na pełnych obrotach. Strugi wody spływały po moim zmęczonym ciele. Jakbym ostatniej nocy w ogóle nie spał. Myślałem o Finnie, o wyścigu, o Evi. Kurwa. Moja dłoń automatycznie zwinęła się w pięść, której cios spadł na twarde, mokre kafelki. Syknąłem i rozprostowałem przeszytą bólem dłoń. Musiał być jakiś sposób, żeby go powstrzymać. Przekonać.

Babcia smażyła coś w kuchni i cały dom wypełnił ciężki zapach przypalonego oleju. Chyba odezwała się do mnie, gdy ją minąłem, wychodząc, ale nie miałem akurat głowy do jej marudzenia. Wsiadłem do nagrzanego słońcem auta. Kiedy zatrzaskałem drzwi, miałem wrażenie, że znajduję się w hermetycznie zamkniętej bańce, do której nie mógł przeciec ani dźwięk, ani tlen. Mój własny oddech brzmiał jak echo. Miałem ochotę wysiąść i wrócić do łóżka. Ale Arjen czekał już na mnie pod warszatem. Telefon wibrował od jego niecierpliwych wiadomości. Przypomniałem sobie nagle kłótnię z Finną, jedyną kłótnię o Arjena. Wiedziałem, jak go nie cierpiała. Wściekała się, że robię dla niego za dużo, że daję się wykorzystywać i jestem na każde skinienie jego palca. Finna nie lubiła konkurencji. Była gotowa walczyć o każdą, nawet najmniejszą, porcję uwagi, jakby nikt jej nigdy tego nie dał do tej pory.

– Dlaczego to dla niego robisz? On nie jest tego wart! – pytała ostrym głosem, a jej oczy skrzyły się złością. Nie odpowiedziałem wtedy. Pozwoliłem się jej wykrzyzczyć i dałem do zrozumienia, że to nie jej sprawa. Nigdy potem nie wróciła do tego tematu, choć nie ukrywała niechęci do Arjena.

Otworzyłem okna i do wnętrza samochodu wpadł świeży powiew. Przekręciłem kluczyk w stacyjce i położyłem dłoń na kierownicy. Czas wziąć się w garść.

Bo Arjen zrobiłby dokładnie to samo dla mnie, Finna.

Arjen czekał już pod warszatem. Był lekko poirytowany. Siedział na masce swojego bmw. Zaparkowałem i wysiadłem. Obszedłem jego auto dookoła, dokładnie oglądając rysy na karoserii. Nowe szyby połyskiwały w słońcu.

– Głębokie? – Arjen zeskoczył z maski i wepchnął ręce w kieszenie markowych dresów.

Pokręciłem głową.

– Da się zrobić.

– Skurwiele zniszczyli też felgi. – Przykucnął i pokazał mi palcem uszkodzenia.

– To będzie do wymiany – powiedziałem.

– Masz coś na stanie?

– Coś mam, zaraz sprawdzę rozmiar.

Otworzyłem warsztat. Arjen wyjął sobie piwo z lodówki i włączył telewizor, a z jego głośników ryknęło techno. Godzinę później byłem już w trakcie roboty.

– Arjen? – Odłożyłem klucz i wytarłem dłonie w i tak już brudne spodnie. Staralem się bardzo, żeby mój głos nie zdradzał napięcia, nie żeby Arjen kiedykolwiek zwracał na takie rzeczy uwagę.

– No? – odparł, nie odwracając wzroku od ekranu, na którym jakieś plastikowe lale kręciły tyłkami.

– Słuchaj... chodzi o wyścig, o Finna konkretnie.

– Co z tą ciotą?

– Możesz go wyeliminować? – zapytałem w końcu. Zrobiło mi się jakoś sucho w gardle, więc sięgnąłem po puszkę z piwem, która stała na masce, ale trąciłem ją nieuważnie. Spadła, rozpryskując lepki płyn wokół mnie.

Arjen popatrzył na mnie z uniesionymi brwiami i lekkim niedowierzaniem.

– Co? Z wyścigu? Sam go przygotowałeś.

– Nie... – Kopnąłem i tak już pustą puszkę w kąt warsztatu, gdzie piętrzyły się zużyte opony.

– W ogóle. Z życia.

Obrócił się w stronę ekranu. Jakiś wielki łysy murzyn ze złotym łańcuchem na szyi obmacywał blond lalę w różowych majtkach, rapując jednocześnie. Patrzyliśmy na to w milczeniu.

– Dobra. – Arjen wzruszył ramionami jakby nigdy nic.

Evi Brouwer

ZNAŁAM DROGĘ. Mimo przysłaniającego wszystko tłoku wiedziałam, dokąd mam iść. Te same sylwetki bez twarzy, ich rytmiczny ruch, jakby tańczyły do muzyki, której nie słyszałam. Nie bałam się. Torowałam sobie drogę rękoma poprzez falujący tłum, który powoli rozstępował się i przeredzał. Minęłam figurkę Jezusa z rozłożonymi ramionami i twarzą pozbawioną oczu. Mimo to miałam poczucie, że śledzą każdy mój krok. Dotarłam do drzwi strzeżonych przez odzianą w czarną pelerynę i kapelusz postać z obliczem ukrytym za złotą maską. To ona pchnęła drzwi, za którymi rozlewała się ciemność. Jeśli się wahałam, to jedynie przez ułamek sekundy. Przekroczyłam próg. W okamgnieniu przeniosłam się w zupełnie inny mrok. Siedziałam w aucie na miejscu pasażera. Moje oczy powoli przywykły do panujących ciemności. Odwróciłam głowę. Ale miejsce obok mnie pozostawało puste. Byłam zupełnie sama w aucie. Za szybami rozprzestrzeniała się gęsta czerń. Jak farba, pomyślałam i mimowolnie napłynął do mnie obraz Finna i jego palców ubrudzonych węglem. Dopiero po chwili usłyszałam znów ten ciężki oddech, najpierw rytmiczny, głęboki, potem urywany, coraz płytszy, aż w końcu ustał. Przenikliwie zimny dreszcz przebiegł po moich plecach. Sięgnęłam do drzwi, ale klamka nawet nie poruszyła się pod moimi palcami. Byłam uwięziona w tej klatce ze stali i szkła, w tych ciemnościach. Lampy auta rozbłysły nagle, oślepiając mnie przez chwilę. Przesłoniłam oczy dłonią i spróbowałam dojrzeć coś w smudze światła. Nikogo tam jednak nie dostrzegłam. Poczulałam wzbierającą panikę. Byłam przerażona i rozjuszona jednocześnie. Zaczęłam szarpać klamkę i walić pięściami w okna, aż poczułam przeszywający palce ból. Nagle szkło jak za

dotknięciem magicznej różdżki rozprysło się z traskiem na tysiące odłamków.

Obudziłam się spocona. Brakło mi tchu, jakbym krzyczała przez długie godziny. Gorące promienie słońca wpadały przez szyby, nagrzewając pokój. Podniosłam się i otworzyłam okno, wpuszczając świeże powietrze. Telefon migał czekającymi na odczytanie wiadomościami, ale nim po niego sięgnęłam, leżałam przez chwilę, obserwując światło odbite w szybie okna. Nienawidziłam tych snów, z których nie potrafiłam się otrząsnąć. A jednak ten był najgorszym z wszystkich. Gdzie podziała się dziewczyna? Nagle bardziej niż zwykle odczuwałam palącą potrzebę jej osiągnięcia. Ale sen przysł, jakby go nie było. I pozostało jedynie uczucie niedosytu. Wzięłam do ręki komórkę i przejrzałam wiadomości. Sander domagał się spotkania. Był ostatnio niespokojny, bardziej roztargniony. Zrzucałam to na liczbę godzin pracy i zmęczenie.

Czasem do późnej nocy wysyłał mi wiadomości. Zasnęłam dużo później niż zwykle, kierowana jakimś poczuciem, że potrzebował wiedzieć, iż ktoś czuwa, podobnie jak on. Odkładałam telefon dopiero, gdy pisał, że się kładzie.

Chciał, żebyśmy spotkali się w czwartkowy wieczór, ale obiecałam rodzicom, że spędzę go z nimi. Tata zarezerwował nam stolik w restauracji tapas, co było cudem, w szczególności że miasto zalała fala turystów. Mieliśmy znów udawać szczęśliwą rodzinę, a ja powinnam grzecznie odegrać swoją rolę. Przyjechałam więc rowerem do warsztatu, przed którym dziadek Sandera rozmawiał z klientem. Odburknął coś, gdy się przywitałam.

Oparłam rower o metalowe pręty ogrodzenia i podeszłam do drzwi warsztatu. Głos Sandera usłyszałam, zanim weszłam do środka. Nie mógł mnie widzieć.

– Jakie to ma teraz znaczenie? Ona nie żyje! My tak! – mówił wzburzony.

– Ona była moją siostrą. Dla mnie to ma znaczenie. – Rozpoznałam głos Finna. Miękki, cichy, ale wyraźny.

– Słuchaj, Finn... – zaczął Sander.

Ale w tym momencie, próbując podejść bliżej drzwi, nieuważnie trąciłam jakąś rurę, która stała oparta o ścianę. Spadła, robiąc rumor. Wstrzymałam oddech i nie mając już wyboru, weszłam do wnętrza warsztatu.

– Cześć – powiedziałam niepewnie i uniosłam dłoń z papierową torebką z kanapkami.

Finn uśmiechnął się przelotnie na mój widok. Sander nie podniósł głowy znad silnika. Ręce miał umazane smarem, ciemne włosy potargane, a w ustach trzymał papierosa. Kiedy wreszcie na mnie spojrzął, zauważyłam niepokój, który błysnął w jego oczach. Nie potrafiłam wytłumaczyć, skąd wzięło mi się to wrażenie, ale zawisło jak cień między nami. Sander palił nieustannie. Jednego papierosa za drugim. Miałam poczucie, że coś nim targa od wewnątrz. Jakby dla równowagi, im bardziej nerwowy był Sander, tym spokojniejszy wydawał mi się Finn. Jakby burzowe chmury podążające za Sanderem pozostawały poza zasięgiem uwagi Finna. Jakby on sam znajdował się w bezpiecznej strefie, gdzie żaden sztorm nie mógł go osiągnąć. Wyczuwałam całe to napięcie jakąś częścią mnie, którą dopiero odkryłam. Obserwowałam sytuację, próbując nie ściągać na siebie irytacji Sandera.

Przywiozłam ze sobą kanapki ze snack baru, ale tylko nadgryzł jedną. Wypił za to całą puszkę piwa. I zaraz potem drugą. O siedemnastej zadowolony klient wyjechał z warsztatu naprawionym autem, a dziadek Sandera pożegnał się i wyszedł. Myślałam, że Sander wreszcie się rozluźni. Kiedy jednak nie miał czym zająć rąk, zrobił się jedynie lekko poirytowany. Najpierw podeszedł do drzwi i zaczął podciągać się na drążku z taką determinacją, jakby od tego zależało jego życie. Telewizor wył, dźwięki rajdu odbijały się echem od betonowych ścian

warsztatu. Gdy wreszcie zabrakło mu sił, zaczął układać narzędzia. Robił dużo hałasu i od czasu do czasu rzucał jakimś ostrym przekleństwem. Wstałam niepewnie, gotowa wracać do domu.

– A ty dokąd? – zapytał szorstko, ścisząc telewizor.

Zamiast strachu uderzyła we mnie fala złości. Moje palce odruchowo zwinęły się w ciasne pięści. Dlaczego miałabym mu pozwolić się tak traktować? Uniosłam dumnie podbródek i wytrzymując jego ciemny, ostry wzrok, odparłam:

– Do domu. Obiecałam rodzicom. Poza tym, jak widać, towarzystwo raczej nie jest ci dziś potrzebne.

Zadziwiająco, jak szybko wyraz jego twarzy nie tylko złagodniał, ale miałam wrażenie, że wręcz się rozpozodził. Czasem zdawało mi się, że Sander potrzebował kogoś, kto stanowiłby dla niego przeciwwagę, siłę, z którą musiał się nieustannie mierzyć. Jakby to właśnie nakręcało go do życia.

Finn podniósł głowę znad notatnika. Wyłapałam jego zaciekawione spojrzenie. Nagle zauważyłam, jakie ma piękne oczy. Bursztyn, żywica, ogień, iskra, zachód słońca, jesienne liście, lawa. Obrazy wybuchały migawkami w mojej głowie. Jakby to wszystko kryło się w jego oczach, w ich głębokim, świetlistym kolorze. Jak owad uwięziony w bursztynie. Moja uwaga przez chwilę rozproszyła się niczym roztrzaskane w pył cienkie szkło. Złość opadła. Fala ciepła napłynęła znikąd, wypełniając mnie dziwnie błogim uczuciem.

– No, no. Nie unoś się od razu. Tak tylko pytam. Podwieźć cię? Evi?

– Co? – Odwróciłam wzrok w jego stronę, przywołując się do porządku.

– Pytam, czy cię podwieźć.

Pokręciłam głową.

– Mam... yyy... Przyjechałam rowerem przecież.

Obróciłam się raz jeszcze, by przelotnie spojrzeć w te oczy, ale Finn pochylił się już nad szkicownikiem. Ołówek w jego dłoni biegł szybko po kartce i nie mogłam powstrzymać ciekawości. Co tym razem wyłaniało się spod ołówka?

Sander wyszedł ze mną na ciepłe letnie powietrze. Blask słońca prawie ranił moje oczy po spędzeniu paru godzin w betonowych ścianach ze sztucznym światłem. Chciałam sięgnąć po kierownicę roweru, ale poczułam dłonie Sandera. Przyciągnął mnie do siebie i oparł o szorstką ścianę. Jak w filmie, pomyślałam. Całował mnie z tą samą determinacją i wściekłością, która zdawała się targać jego wnętrzem. Przyparł mnie całym swoim ciałem do zimnej powierzchni. Zabrakło mi tchu, jego usta odcinały dopływ powietrza, jego ciężar boleśnie uciskał klatkę piersiową. Mimo to się nie broniłam. Zaciśnęłam palce na jego ramionach, jakby miały mnie utrzymać w pionie. Czułam, jak jego pożądanie nabiera rozpędu i kształtu, i wbrew rozsądkowi płomień, którym płonął, zaczął zajmować moje ciało, a poczucie otaczającej rzeczywistości falowało pod wpływem gorących płomieni.

– Zostań – szepnęła i jego gorące wargi musnęły moje ucho, wywołując dreszcz rozkoszy.

– Nie mogę, nie mogę. Nie dziś.

– Jutro? – zapytał, a jego zęby skubnęły małżowinę.

– Jutro – odparłam, łapiąc powietrze w zaciśnięte płuca.

Wsiadłam na rower. Moje nogi drżały, gdy naciskałam na pedały. Miałam wrażenie, że pocałunki Sandera były widoczne na mojej skórze jak znamiona wypalone żarzącym się żelazem. Jutro. Co konkretnie mu obiecałam? Wspólny wieczór czy siebie? Moje ciało

reagowało na niego wbrew woli umysłu. Nie mogłam go odepchnąć, odmówić mu, nie mogłam przestać chcieć, by robił ze mną te wszystkie rzeczy, o których wstydziałam się nawet myśleć. Ta część mnie, ta należąca do niego, była jakimś dzikim nieokiełznanym zwierzęciem, nad którym nie miałam kontroli.

Tego wieczoru po kolacji, w czasie której z uśmiechem przyklejonym na usta opowiadałam rodzicom dobrze brzmiące kłamstwa, poszliśmy na spacer po mieście. Kanały pełne były łodzi kołujących się na wodzie, obwieszonych lampkami jachtów, gdzie na pokładzie ludzie pili wino i rozmawiali głośno. Ulice tętniły radością, wrzawą, wciąż jeszcze ruchliwe nawet o tak późnej porze. Szłam między rodzicami, niespiesznie, z obu stron chroniona ich ciałami i obecnością. Rozmawiali, rozluźnieni wypitą przy kolacji lampką wina, głos mamy brzmiał dźwięcznie, przyjemnie, lekko i był pozbawiony tego tak często słyszanego napięcia. Przypominał mi dobrze znaną melodię, którą się nuci mimowolnie, wykonując proste czynności. Przez ułamek sekundy chciałam wsunąć palce w jej dłoń, poczuć, jak chwyta je mocno i zaciska rękę, jak mnie prowadzi wśród tego tłumu.

Telefon w mojej torebce zawibrował. Zerknęłam na rodziców i wyjęłam go.

No co tam, mała? Jak minął wieczór ze starymi?

Przeżyłam.

A przeżyjesz do jutra?

Co miałam mu napisać? Był niecierpliwy. Ja lekko przerażona. Zmieniłam temat.

Przyjedziesz po mnie jutro?

Jasne, przecież wiesz.

I co będziemy robić?

Nie wiem. Zależy, na co masz ochotę. Bo na co ja mam, chyba wiesz...

Czy grał ze mną w jakąś niebezpieczną grę?

Nie wiem. Na co?

Jego odpowiedź przyszła dopiero po chwili.

Na to, żeby zapomnieć na chwilę wszystko i wszystkich.

Czy byłam narkotykiem? Środkiem znieczulającym?

Może ja też chcę zapomnieć?

To da się załatwić. Jutro. Nie lubię czekać.

Już prawie jest jutro...

Kiedyś ktoś mi powiedział, że rodzimy się jednego dnia i jednego dnia umieramy.

I pomiędzy mamy też tylko dziś. Więc... już prawie dziś...

Patrzyłam na jego słowa, zapominając o świecie pogrążonym w delektowaniu się letnią, ciepłą nocą. Była we mnie kropla żywicy, ciepła, lepka, sącząca się leniwym strumieniem. Miałam wrażenie, że zastygnie wraz z tym ogniem, który uwięziony we mnie ocaleje na zawsze. Jak owad zaklęty w bursztynie, na wieczność.

Chantal Simons

PAMIĘTAM DOKŁADNIE, ŻE TUŻ PRZED OPERACJĄ EVI nie mogłam opanować nerwów. Przemierzałam korytarz szybkim krokiem, niemalże odbijając się od ścian. Moją córkę zabrano właśnie na salę i musiałam oswoić się z myślą, że nie pozostało mi już nic innego, jak tylko czekanie. Rozcierałam nerwowo palce, które w jakimś spazmie raz po raz zaciskały się w pięści. W pewnym momencie usłyszałam kroki i zobaczyłam ekipę chirurgiczną, zmierzającą w stronę szerokich drzwi, za którymi zniknęła Evi.

Zatrzymałam się natychmiast i obserwowałam w trwodze twarze tych ludzi, w których ręce oddawałam moje dziecko. Skinęli w naszą stronę, nie poświęcając nam wiele uwagi. Drzwi rozsunięły się bezszelestnie. Jeden z mężczyzn należących do ekipy chirurgicznej się obrócił. Nasze oczy się spotkały. Przez ułamek sekundy miałam wrażenie, że ruszy dalej, jednak się zawahał. Podeszedł do mnie i położywszy chłodną dłoń na moich drżących palcach, powiedział:

– Proszę pani, proszę odetchnąć. Przeszczep serca może wydawać się skomplikowany, ale w przeciwieństwie do wielu innych transplantacji organów jest prosty. Odłącza się starą, zepsutą pompę i podłącza nową. Wystarczy, że serce zacznie bić, tłoczyć krew, i cały organizm odżywa, i wraca do formy. Serce dawcy jest młode, silne, zdrowe. Pani córka również będzie.

Odszedł, nim zdążyłam zareagować na te nieoczekiwane słowa pocieszenia i wsparcia. Zniknął za drzwiami prowadzącymi do sterylnej pomieszczenia. Gdzieś tam leżała moja córka, jak śpiąca królewna dotknięta złym zaklęciem. Wierzyłam jeszcze, że ta armia w białych fartuchach odwróci zły los.

Złudne poczucie ulgi przysłoniło na chwilę strach.

Ponad pół roku później miałam wrażenie, że chirurdzy byli jak pracownicy zakładu elektronicznego. Podłączali kable w odpowiednie miejsce, dbali, by prąd przepływał i dostarczał energię elektryczną do źródeł. Nie mieli jednak pojęcia, co wyzwalala.

Dni mijały. Początek sierpnia przyniósł poprawę pogody, co jedynie spotęgowało napływ masy turystów. Wyjście do miasta oznaczało przepychanie się w tłumach. Kafejki były pełne po brzegi, podobnie jak kanały, na których cumowały jachty i łodzie z flagami holenderskimi, fryzyjskimi, niemieckimi i belgijskimi. Mimo wakacyjnej atmosfery mój nastrój był daleki od optymizmu.

Ciężar w mojej piersi rósł i przepełniał mnie. Poznawałam Finę coraz bardziej. Obejrzałam filmy, które oznaczyła jako ulubione, wysłuchałam piosenek, odszukałam tomiki cytowanych poetów.

Czułam się jak szpieg prowadzący podwójne życie w imię tajnej akcji, której powodzenia nie mogłam być pewna. Nie miałam planu, wytycznych ani jasno określonego celu. Nie wiedziałam, kto był moim wrogiem, a kto sprzymierzeńcem.

Nieraz myślałam o Carlu. Jakby to było dobrze, gdybym mogła zrzucić na niego choć część tego ciężaru, który uciskał każdą część mojego ciała. Jaka to byłaby ulga dźwigać ten bagaż razem. Wiedziałam jednak, że nie mogłam ryzykować już i tak nadwreżonych moją obsesją kontaktów.

Myśl o Rixt przyszła nagle. Z nią przecież mogłam rozmawiać szczerze. Zadzwoiłam. Tamtego dnia i każdego następnego, ale nie otrzymałam żadnej odpowiedzi. Dzwoniłam rano, po południu i późnym wieczorem. *Cześć, tu Rixt. Teraz nie mogę odebrać. Zostaw wiadomość, może oddzwonię.* Głos w słuchawce powtarzał wesoło tę samą informację. Nagranie musiało pochodzić jeszcze z czasów, gdy Rixt dzieliła życie ze swoim mężem. Najpierw byłam zirytowana, potem sfrustrowana, dopiero po trzech dniach tknął mnie dziwny niepokój. Nie

znałam dobrze tej kobiety, jednak łączyło nas coś niedostępnego innym ludziom.

W czwartkowy wieczór, kiedy Evi brała szybki prysznic, wzięłam do ręki telefon. Wybrałam numer do Anne Nieuwkoop.

– Umówiliśmy się przecież, że nie będzie mnie pani już nękać. – Usłyszałam jej zniżony i ostry jak ostrze noża głos. Żadnego powitania. Nawet nie starała się być miła. Rozumiałam to zresztą doskonale.

– Wiem, wiem. Nie dzwonię do pani w sprawie Evi – zaczęłam tłumaczyć szybko, żeby nie dać jej szansy na rozłączenie się.

– Czego pani chce?

– Chodzi o Rixt. Rixt Edelman. Kobietę, której mąż...

– Wiem, o kim pani mówi – przerwała mi. – Co z nią?

– Nie odbiera telefonu. W ogóle. Nie znam jej rodziny, nie znam nawet jej samej zbyt dobrze. Nie wiem, kogo mogłabym zaalarmować. Pomyślałam, że może pani...

– Pewnie jest na wakacjach. – Anne wyraźnie nie miała ochoty na tę rozmowę. Przerzywała mi niecierpliwie.

– Na wakacjach? Czy pani na pewno zna Rixt?

Usłyszałam, jak wzdycha. Obie wiedziałyśmy, że Rixt nie mogła wybrać się na urlop.

– Nic nie obiecuję. Ale zobaczę, czy dam radę to sprawdzić.

– Dziękuję! – powiedziałam z ulgą dokładnie w momencie, gdy połączenie zostało przerwane.

Kiedy parę godzin później zostałam sama w pustym mieszkaniu, za oknami którego świat rozpoczynał wielkie uctowanie, moje wrażenie podwójnego życia jedynie przybrało na sile. Nie byłam sobą. Nici łączące mnie z bliskimi wyslizgiwały mi się z palców. A mimo to brnęłam dalej w tę paranoję. I być może miałam zniknąć tak, jak Rixt...

Evi Brouwer

NIE DA SIĘ DORASTAĆ W SNEEK, nie wiedząc nic o obchodach Sneekweek. Na cały tydzień miasto ogarniała gorączka niekończących się imprez i koncertów. Nawet nocą ulice pełne były muzyki i dźwięków. Przelewały się tysiące litrów piwa, bary i kafejki były wiecznie przepełnione i zdawały się otwarte całą dobę.

Sneekweek zaczynał się w pierwszy piątek sierpnia. Nie wiem dlaczego, ale tak było od zawsze. Na okolicznych jeziorach organizowano zawody żeglarskie z użyciem *skutjes* – tradycyjnych fryzyjskich łodzi, służących niegdyś do transportu ziemi, ziemniaków i innych produktów po wodach śródlądowych. W piątkowy wieczór, otwierający obchody, urządzana była parada łodzi przez główne kanały miasta, a około jedenastej organizowano huczny pokaz sztucznych ogni. Zaraz potem swoje bramy otwierało wesołe miasteczko, przez tydzień zajmujące plac Martiniplein. Tak rozpoczynało się całkowite szaleństwo.

Jako dziecko podziwiałam te widoki bezpiecznie z wysokości ramion taty, które unosiły mnie ponad tłumem. Potem choroba zbudowała szybę, oddzielającą mnie skutecznie od

wszystkiego.

Tamtego wieczoru jednak po raz pierwszy byłam w centrum imprezowej gorączki, niczym niechroniona, wchłonięta przez tłum i niesiona jego wartką falą.

Zaparkowanie auta było niemal niemożliwe. Centrum miasta zostało zamknięte dla ruchu drogowego. Dotarliśmy piechotą do mostu Wonderbrug, skąd mogliśmy podziwiać łodzie i pokaz sztucznych ogni. Wody kanału niosły echo muzyki. Staliśmy w ścisku. Ciało Sandera przylegało do mojego, a jego ramiona otaczały mnie ciasno.

Niebo nad nami skrzyło się kolorami wybuchającymi wciąż od nowa. Eksplozja barw odbijała się w ciemnej toni wody. Już nie wiedziałam sama, gdzie kończy się ziemia, a gdzie zaczyna sklepienie.

We mnie samej eksplodowały emocje, jakby każde uderzenie mojego serca było erupcją wulkanu, jakby to nie krew, lecz gorąca lava płynęła przez moje ciało. Sander wlewał piwo w moje usta, a ja przyjmowałam każdy łyk i każdy pocałunek. Szeptał coś do mojego ucha głosem schrypłym od alkoholu. Jego oddech był gorący jak para. Jego dłonie wyrysowały fantazyjne wzory na mojej skórze pod cienkim materiałem bluzki. Kręciło mi się w głowie, ale śmiałam się jak dziecko na karuzeli.

Telefon w małej, kolorowej torebce przewieszony przez ramię zawibrował. Wyjęłam go, wiedząc, że wiadomość na pewno wysłała mama. *Dobrze się bawisz? Czy pokaz sztucznych ogni był imponujący? Ja idę już spać. Gdzie jesteś? Wiesz, o której mniej więcej wrócisz do domu?* Westchnęłam. Nie chciałam, żeby psuła mi wieczór, przypominając o powrotach do domu. *Tak, jest super. Pokaz był fantastyczny. Chcę zostać jeszcze trochę w mieście. Wrócę na noc, tylko późno, nie martw się!*

Ruszyliśmy wraz z falą imprezowiczów ulicami miasta, które przyozdobiono chorągiewkami i lampkami. Z placu Martiniplen dochodziła już ogłuszająca muzyka wesołego miasteczka, które migotało kolorami i światłami. Olbrzymie koło diabelskiego młyna kręciło się, unosząc ludzi pod niebo. Patrzyłam zachwycona, gdy je mijaliśmy. Sander zerknął na mnie i wyrzucił niedopałek papierosa.

– Chodź. – Zarzucił ciężką rękę na moje ramiona i poprowadził mnie w stronę budki z biletami.

Moja mama umarłaby ze strachu, gdyby to zobaczyła. Dla niej każdy akt odwagi był w istocie aktem szaleństwa. Ja jednak dałam się usadowić w kołyszącym się niebezpiecznie wagoniku, od którego moje zawroty głowy przybrały na sile. Pracownik wesołego miasteczka zablokował metalową ramę. Parę minut później koło zaczęło obracać się powoli, unosząc nas ponad dachy budynków. Miasto nocą z tej wysokości wyglądało przepięknie i tajemniczo. Dźwięki muzyki niesionej wiatrem z różnych stron mieszały się ze sobą. Ciemność rozświetlały punkciki świateł rozsypane po ulicach jak gwiazdy. Wagonik frunął coraz wyżej, by powoli opadać i znów się wznosić. Leciałam. Rozglądałam się z ustami otwartymi z zachwytem. Sander pochylił się nade mną. Jego oczy skrzyły się, a usta spadły pożądliwie na moje. Powoli wsunął dłoń między moje uda, które rozwarły się bezwiednie. Co by było, gdybyśmy teraz spadli? Nie zauważyłabym nawet, że zginęliśmy. Kiedy jego palce zaczęły delikatnie masować miejsce ukryte pod cienkim materiałem majtek, poddałam się posłusznie. Gdzieś w tyle głowy wiedziałam, że wisimy sześćdziesiąt metrów nad ziemią pomiędzy innymi wagonikami pełnymi ludzi.

Kiedy znów zjechaliśmy na dół i pracownik odblokował metalową ramę, wysiadłam na

drżących nogach z piekącymi policzkami. Finn czekał na nas oparty o jedną z wielu barierek oddzielających atrakcje. Arjen i jego koledzy wrzeszczeli, zderzając się miniautkami na przeznaczonym do tego zadaszonym torze. Sander pomagał mi zejść z metalowych schodków, gdy poczułam nagle, że ktoś dotyka mojego ramienia.

– Evi! – Ilona przechyliła się przez barierkę, która nas oddzielała. – Cześć! Co u ciebie?

– Cześć... – Miałam wrażenie, że jej twarz znałam z poprzedniego życia, że była głosem dochodzącym zza niewidzialnej szyby. – Dobrze, dobrze. A u ciebie?

Zauważyłam, jak zerknęła na Sandera o ułamek sekundy za długo, ześlizgując się wzrokiem po jego ciele. Zjeżyłam się wewnątrz.

– W porządku! Moi rodzice wyjechali na wakacje, więc korzystam z wolności! Nie wiedziałam, że też tu jesteś. Sanne przyszła ze mną, ale stchórzyła. Kręci się gdzieś ze swoim chłopakiem. Poszukaj jej!

– Dobrze, poszukam – skłamałam, rzucając jej blady uśmiech, i dałam się pociągnąć dalej dłoni Sandera.

Ruszyliśmy w miasto, niosąc plastikowe kubki ze zbyt ciepłym piwem. W niektórych miejscach trzeba było przepychać się przez tłok. Wiedziałam, że jestem podpita. Wszystko wokół falowało lekko, szumiało mi w głowie i nie wiedziałam dokładnie, gdzie jestem. W pewnym momencie Sander poprowadził mnie w jeden z wąskich przesmyków między budynkami, gdzie ściany stoją tak blisko siebie, że dwójce ludzi trudno się minąć bez dotykania się. Przyparł mnie do szorstkiej powierzchni. Pachniał piwem. Palce jego dłoni zaplątały się w moje włosy, druga dłoń zjechała po brzuchu. Wsunął ją pod materiał majtek. Odepchnęłam go lekko.

– Nie drażnij się – mruknął, przyciągając mnie znów.

– Ktoś nas zobaczy – jęknęłam błagalnie.

Westchnął. Słyszałam, jak oddycha.

– Wiem, dokąd możemy iść. Chodź – powiedział rozkazującym tonem i pociągnął mnie w przeciwną stronę niż ta, z której tu przyszliśmy.

– A reszta? – spytałam.

– Reszta sobie poradzi.

Obejrzałam się jeszcze za siebie. Na końcu przesmyku w świetle ulicy stał Finn. Nieruchomy, z rękoma spuszczoneymi wzdłuż ciała. Miałam wrażenie, że byliśmy w długim ciemnym tunelu, który rozciągał się między nami. Finn patrzył, jak odchodzimy.

Sander jechał za szybko. Był podpity, tak jak ja. Zaparkowaliśmy przy zamkniętym parkingu w przystani De Domp, po czym ruszyliśmy w stronę wody. Jedynie parę łodzi cumowało, kołysząc się delikatnie. Było tu cicho, choć echo przynosiło z daleka odgłosy imprez w centrum miasta.

– Masz łódź? – spytałam z niedowierzaniem, gdy podeszliśmy po pomoście do jachtu o pełnym gracji imieniu *Evelien*.

– Nie, nie jest moja, znajomego. Ale mam klucz.

Zeszliśmy pod pokład, gdzie wszystko pachniało luksusem. Ławki obite były kremową skórą, a kajuta w części sypialnej została wyposażona w duże łóżko zasłane jasnobłękitną pościelą. Odłożyłam na bok torebkę z telefonem i kluczami do domu.

Sander nie powiedział nic więcej. Ściągnął podkoszulek i rzucił go na ziemię. Zdjęłam

trampki i pozwoliłam mu zsunąć moją spódniczkę. Czułam motyle w podbrzuszu i tę kroplę cieplej, lepkiej żywicy między udami, która sączyła się powoli. Moje serce zdawało się zbyt duże i zbyt silne dla mojej klatki piersiowej, już nie było ptakiem uwięzionym w klatce z żeber, lecz potężnym stworem z baśni, który miał strzaskać ją jednym machnięciem skrzydeł. Sander napierał na mnie ciałem i pocałunkami. Był silny i z każdą minutą rosnącego pożądania brutalniejszy, jakby i w nim obudziła się jakaś bestia, której imienia jeszcze nie znałam. Popchnął mnie na pachnącą pościel. Ciężar jego ciała zaparł mi dech w piersiach. Jego dłoń odnalazła moją pierś i zacisnęła się na niej. Zauważyłam, że uwolnił się ze spodni i bokserek, ale nie miałam śmiałości otworzyć oczu, czując parzące ciepło jego ciała na mojej skórze i coraz bliżej miejsca, które pulsowało pragnieniami. Chciałam, żeby powiedział mi, że mnie kocha. Czekałam na to, jakby te słowa miały być szyfrem otwierającym moje bramy. Chwycił moją dłoń stanowczo i położył ją na swoim członku, a potem odchylił głowę i jęknął cicho. Moje palce poruszały się powoli. Szepnął coś. Gdy powtórzył słowo uwolnione gorącym oddechem, zamarłam. *Finya. Finya.*

Wszystkie motyle w moim podbrzuszu zmieniły się w kamienie. Poczułam ciepłą, lepką wydzielinę na moich palcach. Fala mdłości i przerażenia uderzyła we mnie z siłą, która pozbawiła mnie oddechu. Uwolniłam się spod jego ciała, w pośpiechu obciągając podkoszulek. Chwyciłam z podłogi moje trampki i spódnicę i zaczęłam wbiegać na pokład, goniona jego wołaniem. Biegłam boso przez pomost, a potem pusty parking, ściskając w dłoni swoje rzeczy i próbując wytrzeć lepkie palce rąbkiem spódnicy. Gdy dotarłam do ulicy, zatrzymałam się, żeby naciągnąć ubrania i buty.

Nie miałam poczucia ani czasu, ani miejsca. Wiedziałam jedynie w przybliżeniu, w którą stronę powinnam iść, by dotrzeć do domu. Moja torebka leżała nadal na łodzi. Nie mogłam tam wrócić. Ruszyłam przed siebie, rozglądając się obłąkanym spojrzeniem. Nie potrafiłam płakać, choć moje gardło ścisnęła dziwny skurcz. Szłam przed siebie zagubiona wśród ulic miasta. Jak miałam wrócić do domu? Co powiedzieć? Co się ze mną działo? Z moim życiem? Dlaczego nagle wszystko wydawało mi się takie straszne i trudne? Dlaczego nie potrafiłam odnaleźć się nigdzie i wszędzie czułam się nie na swoim miejscu?

Dotarłam do centrum, klucząc niemal po omacku. Mijały mnie rozkrzyczane grupki pijanych ludzi. Przepychałam się między nimi, próbując torować sobie drogę. Wszędzie unosił się zapach piwa, moczu i papierosów. Róg mojej spódnicy był nadal lekko wilgotny i lepki. Przypominał mi o upokorzeniu, na myśl o którym kolejna fala mdłości podchodziła mi do gardła. Ktoś wpadł na mnie, rozchlapując piwo z plastikowego kubka na moje białe trampki.

– Hej, lalczko, taka ładna i całkiem sama w środku nocy? – Mężczyzna, którego głos wydawał mi się dziwnie znajomy, zastąpił mi drogę. Podniosłam wzrok i rozpoznałam łysego olbrzyma z La Celeste. Zmroziło mnie przerażenie. On również musiał mnie rozpoznać, bo wyjął papierosa z ust i uniósł brwi w lekkim zaskoczeniu. – No proszę... Co my tu mamy? Szukasz towarzystwa?

Chantal Simons

OBIECAŁAM SOBIE, że nie będę zarzucać Evi tysiącem wiadomości. Że zaufam jej jak odpowiedzialnej, prawie dorosłej kobiecie. Godziny jednak mijały, a ja jak duch wędrowałam po domu, niespokojna bez powodu. Zza okna dochodziły mnie odgłosy imprez organizowanych w mieście. Była pierwsza w nocy, gdy zdecydowałam się zadzwonić. Telefon jednak milczał. Mogła przecież nie usłyszeć dzwonka, jeśli muzyka była głośna. Dzwoniłam co dziesięć minut. Potem co pięć. O drugiej wybrałam numer do Carla.

– Chantal? – Odebrał dopiero po czwartym sygnale. Jego głos był zaspany i lekko schrypnięty. – Coś się stało?

– Evi nie odbiera telefonu.

– A gdzie ona jest?

– Jak to gdzie? Nie wiem! Poszła z koleżankami na pokaz sztucznych ogni. Napisała mi, że wróci na noc! Ale teraz nie odbiera. I nadal jej nie ma!

Czułam, że wpadam w panikę i niepotrzebnie podnoszę głos.

– Chantal, uspokój się, proszę. Może nie słyszy telefonu, wszędzie dudni muzyka.

– Ale obiecała, że wróci na noc.

– Jeszcze nie jest rano, tak?

Czułam zbliżającą się słowną przepychankę. Poddałam się.

– Nie, masz rację. Jeszcze nie jest rano.

– Zadzwon do mnie za godzinę. – Carl próbował załagodzić swoją ostrą uwagę. – Jeśli nadal nie będzie jej w domu ani nie odbierze telefonu. Ja też do niej zadzwonię. Dam ci znać, gdyby odebrała.

– Dobrze.

Rozłączyłam się, jeszcze bardziej niespokojna. Jego słowa w ogóle mnie nie uspokajały. Stałam przed oknem, w odbiciu którego widziałam swoją twarz, naznaczoną napięciem i strachem. Kiedy mój telefon zawibrował, dając znać o nowej wiadomości, podskoczyłam i rzuciłam się w jego kierunku przekonana, że to wieści od Evi lub Carla. Ale wiadomość została wysłana przez Anne Nieuwkoop.

Policja właśnie mnie powiadomiła, że znaleziono zwłoki Rixt w jej domu w Winsum.

Popełniła samobójstwo. Zostawiła list pożegnalny, w którym wyjaśnia, że bez męża jej życie nie ma sensu. Były mąż Rixt zginął w zamachu bombowym w Syrii pod koniec lipca.

Rixt wini za jego śmierć transplantację serca, kardiologów i szpital.

Napisała dosłownie: „Serce wypełniło swoją misję”.

Przez parę minut patrzyłam na wyświetlacz telefonu. Moje gardło zacisnęła ciasna metalowa obręcz strachu. Czy to miała na myśli Rixt? Czy to była misja, o której mi mówiła? W okamgnieniu naciągnęłam spodnie, sweter i buty i parę minut później szłam już w kierunku centrum miasta.

Pierwszy wieczór Sneekweek przypadający na początek weekendu jest zwykle apogeum gorączki. Ludzie mają jeszcze pieniądze i siły, by do rana bawić się w barach i dyskotekach. W centrum ulice były pełne głośnej muzyki i pijanych uczestników Sneekweek. Rozglądałam się uważnie, szukając wśród nich twarzy mojej córki. Gdzieś za kolejną przecnicą usłyszałam wysoki dziewczęcy śmiech. Podążyłam w tamtym kierunku, ale w grupce dziewcząt stojących na rogu nie było Evi. Szłam dalej, torując sobie drogę między imprezowiczami. Z jednego z barów dobiegł mnie piskliwy krzyk. Prawie biegłam zaalarmowana dźwiękiem. Kiedy dopadłam do

grupki stojącej w tłoku przed drzwiami lokalu, okazało się, że w kłótni pijanych zakochanych nie brała udziału moja córka. Nigdzie jej nie było. Wybrałam po raz kolejny jej numer. Naciskałam na zieloną słuchawkę z desperacją i narastającą paniką. Wciąż od nowa. Bez odzewu, bez odpowiedzi. Nic. Wcisnęłam komórkę w kieszeń i ruszyłam dalej przez ulice, moje oczy rzucały niespokojne spojrzenia, zaglądały w każdą napotkaną twarz, poszukując w tłoku tej jednej. Bez rezultatu. Czułam, że łzy napływają mi do oczu. Nie miałam pojęcia, jak zginęła Finya, a tym bardziej, co mogło kierować jej sercem. Wiedziałam jedynie, że gdzieś w tym mieście jest moja córka, że coś jej grozi i że tylko ja mam tego świadomość.

Wirowało mi w głowie od widoku twarzy, od zapachu piwa i moczu oraz dudniącej wszędzie muzyki. Musiałam iść dalej, szukać jej. Dotarłam do mostu Wonderbrug, by stamtąd przejść do wieży Waterpoort, gdzie organizowano pokaz sztucznych ogni. Jednak tłum, który gościł tam parę godzin wcześniej, pozostawił po sobie jedynie walające się wszędzie plastikowe kubki po piwie. Na łodziach cumujących wokół nadal trwały gwarne rozmowy. Przeszłam brzegiem kanału, przyglądając się twarzom ludzi na jachtach, ale tam również nie było mojej córki. Brakowało mi tchu. Ze strachu i zmęczenia. Dokuczało mi pragnienie, od którego gardło drapało, a język sztywniał.

O trzeciej nad ranem stałam roztrzęsiona w drzwiach mieszkania Carla. On też miał już na sobie ubrania i wyglądał, jakby był gotowy do wyjścia. Nie weszłam do środka.

– Musimy iść na policję – powiedziałam gotowa stoczyć z nim krwiożerczą walkę na argumenty lub pojechać tam sama.

Carl jednak skinął głową i chwycił z półki kluczyki od auta.

Finn Velde

NA NICZYM MI JUŻ W GRUNCIE RZECZY NIE ZALEŻAŁO. Do wyścigu pozostało jeszcze parę godzin. Miasto zdawało się nie poddawać ciemności nocy i wciąż jeszcze błyskało światłami, huczało muzyką i gwarem. A ja byłem sam, jak zawsze. Z kimkolwiek bym nie był, czułem się samotny. Jakby ktoś oderwał połowę mnie i pozostawił krwawiącą ranę. Nieważne, jak skutecznie znieczulałem ból, który mi zadawała, krwawienie nie ustawało. Byłem zbyt zmęczony. Noszeniem ciężaru winy i wykrwawianiem się.

Może miałem połamać obie ręce w tym wyścigu i nigdy więcej nie wziąć węgla w zdeformowane palce? Czy to nie odpowiednia kara? Może miałem połamać obie nogi i nigdy nie dotrzeć na komisariat policji? Cokolwiek się miało stać, byłem skłonny to zaakceptować i przyjąć. Byle tylko coś się wreszcie stało i zdecydowało za mnie.

Evi Brouwer

PRÓBOWAŁAM WYKRZESAĆ Z SIEBIE CHOĆBY ISKRĘ ODWAGI CZY ZŁOŚCI, czegokolwiek, co uruchomiłoby naturalny instynkt przetrwania i zmusiło mnie do reakcji. Byłam jednak zbyt zdezorientowana wszystkim, co wydarzyło się tamtego wieczoru. Alkohol, który wypiałam, przestał działać, po rauszu pozostało jedynie poczucie otumanienia. Mężczyzna z La Celeste stał na mojej drodze jak góra, nieruchomy i ogromny, niemożliwy do ominięcia. Kiwnął głową w stronę faceta siedzącego przy stoliku. Pamiętam, że cofnęłam się o krok, kątem oka rejestrując, że tamten podniósł się powoli.

Dziwne. Jesteś w tym samym mieście, przemierzasz te same ulice, co zwykle, a mimo to jedno spojrzenie potrafi przenieść cię do innego świata. A może dzieje się tak tylko wtedy, gdy nie wiemy, do którego należymy, i błąkamy się w tej niezdefiniowanej przestrzeni pomiędzy światami innych ludzi?

Ktoś szarpnął mnie za ramię, wrywając z transu. Mężczyzna górujący nade mną jak cień potwora odsunął się lekko.

– Evi! Gdzie ty się podziewasz?! Wszędzie cię szukamy! – Znajomy głos Ilony dotarł do mnie powoli. Odwróciłam się i moje oczy napotkały jej zdenerwowane spojrzenie. Wzrokiem próbowałam dać mi znać, żebym za nią poszła. Odciągnęła mnie w stronę, gdzie stała Sanne i jakiś chłopak, który miał bardziej przerażoną twarz od niej, jakby obawiał się, że będzie zmuszony walczyć o mój honor.

Odeszliśmy szybko, nie obracając się, jakby to miało ściągnąć na nas zagrożenie. Nie wiem dokładnie, dlaczego zaczęłam szlochać. Ilona objęła mnie mocno ramieniem.

– Boże, Evi... Co to za typ? Wszystko w porządku? Odprowadzimy cię do domu, dobrze?

– Nie, nie! – zaprotestowałam, ocierając łzy. – Tylko nie do domu.

– W takim razie pójdziemy do mnie, i tak mam wolną chatę.

Dotarliśmy do uliczki biegnącej wzdłuż kanału, gdzie przed budynkiem kina stały ich rowery. Musiałam siedzieć na bagażniku, obejmując mocno talię Ilony. Sanne i jej nowy chłopak pożegnali się i ruszyli w swoją stronę.

Szlochałam całą drogę do domu Ilony. Dopiero gdy podała mi czysty podkoszulek do spania i szklankę wody, zaczęłam się uspokajać. Patrzyłam potem, jak zaściela dla mnie łóżko w pokoju gościnnym.

– Evi, może zadzwonisz do mamy i dasz jej znać, że...

– Nie – przerwałam jej szybko. – Ona wie, że nie wracam na noc.

Zabawne, jak łatwo przychodziły mi te kłamstwa.

Mimo iż w pokoju było bardzo ciepło, okryłam się szczelnie kołdrą, jakby miała mnie uchronić przed wszystkimi okropnymi uczuciami. Nienawidziłam siebie. Nie chciałam być sobą. Nie chciałam wracać do domu.

Chantal Simons

POLICJANT ZA OSZKLONĄ SZYBĄ ZERKNAŁ NA NAS ZMĘCZONYM I LEKKO POIRYTOWANYM SPOJRZENIEM. Jego kolega obok odbierał wciąż dzwoniące telefony. Trzęsłam się z emocji i braku snu. Carl wciąż pocierał dłonią nieogolony podbródek. Poproszono nas o zajęcie miejsca w poczekalni, uprzedzając, że będziemy musieli poczekać. Obserwowaliśmy więc w milczeniu i napięciu ruch za szklaną szybą. Co jakiś czas ktoś przemierzał szybko korytarz. Za każdym razem liczyłam, że zostaniemy wysłuchani. Carl przyniósł nam kawę w papierowych kubkach i ponownie zajął miejsce obok mnie na plastikowym krześle. Nagle poczułam się jak wtedy, w tym szpitalu, gdzie otwarto klatkę piersiową naszej córki, gdzie pełni lęku i nadziei czekaliśmy na wynik operacji.

Podniosłam się poirytowana i podeszłam znów do oszklonej szyby. Policjant podjechał na fotelu obrotowym i pochylił się w moją stronę. Za jego plecami dzwoniły telefony.

– Słucham? – mruknął niezbyt przyjaźnie. Wyglądał na tak samo zmęczonego, jak ja.

– Siedzimy tu już godzinę. Czy nasze zgłoszenie zostanie przyjęte? Tu chodzi o zaginięcie. W takich przypadkach liczy się chyba każda minuta.

– Proszę pani, kto zaginął? – zapytał tym znudzonym głosem, w którym nie było nawet cienia zainteresowania, za to spora szczypta irytacji.

– Moja córka.

– Nasza córka. – Carl stanął obok mnie.

– Evi Brouwer.

– Ile lat ma Evi?

– Siedemnaście.

Policjant podniósł na mnie wzrok znad kartki, na której notował niezbyt starannie.

– Jak długo nie ma z nią kontaktu? – słyszałam w jego głosie, że nie ma zamiaru potraktować nas poważnie i poczułam wzbierający gniew i strach.

– Wyszła wieczorem około ósmej. Ale ostatnią wiadomość od niej otrzymałam przed północą. Teraz nie odbiera telefonu.

Policjant odsunął kartkę na bok i odłożył długopis, po czym chrząknął.

– Więc... podsumujmy. Pani nastoletnia córka wyszła w pierwszy wieczór Sneekweek i nadal nie wróciła. Około dwunastej odezwała się po raz ostatni, czyli tak naprawdę nie ma z nią kontaktu od... Która teraz jest...? Czyli nie ma z nią kontaktu od zaledwie czterech godzin. I pani chce, żebym przyjął zgłoszenie o zaginięciu? I pewnie jeszcze wysłał armię radiowozów, żeby przeczesaly przepełnione i tak miasto w poszukiwaniu nastolatki, która pewnie za dużo wypila, upuściła telefon do kanału albo go nie słyszy z powodu głośnej muzyki. Podobnie zresztą jak pozostała część miasta w liczbie trzydziestu trzech tysięcy mieszkańców plus sto tysięcy turystów przybyłych na obchody Sneekweek. Czy pani rozumie, co próbuję powiedzieć?

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczyma. Sto tysięcy samych turystów. A ja na dobrą sprawę nie wiedziałam nawet, z kim tak naprawdę moja córka wyszła. Obróciłam się w stronę Carla, szukając u niego pomocy lub choćby wsparcia. Minęła nas dwójka policjantów w czarnych kurtkach z jaskrawożółtym pasem na wysokości klatki piersiowej. Kobieta machnęła ręką w stronę oszklonej szyby.

– Możesz nas odhaczyć. Ruszamy.

Policjant kiwnął głową i zaczął stukać w klawiaturę. Na dźwięk głosu kobiety Carl się odwrócił. Widząc jego twarz, policjantka się zatrzymała. Zmrużyła oczy i wskazała na niego

palcem.

– Sylwester... – powiedziała, próbując sobie przypomnieć.

Carl kiwnął głową. Wyglądał na zdumionego.

– Przepraszam, nie pamiętam imienia.

– Marieke. – Kobieta zawahała się przez chwilę. – Mogę w czymś pomóc?

Rzuciła mi zaciekawione spojrzenie. Zdawałam sobie sprawę, jak wyglądałam w moich w pośpiechu narzuconych ubraniach, z nieumalowaną twarzą, poczochranymi włosami i zaczerwienionymi oczami. Patrzyłam, jak Carl podchodzi do niej i wyjmuje z kieszeni komórkę.

– Moja córka, Evi, wyszła wieczorem z domu i od tamtej pory nie mamy z nią kontaktu. – Podniósł telefon do oczu kobiety, pokazując jej zdjęcie Evi.

– Nasza córka – dodałam, dołączając się do rozmowy. Obawiałam się, że potraktuje nas podobnie jak policjant w recepcji, więc przeszłam od razu do rzeczy. – Evi nie jest taką sobie nastolatką. Na początku stycznia przeszła przeszczep serca. Mogła zasłabnąć, coś mogło się jej przydarzyć. Rano musi zażyć leki immunosupresyjne.

– Co miała na sobie tego wieczoru?

– Białe podkoszulek w granatowe paski, krótką niebieską spódniczkę i białe trampki. Miała przy sobie małą torebkę na rzeczy osobiste, telefon, klucze i tak dalej. Jest szczupła, ma około metr siedemdziesiąt wzrostu i długie jasne włosy. Rozpuszczone – dodałam, jakby to był niezwykle istotny detal.

Policjantka była spokojna, miła i emanowała profesjonalizmem. Wyczuwałam jednak, że rozmawiała z nami bardziej po to, żeby nas uspokoić niż dlatego, że sytuacja wydawała się jej poważna i warta zachodu.

– Czy Evi ostatnio dobrze się czuła? – zapytała, prawdopodobnie próbując ocenić stopień zagrożenia.

– Nie – odparłam bez wahania.

– Tak – padło z ust Carla dokładnie w tym samym momencie.

Policjantka podniosła na nas uważne spojrzenie.

– Evi fizycznie czuła się dobrze, ale... dziwnie się ostatnio zachowywała, nie była całkiem sobą.

Może i nie mogłam powiedzieć tej kobiecie całej prawdy, którą znałam, ale nie zamierzałam udawać, że wszystko było w porządku. Jak miałam jej wytłumaczyć, że moje dziecko jest gdzieś tam samo, z tykającą bombą zamkniętą szczelnie w jej klatce piersiowej?

– Na litość boską, Chantal. – Carl westchnął ciężko. – Ona ma siedemnaście lat – dodał, jakby to wszystko wyjaśniało.

Zapanowała chwila pełnego napięcia milczenia.

– Czy Evi zdarzyło się kiedykolwiek wcześniej nie wrócić na noc do domu? – kontynuowała Marieke.

Patrzyłam na fotografię na wyświetlaczu komórki Carla. Zrobił ją w kwietniu, gdy Evi spędzała u niego weekend. Wyglądała na niej tak świeżo, lekko i niewinnie. Moje serce nagle z desperacją zateśniało za tamtą Evi, sprzed tego wszystkiego, tamtą Evi, która nigdy nie skazałaby mnie na taki strach, której uśmiech łagodził wszystkie niepokoje, której błękitne spojrzenie zawsze pełne było zaufania i miłości. Moja córka nigdy by mi czegoś takiego nie

zrobiła. Moje serce odpowiedziało.

– Nie – odezwałam się cicho, słysząc jednocześnie twierdzącą odpowiedź Carla.

– Słucham?

Policjantka po raz kolejny podniosła na nas ten dociekliwy wzrok. Przesunęła oczy ze mnie na Carla i w nim utkwiła pytające spojrzenie.

– Raz. To się już raz zdarzyło.

– Kiedy?

– Nie pamiętam dokładnie. Jakiś czas temu.

– W czerwcu – powiedziałam, unikając jej spojrzenia.

– Czy sama wróciła do domu? Czy wiecie, gdzie wtedy przebywała? Co robiła tamtej nocy?

– Wróciła sama. – Wyczułam po głosie Carla, iż nagle zrobiło mu się głupio. Pewnie zorientował się, jak to wygląda. Jak bezpodstawna panika. – Nie wiem, gdzie była.

– Ale obiecała, że już nigdy tego nie robi. Obiecała – wtrąciłam z przekonaniem, próbując jeszcze ratować sytuację.

– Czy próbowaliście dzwonić do najbliższych koleżanek Evi?

Pokręciliśmy głowami.

Marieke ściągnęła brwi w skupieniu i przyjrzała się raz jeszcze uważnie zdjęciu na wyświetlaczu komórki Carla. Potem obróciła się do łysego mężczyzny, który czekał na nią przy oszklonych drzwiach.

– Roland, zerkniesz?

Policjant podszedł do nas i rzucił okiem na zdjęcie, nie wyjmując dłoni z kieszeni czarnych policyjnych spodni. Pasy wokół ich bioder musiały ważyć pięć kilo, wisiały na nich telefon, pałka, klucze i mała skórzana torebka.

Marieke zwróciła się teraz do policjanta za szybą.

– Johan, przyjmij zgłoszenie od tych ludzi.

– Ale to jest wbrew zasadom, całkowicie nie ma podstaw... – zaczął marudnym głosem.

– Dziewczyna ma poważne problemy zdrowotne, musi na czas zażyć lekarstwa. Przyjmij zgłoszenie – przerwała mu stanowczo, a potem obróciła się do nas. – Będziemy mieć oczy i uszy otwarte. Zdjęcie zostanie rozesłane patrolom w mieście. Nic więcej nie mogę obiecać.

– Co mamy robić? Czekać tutaj? – zapytałam, czując nagły przypływ sympatii do tej niezbyt ładnej kobiety.

– Nie. Proszę czekać w domu. W razie gdyby Evi jednak wróciła. I obdzwonić jej koleżanki.

Patrzyłam, jak policjanci wychodzą. Carl zgłaszał już oficjalnie zaginięcie naszej córki. Za oszklonymi drzwiami powoli ciemność zmieniała się w szarość rozpoczynającego się dnia. Kończyła się noc i po raz pierwszy w życiu miałam witać poranek, nie wiedząc, gdzie podziewa się moja córka. Mówi się, że w mroku nocy problemy wydają się straszniejsze, w świetle dnia zaś tracą groźny wygląd. Jednak nie tym razem. Wiedziałam, że wraz z nastaniem świtu zniknięcie Evi stanie się jedynie bardziej widoczne i odczuwalne. Czułam również, że jeśli ktoś może ją odnaleźć, to tylko ja. Nie mogłam liczyć na nikogo, prócz siebie.

Evi Brouwer

MOJE OCZY MUSIAŁY PRZYWYKNAĆ DO MROKU. Ale nawet po dłuższej chwili wszystko wokół zdawało się okrywać mgłą. Światła były przygaszone, dudniąca muzyka ogłuszająca. Ciasny tłum postaci bez twarzy poruszał się rytmicznie. Nie mogłam się skupić, jakby coś tłumiło moje zmysły. Za wszelką cenę próbowałam zorientować się, gdzie jestem. W myślach powtarzałam sobie, że nigdy więcej nie tknę alkoholu. Miałam wrażenie, że moje nogi nie są w stanie utrzymać mnie w pionie, mimo to ruszyłam powoli naprzód. Miałam zamiar przedrzeć się przez ten tłum. Narastała we mnie złość. Potarłam oczy, jakby to miało pomóc mi lepiej widzieć. Dopiero po chwili, gdy zdecydowanie natarłam na mur z falujących ciał, zaczęło do mnie docierać, co słyszę. To nie była muzyka, lecz rytm bijącego serca. Mocny. Regularny. Zwielokrotniony echem. Sylwetki, na które napierałam, powoli zatrzymywały się pod moim dotykiem i rozstępowały. Przeszłam przez wąski przesmyk, który utworzyły, w dobrze mi już znanym kierunku. Już prawie minęłam figurkę Jezusa z jego pustymi oczyma. Zatrzymałam się jednak i wyciągnęłam w jej kierunku dłoń. Kiedy to zrobiłam, bransoletki na moim nadgarstku zadźwięczały jak dzwoneczki. Dotknęłam statuetki. Była ciepła i miękka jak żywe ciało. I nieruchoma jak kamień. Strąciłam ją zdecydowanie. Roztrzaskała się tuż przy moich stopach, a z wnętrza odłamków popłynęła krew. Cofnęłam się zaskoczona. Odgłos rytmicznych uderzeń serca przybrał na sile. Kiedy podniosłam wzrok, postać w czarnej pelerynie i kapeluszu z twarzą ukrytą za złotą maską stała przy drzwiach, które miałam otworzyć. Zanim to jednak zrobiłam, podeszłam do niej i po chwili wahania pociągnęłam za pelerynę, która opadła na podłogę. Moim oczom ukazał się manekin, całe jego ciało pokryte było rysunkami, jakby ktoś wziął długopis i celowo je porysował. Pochyliłam się, żeby przyjrzeć się im z bliska. Zmrużyłam oczy, bo wydawało mi się, że linie zaczęły poruszać się jak w kreskówce. Nagle zorientowałam się, że patrzę na czarno-białe fotografie z ruchomym obrazem. Przedstawiwały dwoje dzieci, identyczne jak lustrzane odbicia. Jedno zawsze wesołe i roześmiane, drugie poważne i zamyślane. Przesuwałam palcami po ciele manekina jak po dotykowym ekranie tabletu. Nie chciałam pójść dalej, byłam zafascynowana tym widokiem. Zza drzwi dobiegł mnie dźwięk silnika. Wiedziałam, że auto czekało na mnie. Ze smutkiem, który nagle jak ostry nóż dźgnął moje serce, dotknęłam ostatni raz ruchomych obrazów, przejechałam palcami po twarzach dzieci i obróciłam się w stronę wyjścia. Nie pamiętam, jak opuściłam to dziwne pomieszczenie bez ścian, gdzie jedynie mrok stanowił granicę. W ułamku sekundy znalazłam się w aucie na miejscu pasażera. Samochód zdawał się zawieszony w kompletnej ciemności. Powoli odwróciłam wzrok. Gdzieś w głębi serca bałam się, że znów jej tam nie będzie. Ale tym razem dziewczyna siedziała obok mnie z dłońmi na kierownicy, wpatrzona w mrok. Czas mijał. I nie wiedziałam, czy to ja czekam na nią, czy ona na mnie.

Czy mogłam jej dotknąć? Czy powinnam wybudzać ją z transu, w którym trwała? W hermetycznej ciszy auta czas zdawał się nie istnieć.

Wtedy odwróciła twarz w moją stronę i jej spojrzenie spotkało moje. Zobaczyłam ją. Usłyszałam jej oddech, bicie jej serca. Nie mogłam oderwać wzroku od jej oczu, których kolor

jak bursztyn wylapywał i zmieniał w iskrę nawet najdrobniejszy atom światła. Znałam twarz, na którą patrzyłam. Należała bowiem do Finna.

Auto wyrwało do przodu i w ułamku sekundy rozpędziło się jak torpeda. Wciąż jednak patrzyliśmy na siebie. Ona i ja.

Nawet wtedy, gdy potężne uderzenie niemalże wyrzuciło nas z foteli, a huk roztrzaskiwanego szkła zagłuszył jej oddech. Wciąż jeszcze widziałam jej oczy wbite we mnie. Słyszałam rytm jej serca, urywany, nieregularny, cichnący. Jej spojrzenie było szkliste, nieruchome, wokół nas jak na zwolnionym filmie wszystko sypało się, roztrzaskane zderzeniem. Tylko my unosiłyśmy się w chaosie, zawieszona w czasie i przestrzeni, jakby grawitacja nas nie dotyczyła. Wyciągnęłam dłoń, próbując złapać jej palce, ale musnęłam je jedynie, nim wyślizgnęły się z mojej ręki. A potem była już tylko ciemność.

Obudziłam się i przez chwilę nie wiedziałam, gdzie jestem. Moje serce waliło mocno, jakby echo ze snu docierało do mnie nawet na jawie. Leżałam, czekając, aż twarz dziewczyny rozmyje się jak zawsze i pozostanie niewyraźnym wspomnieniem pozbawionym detali. Tym razem jednak widziałam ją wciąż przed oczyma, jej bursztynowe błyszczące oczy wpatrzone we mnie, ponagląjące. Chwilę to trwało, nim wszystko zaczęło do mnie docierać, fragment po fragmencie. Odłamki snów, rozmów.

Jego siostra, Finya, miała i prawko, i auto. Zabiła się, prowadząc. Może on dlatego nie jeździ?

Będzie w cholere aut, podobno tor ma być dłuższy, zakręty ostrzejsze.

I tak się szybko pozbiarał po tym wypadku.

Jakie to ma teraz znaczenie? Ona nie żyje! My tak!

Ona była moją siostrą. Dla mnie to ma znaczenie.

Próbowałam poskładać je w logiczną całość, ale w głowie szumiało mi od głosów.

Powoli położyłam dłoń na piersi. Palcami powiodłam po bliźnie wzdłuż mostka. Nie. To niemożliwe. Zamknęłam oczy i próbowałam uspokoić oddech, ale pod przymkniętymi powiekami kryły się obrazy ze snu. Jej oczy. Brzęk tłuczonego szkła. Potężne uderzenie, które wyrzuca mnie z fotela. I ciemność, w której potem się unoszę. Pod opuszkami palców wyczuwałam bicie serca. Już byłam pewna. Jej serca.

Finya... Finn... Poczułam nagle, jak to obce serce skurczyło się we mnie ze strachu. Finn! Przecież był dzień wyścigu, w którym uparł się brać udział. Miałam nagle głębokie przekonanie, że za tym rajdem kryje się jakieś nieuniknione niebezpieczeństwo. *Zabiła się*. Czy Finya popełniła samobójstwo? Czy Finn pragnął pójść jej śladem i wykorzystać wyścig jako pretekst? Czy chciał podzielić los siostry? Moje oczy były szeroko otwarte, głowa pulsowała myślami. Musiałam coś zrobić. Nie mogłam beczynnie czekać.

Podniosłam się za szybko i poczułam, jak kręci mi się w głowie. Wypity poprzedniego wieczoru alkohol zdawał się nadal krążyć w moim organizmie. Nie miałam przy sobie leków. Nie mogłam wrócić do domu, nie wiedziałam, co robić.

Wpadłam do pokoju Ilony i potrząsnęłam nią.

– Ilona, obudź się, no obudź się! Potrzebny mi twój laptop!

Podniosła się, pocierając zaspane oczy, i sięgnęła po telefon.

– Jezu, która jest godzina? O cholera... Twoja mama dzwoniła trzy razy... – Spojrzała na

mnie lekko przerażona.

– To nie jest teraz ważne. Masz Facebook na komórce?

Popatrzyła na mnie nagle przytomnym wzrokiem. Jej oczy się zaokrągliły.

– O Boże, Evi... – Wskazała ręką na moją twarz.

Uniosłam palce do nosa. Były całe we krwi. Westchnęłam poirytowana i wybiegłam do łazienki. Kiedy wróciłam zaopatrzona w podstawowy zestaw do tamowania krwotoku z nosa, składający się z chusteczek i papieru toaletowego, Ilona zdawała się już całkiem przebudzona.

– Źle się czujesz? Chcesz, żebym zadzwoniła do twojej mamy? Może powinniśmy pojechać na pogotowie?

Zarzuciła mnie troską i pytaniami.

– Co? Zwariowałaś?! To tylko krwawiący nos! Zaloguj się na Facebooku, muszę coś sprawdzić. Pospiesz się.

Zerknęłam na zegarek. Była za dziesięć dziewiąta. Wyścig zaczynał się o dziesiątej w Drachten, położonym pół godziny drogi od Sneek. Najpierw musiałam jednak przekonać się o czymś na własne oczy.

Ilona patrzyła na mnie pełnymi zdumienia oczyma. Ale podała mi telefon. Nie znałam nazwiska Finna. Nie miałam czasu. Jedną ręką przyciskałam chusteczkę do krwawiącego nosa, drugą zaś wpisałam w wyszukiwarkę na portalu *Finya Sneek*.

Sekundę później z wyświetlacza telefonu patrzyła na mnie dziewczyna ze snu. Finya Velde. Siostra Finna. Bliźniaczka. To było jasne. I najprawdopodobniej dawczyni serca, które teraz biło dla mnie. Weszłam na jej profil. Nie został zabezpieczony. Przesuwałam palcem obrazy pełne pożegnalnych postów, wspomnień i zdjęć. I wtedy zobaczyłam tę fotografię.

Poczułam, że robi mi się słabo. Sander i Finya. Razem. Ona siedząca na masce jego auta. On pochylony nad nią. Oddałam Ilonie telefon i siedziałam z chusteczką przyciśniętą do nosa, patrząc za okno. Na wspomnienie jego ciepła, dotyku, słów, które wymieniliśmy, zrobiło mi się nagle mdło.

Oczywiście. Finya. I Sander. To jej imię wypowiedział wczoraj. To ona zabiła się, jadąc autem. To dlatego Finn trzyma się uparcie Sandera albo Sander Finna. A teraz Finn miał sięść za kółkiem podczas nielegalnego rajdu.

– Pożyczysz mi jakieś spodnie? – spytałam, wstając.

– Jasne, weź sobie coś. – Ilona wskazała ruchem głowy szafę.

Chwyciłam z półki pierwsze lepsze spodnie do kolan i naciągnęłam od razu. Nie miałam ochoty nawet dotykać tamtej spódnicy, noszącej ślady poprzedniego wieczoru. Wcisnęłam ją do kosza na śmieci w łazience i zmoczyłam twarz zimną wodą, usuwając ze skóry ślady krwi i resztki makijażu.

– Słuchaj, Ilona, czy twoi rodzice zostawili auto?

– Nie, stoi na lotnisku. Ale... ja nie mam prawa jazdy... – Popatrzyła na mnie pytająco. – Możemy pojechać rowerem czy...

– Muszę dostać się do Drachten i to szybko.

– Drachten?

– Tak. Teraz!

Wybiegłam do drugiego pokoju, gdzie spałam i gdzie została reszta mojej garderoby. Naciągałam na siebie ubrania w pośpiechu, w głowie próbując wymyślić jakiś plan. Ilona widać

zrozumiała powagę sytuacji, bo chwilę potem stała ubrana w korytarzu.

– Sprawdziłam pociągi do Drachten – powiedziała rezolutnie.

– Nie, nie dojedziemy na czas i ja nie trafię ze stacji...

Przymknęłam oczy, pozwalając głowie skupić się na szukaniu innego sposobu.

– Toby! – prawie krzyknęłam. – Toby ma prawo jazdy!

– Tak, ale... – Ilona spojrzała na mnie lekko speszona. Wiedziałam, co chciała powiedzieć.

Toby nigdy w życiu nie będzie chciał mi pomóc.

– Ilona, ty musisz do niego zadzwonić, błagam!

– No, nie wiem...

– Już nigdy cię o nic nie poproszę, obiecuję, zrób to dla mnie ten jeden raz.

Chantal Simons

ZA OKNEM SZAROŚĆ PORANKA miała się wkrótce zmienić w ciepły sierpniowy dzień. Patrzyłam beznamiętnie na to, jak niebo przeobrażało się i zalewało ziemię światłem. Carl spał na sofie. Po tym, jak przywiózł mnie do domu, namawiałam go, żeby wrócił do siebie, w razie gdyby Evi zdecydowała się pójść do niego. Odmówił jednak, twierdząc, że jeśli Evi dokądkolwiek wróci, to tutaj.

Byłam pewna, że mojej córki nie było u żadnej z jej koleżanek. Dla pewności wykonaliśmy jednak niezbędne telefony. Sanne nie odbierała. Kiedy zadzwoniłam do jej domu, jej rodzice poinformowali mnie, że nocuje dziś u swojego chłopaka, ale mogą skontaktować się z jego rodzicami, jeśli to bardzo konieczne. Podziękowałam im jednak i poprosiłam jedynie, by rano spytali Sanne, czy widziała Evi, choć nie sądziłam, żeby tak było. Ilona też nie odbierała, ale przypomniałam sobie, że jej rodzice wspominali coś o wakacjach na Arubie. Dałam sobie więc spokój. Zadzwoniłam jeszcze do Charlotte, ponieważ to do niej Evi w pierwszej kolejności poszła w czerwcu, gdy spędziła noc poza domem. Charlotte obiecała mi, że jeśli tylko Evi się u niej pojawi, od razu da mi znać. Próbowала przekonać mnie, że nie mam się czym martwić. Nie starałam się nawet wyjaśnić sytuacji ani tłumaczyć jej, jak bardzo się myli. Zapytałam jednak, czy Britta miała ostatnio kontakt z Evi i dowiedziałam się, że dziewczyny pokłóciły się o coś, ale Charlotte nie wiedziała, o co im konkretnie poszło. Nieustająco co kwadrans wybierałam numer do Evi. Bez rezultatu. W mojej głowie przewijała się niekończąca taśma filmowa, wyświetlająca najgorsze możliwe scenariusze. Byłam zbyt zmęczona, by bronić się przed wizjami, które jak zjawy z nieznanego mi świata atakowały bez litości. Podciągnęłam pod siebie nogi i oparłam głowę na kolanach, skulona na twardym krześle. Czego to serce chciało od mojej córki? Czy wiodło ją w stronę nieuchronnej śmierci? Czy siedziałam beczynn timer, podczas gdy Evi groziło niewidzialne niebezpieczeństwo?

Karol usadowił się na oparciu sofy i obserwował śpiącego Carla, jakby zamierzał go zaatakować, gdy tylko ten się poruszy. Zrobiłam sobie mocną kawę i patrzyłam w kubek otępiłym spojrzeniem. Piekły mnie zmęczone brakiem snu oczy, a głowa ciążyła, nie byłam jednak w stanie zapaść w sen, w iluzoryczny stan ukojenia i chwilowego zapomnienia.

Po cichu opuściłam salon i weszłam do pokoju Evi. W kącie leżał jej plecak, na oparciu krzesła wisały dzinsy i bluza, na drzwiach szafy jej błękitny sweter. Biurko zarzucone było książkami i zeszytami, zapomnianymi po zakończonym roku szkolnym. Obok leżała szczotka do włosów, bransoletki, kolczyki, perfumy, błyszczący do ust, długopisy, spinki, chusteczki i inne drobiazgi w całkowitym nieładzie, który kiedyś obcy był mojej córce. Stałam w drzwiach nieprzyzwyczajona do łamania jej prawa do prywatności w ten sposób. Rozglądałam się po pokoju, który powoli oblewały pierwsze słoneczne promienie. W mojej głowie panował szum, z którego z trudem mogłam odróżnić jakieś pojedyncze wyraźne myśli. Na ścianie wisiał szkic przedstawiający dziewczynę wyglądającą dokładnie tak, jak moja córka. Podeszłam i pochyliłam się nad biurkiem, by móc dokładnie przyjrzeć się rysunkowi. Musiał wykonać go ktoś, kto wiedział, co robił. I ktoś, kto znał Finię. Podobieństwo do fotografii nie mogło być przypadkowe. A może wszędzie już widziałam to, co chciałam widzieć? Może zwariuję i skończę jak Rixt? Może to jest jedyna droga, by uciec od tej paranoi? Popatrzyłam uważnie na szkic. Wszystkie kreski, cienie były dokładne, idealne, tworzyły niemalże realistyczny obraz, przypominający czarno-białą fotografię. Nie mogłam uwierzyć, że czyjaś ręka z taką perfekcyjnością potrafiła odtworzyć postać, uczucia i ruch. To była twarz mojej córki, ale widocznych na rysunku emocji nigdy na niej nie widziałam w takim natężeniu i w takiej formie. Oparłam rękę na blacie biurka, by przysunąć się nieco bliżej i niechcący straciłam jedną z książek. Schyliłam się, żeby ją podnieść. Dopiero wtedy zauważyłam wsunięty gdzieś pod zeszyty tablet Evi. Odruchowo wyciągnęłam po niego dłoń, którą cofnęłam szybko. Obejrzałam się za siebie, upewniając się, czy z salonu nadal dobiega mnie spokojne pochrapywanie Carla. Przymknęłam drzwi i delikatnie wyjęłam tablet spod sterty zeszytów i papierów. Usiadłam na łóżku i włączyłam urządzenie. Czekala mnie jednak niespodzianka w postaci okienka z prośbą o hasło. Nie miałam pojęcia, że Evi zabezpieczała cokolwiek hasłem. Siedziałam więc z głupią miną i patrzyłam na niewielki ekran. Spróbowałam datę jej urodzin, potem imiona przyjaciółek, moje imię, moją datę urodzin. Ale tablet pozostał zablokowany.

Ktoś pchnął delikatnie drzwi do pokoju. Zamarłam w bezruchu, przerażona tym, że zostałam przyłapaną na grzebaniu w rzeczach Evi. Z ulgą zobaczyłam jednak, że to tylko Karol stał w progu i przyglądał mi się tym swoim kocim wszechwiedzącym wzrokiem. Prawie zaklęłam, próbując otrząsnąć się z chwilowego zaskoczenia. Pochyliłam się ponownie nad tabletem z zamiarem wpisania w miejsce na hasło daty urodzin Carla, ale mój palec zawisł nad wyświetloną na ekranie klawiaturą. Podniosłam wzrok i spojrzałam na Karola, po czym powoli i w skupieniu wpisałam jego imię. Ku mojemu ogromnemu zdziwieniu tablet został odblokowany, a ja w zupełnej konsternacji próbowałam wymyślić, co dalej. Obawiałam się, że e-mail Evi okaże się również zabezpieczony, tak jednak nie było. Poza wiadomościami ze szkoły i reklamami nie znalazłam nic, co przyciągnęłoby moją uwagę. Zjechałam niżej, sprawdzając kolejne wiadomości, i już miałam wyjść z programu, gdy moje oczy wyłapały tytuł jednej z nich. Powiadomienie o nowej wiadomości z portalu Facebook. Oczywiście! Z taką pieczołowitością przeczesywałam profil Fini, a zapomniałam, że moja własna córka mogła używać tego samego portalu do komunikowania się ze znajomymi. Program zapamiętał nazwę użytkownika i hasło, więc bez przeszkód zalogowałam się i z fascynacją przeglądałam nieliczne posty mojej córki. Jakże ubogi był jej profil w porównaniu z tym, który należał do Fini i który znałam aż za dobrze. Ze ściśniętym sercem przejrzałam go, by wreszcie kliknąć na ikonkę minikoperty. Jeszcze nim zdążyłam naruszyć ostatnie resztki prywatności Evi, rzuciło mi się w oczy imię,

które jak echo zawisło w moich myślach. Sander. Sander Horst. Przez chwilę moja zmęczona głowa nie mogła połączyć nazwiska z obrazem, który majaczył mi przed oczyma. Dopiero po chwili zabrakło mi tchu, gdy fragmenty pamięci jak puzzle poskładały się w całość i zobaczyłam oczyma duszy zdjęcie Finyi Velde z ciemnowłosym chłopakiem. Bez wahania kliknęłam na wybraną rozmowę na czacie i w zupełnym osłupieniu czytałam wymianę zdań mojej córki z byłym chłopakiem dawczyni jej serca. Kiedy skończyłam czytać, w osłupieniu popatrzyłam na szkic na ścianie, po czym wpisałam w wyszukiwarkę portalu imię i nazwisko chłopaka. Zamiast zdjęć twarzy ujrzałam fotografie uwieczniające auta i wyścigi. Ostatni najświeższy post pochodził z poprzedniego wieczoru i ogłaszał dumnie udział w rajdzie odbywającym się w okolicy Drachten. Zjechałam niżej, przeglądając inne posty, aż dotarłam do zdjęcia, które zacisnęło moje gardło. Dowód na prawdziwość mojej teorii, dowód na to, że Rixt miała rację. Twarz Sanderera i Evi na jednej fotografii. Wyglądali, jakby leżeli na łóżku. Głowa mojej córki na piersi chłopaka, jej policzki różowe, w oczach ten zmysłowy błysk. Wlepiłam wzrok w tę uwiecznioną na zdjęciu scenę. Gdzie to było? Kiedy? Co wydarzyło się po tym, jak odłożono aparat, którym wykonano tę fotografię? Zerknęłam na godzinę w rogu ekranu i podniosłam się zbyt gwałtownie, co przyprawiło moje wycieńczone ciało o zawroty głowy. Wyłączyłam tablet i wsunęłam go pod stertę książek i zeszytów, po czym ruszyłam zdecydowanym krokiem do salonu.

– Carl! – Wstrząsnęłam jego ramieniem. – Carl! Obudź się.

Usiadł na sofie i popatrzył na mnie zaskoczony.

– Co się dzieje? Evi się odezwała? – Przejechał dłonią po włosach.

– Nie. Ale wiem, gdzie jest! Pospiesz się, musimy jechać.

– Co? Dokąd? – Podniósł się i rozprostował zesztywniałe ciało.

Wiódł za mną zdumionym wzrokiem, gdy w pośpiechu robiłam mu kawę i naciągałam buty. Wcisnęłam termos z ciemnym płynem do jego dłoni i wspólnie opuściliśmy mieszkanie, zbiegając po schodach.

– Chantal! Dokąd jedziemy? – dopytywał się Carl.

– Do Drachten – odparłam.

– I Evi tam jest? W Drachten? Dlaczego?

– Jest na rajdzie samochodowym.

– Na rajdzie? – Carl zatrzymał się przed autem. – Co ona robi na rajdzie?

Mam nadzieję, że nie próbuje się zabić, pomyślałam, ale do niego powiedziałam:

– Podąża za głosem serca.

Evi Brouwer

TOBY PATRZYŁ NA MNIE, JAKBY ZOBACZYŁ DUCHA. W pewnym sensie tak się nawet czułam. Jego widok wypełnił moje serce ciepłem i wstydem z powodu tego, jak podle go potraktowałam.

– Całkowicie zwariowałaś? Mam cię zawieźć do Drachten? – zapytał zaskoczony. Ze

zdziwienia chyba nawet nie był zły.

Zerknęłam na zegar wiszący na ścianie ponad jego ramieniem.

– Jesteś moją jedyną nadzieją. Muszę się tam dostać na czas.

– Ale... co jest w Drachten?

Stał w salonie w domu Ilony, miał na sobie stary rozciągnięty podkoszulek i kwieciste krótkie spodenki rodem z filmów o Hawajach. Jego rudawe włosy były mokre i potargane, podejrzewałam, że wyskoczył spod prysznic, żeby ratować Ilonę od zmyślonego na potrzeby chwili kataklizmu.

– Wyścig. Rajd.

– Rajd... – powtórzył za mną powoli i zmrużył oczy, jakby się zastanawiał, po czym otworzył je szeroko. – Poczekaj... Mam cię zawieźć do tego twojego kolesia, tak? To o to ci chodzi? Myślisz, że jestem takim idiotą?!

Odwrócił się na pięcie i wystrzelił w stronę wyjścia.

– Toby! – zawołałam i rzuciłam się za nim.

Złapałam go za rękaw podkoszulka, ale zachnął się, wrywając go z moich palców, i popatrzył na mnie z taką złością, jakiej nigdy u niego nie widziałam.

– Toby, posłuchaj... – Mój błagalny ton zdawał się łagodzić jego gniew. – Wiem, że mnie nienawidzisz. Masz prawo. Powinieneś nawet. Ale błagam cię, odsuń na chwilę te niesnaski. Ja... Ja muszę zdążyć na ten wyścig. To sprawa życia i śmierci. Nie mogę jeszcze tego wytłumaczyć, ale zrobię to, jak tylko sama zrozumiem. Proszę cię...

Patrzyliśmy sobie w oczy. Wszystko w nim znałam tak dobrze, niemal na pamięć. Jego piegi, dołek w lewym policzku, gdy się uśmiechał, zabawny kształt uszu, ramiona, które zdawały się za długie. Mimo to nie umknęło mojej uwadze, że zmienił się od czasu naszego ostatniego spotkania. Zmęźniał, może nie fizycznie, lecz coś w jego zachowaniu dawało mi do zrozumienia, że chłopiec odszedł w zapomnienie, a przede mną stał młody mężczyzna. Westchnął, jakby był zmęczony.

– O której musisz tam być?

– Rajd zaczyna się za trzydzieści pięć minut.

– Musimy się pospieszyć – powiedział i ruszyliśmy wszyscy troje w stronę auta jego rodziców.

Wsiadliśmy, w pośpiechu zamykając drzwi. Ilona wskoczyła na tylne siedzenie, choć rzuciłam jej zdziwione spojrzenie. Nie spodziewałam się, że pojedzie z nami.

– Jaki jest adres? – Toby sięgnął do wbudowanego w deskę rozdzielczą monitora z nawigacją.

– Nie wiem...

– Co? – Podniósł na mnie wzrok.

– Nie znam adresu, ale wiem, gdzie to jest. Pokieruję cię.

Milczeliśmy całą drogę, do czasu, gdy rozpoznałam zjazd z autostrady, prowadzący do miejsca, gdzie odbywały się rajdy. W skupieniu lustrowałam drogę, dając wskazówki Toby'emu, jak ma jechać. Wkrótce zresztą tablice reklamujące niedzielny autocross poprowadziły nas dalej.

Prowizoryczny parking na łące był zapełniony. Toby zaparkował na poboczu.

– Wracajcie do domu. Nie wiem, ile to potrwa. – Faktycznie, nie miałam pojęcia ani jak długo będzie trwał wyścig, ani co się wydarzy.

Wysiadłam, ale w ostatniej chwili usłyszałam, jak Toby zatrzymuje mnie, wołając moje imię. Pochyliłam się do okna.

– Wcale cie nie nienawidzę, Evi – powiedział.

Skinęłam głową i rzucając im jeszcze pożegnalne spojrzenie, ruszyłam pędem w stronę, z której wyraźnie dobiegały mnie donośny głos z megafonu, dudniąca muzyka i ryk silników.

– A ty dokąd? Bilet masz? – Dwóch łysych chłopaków w dresowych spodniach i czapczkach z daszkiem zatrzymało mnie przy wejściu.

– Bilet? – Patrzyłam na nich osłupiała. Zupełnie o tym nie pomyślałam.

– No. Bilet. Z choinki się urwałaś? Masz czy nie?

Nie. Nie tylko biletu zresztą. Nie miałam przy sobie zupełnie nic, ani telefonu, ani portfela, ani pieniędzy. Obróciłam się, gotowa prosić Toby’ego po raz kolejny o pomoc, ale jego auto zniknęło już za zakrętem. Moja głowa pracowała jednak na pełnych obrotach i szybko zebrałam się w sobie.

– Nie mam, niepotrzebny mi. Mój chłopak tu pracuje. Sander Horst.

Gburowate twarze chłopaków rozjaśniły się i rozstąpili się, umożliwiając mi przejście.

– Trzeba było od razu mówić.

Pojazdy stały już w rzędzie gotowe do startu. Musiałam przepychać się przez tłum, by zobaczyć coś więcej. Które auto należało do Finna? Rozsunęłam bariereki zabezpieczające widownię i precyzyjnie się między nimi. Moje stopy grzęzły w kopcu piachu, po którym zsunęłam się w kierunku linii startu. Myśl, Evi, mówiłam do siebie. Które to auto? W pośpiechu przechodziłam między samochodami, choć słyszałam pokrzykiwania niezadowolonych uczestników. Pomarańczowe. Auto Finna było pomarańczowe. Rzuciłam się w jego kierunku.

– Finn! – wrzasnęłam, pochylając się do okna od strony pasażera. – Wsiądź, proszę! Nie rób tego!

Jego zdumienie szybko zmieniło się w stanowczy gniew. Popatrzył na mnie z furią w miodowych oczach, która sprawiła, że przybrały kolor ognia.

– Zwariowałaś? – odparł gniewnie. – Nie!

– Proszę, wsiądź z auta! Ten rajd jest niebezpieczny!

– A co to ciebie obchodzi? – rzucił, odwracając ode mnie wzrok, który utkwił w rozciągającym się przed nim piaszczystym torze.

– Finnę by to obchodziło – odpowiedziałam spokojnie, na tyle głośno, by usłyszał mnie ponad panującym wokół nas rwetesem. Dźwięk jej imienia sprawił, że znieruchomiał.

Zdecydowałam się wykorzystać tę chwilę, gdy ogień przygasł, i pochyliłam się ku niemu przez pozbawione szyb okno.

– Wsiądź z auta, Finn – powiedziałam łagodnie.

Podniósł na mnie wzrok. Jego usta zaciśnięte w wąską kreskę drżały. Kosmyk brązowych przydługich włosów spadł na jego policzek. Zalała mnie nagła fala nieopisanego ciepła, uczucie desperackiej niemal troski i czułości, coś czego nie czułam nigdy w życiu, coś, o czym wiedziałam, że nie należało do mnie. Byłam jedynie kanałem, przez który rwącym strumieniem sączyło się to doznanie, żłobiąc nowe drogi jak prąd rzeki, pod wpływem którego gleba ulega i poddaje się mu. Musiałam powstrzymać się, by nie wyciągnąć dłoni w kierunku jego policzka. Impuls trudny do opanowania.

Patrzyliśmy na siebie w ogłuszającym ryku silników. Dłonie Finna nadal ścisnęły

kierownicę, aż jego palce zbieleły pod siłą ucisku. Odwrócił głowę i po raz kolejny popatrzył na ciągnącą się przed nim trasę.

– Finya nie żyje – powiedział w końcu, nie patrząc na mnie, choć nie byłam pewna, czy dobrze zrozumiałam słowa.

– Ale ty tak... Wsiądź, proszę... – próbowałam przemówić mu do rozsądku. Próbowałam go powstrzymać. Zmusić, by zmienił zdanie.

– Dopiero na mecie – odparł uparcie przez zaciśnięte zęby. Wyglądał nagle jak mały rozżłoszczony chłopczyk, który lada moment miał wpaść w całkowitą histerię.

Auto było niskie, pomarańczowe, a drzwi zaspawane. Finn nie miał kasku, tak jak Arjen, którego czarne auto z wymalowaną na biało trupa czaszką mrucało groźnie za moimi plecami. Słyszałam jego głos. Przeklinając siarczyście, wrzeszczał, że mam odsunąć się od aut. Zaciskałam palce na metalowej krawędzi. Nie zamierzałam odejść. Finn wydawał się owładnięty jakąś obsesją, że musi jechać w tym wyścigu. Nagle zrozumiałam, że nie wysiądzie.

Wtedy rozległ się dźwięk startu. Silniki ryknęły. W szalonym odruchu przerzuciłam nogę przez okno i podciągając się z jedną ręką opartą na drzwiach, a drugą przytrzymując się dachu, przedostałam się do wnętrza auta. Byłam zaskoczona, że poszło mi to tak gładko, jakbym robiła to od zawsze, jakby moje ciało to potrafiło.

Gdzieś w tle okropnego rumoru usłyszałam głos Sandera. *Evi, nie!!!* Ale może był tylko echem cudzych wspomnień w mojej głowie. Sama już nie potrafiłam oddzielić tego, co prawdziwe, od hologramowych doznań, które niespodziewanie nakładały się na wszystko wokół.

– Co ty, kurwa, robisz?! – wrzasnął Finn, próbując przekrzyczeć ryk silników.

Przez chwilę nic nie widziałam, tumany kurzu przesłoniły mi widok i dostały się do gardła. Nim zdążyłam odkaszlnąć i coś powiedzieć, Finn nacisnął na pedał gazu i auto ruszyło, prawie wciskając mnie w fotel. Rozpędziło się i podskakiwało na nierównej, piaszczystej powierzchni. Po obu naszych stronach śmigały inne pojazdy. Panował hałas nie do opisania. Chwilę to trwało, nim znów mogłam oddychać swobodnie i wróciła mi orientacja w czasie i przestrzeni. Oczy Finna były skoncentrowane na drodze, brwi ściągnięte, usta zaciśnięte w wąską kreskę. Auto pędziło.

Sięgnęłam po pas i wtedy zorientowałam się, że pojazd był przystosowany jedynie dla kierowcy. W miejscu pasa dla pasażera wisiała pusta plastikowa resztką klamry, dyndająca na wszystkie strony.

Finn zerknął na mnie. Złość na jego twarzy nie zelżała.

– Pas nie działa! – krzyknęłam.

– Oczywiście, że nie! W tych autach nie bierze się pasażera, do jasnej cholery! Co ty robisz, Evi? – Pierwszy raz użył mojego imienia, krzycząc ponad wyciem samochodów.

– Co ty robisz?! – wrzasnęłam, czując nagłą złość, wymieszaną z przerażeniem.

Przed nami widniał ostry zakręt, do którego zbliżaliśmy się z zastraszającą prędkością. Próbowałam rękoma przytrzymać się czegoś, zaprzeć się nogami. Ale kiedy wjechaliśmy w zakole, siła prędkości prawie wyrzuciła mnie z fotela. Moje serce niemalże stanęło z przerażenia. I wtedy to się stało.

Mimo iż trwało sekundę, może ułamek, było jedynie błyskiem, który znikł wcześniej, niż się pojawił, zobaczyłam wszystko tak dokładnie, jakbym przeniosła się w czasie i przestrzeni do innego auta.

Ciemność. Zawrotna szybkość. Widziałam wszystko lekko zamazane jak przez brudną szybę lub przez ścianę deszczu. Smuga światła na drodze. Skłócone podniesione głosy. Gniewne spojrzenie Finna siedzącego z tyłu. Sander, który próbuje jedną ręką ochronić się przed ciosami drobnych pięści, a drugą trzymać kierownicę. Szarpnięcie. Uderzenie. Brzęk szkła. Drżące, zakrwawione dłonie Finna. Głos Sander jak echo. I znów ta ciemność, tak inna, głęboka, bezgraniczna i wciągająca. Rytm serca, który cichnie jak muzyka.

Moja dłoń odruchowo powędrowała do ust, by stłumić krzyk przerażenia.

– O Boże... – wydusiłam wreszcie, gdy iskra zgasła i siedziałam znów w aucie Finna, które wyjechało ponownie na prostą i pędziło przed siebie jak rakieta.

Finn zdawał się nie zwracać na mnie uwagi, skupiony na prowadzeniu. Zacisnęłam spazmatycznie dłonie na brzegach fotela.

– Finya nie prowadziła auta! – powiedziałam w końcu, bardziej do siebie niż do niego.

– Co? – Nie zrozumiał, zerknął na mnie, ale jego oczy momentalnie znów skierowały się na drogę.

– Finya! – krzyknęłam. – Ona nie prowadziła auta!

Oblicze Finna zbladło, oczy powiększyły się lekko. Przez chwilę zdawał się nieobecny. Zaraz potem jego twarz przybrała jednak wyraz złości.

– Sander ci powiedział?!

Finn zdawał się wściekły, docisnął pedał gazu i auto rozpędziło się w kierunku kolejnego zakrętu. Poczułam skurcz strachu.

– Co? – Nie rozumiałam, o co mu chodziło.

Wiedziałam jednak, że nadszedł czas, by mu powiedzieć, zanim oboje zginiemy w tej rozpędzonej jak rozjuszony byk puszce z metalu i stali.

– Mam jej serce! – próbowałam przekrzyknąć ryk samochodowych silników.

Tuman kurzu przysłonił na sekundę widok. Finn odwrócił twarz w moją stronę. Gdy nasze oczy spotkały się, szaleństwo wokół zdawało się zwolnić na ułamek sekundy. Jego usta, dotąd zaciśnięte w tłumionej złości, teraz rozwarły się w mrozącym krew w żyłach przerażeniu. Przez chwilę stracił kontrolę nad autem. Szarpnęło nami ostro, ale zaraz potem znów pędziliśmy po coraz bardziej grząskim i nierównym torze.

– Co?! – Popatrzył na mnie w całkowitym osłupieniu.

– Serce twojej siostry! To ja je mam! – wrzasnęłam.

W jego oczach odmalował się szok.

Auto zdawało się stracić przyczepność na sypkiej powierzchni, z trudem utrzymywałam się w siedzeniu. Zarzuciło nami. To wtedy oboje zobaczyliśmy tuż za plecami czarne auto Arjena. Finn nie miał czasu zareagować. Z trudem odzyskał kontrolę nad pojazdem i próbował rozwinąć prędkość, manewrując pomiędzy innymi pojazdami. Samochód Arjena, już obity z każdej strony, wciąż jeszcze poruszał się z niezwykłą prędkością. Przypomniałam sobie, jak powtarzał, że wyścigi są po to, żeby wreszcie nie musieć używać hamulca. Jego auto pędziło na nas. Nie wątpiłam w to, że nie miał zamiaru nas po prostu ominąć. Poczułam dziwny skurcz w żołądku, moje dłonie odruchowo chwyciły brzegi fotela, choć wiedziałam, że przy ewentualnej stłuczce nie będzie to miało znaczenia. Był coraz bliżej, tuż za nami, pędził jak nabój wystrzelony w naszą stronę.

Nagle kątem oka zobaczyłam, że paręnaście metrów przed nami ktoś przeskakuje przez

barierki i wbiega na tor między rozpędzone auta, które hamowały, rozpryskując piach i błoto. Sander.

Finn zaczął hamować ostro, wokół nas wzbijała się mgła kurzu. Próbowałam przytrzymać się czegoś, asekurować dłońmi. Stuknęliśmy w coś, ale auto się zatrzymało. Finn dyszał. Bałam się podnieść wzrok. Kiedy wreszcie to zrobiłam, zobaczyłam, że uderzyliśmy lewym bokiem w barierkę. Wyjrzałam przez okno auta. Samochód Arjena stał parę metrów dalej na środku toru, lekko obrócony w naszą stronę. Inne auta zaczęły zatrzymywać się na poboczu, zrobiło się niewiarygodne zamieszanie. Arjen nadal siedział na miejscu kierowcy. Sander opierał się rękoma o maskę jego samochodu, ramiona drżały mu niekontrolowanie. Pochylił głowę, ciemne włosy spadły mu na czoło. Finn siedział sztywno, jego dłonie spoczywały wciąż jeszcze na kierownicy.

– Jesteś cała? – zapytał cicho.

Pokiwałam głową. Jeszcze nie mogłam zmusić się do wypowiedzenia jakiegokolwiek słowa.

Jacyś ludzie nadbiegli w stronę czarnego pojazdu Arjena. Głos z megafonu nawoływał wszystkich do zachowania spokoju. Rosły mężczyzna ze szczeciną siwych włosów i mnóstwem tatuaży na ramionach krzychał coś wściekle w stronę Sandera, który wciąż jeszcze stał pochylony nad autem. Arjen wygrzebał się na zewnątrz. Obserwowałam, jak popycha mężczyznę i podchodzi do Sandera, wymachując rękoma. Nie wiedziałam, co mu powiedział, ale w końcu Sander wyprostował się i odeszli razem na bok toru.

– Finn... Powiedz coś – wydusiłam, ale on tylko patrzył przed siebie, jakby zastygł w dziwnym transie.

Wydostałam się przez prowizoryczne okno i na drżących nogach przeszłam po poboczu, na które wjechaliśmy. Stałam przy barierce, przytrzymując się jej, żeby nie upaść lub nie zjechać po uklepanej ziemi. Rozejrzałam się po widowisku wokół mnie, którego byłam sprawcą. Finn wciąż jeszcze siedział w aucie, reszta pojazdów stała na torze. Poczułam nagły przypływ sił.

– Finn, wysiądź z auta. Wyścig już się skończył.

– Nie dojechałem do mety – powiedział cicho, wciąż jeszcze sztywno ściskając kierownicę.

– To nie ma znaczenia. Nigdy byś do niej nie dojechał. Rozumiesz?

Podniósł na mnie swoje bursztynowe oczy. Jego spojrzenie było nagle przejrzyste i przytomne. Jakby jakaś zasłona opadła z nich.

– Ty masz... jej serce?

Skinęłam. Wyciągnęłam do niego dłoń.

– Uratowało moje życie – powiedziałam.

A teraz ja ratuję twoje. Dla niej.

Wydostał się przez okno. Pomogłam mu, przytrzymując go za ramię. Rozejrzał się wokół. Wiedziałałam, że szukał wzrokiem Sandera, ale jego postać zniknęła za murem złożonym z widzów, tłoczących się teraz wokół. Nagle rozumiałam wszystko. Wiedziałałam rzeczy, które dotąd pozostawały za zasłoną. Byłam świadoma tego, że moja obecność tam nie była przypadkowa. Nic nie było przypadkowe.

Przejechałam wzrokiem po widowni, skąd dochodziły wrzaski i pohukiwania pełne dezaprobaty i niezadowolenia. I wtedy ją zobaczyłam. Moją mamę. Właśnie minęła ostatnich stojących z tyłu widzów. Szła powoli, w stronę parkingu. Nie oglądała się. Otworzyłam usta. Chciałam ją zawołać, zatrzymać, chciałam krzyknąć ponad tłumem zebranych ludzi, ponad pomrukiem silników, chciałam, by mój głos ją przywołał, zawrócił, by mnie odnalazła w tym

chaosie. Moje nogi drżały, miałam miękkie kolana. Patrzyłam, jak odchodzi, jak mnie zostawia pośród kurzu, krzyku i zamieszania. Wiedziałam jednak, nawet wtedy, gdy jakaś niezrozumiała tęsknota za jej opieką i ciepłymi, bezpiecznymi ramionami paraliżowała mój umysł, że mnie nie porzuciła. Rozumiałam nagle dokładnie, że pozwalała mi dokończyć o własnych siłach to, co zaczęłam, nawet jeśli robiłam to początkowo nieświadomie.

Wzięłam Finna za rękę i wyprowadziłam go spośród tłumu i zamieszania. Pozwolił na to bezwolnie. Szliśmy obok siebie, ściskając swoje dłonie, omijając ludzi i auta, które zdawały się być teraz zawieszane w innym wymiarze. Nie mogły nas dosięgnąć, skrzywdzić, byliśmy nieosiągalni dla tej rzeczywistości. Moje stopy zapadały się w piach, ale Finn przytrzymał mnie, żebym nie upadła. Szliśmy tak długo, aż ryk silników stał się jedynie cichym szumem, a grząska czarna ziemia zmieniła się w soczyście zieloną trawę, łaskoczącą moje kostki. Szliśmy ramię w ramię, zdruzgotani, pokruszeni i cali jednocześnie.

Finn Velde

CZYTAŁEM KIEDYŚ O TEORII SZEŚCIU STOPNI ODDALENIA. Podobno każdym dowolnych dwoje ludzi na świecie dzieli od siebie jedynie sześć pośrednich znajomych. Autor artykułu twierdził, że prawdziwość tej hipotezy została udowodniona drogą doświadczeń i eksperymentów, takich jak ten Stanleya Milgrama z 1967 roku. Jeśli to prawda, to może nie powinienem zadziwiać mnie fakt, że odnaleźliśmy się z Evi w niewielkim fryzyjskim miasteczku z zaledwie trzydziestotysięczną populacją. W końcu dzieliło nas jedynie jedno serce. Serce mojej siostry bliźniaczki.

Tamtego sylwestrowego wieczoru wszystko poszło nie tak. Kilka drobnych decyzji zaważyło na czymś życiu, zmieniło wszystko na zawsze. I nikt nie potrafi wyjaśnić dlaczego. Może to jest najbardziej bolesne pytanie w ludzkiej egzystencji. Dlaczego?

Tak naprawdę nie byłem zaproszony na tego sylwestra. Ale gdy wszyscy entuzjastycznie zareagowali na pomysł wypadu do Hommerts na pokaz nielegalnych sztucznych ogni, Finya uparła się, żebym pojechał. Nie powiedziała tego wprost, ale wiedziałem, że w taką noc potrzebny był im trzeźwy kierowca. Więc pojechałem. Bo ja nigdy nie piłem. Wzięliśmy auto Finyi. Wszyscy pili za dużo, za dużo krzyczeli. Siedziałem w kącie, wodząc oczyma po towarzystwie. Wreszcie sięgnąłem po piwo. Każdy miał przy sobie kogoś, gdy wybiła dwunasta i świat huknął euforią. Sander przycisnął do siebie Finyę i nawet z kąta pokoju, gdzie siedziałem, widziałem, jak jego ciemne oczy pożerały ją i pieściły, jak jego dłonie wędrowały po jej ciele, jego usta rozciągały się w tym szerokim, szelmowskim uśmiechu. Wychyliłem dwie lampki szampana, od którego zaczęło mnie mdlić. Sięgnąłem po drinka. A potem następnego. I z każdym kolejnym moja złość narastała. Miała różne źródła. Może samotność zaczęła mi doskwierać, może zazdrość o coś, czego nigdy nie mogłem mieć. Kiedy wreszcie zapadła decyzja o powrocie do Sneek, byłem tak pijany, że ściany wydawały się falować, a ludzie wokół nie mieli twarzy. Było mi niedobrze i zwymiotowałem, gdy wyszliśmy na świeże powietrze. Sander był tak podпиты, że nie mógł trafić kluczykiem w stacyjkę. Siedziałem bezwolnie na tylnym siedzeniu i to, że Finya była na mnie wściekła za to, że się upiłem, sprawiało mi dziwną

przyjemność. Sander śmiał się, gdy marudziła, że pewnie zarzygam jej auto.

– Z naszego chłopczyka robi się facet – żartował.

– Bo się upił? Odbiło ci?! To jest egzamin na męskość twoim zdaniem?! – Finya była coraz bardziej wkurzona. Jej oczy błyszczały. Była podpita i żądna krwi.

Sander roześmiał się i wyjechał na rondo.

– Dokąd ty jedziesz? Pomyliłeś zjazdy! – syknęła Finya.

– Nic nie pomyliłem! Wszędzie pełno glin, jest sylwester! Im rzadziej uczęszczana droga, tym mniejsze szanse, że będzie czekał ktoś z alkomatem. Przestań się wreszcie czepiać! – odparł szorstko.

– Wcale się nie czepiam! – odparła naburmuszona.

– Czy Finn już ci przekazał dobre wieści?

Jego słowa ocuciły mnie lekko. Nie wiem, po co zaczął ten temat. Finya zerknęła na mnie, obracając się przez ramię.

– Finn pojedzie w wyścigu w kwietniu – powiedział Sander i mrugnął do mnie w lusterku wiszącym nad przednią szybą. A może tylko mi się wydawało, że to zrobił.

– W rajdzie?! Zwariowałeś?! Dlaczego go w to wciągasz?!

Słyszałem podniesiony głos Finyi, ale fala mdłości i alkoholowe odurzenie sprawiały, że nie byłem w stanie zareagować.

– Ja wciągamy, kurwa?! Sam chciał!

– Jesteś pierdolnięty! Przecież on ledwo zdał egzamin! Nawet na zwykłej autostradzie boi się wyminąć ciężarówkę!

– Przestań go wreszcie niańczyć! I przestań się wydzierać! Jesteś wkurwiona na niego, a drzesz się na mnie! – huknął Sander, będąc już naprawdę wściekłym. Poczujęm, jak auto przyspiesza, i wiedziałem, że Sander wcisnął pedał gazu, próbując wyładować swoją złość.

Uniosłem ciężkie powieki. Miałem wrażenie, że na parę sekund prawie odpłynąłem.

– Finn, ty idioto! Finn!

Chciałem coś powiedzieć, ale auto kołysało przyjemnie, patrzyłem więc na jej wściekłą twarz i żarzące się złością oczy, które w mroku nocy były jak dwa płomienie. Sięgnęła do klamry i odpięła pas, po czym wcisnęła się między fotele i zaczęła walić pięściami w moje uda.

– Obudź się, matole! Nie pojedziesz w żadnym wyścigu, kretynie! Zupełnie ci odbiło! Nie pozwolę ci! Chcesz się zabić?!

– Zrobię, co zechcę – mruknąłem, próbując odsunąć się na bok, za fotel Sandera, żeby jej ciosy nie mogły mnie dosięgnąć.

Sander zaśmiał się, ale w jego śmiechu słyszałem wyraźne napięcie. Nie spuszczał wzroku z drogi.

– Finya! Kurwa mać! Daj mu spokój! – Sander próbował jedną dłonią ściągnąć ją na fotel, ale zamiast tego sprowadził na siebie porcję ciosów, przed którymi osłaniał się wolną ręką.

– To mój brat! Odpierdol się od niego!

To były jej ostatnie słowa.

Potem nagle świat zawirował, auto się obróciło. Sander zaklął siarczyście. Siła uderzenia zepchnęła mnie z jednej strony siedzenia na drugą. Uderzyłem o coś głową. Myślałem, że zginiemy wszyscy. Kiedy auto wreszcie zatrzymało się, bałem się poruszyć. Sander kłął ostro, próbując uwolnić się z pasa. Dłoń Finyi wisiała bezładnie na brzegu jej fotela. Sander odpiął pas.

Musiał parokrotnie szarpnąć za klamkę, żeby drzwi w końcu puściły. Kiedy je pchnął, do auta wpadło mroźne powietrze. Drzwi od strony pasażera nie chciały puścić, więc ostrożnie wyciągnął Finyę od drugiej strony. Patrzyłem, jak jej nogi zsuwają się po fotelu, jak pomarańczowy szal ciągnie się za nią niczym welon.

– Finya, obudź się, obudź się. – Głos Sandera był błagalny.

Wysiadłem z auta na drżących nogach. Kręciło mi się w głowie. Obejrzałem się za siebie na ciało mojej siostry, leżące na oszronionej trawie. Wszystko zwolniło. Zwymiotowałem. A potem opadłem na ziemię i zwinąłem się w kłębek, jakbym chciał zniknąć. Było tak zimno, że moje ciało i umysł zdawały się zamrożone. Wtedy nadjechało auto.

Gdzieś w głębi mojego sparaliżowanego szokiem umysłu, wiedziałem już wtedy, że Finya umarła. Nawet wtedy, gdy w szpitalu zobaczyłem ją podłączoną do skomplikowanych aparatów, czułem, że ona sama wymusnęła się ukradkiem z tego zniewolonego ciała. Patrzyłem na nie i widziałem pustkę, skorupę, muszlę, z której już skradziono perłę.

Pamiętam, że kiedy nie siedziałem w rogu szpitalnego pokoju, błądziłem korytarzami jak niespokojny duch. Na jednym z nich natknąłem się na Sandera. Wymieniliśmy spojrzenia, po czym wciągnął mnie do najbliższej ubikacji.

– Co z Finyą? – zapytał mnie w napięciu.

Pokręciłem głową, nie potrafiłem jakoś mu powiedzieć, że było źle.

Westchnął i przez chwilę stał oparty o ścianę w całkowitym milczeniu. Za jednymi z drzwi ktoś spuścił wodę. Nie odezwaliśmy się ani słowem, gdy starszy pan umył ręce i wyszedł z pomieszczenia.

– Zamkną mnie. – Głos Sandera brzmiał jak dziwne echo wśród ścian wyłożonych kafelkami.

– Co? – zapytałem. Myślałem tylko o Finyi, nie przyszło mi do głowy, że były jeszcze jakieś inne konsekwencje wypadku.

– Zamkną mnie za ten wypadek. Mam już karę w zawieszeniu. Rozumiesz? – Patrzył na mnie ciemnymi oczyma, których błysk sprawiał, że w moim podbrzuszu rozlewało się dziwne ciepło. Nawet tam, nawet w tej śmierdzącej środkami dezynfekującymi szpitalnej łazience. Przysunął twarz tak blisko mojej, że czułem jego ciepły oddech na skórze. Mogłem go pocałować. Gdybym chciał, zrobiłbym to szybciej, niż by się zorientował. Wreszcie mógłbym przestać wyobrażać sobie, jakby to było. Ale patrzyłem jedynie niemo w tę czerń w jego oczach.

– Finn, musisz im powiedzieć, że to Finya prowadziła.

– Że... Co? – Odsunąłem się, nagle wyrwany z transu spowodowanego jego bliskością.

– Powiemy im, że to Finya prowadziła.

– Ale... – zacząłem niepewnie.

Złapał mnie za ramię i pochylił ku mnie twarz.

– Posłuchaj – szepnął. – Policja na pewno wcześniej czy później się pojawi. Będą pytać. Finya by to dla mnie zrobiła, dobrze o tym wiesz. Jej nic nie zgrozi, gdy się obudzi, nad nią nie wisi stary wyrok. Ale ja będę miał poważne problemy, jeśli prawda wyjdzie na jaw.

– Jak się obudzi... – powtórzyłem cicho.

– Finn! – Sander szarpnął mną lekko, wyrывая mnie z zamyślenia. – Słyszysz, co do ciebie mówię? Wiesz, co masz powiedzieć?

Byłem zmęczony i zagubiony. Choć to oczywiście żadne wytłumaczenie tego, jak łatwo

zdradziłem własną siostrę w imię miłości, której nigdy nie mogłem mieć. Skinąłem.

– Dobrze, dobrze. – Sander odprężył się i pokiwał. Uścisk jego ręki na moim ramieniu zelżał.
– Jak się obudzi, sama im powie, że tak było – dodał, choć brzmiało to, jakby próbował sam siebie przekonać, że ma rację.

Opuściłem tamtą łazienkę z ciężarem, który dźwigałem potem długie miesiące. Poczucie winy ze względu na tamten wieczór, tamtą rozmowę, moje uczucie do Sandera, wszystkie negatywne emocje, które kiedykolwiek czułem w stosunku do Finyi, przygniatało mnie do ziemi.

Nigdy nie byłem odważny. Nie musiałem. Finya była dzielna za nas dwoje. Stałem zawsze bezpieczny za jej plecami. Niezdolny do samoobrony, a co tu mówić o obronie kogoś innego. Nawet nie przypuszczałem, że strach jest bardziej zabójczy niż to, przed czym go odczuwamy. Sączy się powoli, ale niszczy skutecznie.

Nie bałem się w tamtym rozpedzonym aucie. Nie o siebie.

Evi opowiedziała mi swoje sny. Zaraz po tym, jak opuściliśmy teren rajdu, nie oglądając się za siebie. Słuchałem potoku jej słów w milczeniu i zdumieniu. Rozpoznawałem elementy.

Kiedy zamilkła, ja zacząłem mówić. Mówiłem tak długo, że zaschło mi w gardle. Aż do ostatniego słowa. Aż nie pozostało nic więcej do powiedzenia. Każdą prawdę, każde kłamstwo, każde wspomnienie. Wszystko.

Opowiedziałem jej o restauracji Venezia. Moja mama nigdy nie lubiła tego miejsca. Twierdziła, że jest ordynarnie urządzone, na ścianach wisały marne malowidła udające sztukę, wszędzie stały zakurzone przedmioty, sztuczne kwiaty, kiczowate figurki, świeczniki, a pod sufitem wisiała plastikowa winorośl. Najbardziej irytowały ją jednak porozwieszane wszędzie maski wzorowane na tych z włoskich oper.

Ale my je bardzo lubiliśmy, może była to jedyna rzecz, do której lojalnie dzieliliśmy sympatię. Co roku na nasze urodziny wybieraliśmy tę właśnie włoską pizzerię jako miejsce świętowania. Mama niechętnie się zgadzała, a potem z prawie widocznym obrzydzeniem grzebała widelcem w spaghetti, narzekając, że jest za tłuste. Finya za to pałaszowała pizzę i nigdy nie mogłem zrozumieć, jak tak szczupła osoba mogła pomieścić tyle jedzenia. Mimo wszystko wiązałem to dziwne miejsce z najmiłszymi chwilami naszej rodziny. Później Finya bywała tam również z Sanderem i opowiadała mu, że ma zamiar spróbować każdej z siedemdziesięciu ośmiu rodzajów pizzy, które znajdowały się w menu.

Mieliśmy również naszą małą urodzinową tajemnicę związaną z tym miejscem. W rogu pizzerii stał manekin odziany w czerń, ze złotą maską zamiast twarzy. Finya uwielbiała robić sobie głupie zdjęcia z jego postacią. Co roku w dniu urodzin, gdy nikt nie patrzył, moja siostra unosiła satynową czarną pelerynę i długopisem wypisywała na ciele manekina nasze imiona i rok. Czasem jej pomagałem, odwracając uwagę mamy lub taty, a potem patrzyliśmy na siebie z porozumiewawczymi uśmiechami pełnymi triumfu. Utrzymywaliśmy tę tradycję do naszych ostatnich urodzin.

Pewnego dnia stłukłem przez przypadek jedną z wielu figurek Jezusa, stojących na parapecie okna, przy którym zawsze rezerwowaliśmy stolik. Mama zdenerwowała się, że jestem niedorajdą i wiecznie coś upuszczam. Atmosfera przy stoliku zrobiła się nieprzyjemna, tata wstał, żeby poszukać kogoś, kto posprząta bałagan i oceni straty, żeby mógł je pokryć. W tym czasie, gdy ja siedziałem sparaliżowany wstydem, Finya umazała odłamki sosem pomidorowym z pizzy i odegrała dramatyczną scenę rozpaczy nad umierającą we krwi figurką, niezwykle trafnie wykorzystując przy tym zdania i powiedzonka często używane przez mamę. Rozśmieszyla

klientów i obsługę pizzerii. Nawet mama parsknęła śmiechem. Niektórzy klaskali, kiedy podniosła się z kolan, ocierając dobrze udawane łzy z policzków. Miała wtedy czternaście lat i więcej śmiałości niż niejedna dwukrotnie starsza osoba. Na pewno więcej, niż ja kiedykolwiek będę miała. Za figurkę nie musieliśmy zapłacić, właściciel pizzerii powiedział, że cały jego strych pełen jest tego typu rupieci.

Rozmawialiśmy długo. Evi słuchała uważnie, przytakiwała. Jej policzki zaróżowiły się od tempa, w którym szliśmy pogrążeni w rozmowie. Pytała o wszystko, o to, jaka była Finya, o to, co lubiła, a co ją denerwowało, o jej wady, jej zainteresowania.

Jakaś częśćka mnie musiała zawsze wiedzieć. Kiedy na nią patrzyłem, kiedy dotykałem jej ręki. Coś się działo wewnątrz mnie. Poza świadomymi procesami.

– Tęsknisz za nią? – zapytała, zatrzymując się na ścieżce, która wiodła między rozległymi polami.

W oddali zarysowywały się budynki gospodarstw rolnych, pasły się owce i konie. W powietrzu unosił się zapach lata. Zacząłem płakać.

Chantal Simons

IDEALNY FINAŁ HISTORII TO TEN, w którym wszystko dobiega końca, perfekcyjny supeł niedopowiedzeń i niejasności zostaje rozwiązany. Lub przecięty ostrym, mocnym cięciem. Idealny finał to taki, gdy wszystko, co się kończy, daje początek nowej opowieści. Zakończenie powinno być wstępem. Dopiero wtedy ma sens.

Carl dopadł mnie, gdy byłam już w drodze powrotnej do jego auta. Moje stopy grzęzły w piachu.

– I co? – dyszał. – Nie ma jej tutaj? Mówiłaś, że jest!

Skinęłam powoli.

– Jest – odparłam, nie zatrzymując się.

Carl stanął jak wryty i obejrzał się skonsternowany na teren rajdu znajdujący się za nami.

– Chantal! Dokąd idziesz?

– Do auta. Wracamy do domu.

– A Evi?

– Jest bezpieczna. – Oszczędziłam mu słowa *już*, którego celowo nie dodałam. Evi była już bezpieczna.

– Możesz mi to wszystko wytłumaczyć? – W głosie Carla słyszałam irytację i zmęczenie. Wbrew sobie poczułam pewną dozę czułości.

– Niestety nie – powiedziałam spokojnie, ignorując jego szorstki głos i pełne zdumienia spojrzenie.

Poddał się i ruszył za mną w stronę auta, wzdychając ciężko, jakby obcowanie ze mną sprawiało mu trudność.

Milczeliśmy całą drogę. Nie potrafiłam wymazać z pamięci widoku rozpędzonych pojazdów, wściekłego ryku ich silników i przerażonego oblicza mojej córki, który wżarł się jak kwas

w moje myśli. Kiedy biegłam w stronę toru, nad którym unosiły się tumany pyłu, miałam wrażenie, że przybyłam za późno. Przecisnęłam się przez tłok i stałam tam w kurzu i hałasie, oszołomiona widokiem. Jak się okazało, miałam rację. Evi siedziała już w jednym z aut, które próbowało umknąć pojazdowi napierającemu na nie z siłą tsunami. Ktoś wybiegł na tor. Samobójczy akt szaleństwa. Auta hamowały z trudem, wzniecając chmurę kurzu. Być może były to jedynie sekundy. Wszystko stało się bardzo szybko i nim się spostrzegłam, samochód uderzył w barierkę. Wokół rozpętało się piekło. Ktoś stał na torze. Ludzie krzyczeli, kurz opadał, auta hamowały. Moje ciało zamarło w skurczu przerażenia. Z drżącym sercem i ulgą, która zalała mnie jak potężna fala, zobaczyłam, że Evi wydostaje się z auta. Patrzyłam na jej postać, jak radar, skanując ją w poszukiwaniu urazów i ran, ale wydawało mi się, że była cała i nienaruszona. Dopiero wtedy spojrzałam na chłopaka, któremu pomogła wysiąść, a widok jego twarzy zmroził mnie na parę chwil. Moja dłoń powędrowała do otwartych ze zdumienia ust. Nagle zrozumiałam, na co patrzyłam. Obróciłam się i ruszyłam przez tłum.

Evi wróciła do domu późnym popołudniem. Carl powiadomił mnie, że zadzwoniła z nieznanego numeru i poprosiła o pomoc. Stała w drzwiach. Miała potargane włosy, błyszczące oczy, nogi brudne do kolan, smugę brudu na policzku i purpurowe wargi. Wydawało mi się, że dorosła w jedną noc.

– Mamo, muszę ci coś powiedzieć.

Uśmiechnęłam się i usiadłam do stołu, na którym postawiłam dzbanek herbaty ze świeżej mięty. Evi zajęła miejsce naprzeciwko i patrząc mi w oczy, zaczęła mówić. Obserwowałam moją córkę, moje serce, krew z krwi, kawałek mnie, który odłączył się i zaczął żyć własnym życiem, podążać własną drogą. A jednak pozostał tak bardzo mój, jak nic innego na tym świecie. Nawet inne fragmenty mojego własnego ciała zdawały mi się mniej moje niż ta dziewczyna, z której słowa wylewały się wartkim potokiem.

Wiedziałam już wtedy, że niczego bardziej nie pragnę, jak poznać lepiej tę młodą kobietę, którą stała się gdzieś po drodze.

Evi Brouwer

LUDZIE MYŚLĄ, ŻE PODĄŻANIE ZA GŁOSEM SERCA to zawsze ta niezwykła piękna przygoda, fanfary i płatki róż pod stopami, fajerwerki i wiatr w rozpostartych skrzydłach. Pomyłka. Droga, którą wskazuje nam głos serca, prowadzi często przez bagna i grzęznące piaski, przez skaliste szczyty, które kaleczą stopy, wzdłuż niebezpiecznych krawędzi tuż nad przepaścią. Podążanie za głosem serca to pot, krew i łzy. I samotność, bo w rezultacie musisz przejść przez to sam. Na mecie nie ma nagrody, medali ani pucharu. Jest tylko wypełnione zadanie, robisz to, co musisz, nie masz wyjścia, wyboru. A co, jeśli serce, za którego głosem podążasz, nie jest twoje?

Tak naprawdę nie znałam Finna zbyt dobrze, a jednak dźwięk jego głosu i jego spojrzenie uruchamiały szereg fizycznych i emocjonalnych reakcji w moim ciele, nad którymi nie panowałam. Wiedziałam już jednak, że mają one swoje źródło.

Tamtego dnia po wyścigu nasze rozmowy zdawały się nie mieć końca. Jakby została

zburzona jakaś tama, która nas dzieliła. Kiedy wszystko zostało powiedziane, siedzieliśmy jeszcze parę chwil w milczeniu obok siebie. Byłam zmęczona, ale miałam wrażenie, że pozbyłam się jakiejś przyciasnej obręczy uciskającej mnie cały czas od wewnątrz. Oddychałam swobodniej. Z telefonu Finna zadzwoniłam do taty, który odebrał nas z Opeinde, gdzie siedzieliśmy na trawie nad brzegiem kanału, obserwując łodzie kołyszące się na wodzie. Tata nie pytał o nic. Podał nam wodę, pudełko truskawek i kanapki z grillowanym kurczakiem, liśćmi sałaty i serem. Wiedziałam, że to mama przygotowała posiłek. Rozdzieliłam go między nas. Finn patrzył zafascynowany, jak wyciągam spomiędzy pieczywa zielone liście i wrzucam do papierowej torebki po kanapce. Musieliśmy być głodni, bo nim dojechaliśmy do Sneek, po jedzeniu nie pozostał żaden ślad. Odwieźliśmy Finna pod podany przez niego adres. Z zaciekawieniem patrzyłam na nowoczesne, luksusowe domy, których tarasy wisały nad wodą. Niewiele powiedzieliśmy na pożegnanie. Moje myśli zresztą krążyły już wokół mamy. Poprosiłam tatę, żeby mnie do niej zabrał.

Nie widzieliśmy się potem cały tydzień. Emocje opadły i pozostały jedynie ostatnie pytania. To Finn odezwał się pierwszy. Wysłał mi wiadomość. Zaproszenie na spacer. Umówiliśmy się na wzgórzu w parku Rasterhoff. Zostawiłam rower pod hotelem Van der Valk i pieszo udałam się w stronę wzniesienia drogą między drzewami. Siedział na kamiennym murku na szczycie. Nie szkicował. Musiał usłyszeć moje kroki, bo obejrzał się, kiedy nadeszłam. A może czuł, że jestem blisko. Nie byłam pewna. Uśmiechnął się blado i założył za ucho kosmyk włosów. Zauważyłam, że lekko się denerwował, ja zresztą też.

– Nie jestem duchem. Nie jestem nią – powiedziałam zamiast przywitania.

Pokiwał głową, nie patrząc na mnie. Jego oczy obserwowały horyzont, linia między niebem a wodą roztaczającą się poniżej zdawała się ginać w odcieniach błękitu.

– Wiem – powiedział cicho.

Podeszłam i zajęłam miejsce obok niego na murku. Podciągnęłam kolana. Wiatr rozwiewał nasze włosy. Nie mówiliśmy nic. Oboje myśleliśmy o Finyi.

Czasem ją widzę, na tle zachodu słońca, zatopioną w intensywnych kolorach – żółtym, pomarańczowym i różowym. Jest światłem i wiatrem, ulotnym echem śmiechu. Jej oczy płoną jak luna ponad horyzontem, gdzie słońce żegna się z dniem.

Żałuję, że nigdy się nie spotkałyśmy, choć jestem pewna, że nie zostałybyśmy najlepszymi przyjaciółkami. Wiem też, że poznałam to, co w Finyi było najlepsze, i to właśnie w pewnym sensie pozostanie na zawsze częścią mnie. Jej silniejsza niż śmierć miłość do brata bliźniaka.

Nie wiem, co będzie dalej, dokąd zaprowadzi mnie los. Zrobiłam parę głupich rzeczy, zakochałam się w kimś, kto nigdy nie był i nie będzie mój, mam złamane serce, zagmatwaną sytuację rodzinną i przeżyłam coś niezwykłego. Paradoksalnie to właśnie teraz czuję, że jestem dokładnie taka, jak moi rówieśnicy, że zmagam się z tymi samymi doświadczeniami co oni. To, co mnie od nich na pewno różni, to świadomość, że ja żyję za nas dwie: za siebie i za Finyę.

Kropla wody spędza w atmosferze dziewięć dni, zanim spadnie jako deszcz, dwa do sześciu miesięcy w rzekach, ale trzy tysiące lat w oceanie. Ile dni, miesięcy, lat może przeżyć kropla czyjejś pamięci uwięziona w organie? Czy wspomnienia Finyi będą na zawsze częścią mnie, czy kiedyś się od nich uwolnię? Czy byłam sprzyjającym środowiskiem, w którym może przetrwać, czy jednak rzeką, z której wyparuje w końcu? Czy byłam nadal sobą, czy bardziej nią? I skąd

miałam wiedzieć, co było naprawdę moje, a co jej?

Spływająca między schodkami woda pluskała cicho. W oddali żaglówka walczyła z wiatrem, przechylając się na boki. Słońce migotało na tafli jak miliony rozrzuconych diamentów.

– Pójdiesz ze mną? – zapytał w końcu.

– Oczywiście, że pójdę. Kiedy tylko zechcesz.

Pochylił głowę. Myślałam, że zacznie płakać, ale on tylko patrzył na swoje splecione palce. Były przybrudzone ołówkiem lub węglem.

– Sander się do ciebie odzywał? – spytał cicho.

Pokręciłam głową. Nie powiedziałam mu, że wieczorem w dniu wyścigu Sander przyszedł do mojego domu. Przyniósł moje rzeczy. Mama stała za mną w korytarzu, ale kiedy obróciłam się do niej i skinęłam lekko, dając znać, że wszystko jest w porządku, wyszła, zostawiając nas samych. Nie zaprosiłam go do środka. Próbowałam nie patrzeć zbyt głęboko w jego ciemne szkliste oczy, w których lęk mieszał się ze wstydem.

– A do ciebie? – Odwróciłam głowę w stronę Finna.

Zaprzeczył. Potem podniósł się powoli.

– Gotowy? – spytałam i spojrzałam na jego spiętą twarz. Wiatr i promienie słońca tańczyły w brązowych włosach. Skinął, po czym ruszyliśmy drogą biegnącą wzdłuż wzniesienia.

Finn Velde

ŻYLIŚMY KIEDYŚ W JEDNYM CIELE, stanowiliśmy część wspólnego żyjącego organizmu, funkcjonowaliśmy w pełnej syntezie. Jak to wpłynęło na życie, które nastąpiło potem? Czy nasze ciała nadal wiedziały, że byliśmy kiedyś jednym? Jak głęboko w nasze DNA wpisano tę bliskość, z której powstailiśmy? Czy wbrew niezgodności charakterów i doświadczeń, wbrew własnej woli nasze organizmy pozostały w jakiejś niewyjaśnionej łączności? Czy jesteśmy bardziej tworem duchowym, czy bardziej zbitką tkanek?

Kiedy dwa miesiące później siedziałem przed komisją kwalifikacyjną w Akademii Sztuk Pięknych w Leeuwarden, ciągle jeszcze nurtowała mnie myśl o tym, na ile to, co metafizyczne, przeplata się z tym, co cielesne, i na ile to, co cielesne, jest nośnikiem tego, co metafizyczne. Moje prace leżały jedna obok drugiej na długim stole. Spędziłem sześć tygodni, szkicując, malując, drąc i zaczynając od nowa. Sześć tygodni opowiadałem kartkom papieru o moim bólu, stracie, poczuciu winy i tęsknocie. O Finyi.

– Bardzo niepokojące wizje. Dominujący akcent to głęboka krwista czerwień, choć prace wykonane są głównie w odcieniach szarości. Ciekawa technika nakładania warstw. Sprawia wrażenie, jakby pod każdym szkicem krył się inny, jakby obrazy nakładały się na siebie, tworząc coś niezwykle wielowymiarowego. – Starsza kobieta o wysuszonej twarzy i niezbyt dokładnie zaplecionych włosach podniosła na mnie zaciekawione spojrzenie. – Odważnie. Bardzo odważnie.

Przez chwilę w milczeniu przesuwiała prace, podając je kolejnym członkom komisji, którzy pochylali się nad nimi w skupieniu. Papier szeleścił cicho. Zza wysokich okien dobiegały mnie odgłosy ruchu ulicznego. Kobieta zatrzymała się na jednym z rysunków i długo przyglądała się temu, co przedstawiał. Czułem, jak moje mocno bijące serce uspokaja się, a szum w głowie się wycisza. Spuściłem wzrok i spojrzałem na pracę, która leżała przed kobietą. Był to szkic o imponujących wymiarach, wykonany ołówkiem. Przedstawiał dwie postacie, młode kobiety. Ich klatki piersiowe stykały się, jakby dzieliło je lustro, którego były odbiciem. W spontanicznym śmiechu odchyłały głowy, rozrzucając włosy i przymykając powieki. W miejscu, gdzie ich sylwetki nachodziły na siebie, linia się zamazywała. Dokładnie tam, pomiędzy ich ciałami, tkwiło serce, purpurowy organ, wrastający w oba ciała.

– Proszę nam przypomnieć, jaki tytuł nosi ta seria prac? – zapytała kobieta, zdejmując okulary.

– Tkanki – odpowiedziałem, patrząc jej w oczy.

17 SIERPNIĄ 2015

MARIEKE VAN HAAN wypełniała w skupieniu raporty. Jej współpracownik, Roland Kempen, stukał rytmicznie długopisem o blat biurka. Robił tak często, gdy myślał. Nie potrafił skupić się w zupełnej ciszy. Rozpraszała go. Irytował Marieke tą swoją potrzebą ciągłych bodźców. Ona potrzebowała spokoju, żeby móc skoncentrować myśli, choć potrafiła wyteńczyć umysł w niesprzyjających okolicznościach, takich choćby jak dzielenie pokoju z Rolandem. Była to dla niej prawdziwa próba cierpliwości. Czasem miała wrażenie, że toczy się między nimi nieustanna wojna charakterów. On był niedbały, ona skrupulatna i dokładna, on był zwykle rozluźniony i nonszalancki, ona najczęściej spięta i skoncentrowana, on lubił pożartować w czasie patrolu, ona podchodziła do pracy z powagą, on trzymał się faktów, ona wolała słuchać swojej zawodowej intuicji, on był mężem i ojcem, ona nie miała nawet chomika.

Pomimo tych różnic pracowali ze sobą już od paru lat i można było powiedzieć, że ich współpraca przynosiła zadowalające rezultaty. Marieke na początku obawiała się, że ich wzajemna niechęć będzie rzutowała na sprawy zawodowe, okazało się jednak, że się myliła.

Roland podniósł wzrok znad monitora.

– Słuchaj, wiesz, co wczoraj ten gość z kafejki powiedział, jak go aresztowali w jego mieszkaniu i zrewidowali dwie szafy z całkiem bujną, nielegalną uprawą marychy?

Marieke westchnęła. Wszyscy powtarzali ten sam żart od wczoraj i nie było chyba nikogo w całym biurze, kto by go nie słyszał.

– No co? – zapytała, nie przerywając stukania w klawiaturę.

– Najpierw powiedział, że to kolegi, a potem im wmawiał, prawie płacząc, że mu dziewczyna to wstawiła i powiedziała, że to bazylia i oregano.

Roland zaniósł się śmiechem, mrużąc oczy. Marieke uniosła brwi i pokręciła głową z dezaprobatą.

W tym momencie zadzwonił telefon. Odebrała wewnętrzne połączenie.

– Co jest, Maik?

– Cześć! Siedzą tu na dole jakieś dzieciaki. Mówią, że przyszły zgłosić coś ważnego w sprawie wypadku ze stycznia. Chodzi konkretnie o noc sylwestrową.

– Jakiego wypadku?

– Chodzi o wypadek samochodowy, gdzieś pod miastem. Jedna ofiara śmiertelna. Z tego, co widzę, Kempen pojechał do zgłoszenia, więc może wy przejmiecie te dzieciaki?

– Dobra, już schodzę.

Rozłączyła się, ignorując uważne spojrzenie Rolanda.

– No? – spytał, marszcząc brwi, kiedy podniosła się bez słowa z fotela obrotowego.

– Muszę zejść na dół. Zaraz wrócę.

Już z końca korytarza Marieke zobaczyła sylwetki dwojga młodych ludzi. Miała dobrą pamięć do twarzy i gdy podeszła bliżej, ze zdumieniem rozpoznała tych dwoje, których poważne i spięte oblicza wpatrywały się w podłogę. Najpierw zobaczyła dziewczynę i od razu skojarzyła ją ze zdjęciem z telefonu, które pokazano jej w pierwszą noc Sneekweek. Zgłoszone przez rodziców zaginięcie okazało się oczywiście paniką na wyrost i zostało telefonicznie odwołane przez Carla, którego poznała w czasie imprezy sylwestrowej ponad pół roku wcześniej. Przeniosła wzrok na chłopaka i poczuła w sercu lekki skurcz zaskoczenia. Tej samej bowiem nocy, gdy próbowała pozbyć się urojonego ogona w postaci Carla właśnie, trafiła na miejsce wypadku, którego jedną z ofiar był siedzący obok Evi Brouwer chłopak. Gdy podeszła do nich, podnieśli na nią wzrok i wstali pospiesznie z plastikowych krzeseł. Marieke przedstawiła się, przesuając wzrok z jednej twarzy na drugą. Nie umknęło jej uwadze, że gdy chłopak niepewnie otworzył usta i zająknął się, próbując wytłumaczyć, po co przyszli, dziewczyna delikatnie ujęła jego dłoń i ścisnęła, dodając mu odwagi.

– Może lepiej będzie, gdy porozmawiamy w jakimś spokojnym miejscu.

Marieke uśmiechnęła się lekko i poprowadziła tę dziwną parę w stronę windy, która zabrała ich piętro wyżej. Gdy szli długim korytarzem do pokoju Marieke, wspomnienia nocy sylwestrowej napływały do niej z każdym krokiem. Przejmujący chłód. Śliska powierzchnia. Telefon, który wymknął się z jej ręki. Dym spod maski. Długi pomarańczowy szal rozciągnięty po asfalcie. Dzwonienie bransoletek na bezwładnym nadgarstku. Brązowe włosy rozrzucone na oszronionej trawie. I jej twarz pogrążona we śnie, z którego miała się już nie obudzić. Ta twarz...

Marieke zatrzymała się gwałtownie, obracając się w stronę chłopaka, i wbiła wzrok w jego oblicze, jakby chciała się upewnić, czy to możliwe. Patrzył na nią lekko przestraszonymi oczyma. Wiedziała, że zrozumiał, co sobie właśnie uzmysłowiła.

– Dziewczyna, która zginęła w tamtym wypadku... To była moja siostra bliźniaczka – powiedział cicho.

Marieke przesunęła pytający wzrok na twarz Evi. Nagle nie mogła czekać, chciała wiedzieć natychmiast, co łączy tych dwoje. Błękitne oczy dziewczyny były spokojne i ciepłe.

– A ja mam jej serce. – Uśmiechnęła się powoli.

Patrzyli na nią teraz oboje w dziwnym napięciu. Marieke ściągnęła brwi, próbując zrozumieć, po co przyszli. Chłopak przełknął głośno ślinę, po czym odezwał się mocnym, wyraźnym głosem, o który Marieke go nie podejrzewała.

– Moja siostra, Finya, nie prowadziła auta tamtej nocy. Nie jest winna temu, co się stało.

Marieke pchnęła drzwi do pokoju, które rozpostarły się przed nimi. Patrzyła, jak wchodzi,

wciąż jeszcze trzymając się za dłonie, jakby wspólnie nieśli ciężar, którego jedna osoba nie byłaby w stanie udźwignąć.

* Wspomniana historia oraz książka, która ją opisuje, istnieją naprawdę (Claire Sylvia, William J. Novak, *A change of heart. A memoir*, Little, Brown and Company, 1997).

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska
Opracowanie językowe tekstu: Studio Editio
Projekt okładki: Mariusz Banachowicz
Zdjęcie na okładce: © Aleshyn_Andrei (Shutterstock.com)

Copyright © Dominika van Eijkelenborg, 2018

Copyright © 2018 for Polish edition by Wydawnictwo Kobięce Łukasz Kierus

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie elektroniczne
Białystok 2018
ISBN 978-83-65601-98-8



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobięce
E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl
Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie
www.wydawnictwokobiece.pl

Na zlecenie Woblink

woblink
woblink.com

plik przygotowała Katarzyna Rek